Józef Wiłkomirski

LATA 1926-2006

Wspomnienia nie tylko muzyczne

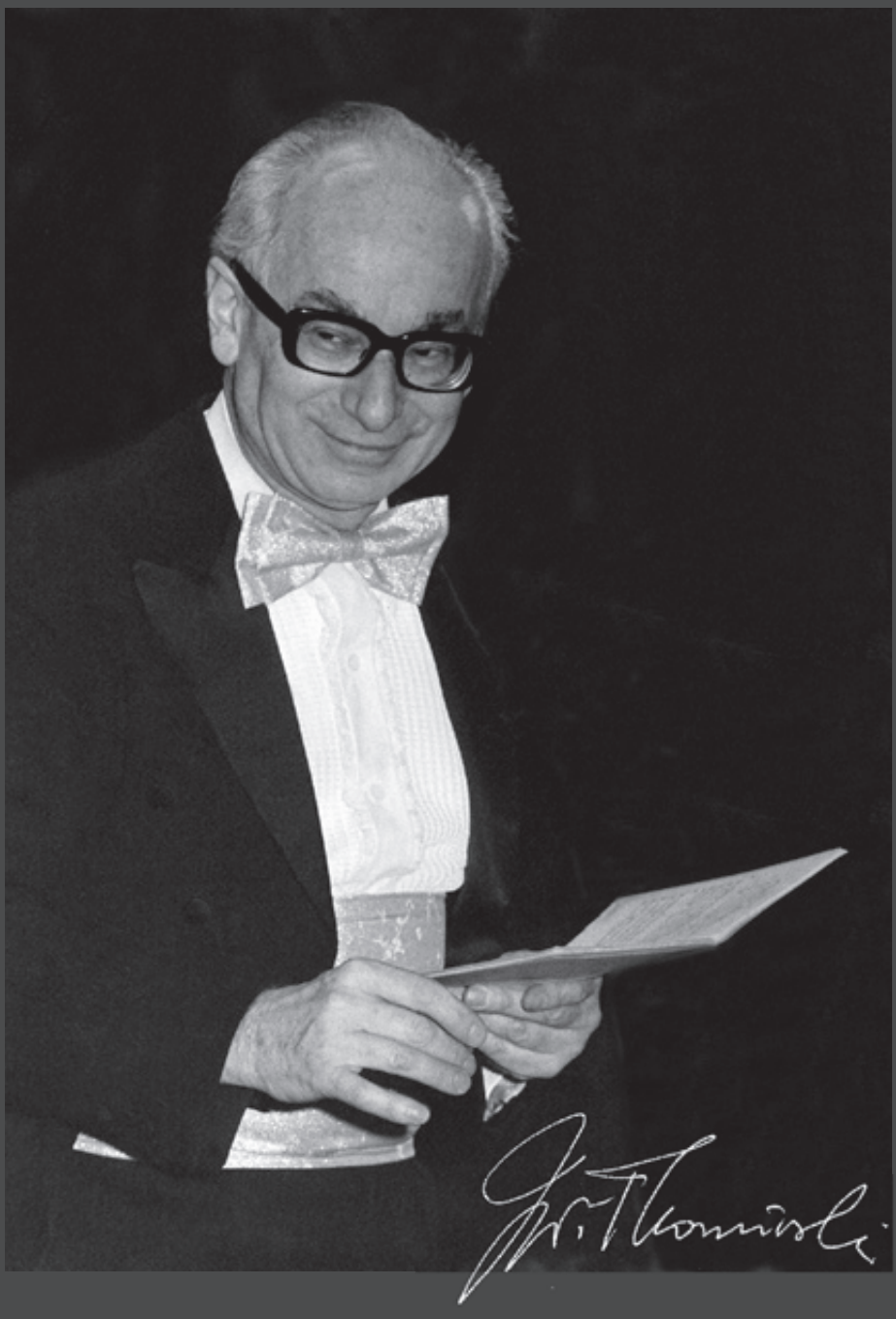

Józef Wiłkomirski

LATA 1926-2006

Wspomnienia nie tylko muzyczne

TOM II

Józef Wiłkomirski

LATA 1926 – 2006
Wspomnienia nie tylko muzyczne

Wydawca
Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej
58 – 300 Wałbrzych, Rynek 9
tel. 0 601 786 530 e-mail: sit_walbrzych@onet.eu

Opieka redakcyjna
Elżbieta Gargała

Zdjęcia
ze zbiorów Józefa Wiłkomirskiego
Janusz Dąbrowski
Dariusz Gdesz
Tadeusz Rupociński

Projekt okładek, stron tytułowych i zdjęciowych
Agencja Wydawniczo – Reklamowa INFO-TEKST
e-mail: infotekst@wp.pl

Skład i łamanie tekstu
Krzysztof Redo

Druk i oprawa
Drukarnia Poldruk Józef Grzywa, Marek Kawka sc
58 – 309 Wałbrzych, ul. Wrocławska 39a
e-mail: poldruk@poldruk.com.pl
www.poldruk.com.pl

Copyright by
Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej

Wydanie I

Wałbrzych 2009

ISBN 978–83-930022–0-7

Rozdział XXIII

SZCZECIN (I)

Niewątpliwie jesienią 57 roku nastąpiły w moim życiu dwie zmiany o zasadniczym znaczeniu. Od września zostałem szefem artystycznym orkiestry symfonicznej, a niebawem także dyrektorem całej filharmonii. Jednocześnie zdecydowałem się na odejście od pierwszej żony i wystąpienie do sądu o rozwód. O ile pierwsza zmiana była ponad wszelką wątpliwość korzystna i oznaczała awans, o tyle druga stanowiła poważny dylemat. Moje małżeństwo było już właściwie martwe – nie łączyła mnie z żoną żadna więź emocjonalna. Przypuszczam również, że i ona dawno przestała mnie kochać. O ile w ogóle to, co czuła do mnie przed ślubem, było miłością. Ale o tym nie mam prawa orzekać, mogę tylko poprzestać na smutnych przypuszczeniach. Rozstanie z żoną i rozwód oznaczały jednak pozostawienie ośmioletniego syna, z którym miałem ostatnio coraz bliższy kontakt. Dlatego zapewne przez wiele miesięcy zwlekałem z podjęciem decyzji.

Kiedy piszę te słowa, wracają wątpliwości, które towarzyszą mi od pierwszego rozdziału tej autobiografii. Dotyczą proporcji pomiędzy kronikarskim zapisem wydarzeń, nazwisk, dat a przekazywaniem swoich refleksji, ocen, przemyśleń, odczuć, przeżyć, marzeń. Suche fakty zamieniłyby te wspomnienia w encyklopedyczny biogram. Ale szerokie omawianie „drgnień duszy" i „wędrówek umysłu" mogłoby stać się po prostu nudne. Czy biorąc do ręki jakąkolwiek autobiografię, chcemy wiedzieć kim był autor czy raczej czego dokonał? Co bardziej interesuje czytelnika? I co jest w ostatecznym rozrachunku ważniejsze? Pozwolę sobie na nieskromne porównanie. Co jest ważniejsze: muzyka Mozarta czy jego prywatne życie? I na przeciwległym biegunie Hitler. Co dla świata (i czytelnika) jest istotniejsze: rozpętanie największej w dziejach ludzkości wojny czy jego światopogląd, kompleksy, cała mentalność? Przyznaję, że nie znam odpowiedzi na te wszystkie pytania. Przeżyłem II wojnę światową i teraz, kiedy piszę te słowa w 2006 roku, znam z opasłych tomów związane z nią wydarzenia historyczne. Kiedy jednak czytam najbardziej znane monografie o Hitlerze: Shirera, Bullocka, Kershawa – nie potrafię oddzielić osobowości Führera od tego, co robił. Dla mnie równie pasjonujące jest poznanie faktów jak myśli i uczuć sprawcy tych faktów. Pozostając przy Hitlerze, zastanawiam się nad tym, co mogłaby zawierać jego autobiografia, gdyby ją napisał. Czy pomogłaby w zrozumieniu jego osobowości? Czy wyjaśniłaby motywy jego działania, sposoby podejmowania decyzji, fobie i reakcje na wydarzenia zewnętrzne? Zostawiam te rozważania, które zaprowadziłyby mnie zbyt daleko. I które niestety nie pomagają w rozwiązaniu dylematu, co jest ważniejsze: kim jestem, co czuję, myślę czy jednak mimo wszystko to, co robię. W tej sytuacji będę pisał dalej tak jak dotąd, pozostawiając ocenę czytelnikowi.

Pierwsze kroki

Od 1 września zabrałem się do pracy z zapałem, którego nie miałem od czasu organizowania zespołu „Skolimów". Być może w moim charakterze leży niechęć do rutynowych działań, a tylko to co nowe potrafi mnie natchnąć zapałem? Mleczak jako dyrektor filharmonii załatwił mi wizyty u „notabli" Szczecina: w urzędzie wojewódzkim i miejskim, w komitetach partyjnych, u konsulów, dyrektorów instytucji kultury itd. Chciałem również pójść do rektorów czterech wyższych uczelni, ale Mleczak doradził, aby raczej spotkać się z nimi razem w jakimś lokalu. Wybrał kawiarnię w centrum miasta i uzgodnił popołudniową godzinę. Kiedy o oznaczonej porze przyszedłem do kawiarni, która chyba nazywała się „Jagódka", zobaczyłem, że jest zajęta głównie przez młodzież. Nie znałem rektorów i nie wiedziałem czy paru starszych panów to właśnie nasi zaproszeni goście. A Mleczak spóźnił się o kilkanaście minut. Byłem wściekły. Okazało się, że zarezerwował stolik w kącie sali, ale nie poinformował o tym ani rektorów ani mnie. Kiedy usiedliśmy, przeprosiłem naszych gości, przedstawiłem się i prosiłem o przemyślenie formy współpracy pomiędzy uczelniami a filharmonią. Muszę przyznać, że nie udało się nawiązać stałej, opartej na pisemnej umowie, współpracy. Kilku profesorów, jeden rektor i garstka studentów chodzących w miarę regularnie na koncerty oraz części artystyczne okazjonalnych akademii – to był jedyny konkretny rezultat spotkania. Odwiedziłem również w następnych tygodniach naczelnych redaktorów dwóch szczecińskich dzienników oraz dyrektora ośrodka radiowego. Te wizyty zajmowały sporo czasu, ale uważałem, że były konieczne. W samej instytucji nic nie zmieniałem, uważając, że są ważniejsze sprawy.

Filharmonia korzystała z jednego skrzydła rozległego budynku Miejskiej Rady Narodowej. Mieliśmy do dyspozycji parę pokoi na parterze oraz prawo użytkowania sali na I piętrze. Była to sala obrad MRN z niezbyt wysoką estradą i co najgorsze – ruchomymi, twardymi krzesłami. Sala poza obradami służyła także na rozmaite zebrania, zjazdy, spotkania itp. Na sesje i inne posiedzenia wnoszono stoły, wokół których ustawiano krzesła. A na koncerty ustawiano je w rzędy. Oczywiście, jeśli jakiekolwiek imprezy odbywały się przed południem, trzeba było odwoływać próby. Rozpocząłem zatem starania, aby salę przebudować, przekształcić i przeznaczyć wyłącznie na koncerty. Te zabiegi zostały uwieńczone powodzeniem. W ciągu paru lat nastąpiła całkowita zmiana. Małą salkę na parterze, służącą dotąd jako magazyn mebli, przebudowano na salę posiedzeń MRN ze stałym stołem prezydialnym i równie stałymi fotelami i pulpitami dla radnych. W pokojach, użytkowanych przez filharmonię urządzono biuro rady. A całe I piętro oddano filharmonii. Oraz także pokoje na II piętrze, w których urządziłem biuro i tzw. pokoje artystyczne dla dyrygentów i solistów. Sam narysowałem plan powiększonej znacznie amfiteatralnej estrady. Całą salę kazałem wybić drewnianą boazerią, do której materiał udało mi się wyprosić u dyrektora stoczni jachtowej. Było to drewno najwyższej jakości, przeznaczone do budowy eksportowych jachtów. No i wreszcie zamontowano na sali miękkie fotele.

Następną sprawą był zakup instrumentów. Jeżdżąc z uporem do ministerstwa, wywalczyłem na rok 1958 znaczną kwotę z tzw. puli dolarowej. Podobnie było w następnych latach. Dzięki temu udało mi się kupić pierwszy w dziejach Szczecina fortepian koncertowy firmy Steinway. A w rok później – harfę. Dotychczas partię harfy wykonywano na pianinie. Nie trzeba być znawcą muzyki, aby wiedzieć, że dźwięk pianina w niczym nie przypomina dźwięku harfy. Zastępowanie jej innym instrumentem jest barbarzyństwem, szczególnie

w utworach francuskich impresjonistów, nie wspominając o Berliozie, Czajkowskim czy Rimskim-Korsakowie. Piszę o tym obszernie, ponieważ kiedy z dumą ogłosiłem, że pierwsza w historii Szczecina harfa stoi już na estradzie, jakiś dziennikarz napisał artykuł zatytułowany „harfa w mordobijskim powiecie". Krytykował zakup drogiego instrumentu, twierdząc, że ważniejsze jest wspomaganie zespołów amatorskich. Zareagowałem gwałtownie. Napisałem cały artykuł, w którym zaprotestowałem jako obywatel Szczecina przeciwko nazywaniu tego miasta „mordobijskim powiatem". Zyskałem w ten sposób poparcie władz, które również poczuły się obrażone. No i przede wszystkim sporej warstwy inteligenckiej. A przy okazji zaatakowałem nie tyle ruch amatorski co jego wynaturzenia. Wyrażając się z uznaniem o ludziach, którzy poświęcają swój wolny czas na bezinteresowne granie, tańczenie czy śpiewanie w rozmaitych zespołach, wytknąłem tzw. instruktorom ich brak wykształcenia i pogoń za zarobkami. Napisałem, że niedouczony instruktor zarabia więcej niż koncertmistrz filharmonii. Oczywiście rozpętała się burza, a ja narobiłem sobie wrogów, głównie wśród kadry przeróżnych domów i ośrodków kultury. Kolejnymi moimi wrogami zostali pracownicy „Estrady Szczecińskiej". Była to spora grupa ludzi bez kwalifikacji, którzy po prostu żerowali na społecznej potrzebie rozrywki. Organizowali imprezy o żenująco niskim poziomie. I co gorsze, organizowali i prowadzili różne zespoły w szkołach.

W tamtym okresie udzielałem licznych wywiadów, pisałem artykuły, felietony, polemiki i spotykałem się z rozmaitymi środowiskami. Uważałem to za swój obowiązek, zwłaszcza w mieście, w którym brakowało polskich tradycji muzycznych. Przecież jeszcze 12 lat wcześniej nie było tutaj żadnych Polaków!

Pamiętam jedno spotkanie w Klubie Naukowca. Przyszło spore grono profesorów wyższych uczelni, może nawet 20-30 osób. Każdy z nich mógł być moim ojcem. Z przejęciem zachwalałem przed nimi tzw. muzykę poważną, a w szczególności symfoniczną. Kiedy skończyłem moją wypowiedź, jeden z profesorów zapytał z wyraźnym sarkazmem:

- A co pan mi obiecuje, jeśli po raz pierwszy w życiu pójdę na koncert symfoniczny?

Odpowiedziałem natychmiast z wesołym uśmiechem:

- Nudę.

Po tej odpowiedzi parę osób wybuchnęło śmiechem. Inni mieli zdziwione miny.

- Jak to? – nie rozumiał profesor, który zadał mi pytanie.

Wyjaśniłem mniej więcej w ten sposób:

- Za pierwszym razem będzie się pan profesor nudził, ponieważ zaleje pana masa dźwięków, które dla niewprawnego ucha wydają się chaotyczne. Nie będzie pan w stanie zauważyć w tej masie żadnego porządku. Będzie to męczące, nużące, a po dłuższym czasie po prostu nudne. Trzeba pamiętać, że przeciętna symfonia trwa ponad pół godziny. Za drugim razem jednak zacznie pan już rozróżniać instrumenty, a potem formę. Dla naukowca takie śledzenie będzie interesujące. Na trzecim koncercie zacznie pan wyławiać melodie i wybierać takie, które będą panu odpowiadać. I wreszcie nastąpi przełom: dostrzeże pan bogactwo muzyki i stanie się pan jej wielbicielem.

Profesorowie kiwali aprobująco głowami. Nie wiem czy mój wywód przekonał ich, ale potem spotykałem niektórych na koncertach. To co wtedy mówiłem, było zgodne z moimi przekonaniami. I do dzisiaj uważam, że najlepszym, jeśli nie jedynym sposobem, aby stać się melomanem, jest chodzenie na koncerty. Pod dwoma warunkami: że w programach będzie najbardziej wartościowa muzyka i w możliwie najlepszym wykonaniu. Nadal jestem przekonany, że normalny człowiek o normalnej wrażliwości nie może pozostać obojętny na piękno wielkiej muzyki. Podobnie jak na piękno poezji czy plastyki.

Sprawy osobiste

Od razu w pierwszym okresie pracy załatwiłem przydziały paru mieszkań na rok następny, ponieważ uważałem, że sprowadzenie choćby kilku młodych absolwentów PWSM jest niezbędne, aby podnieść poziom orkiestry. Udało mi się przekonać władze, a rzecznikiem filharmonii stał się przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej, odpowiednik obecnego wojewody. Pewnego dnia, pod koniec września zabrał mnie do dużej willi i zapytał czy nie chciałbym urządzić w niej przejściowych lokali dla nowo zatrudnionych muzyków do czasu uzyskania mieszkań. Oczywiście z radością przyjąłem tę propozycję. W willi przez wiele lat mieściło się przedszkole, które zostało przeniesione do nowo wybudowanego budynku. Willa położona była w ogrodzie i składała się z czterech pokoi, kuchni i łazienki na parterze, czterech pokoi i łazienki na I piętrze oraz dwóch pokoi i małej toalety na II piętrze. Ponieważ mieszkałem w hotelu, co obciążało budżet filharmonii, zająłem od razu dwa pokoje na I piętrze. Pozostałe pomieszczenia sukcesywnie zajmowali muzycy, których angażowałem.

Chciałbym teraz pokrótce zrelacjonować moje sprawy osobiste. Odbyłem dramatyczną rozmowę z moją żoną, która wyraziła zgodę na rozwód. W parę tygodni później zmieniła niestety zdanie. Szczegółowo opiszę tę historię w podrozdziale poświęconym moim trzem żonom. Kobieta, z którą po otrzymaniu rozwodu zamierzałem się ożenić, rzuciła pracę w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Przyjechała do Szczecina z dwiema walizkami, zdana całkowicie na mnie, mężczyznę, który nie wiadomo kiedy zostanie jej mężem. Ja zabrałem z Warszawy tylko swoje ubrania i książki. Żona zatrzymała nawet tapczan, który „wniosłem w posagu" jako prezent od rodziców. Oraz przywieziony z Włoch kupon materiału na frak. Pierwszego dnia po przyjeździe kupiliśmy tapczan, pościel, duży garnek, dużą miednicę oraz trochę naczyń stołowych i aluminiowych sztućców. Postawiliśmy przy tapczanie trzy walizki i nakryliśmy je ręcznikiem. Była to imitacja stołu. Dopiero z wrześniowej pensji kupiliśmy stół i dwa krzesła. Wprawdzie na I piętrze była łazienka, ale bez ciepłej wody, ponieważ dla potrzeb przedszkola wystarczyła ciepła woda na parterze. Miałem przyzwyczajenie, aby kąpać się co wieczór. Nosiłem zatem z parteru na piętro przez kilka tygodni dzień w dzień po parę razy ciepłą wodę w miednicy, aby choć częściowo dokonywać „ablucji". Znacznie później dowiedziałem się, że muzycy zastanawiali się przy czym ich dyrektor tak się brudzi, że musi kąpać się codziennie! Potem kupiłem wiadro. Kiedy pozostałe dwa pokoje na I piętrze zajęli muzycy, zainstalowano w łazience piecyk gazowy, tzw. junkersa, co pozwoliło wznieść naszą egzystencje na nieco wyższy poziom cywilizacji. Mniej więcej po roku otrzymałem trzypokojowe mieszkanie w śródmieściu w odbudowanym starym domu. Tu „dla odmiany" nie było bieżącej ciepłej wody w kuchni i musiałem co prędzej przeprowadzić rury od „junkersa" z łazienki, aby usunąć tę niedogodność. Warto pamiętać, że były to czasy nader prymitywnego budownictwa, których symbolem były tzw. ślepe, czyli bez okien, kuchnie o rozmiarach 2m x 2m.

Moja pierwsza żona miała na imię Pelagia, druga natomiast Bożenna. Dlaczego pisała je przez dwa „n" – nie wiem. Przedstawiałem ją jako żonę, choć jestem przekonany, że większość ludzi domyślała się prawdy. Była to dla niej niezręczna sytuacja, którą znosiła z wyjątkową pogodą ducha. Przedpołudnia spędzała sama w domu, czytając książki, które jej według wymyślonego przeze mnie klucza przygotowywałem. Spotykaliśmy się na obiedzie w Klubie Naukowca, gdzie było dobre i tanie jedzenie. Kierownikiem był starszy bardzo

kulturalny pan o nazwisku Łoś. Podobno pochodził z kresowej, hrabiowskiej rodziny. Po obiedzie szliśmy na zakupy, do kina lub wracaliśmy do domu, ponieważ musiałem uczyć się partytur. Koncertów miałem dużo. Poza Szczecinem dyrygowałem także przez pierwsze miesiące w Poznaniu koncertami zaplanowanymi jeszcze w ubiegłym sezonie. Inauguracja szczecińska odbyła się w październiku, ponieważ część orkiestry grając przez lipiec i sierpień w Międzyzdrojach, musiała wykorzystać we wrześniu urlop. Wystąpiła Halina Czerny-Stefańska, najbardziej wówczas znana polska solistka. Zainteresowanie publiczności i władz było spore. Parę tygodni później zatelefonował z Komitetu Wojewódzkiego PZPR tzw. Instruktor, który zajmował się sprawami kultury. Powiadomił mnie, że 6 listopada odbędzie się w sali filharmonii uroczysta akademia z okazji rewolucji październikowej. Mówiło się wówczas obowiązkowo: Wielka Rewolucja Październikowa. Oczywiście wszystkie trzy słowa pisało się z dużej litery. Ja zaś na przekór mówiłem bez przymiotnika wielka, a na pytanie dlaczego, odpowiadałem niezmiennie, że za jedyną naprawdę wielką rewolucję uważam francuską. Instruktor powiedział, że na akademii ma wystąpić orkiestra. Podziękowałem za tę wiadomość i zapytałem kto będzie płacił: KW czy WRN? A może Komitet Miejski lub Miejska Rada Narodowa? Instruktor zdziwił się. Orkiestra od lat brała udział w różnych akademiach i nigdy nikt za to nie płacił. Wyjaśniłem w możliwie uprzejmy sposób, że muzycy w ramach pensji grają osiem planowych koncertów w miesiącu. Za każdy dodatkowy muszą zgodnie z obowiązującym układem zbiorowym otrzymać honorarium. A ja w ramach dotacji nie mam na to pieniędzy. Na zakończenie dodałem, że w Związku Radzieckim artyści za udział w akademiach dostają zawsze honoraria według osobistego „zaszeregowania". I tak np. początkujący solista 50 rubli, a Ojstrach 250. Taka rzeczywiście była rozpiętość stawek. Instruktor przez chwilkę milczał, a potem powiedział, że przedstawi sprawę towarzyszowi sekretarzowi. A ja przypuszczałem, że przykład ZSRR podziała. Pamiętam popularne wówczas hasło: Przyjaźń, Pomoc, Przykład. Za kolejność po tylu latach nie odpowiadam. I rzeczywiście, po paru dniach otrzymałem wiadomość, że wszystkie koszty pokryje MRN. Muzycy byli zadowoleni, bo nigdy dotąd za granie na akademiach nie dostawali pieniędzy. Nazywało się to zobowiązaniem i było bezpłatne.

Na akademii wystąpiła jako solistka Wanda Wermińska. Była to już dama około sześćdziesiątki, ale nadal dysponująca pięknym i silnym głosem oraz nienaganną techniką. Chwaliła się, że włada biegle sześcioma językami i dlatego teksty wszystkich pieśni i arii śpiewała zawsze w oryginale, a nie w tłumaczeniach. Jej występy cieszyły się ogromnym powodzeniem. Miała przesadną ekspresję i sposób bycia na estradzie (i w życiu) wzorowany na wielkich diwach operowych sprzed I wojny światowej. Śmieszyła czasami nadmierną egzaltacją, ale nie można było odmówić jej tego, co nazywa się artyzmem. Poznałem Wermińską w Krakowie. Na jej występie były tłumy. Po wykonaniu arii umieszczonych w programie zaczęła śpiewać bisy, wcześniej przygotowane z orkiestrą na próbach. Do „Habanery" wyszła z kastanietami, którymi sobie akompaniowała. Śpiewając, poruszała również w takt muzyki kibicią i wyginała tzw. tylną część ciała. Był to zabawny widok, ponieważ Wermińską charakteryzowała potężna tusza. Publiczność bawiła się znakomicie, nagradzając owacyjnymi oklaskami kolejny bis. Siedziałem na balkonie obok Perkowskiego. W pewnym momencie odwrócił się i skinął na strażaka, który zawsze dyżurował na koncertach. Kiedy ten szybko podszedł, Perkowski zapytał szeptem:

- Ma pan szlauch?
- Oczywiście, panie dyrektorze – odpowiedział służbiście strażak.
- To lej pan w tę babę! – rzekł Perkowski i wskazał palcem Wermińską. Biedny strażak

„zbaraniał", ale widząc nasze rozbawione miny, zrozumiał żart.

Kiedy Wermińska przyjechała do Szczecina i zjawiła się w filharmonii, wpadła do mojego gabinetu, wołając, „Dzień dobry, panie Józieńku!" Rozłożystym biodrem potrąciła wieszak, który wraz z płaszczami runął na podłogę. Ale kiedy zaśpiewała arię Lizy z „Damy pikowej", była to prawdziwa muzyka. Oczywiście po koncercie prosiła, abym odwiedził ją przy okazji bytności w Warszawie. Skorzystałem z zaproszenia. Była to interesująca wizyta, ponieważ pokazywała mi pamiątki ze swoich tournée zagranicznych, między innymi po Ameryce Południowej.

O ile się nie mylę, jeszcze przed inauguracyjnym koncertem w październiku, byłem w Warszawie. W tamtych czasach centralnego zarządzania, przynajmniej raz w miesiącu trzeba było jeździć do ministerstwa. Razem ze mną pojechała Bożenna, aby odwiedzić mieszkającą we Włochach matkę. Spotkaliśmy się po południu. Nie pamiętam czy poszliśmy na jakąś wystawę, ale pod wieczór usłyszeliśmy krzyki i strzały. Zobaczyliśmy biegnących w panice ludzi, głównie studentów w czapkach. Ponieważ wiedziałem już o zamknięciu (nazywało się to oficjalnie zawieszeniem wydawania) tygodnika „Po Prostu", domyśliłem się, że miała miejsce jakaś akcja protestacyjna i została rozpędzona przez milicję. To wtedy właśnie zakończyła się tzw. odwilż, a władza pokazała, w jak niewielkim stopniu system się zmienił. I od tego czasu zaczęła spadać popularność Gomułki. Ja zaś miałem satysfakcję, ponieważ – jak już pisałem – nigdy nie darzyłem go ani sympatią, ani szacunkiem, ani tym bardziej zaufaniem.

I ostatnie wspomnienie, tym razem z grudnia 57. Pojechaliśmy do Gdańska, gdzie miałem gościnny koncert. W tamtych czasach, w trosce o socjalistyczną moralność, nie wolno było w pokoju hotelowym meldować osób różnych płci i o różnych nazwiskach. Wandzia, która po ślubie nie zmieniła nazwiska, jeśli chciała mieszkać w hotelu razem z Mietkiem, musiała okazywać akt ślubu! Mietek przezornie nosił go w portfelu. Ja natomiast wynajmowałem dla Bożenny osobny pokój. Solistą na koncercie był Zbigniew Drzewiecki, mający już wówczas około 70 lat. Recenzje pisał do prasy centralnej i lokalnej jeszcze starszy o parę lat Piotr Rytel. Po koncercie jedliśmy kolację w hotelowej restauracji. Obaj starsi panowie bardzo mnie chwalili, ale mieli zastrzeżenia do mojego nadmiernego temperamentu, przejawiającego się w szybkich tempach, dużych kontrastach dynamicznych i gwałtownych ruchach przy dyrygowaniu. W pewnym momencie Rytel pochylił się w stronę Bożenny i konfidencjonalnie półgłosem rzekł: „Pani mąż to nie dyrygent, to ogier".

Operetka

Na parę miesięcy przed moim przyjazdem do Szczecina powstała tam nowa instytucja – operetka. Jak mi mówiono, od paru lat regularnie, niemal w każdym miesiącu, przyjeżdżała z Operetki Gliwickiej grupa śpiewaków i prezentowała różne spektakle. Cieszyły się tak dużym powodzeniem, że władze Szczecina postanowiły powołać do życia własny teatr operetkowy. Pertraktacje z Ministerstwem Kultury i Sztuki trwały długo, ponieważ chodziło nie tylko o powstanie nowej instytucji lecz także o jej finansowanie. Na wiosnę 57 zapadła pozytywna decyzja. Miasto miało adaptować odpowiedni budynek (podobno po przedwojennej, tzw. rajtszuli lub – jak kto woli – ujeżdżalni, czyli inaczej maneżu) przydzielić niezbędne mieszkania i znaleźć kandydata na dyrektora. Po spełnieniu tych warunków ministerstwo powołało do życia Operetkę Szczecińską i przyznało dotację.

Organizacja przebiegała – jak słyszałem – sprawnie i na jesieni pojawili się w Szczecinie członkowie kierownictwa. Rozpoczął się nabór do chóru i baletu, z Gliwic przyjechali pierwsi soliści, a nowy dyrektor rozpoczął ze mną rozmowy na temat współpracy. Miała ona polegać przede wszystkim na korzystaniu przez operetkę z muzyków filharmonii. Wykluczało to spektakle w piątki i soboty, co było niezbyt wygodne dla operetki. W tamtych czasach jednak soboty były zwykłymi dniami pracy, skróconymi tylko o dwie godziny. Tak więc zamiast przedstawień w soboty organizowano dwa w niedzielę.

Dyrektor operetki zaproponował mi muzyczne przygotowanie pierwszej premiery – „Zemsty nietoperza". Pamiętam, że wahałem się czy przyjąć tę propozycję z uwagi na nawał pracy w filharmonii. Skusiła mnie jednak możliwość spróbowania swoich sił w czymś zupełnie nowym. Znałem wprawdzie ten rodzaj muzyki, ponieważ grałem w latach okupacji w kawiarniach tzw. potpourri, czyli wiązanki melodii z operetek Straussa, Lehara, Kalmana. Wiedziałem również, jak się dyryguje z kanału orkiestrowego po miesiącu pracy w teatrze łódzkim. Ale przygotowanie całej operetki – to było zupełnie nowe doświadczenie. Tak więc po krótkim zastanowieniu wyraziłem zgodę.

Zatelefonowałem do Górzyńskiego, który był wówczas dyrektorem Opery Poznańskiej. Zgodził się udzielić mi „korepetycji". Pojechałem z wyciągiem fortepianowym (w Polsce nie było w ogóle partytur operetek Straussa) i – jak pamiętam – przez około dwie godziny Górzyński tłumaczył mi na czym polega specyfika tej muzyki. Śpiewał, dyrygował, pokazywał tradycyjne wiedeńskie zmiany temp, pauzy, fermaty itd. Była to znakomita lekcja, której nigdy nie zapomniałem. A to czego mnie wtedy nauczył, przydało się przy następnych premierach operetkowych oraz koncertach muzyki popularnej. Skróty, zresztą niewielkie, były – jak sądzę – pomysłem reżysera, tzw. wstawka baletowa w postaci „Walca cesarskiego" – pomysłem choreografa, natomiast muzyczny kształt był całkowicie moim dziełem. Po napisaniu tego zdania mam wątpliwości czy odpowiada prawdzie. Nie raz musiałem naginać swoją koncepcję do możliwości wykonawczych solistów i chóru. Tak więc ostateczny kształt muzyki był niestety kompromisem. Miałem mnóstwo prób, ale rezultat – jak na młodą instytucję – zadowolił zarówno publiczność jak i władze. Premiera odbyła się w pierwszych miesiącach 58 roku, a w maju całe przedstawienie zostało zaprezentowane w Rostocku. Z zespołem pojechało mnóstwo szczecińskich „oficjeli", niektórzy nawet z żonami. Niemcy potraktowali wizytę jako wyraz przyjaźni polsko-niemieckiej i nadali jej uroczysty polityczny charakter.

Po powrocie zadyrygowałem jeszcze parę przedstawień, ale szybko zrezygnowałem, pomimo że honoraria były przyzwoite. Po prostu zacząłem się nudzić. Dyrygowanie codziennie tego samego, stawało się coraz bardziej męczące. W następnych latach piastowałem kierownictwo muzyczne kilku jeszcze innych operetek, zawsze jednak rezygnowałem po paru przedstawieniach. Być może gdyby przedstawienia nie odbywały się codziennie lecz z parodniowymi przerwami – nie byłoby to tak nużące. Współczuję wszystkim wykonawcom, którzy muszą grać np. 100 przedstawień pod rząd. Nie wiem czy wytrzymałbym to przy moim usposobieniu.

Parę lat później opowiadano mi w Jerozolimie, że wielki, światowej sławy dyrygent Sergiu Celibidache poprowadził po raz pierwszy w muzycznej historii Izraela Requiem Verdiego z Filharmonią w Tel-Avivie. Zaplanowano osiem wykonań, ponieważ filharmonia występowała regularnie we wszystkich większych miastach kraju. Powodzenie było tak ogromne, że zaistniała potrzeba dalszego powtarzania Requiem. Po dwudziestym wykonaniu Celibidache podobno błagał, aby nie organizować następnych koncertów. Codzienne

powtarzanie pełnego napięcia arcydzieła było zbyt wyczerpujące dla systemu nerwowego dyrygenta. Dyrekcja telawiwskiej filharmonii podwoiła honorarium, aby tylko wszyscy chętni mogli wysłuchać tej wielkiej muzyki. Łącznie, jak mi relacjonowano, Celibidache dyrygował Requiem 26 razy. Podobno w pożegnalnym wywiadzie powiedział, że chyba już nigdy nie zdobędzie się na to, aby je ponownie wykonać. Ciekawe ile razy pod rząd, bez dnia przerwy, może wielki aktor grać rolę Hamleta? Albo bas śpiewać Borysa Godunowa? A przecież jest różnica, ponieważ aktor czy śpiewak nie znajdują się bez przerwy na scenie. Tymczasem dyrygent przez 90 minut trwania Requiem bez przerwy nie tylko stoi na podium, ale musi również stwarzać napięcie, które udzieli się chórowi, orkiestrze i solistom. I koncentrować na sobie uwagę publiczności. I mieć także świadomość, że odpowiada za całość. Ta odpowiedzialność właśnie jest – jak sądzę – największym psychicznym obciążeniem.

Pierwszy zatarg

Już Machiavelli napisał, że książę, który zdobył władzę dzięki jakiejś grupie niezadowolonych z poprzednich rządów, powinien po pokonaniu przeciwników, od razu na początku panowania usunąć tych, którzy wynieśli go na tron. „Usunąć" to eufemizm, pod którym kryją się bardziej konkretne określenia: zlikwidować, zabić. Okrutne to stwierdzenie, ale jakże słuszne. Ci, którzy zapewnili panowanie nowemu władcy, oczekują zapłaty. Jeśli tego nie otrzymają - stają się wrogami. Jeśli przywileje i nagrody nie zaspokoją ich oczekiwań – również będą nowego księcia atakować. Kiedy przeczytałem „II principe", byłem olśniony mądrością Machiavelli´ego. Do dzisiaj uważam go za geniusza myśli politycznej.

W „mikroskopijnej" skali to, co napisał Machiavelli, sprawdziło się w Filharmonii Szczecińskiej. Ci muzycy, którzy spowodowali dymisję mojego poprzednika i mnie zaproponowali na jego miejsce, liczyli, że będą za moim pośrednictwem rządzić instytucją. Przewodniczący Rady Zakładowej i I sekretarz POP ciągle mnie nachodzili i stawiali coraz to nowe żądania. Przypuszczali, że młody, 31-letni, niedoświadczony dyrektor, będzie im posłuszny. Przeliczyli się. Tutaj mała dygresja. W parę tygodni po rozpoczęciu pracy zostałem wezwany do ministerstwa. Tam poinformowano mnie, że odwołują Mleczaka ze stanowiska dyrektora w związku z jakimiś nadużyciami finansowymi i że ja mam natychmiast przejąć jego obowiązki. Byłem nie na żarty przestraszony. Co innego odpowiadać za sprawy muzyczne, a co innego rządzić całą instytucją. Nie miałem o tym najmniejszego pojęcia. Ale dyrektor Departamentu Muzyki uspokoił mnie mówiąc, że według ich opinii na pewno dam sobie radę. Co było robić, przyjąłem nominację i wróciłem do Szczecina. Czułem się niezręcznie w czasie pożegnania z Mleczakiem, ale pocieszałem się, że mam w tej sprawie całkowicie czyste sumienie. Z jego dymisją nie miałem nic wspólnego.

Minęło zaledwie parę tygodni, a przyszła następna, tym razem telefoniczna wiadomość. Główny księgowy ma natychmiast zdać swoje obowiązki zastępczyni, zwrócić klucze i zniknąć z instytucji. Wyjaśniono mi, że popełnił jakieś nieformalności przy zakupie używanych fraków dla orkiestry. Ministerstwo z uwagi na niewielkie rozmiary tych nieformalności zrezygnowało z powiadomienia milicji i prosi o nienagłaśnianie sprawy. Tak więc zostałem zupełnie sam. Co prędzej wsiadłem w pociąg i pojechałem do Poznania, gdzie przez parę godzin dyr. Śliwiński wprowadzał mnie w tajniki zarządzania filharmonią. A potem przy pomocy Komitetu Wojewódzkiego znalazłem zastępcę dyrektora i głównego księgowego. Obu niestety, choć z różnych powodów, po jakimś czasie musiałem zwolnić.

Wracam jednak do rodzącego się konfliktu z orkiestrą. Przedstawiciele tak zwanych organizacji społeczno-politycznych chcieli decydować, kogo mam zatrudniać w orkiestrze, jakie pozycje wstawiać do repertuaru i domagali się, abym konsultował z nimi wszelkie pociągnięcia organizacyjne. Słyszałem, że tak postępują dyrektorzy innych instytucji artystycznych. Ustępują wobec żądań organizacji związkowej i partyjnej dla – jak to się mówi – świętego spokoju. A ja byłem inny. Chyba nigdy niczego nie robiłem „dla świętego spokoju". I płaciłem wysoką cenę. Sprzeciwiałem się nadmiernej ingerencji tzw. czynników, wywołując ich nieprzychylność.

Moje działania organizacyjne nie podobały się także znacznej części słabych muzyków. Zażądałem, aby młodzi, którzy przerwali naukę w średniej szkole muzycznej, od jesieni 58 znowu ją podjęli. Był to warunek dalszej pracy. A na próbach nie ćwiczyłem ciągle z całą orkiestrą, ale domagałem się, aby każdy instrumentalista potrafił sam zagrać swoją partię. Oczywiście zmuszało to muzyków do indywidualnego ćwiczenia w domu. Wpłynęło to w ciągu paru zaledwie miesięcy na podniesienie poziomu orkiestry. Wywołało jednak niechęć tych słabych muzyków, którzy przyzwyczaili się od lat do byle jakiego grania.

Na wiosnę szykował się bunt. Zawiedzeni w swoich nadziejach na rządzenie funkcyjni połączyli się z niezadowolonymi kiepskimi muzykami. Zredagowali i wysłali skargę do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Podpisaną przez I sekretarza POP i przewodniczącego Rady Zakładowej. W wyniku tej skargi zjawił się w czerwcu ten sam zastępca dyrektora departamentu o nazwisku Garczyński, który prowadził ze mną rozmowy w lecie ubiegłego roku na temat mojego przejścia do Szczecina. Zwołano tzw. zebranie produkcyjne. Rozpoczęło się od mojego referatu, w którym opisałem, co zostało w ciągu zaledwie jednego sezonu zrealizowane i jakie mam dalsze plany. Potem zabrali głos muzycy. Stawiali takie czy inne zarzuty, które nie były niczym innym jak osobistymi żalami. Mniej lub więcej nieuzasadnionymi. Jak mi się zdawało, w porównaniu z moją wypowiedzią, były blade i mało przekonywujące. Prawdopodobnie Garczyński odniósł podobne wrażenie, bo kiedy zabrał na zakończenie głos, poparł w całości moje działania. Jego wystąpienie było wzorcowe. Na początku podziękował wszystkim pracownikom zabierającym głos, stwierdzając, że ich słowa wyrażały prawdziwą, głęboką troskę o dalszy rozwój filharmonii. Po tym wstępie oświadczył, że ministerstwo bacznie obserwowało miniony sezon i uznało, że nastąpiła długo oczekiwana poprawa. Podobnego zdania są lokalne władze: wojewódzkie i miejskie. Również wybitni soliści, którzy występowali w tym sezonie potwierdzili zgodnie wzrost poziomu artystycznego orkiestry. Po tych słowach zrobił przerwę, a następnie powiedział, że jest to zasługa wszystkich pracowników, a szczególnie dyrektora. I tutaj wygłosił „hymn pochwalny" na moją cześć. Najpierw za to co już zdołałem osiągnąć, a następnie za przygotowane plany na przyszłość, zawarte w moim wstępnym wystąpieniu. A przemówienie zakończył obietnicą dodania od nowego sezonu jeszcze paru etatów artystycznych razem z pełnym zabezpieczeniem finansowym, a także specjalnego przydziału dewiz na zakup instrumentów. Orkiestra nagrodziła Garczyńskiego oklaskami, a moi przeciwnicy mieli zawiedzione miny.

Potem zamknął się ze mną w gabinecie i dał mi parę rad, których nigdy nie zapomniałem:

- Panie Józiu (był ode mnie o wiele starszy), wiemy, że pańskie działania są słuszne i w sporze z muzykami to pan ma rację. Ale w razie następnego konfliktu, zdejmiemy pana ze stanowiska, ponieważ orkiestry nie zamierzamy rozwiązywać. Nawet jeżeli muzycy nie będą mieli racji. I dlatego niech pan zmieni styl zarządzania. Co panu szkodzi o wszystkich

swoich pomysłach, planach, zamiarach mówić wcześniej Radzie Zakładowej i POP? I niech pan próbuje ich przekonać. A nawet jeżeli ich pan nie przekona i postąpi po swojemu, nie będą mogli mówić, że działa pan za ich plecami. Przypuszczam, że dotąd nie poświęcał pan zbyt wiele czasu na rozmowy z muzykami i nie pytał ich o zdanie.

(W tym miejscu skinąłem głową)

- No, właśnie. A trzeba było. Ludzie potrzebują świadomości, że są współodpowiedzialni za swoją instytucję. Wtedy będą pana popierać.

Pamiętałem te słowa przez kolejne lata. I zastosowałem się do rad doświadczonego działacza i urzędnika. Zapewne dzięki temu utrzymałem się na kierowniczym stanowisku przez następne trzynaście lat, co było ewenementem w polskich filharmoniach w tamtych czasach. A Garczyński – jeżeli się nie mylę – niebawem awansował na stanowisko sekretarza CRZZ.

Koncert w Schwerinie

W czasie studiów żaden z profesorów nie wymagał, abym uczył się partytur na pamięć. Bardzo tego żałuję, ponieważ dyrygowanie na pamięć pozwala na poświęcenie całej uwagi realizacji dzieła. Ponadto uwalnia lewą rękę od obowiązku przewracania kartek i nie zmusza do pochylania głowy nad pulpitem. Tak więc przez szereg lat nie uważałem dyrygowania na pamięć za konieczne i nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać. Obserwując dyrygentów zagranicznych i niektórych polskich, którzy na koncertach dyrygowali bez partytur, zdobyłem się wreszcie na odwagę i postanowiłem spróbować. Na pierwszy raz wybrałem utwór łatwy, krótki i wielokrotnie przeze mnie wykonywany – Mazura ze „Strasznego Dworu". Partytura wprawdzie leżała na pulpicie, ale w ogóle jej nie otworzyłem. Miałem ogromną tremę. Na szczęście wszystko poszło gładko. Zachęcony tym, postanowiłem zaryzykować i kazałem woźnemu na koncercie w czerwcu 58 zdjąć pulpit. Pamiętam tę ważną datę, ponieważ oznaczała przełamanie wieloletnich obaw. W programie po akompaniamentach były „Preludia" Liszta. Woźny zabrał z estrady pulpit z partyturą, a ja z trzęsącymi się ze strachu nogami zadyrygowałem, bynajmniej niełatwy do zapamiętania utwór. Umiałem go naprawdę dobrze, ponieważ wykonywałem go już wielokrotnie. Pokazywałem orkiestrze wszystkie tzw. wejścia i nie zapomniałem o licznych szczegółowych zmianach, które wprowadziłem do zapisu kompozytora. Od tego koncertu starałem się dyrygować w miarę możności na pamięć, przynajmniej podstawowe dzieła wielkich kompozytorów, zwłaszcza XVIII, XIX i pierwszej połowy XX wieku.

Piszę o tym, ponieważ na temat dyrygowania bez partytury krążą legendy. Podobno Hans von Bülow potrafił grać z pamięci na fortepianie całe opery Wagnera. I oczywiście tak samo dyrygował na przedstawieniach. Toscanini był prawie niewidomy i jednorazowe przejrzenie partytury utrwalało ją w pamięci jakby na fotograficznej kliszy. Podobnie fenomenalną pamięcią dysponowali inni wielcy dyrygenci. Przypuszczam, że istnieje jakaś zależność. Wspaniałą pamięć mieli wszyscy wybitni dyrygenci. Ich światowa sława nie była wynikiem ani układów politycznych czy towarzyskich ani przypadku lecz jedynie osobowości, talentu i pamięci.

We wrześniu 58 roku pojechałem do Schwerina na pierwszy zagraniczny koncert. W programie nie było solisty, a jedynie trzy utwory na samą orkiestrę. Wszystko zadyrygowałem na pamięć. Widziałem, jak byli zaskoczeni niemieccy muzycy, kiedy wchodząc przed

koncertem na estradę, nie zobaczyli pulpitu. Byłem, jak pamiętam, podwójnie przestraszony: cały program na pamięć i w dodatku na pierwszym zagranicznym występie. Wszystko się jednak udało. Orkiestra na dobrym, w sensie rzemieślniczym, niemieckim poziomie zagrała lepiej niż na jakiejkolwiek próbie. Widocznie udzielił się jej mój temperament, młodzieńcza pasja i odbiegająca od standardowej, moja własna interpretacja. Miałem największe jak dotąd powodzenie. Liczyłem, ile razy musiałem wychodzić na estradę po zakończeniu IX symfonii Dvoraka, która zamykała koncert – siedem! „Rozgrzałem" niemiecką publiczność w prowincjonalnym mieście. To był prawdziwy sukces.

Po koncercie dyrektor tamtejszej orkiestry zaprosił mnie na kolację. Przez cały okres mojego pobytu w Schwerinie był miły i gościnny. Teraz, po koncercie, miał wyraźnie złą minę; jego gratulacje były krótkie i zdawkowe. Przy kolacji siedział milczący i ani razu nie próbował się uśmiechnąć. Domyślałem się, że zazdrości mi powodzenia. Przypuszczalnie był po prostu kiepskim dyrygentem. W pewnym momencie nie wytrzymał i ni stąd ni zowąd powiedział ze złością:

- Nie można tak dyrygować Dvoraka. Jego symfonie są jak symfonie Brahmsa.

Ten niespodziewany wybuch zaskoczył mnie i w pierwszej chwili nie wiedziałem, jak zareagować. Szybko jednak odzyskałem kontenans i odpowiedziałem – jak pamiętam – ze złośliwym uśmiechem:

- Pan, niemiecki dyrygent, najlepiej wie, że Dvorak to nie Brahms. Jakości jego muzyki nie można porównywać z genialnością muzyki Brahmsa.

Nie odpowiedział i kolacja szybko dobiegła końca. Sukces w Schwerinie bardzo mi pomógł. Zyskałem na pewności siebie. Przestałem przejmować się niezbyt pochlebnymi recenzjami w różnych polskich miastach. Moja interpretacja znanych utworów znacznie odbiegała od tradycyjnych wzorów. Tego na ogół nie tolerowali recenzenci. Dobrych recenzji miałem zawsze mniej niż złych. Zwłaszcza w Polsce. Z zagranicy przywoziłem przeważnie pochlebne. Najbardziej podobałem się publiczności, następnie solistom, potem muzykom orkiestrowym, a najmniej recenzentom. Dlaczego – nie wiem.

W grudniu po raz pierwszy zadyrygowałem IX symfonię Beethovena. Przez minione osiem lat prowadziłem wszystkie inne symfonie (V i VII po kilka razy) z wyjątkiem IX. I nie wiem, dlaczego – także I. IX po prostu się bałem. Jej rozmiary, skomplikowana budowa i fama o ogromie problemów wykonawczych po prostu mnie odstraszały. No, ale wreszcie przemogłem lęk. Nie pamiętam tego wykonania, domyślam się zatem, że nie było dobre. Prawdopodobnie trudność tej muzyki jeszcze mnie przerastała. Sama czynność dyrygowania dla zawodowego muzyka jest w zasadzie łatwa. Ale zbudowanie architektoniki dzieła według własnej koncepcji jest niezwykle trudne. Można by ująć to lapidarnie: dyrygować jest łatwiej niż grać, ale dobrze dyrygować jest trudniej niż dobrze grać. Dlatego na świecie jest o wiele mniej wielkich dyrygentów niż wielkich solistów.

Następne lata

Lata 1959 i 1960 były naprawdę pracowite. Miałem sporo koncertów zarówno w Szczecinie jak i w innych miastach. Stopniowo rozszerzałem swój repertuar i coraz to nowe dzieła dyrygowałem na pamięć. Solistami byli zarówno znani instrumentaliści i wokaliści, jak i zupełnie początkujący. W roku 1960 po raz pierwszy dyrygowałem w Koszalinie. Myślę, że powstanie orkiestry w tym mieście warte jest odnotowania.

W połowie lat pięćdziesiątych nauczyciel muzyki w szkołach ogólnokształcących nazwiskiem Mucha dzięki ogromnej energii, entuzjazmowi i pracowitości zorganizował mały zespół instrumentalny. Jak mi mówiono, partię II klarnetu grał wiceprzewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, a na skrzypcach żona innego dygnitarza. Dzięki temu znalazły się pieniądze i lokal na próby. Niestety pan Mucha nie miał pojęcia o dyrygowaniu. Nie potrafił prowadzić prób, a tym bardziej koncertów. Po paru nieudanych występach, władze miejskie zwróciły się o pomoc do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Ustalono, że orkiestra zostanie przejęta przez ministerstwo, pana Muchę udekoruje się Krzyżem Zasługi i pozostawi na stanowisku dyrektora. Ale dyrygować będzie kierownik artystyczny, ktoś po studiach dyrygenckich. Ponieważ Koszalin leży blisko Szczecina, zwrócono się do mnie, abym „odstąpił" swojego asystenta, zdolnego absolwenta PWSM w Warszawie w klasie Wisłockiego. Odbyłem rozmowę z Kunickim, który wbrew moim oczekiwaniom, nie okazał entuzjazmu dla tego niespodziewanego awansu. Z pozycji asystenta „wskoczyć" prosto na stanowisko kierownika artystycznego było dla młodego dyrygenta prawdziwą szansą. Ale Kunicki nie miał – jak się okazało – dużych ambicji. Powiedział, że każdy szef musi być skurwysynem, a on się do tego nie nadaje. Po paru rozmowach udało mi się go wreszcie przekonać, aby chociaż spróbował. Obiecałem mu w razie potrzeby pomoc. Niebawem zaprosił mnie na koncert. Rzeczywiście orkiestra była bardzo słaba, ale muzycy naprawdę się starali. Niestety nie zauważyłem u Kunickiego najmniejszego nawet zapału. Był ze wszystkiego niezadowolony. Narzekał na władze, publiczność, muzyków. Nie była to postawa rokująca dobrze na przyszłość. I rzeczywiście, po paru miesiącach Kunicki wrócił do Szczecina na poprzednią posadę asystenta. Kto objął po nim stanowisko w Koszalinie – nie pamiętam. Ale był coraz bardziej zgorzkniały i orkiestra niechętnie z nim pracowała.

Pewnego dnia zjawił się u mnie w gabinecie i z ponurą miną prosił o zwolnienie. Powiedział, że wyjeżdża do Gdańska i definitywnie rzuca dyrygowanie. Ponieważ jego starszy brat jest oficerem marynarki handlowej, on również ma zamiar poświęcić się służbie na morzu. Zapisze się na kurs i zostanie radiotelegrafistą. Osłupiałem. Rzucić po kilkunastu latach nauki zawód muzyka, aby zostać telegrafistą na statku? To się nie mieściło w mojej głowie. Oczywiście zwolniłem Kunickiego i straciłem z nim wszelki kontakt. Słyszałem potem plotki o jego dalszych losach, ale nie będę ich przytaczał. Ciekawe jak potoczyło się naprawdę jego dalsze życie i przede wszystkim czy znalazł zadowolenia w nowym zawodzie.

Podaję historię Kunickiego jako przykład człowieka niedostosowanego do zawodu dyrygenta. A może w ogóle do życia? Jeszcze tylko raz spotkałem się z podobnym przypadkiem. Zaangażowałem na etat młodego pianistę z Krakowa, Karola Tarnowskiego. Nie wiem czy pochodził z „tej" rodziny Tarnowskich, ale był kulturalny, oczytany i miał szerokie, pozamuzyczne zainteresowania. Ukończył studia pianistyczne i zapowiadał się na solistę. Niemal codziennie czekał aż skończę biurową pracę i odprowadzał mnie do domu. Po drodze dyskutowaliśmy na różne tematy. Dobrze pamiętam jedną dyskusję, w której po moim sformułowaniu, że „miernikiem wartości człowieka jest jego działalność dla społeczeństwa", Tarnowski wytknął mi niedookreśloność tego zdania. Inaczej rzecz ujmując – brak precyzji. Domagał się uściślenia: jaka działalność, działalność w jakim celu, z jakich pobudek. Bardzo mi się podobał jego jasny sposób myślenia, wyjątkowy zwłaszcza u młodego, dwudziestoparoletniego człowieka. Tarnowski pracował nie więcej niż parę miesięcy. Pewnego dnia oświadczył, że rezygnuje z etatu i wraca do Krakowa. Ponieważ nie powiedział, jakie są przyczyny jego decyzji – zgodnie z moim zwyczajem

nie zadawałem pytań. Po pewnym czasie dowiedziałem się przypadkowo od krakowskich muzyków, że Tarnowski studiuje filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nawet mnie to specjalnie nie zaskoczyło. A później wpadł mi w ręce esej Karla Jaspersa (chyba ten znany – o odpowiedzialności) w tłumaczeniu Karola Tarnowskiego. Potem już nigdy o nim nie słyszałem i nie wiem czy skończył studia filozoficzne i czy wybrał drogę naukową.

Do spraw wartych odnotowania należy kolejny „rozdział" mojej niedoszłej służby wojskowej. Ponieważ w Krakowie i Poznaniu byłem zameldowany na pobyt czasowy, moje akta leżały spokojnie w Warszawie i czekały na zakończenie studiów. Dopóki mieszkałem w stolicy, nikt do nich nie zaglądał i nie sprawdził czy uzyskałem dyplom. Po zmianie stałego miejsca zamieszkania – jak się domyślam – wojsko w Szczecinie zażądało moich dokumentów. I wówczas jakiś urzędnik zauważył, że mam nieodbytą zasadniczą służbę wojskową. Nie pamiętam czy był to rok 58 czy 59, ale wczesną jesienią otrzymałem wezwanie na komisję poborową. Nie pamiętam również czy była to RKU (Rejonowa Komenda Uzupełnień) czy WKU (Wojskowa Komenda Uzupełnień), czy może jeszcze jakiś inny skrót. Byłem przekonany, że z racji wieku (przekroczyłem bądź co bądź trzydziestkę) oraz zajmowanego kierowniczego stanowiska, zostanę przeniesiony do rezerwy. Poszedłem zatem spokojnie na wyznaczoną godzinę, ale kiedy stanąłem przed stołem komisji, jej przewodniczący w stopniu pułkownika rzekł krótko, „po wojskowemu":

- Wymigiwaliście się od służby wojskowej. Teraz wreszcie pójdziecie. Jutro o ósmej rano dostaniecie skierowanie i bilet do jednostki.

Zaprotestowałem. Powiedziałem, że nie mogę odbyć teraz żadnej służby wojskowej, bo za parę tygodni rozpoczynam sezon i muszę dyrygować koncertem inauguracyjnym. Pułkownik popatrzył na mnie drwiąco i rzekł:

- Jak odbędziecie służbę w wojsku, to orkiestra będzie grała równiej.

Wyszedłem wściekły i po przyjściu do filharmonii, zatelefonowałem do I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Kiedy przedstawiłem sprawę, powiedział:

- Nie denerwujcie się, towarzyszu dyrektorze. Sprawa będzie załatwiona. Możecie jutro spokojnie iść na komisję.

Poszedłem. Kiedy pojawiłem się w drzwiach, na mój widok pułkownik dosłownie zerwał się na nogi, obiegł stół komisji i wyszedł śpiesznie na moje spotkanie, mówiąc z uśmiechem:

- Ależ to jakieś nieporozumienie, towarzyszu dyrektorze! My tylko chcemy dać wam nową książeczkę wojskową!

I rzeczywiście, na miejsce zabranej poprzedniego dnia starej książeczki, otrzymałem nową. Z wpisem: „przeniesiony do rezerwy". A o moich następnych kontaktach z wojskiem napiszę później.

Sprawy domowe

Przegrałem proces rozwodowy. Tzw. moralność socjalistyczna uważała rodzinę za podstawową komórkę społeczną i sądy niechętnie orzekały rozwody. Jednym z kryteriów uzyskania był „trwały rozkład pożycia małżeńskiego". W moim przypadku nie można się było na ten zapis powoływać; zbyt krótki okres czasu od rozstania. Wybiegnę nieco w przyszłość, aby zapisać, że po pięciu latach ponownie wystąpiłem o rozwód. Przegrałem. Po dziesięciu jeszcze raz. Znowu przegrałem. Musiały minąć jeszcze dwa lata, w czasie

których Sąd Najwyższy orzekł nareszcie, że winny rozpadu małżeństwa może otrzymać rozwód, jeżeli nie istnieją realne warunki pogodzenia się stron. Pamiętam, że na rozprawie moja pierwsza żona oświadczyła dramatycznym głosem:

- Tutaj jest jego dom! My go kochamy! Niech wraca!

Zabrałem głos i wygłosiłem dłuższe przemówienie:

- Proszę Wysokiego Sądu, jak wiadomo wojna rozdzieliła setki i tysiące małżeństw. Po zakończeniu stęsknieni małżonkowie próbowali znowu żyć razem. Okazało się jednak, że pięć lat życia w odosobnieniu, w odmiennych warunkach uniemożliwiły wspólne życie. Były to prawdziwe tragedie, bo ci ludzie przecież się kochali. W moim przypadku minęło 12 lat i nie łączyło nas już żadne uczucie poza niechęcią, a może nawet nienawiścią. Czy można sobie wyobrazić, że wrócę i będziemy żyli jak dawniej? Przecież to niemożliwe z punktu widzenia psychologii.

Na szczęście sędzina była melomanką i jak się dowiedziałem nieoficjalnie, chodziła na moje koncerty w Warszawie i Świnoujściu. Orzekła rozwód. Po 12 latach odzyskałem wolność i mogłem wreszcie ożenić się z kobietą, która była moją towarzyszką. Ale mój przypadek nie stanowił rekordu. Znajomy kapitan żeglugi wielkiej, weteran ostatniej wojny, nie mógł dostać rozwodu przez 18 lat! Dzieci były już dorosłe, mieszkały osobno, miały własne życie, a żona nadal nie zgadzała się na rozwód, argumentując, że straciła zdrowie z jego powodu. Na szczęście to samo orzeczenie Sądu Najwyższego, które mnie pomogło, wyzwoliło i kapitana.

Cofnę się teraz do roku 60. Bożenna, zmęczona swoją sytuacją żony nie – żony, załatwiła sobie pracę. Poprzednio była urzędniczką w Ministerstwie Kultury i Sztuki; teraz zaczęła pracować w Polskiej Żegludze Morskiej. Po paru latach przeniosła się do szczecińskiego oddziału Polskich Linii Oceanicznych w Gdyni. Podjęcie przez nią pracy spowodowało konieczność zapewnienia nam pomocy domowej. Zatrudniliśmy zatem tzw. dochodzącą gosposię. Nie mieszkała z nami, nie wyobrażałem sobie obcej osoby we własnym mieszkaniu. Do dzisiaj zresztą nie mogę sobie tego wyobrazić. Przychodziła rano, robiła zakupy (co w tamtych czasach nie było łatwe), sprzątała, gotowała, prała (nie było jeszcze automatycznych pralek). Kiedy wracaliśmy po pracy, jadła z nami obiad, zmywała naczynia i wychodziła. Była to emerytka, cicha, spokojna, czysta i niewymagająca. Nie uznawała bitego drobiu. Kurczaki i kaczki kupowała żywe w dni targowe na rynku. Nie pytaliśmy przezornie czy zabijają je sprzedawcy czy ona sama. Woleliśmy nie wiedzieć, co zapewne było przejawem tchórzostwa. Dzięki gosposi poznałem smak czerniny. Nauczyła mnie także przyrządzania paru potraw, których przedtem nie znałem, m.in.: kaczki nadziewanej jabłkami, drożdżowej strucli z makiem, knedli ze śliwkami. Pracowała prawie do roku 1971.

Jako młody człowiek miałem na ogół znakomity sen. Napisałem „na ogół", ponieważ czasami zdarzały się wyjątki, np. nieprzespana noc po przedstawieniu „Borysa Godunowa". Zasypiałem od razu, w nocy spałem bez przerwy, a rano trzeba mnie było budzić. Z wiekiem jednak zaczęły się kłopoty. Skończyło się natychmiastowe zasypianie, a potem także straciłem tzw. kamienny, nieprzerwany sen. W parę miesięcy po objęciu stanowiska dyrektora poznałem, co to znaczy w ogóle bezsenna noc. Zamiast zasypiać wieczorem, przewracałem się z boku na bok, analizując to co wydarzyło się w pracy, planując zajęcia na następny dzień lub obmyślając tekst jakiegoś pisma czy wystąpienia na zebraniu. Z upływem lat stawało się to coraz bardziej dokuczliwe. Nie była to jeszcze bezsenność w rodzaju tych, na które cierpi wielu ludzi, np. Kafka, ale zdarzało się, że ranne wstawanie

zaczęło mi sprawiać trudność. Nie potrafiłem niestety spać w ciągu dnia. Zazdrościłem znajomym, którzy „ucinali" sobie popołudniową drzemkę. Ja, aby zasnąć musiałem mieć ciemność i ciszę. Starałem się unikać nocnych podróży, gdyż nawet w wagonie sypialnym nie mogłem zasnąć. Zatykałem sobie uszy woskowymi kulkami i brałem nasenne pastylki. Niewiele to pomagało w trzeszczącym i szarpiącym wagonie. Kawy nie piłem już od wielu lat, herbatę także wyeliminowałem. Namawiano mnie, abym brał nasenne pastylki nie tylko do podróży, ale stale. Odmawiałem, argumentując, że będzie to prowadziło do uzależnienia. Wolałem męczyć się w czasie nieprzespanych nocy, a potem walczyć z sennością w ciągu dnia, niż wpaść w tzw. lekomanię. Po kilkudziesięciu latach tych zmagań nie wiem, kto miał rację: moi znajomi czy ja.

I jeszcze jedno wspomnienie warte odnotowania. W tamtych latach ruch wydawniczy zwiększył się do niespotykanych przedtem rozmiarów. Zaczęto wydawać coraz więcej książek, dotąd zakazanych. Zastosowano znakomitą – moim zdaniem – taktykę. Publikując książki niezgodne z marksizmem lub oficjalną linią partii, opatrywano je przedmową lub posłowiem, w którym wyjaśniano, że „… wprawdzie autor prezentuje błędne (niesłuszne, reakcyjne itd.) stanowisko, ale warto je poznać jako charakterystyczne dla określonej grupy imperialistycznych naukowców (polityków, dziennikarzy itd.)". Pozwalało to na uśpienie czujności cenzury. Podobny sposób zastosowano przy wydawaniu periodyku o tytule „Dokumentacja Prasowa", w której drukowano wyłącznie przedruki z prasy zagranicznej. Dzięki temu np. mogłem przeczytać teksty oryginalnych not w czasie tzw. kryzysu kubańskiego w październiku 62 roku. Pamiętam kolejność oświadczeń Chruszczowa: „Na Kubie nie ma żadnych urządzeń rakietowych", „Owszem, buduje się wyrzutnie, ale bez rakiet", „Zgoda, wywieziemy rakiety". Była to pierwsza tak wielka kompromitacja ZSRR. A w oficjalnych mediach oczywiście całą sprawę, grożącą wybuchem III wojny światowej, początkowo przemilczano, a potem skwitowano lakonicznymi komunikatami o zakończeniu konfliktu.

Kontynuacją „Dokumentacji Prasowej" stał się tygodnik „Forum". Zawdzięczam mu możliwość korzystania z artykułów nie tylko o bieżących wydarzeniach na świecie lecz także o najnowszych odkryciach naukowych i kierunkach filozoficznych, niezgodnych z obowiązującą w obozie socjalistycznym ideologią.

Na zakończenie chciałbym przytoczyć nazwisko jednego z tłumaczy, ponieważ występowało częściej niż inne i dlatego być może je zapamiętałem. Nie wiem, jaka była specjalność naukowa Stefana Amsterdamskiego, tłumacza wielu książek oraz autora przedmów i komentarzy. Jestem pewien, że warto ocalić od zapomnienia jego nazwisko.

Rozdział XXIV

SZCZECIN (II)

Podróż do Izraela

W kwietniu 60 roku miałem koncert w Bydgoszczy. Jak to zwykle bywa, utwory orkiestrowe podaje dyrygent. Tym razem była to V symfonia Czajkowskiego. Z wcześniejszej korespondencji natomiast dowiedziałem się, że solistą będzie altowiolista izraelski Oedon Partosh, który wykona z orkiestrą dwie swoje kompozycje. Partytury otrzymałem pocztą, abym mógł się ich nauczyć. Partosh miał w Polsce cykl koncertów, zarówno symfonicznych jak i recitali. Towarzyszyła mu żona i pianista-akompaniator. Partosh był starszym panem, utykającym wyraźnie na jedną nogę. Całą trójkę cechowała duża kultura, co znakomicie ułatwiało współpracę. Utwory Partosha stanowiły przykład bardzo interesującego połączenia nowoczesności ze starohebrajskimi psalmami.

Na koncert przyjechał z Warszawy ambasador Izraela z żoną i attaché kulturalnym. Pochodził z Wilna i mówił płynnie po polsku. Po koncercie gratulował mi wykonania symfonii i zapytał czy byłbym zainteresowany występem w Izraelu. Oczywiście potwierdziłem. Wyjaśnił wówczas, że nie może mi obiecać niczego na pewno, ale poczyni w tym kierunku starania kanałem dyplomatycznym. Dowiedziałem się od ambasadora, że w Izraelu są dwie zawodowe orkiestry: Filharmonia w Tel-Awiwie o statusie spółdzielczym i państwowa Radia Izraelskiego w Jerozolimie. Telawiwska Filharmonia otrzymuje od państwa tylko 10% kosztów działalności; pozostałe 90% musi sama wypracować, dając koncerty we wszystkich większych miastach Izraela i odbywając dochodowe tournée koncertowe po świecie. Natomiast orkiestra w Jerozolimie była całkowicie na utrzymaniu państwowego Radia Izrael i dlatego ambasador mógł podjąć próby załatwienia dla mnie koncertu. Tym bardziej, że dyrektorem Radia był polski Żyd. Podziękowałem ambasadorowi, choć, mówiąc szczerze, nie bardzo wierzyłem w spełnienie jego słów. Tego rodzaju kurtuazyjne obietnice składane przy okazji gratulacji po koncercie rzadko kiedy doczekują się realizacji.

Po koncercie zjawiło się także kilka osób z przewodniczącym bydgoskiego Towarzystwa Społeczno - Kulturalnego Żydów i zaprosiło mnie oraz dyrektora filharmonii na kolację do ich siedziby. Było naprawdę przyjemnie. Wówczas po raz pierwszy i niestety ostatni jadłem karpia po żydowsku oraz tradycyjny drożdżowy placek z kruszonką. Bardzo mi smakowały. Na pożegnanie ambasador jeszcze raz ponowił obietnicę zaproszenia mnie na koncert do Izraela, a ja – przyznaję – szybko o niej zapomniałem. Minął chyba rok, kiedy niespodziewanie ambasador zatelefonował do filharmonii, informując mnie, że otrzymam z Radia Izraelskiego oficjalne zaproszenie na prowadzenie dwóch koncertów w Jerozolimie wiosną 62 roku. Było to dla mnie prawdziwe, choć zarazem przyjemne zaskoczenie. Potem sprawę przejęła Polska Agencja Artystyczna, zwana w skrócie „Pagartem". Niebawem okazało się, że będę miał na wiosnę mnóstwo koncertów: jak zacznę dyrygować na

początku kwietnia, to skończę dopiero w czerwcu. Próby, koncerty i podróże wypełnią niemal bez przerwy dwa miesiące. Po koncertach w Krakowie i Szczecinie pojechałem do Warszawy, aby wziąć z „Pagartu" paszport i bilet do Sofii. Zatrzymałem się na jedną dobę u matki. Ambasador zaprosił mnie przed wyjazdem na spotkanie. Przysłał samochód, który zawiózł mnie do siedziby ambasady Izraela. Wówczas to po raz pierwszy jechałem czarnym luksusowym „Mercedesem", co w tych wspomnieniach odnotowuję. Oczywiście po spotkaniu, zostałem odwieziony do domu, w którym mieszkała matka. Następnego dnia poleciałem do Sofii, a po koncercie w Płowdiw do Izraela. Stamtąd z powrotem na koncerty w Warszawie.

Spróbuję teraz zrelacjonować pobyt w Bułgarii i Izraelu, ponieważ dostarczyły mi ogromną ilość materiału do przemyśleń, a także niezapomnianych wrażeń. Orkiestra w Płowdiw niezbyt dobra, z „Patetyczną" były kłopoty, zwłaszcza w III części. Bardzo mi pomagał koncertmistrz, który znał trochę język niemiecki. Jak mówił, pochodził z rodziny armeńskich muzułmanów. Miał ładną żonę, tancerkę w balecie tamtejszej opery. Opowiedział mi, że zawozi ją i przywozi na każdą próbę i przedstawienie. Na moje pytanie, dlaczego to robi, odpowiedział enigmatycznie, że „mąż musi pilnować żony". Był zdziwiony, że zostawiłem swoją żonę samą na kilka tygodni. „A skąd pan wie, co ona tam teraz robi?" – dopytywał się raz po raz. Nie mógł pojąć, że nie traktuję żony jako swojej własności. Pewnego popołudnia zabrał mnie i oczywiście swoją żonę na wycieczkę do jakiegoś klasztoru w górach. Były tam niezwykle piękne malowidła ścienne sprzed kilkuset lat. Biedna żona koncertmistrza, nie znając żadnego obcego języka, przez całą parogodzinną wycieczkę, nie odezwała się ani razu. Ale musiała towarzyszyć mężowi – panu i władcy. Był to mój pierwszy kontakt z obyczajowością islamu.

Z Płowdiw poleciałem do Sofii, a następnie do Aten. Po pewnych perturbacjach, które opiszę w osobnym rozdziale o podróżach, dostałem się do Tel-Awiwu. Stamtąd samochodem zabrano mnie do Jerozolimy. Orkiestra radiowa, w której było sporo Żydów z Polski, okazała się bardzo słaba. Szczególnie dużo problemów miałem z przygotowaniem drugiego koncertu, w programie którego znajdowała się I symfonia Szostakowicza. Jest to utwór, który można byłoby uznać za wirtuozowski dla orkiestry. Ale wszystkie kłopoty muzyczne bladły przy możliwościach zwiedzania Jerozolimy. Wprawdzie była wówczas podzielona i niektóre ulice znajdowały się pod ostrzałem, co ograniczało zwiedzanie. Jednak samo spacerowanie po tysiącletnim świętym mieście trzech religii było czymś wzruszającym. Oczywiście w sobotę, ku mojemu zdziwieniu, wszystko w Jerozolimie było nieczynne: kina, teatry, sklepy, restauracje i transport miejski. Oczywiście próby również nie miałem. Czynne były restauracje w hotelach, ale jedynie dla gości hotelowych. Jeden z polskich Żydów, grający w orkiestrze, któremu zwierzyłem się, że szkoda mi wolnego dnia bez możliwości zwiedzania, powiedział:

- Wprawdzie w sobotę taksówki także nie jeżdżą, ale są „grzeszni taksówkarze", którzy za podwójną opłatą zawiozą pana do ciekawych miejsc.

Zgodziłem się, a on umówił mnie z takim „grzesznym taksówkarzem". Rzeczywiście jezdnie były puste, a pobożni Żydzi wolno spacerowali po chodnikach. Zdarzyło się jednak kilka razy, że za moją taksówką rzucano kamieniami. Ale ja mogłem zobaczyć dwa czy trzy obiekty sprzed paru tysięcy lat. To wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie różnicę między Palestyną a np. Polską.

U nas coś, co ma 1000 lat jest bardzo stare, a tutaj – młode. W Palestynie starożytność zaczyna się liczyć od dwóch tysięcy lat wstecz.

Na oba koncerty, oddzielone tygodniem prób, przyjechał z Tel-Awiwu ambasador Polski. Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach stosunki polsko-izraelskie były raczej chłodne, ponieważ musieliśmy popierać Arabów w ich „antyimperialistycznej walce". Dlatego pracownicy naszej ambasady cieszyli się z każdej możliwości uczestniczenia w prezentacji polskiej kultury. Po drugim koncercie ambasador zabrał mnie do Tel-Awiwu i do wyjazdu z Izraela umieścił na parę dni w tzw. mieszkaniu kurierskim. Użyczył mi także samochodu z kierowcą i dzięki temu mogłem pojechać do Nazaretu. Była to niezapomniana wycieczka. Obejrzałem grotę, w której według legendy mieszkał Jezus jako dziecko. Zobaczyłem źródło Miriam, nazwane tak gdyż podobno Matka Boska czerpała z niego wodę. Legendy – legendami, ale było pewne, że przed tysiącami lat ktoś mieszkał w takiej grocie i ktoś czerpał wodę z tego samego źródła. Było to jakby bezpośrednie „dotknięcie" początków naszej kultury, która wywodzi się – czy to się komuś podoba czy nie – ze Wschodu. Z Mezopotamii, Egiptu, Palestyny.

I jeszcze jedno, tym razem komiczne, wspomnienie. Ambasador po zakwaterowaniu mnie w mieszkaniu kurierskim, objaśnił, że jeżeli następnego dnia chcę przyjść do niego, powinienem pytać o aleję Allenbyego, przy której mieściła się większość ambasad. Rano po zjedzeniu corn-flakesów z mlekiem, wyszedłem na ulicę. Okazało się, że budynek, w którym nocowałem, położony był przy szerokiej ulicy. Po paru minutach marszu, zobaczyłem idącego z przeciwka starego Izraelczyka. Nie będąc pewny czy zmierzam we właściwym kierunku, postanowiłem zapytać o aleję Allenbyego. Na moje pytanie po angielsku Izraelczyk rozłożył bezradnie ręce. Ponowiłem pytanie, tym razem po niemiecku, pamiętając, że język Żydów europejskich tzw. jidysz powstał w średniowieczu nad Renem i wywodzi się z niemieckiego. Ten sam ruch. Powiedziałem „sorry" i ruszyłem w dalszą drogę. Zaledwie zrobiłem parę kroków, usłyszałem nagle wołanie z charakterystycznym akcentem:

- A nie mówi pan przypadkiem po polsku?

Odwróciłem się uradowany ze słowami:

- Oczywiście, że mówię.

Usłyszałem wówczas:

- To czemu od razu nie pytał się pan po naszemu?

Był to jedyny przypadek w moim życiu, kiedy język polski okazał się bardziej międzynarodowy niż angielski. Ambasador, kiedy mu opowiedziałem o tym zdarzeniu, powiedział, że na 300 000 mieszkańców Tel-Awiwu podobno jedna trzecia pochodzi z Polski. A dzień później w Nazarecie poszedłem do małego sklepiku, aby kupić sobie jakieś pamiątki. Sprzedawca, stary Arab, czy jak kto woli – Palestyńczyk, rozmawiał ze mną po polsku. Na moje pytanie skąd zna ten język, odpowiedział, że nauczył się od polskich żołnierzy z armii Andersa. A właścicielka sklepu w Tel-Awiwie, gdzie kupiłem sobie lekkie tropikalne spodnie, również mówiąca po polsku, wyjaśniła, że pochodzi z Wiednia, a języka polskiego nauczyła się dopiero w Izraelu. I dodała:

- Aby w Tel-Awiwie handlować, trzeba znać polski.

Powrotna podróż

Chcąc wykorzystać parę dni przerwy pomiędzy zakończeniem pobytu w Izraelu a pierwszą, poniedziałkową próbą w Filharmonii Narodowej, postanowiłem do Aten pojechać statkiem, a dopiero stamtąd polecieć samolotem do Warszawy. Był to mały turystyczny stateczek, niezbyt luksusowy, ale za to tani. Wypłynął z Hajfy – o ile się nie mylę – w czwartek na noc. W piątek rano przybił do portu w Famaguście. Motorówkami przewieziono pasażerów na ląd, gdzie zwiedziliśmy starożytny amfiteatr. Przez te parę godzin pobytu na Cyprze nie mogłem zapomnieć, że znajduję się na wyspie Afrodyty, ponieważ według legendy tutaj wyłoniła się z morskiej piany. W sobotę zatrzymaliśmy się na Rodos. Zamek krzyżowców wywiera ogromne wrażenie, a wąskie uliczki orientalnego miasta mają niepowtarzalny urok. W niedzielę wczesnym rankiem podróż zakończyła się w Pireusie. Funkcjonariusz greckiej straży granicznej podejrzliwie oglądał mój paszport. Wreszcie zapytał, jaki mam zawód, nie bardzo wiedziałem dlaczego. Kiedy odpowiedziałem „conductor", spojrzał na mnie jeszcze podejrzliwiej. Zorientowałem się, że zapewne słabo zna angielski i z takim słowem nigdy się dotąd w porcie nie spotkał. Powiedziałem zatem „chef d´orchestre". Zrozumiał, uśmiechnął się i oddał mi ostemplowany paszport. Wskoczyłem w pierwszą z brzegu taksówkę i pojechałem do biura „Lotu" w Atenach. Tam nastąpiły komplikacje, o których osobno napiszę. Zostawiłem w biurze „Lotu" walizkę i teczkę, złapałem taksówkę i pojechałem na Akropol.

Od dzieciństwa marzyłem o tym miejscu. Znałem na pamięć nazwy świątyń oraz ich układ. Kiedy wspinałem się na wzgórze, byłem naprawdę wzruszony. Za chwilę miałem zobaczyć ucieleśnione marzenie. Nie jestem poetą i nie potrafię niestety wyrazić słowami tego, co wtedy czułem. Było to jedno z najpiękniejszych przeżyć mojego życia. Kiedy teraz, po czterdziestu paru latach zamknę oczy, widzę dokładnie białe, lśniące w słońcu marmurowe kolumny, cudowne proporcje każdego budynku i niewiarygodne piękno całego Akropolu. W pewnym momencie poczułem łzy w oczach. Nie mogłem się powstrzymać. Dotykałem palcami kolumn Partenonu, a głośno gadający, śmiejący się i nawołujący turyści amerykańscy patrzyli na mnie ze zdziwieniem. Kim może być samotny młody mężczyzna bez aparatu fotograficznego, płaczący i dotykający delikatnie chropowatej powierzchni kolumny?

Na Akropolu spędziłem zaledwie godzinę. Około południa miałem samolot do Warszawy. Wieczorem byłem już w hotelu.

Kiedyś w wywiadzie powiedziałem: nie zbieram pieniędzy, zaszczytów, medali. Zbieram przeżycia. Nikt mi ich nie może odebrać. W różnych podróżach starałem się jak najwięcej zobaczyć, zwiedzić, poznać. Przeżycia były najrozmaitsze. Przy oglądaniu Nike Samotrackiej i czytaniu wierszy Leśmiana, przy wpływaniu wieczorem do portu w Hong-Kongu i słuchaniu gry Heifetza. A także w Atenach, Nazarecie, Rzymie, Wenecji i jeszcze paru miastach. Przy czytaniu poezji, słuchaniu muzyki, w teatrze, przed obrazami, zwiedzaniu katedr i oglądaniu wielu, wielu innych dzieł ludzkiego geniuszu. Nie sposób wymienić wszystkich. A przecież jeszcze pozostaje piękno natury: oceany, góry, wodospady, ptaki, motyle, kwiaty. One także dostarczyły mi głębokich, niezapomnianych przeżyć. Nawet teraz, kiedy wiek i choroby utrudniają codzienną egzystencję, nic i nikt nie może odebrać mi moich przeżyć. I mam nadzieję, że zdążę jeszcze pomnożyć te najwspanialsze i najbardziej własne skarby, jakim są przeżycia.

Koncerty w NRD

Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy została nawiązana wymiana kulturalna pomiędzy Szczecinem a Neubrandenburgiem. Być może dopiero po moim przyjeździe. W każdym razie pierwszy koncert naszej orkiestry odbył się w czerwcu 61 roku w Neustrelitz. Nie mogę sobie również przypomnieć, w którym z tych dwóch miast: Neustrelitz czy Neubrandenburg znajdowały się władze okręgu. Nie było to zresztą istotne dla nas. Koncerty dawaliśmy w obu miastach. Orkiestra symfoniczna miała swoją siedzibę w Neustrelitz. Była mniejsza i słabsza od szczecińskiej. Współpraca polegała na wymianie orkiestr lub dyrygentów. Dla muzyków była to okazja, w tamtych czasach jedyna, do wyjazdu za granicę i kupienia za zaoszczędzone diety produktów, których brakowało we własnym kraju. Czasem przybierało to zabawne formy. Polacy kupowali głównie tzw. Złote krople (Golden Tropfen), które podobno pomagały przy leczeniu rozmaitych dolegliwości. A także szminki i lakier do paznokci, kiepskiej jakości, ale za to tanie. Niemcy natomiast nabywali duże ilości kremu Nivea, którego w NRD – nie wiem, dlaczego – w ogóle nie było. Oraz prawdziwą kawę, bardzo u nich drogą. Dzisiaj brzmi to zabawnie, ale wówczas przy niezrozumiałych dziwactwach dystrybucji, okresowych brakach i niemożliwych do wyjaśnienia relacjach cenowych – nigdy nie było wiadomo, co należy kupować. Ja sam, już znacznie później, w latach osiemdziesiątych kupowałem w NRD bieliznę dla dziecka, nici, igły czy gumę do majtek. A także ołówki, gumki, temperówki, które u nas wprawdzie były, ale wręcz skandalicznej jakości. Współpraca Szczecina z Neubrandenburgiem miała charakter wymiany politycznej. Dlatego korzystaliśmy ze specjalnego przejścia granicznego, niedostępnego dla zwykłych ludzi. W ślad za naszymi autobusami jechały samochody straży granicznej i urzędu celnego. Wąską szosą dojeżdżaliśmy do całkiem pustej granicy, na której stała tylko mała budka. Tak samo po stronie niemieckiej. Do tego dwa szlabany i pas zagrabionego piasku. O oznaczonej godzinie od strony niemieckiej nadjeżdżał samochód z ich funkcjonariuszami. Sprawdzano paszporty i bez specjalnej kontroli celnej przejeżdżaliśmy granicę. Podobnie było w drodze powrotnej. Raz tylko zdarzyła się rewizja. A było to tak. I klarnecista, pan w średnim wieku, dobry instrumentalista i nienaganny pracownik – znał język niemiecki. Postanowił tę umiejętność wykorzystać i przed kolejnym wyjazdem do Neustrelitz zakupił sporą ilość kremów Nivea i… prezerwatyw. W hotelu znał już z poprzednich bytności sprzątaczki i rozpoczął „handel". Kremy sprzedał, ale – jak przypuszczałem – przy prezerwatywach któraś ze sprzątaczek przestraszyła się (może były zakazane w NRD?) i doniosła. Do jakiego urzędu – oczywiście nigdy się nie dowiedziałem. Niemcy przekazali mi o tym poufną informację i ostrzegli, że jeżeli muzycy nie przerwą handlowania, wkroczy policja. Oczywiście powiedziałem o tym natychmiast orkiestrze. Byłem przekonany, że sprawa się zakończy. Kiedy jednak w drodze powrotnej zbliżaliśmy się do granicy, Niemcy zatrzymali nas przy jakimś urzędzie i kazali wysiąść z autobusu razem z bagażami. Po raz pierwszy zaczęli sprawdzać ich zawartość. I o dziwo – niczego nie znaleźli. Przeszukali autobusy. Również żadnego „przemytu". W międzyczasie przyjechali polscy celnicy i poprosili mnie na rozmowę. Okazało się, że niemiecka policja otrzymała donos, tzw. cynk, że muzycy przemycają duże ilości towaru. Ponieważ w prywatnych bagażach niczego nie znaleziono, celnicy są pewni, że przemyt znajduje się w futerałach i skrzyniach z instrumentami, które znajdują się w jadącej za nami ciężarówce, zaplombowanej zresztą jeszcze w Neustrelitz. Zapytano mnie, co o tym sądzę, ponieważ służby celne niemieckie

i polskie z powodów politycznych nie chciały sprawie nadawać rozgłosu. Musiałem podjąć szybką decyzję. Oświadczyłem, że biorę na siebie pełną odpowiedzialność i obiecuję, że sam przejrzę wszystkie skrzynie z instrumentami w Szczecinie i jeżeli znajdę jakiś przemyt – powiadomię niezwłocznie urząd celny. Moje słowa musiały brzmieć wiarygodnie, bo po krótkiej wymianie zdań pomiędzy celnikami – otrzymałem zgodę. Autobusy i ciężarówka ruszyły. Późnym wieczorem dojechaliśmy do filharmonii. Muzycy z wyjątkiem kilku rozeszli się do domów. Zapytałem, na co czekają. Zaczęli wykrętnie tłumaczyć, że mają w skrzyniach zakupione jedzenie, które może się zepsuć, a także swoje ubrania, prezenty dla dzieci itp. Powiedziałem twardo, że nikt nie będzie miał dostępu do skrzyń, dopóki sam ich nie sprawdzę. Kiedy muzycy zorientowali się, że żadne tłumaczenia i prośby nie odniosą skutku, niechętnie odeszli. Wówczas przy pomocy woźnych i w obecności kierowniczki gospodarczej, która odpowiadała za transport instrumentów, zdjęliśmy plomby i otworzyliśmy skrzynie. Niestety znaleźliśmy rozmaite produkty w ilości przekraczającej osobiste potrzeby. Nie miałem wątpliwości, że przeznaczone były na handel. Zamknęliśmy wszystko do magazynu.

Następnego dnia rano zgodnie z danym słowem zatelefonowałem do urzędu celnego. Kierownik podziękował i obiecał, że nie nada sprawie żadnego biegu, a skonfiskowany towar przekaże zgodnie z prawem do sieci handlowej. Uzyskane w ten sposób kwoty otrzymają domy dziecka. Niebawem przyszedł do mnie jeden z muzyków i domagał się wydania mu zakupionych dla chorej matki „Złotych kropli". Powiedziałem mu, że buteleczek z kroplami było tyle, że starczyłoby dla połowy miasta. Oczywiście przesadziłem, ale zdenerwowała mnie bezczelność żądania. Muzyk zmienił ton; przestał się domagać, a zaczął prosić. Pamiętam, że dałem mu jedną czy dwie buteleczki. Może rzeczywiście poza handlem, potrzebował tych kropli także dla matki?

Poza koncertami w ramach współpracy, jeździłem także na indywidualne występy do różnych miast NRD. Byłem m.in. w Halle i Weimarze. Dyrygując w pierwszym z tych miast, miałem świadomość, że to właśnie tutaj urodził się Haendel, tutaj się uczył i przez szereg lat pracował. Poszedłem do katedry, w której był organistą i chodziłem po ulicach, które on również przemierzał. To są właśnie te wzruszające przeżycia, o których pisałem. Jeszcze większe wrażenie wywarł na mnie Weimar. Od lat marzyłem, aby zobaczyć miasto, w którym Goethe spędził niemal całe życie. Tutaj – jak wiadomo napisał „Fausta" i w teatrze wystawiał opery Glucka i Mozarta. Zwiedziłem oczywiście muzeum znajdujące się w jego domu i podziwiałem rysunki i akwarele świadczące o prawdziwym talencie malarskim. Oglądałem zbiory kryształów, które sprawiły, że powstała nowa gałąź wiedzy – krystalografia. Muzycy ze znakomitej orkiestry (Staatskapele Weimar) pokazywali mi inne miejsca związane z Goethem. M.in. pawilon w parku pałacowym, w którym poeta spotykał się nocami z księżną panią, żoną swojego pracodawcy. Aby nie zostać złapanym na tych schadzkach, kazał w murze okalającym park wybić małą furtkę, którą dostawał się bezpośrednio ze swojego domu do pawilonu. Oto zabawne szczególiki z życia geniusza.

W czasie pobytu w różnych miastach i podróżach pociągami, miałem okazję przekonać się o różnicach pomiędzy NRD a Polską. Stopa życiowa była niewątpliwie wyższa, jak również poziom cywilizacyjny. Sklepy lepiej zaopatrzone, obsługa sprawniejsza, stary niemiecki porządek widoczny. Ale nacisk polityczny nieporównanie cięższy. Nawet ja, obcokrajowiec, odczuwałem natrętną propagandę oraz obecność wojsk radzieckich i niemieckiej policji. Sposób zachowania Polaków był o wiele swobodniejszy niż „enerdowców". No i rzucająca się w oczy mała liczba młodzieży i dzieci. Przeważnie ludzie starsi. Domyślałem się,

że młode pokolenie wybiera przy każdej okazji Zachód. Wprawdzie istniała strzeżona pilnie granica, ale w Berlinie wystarczyło szybkie przejście z ulicy na ulicę, aby znaleźć się w NRF (Niemieckiej Republice Federalnej), gdyż tak początkowo nazywano RFN (Republikę Federalną Niemiec), aby ze względów politycznych podkreślić, że istnieją dwa równorzędne państwa niemieckie: Niemiecka Republika Federalna i Niemiecka Republika Demokratyczna.

A jaki był stosunek enerdowskich Niemców do Polaków? Zróżnicowany, w zależności od miejsca zamieszkania. W takich miastach jak Halle czy Weimar – życzliwy. Ale w Neustrelitz, pamiętam, obsługa hotelu żegnała nasze autobusy szyderczymi szeptami: „Begrüsse unsere deutsche Stettin" („Pozdrówcie nasz niemiecki Szczecin").

I jeszcze jedno wspomnienie z Cottbus. Pierwszego dnia po wyjściu z hotelu zauważyłem na niektórych urzędowych budynkach słowo Chociebuz. Kiedy zdziwiony zapytałem, co oznacza ta słowiańska nazwa miasta, wyjaśniono mi, że jest to celowa polityka władz NRD, chroniąca prawa mniejszości. Pokiwałem ze zrozumieniem głową, tłumiąc śmiech. Łużyczanie lub inaczej Serbołużyczanie, o czym wiedziałem z historii, byli małym plemieniem wśród Słowian Połabskich, choć trzeba przyznać, że rozwiniętym kulturowo. Poddani przez tysiące lat germanizacji stracili swoją odrębność, o której dopiero – o ile pamiętałem – zaczęli mówić w XX wieku. Byli skupieni wokół dwóch miast: Bautzen (Budziszyn) i Cottbus (Chociebuz). Według pierwszego spisu ludności NRD do łużyckiego pochodzenia przyznało się zaledwie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Przypuszczałem, że oficjalne podkreślenie odrębności Łużyczan było jedynie propagandowym chwytem władz NRD i nie miało żadnego praktycznego znaczenia. Może byłem (i jestem) niesprawiedliwy, ale nie wierzę w przyszłość takich małych grup mniejszościowych we współczesnym świecie. Pozostaną jedynie jako swoisty folklor.

Pierwsze koncerty na Zachodzie

Na skutek różnych zaproszeń udało się „Pagartowi" sklecić dla mnie na przełomie listopada i grudnia 61 tournée złożone z trzech koncertów na Zachodzie. Użyłem słowa „sklecić", ponieważ pomiędzy pierwszym a drugim była tygodniowa przerwa. Ale nie martwiłem się; wykorzystałem ją na pobyt w Paryżu. Jak już parokrotnie pisałem, w tamtych latach wyjazdy na Zachód były jeszcze rzadkością. A w szczecińskim środowisku kultury moje tournée stało się wydarzeniem. Prawdopodobnie byłem pierwszym muzykiem, który wyjechał na koncerty z zagranicznymi orkiestrami. Nic zatem dziwnego, że naczelny redaktor „Głosu Szczecińskiego" zaproponował mi przysłanie z podróży paru felietonów. Ja, znając aż nadto dobrze z pracy w filharmonii powolność poczty, wybrałem inne rozwiązanie. Wiedziałem, że stosunkowo najszybciej do rąk adresatów dochodzą z zagranicy karty pocztowe. Zaproponowałem zatem, że będę wysyłał tzw. widokówki z parozdaniowymi informacjami. Naczelny redaktor zgodził się ze mną. I rzeczywiście karty dochodziły w ciągu mniej więcej tygodnia, co na owe czasy było czymś niezwykłym. Dostąpiłem zaszczytu, że reprodukcje (nędzne) moich kart wraz z tekstem zamieszczano na pierwszej stronie gazety.

O perypetiach w podróży napiszę innym razem, a teraz zrelacjonuję wydarzenia, które uważam za warte utrwalenia. W Nancy na każdym kroku spotykałem pamiątki po Stanisławie Leszczyńskim. Poza muzeum, pomnikami, nazwami ulic i placów, także szkoły noszą jego imię. Kawę można wypić w „Cafe Stanislaus", obiad zjeść w „Restaurant chez

Stanislaus", a ciastko kupić w „Stanislaus patisserie"! Osobiście nie ceniłem Leszczyńskiego jako króla. Był za słaby na tamte czasy i błędnymi sojuszami spowodował więcej szkody niż pożytku. Ale w historii Lotaryngii zapisał się dobrze, być może dlatego, że po poprzednich burzliwych stuleciach zaprowadził spokój.

W Nancy po koncercie po raz pierwszy zjadłem ostrygi. Bardzo mi smakowały, choć większość moich znajomych na samą wzmiankę o spożywaniu żywych małży krzywi się z obrzydzeniem. Luksemburg przytłoczył mnie dosłownie bogactwem. Jak mi mówili jego mieszkańcy, w owym okresie dochód na głowę obywatela Luksemburga był jednym z najwyższych na świecie. Natomiast w Nottingham niczego nie zdążyłem zobaczyć, czego do dziś żałuję. Przyjechałem w piątek wieczorem, w sobotę miałem próbę, drugą w niedzielę i zaraz po niej koncert. Wyjechałem do Londynu w poniedziałek rano. Za to mogłem spędzić w Londynie aż trzy dni.

Orkiestra w Nancy przeciętna, w Luksemburgu bardzo dobra, a w Nottingham wręcz słaba. Według mojej oceny koncert był nieudany, choć powodzenie duże. Ale znajomy Polak przysłał mi później recenzję, wręcz entuzjastyczną. I oto wyłania się istotne pytanie: co jest istotniejsze – odczucie wykonawcy czy odbiorcy? Nie znam odpowiedzi.

W Londynie odwiedziłem najważniejsze muzea i galerie. O ile w Paryżu zobaczyć można największą chyba liczbę arcydzieł malarstwa i rzeźb, to Londyn oszałamia bogactwem wszelkiego rodzaju zabytków. Tam ze wzruszeniem obejrzałem kamień z Rosetty i największą kolekcję wspaniałych sarkofagów egipskich. Kolejne przeżycia, dalsze rozszerzenie horyzontów i pogłębienie wiedzy. Miałem list polecający, niestety zapomniałem od kogo i do kogo. Ale pamiętam, że spotkałem się z jakimś emigrantem-biznesmenem, który oprowadził mnie po City. Tam też zaprosił mnie do uroczego baru, w którym serwowano wyłącznie flaki z razowym chlebem. Otworzył go po wojnie były polski oficer i ta potrawa tak się spodobała pracownikom banków, biur, kantorów i innych przedsiębiorstw City, że obrotny oficer zbił spory majątek. Biznesmen zafundował mi bilet na koncert Royal Philharmonic Orchestra w ogromnym Albert Hallu. Dyrygował Ferenc Fricsay, solistą był Geza Anda. W programie wyłącznie dzieła Bartoka. W przerwie poszedłem za tzw. kulisy i zapytałem muzyków, ile mieli prób do tak trudnego programu. Odpowiedzieli uprzejmie, że aż trzy. Symfonie klasyczne grają na ogół po jednej próbie, romantyczne po dwóch, a dla szczególnie trudnych dzieł XX wieku poświęcają trzy. Uświadomiłem sobie wówczas, jaka przepaść dzieli najlepsze orkiestry świata od wszystkich innych. I po raz pierwszy zastanawiałem się czy kiedykolwiek będę miał szansę zadyrygować jednym z tych wspaniałych zespołów. Z rezygnacją pomyślałem, że jest to raczej mało prawdopodobne. I to nie tylko z przyczyn muzycznych.

Wracając do koncertu, to poza podziwem dla znakomicie grającej orkiestry i prowadzącym ją z bezbłędną precyzją Fricsay´em, największe wrażenie wywarł solista. Był naprawdę porywający i dzięki niemu tak skomplikowane dzieło, jak II koncert fortepianowy Bartoka stało się czytelne i przekonywujące. A mnie zachwyciło bardziej niż wykonany w drugiej części Koncert na orkiestrę. Być może nie dojrzałem jeszcze do tego dzieła. Ale i po latach bardziej mi odpowiada muzyka „Cudownego mandaryna" lub III koncertu fortepianowego.

Warto jeszcze odnotować ogólne wrażenie z Londynu. O ile od początku zachwyciłem się włoskimi miastami, Paryżem czy Weimarem, o tyle Londyn wydał mi się brzydki i brudny. Może sprawiła to pogoda. Pierwsze dni grudnia to jakby polski listopad. Pochmurnie, wietrznie, deszczowo i mgliście. I unoszący się stale w powietrzu zapach

dymu i spalin. A metro zupełnie wyjątkowo zaśmiecone. Pamiętam metro paryskie tak urządzone, że właściwie nie można się w nim zgubić. W londyńskim poruszałem się z trudem, być może dlatego, że było większe i bardziej rozbudowane. Architektura Londynu, z niewielkimi wyjątkami, również mnie nie zachwyciła. Hyde Park w deszczu nie wywarł przyjemnego wrażenia. Tak więc bez żalu opuszczałem miasto, które było kiedyś stolicą imperium i centrum handlowo-finansowym świata.

Te pierwsze koncerty na Zachodzie były dla mnie cennym doświadczeniem. Pokazały, że polskie orkiestry pomimo niskich pensji muzyków, braku instrumentów i sal nie zawsze nadających się do wykonywania muzyki symfonicznej – nie odbiegają poziomem od przeciętnych orkiestr zachodnich. Koncerty te stały się również sprawdzianem moich umiejętności dyrygenckich. Z każdą orkiestrą miałem mniejszą liczbę prób niż w Polsce. W dodatku w programach były dzieła polskich kompozytorów, całkowicie nieznane muzykom. Jeśli zatem koncerty miały powodzenie, to oznaczało, że nie jestem najgorszym dyrygentem. Jak każda podróż za granicę, również i ta stała się dla mnie okazją do poznania nowych krajów i miast, innych obyczajów i różnych ludzi. Nie licząc przeżyć estetycznych w muzeach czy na koncertach.

Filharmonia Narodowa

Mało kto dzisiaj pamięta, że aby stworzyć zespół przyszłej Filharmonii Narodowej, pozbierano wielu muzyków z innych polskich orkiestr. Ja pamiętam dobrze, że tylko z samej Filharmonii Poznańskiej zabrano 10 najlepszych instrumentalistów. Również z Krakowa przeniosła się pewna liczba. W Bydgoszczy zlikwidowano Orkiestrę Polskiego Radia, większość muzyków zasiliła orkiestrę Filharmonii Pomorskiej, która dotąd była mała i słaba. Najlepsi pojechali do Warszawy. Szefowi zlikwidowanej Orkiestry Radiowej „na otarcie łez" dano etat II dyrygenta w Filharmonii Narodowej. Muzycy otrzymywali sukcesywnie przydziały mieszkań i większość pozostała na stałe w stolicy. A że ten zabieg osłabił orkiestry prowincjonalne – nikt się w Ministerstwie Kultury i Sztuki nie przejmował. Z moich obserwacji wynika, że obie konkurujące ze sobą, najlepsze w tamtych czasach, orkiestry w Krakowie i Poznaniu, nigdy już nie odzyskały dawnego poziomu. Jako dyrygent nie mogłem nie zauważyć, że „odpływ" najlepszych, doświadczonych muzyków w grupach instrumentów dętych dawał się odczuć i na próbach i na koncertach przez długie lata.

Gmach Warszawskiej Filharmonii przy ulicy Jasnej został spalony już w 39 roku i kiedy podjęto decyzję o stworzeniu Filharmonii Narodowej, rozpoczęły się dyskusje. Jedni chcieli, aby nowy gmach powstał na zgliszczach poprzedniego, drudzy preferowali budowę zupełnie nowego i nowoczesnego obiektu, usytuowanego w innym miejscu, a nie pomiędzy wąskimi ulicami Śródmieścia. Przeważył sentyment do tradycji. Zwolennicy wysuwali jeszcze jeden argument: przedwojenna filharmonia słynęła ze znakomitej akustyki i liczono, że taka sama pozostanie po odbudowie. Odtworzono zatem starą filharmonię. Ponieważ jednak użyto innych materiałów, akustyka okazała się fatalna. Dokonywano na przestrzeni lat większych i mniejszych zmian. Na próżno, dawnej akustyki nie uzyskano.

Nie byłem na uroczystym otwarciu 21 lutego 1955 roku. Ale kiedy parę tygodni później poszedłem na koncert, nie byłem zachwycony poziomem orkiestry. Pomimo tak znacznej liczby najlepszych polskich muzyków, nie udało się jeszcze stworzyć jednolitego pod względem brzmieniowym zespołu. Stało się to dopiero po wielu miesiącach wspólnej,

ciężkiej pracy i dzięki talentowi Rowickiego.

Nie pamiętam, jaki to był dzień i miesiąc 1960 roku, kiedy Śliwiński, który był już wtedy dyrektorem Filharmonii Narodowej, zatelefonował do Szczecina i zaproponował mi koncert w dniu 7 października. Choć domyślałem się, że to prawdopodobnie jest zastępstwo, propozycję z entuzjazmem przyjąłem. Solistą miał być najsłynniejszy w tamtym czasie pianista radziecki Emil Gilels. Z tego powodu cały koncert miał być transmitowany „na żywo" przez radio. W miarę jak zbliżał się termin koncertu, moja trema rosła. Próby przebiegały pomyślnie, tym bardziej, że w orkiestrze grało wielu moich kolegów ze studiów. Do dzisiaj jeżeli mam przed koncertem wyjątkowo dużą tremę, nie bardzo rozumiem, co się wokół mnie dzieje. Dopiero później uświadamiam sobie, że wiele czynności musiałem wykonywać automatycznie. I tak właśnie czułem się owego pamiętnego piątku, 7 października 60 roku. Nawet po zakończeniu koncertu nie byłem całkowicie przytomny. Oklaski i gratulacje dochodziły do mnie jakby z oddali. Teraz, po upływie tylu lat, przypuszczam, że podobną tremę miałem jeszcze potem tylko jeden raz: 5 września 1994 roku w Paryżu.

Kiedy otrzymałem z Warszawy recenzje, nie wierzyłem własnym oczom. Jeden z najbardziej wymagających krytyków, Bohdan Pociej, nie dość że chwalił mnie jako dyrygenta i akompaniatora, to jeszcze scherzo z VI symfonii Czajkowskiego nazwał „wzorcowym". Dla kogoś, kto miał 34 lata i był dopiero 10 lat po dyplomie, taki komplement był czymś niezwykłym. Zwłaszcza w odniesieniu do często wykonywanej symfonii i to przez największych dyrygentów.

Dzięki temu koncertowi w następnych latach dyrygowałem w Filharmonii Narodowej kilkanaście razy, czasami nawet dwukrotnie w jednym sezonie. M.in. takie dzieła jak oratorium „Samson" Haendla, „Wierchy" Malawskiego, Symfonię Dantejską Liszta, I symfonię Brahmsa, „La Valse" Ravela, czy „Nokturny" Debussy´ego. Solistów miałem znakomitych: Gina Bachauer, John Browning, Igor Oistrach, Wandzia, Hikoro Nakamura. Te częste odwiedziny pozwoliły na nawiązanie innych form współpracy między Filharmonią Narodową a Szczecińską. Dwa razy moja orkiestra wystąpiła w Sali Filharmonii Narodowej, a orkiestra FN raz w Szczecinie z Rowickim. Ponadto chór FN, najlepszy w owym czasie w Polsce, śpiewał trzykrotnie w Szczecinie. W roku 1966 udało mi się zorganizować z najlepszych instrumentalistów orkiestry zespół kameralny, który rok później odbył tournée po Czechosłowacji. Śliwiński na wiadomość o tym natychmiast zaprosił zespół na koncert w Sali Kameralnej FN.

I jeszcze parę uwag o atmosferze, którą Śliwiński potrafił stworzyć, a którą ja potem starałem się wprowadzić w Szczecinie i Wałbrzychu. Gościnni artyści, zarówno polscy jak i zagraniczni, byli przez biuro FN traktowani jak pożądani goście. Od momentu wejścia do budynku artysta nie czuł się obco. Portier wychodził ze swojej dyżurki i z uśmiechem wskazywał drogę do biur na I piętrze. Tam w sekretariacie od razu zajmowano się przybyłym. Dyrektor lub jego zastępca zapraszał do gabinetu, proponując kawę lub herbatę. Po chwili zjawiała się wezwana telefonicznie pani Maria Głowacka, osoba czarująca, a zarazem energiczna. Znała języki i uważała się za opiekunkę każdego gościa. Wypytywała się, jakie ma życzenia i starała się je w miarę możliwości spełniać. Przed koncertem w pokojach dyrygenta i solisty stały termosy z kawą i herbatą oraz butelki z wodą mineralną. Zawsze przychodziła pani Maria, aby zapytać się czy artysta czegoś jeszcze nie potrzebuje. Pojawiał się również dyr. Śliwiński, aby przywitać się i życzyć powodzenia. A po koncercie przyprowadzał znajomych, aby artysta nie czuł się samotny. To co napisałem, wydaje się czymś oczywistym. Ale nie w tamtych odległych czasach. W większości polskich filharmonii

dyrektorzy nigdy nie pojawiali się u artysty przed koncertem. Podobnie tzw. organizatorzy pracy artystycznej. W Filharmonii Narodowej natomiast przychodził inspektor orkiestry, aby sprawdzić czy dyrygent już jest. Potem bibliotekarz zabierał partytury, aby położyć je na pulpicie. A po koncercie, jeżeli nie pojawili się jacyś znajomi, mieszkający w danym mieście, zdarzało się, że byłem w pokoju zupełnie sam. Nie wiem, jak jest dzisiaj w Filharmonii Narodowej, ale tamtą atmosferę wspominam z prawdziwą przyjemnością i wdzięcznością.

Szkolnictwo muzyczne

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych młodzi muzycy grający w szczecińskiej orkiestrze uzyskali dyplomy tamtejszej średniej szkoły muzycznej. Zaraz po egzaminach zacząłem ich namawiać do kontynuowania nauki w PWSM w Poznaniu. Nie było to łatwe. W tamtych czasach – o ile pamiętam – nie istniały jeszcze studia zaoczne. A nawet gdyby były, to odbywały się w soboty i niedziele, co przy powtórzeniach piątkowych koncertów w każdą sobotę, uniemożliwiało studiowanie. Zaś studia stacjonarne wymagały niemal codziennej bytności na wykładach. Przypomniałem sobie jednak jak „kombinowałem" w czasie moich studiów i postanowiłem coś dla swoich muzyków załatwić. Pojechałem zatem do ministerstwa, do Departamentu Szkolnictwa Artystycznego. Na jego czele stała pani Wanda Załuska, której nazwisko powinni przechowywać we wdzięcznej pamięci wszyscy polscy muzycy, ponieważ to wyłącznie dzięki jej energii, pomysłowości, sile przebicia i osobistym stosunkom udało się zrównać uczelnie artystyczne z akademickimi. Kiedy zjawiłem się na umówioną telefonicznie wizytę, opowiedziała mi o swoich zabiegach w KC, Urzędzie Rady Ministrów i Sejmie. Wszędzie szukała sojuszników. Dzięki swojej sile przekonywania potrafiła po latach uporczywych wysiłków doprowadzić do uchwalenia w roku 1962 nowej ustawy o wyższym szkolnictwie artystycznym. Zrównano tytuły i pensje profesorskie i przyznano absolwentom tytuły magistrów. Pamiętam, że kiedy otrzymałem wiadomość, że mam już prawo do umieszczenia przed nazwiskiem „magicznych" trzech liter mgr, natychmiast kazałem zmienić swoją dyrektorską pieczątkę. Kiedy jednak po paru latach wszelkiego rodzaju wyższe szkoły opuszczały kolejne roczniki absolwentów-magistrów, powróciłem do starej pieczątki. Może to było nieco dziwne, ale jak napisał Hans Selye (twórca pojęcia stres) – „Jeżeli w pracy nie ma elementu zabawy, zamienia się w obóz koncentracyjny".

W czasie pierwszej rozmowy z dyr. Załuską przedstawiłem moją propozycję ułatwienia szczecińskim muzykom podjęcia studiów. Ja zwalniałbym ich z prób w dwóch pierwszych dniach każdego tygodnia, a rektorat PWSM w Poznaniu ułożyłby dla wydziału instrumentalnego zajęcia w taki sposób, że najważniejsze lekcje i wykłady odbywałyby się właśnie w poniedziałki i wtorki. Załuskiej mój projekt od razu przypadł do gustu. Obiecała, że w możliwie krótkim czasie zaprosi na wspólną rozmowę ówczesnego rektora poznańskiej uczelni, prof. Maćkowiaka (imię niestety wyleciało mi z pamięci). Znałem go jeszcze z czasów poznańskich, ponieważ był jednym z najlepszych poznańskich chórmistrzów i parę razy miałem koncerty z kierowanym przez niego zespołem. I rzeczywiście, niebawem otrzymałem zaproszenie na rozmowę. Kiedy przedstawiłem swoją propozycję, rektor Maćkowiak zupełnie nie wiedział, jak się do niej ustosunkować. Widziałem, że był zaskoczony i zdezorientowany. Ale pani Załuska gorąco ją poparła, dyplomatycznie apelując do Maćkowiaka jako pedagoga i przyjaciela młodzieży. A potem mimochodem wtrąciła,

że gdyby pan rektor potrzebował jakiegoś wsparcia finansowego w związku z utrudnioną przez proponowane zmiany sytuacją, to ministerstwo z chęcią pomoże. To przeważyło; Maćkowiak okazał się chętny do współpracy. I tak od nowego roku akademickiego kilku młodych instrumentalistów rozpoczęło studia. Zdawałem sobie sprawę, że nie było to dla nich łatwe. Mając o dwie próby mniej, musieli wcześniej nauczyć się swoich partii. Jednocześnie obowiązywał ich stacjonarny zakres studiów. Musieli ćwiczyć utwory z programu oraz uczyć się wszystkich przedmiotów teoretycznych. A przecież niektórzy mieli rodziny. Mało tego, brakowało im czasu na tzw. chałtury, czyli dorabianie do skromnych pensji. W dodatku musieli płacić za cotygodniowe, męczące dojazdy do Poznania. To starałem się im choćby częściowo rekompensować podwyższoną roczną premią. Ja zaś miałem kłopoty z niektórymi dyrygentami, którzy narzekali na brak muzyków w grupie dętej na dwóch pierwszych próbach. A i wewnątrz orkiestry niektórzy koledzy sarkali na takie przywileje. Mimo tych trudności, udało się wszystkim dotrwać do dyplomów, uzyskać tytuł magistra i otrzymać obiecaną podwyżkę.

Ale to nie koniec moich kontaktów ze szkolnictwem muzycznym. Już nie pamiętam, w którym roku odszedł z filharmonii na emeryturę i wyjechał ze Szczecina dotychczasowy koncertmistrz wiolonczel, a zarazem nauczyciel w średniej szkole muzycznej. I wówczas dyrektor tej szkoły prosił, abym objął po nim klasę. Z początku odmówiłem, tłumacząc, że mam mnóstwo innych zajęć, a przede wszystkim wyjazdy na gościnne koncerty. Dyrektor powiedział, że zdaje sobie z tego sprawę, ale lepsze są rzadsze i nieregularne lekcje niż żadne. Ostatecznym argumentem było to, że dwaj wiolonczeliści w mojej orkiestrze przeszli na ostatni rok. I tylko ode mnie zależało czy skończą szkołę. To przełamało moją niechęć do pedagogiki. Uzgodniliśmy, że lekcje będę dawał we własnym domu, a dzienniki oddam przed ostatnimi egzaminami. Myślę, że nie byłem dobrym nauczycielem, ponieważ po wypadku nie odzyskałem pełnej władzy w dwóch ostatnich palcach lewej ręki. A cóż to za nauczyciel, który nie potrafi pokazać praktycznie uczniowi, jak należy grać? Mogłem tylko rozwiązywać problemy smyczkowe i w ograniczonym zakresie, posługując się pozostałymi trzema palcami, pomagać w przezwyciężaniu trudności technicznych lewej ręki. A poza tym od roku 50, to znaczy od momentu kiedy zostałem dyrygentem, przestałem w ogóle ćwiczyć na wiolonczeli. No, ale skoro się podjąłem, musiałem doprowadzić uczniów do dyplomu. Zagrali przyzwoicie i uzyskali dobre stopnie. Potem jeszcze uczyłem jedną wiolonczelistkę, także grającą w orkiestrze. I ją również doprowadziłem do dyplomu. Wtedy klasę przekazałem nowo zaangażowanemu, młodemu koncertmistrzowi wiolonczel.

Jeden z moich absolwentów postanowił kontynuować naukę. Zdając sobie sprawę, że nie podoła studiom dziennym, zapisał się na zaoczne i nie na wydział instrumentalny, ale pedagogiczny. Dotrwał do końca, a ja mu pomagałem w napisaniu pracy dyplomowej. A skoro już zacząłem pisać o pracach magisterskich, to muszę się przyznać do parokrotnego naruszenia prawa. Liczę jednak na przedawnienie. Otóż brałem taki czy inny udział w powstaniu pięciu lub sześciu prac magisterskich. Przy niektórych spełniałem tylko rolę konsultanta, przy innych doradcy. Do jednej dostarczyłem cały komplet materiałów. Ale trzy napisałem od początku do końca całkowicie samodzielnie. Nie ujawnię, na jakie były tematy i dla kogo je pisałem. Oczywiście bez jakiejkolwiek odpłatności, co jest okolicznością łagodzącą. Najważniejsze jednak, że wszystkie „moje" trzy prace otrzymały piątki, co dobrze świadczy o mnie jako autorze. No i wszystkie osoby, którym pomagałem, ukończyły studia i dostały tytuł magistra sztuki.

Lektury

W 1957 roku wydano po raz pierwszy „Upadek" Camusa. O ile pamiętam, w księgarniach szczecińskich ukazał się nieco później. Tutaj dwie dygresje. Pierwsza dotyczy przełomu politycznego, o którym pisałem poprzednio, zapoczątkowanego przez śmierć Stalina, a potem w nieporównywalnie większym stopniu przez XX Zjazd KPZR. Już tylko ludzie mojego pokolenia pamiętają trudną do pojęcia zmianę w postępowaniu władz i wykorzystywanie tego przez myślącą samodzielnie część inteligencji. Wśród nich wielu działaczy partyjnych. Odbiło się to natychmiast na polityce wydawniczej, głównie przekładach zarówno literatury pięknej jak i naukowej.

Druga dygresja to przypomnienie zapomnianych już określeń: „spod lady" i „półka". Pierwsze dotyczyło wszelkiego rodzaju deficytowych produktów, od pomarańczy po buty, od gumy do majtek po książki, które sprzedawcy ukrywali dla znajomych. Drugie natomiast stanowiło swoiste kuriozum. W księgarniach dla garstki „wybranych" odkładano na zapleczu, na wydzielonych regałach, najważniejsze pozycje wydawnicze. Kim byli owi „wybrani"? Rektorzy i niektórzy profesorowie wyższych uczelni, część dyrektorów szpitali, instytucji kultury, wielkich zakładów pracy, naczelnych redaktorów i dziennikarzy oraz bardzo nieliczni notable partyjni. Ponieważ – jak już pisałem – od lat kupowałem książki, od razu po przyjeździe do Szczecina nawiązałem kontakt z kierownikiem największej w mieście księgarni. Przez pewien czas wyciągał dla mnie spod lady co ciekawsze pozycje, a potem sam zaproponował mi „półkę". Z radością wyraziłem swoją wdzięczność. Na pytanie, jakie książki mnie interesują, odpowiedziałem, że przede wszystkim tłumaczenia pisarzy zachodnich. I że dotyczy to zarówno beletrystyki jak i dzieł popularno-naukowych. Od tego czasu przychodziłem do księgarni raz w miesiącu. Kierownik prowadził mnie na zaplecze, gdzie na regałach znajdowały się odłożone dla „wybranych" książki. Przeglądałem je, odkładałem na bok te nieliczne, które mnie nie interesowały, a resztę kierownik pakował na zapleczu, aby „normalni" klienci ich nie widzieli. Na zakończenie podawał kasjerce ogólną kwotę, a ta wypisywała rachunek i inkasowała ode mnie pieniądze. Ta „konspiracja" trwała przez cały okres mojego pobytu w Szczecinie. Oczywiście po przyjeździe do Wałbrzycha natychmiast przedstawiłem się kierownikom obu księgarni w śródmieściu (jedna była naukowa, a druga beletrystyczna) i do czasu tzw. transformacji miałem swoje „półki". Na książki wydawałem wówczas raz w miesiącu mniej więcej 10% pensji. Pozwoliło to przy niskich cenach książek na zgromadzenie około 6 000 woluminów. Niestety po zmianie ustroju ceny książek wzrosły niepomiernie w przeciwieństwie do pensji i musiałem w drastyczny sposób ograniczyć zakupy. Teraz już tylko raz w roku dostaję książki w prezencie „pod choinkę" i są to przeważnie dzieła naukowe z różnych dziedzin wiedzy. Całą światową literaturę piękną mam już w zasadzie zgromadzoną, a nowi pisarze jakoś mnie nie pociągają.

Wracam jednak do „Upadku" Camusa. Kiedy przyniosłem zakupione książki do domu, dopiero wieczorem po kolacji miałem czas, aby je przejrzeć. Otworzyłem „Upadek", zacząłem czytać, stojąc – co dokładnie pamiętam – pod lampą i nie ruszyłem się z miejsca, dopóki nie skończyłem. Zaledwie parę razy w życiu miałem takie zdarzenia. Oczywiście w nocy nie mogłem spać. Do dzisiaj uważam „Upadek" za najlepsze dzieło Camusa. Wolę je nawet od „Dżumy". „Obcego" nie lubię, nie mogę jakoś utożsamić się z bohaterem. Natomiast „Upadek" jest genialną, a zarazem przerażającą wiwisekcją ludzkiej duszy.

Wydaje mi się obecnie, że od czasu Dostojewskiego nikt tak nie potrafił zgłębić upodlenia człowieka.

A skoro już wymieniłem nazwisko Dostojewskiego, powinienem zrelacjonować w jaki sposób poznałem jego dzieła. Wiedząc od kilku starszych osób, a przede wszystkim od moich kuzynek, że jest to trudna literatura, odłożyłem ją na okres „po trzydziestce". Pamiętam, że zacząłem lekturę od „Biesów" w czasie wakacji 59 roku. Wrażenie wstrząsające. Mógłbym prawdopodobnie napisać cały esej na temat „Biesów". To wówczas zrozumiałem, dlaczego socjalizm, który narodził się w Niemczech, mógł przybrać tak zwyrodniałą postać w Rosji. Właśnie w Rosji i tylko tam. W każdym innym europejskim kraju byłby zupełnie odmienny. Znacznie później przeczytałem w którymś eseju Camusa, że nie należy obciążać Nietschego odpowiedzialnością za Hitlera, a Dostojewskiego za Stalina. To dla mnie bezsporne. Ale tzw. szygalewszczyzna w „Biesach" jest genialnym, proroczym zaiste przewidywaniem ZSRR. Po przeczytaniu tego arcydzieła chodziłem jak błędny przez parę dni. I podobnie reagowałem na „Idiotę", „Braci Karamazow" i „Zapiski z martwego domu". Najbardziej przerażający wydawał mi się w czasie czytania „Idiota". A kiedy doszedłem do rozdziału, w którym Rogożyn opowiada księciu Myszkinowi o zabójstwie Anastazji, musiałem przerwać lekturę. Dosłownie, bez żadnej przesady, zrobiło mi się słabo i chciało mi się wymiotować. Wróciłem do czytania „Idioty" dopiero po paru dniach. Taki sam wstrząs przeżyłem potem jeszcze tylko raz w czasie lektury „Azylu" Faulknera. Scena w sądzie była tak koszmarna, że musiałem przerwać czytanie. Również poczułem mdłości. „Azyl" skończyłem po parodniowej przerwie. Jeśli w taki sposób reagowałem na książki, przedstawienia teatralne i operowe oraz muzykę – nic dziwnego, że cierpiałem na bezsenność. Zrozumiałem to już wówczas, ale nie mogłem przecież zmienić samego siebie.

I wreszcie ostatni pisarz, odłożony świadomie „na po trzydziestce" – Marcel Proust. Wszystkie siedem tomów „W poszukiwaniu straconego czasu" (łącznie z „czasem odnalezionym") wydano w latach 1956-60. Zacząłem czytać – nie jestem pewien – dopiero w 62 czy 63. Nad morzem, w czasie pobytu z orkiestrą w Świnoujściu. I w dodatku na plaży w koszu. Czytałem wolno i uważnie, rozkoszując się mądrością, wnikliwością i sugestywnością tego arcydzieła. Otaczający mnie hałaśliwy tłum plażowiczów przestawał być realny. Liczył się tylko świat wskrzeszony przez Prousta. Oto magia wielkiej literatury. Także wszelkiej wielkiej sztuki. Kiedy patrzyłem na sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej, zapomniałem o rzeczywistym świecie. A kiedy słuchałem IX symfonii – znikła sala, publiczność, orkiestra. Istniała tylko muzyka. W tym miejscu muszę niestety dodać jedno zastrzeżenie. Patrzenie na obraz i czytanie książki to bezpośredni kontakt pomiędzy dziełem a mną. Ale przy słuchaniu koncertu i oglądaniu sztuki teatralnej muszę korzystać z pośrednictwa wykonawców. Jeżeli są znakomici, mogę rozkoszować się bez przeszkód przekazywaną przez nich wielkością dzieła. Niestety kiepski wykonawca potrafi zniszczyć percepcję nawet arcydzieła. Dlatego mogę zrozumieć melomanów, którzy wolą słuchać „martwych", ale doskonałych płyt niż żywych, ale obarczonych błędami koncertów i oper. I stąd zapewne płynie moja namiętność do książek i obrazów. Do ich odbioru nie potrzebuję bowiem żadnego pośrednika. Tylko dzieło i ja, a raczej dzieło i moje przeżycie.

Pod koniec 59 roku naczelny redaktor dziennika „Głos Szczeciński", dowiedziawszy się, że w młodości pisałem opowiadania, powieści i dramaty, zaproponował, że opublikuje jakiś mój krótki utwór. Miał takie możliwości, ponieważ w sobotę drukował dodatek społeczno-kulturalny „7 Głos Tygodnia".

Nie chciałem mu dawać niczego starego. To co pisałem w czasie okupacji, a także zaraz po zakończeniu wojny, utrzymane było w stylu Żeromskiego, by nie rzec dosadniej – manierze młodopolskiej. Kwiecisty, wybujały język jakiego używałem w tamtym okresie, przestał mi już odpowiadać po upływie kilkunastu lat. Postanowiłem zatem napisać coś nowego, co byłoby bliższe moim aktualnym zainteresowaniom. Tak się złożyło, że w 58 roku przetłumaczono i wydano książkę Pierre´a de Latila „Sztuczne myślenie". A dokładniej jej jedenaste wydanie, co najlepiej ilustruje opóźnienie publikacji. Ale tezy Latila o ośmiu stopniach automatyzacji były całkowicie niezgodne z założeniami marksizmu-leninizmu. Jak również wszystkich religii. Ja natomiast byłem zafascynowany zupełnie nowymi dla mnie sformułowaniami. Otwierały szerokie horyzonty i stanowiły materiał do własnych przemyśleń. Cybernetyka za czasów stalinowskich była w ZSRR zakazana. Mam w swojej bibliotece „Krótki słownik filozoficzny" z roku 1955, przetłumaczony z radzieckiego IV wydania (1944) o tym samym tytule, w którym cybernetykę określono jako „reakcyjną pseudonaukę (…), antyhumanitarną i dążącą do przekształcenia robotnika w dodatek do maszyny, narzędzie produkcji i wojny". Idiotyzm tego stwierdzenia nie wymaga komentarza.

W Polsce, choć oficjalnie nie zajmowano się cybernetyką, starsi i młodsi naukowcy najpierw w ukryciu, a po XX Zjeździe KPZR zupełnie jawnie przejawiali zainteresowanie tą nauką. Dzisiaj wiemy, że bez cybernetyki – używając skrótu myślowego – nie byłoby współczesnej techniki.

Po przeczytaniu książki Latila zacząłem szukać innych pozycji, aby rozszerzyć swoją wiedzę o tej nowej gałęzi nauki. Termin „sprzężenie zwrotne" zaczynał być wówczas modny. Znajdował zastosowanie nie tylko w technice, lecz także w socjologii, psychologii, biologii itd. Wiener, Shannon, Ashby, Walter, Ducrocq – oto nazwiska nowych „proroków". Szukałem ich książek i artykułów. W Polsce na czoło wysunęli się wtedy dwaj profesorowie: Stefan Manczarski i Henryk Greniewski. Raz się zdarzyło, że Greniewski przyjechał do Szczecina z wykładem o cybernetyce. Oczywiście poszedłem i byłem zdziwiony, że na sali znalazło się zaledwie 20-30 osób, głównie starszych wiekiem profesorów. Kiedy po naprawdę interesującym wykładzie zapytałem rektora politechniki, dlaczego nie przyszli młodzi wykładowcy i studenci, popatrzył na mnie z rezygnacją i w milczeniu wzruszył ramionami. Ani wtedy ani dzisiaj nie mogę wytłumaczyć przyczyn tego braku zainteresowania.

Ta długa dygresja była niezbędna, aby wyjaśnić dlaczego pierwsze opowiadanie, które napisałem dla „7 Głosu Tygodnia" nosiło tytuł „Bunt Mózgu XG-17" z podtytułem „Fantazja cybernetyczna". A treścią była katastroficzna wizja przejęcia władzy nad światem i ludźmi przez sztuczne mózgi. Charakterystyczne, że używałem w opowiadaniu określeń: myślące maszyny, sztuczne mózgi, automaty, roboty, ale ani razu komputery. Nie znałem wówczas tego słowa, nie weszło jeszcze do polskiego języka. Opowiadanie tak się spodobało, co stwierdzam z satysfakcją, że naczelny redaktor poprosił o następne. Napisałem znacznie dłuższe. Nosiło tytuł „Ostatni ludzie" i podtytuł „Było to według czasu ziemskiego

10 stycznia 2148 roku". Bardzo mi się ten podtytuł podobał. W pięciu odcinkach przedstawiłem powrót statku kosmicznego z podróży trwającej dziesiątki lat ziemskich (na statku zgodnie z teorią Einsteina czas płynął wolniej). Okazało się, że wojna jądrowa zniszczyła całą cywilizację, a ludzie cofnęli się pod wpływem promieniowania do epoki przed pojawieniem się gatunku homo sapiens. Wizja nie mniej katastroficzna niż w pierwszym opowiadaniu. Ponieważ jednak oficjalna propaganda mówiła o grozie bomby atomowej, nie zostało zakwestionowane przez cenzurę i naczelny redaktor mógł poprosić o napisanie następnego. To trzecie opowiadania było fikcyjnym pamiętnikiem czy może raczej dziennikiem drugiego oficera z norweskiego frachtowca. Zeszyt z zapiskami został znaleziony na tym dryfującym, opustoszałym frachtowcu przez załogę innego statku. Wynikało z dziennika, że pojawił się latający talerz i wszyscy marynarze od kucharza do kapitana odczuli przemożne „Tajemnicze wołanie" (taki był tytuł opowiadania) i jeden po drugim weszli do wnętrza latającego talerza. Piszący dziennik notuje: „Już muszę iść. Jestem ostatni. Odchodzę". I ostatnie zdanie, uwiarygodniające rzekomą autentyczność fikcyjnego dziennika: „Na tym urwał się pamiętnik znaleziony na statku „Troll".

Opowiadanie ukazało się w którąś sobotę na początku roku 60, a w poniedziałek rozdzwoniły się w redakcji „Głosu Szczecińskiego" telefony. Zaniepokojone rodziny marynarzy dopytywały się, kiedy latający talerz porwał norweskich marynarzy, na jakim morzu czy oceanie i co dyrekcja PŻM (Polska Żegluga Morska, szczeciński armator) robi, aby ochronić polskie statki. Jak mi powiedzieli dziennikarze, nikt nie zapytał czy opowiadanie jest prawdziwą relacją, czy literacką fikcją. A przecież podpisane było moim imieniem i nazwiskiem. Przyznam się, że byłem wtedy dumny. Mogłem się porównać do Orsona Wellesa, którego audycja radiowa w latach trzydziestych o najeździe Marsjan spowodowała panikę w Nowym Jorku. Od razu w następnym numerze „7 Głosu Tygodnia" redakcja wydrukowała obszerne wyjaśnienie, którego fragment zacytuję, aby się pochwalić.

„Wyjaśniamy, że „Tajemnicze wołanie" jest opowiadaniem fantastycznym, nie związanym z żadnym konkretnym wydarzeniem. Sensacyjny pamiętnik marynarza napisany został w… Szczecinie, w zacisznym mieszkaniu p. Wiłkomirskiego. A że został napisany aż tak sugestywnie – to wyłączna zasługa autora".

Ponieważ na skutek szumu, który powstał po wydrukowaniu mojego opowiadania, cały nakład „7 Głosu Tygodnia" – jak mi mówiono – został wykupiony, naczelny redaktor poprosił mnie o napisanie następnej noweli. Zachęcony tym powodzeniem, wymyśliłem jeszcze bardziej fantastyczną historyjkę. Młody profesor stawia hipotezę, że na ziemi lub wokół niej istnieją byty, których nie możemy poznać, a które wpływają na nasz los przy pomocy trzęsień ziemi, erupcji wulkanów, anomalii pogodowych, epidemii itd. Hipotezę tę oparł na porównaniu z oddziaływaniem człowieka na mrówki, kiedy np. niszczy ich mrowisko. Albo kiedy rozdeptuje dżdżownicę, albo kiedy drapiąc się, zabija tysiące roztoczy na swojej skórze. Inni naukowcy wyśmiewali tę hipotezę. Do czasu, kiedy młody profesor ginie w tajemniczych okolicznościach. Jak zwykle wysłałem maszynopis do redakcji, ale nie doczekałem się publikacji opowiadania. Ambicja (zapewne przesadna) nie pozwoliła mi na zapytanie naczelnego redaktora o przyczynę. Także znajomym dziennikarzom nie zadałem tego pytania przy różnych spotkaniach. I do dzisiaj nie wiem czy to sam naczelny redaktor uznał, że za dużo już tych katastroficznych nowel, czy też musiał to zrobić na żądanie wszechwładnego Urzędu Kontroli Prasy. Władze popierały bowiem optymistyczne widzenie świata i szczęśliwe zakończenia, tzw. happy-endy ze zwycięstwem pozytywnego bohatera. I tak, bez happy-endu, zakończyła się moja krótka „kariera" pisarza science fiction.

Znacznie później przeczytałem biografię Londona. Dowiedziałem się z niej, że przez szereg lat wysyłał swoje opowiadania do dziesiątków periodyków. Ani jedno nie zostało wydrukowane, a London nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Mimo to pisał następne i rozsyłał z uporem do wszystkich możliwych miejsc. Łącznie, według autora biografii, było to sto kilkadziesiąt nowel. Wreszcie doczekał się, że jakieś czasopismo wydrukowało jedną z nich. Kto wie, może redakcja zniecierpliwiona natręctwem nieznanego autora, zrobiła to dla świętego spokoju. Nowela zdobyła powodzenie swoją oryginalnością i tak zaczęła się wielka, światowa kariera Londona. Gdyby ta historia była prawdziwa, potwierdzałaby twierdzenie profesora psychologii, Gezy Revesa, że wielcy twórcy, a zwłaszcza geniusze, mają wewnętrzny przymus tworzenia. Niezależnie czy ich dzieła znajdują jakikolwiek rezonans społeczny. Najjaskrawszy przykład to van Gogh.

Nie będę ciągnął tych rozważań, wymagałoby to zbyt wiele miejsca. Jedno jest pewne, ja takiego przymusu nie czułem. Nie potrafię pisać „do szuflady". Z tego wniosek, że nie ma we mnie przemożnej pasji tworzenia, czyli kantowskiego „imperatywu kategorycznego". Eo ipso – nie jestem prawdziwym twórcą. Jednak, aby się pocieszyć, zaryzykuję twierdzenie, że przymus tworzenia mają także… najzwyklejsi grafomanii. Piszą latami, choć ich płody są bezwartościowe. Nie zrażają się kolejnymi odmowami. Czy są w jakimś stopniu szczęśliwi – doprawdy nie wiem. Ale nie wiem również czy przez ten brak uporu nie zmarnowałem swoich zdolności literackich. Podobnie jak nie wykorzystałem w pełni zdolności dyrygenckich. Nigdy bowiem, w przeciwieństwie do innych, nie wysłałem żadnej oferty. Nie potrafiłbym zaproponować siebie jako dyrygenta. A przecież tak postępuje większość artystów. Kiedyś miałem koncert z młodym węgierskim pianistą, zresztą bardzo dobrym. Opowiadał mi, że co roku wysyła 100 ofert do różnych instytucji muzycznych w Europie: filharmonii, impresariatów, agencji koncertowych. Na moje pytanie ile z tej setki otrzymuje pozytywnych odpowiedzi, czyli konkretnych propozycji występów, odparł, że przeciętnie dziesięć. Uznałem, że jest to zupełnie dobry stosunek. Ale wiedziałem, że ja w ten sposób działać nie potrafię.

Mniej więcej w tym samym czasie występowałem w jakimś mieście wspólnie z Wandzią. Pytała, jak dużo mam koncertów gościnnych w kraju i za granicą. Kiedy powiedziałem, że stosunkowo niewiele, a w każdym razie znacznie mniej niż moi koledzy, zadała kolejne pytanie:

- A co robisz po koncercie?

Zdziwiony, odpowiedziałem:

- Przeważnie idę do pokoju hotelowego, kładę się do łóżka i jedząc słodycze, czytam.

Wandzia najpierw wybuchnęła śmiechem, a potem powiedziała ze współczuciem:

- To nigdy nie zrobisz kariery. Ja, niezależnie od zmęczenia, idę na kolację albo chociaż na tzw. kawę i od razu „na gorąco", załatwiam koncert w następnym sezonie. Składam konkretne propozycje repertuarowe, uzgadniam orientacyjny termin.

I mówiła to Wandzia, która już wtedy była najlepszą polską skrzypaczką i występowała w całej Europie. Przyznałem jej rację, ale swoich obyczajów nie zmieniłem.

Rozdział XXV

SZCZECIN (III)

Wspominając wydarzenia z lat sześćdziesiątych, raz po raz przekonuję się, że nie można niestety zawierzyć całkowicie własnej pamięci. Mylą mi się daty, co nie byłoby jeszcze takie niebezpieczne, ale znacznie poważniejszą sprawą jest pełna amnezja o niektórych moich działaniach. I tak np. aby wspomóc moją pamięć, sięgnąłem do wydanej w roku 1999 monografii okolicznościowej z okazji 50-lecia Filharmonii Szczecińskiej. Z rozdziału poświęconego 14-letniemu okresowi mojej pracy dowiedziałem się, że niemal każdy sezon poświęcałem wybranym zagadnieniom. Organizowałem różne cykle. Był np.: Rok Muzyki Klasycznej i odpowiednio Rok Muzyki Romantycznej, Muzyka XX wieku, 500 lat muzyki polskiej, Rok Karola Szymanowskiego, Impresjonizm w muzyce, Spotkania z melodią, Młodzi polscy wirtuozi, Tematy morskie w muzyce, Poznajemy kandydatów na VI Konkurs Chopinowski itd. Ze wstydem przyznaję, że całkowicie o tej tak ważnej działalności zapomniałem. Na usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że ta książka nie jest rozprawą naukową pod tytułem „Życie i twórczość Józefa Wiłkomirskiego", a jedynie autobiografią nieroszczącą sobie praw do całościowego ujęcia 80 lat mojego życia. Muszę jeszcze dodać, że we wzmiankowanej monografii Filharmonii Szczecińskiej znalazłem zdjęcia, o których istnieniu nie miałem pojęcia, np. wspólna fotografia z Rowickim i Ekierem. A szkoda, bo przechowywałbym je jako miłą pamiątkę.

Tak więc raz jeszcze przepraszam przyszłego czytelnika za wszystkie ewentualne nieścisłości, przeinaczenia, pomyłki, przeoczenia i co gorsza – braki zawarte w tych wspomnieniach. Nie są to bowiem celowe zabiegi autora, lecz po prostu wynik luk w pamięci.

Artykuły

Jak już wspominałem, poza licznymi wywiadami, zacząłem do gazet szczecińskich a także ogólnopolskich wysyłać polemiczne artykuły. Nie było ich dużo, ale powodowały różne, na ogół niechętne reakcje. Wiedziałem jednak już wtedy, że naruszanie stereotypów, schematów, utartych opinii, oficjalnej linii i zwykłego myślowego wygodnictwa – zawsze wywołuje sprzeciw. Tak się m.in. stało kiedy zaatakowałem w „Głosie Szczecińskim" zbiurokratyzowany ruch amatorski. Jeszcze większe oburzenie wywołałem artykułami w „Ruchu Muzycznym". Kiedy spróbowałem analizować relacje pomiędzy orkiestrami a dyrygentami, obrazili się nie szeregowi muzycy, ale tzw. działacze związkowi i SPAM-u. A najbardziej naraziłem się artykułem o recenzentach. Ośmieliłem się bowiem podzielić ich na kategorie: recenzent-entuzjasta, malkontent, snob itd. Oczywiście – przyznaję – w bardzo złośliwy sposób. A kiedy napomknąłem, że są i tacy, którzy piszą recenzje z koncertów,

na których w ogóle nie byli – zaatakował mnie na jakimś spotkaniu w Warszawie sam Waldorff, przewodniczący sekcji krytyków SPAM. Publicznie, na cały głos oświadczył, że sekcja podejmuje określone działania przy tego rodzaju nierzetelnym postępowaniu swoich członków. A ja wówczas zapytałem: „No i co z tego? Nadal piszą". Waldorff wpadł w pasję i huknął: „A byłby pan taki odważny i sklasyfikował swoich kolegów dyrygentów?". Roześmiałem się i odpowiedziałem: „Dziękuję za pomysł. Na pewno to zrobię".

Waldorff nigdy mi nie darował tamtego artykułu i tak jak przedtem chwalił mnie jako dyrygenta i organizatora, potem przy każdej okazji krytykował. A ja napisałem artykuł, w którym bez pardonu podzieliłem dyrygentów na kategorie: dyrygent-kapral, kumpel, mówca itd. Jedni czytali z rozbawieniem, drudzy z oburzeniem. I oczywiście narobiłem sobie wrogów nie wśród dobrych dyrygentów, ale tych kiepskich, którzy potem, kiedy zostali dyrektorami, nie zapraszali mnie do swoich filharmonii.

Kiedyś mój szwagier, Mietek Rakowski, zaproponował mi napisanie artykułu do „Polityki", której był wtedy naczelnym redaktorem. Stwierdził, że zbyt mało porusza się w niej spraw kultury i będzie dobrze, jeżeli rozmaite problemy przedstawi nie dziennikarz, lecz ktoś „z branży". Napisałem długi artykuł, który redakcja zwróciła z prośbą o skrócenie. Tutaj uwaga na marginesie. Jest słabością ludzi mających łatwość pisania, że niechętnie rezygnują z potoczystego, barwnego, obrazowego języka i obszernych wywodów. Ja również ulegałem pokusie stosowania licznych porównań, sięgania do przykładów z przeszłości i bogatej stylistyki. Dopiero po latach w Wałbrzychu, pisząc cotygodniowy felieton o ograniczonej objętości (do 1,5 stronicy znormalizowanego maszynopisu), nauczyłem się ograniczać tok wypowiedzi. Ale wtedy byłem już starszy, a także po dwuletnim studium doktoranckim, na którym logikę wykładał profesor Pelc. Przestrzegał z żelazną konsekwencją precyzji wypowiedzi. Napiszę o tym w innym miejscu.

Artykuł dla „Polityki" napisałem od nowa, rezygnując z żalem – co pamiętam – z kwiecistego stylu i wielu szczegółów. Tym razem został wydrukowany w całości. Z jednym wyjątkiem. Wykreślono motto, cytat z Camusa: „Tylko biedni ludzie potrzebują mitów". Widocznie cenzura uznała, że w naszym zmitologizowanym kraju takie sformułowanie byłoby niepoprawne politycznie. A do mitów zaliczyłem sposób upowszechnienia, festiwale, wspaniałe rzekomo efekty umuzykalnienia młodzieży, troskliwą niby opiekę władz terenowych itd. I znowu naraziłem się sporej grupie decydentów, którzy wytykali mi na rozmaitych spotkaniach jednostronność, czarnowidztwo, tendencyjność.

Następny artykuł do „Polityki" napisałem po dłuższym okresie czasu, dopiero na początku lat osiemdziesiątych. Wtedy w czasie narastającego kryzysu niektórzy przedstawiciele władz i niestety, także część nieodpowiedzialnych publicystów zaczęła narzekać, że mamy w Polsce zbyt dużo teatrów i filharmonii. Używano rozmaitych argumentów, aby udowodnić, że należałoby zacząć planową likwidację. W swoim artykule zająłem odmienne stanowisko. Nie kwestionując, że istotnie orkiestr symfonicznych jest jak na polskie warunki za dużo, stwierdziłem, iż zamiast likwidować, należy zmienić samo założenie i cały system dotowania. Oczywiście mój projekt nigdy nie został zrealizowany, mogłem mieć jednak satysfakcję: nie zlikwidowano żadnej filharmonii.

Podobnie jak artykułami, narażałem się także wystąpieniami na zebraniach, ale o tym napiszę w rozdziale poświęconym kontaktom z władzami. Warto natomiast wspomnieć o niektórych wypowiedziach w radio. Kiedyś zostałem wybrany delegatem środowiska kultury na konferencję sprawozdawczo-wyborczą KW PZPR. Dziennikarka zapytała mnie na spotkaniu w studio radiowym, jaka jest rola delegata. Odpowiedziałem, że niewielka.

Uzasadniłem to na wpół żartem na wpół serio, że aby zostać wybranym na delegata, należy zastosować następującą metodę: mówić na tyle twardo, aby zyskać aplauz zebranych i na tyle miękko, aby nie narazić się władzy. Oczywiście cenzura skreśliła tę wypowiedź. Innym razem, było to po dymisji Chruszczowa, zapytano mnie na spotkaniu przy mikrofonie, co sądzę o kulcie jednostki. Prowadząca dziennikarka liczyła, że uznam ten kult oczywiście za wynaturzenie. A ja przekornie oświadczyłem: „Jestem całkowicie za kultem jednostki, pod warunkiem, że to ja będę tą jednostką". Dziennikarka i pozostałe osoby wybuchnęły śmiechem, ale cenzura potraktowała moją wypowiedź na serio i kazała wyciąć z taśmy.

Kompozycje

Kiedy teraz odtwarzam z pamięci lata sześćdziesiąte, trudno mi uwierzyć, że potrafiłem działać aż tak intensywnie i to w różnych dziedzinach. Myślę, że jedną z przyczyn była możliwość poświęcenia całego czasu tej właśnie działalności. Wszystkie prace domowe takie jak kupowanie, gotowanie, sprzątanie, pranie wykonywała gosposia. Po powrocie z filharmonii mogłem zajmować się nauką partytur, pisaniem artykułów, czytaniem i czymś zupełnie nowym – komponowaniem. Nigdy dotąd tego nie próbowałem. O ile już jako kilkunastoletni chłopiec odczuwałem potrzebę pisania, o tyle komponowanie nigdy mnie nie pociągało. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że potrafiłbym to robić. Pisanie i malowanie wydaje mi się czynnością bardziej naturalną. Już pierwotne ludy potrafiły pokrywać ściany jaskiń rysunkami, a kiedy powstało pierwsze pismo – także hieroglifami, a potem literami przekazywać swoje myśli i uczucia. Ale układanie dźwięków muzycznych wymaga jeszcze odrębnych umiejętności technicznych oraz bardziej skomplikowanych czynności umysłowych. I większej ilości abstrakcyjnych znaków. Wprawdzie na lekcjach harmonii i kontrapunktu musiałem pisać różne zadania, m.in. fugi, ale trudno byłoby uznać je za utwory muzyczne. A nauka instrumentacji ograniczała się do opracowywania na mniejsze i większe zespoły gotowej muzyki innych kompozytorów. Można zatem uznać, że byłem przygotowany warsztatowo, brakowało tylko inspiracji, aby mógł powstać utwór.

W 62 roku harfistka z mojej orkiestry poprosiła, abym napisał dla niej jakąś miniaturę, którą mogłaby wykonać w radio. Przypominam, że zakup harfy był sensacją i rozgłośnia szczecińska chciała mieć pierwsze w historii miasta nagranie. Nie byłem pewien czy sprostam zadaniu, ale zaryzykowałem. Tak powstały „Trzy szkice na harfę", trwające zaledwie 4 minuty. Nieco później przyszli do mnie członkowie kwartetu z analogiczną prośbą. Ośmielony, napisałem trzyminutowy utwór o nazwie „Q 65." A zaraz potem dla I flecisty powstały kolejne „Trzy miniatury". Wszystkie te utwory były wykonywane na koncertach i nagrywane w radio. To było dla mnie zachętą, gdyż jak już wspominałem w związku z nowelami – nie potrafię pisać „do szuflady". W 1966 dyrektor Teatru Dramatycznego zaproponował mi napisanie muzyki do „Dziadów". Zgodziłem się. Skomponowałem parę fragmentów dla chóru i parę dla małej orkiestry symfonicznej. Myślę, że nie była to udana praca. W każdym razie ostateczny rezultat bardzo mi się nie podobał.

Przełomem stał się rok 1968. Postanowiłem urządzić uroczysty jubileusz 20-lecia powstania orkiestry i uważałem za wskazane, aby z tej okazji jakiś ceniony kompozytor napisał specjalny utwór. Zwróciłem się zatem do paru znanych mi osób, ale wszystkie odmówiły, zasłaniając się brakiem czasu z powodu wcześniejszych zobowiązań. Już nie pamiętam dokładnie, ale chyba znajdowali się wśród nich Lutosławski, Baird, Penderecki.

Byłem zawiedziony i przedstawiłem sprawę orkiestrze. A na to muzycy, którzy grali moje utwory, zapytali, dlaczego w takiej sytuacji ja sam czegoś nie skomponuję. Czasu było już mało, termin jubileuszowego koncertu coraz bliższy, musiałem więc natychmiast zabrać się do pracy. Z uwagi na przewidywaną obecność na jubileuszu szczecińskich władz, dla których nowoczesna muzyka mogła być zbyt trudna w percepcji, postanowiłem „podeprzeć się" tekstem. Wybrałem fragment staroindochińskiego poematu „Skarga żony wojownika" w tłumaczeniu Roberta Stillera. Napisałem do niego list i uzyskałem zgodę na wykorzystanie tekstu. Mój utwór nosił tytuł „Pieśń żony wojownika" i trwał zaledwie 12-13 minut. Muzyka była połączeniem, mówiąc najkrócej, serializmu z aleatoryzmem i sonoryzmem. Inaczej: dodekafonizm i efekty szmerowe, nazywane przeze mnie złośliwie „muzykopodobnymi". Recytatorką była Zofia Mrozowska, którą znałem jeszcze z Łodzi. Dzięki pięknemu tekstowi, w którym żona wojownika żali się na okrucieństwo wojny oraz interpretacji znakomitej aktorki, mój utwór spodobał się publiczności. Nawet władzom, zapewne z uwagi na antywojenny wydźwięk. A – jak wiadomo – państwa socjalistyczne stale walczyły o pokój, pomimo że ZSRR raz po raz w różnych częściach świata wzniecał wojny, zwane eufemistycznie „wyzwoleńczymi". Czasami zresztą, co muszę lojalnie przyznać, takimi były rzeczywiście.

Najlepszą, choć złośliwą krytykę mojego utworu wygłosił Kazio. Ponieważ koncert jubileuszowy był retransmitowany przez ogólnopolskie radio, mój brat mógł go wysłuchać. Kiedy przyjechałem do Warszawy, Kazio powiedział: „Nie mogę ocenić twojej kompozycji, ponieważ nie wiem, które zgrzyty, trzaski, szumy pochodziły z partytury, a które z radioodbiornika". Mój brat nie znosił tzw. muzyki współczesnej, a własne kompozycje utrzymywał w konwencji młodopolskiej. Ja zaś, zachęcony powodzeniem moich pierwszych prób kompozytorskich, zacząłem pisać coraz więcej. Niestety większość utworów gdzieś się zapodziała, nie wiem, w jaki sposób. Mogę się pocieszyć, że taki los spotkał nawet dzieła geniuszy minionych epok.

Oczywiście po pewnym czasie zebrałem parę kompozycji, które uważałem za najciekawsze i wysłałem do ZKP (Związek Kompozytorów Polskich) z prośbą o przyjęcie do związku. Po pewnym czasie otrzymałem odpowiedź, że Komisja Kwalifikacyjna przyjęła mnie w poczet kandydatów. Warunkiem przyjęcia na członka było przedstawienie następnych kompozycji. Spełniłem ten warunek, ale po roku ta sama Komisja Kwalifikacyjna uznała, że nowe utwory nie spełniają wymogów i skreśliła mnie z listy kandydatów. Nie miałem wygórowanego mniemania o swoich umiejętnościach kompozytorskich, ale znałem utwory różnych członków ZKP i wiedziałem, że były jeszcze gorsze. A może przyczyna negatywnego stanowiska ZKP miała podtekst całkiem prozaiczny? W przeciwieństwie do innych dyrygentów, nie wykonywałem zbyt często nowych utworów kompozytorów polskich. Przeciwnie, na dorocznych konferencjach repertuarowych w ministerstwie, wielokrotnie głośno oponowałem przeciwko obowiązkowi umieszczania tych utworów w programach koncertowych. Pamiętam jak odmówiłem wykonania „Grunwaldu" Maklakiewicza z okazji piątej rocznicy jego śmierci. Wówczas naczelnik wydziału symfonicznego oświadczył: „Po to mianowaliśmy pana dyrektorem polskiej filharmonii, aby wykonywał pan polskie utwory". A ja natychmiast odparowałem: „A ja uważam, że jako dyrektor powinienem dbać przede wszystkim o poziom orkiestry i frekwencję. Natomiast wykonywanie utworów polskich kompozytorów współczesnych bynajmniej temu nie służy". I zamiast „Grunwaldu" Maklakiewicza, zagrałem jego parominutowy walc (zresztą kiepski) z baletu „Złota kaczka".

A kiedy przyszedłem do ZKP na jakieś spotkanie, pół żartem, pół serio głośno zapytałem: „Nie moglibyście komponować inaczej? Orkiestra nie chce was grać, a publiczność słuchać". I jak mogłem potem oczekiwać, że kompozytorzy przyjmą kogoś takiego do swojego grona?

Mój tzw. niewyparzony język stale zwiększał liczbę nieprzychylnych osób i narażał mnie na przykrości. Koledzy dyrygenci mnie nie lubili, recenzenci również. No i do „kompletu" władze. W tej sytuacji nie miałem szans na zrobienie tego, co nazywa się karierą.

Kontakty z „Bezpieką"

Termin „bezpieka", niezbyt ładny i elegancki służył przez dziesiątki lat do określania służb bezpieczeństwa. Podobnie funkcjonował w języku potocznym termin „ubek" oznaczający każdego funkcjonariusza tych służb. Do 54 roku istniało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, któremu podlegały terenowe Urzędy Bezpieczeństwa. Czy zostały potem przejęte przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych – zupełnie mnie nie interesowało. Ze służbami bezpieczeństwa nie miałem żadnego kontaktu od czasów łódzkich aż do początku lat sześćdziesiątych. Nie pamiętam, w którym dokładnie roku zatelefonował do mnie ktoś z Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. Przedstawił się imieniem i nazwiskiem i zapytał kiedy mogę go przyjąć. Zjawił się o umówionej porze, pokazał legitymację i zaczął – jak mówiła wówczas młodzież – nawijać. Pytał o moją niedawną podróż na Zachód, o plany repertuarowe filharmonii, o solistów zagranicznych. Był dobrze przygotowany do rozmowy i odbiegał od stereotypu tępego, prymitywnego „ubeka". Odpowiadając na te pytania, zastanawiałem się w duchu, po co do mnie przyszedł. Miałem pełną świadomość, że za tą swobodną rozmową kryje się jakiś cel. Mniej więcej po kilkudziesięciu minutach mój gość powiedział:

- Wiecie, towarzyszu dyrektorze, my byśmy mieli do was prośbę. Jeździcie za granicę, spotykacie różnych ludzi, także Polaków na emigracji, tutaj przyjmujecie artystów z wielu krajów – nie moglibyście tak wysondować, co sadzą o Polsce? Bardzo by to nas interesowało.

Omal nie roześmiałem się na głos. „Hier war der Hund begraben" – jak mówią Niemcy. („Tutaj był pies pogrzebany").

Spokojnie, z pogodnym uśmiechem, odpowiedziałem:

- Ja? Ależ ja jestem muzykiem! Ja się do czegoś takiego w ogóle nie nadaję.

Mój gość przyjął także swobodny ton:

- Ależ oczywiście, ależ oczywiście! Rozumiem. Ja tylko tak zapytałem mimochodem.

I szybko zakończył rozmowę.

Po tygodniu znowu zatelefonował i umówił się na kolejną rozmowę. Tym razem nie „nawijał", ale od razu przystąpił do rzeczy:

- No, to jak, towarzyszu dyrektorze? Przemyśleliście naszą propozycję?

Nie znoszę w takich rozmowach liczby mnogiej. Była (i niestety nadal jest) używana przez przedstawicieli różnych władz i urzędów. „My, partia" – mówili drobni funkcjonariusze aparatu partyjnego. A mój gość, używając liczby mnogiej „nasza propozycja" utożsamiał się ze służbami bezpieczeństwa. I czuł się zapewne niezwykle ważny. Odpowiedziałem z całą stanowczością:

- Oczywiście, że przemyślałem. Jestem całkowicie pewien, że nie potrafiłbym sprostać waszym wymaganiom i nie mielibyście ze mnie żadnej pociechy.

Funkcjonariusz popatrzył na mnie badawczo, kiwnął parę razy głową i nie powiedział ani słowa. Po chwili milczenia wstał i wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie. Zapewniam przyszłego czytelnika, że dokładnie przedstawiłem obie wizyty i w miarę wiernie przytoczyłem wypowiadane słowa. Nigdy więcej propozycji współpracy ze służbami bezpieczeństwa nie miałem. A kiedy po zmianie ustroju rozmaici ludzie opowiadali, jak byli zmuszani do współpracy z SB, straszeni, szantażowani, po prostu im nie wierzyłem. Przypuszczam, choć oczywiście mogę się mylić, że służby bezpieczeństwa stosowały przymus psychiczny, kiedy miały – jak to się mówi potocznie – na kogoś tzw. haka. Jeżeli natomiast ktoś nie miał nic na sumieniu, a SB nie dysponowało jakimkolwiek elementem szantażu – mógł odmówić współpracy. Rzecz jasna, nie dotyczy to okresu stalinowskiego. Torturami można z uczciwego człowieka zrobić donosiciela. Ale w latach sześćdziesiątych w Polsce tych metod już nie stosowano i potwierdzają to również zachodnie źródła. Natomiast domyślam się, że wielu ludzi nie tyle dało się zastraszyć, co raczej przekupić: awansem, kierowniczym stanowiskiem, wyjazdem za granicę, no i przede wszystkim pieniędzmi.

Ale to nie był koniec moich kontaktów z porucznikiem (sam mi to kiedyś powiedział) SB. W listopadzie lub grudniu 67 wystąpiła w Szczecinie pianistka amerykańska, stypendystka rządu USA. W przeddzień koncertu otrzymałem telefon z poznańskiego konsulatu Stanów Zjednoczonych z zapytaniem czy mogliby kupić trzy bilety. Odpowiedziałem, że nie muszą niczego kupować, ponieważ będą naszymi gośćmi. Przyjechał wicekonsul z żoną i jeszcze jednym pracownikiem konsulatu. Po koncercie zaprosił mnie z żoną, solistką i dyrygentem na kolację do restauracji w hotelu „Orbis". Konsul zamówił pieczoną kaczkę z jabłkami. Wyjaśnił mi, że jest to jego ulubiona potrawa, całkowicie w Ameryce nieznana. Kiedy przyniesiono zamówioną porcję, zobaczyłem mały kawałek wysuszonego mięsa i parę niedopieczonych jabłek. Powiedziałem konsulowi, że chętnie zaproszę go do domu, ponieważ nasza gosposia umie zrobić prawdziwą polską kaczkę. A w dodatku czerninę. Tutaj musiałem zrobić „wykład", co to w ogóle jest czernina. Amerykanie zapalili się do mojego pomysłu. Ponieważ najbliższe tygodnie miałem zajęte między innymi koncertami w Warszawie i Krakowie umówiliśmy się konkretnie na styczeń 68. Miałem wówczas w Szczecinie wspólny występ z Antoniną Kawecką, którą konsul znał osobiście, ponieważ była primadonną Opery Poznańskiej.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Amerykanie razem z Tośką Kawecką przyjechali po koncercie do naszego domu. Wręczyli mi płyty i książkę o amerykańskich orkiestrach, która potem nie raz mi się przydała. Znajdowały się w niej rysunki z rozmieszczeniem wszystkich wielkich amerykańskich orkiestr. Jedzenie było przygotowane i goście zajadali się nieznaną im zupełnie czerniną. I nareszcie spróbowali dobrze przygotowaną kaczkę po polsku. Nie muszę dodawać, że byli zachwyceni. Późno w nocy odjechali do Poznania.

W poniedziałek rano zatelefonował mój znajomy „ubek". Byłem akurat wolny, więc zaraz przyjechał. Po przywitaniu powiedział bez ogródek:

- W piątek był u was w mieszkaniu amerykański konsul.

Potwierdziłem z niejakim zdziwieniem.

- A o czym rozmawialiście?

Poczułem złość. W pierwszej chwili chciałem odpowiedzieć pytaniem: „A co was to obchodzi?" Doszedłem jednak do wniosku, że służby bezpieczeństwa mają pomimo wszystko obowiązek interesowania się kontaktami własnych obywateli z oficjalnymi przedstawicielami innych krajów. Pohamowałem zatem swoją złość i uprzejmie i ze szczegółami opowiedziałem o otrzymanych w prezencie płytach i książce, czerninie i kaczce z jabłkami.

Porucznik, nie przerywając, wysłuchał cierpliwie całego opowiadania i powtórzył pytanie:

- A o czym rozmawialiście?

Odpowiedziałem:

- Opowiadaliśmy sobie polityczne dowcipy.

Nie była to zresztą prawda, bo rozmawialiśmy o jedzeniu i muzyce. Porucznik popatrzył na mnie niezbyt sympatycznie i zapytał:

- A nie wypytywał was, towarzyszu dyrektorze?

Byłem naprawdę zdziwiony.

- Wypytywał? A o co? Przecież ja nie znam żadnych tajemnic państwowych!

Funkcjonariusz stawał się coraz poważniejszy.

- Nie rozumiecie, towarzyszu dyrektorze. Ten konsul jest oficerem wywiadu amerykańskiego. To zawodowiec. Tak potrafi poprowadzić rozmowę, że nawet nie zauważycie, kiedy wyciągnie od was potrzebne informacje.

Pamiętam dobrze, że nie wytrzymałem i parsknąłem głośnym śmiechem.

- Towarzyszu poruczniku, o czym wy mówicie! Przecież ja nie znam żadnych informacji, które byłyby potrzebne oficerowi wywiadu!

Mój śmiech był tak szczery, że porucznik zdobył się nawet na lekki uśmiech. Pożegnał się i to był mój ostatni kontakt ze szczecińską „Bezpieką". A ja zastanawiałem się, skąd służby bezpieczeństwa wiedziały o wizycie wicekonsula w moim mieszkaniu. Dopiero po wielu latach dowiedziałem się, że wszystkie samochody, oznaczone żółtymi literami CD i CC były zawsze śledzone.

Ta wizyta miała jeszcze dalszy ciąg. Żegnając się, wicekonsul zapytał czy chciałbym otrzymywać miesięcznik „Ameryka". Był to periodyk, wydawany bodajże przez Departament Stanu na wysokiej klasy papierze, niezawierający żadnych informacji o charakterze politycznym. Natomiast były tam artykuły o odkryciach naukowych czy wydarzeniach kulturalnych i przede wszystkim wspaniałe fotografie. Teoretycznie miesięcznik był w wolnej sprzedaży, ale z powodu małego nakładu nie docierał do kiosków. Rozprowadzano go prawdopodobnie wśród znajomych. Raz czy dwa widziałem „Amerykę" u kogoś w Warszawie i zachwyciły mnie fotografie robione przy pomocy niestosowanej u nas jeszcze techniki. Dlatego byłem wdzięczny wicekonsulowi za propozycję. I rzeczywiście, od następnego miesiąca „Amerykę" otrzymywałem regularnie.

A na wiosnę przy jakimś spotkaniu w Komitecie Wojewódzkim, tzw. instruktor od kultury zaczepił mnie i powiedział:

- Wiecie, towarzyszu dyrektorze, to niedobrze, że dostajecie „Amerykę" z poznańskiego konsulatu.

Przyznaję, że „zbaraniałem". Już chciałem zapytać skąd o tym wie KW, ale „ugryzłem się w język". Przecież nawet po roku 56 Polska była nadal państwem policyjnym.

A instruktor ciągnął dalej:

- Bo niedobrze, że dyrektor polskiej państwowej instytucji przyjmuje prezenty od amerykańskiego konsula.

I znowu miałem ochotę parsknąć śmiechem. Opanowałem się jednak i z całą powagą powiedziałem:

- Macie rację, towarzyszu. Ale wiecie, w tym piśmie są wiadomości, które potrzebuję do pracy. Jeżeli zapewnicie mi możliwość kupowania co miesiąc „Ameryki", natychmiast napiszę do konsulatu, że rezygnuję z ich prezentu.

Instruktor popatrzył na mnie raczej nieżyczliwie, ale nie rzekł ani słowa. A ja otrzymywałem „Amerykę" jeszcze przez szereg lat, aż do czasu jej likwidacji.

PZPR

Moje stosunki z władzami partyjnymi układały się na ogół poprawnie, choć nie brakowało konfliktów. Muszę jednak lojalnie przyznać, że doceniali moją pracę i jej rezultaty. Dowodem były różne odznaczenia. W roku 1961 otrzymałem Złotą Odznakę Pamiątkową „Gryfa Pomorskiego" za zasługi położone przy zagospodarowaniu województwa szczecińskiego. Było to pierwsze w moim życiu wyróżnienie. Inni dyrygenci już wcześniej byli odznaczani. W tym samym roku dostałem także nagrodę muzyczną województwa szczecińskiego. Przyznaję, że bardziej się z niej ucieszyłem, gdyż łączyła się ze sporą sumą pieniędzy. A w roku 1963 zupełnie niespodziewanie otrzymałem Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (Polonia Restituta). Było to prawdziwe zaskoczenie, ponieważ ten order zaliczał się do tzw. chlebowych. Oznaczało to dodatek do przyszłej emerytury. A te „chlebowe medale" były zwykle poprzedzane „zwykłymi", np. krzyżami zasługi, od brązowego do złotego. W moim przypadku pominięto zwykłą drogę, co było swoistym wyróżnieniem. I stąd moje zaskoczenie. W następnym roku z inicjatywy władz wojewódzkich powstało Szczecińskie Towarzystwo Kultury. Prezesem został przewodniczący WRN (Wojewódzkiej Rady Narodowej), a ja jako jeden z członków założycieli dostałem legitymację nr 4. Po roku wybrano mnie na wiceprzewodniczącego. W tym mniej więcej samym okresie przysłano mi zaproszenie na zebranie założycielskie towarzystwa ognisk muzycznych. Ponieważ nie interesowałem się ogniskami, na zebranie nie poszedłem. Ale następnego dnia zjawiła się w filharmonii paroosobowa delegacja z kwiatami, aby poinformować mnie, że zostałem wybrany prezesem nowo powstałego Towarzystwa Rozwoju Ognisk Artystycznych (TROA). Zaocznie! Nie znam drugiego takiego przypadku. Nie wiedziałem czy mam się złościć, czy śmiać. Zostałem postawiony w sytuacji bez wyjścia; musiałem się zgodzić. I w konsekwencji przez dwie trzyletnie kadencje zajmowałem się ogniskami muzycznymi. A skoro już podjąłem się tej funkcji, pomogłem kierownikom ognisk w uzyskaniu lokali i przede wszystkim pieniędzy na zakup instrumentów. Ogniska były samowystarczalne finansowo; opłaty uczniów starczały na utrzymanie lokali i pensje nauczycieli. Ale na zakup instrumentów brakowało pieniędzy. Udało mi się wyprosić dotacje zarówno od władz wojewódzkich jak i miejskich. Ułatwiała to moja pozycja jako dyrektora filharmonii.

Na początku 64 roku otrzymałem zaproszenie do KW na rozmowę z kierownikiem wydziału organizacyjnego. Był to sympatyczny, kulturalny pan w starszym wieku, z którym spotkałem się raz czy dwa przy uzgadnianiu szczegółów rozmaitych akademii. Kiedy usiadłem w jego gabinecie, rzekł:

- Towarzyszu dyrektorze, powiedzcie mi szczerze, jacy muzycy są w POP przy filharmonii?

Odparłem szczerze:

- Najgorsi.

Kierownik pokiwał głową i powiedział:

- No, właśnie. Tak się domyślaliśmy. Bo wiecie, oni na zebraniach partyjnych podejmują uchwały, które nawet nam, niefachowcom, wydają się dziwne. Poza tym skarżą się, że nie uwzględniacie ich uwag.

Nie wytrzymałem i wtrąciłem:

- Jeżeli I sekretarz POP, najgorszy klarnecista orkiestry przychodzi do gabinetu i zaczyna mnie pouczać, że powinienem mniej ćwiczyć z II skrzypcami, a więcej z altówkami, to takich uwag przyjąć nie mogę.

Kierownik nie mógł powstrzymać uśmiechu. A ja dodałem:

- Bo w grupie II skrzypiec gra jego córka.

Obaj zaczęliśmy się śmiać. Po chwili kierownik kontynuował.

- Musicie jednak zrozumieć, towarzyszu dyrektorze, że my jako instancja nadrzędna, musimy się ustosunkować do uchwał wszystkich komórek partyjnych. I co mamy robić z takimi głupimi uchwałami?

Pytanie zawisło w powietrzu. Nie wiedziałem co odpowiedzieć.

- Dlatego – ciągnął dalej kierownik – doszliśmy do wniosku, że byłoby dobrze, gdybyście się, towarzyszu dyrektorze, zapisali do partii.

Nie mogłem powstrzymać odruchu zdziwienia. Wyprostowałem się w fotelu, w którym siedziałem i spojrzałem na kierownika niedowierzająco. A on uśmiechnął się jeszcze szerzej i zapytał.

- I co wy na to?

Ponieważ szybko - jak to się mówi – przyszedłem do siebie, skrzywiłem się z wyraźnym sceptycyzmem.

- Ja? Do partii? Z moimi przekonaniami?

Ciągle uśmiechając się, odparował:

- Oo, my dobrze znamy wasze przekonania!

- No, właśnie. Ostatnio podrożało mięso i głośno to krytykowałem. A jako członek partii musiałbym chwalić.

Zaprzeczył.

- Bynajmniej. Możecie krytykować. Najwyżej wyrzucimy was z partii. I głośno się roześmiał. Potem spoważniał i wyjaśnił:

- Wasza obecność w POP nie tylko uniemożliwi tym kiepskim muzykom podejmowanie głupich uchwał, ale zachęci dobrych muzyków do zapisania się za waszym przykładem do partii. A wam będzie łatwiej załatwić wszelkie sprawy dla filharmonii.

Ten ostatni argument był najbardziej przekonywujący. Wiedziałem, że dyrektorzy będący członkami PZPR mieli ułatwiony dostęp do dygnitarzy partyjnych. Byli uważani za „swoich". Kierownik czekał w milczeniu, a ja myślałem i myślałem. Wreszcie powiedziałem:

- Zastanowię się i dam odpowiedź.

Odparł spokojnie:

- Będę czekał.

Następnego dnia zatelefonowałem do KC. Pracowała tam w Wydziale Kultury Irena Szubertowa. Podobno skończyła studia muzyczne w Poznaniu. Spotykałem się z nią w Warszawie przy różnych okazjach. Staraliśmy się siadać na końcu sali i wyśmiewać niektórych nadętych mówców. Opowiadała mi także ostatnie dowcipy polityczne. Ceniłem ją za inteligencję, poczucie humoru i dystans do zajmowanego stanowiska. Poprosiłem ją teraz o rozmowę. Pojechałem do Warszawy i przedstawiłem propozycję KW i moje wątpliwości. Szubertowa zaczęła się śmiać, poczem powiedziała:

- Jeżeli Komitetowi Wojewódzkiemu zależy, aby pan zapisał się do partii, będzie lepiej nie odmawiać. Nie muszę chyba tego szerzej tłumaczyć. A jeśli kiedyś wyrzucą pana z partii, to potem na pewno przyjmą z powrotem.

Wróciłem do Szczecina i odbyłem długą rozmowę z Bożenną. Ona również była zdania, że odrzucenie propozycji KW będzie niekorzystne dla filharmonii. A jako członek PZPR będę mógł na pewno więcej uzyskać dla instytucji.

Opisałem tak szczegółowo moje wstąpienie do Partii, ponieważ obecnie krąży mnóstwo fałszywych poglądów. Ja mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że większość członków PZPR to byli zwykli ludzie, którzy przynależność do rządzącej partii traktowali jako obywatelski obowiązek. Obok nich rzesza cwaniaków, karierowiczów, oszustów, kanciarzy, nieudaczników wykorzystujących legitymację partyjną do załatwienia swoich osobistych, często brudnych interesów. Ale było także sporo prawdziwych ideowców. Znałem takich. Niestety, błędy systemu i przywódców powodowały, że ich liczba malała z roku na rok. I była wreszcie grupa takich jak ja, których Partia prosiła o wstąpienie. Którzy z członkostwa nie czerpali osobistych profitów, a swoją pozycję wykorzystywali dla dobra instytucji. I pomagali innym ludziom. Sprawa przynależności do PZPR jest tak skomplikowana, że muszą minąć lata, zanim bezstronni historycy przy pomocy psychologów i socjologów będą mogli ją zanalizować i obiektywnie przedstawić.

Do PZPR wstąpiłem w 1964 roku i po skróconym okresie kandydackim zostałem pełnoprawnym członkiem. I pozostałem nim do końca, do stycznia 1990 roku. Na liczne pytania dlaczego nie odszedełem wcześniej, odpowiadałem niezmiennie: „Tylko szczury uciekają z tonącego okrętu". A kiedy dawni towarzysze proponowali mi wstąpienie do nowo powstałej Socjaldemokracji – odmówiłem zdecydowanie. Ćwierć wieku w partii wystarczyło na całe życie. A potem działalność polskich partii, prawicowych i lewicowych zniechęciła mnie do polityki definitywnie.

Z kierownikiem wydziału organizacyjnego KW spotkałem się jeszcze raz, krótko po wstąpieniu do PZPR. Poprosił mnie na rozmowę, w której powiedział, że niektórzy pracownicy narzekają na moje dyktatorskie metody. Byłem już wtedy pewny, że moja działalność przynosi wymierne efekty w postaci wzrostu poziomu orkiestry, sukcesów zagranicznych i śmieszyły mnie tego rodzaju zarzuty. Odpowiedziałem zatem:

- Podium dyrygenta to ostatni bastion dyktatury. Jeżeli muszę w ciągu pięciu prób przygotować program koncertu, nie mam czasu, aby uzgadniać z POP i Radą Zakładową w jakich tempach powinienem dyrygować.

Kierownik uśmiechnął się.

- To przynajmniej tych dyktatorskich metod z podium nie przenoście do zarządzania instytucją.

Odwzajemniłem uśmiech.

- Ja je nawet przenoszę do życia rodzinnego. Taki już mam charakter. Kierownik machnął ręką i nigdy więcej do tej sprawy nie wrócił.

Festiwal w Lucernie - Karajan

Jedną z nielicznych zalet centralnego zarządzania kulturą były wyjazdy za granicę na koszt ministerstwa. Na ogół wysyłano na rozmaite konkursy tzw. młode zapowiadające się talenty. To się władzy opłacało, ponieważ często ci młodzi ludzie zostawali laureatami i wówczas można było ten sukces wykorzystać propagandowo. Wysyłano również dziennikarzy, aby po powrocie relacjonowali wydarzenia kulturalne za granicą w odpowiedni, politycznie poprawny sposób. No i wreszcie były wyjazdy w charakterze tzw. obserwatorów. Ja sam

dotąd skorzystałem z takiego przywileju tylko raz, na jesieni 56 roku, na konkurs dyrygencki w Besançon. Moi koledzy, zwłaszcza na stanowiskach dyrektorskich, wyjeżdżali o wiele częściej, czasami – jak słyszałem – w każdym roku, wydeptując dywany na ministerialnych korytarzach i wygniatając fotele w gabinetach decydentów. Ponieważ nigdy nie chciałem ani nie potrafiłem załatwiać czegokolwiek dla siebie, długo czekałem na taki wyjazd. Pomimo że różnego rodzaju festiwali, konkursów, zjazdów, kongresów, sympozjów było w Europie co niemiara. Gdzieś w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych ministerstwo niespodziewanie zaproponowało mi uczestniczenie w charakterze obserwatora w słynnym Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym (Internationale Musikfestwochen) w Lucernie. Oczywiście na skutek opieszałości urzędników, spóźniłem się na otwarcie i przyjechałem dopiero na drugi dzień. Akurat na koncert Filharmoników Berlińskich (Berliner Philharmoniker) pod dyrekcją Karajana. Tutaj mała dygresja. W Polsce i paru innych krajach funkcjonują instytucje muzyczne zwane filharmoniami. Natomiast w większości krajów zachodnich istnieją orkiestry filharmoniczne lub symfoniczne, zakładane w przeszłości przez społeczne towarzystwa czy stowarzyszenia. Stąd różnice w nazewnictwie. My mówimy Filharmonia Wiedeńska, ale prawidłowa nazwa brzmi Wiener Philharmoniker (Wiedeńscy Filharmonicy). W Anglii i Stanach Zjednoczonych jest jeszcze inaczej. I tak np. my mówimy Filharmonia Nowojorska, choć po angielsku to The New York Philharmonic. Jak to przetłumaczyć? Ta nazwa wywodzi się bowiem z pierwotnego The New York Philharmonic Society, czyli Nowojorskiego Filharmonicznego Stowarzyszenia. Z tej różnicy nazewnictwa wynikają często zabawne nieporozumienia. Niektórzy niezorientowani melomani pytali mnie czy Wiener Philharmoniker to to samo co Wiedeńska Filharmonia, czy może dwie różne orkiestry. Tym bardziej, że przecież w Wiedniu działa jeszcze druga orkiestra o nazwie Wiener Symphoniker. Znane na całym świecie noworoczne koncerty transmitowane są ze wspaniałej Sali Stowarzyszenia Muzycznego (Gesellschaft der Musikfreunde. Obecnie w skrócie Musikverein), ponieważ w Wiedniu nie ma po prostu żadnej sali filharmonii. Te wyjaśnienia pozwolą uniknąć nieporozumień przy dalszej lekturze tej książki.

Do Lucerny przyjechałem po południu, wpadłem do pierwszego z brzegu hotelu, zostawiłem walizkę i popędziłem do biura festiwalu po bilety. Okazało się, że na koncert Karajana zostały od dawna wyprzedane. Miła pani w biurze rozkładała bezradnie ręce. Dopiero kiedy poinformowałem ją, że jestem dyrygentem, dyrektorem filharmonii i w dodatku z socjalistycznego państwa, powiedziała:

- Proszę przyjść na pół godziny przed koncertem. Zobaczę, co się da zrobić.

Z nadzieją w głosie zapytałem:

- Czy mam od razu przyjść w wieczorowym garniturze?

Uśmiechnęła się i powiedziała jedno tylko słowo:

- Natürlich (Oczywiście).

Kiedy zjawiłem się o nakazanej porze, miła urzędniczka wręczyła mi bilet do pierwszego rzędu balkonu nad estradą. Nie mogłem wymarzyć sobie lepszego miejsca. Siedziałem nad orkiestrą i mogłem patrzeć na twarz dyrygenta. Pierwszym utworem było „Magnificat". Mała orkiestra, niewiele większy chór „Musikverein" z Wiednia i dwa klawesyny. Przy jednym usiadł ku mojemu zdziwieniu Karajan, tak aby widzieć solistów. I zaczęło się muzykowanie, jakiego dotąd nie słyszałem. Karajan grał na klawesynie wszystkie akompaniamenty dla solistów, a dyrygował tylko fragmenty chóralne, nadal w pozycji siedzącej. Wtedy grał na swoim instrumencie drugi klawesynista. Ale najważniejsze było przemożne uczucie, że Karajan właśnie teraz, na tej estradzie komponuje „Magnificat". Nie jestem egzaltowaną

starą babą ani rozhisteryzowaną kilkunastolatką, a mimo to miałem wrażenie, że muzyka emanuje z ramion Karajana. Niewiarygodne przeżycie. Słyszałem już wcześniej o jego magicznej sile oddziaływania na publiczność w czasie koncertów. Teraz sam się o tym przekonałem.

W drugiej części było „Święto wiosny". Teraz weszła cała orkiestra Berlińskich Filharmoników. Karajan, który – jak słyszałem – dyrygował całe opery na pamięć, tym razem miał przed sobą na pulpicie partyturę. Jego ruchy, o ograniczonej amplitudzie, dłonie otwarte ku dołowi były zadziwiająco sugestywne. Otrząsnąwszy się już po przerwie częściowo z oczarowania, postanowiłem „na zimno" obserwować Karajana. Mówiłem sobie: „Jesteś zawodowym dyrygentem, postaraj się zachować dystans". Nie mogłem. A kiedy nagle przy jakimś fortissimo Karajan podniósł do góry obie ręce z rozpostartymi palcami, omal nie zerwałem się z fotela. Fizycznie odczułem prąd, który zelektryzował całą salę. A jak zabrzmiało fortissimo – nie muszę chyba komentować. Tutaj mała dygresja. Dzień czy dwa później przeczytałem w gazecie wywiad z Karajanem. Na pytanie dlaczego dyrygował „Święto wiosny" z partytury, odpowiedział: „Uczyłem się tego utworu dwa lata. Umiem go na pamięć. Ale moja orkiestra prosiła, abym z uwagi na niezwykle trudny i skomplikowany charakter tej muzyki, na wszelki wypadek, miał na pulpicie partyturę". Oto uczciwa odpowiedź zawodowca.

Po koncercie wracałem do hotelu zupełnie zdruzgotany. Powtarzałem w kółko: „Jeżeli Karajan jest dyrygentem, a w to chyba nikt rozsądny nie wątpi, to ja dyrygentem nie jestem. Albo-albo". W czasie bezsennej nocy doszedłem do wniosku, że powinienem po powrocie do Polski zmienić zawód. Mogę być nauczycielem muzyki czy recenzentem, aby już nigdy więcej nie powinienem dyrygować. Był to jeden z największych wstrząsów mojego życia.

Po powrocie do Warszawy rozmawiałem o tym z Wandzią. Opowiedziała wówczas, że podobne uczucia miała po usłyszeniu w Budapeszcie Izaaka Sterna. Chciała rzucić skrzypce. Ale profesor Ede Zathureczky pocieszył ją, że każdy w młodości po usłyszeniu kogoś wielkiego – przeżywa taki stres. Trzeba sobie wtedy powiedzieć: ten geniusz nie może wszędzie występować i dlatego ja muszę tym ludziom, którzy nigdy go nie usłyszą na żywo, starać się dawać jak najlepszą muzykę. Wandzia dodała: „Przecież wiadomo, że Karajan nigdy nie przyjedzie do Polski, a tym bardziej do Szczecina. Wracaj do domu i dyryguj najlepiej, jak potrafisz". Wróciłem i zmieniłem dwie ważne rzeczy w moim sposobie dyrygowania. Pierwsza to odrzucenie tak jak Karajan, batuty. Druga to układ dłoni; dotychczas trzymałem je bokiem, kciukiem do góry. Teraz, za przykładem Karajana odwróciłem je spodnią częścią do dołu, tak jakbym chciał coś chwycić. Nie była to łatwa zmiana po kilkunastu latach przyzwyczajenia. Zdarzało mi się przez pierwsze miesiące, że na koncertach wracałem niechcący do starego układu. I kiedy to zauważałem, poprawiałem w czasie dyrygowania. A potem ten nowy sposób okazał się o wiele dogodniejszy i wyparł całkowicie stary. Zaś dyrygowanie bez batuty pozwalało mi na swobodniejsze frazowanie, choć wiele osób miało inne zdanie, m.in. Rowicki. Kiedy zobaczył w Filharmonii Narodowej, że dyryguję bez batuty, wpadł po koncercie do pokoju artystycznego z krzykiem.

- Zwariowałeś! Dlaczego dyrygujesz bez batuty?

Odpowiedziałem:

- Po pierwsze nie krzycz (byliśmy już wtedy „na ty"), a po drugie powiedz czy orkiestra z tego powodu grała mniej równo?

Zastanowił się i odparł:

- Noo, nie.

- To o co ci chodzi?

Znowu się zastanowił i rzekł:

- Bo to nie była muzyka klasyczna. Spróbuj bez batuty zadyrygować Mozarta.

Czując, że zyskuję przewagę, powiedziałem:

- Umówmy się: wstawię do następnego koncertu klasyczny utwór, a ty mi powiesz, czy brak batuty odbije się ujemnie na precyzji grania.

I rzeczywiście na najbliższym koncercie w Filharmonii Narodowej zadyrygowałem jakiś (nie pamiętam, co to było) utwór klasyczny. Po koncercie Rowicki przyszedł i lojalnie przyznał, że pomimo braku batuty w moim ręku, orkiestra grała równo.

Festiwal w Lucernie - Rubinstein

O ile pamiętam, były na festiwalu jeszcze dwa koncerty symfoniczne. Pierwszy z Berlińskimi Filharmonikami prowadził Karl Böhm. Słyszałem, że należy do wybitnych dyrygentów o światowej renomie. Mnie się nie spodobał. Na początku koncertu dyrygował wstępem do „Lohengrina" i miał tak niewyraźne ruchy, że znakomita orkiestra po prostu się rozsypała. Böhm musiał przerwać i zacząć utwór od początku. Czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałem. Co było potem w programie – zupełnie zapomniałem. Jest to najlepszy dowód, że koncert nie wywarł na mnie żadnego wrażenia. Znacznie później telewizja emitowała cykl symfonii Mozarta w wykonaniu Wiener Philharmoniker pod dyrekcją Böhma. Również i tym razem interpretacja była dla mnie nudna. Jeszcze później przy jakimś przypadkowym spotkaniu dyskutowałem z Krenzem, który był wielbicielem Böhma. Powiedziałem wówczas, że na pewno jest to znakomity muzyk, umiejący pracować z orkiestrą, znający doskonale partyturę, ale według mnie pozbawiony temperamentu i polotu.

Drugi koncert w wykonaniu bodajże jakieś orkiestry francuskiej i dyrygenta tej samej narodowości (nazwisko wyleciało mi z pamięci) był – moim zdaniem – zupełnie kiepski. Orkiestra wprawdzie grała nienagannie, ale z interpretacją „Obrazków z wystawy" nie mogłem się zgodzić. Pozbawiła muzykę Musorgskiego całej drapieżności. Była uładzona, elegancka, chciałoby się rzec – francuska. Brakowało kontrastów dynamicznych, rozkładu napięć i właściwego rosyjskiej muzyce patosu. Genialność Musorgskiego została zagubiona.

Natomiast recital Elizabeth Schwarzkopf był kolejnym wielkim przeżyciem. Pokazał, że samym głosem, jego barwą i artykulacją, można przekazać zawartość tekstu. Program zawierał wyłącznie pieśni z kręgu kultury niemieckiej, od Mozarta do Wolfa. Choć publiczność składała się z osób różnych narodowości, zapewne w większości nieznających języka niemieckiego, kiedy Schwarzkopf śpiewała żartobliwą pieśń – ludzie się uśmiechali, kiedy pieśń była smutna, twarze poważniały. Było coś wspaniałego w tej symbiozie kompozytora, wykonawczyni i słuchaczy. Tylko naprawdę wielka artystka potrafi to osiągnąć. Muszę jeszcze zaznaczyć, że niewiarygodna swoboda interpretacyjna Schwarzkopf była możliwa dzięki wręcz rewelacyjnemu akompaniatorowi. Żałuję, że zapomniałem jego nazwiska. On nie towarzyszył solistce, on razem z nią tworzył każdą pieśń. Było to coś niezwykłego.

I kolejnym niezapomnianym przeżyciem był recital Artura Rubinsteina. W programie obok innych utworów był „Karnawał" Schumanna. Pierwszy raz usłyszałem ten utwór jeszcze w Warszawie, w czasie okupacji, a potem parokrotnie w różnym wykonaniu. Ale

to co zaprezentował Rubinstein, było czymś zupełnie wyjątkowym. Potrafił osiągnąć coś, co wydawało mi się przedtem niemożliwe: połączył kilkanaście miniatur w spójny ciąg, zachowując jednocześnie odrębność każdej z tych, trwających kilka minut miniatur. Była to olśniewająca interpretacja, w której kontrastowość poszczególnych fragmentów stała się elementem spajającym je w logiczną całość. O niezwykłym brzmieniu, cyzelowaniu szczegółów i fascynującym frazowaniu nie warto nawet wspominać. To były cechy gry Rubinsteina, które znałem już z jego nagrań.

Po koncercie, zakończonym owacjami i bisami, postanowiłem pójść do Rubinsteina, aby wyrazić swój zachwyt. Za kulisami kłębił się tłum wielbicieli, pragnących dostać się do artysty i zdobyć autograf. Ale przed wejściem na tzw. zaplecze stał elegancko ubrany młody mężczyzna, który tłumaczył, że „…Mr Rubunstein is very, very tired" i nikogo nie może przyjąć. Obok stał policjant, aby w razie potrzeby czynnie poprzeć słowa młodego mężczyzny, zapewne przedstawiciela festiwalu. Podszedłem do niego i powiedziałem, że jestem dyrygentem z Polski i że znam osobiście Mr Rubinsteina. Młody mężczyzna popatrzył na mnie badawczo, potem poprosił, abym chwilę zaczekał i znikł za drzwiami, prowadzącymi na zaplecze. Policjant zajął jego miejsce. Po chwili mężczyzna wrócił i powiedział, że Mr Rubinstein mnie prosi. Odprowadzany zawistnymi spojrzeniami czekających, udałem się za moim przewodnikiem. W głębi wielkiego salonu przy fortepianie stały dwie panie, pogrążone w rozmowie, a bliżej drzwi oczekiwał mnie drobny, niepozorny sam Artur Rubinstein. Przedstawiłem się, a on po chwili namysłu, powiedział:

- Pamiętam, pamiętam. Poznaliśmy się w Warszawie.

Kiedy wyraziłem swój zachwyt koncertem, a szczególnie „Karnawałem", nastąpiło coś co zapamiętałem na całe życie. Ten wielki pianista, podniósł głowę (był ode mnie niższy), popatrzył na mnie z wyraźnym niepokojem i zapytał:

- Naprawdę tak się panu podobał „Karnawał"?

Z entuzjazmem niemal krzyknąłem:

- Podobał? To było coś cudownego! Nigdy równie pięknego „Karnawału" nie słyszałem.

A wtedy Rubinstein odetchnął z ulgą i powiedział:

- Dziękuję. Mnie też się wydawało, że dzisiaj grałem go dobrze.

Zaniemówiłem. Jeden z największych pianistów świata pyta się nieznanego młodego człowieka czy podobało mu się wykonanie „Karnawału", a kiedy słyszy odpowiedź twierdzącą, skromnie przyznaje, że i jemu się wydawało, że dobrze grał. Taka pokora wobec muzyki jest czymś, co cechuje tylko naprawdę wielkich artystów. Byłem tak wstrząśnięty, że powiedziałem „Do widzenia" i wyszedłem.

A kiedy potem w moim długim życiu spotykałem zachwyconych sobą przeciętniaków, odczuwałem głęboki niesmak. Siebie zaś pilnowałem, aby nigdy nie pozwolić sobie na samozadowolenie. Rubinstein nauczył mnie, że tylko muzyka jest wielka. My zaś, wykonawcy, powinniśmy jej służyć, zdając sobie sprawę z własnej małości.

Koncert w Wilhelmshaven

W styczniu 64 roku pojechałem na koncert do Wilhelmshaven. Wizę wystawiała w tamtym czasie Wysoka Komisja Aliancka w Berlinie, ponieważ pomiędzy Polską i NRF nie istniały jeszcze stosunki dyplomatyczne. W Warszawie wsiadłem do bezpośredniego

wagonu I klasy, bodajże do Frankfurtu, ale za to nie dam głowy. Na berlińskim Ost-Bahnhof wysiedli wszyscy pasażerowie i zostałem zupełnie sam. NRD-owscy funkcjonariusze przeszukali dokładnie wagon i sprawdzili mój paszport. Potem doczepiono parę wagonów. Zajechaliśmy na dworzec Alexander-Platz. Zobaczyłem przykry widok. Na peronie w styczniowym chłodzie stało mnóstwo zziębniętych ludzi z dziećmi. Byli to „zachodni" Niemcy, którym pozwolono na odwiedzenie rodzin w święta Bożego Narodzenia. Teraz po Nowym Roku wracali do domów. Pomiędzy pociągiem a czekającymi ludźmi stał kordon funkcjonariuszy Volks-Polizei. Nieruchome, obojętne twarze i szeroko rozstawione nogi. Przypomniała mi się okupacja, wyjście z Warszawy po powstaniu. Z jedną zasadniczą różnicą. Wtedy byłem jeńcem, a teraz pasażerem I klasy, ubezpieczonym aliancką wizą. Mijały minuty. Byłem pewien, że to oczekiwanie jest swoistą formą szykany. Wreszcie padł rozkaz, policjanci odsunęli się na boki i ludzie mogli wreszcie wejść do ogrzanych wagonów. Pociąg ruszył i po jakimś czasie wjechał pomiędzy wysokie ogrodzenie, które z obu stron oddzielało tor od świata zewnętrznego. Wyszedłem na korytarz, aby lepiej widzieć ogrodzenie. Było szczelne i wyższe niż wagony. Widok makabryczny. Domyśliłem się, być może błędnie, że to ogrodzenie było częścią berlińskiego muru. A potem nagle ogrodzenie urwało się i wjechaliśmy na dworzec Friedrichstrasse. Byliśmy w Berlinie Zachodnim.

Oczywiście przy wyjeździe z Zachodniego Berlina na terytorium NRD znowu zobaczyłem wysokie ogrodzenia z kolczastego drutu i wieżyczki strażnicze. Następna kontrola paszportów, która potem regularnie powtarzała się co kilkadziesiąt minut. To też wyglądało na celową szykanę, ponieważ pociąg jadąc przez NRD, ani razu się nie zatrzymał. Wreszcie ostatnia kontrola i znaleźliśmy się w Niemieckiej Republice Federalnej. Nie potrafię przypomnieć sobie, jak nazywała się pierwsza duża stacja, na której wreszcie pociąg się zatrzymał. Ponieważ mieliśmy znaczne opóźnienie, na peronie stali kolejarze, którzy sprawnie i grzecznie informowali podróżnych o aktualnych połączeniach. Z mojego przedziału wysiedli wszyscy, a po chwili zjawił się jeden tylko pasażer. Kiedy pociąg ruszył, coś do mnie zagadał. Z mojej odpowiedzi zorientował się, że jestem cudzoziemcem i tak zaczęła się rozmowa, którą z pamięci przytaczam.

On – A pan, przepraszam, z jakiego kraju?

Ja – Z Polski.

On – Aha. A gdzie nauczył się pan tak dobrze niemieckiego?

Było to grzecznościowe kłamstwo, ponieważ moja niemczyzna była i jest nadal wręcz fatalna.

Ja – W czasie wojny, w niemieckim obozie.

To też było kłamstwo, bo niemieckiego uczyłem się już w dzieciństwie. Chwila milczenia, po której Niemiec podjął rozmowę.

- Cieszę się wobec tego, że teraz jedzie pan do Niemiec w innym charakterze.

A ja na to wesoło:

- Zapewniam pana, że ja cieszę się jeszcze bardziej.

I tak prowadziliśmy sobie „przyjacielską" rozmowę. Rozstaliśmy się w środku nocy w Bremie. On jechał dalej, ja miałem przesiadkę do Wilhelmshaven. Na pożegnanie dał mi swoją wizytówkę i zaprosił do Essen, gdzie mieszkał. Poszedłem do dworcowego baru, aby coś zjeść. Ciekawe jak czasami mało znaczące szczegóły zapadają w pamięć. Wiem na pewno, że zamówiłem jajecznicę ze smażonymi ziemniakami. Nie mogę sobie np. przypomnieć, w którym roku byłem na Festiwalu w Lucernie, choć dokładnie pamiętam rozmowę z Rubinsteinem, a nawet z właścicielką hotelu-pensjonatu. A może po prostu nie

mam tzw. pamięci do dat? Co również byłoby trudne do wytłumaczenia, bo znaczną liczbę dat wielkich wydarzeń historycznych pamiętam.

Wracam jednak do baru na dworcu w Bremie. Kiedy jadłem jajecznicę, do wnętrza baru wtargnęła paroosobowa grupa kilkunastolatków. Byli podpici i prawdopodobnie także pod wpływem narkotyków, na co wskazywały ich ruchy. Zachowywali się głośno i idąc od stolika do stolika, zaczepiali siedzących i jedzących pasażerów. Poczułem przypływ złości. Bar był pełen ludzi i nikt, łącznie z obsługą, nie reagował na zakłócanie spokoju. Zdecydowałem, że jeśli mnie spróbują zaczepić – wywołam awanturę. Kiedy hałasująca grupa zbliżyła się do stolika, przy którym siedziałem, przerwałem jedzenie, odłożyłem widelec i spojrzałem na nich nieprzyjaźnie. Mój wzrok musiał być na tyle ostry i pełen złości, że przycichli. Widziałem ich zaczerwienione twarze, szkliste oczy, wpół otwarte usta i nieskoordynowane ruchy. Czekałem. Chwilę stali, poczem opuścili bar. Czułem zaciekawione spojrzenia siedzących najbliżej.

Kiedy później w Wilhelmshaven opowiedziałem o tym paru muzykom, dodając komentarz, że w Polsce młodzież w tym wieku nie mogłaby w środku nocy wałęsać się po dworcu, usłyszałem wyjaśnienie, które przytaczam w miarę dokładnie.

„Wy w Polsce macie z wychowywaniem młodzieży lepszą sytuację. Wygraliście wojnę, w której bohatersko walczyliście. My natomiast, kiedy tłumaczymy młodzieży, aby uczyła się, pracowała i zachowywała przyzwoicie, słyszymy w odpowiedzi: wy byliście porządnymi obywatelami, a świat nazywa was mordercami. Do tego doprowadziły was słynne niemieckie cnoty. My wolimy żyć na luzie z dnia na dzień".

Nie wiem czy to wyjaśnienie było prawdziwe, czy tylko stanowiło próbę usprawiedliwienia niemożności osiągnięcia porozumienia pomiędzy pokoleniami.

Orkiestra w Wilhelmshaven nie była ani duża ani dobra. Ale próby przebiegały sprawnie, a na koncercie miałem prawdziwe powodzenie. Kiedy po paru tygodniach otrzymałem przesłaną do Szczecina recenzję z miejscowej gazety, nie wierzyłem własnym oczom. Krytyk przyrównał moje dyrygowanie do… Karajana! Był to największy komplement, jaki mogłem otrzymać, chociaż w jego prawdziwość ani przez chwilę nie wierzyłem.

Po koncercie burmistrz zaprosił mnie do swojego domu na mały poczęstunek. I od razu, bez żadnego wstępu, zaproponował mi pozostanie w Wilhelmshaven i stanowisko szefa orkiestry. Była to zaskakująca propozycja. Podał również warunki: jeden koncert w miesiącu i pensja 3 000 marek. Propozycja okazała się zatem również finansowo nęcąca. Mieszkając przez kilka dni w Niemczech, spacerując po mieście, rozmawiając z muzykami i oglądając ceny, wiedziałem, że 3 000 marek to spora suma. Muzycy mieli pensje w średniej wysokości 1 000 marek. Płaszcz z futrzaną podpinką kosztował 90 marek, a nowy model Volkswagena w salonie samochodowym 4 500 marek. Tak więc pensja dyrygenta w Wilhelmshaven była nieporównywalnie wyższa od mojej pensji dyrektora w Szczecinie. Burmistrz mówił: „Niech pan w ogóle nie wraca do Polski. Załatwimy panu azyl".

Podziękowałem za tak cudowną (wunderbar) propozycję, ale dodałem, że niestety nie mogę jej przyjąć. Powiedziałem, że nie chcę prosić o azyl i żyć w obcym kraju. Mogę przyjeżdżać na koncerty, ale tylko jako gość. Tłumaczyłem: w Polsce jeśli coś mi się nie podoba – mogę to mówić głośno, a tutaj na słowa krytyki, każdy Niemiec będzie miał prawo oświadczyć: „Jak się panu nie podoba, to niech pan wraca do swojego kraju".

Na to burmistrz z powątpiewaniem:

- To w Polsce wolno głośno krytykować władze?

A ja odpowiedziałem:

- Panie burmistrzu, ja za swój kraj dosłownie przelewałem w czasie wojny krew. I to daje mi moralne prawo do krytyki. Mogę oczywiście narazić się na takie czy inne nieprzyjemności, ale to w niczym nie zmienia faktu, że człowiek ma inne prawa we własnym domu niż obcym.

Nie wiem czy burmistrz zrozumiał, ale musiał się pogodzić z moją odmowną decyzją.

W roku 1968 podobną propozycję otrzymałem w Szwecji. Tam argumentowano, że skoro – jak wynikało z rozmów – nie zgadzam się z tym co w tamtym roku działo się w Polsce (szykanowanie Żydów oraz interwencja w Czechosłowacji) – powinienem nie wracać do kraju. Odpowiadałem niezmiennie, że Polska jest moim domem, o który walczyłem i że nie chcę go zostawić na pastwę idiotów. Pamiętam, że użyłem tego słowa, aby zakończyć dyskusję.

Dwadzieścia lat później, w roku 1988 zaproponowano mi prowadzenie studenckiej orkiestry w Musik Hochschule w Mannheimie. Również odmówiłem, a kiedy parę osób nadal namawiało mnie usilnie, powiedziałem:

- W Polsce jestem dyrektorem państwowej filharmonii i organizuję rocznie około 1 000 koncertów dla dzieci i młodzieży. Tutaj nie miałbym nigdy takich możliwości. Zgadzam się z państwem, że zarabiam mało, ale czy naprawdę pieniądze są najważniejsze?

Część moich rozmówców zgodziła się ze mną, mówiąc krótko: „Richtig".

Przez długie lata nie żałowałem ani jednej z tamtych decyzji. Dopiero teraz zaczynam mieć wątpliwości czy postąpiłem słusznie. Co jest naprawdę smutne. Ale o tym napiszę w ostatnim rozdziale.

Rozdział XXVI

SZCZECIN (IV)

Kuba – dziwny kraj

Na początku 64 roku otrzymałem propozycję wyjazdu na dwa koncerty do Hawany. Nie pamiętam czy była to inicjatywa Ministerstwa Kultury i Sztuki czy „Pagartu". Zdaje się, że byłem pierwszym polskim dyrygentem, który wyjechał na Kubę. A teraz krótkie streszczenie sytuacji politycznej: styczeń 59 – obalenie dyktatury Battisty, kwiecień 61 – inwazja w Zatoce Świń, październik 62 – kryzys kubański związany z rozmieszczeniem rakiet radzieckich na wyspie. Jak mi opowiadał w zaufaniu profesor antropologii na uniwersytecie w Hawanie, Fidel Castro nie był marksistą i przez ponad rok po zdobyciu władzy chciał nawiązać stosunki z USA. Napotkał stanowczą odmowę. Wówczas w przymusowej sytuacji ekonomicznej, zwrócił się do ZSRR. Był to typowy, parokrotnie powtarzany, błąd polityki amerykańskiej: popierając obalonych dyktatorów, wpychali kraje w „objęcia komunizmu". Albo w chaos.

Jak sądzę, niepewna sytuacja polityczna, mogła zniechęcić czołowych polskich dyrygentów do wyjazdu na Kubę i być może dzięki temu zostałem wybrany. A dla mnie możliwość poznania egzotycznego kraju była tak nęcąca, że żadne niebezpieczeństwo nie mogło mnie odwieść od przyjęcia propozycji. Wyjazd miał charakter oficjalny i dlatego dzień przed odlotem przyjął mnie attache kulturalny ambasady kubańskiej. W krótkiej i nader sztywnej rozmowie opowiedział mi, że Orkiestra Narodowa jest znakomitym zespołem, którym dyrygowali tacy mistrzowie jak Toscanini, Krauss, Walter, Kleiber, Klemperer. Czy była to prawda, nigdy nie sprawdziłem, choć o koncercie gościnnym Toscaniniego sprzed wielu lat opowiadali mi potem muzycy z orkiestry.

O ile się orientuję, w tamtym czasie na Kubę latały tylko samoloty radzieckiego „Aerofłotu" i czechosłowackiej „CŠA". „Pagart" preferował z przyczyn dla mnie nieznanych linię czechosłowacką. O moich podróżach różnymi liniami lotniczymi, napiszę innym razem. Łącznie byłem na Kubie trzykrotnie: w marcu 64, w lipcu 65 i w lipcu 75. Za pierwszym razem orkiestra sprawiła jak najlepsze wrażenie; była duża i doświadczona. Już po pierwszej próbie zauważyłem, że plus – minus połowa składała się z obcokrajowców. Dowiedziałem się, że byli wśród nich Amerykanie, Niemcy, Żydzi, Hiszpanie. Grali jeszcze za czasów Battisty i mieli sukcesywnie przedłużane kontrakty. Kiedy przyjechałem po roku, cudzoziemców było już mniej. A za trzecim razem, po upływie 10 lat, przewagę stanowili Kubańczycy. W „Pagarcie" uprzedzano mnie, że znaczna ich część zna tylko hiszpański. Tak więc przez parę miesięcy uczyłem się tego skądinąd pięknego, ale zupełnie dla mnie obcego języka, aby móc prowadzić próby. Musiałem umieć posługiwać się najprostszymi słowami i zwrotami, jak np. pięć taktów przed (lub po) literze A, albo przed (lub po) numerze 10. Do tego takie zwroty jak: za głośno, za szybko, za wolno, jeszcze raz, same dęte czy same

smyczki. Jakoś dawałem sobie radę, choć po paru latach zapomniałem niemal wszystko. Podobnie innym razem musiałem nauczyć się takich samych słów i zwrotów po rumuńsku, kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych miałem kilka wyjazdów do Rumunii.

Narodowa Orkiestra w Hawanie, którą zastałem w roku 75, była cieniem dawnej. Gorsza dyscyplina, bałagan organizacyjny i co najważniejsze – obniżenie tzw. poziomu artystycznego. Domyślałem się, że na miejsce doświadczonych cudzoziemskich muzyków, którym nie przedłużono kontraktów, zatrudniono młodych Kubańczyków. Taka zamiana kilkunastu czy kilkudziesięciu osób, nawet jeśli dokonywała się na przestrzeni paru lat – musiała spowodować obniżenie poziomu. W dodatku stałymi dyrygentami byli Kubańczycy. Jeden z nich ukończył podobno studia w NRD, drugi w ZSRR, ale główny dyrygent, a zarazem dyrektor nie miał żadnego wykształcenia muzycznego. Po prostu przez lata „przyuczał się" do zawodu dyrygenta. Na moje pytanie dlaczego kieruje Narodową Orkiestrą, usłyszałem, że jest członkiem Partii Komunistycznej.

W moim długim życiu odwiedziłem kilkadziesiąt krajów; niektóre po parę lub parenaście razy. Do najciekawszych zaliczyłbym Izrael, Kubę, Liban i Japonię. W tym pierwszym kraju połączenie starożytnej historii, w dodatku biblijnej i przenikającej codzienne życie tradycji religijnej z nowoczesnością, było czymś niepowtarzalnym. Do tego atmosfera oblężonej twierdzy i zmilitaryzowana młodzież na ulicach. Nigdy potem nie spotkałem podobnego kraju. Kuba wydała mi się krajem „wymyślonym", „sztucznym" wręcz „nierzeczywistym". To wrażenie było szczególnie silne w czasie pierwszej bytności. Na Kubie wszystko było „na kartki", nawet mleko i owoce. Do reglamentacji żywności byłem przyzwyczajony; w Polsce – o ile pamiętam – zniesiono ją dopiero w latach pięćdziesiątych. Ale kiedy dowiedziałem się, że każde dziecko dostaje tylko talon na jedną zabawkę rocznie, powiedziałem ze złością: „Ustrój, który pozbawia dzieci zabawek – nic nie jest wart!".

Z lotniska samochód Orkiestry zabrał mnie do hotelu. Był to 20-piętrowy budynek, który przed rewolucją nazywał się „Habana Hilton" i należał do słynnej światowej sieci luksusowych hoteli. Obecnie nosił nazwę „Habana Libre". Po kąpieli (podróż trwała ponad 20 godzin), postanowiłem zatelefonować do ambasady. Kiedy podniosłem słuchawkę, usłyszałem taki tekst telefonistki: „Cuba, libre territorio de America. Muerte o victoria!" Cytuję z pamięci po tylu latach, nie ręczę zatem za prawidłową gramatykę. A po polsku to: „Kuba, wolne terytorium Ameryki. Śmierć albo zwycięstwo!" Było to tak nieoczekiwane, że o mało nie wypuściłem z ręki słuchawki telefonu. Te same zdania zobaczyłem później wydrukowane na każdym rachunku restauracyjnym. A w holu hotelowym widniał ogromny transparent z napisem, oczywiście hiszpańskim, który w tłumaczeniu brzmiał: „Kobieto kubańska, pamiętaj o swoim honorze!" To miało powstrzymać Kubanki od oddawania się za pieniądze zagranicznym gościom. W sali restauracyjnej również wisiał napis: „Towarzyszu kelnerze, nie bierz napiwków!"

Powiedziałem potem ambasadorowi, że połączenie socjalizmu czy może raczej komunizmu z iberoamerykańskimi obyczajami, patosem, nieodpowiedzialnością dało przerażające efekty. Obecnie unikam takich uogólnień, ale myślę, że często są zgodne z rzeczywistością. Np. w czasie drugiego pobytu mieszkałem w hotelu „Habana-Riviera". Przed rewolucją był podobno najbardziej luksusowy w całej Hawanie. Od razu po zajęciu pokoju zauważyłem, że na jednej ze ścian wisi na wpół oderwany spory kawał tapety. Zgłosiłem to w recepcji i otrzymałem odpowiedź, że w przyszłym roku hotel będzie remontowany, wobec tego nie warto teraz przyklejać tego kawałka oderwanej tapety. Aby nie patrzeć codziennie na coś tak brzydkiego i smutnego, przy pomocy igły i nitki (zawsze wożę ze sobą mały przybornik) zszyłem tapetę!

Jadąc z lotniska, zobaczyłem ogromny, wielopiętrowy, ciągnący się kilkaset metrów budynek. Kiedy zapytałem co to za urząd, usłyszałem, że to Ministerstwo Transportu. Na małej wyspie! Słynny Malecon, to jeden z najpiękniejszych nadmorskich bulwarów, jakie widziałem. Niestety w ogóle nie odnawiany. Wspaniałe, ogromne hotele bez gości, puste restauracje, kawiarnie i bary, w których pod ścianami stali kelnerzy i grający duży zespół, wykonujący rumby, samby czy mamby. W pokojach hotelowych w nocnych stolikach zamontowane były radia z dziesięcioma kanałami o zróżnicowanym repertuarze, nadającymi nieprzerwanie przez całą dobę. Każdy koncert symfoniczny był powtarzany w studio telewizyjnym, ponieważ – jak mi powiedziano, w Hawanie nadal działały równolegle cztery kanały telewizyjne. W tym samym czasie w Polsce „raczkował" dopiero jeden! Nasz ambasador powiedział mi, że jego radziecki kolega miał niedawno kłopot. Otrzymał biuletyn do rozpowszechniania na Kubie, w którym między innymi wiadomościami znajdowała się wzmianka, że w Moskwie uruchomiono drugi kanał telewizyjny. Jak mógł przekazać taką informację prasie kubańskiej? Przodujące mocarstwo, wielki Związek Radziecki cieszył się z otwarcia drugiego kanału telewizji, podczas gdy na małej, biednej Kubie od wielu lat funkcjonowały cztery! Ale kiedy przejeżdżałem samochodem obok starych dzielnic, widziałem objawy przerażającej nędzy i zacofania. Takiej fasadowości nie było nawet w ZSRR. I takich różnic. Przed rewolucją – jak mi mówiono – pieczywo do hotelowych restauracji dowożono trzy razy dziennie samolotami z Miami. Tylko 20 minut lotu! Amerykanie nie ufali higienie hawańskich piekarzy. Napiwki dla tragarzy rzucali podobno na ziemię, byleby tylko nie dotknąć dłoni tubylca. Ale prostytutek było w tym milionowym mieście kilka tysięcy. Ich się jakoś Amerykanie nie brzydzili. Do Hawany przylatywali na weekendy, aby się zabawić. Ile było prawdy w tych opowiadaniach – nie wiem. Natomiast na własne oczy widziałem, spacerując wieczorami, jak w zabranych emigrantom wspaniałych willach starzy ludzie uczyli się czytać i pisać. Podobno na Kubie analfabetyzm sięgał 75% populacji. To przeplatanie dobrych i złych cech ustroju tworzyło dziwaczny konglomerat i wrażenie sztuczności. Do tego psychoza „oblężonej twierdzy". Wszystkie osoby na stanowiskach mieszkały w pilnie strzeżonych budynkach. Kiedy dyrektor Narodowej Orkiestry zaprosił mnie do siebie, w holu uzbrojony strażnik zatelefonował do jego mieszkania i sprawdził czy może mnie wpuścić do windy. A u dyrektora na fortepianie leżał pistolet maszynowy i magazynki z amunicją. Kiedy wyraziłem zdumienie, wyjaśnił, że w każdej chwili mogą spodziewać się ataku „imperialistów". Wszystkie tzw. obiekty użyteczności publicznej były pilnowane przez uzbrojonych pracowników. Muzycy również podlegali temu obowiązkowi. W czasie prób co godzinę ktoś wstawał, odkładał instrument, brał pistolet maszynowy i wychodził, aby towarzyszyć wartownikowi z wojska, który strzegł obiektu. Osobiście uważałem to za przesadną ostrożność. I w dodatku mało skuteczną w konfrontacji z armią Stanów Zjednoczonych.

Kuba - Hemingway

Trzy pobyty na Kubie dostarczyły mi wielu innych jeszcze wrażeń. Spróbuję je w największym skrócie zrelacjonować, nie trzymając się chronologii. Niewątpliwie najsilniejszym przeżyciem była wizyta w rybackiej wsi Cojimar. Hemingway kupił tam starą, pohiszpańską strażnicę. W głównym parterowym pawilonie urządził mieszkanie, w sąsiednim pokoje gościnne, a w wieży rodzaj schronienia dla siebie przed gośćmi,

a także zbiór pamiątek. W jednym pomieszczeniu umieścił na ścianach duże fotosy Ingrid Bergman jako Marii w filmie „Komu bije dzwon". Ten film widziałem jeszcze w Niemczech w 45 roku w wojskowym kinie. Do dzisiaj pamiętam dokładnie parę scen, a szczególnie zagraną po mistrzowsku scenę pożegnania Marii i Roberta Jordana. Od tego filmu – jak wiadomo - rozpoczęła się światowa kariera Ingrid Bergman. Podobno Hemingway był wielbicielem jej wielkiej sztuki aktorskiej. Cała posiadłość została po jego śmierci zamieniona na muzeum. Znacznie później dowiedziałem się, że nosiła nazwę „Finca Vigia". Kiedy przyjechałem razem z tłumaczem do Quiamar, okazało się, że muzeum jest nieczynne. Na szczęście tłumacz znalazł kustosza, a ten w drodze wyjątku dla „artysty z Polski", otworzył wszystkie pomieszczenia. Najciekawszy był wąski pokój, w którym Hemingway pracował. Kustosz objaśnił, że pisał na stojąco. Było to dla mnie całkowite zaskoczenie. Na wysokiej półce stała maszyna do pisania i leżały czyste arkusze papieru. Dialogi pisał na maszynie, a – i tu drugie zaskoczenie – do opisów przyrody, wydarzeń, miejscowości używał tzw. wiecznego pióra. Wszystkie podłogi pokryte były matami i dywanami, ponieważ Hemingway miał zwyczaj chodzenia po mieszkaniu boso.

Z muzeum pojechaliśmy do przystani, unieśmiertelnionej w opowiadaniu „Stary człowiek i morze", które nie tylko ja uważam za arcydzieło. Tam weszliśmy do małej tawerny, do której Hemingway często przychodził. Właściciel pokazał mi, na której ławce najchętniej siedział. Usiadłem i ja i wówczas okazało się, że widać z niej przystań, do której przybijał stary rybak Santiago. Było to wzruszające przeżycie. Fikcja literacka splotła się z rzeczywistością. Nigdy się nie dowiem, co w opowiadaniu było fantazją pisarza, a co prawdziwą historią. W tej tawernie uznałem, że w drodze wyjątku mogę odstąpić od swojej abstynencji i wypiłem na cześć Hemingwaya kieliszek jego ulubionego napoju alkoholowego. Być może była to tequila.

Innego rodzaju przeżyciem była wycieczka do największej podobno na świecie hodowli orchidei. Na przestrzeni dziesiątków metrów kwadratowych stały gigantyczne oranżerie, a w nich zobaczyłem zwieszające się z oszklonego sufitu grube kawałki kory, zraszane od góry przez kapiącą bez przerwy wodę. A do tej kory uczepione były „drapieżne", pasożytnicze orchidee. Ich kolory i kształty sprawiały, że czułem się przeniesiony do jakiegoś całkiem nierealnego, baśniowego świata. Nie wierzyłem własnym oczom. Równie pięknych kwiatów dotąd nie tylko nie widziałem, ale nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić. Potem dowiedziałem się, że orchidee były ważnym obok cukru trzcinowego i tytoniu towarem eksportowym.

W starej części Hawany znajdowała się znana tawerna, do której zaproszono mnie na kolację. Jej osobliwość stanowił zwyczaj pozostawiania na ścianach autografów. Nie wiem, od jak dawna istniał ten zwyczaj, ale pokazano mi podpisy słynnych gwiazd filmowych czy czołowych mężów stanu. Były wśród nich oczywiście Hemingwaya, Ingrid Bergman i Gary Coopera. Żałuję, że wyleciały mi z pamięci inne znane nazwiska. Właściciel, kiedy się dowiedział kim jestem, poprosił abym również pozostawił swój autograf. Poczułem się głupio. Uważałem, że byłoby bezczelnością umieszczać swoje nazwisko przy takich sławach. Ale skoro wszyscy nalegali, znalazłem gdzieś puste miejsce w kąciku i złożyłem swój podpis. Ciekawe czy tawerna jeszcze istnieje i czy pozostały te setki autografów. A kolacja na moją prośbę składała się wyłącznie z autentycznych kubańskich potraw. Pamiętam jakąś rybę, kiełbaski i fasolę z wątrobą i ryżem. Wszystko było odmienne w smaku od potraw europejskich. Ostre i pyszne.

Wspominając Kubę nie można pominąć plaż, słynnych w całej środkowej Ameryce. Rzeczywiście przybrzeżne palmy, miękki piasek, przejrzysta woda tworzyły urzekającą całość. A nad nimi niepokalanie błękitne niebo i ogromne złote słońce. Na którym żaden przybysz nie może się bezkarnie opalać dłużej niż parę minut. Raz zdarzyło się, że kazano wszystkim wyjść z wody, ponieważ ratownik siedzący na wieży zauważył płetwę grzbietową rekina. Było to chyba na najbardziej znanej plaży w Varadero.

Czas wreszcie napisać o koncertach. Rozpoczynały się z dokładnie godzinnym opóźnieniem! Na afiszach było napisane 20, ale nigdy nie zdarzyło się, aby koncert rozpoczął się punktualnie. Kiedy zapytałem czy nie można by ustalić od razu godziny 21, dowiedziałem się, że wtedy koncert rozpocząłby się i tak o godzinę później. Po prostu publiczność przyzwyczaiła się do schodzenia stopniowo, bez pośpiechu, do spacerowania przed Teatro Amadeo Rodan, siedzeniu w kawiarni i rozmawianiu. Dla mnie było to naprawdę denerwujące, zwłaszcza za pierwszym razem w 1964 roku. Ale Kubańczycy uważali ten zwyczaj za normalny i właściwy. Recenzje otrzymałem znakomite i zostałem zaproszony do dyrygowania koncertami w następnym sezonie.

I jeszcze jedno interesujące – moim zdaniem – spotkanie. Ponieważ - o ile pamiętam – byłem pierwszym polskim dyrygentem na Kubie, ambasador zorganizował z tej okazji popołudniowe spotkanie z hawańskim środowiskiem kultury. Nie wiem, jak to się nazywa w języku dyplomatycznym. Były wydrukowane zaproszenia, w których napisano, że z okazji mojej wizyty na Kubie, ambasador ma zaszczyt zaprosić takiego a takiego towarzysza na …itd. Żałuję, że nie zabrałem na pamiątkę jednego egzemplarza zaproszenia. Kiedy zaczęli się schodzić goście, musiałem stać koło ambasadora i witać każdego przybyłego. Oczywiście poza dyrektorem Narodowej Orkiestry nikogo nie znałem. A potem, zgodnie ze wskazówkami ambasadora, musiałem z kieliszkiem w ręku chodzić po tzw. salonach i zamieniać z gośćmi parę grzecznościowych zdań. Było to nudne i męczące, bo o czym można rozmawiać z całkiem obcymi ludźmi? Na szczęście niektórzy goście sami do mnie podchodzili, aby zapytać o moje wrażenia z pobytu na Kubie lub o przebieg prób z orkiestrą. I wtedy konwersacja była łatwiejsza. W pewnym momencie zbliżył się do mnie wysoki Murzyn i przedstawił się jako muzykolog i reprezentant Kuby w UNESCO. Potem zapytał o program mojego koncertu. Kiedy rozmawialiśmy, podeszło do nas jeszcze parę osób. Na ich widok Murzyn zadał mi donośnym głosem zaskakujące pytanie:

- Dlaczego na całym świecie wszyscy muszą grać muzykę europejską, a w Europie w ogóle nie gra się muzyki afrykańskiej?

Popatrzyłem na niego zdziwiony. Pytanie było wręcz absurdalne i uznałem, że muzykologowi nie wypadało go w ogóle zadać. Albo miało to być celową prowokacją, albo wynikało z głębokiej frustracji. Odpowiedziałem spokojnie, ze świadomie przesadną wyrozumiałością:

- Dobrze pan wie, że tylko w Europie na przestrzeni setek lat wypracowano duże i skomplikowane formy, takie jak: oratorium, opera czy symfonia. Tylko w Europie zbudowano niezwykle precyzyjne instrumenty muzyczne od ogromnych organów i koncertowych fortepianów po malutkie flety piccolo, nie wspominając mistrzowskich skrzypiec o niedoścignionym pięknie brzmienia. Tylko w Europie powstały wielkie zespoły instrumentalne i wokalne. I tylko w Europie stworzono instytucje muzyczne w rodzaju konserwatorium, teatru operowego czy filharmonii. W tym miejscu przerwałem, w iście teatralny sposób potoczyłem wzrokiem po grupce słuchaczy i podjąłem wątek:

- Słyszałem muzykę afrykańską i widziałem instrumenty, na których się ją wykonuje.

Jest to tylko i wyłącznie folklor. Jak pan wie, w każdym kraju na świecie istnieje folklor czyli muzyka ludowa. W Polsce również. Ale utwory muzyki ludowej są krótkie, proste w budowie i mają charakter użytkowy. Jako muzykolog wie pan o tym najlepiej. I europejskiej muzyki ludowej nie gra się na estradach koncertowych, podobnie jak afrykańskiej. Kiedy w Afryce powstaną takie formy jak np. sonaty, symfonie czy oratoria i kiedy wreszcie zaczną tam tworzyć kompozytorzy na miarę Bacha czy Mozarta – będziemy w Europie grać w filharmoniach ich dzieła.

Otaczający mnie goście kiwali aprobująco głowami, a Murzyn miał – jak to się mówi – niewyraźną minę. Nie wiem czy kontynuowałby rozmowę, gdyby nie ambasador, który uważał, że zbyt długo przebywam w jednym miejscu i zabrał mnie do innej grupy gości. Ta wymiana zdań z Murzynem była naprawdę pouczająca, gdyż uświadomiła mi, jak głęboko tkwią w ludziach etniczne, narodowe czy kulturowe kompleksy.

Rumunia - Jugosławia

W Rumunii byłem kilkakrotnie i wykonałem łącznie kilkanaście koncertów w różnych, większych i mniejszych miastach. Zauważyłem, że był to jedyny kraj, w którym mieszkańcy jakby wstydzili się przyznać, że są Rumunami. Nigdy ani przedtem ani potem nie spotkałem się z czymś takim. Na ogół ludzie podkreślają wobec cudzoziemców swoją przynależność do własnego kraju, nawet jeśli nie zgadzają się z ustrojem czy rządem. Pamiętam, że na Kubie pewien profesor antropologii z nostalgią wspominał (oczywiście w cztery oczy), jak to przed rewolucją wspaniale żyło się w Hawanie. I utyskiwał na reglamentację żywności i utrudnienia z wyjazdem za granicę. Ale nawet on z dumą mówił o Kubie, jej osiągnięciach naukowych itd. Natomiast w Rumunii raz po raz słyszałem, że rumuńską kulturę stworzyli najpierw Rzymianie, potem Niemcy a wreszcie Francuzi. Pomimo że władze aż do śmieszności podkreślały starożytne korzenie nie tylko narodu, lecz przede wszystkim państwowości rumuńskiej. Samochód wyprodukowany w Rumunii nazywał się „Dacia", na pamiątkę plemienia Daków, przodków obecnych Rumunów. Zaproszono mnie do modnej restauracji, znajdującej się w specjalnie zbudowanym obiekcie, będącym powiększeniem dawnej, rzekomo starożytnej „dackiej" chaty. Kelnerzy byli ubrani w jakieś teatralne, skórzane stroje, wzorowane na ubiorach Daków z kolumny Trajana w Rzymie. Kolumna została wzniesiona w II wieku naszej ery, po zwycięstwie cesarza i ostatecznym rozgromieniu zbuntowanego plemienia. A najszybszy ekspres, kursujący bodajże pomiędzy Bukaresztem a Oradeą, nazywał się właśnie „Trajan". To dodawanie starożytnych korzeni państwu, które istniało niewiele ponad 100 lat, było dla mnie po prostu śmieszne.

W Timisoarze część muzyków po pierwszej próbie poinformowała mnie, że oni nie są Rumunami lecz Węgrami. A miasto naprawdę nazywa się Temesvar. Kiedy robiłem jakieś uwagi po niemiecku, ta węgierska część orkiestry nie chciała tłumaczyć moich słów części rumuńskiej. Dopiero po moich prośbach „łaskawie" podjęli się tego zadania. Kiedy w Sibiu poszedłem zwiedzać wspaniałą gotycką katedrę z XIV wieku, stary kościelny mówiący dobrą niemczyzną, wyjaśnił mi, że to Niemcy sprowadzeni przez jakiegoś księcia zbudowali tę katedrę i całe miasto. Potwierdził to dyrektor filharmonii, również o niemieckim nazwisku, który w dodatku w czasie wojny walczył na froncie wschodnim w rumuńskich oddziałach przeciwko Armii Czerwonej. W Sibiu te niemieckie tradycje były tak silne, że pomimo szykan ze strony władz, nadal je pielęgnowano i np. w niedzielę mieszkańcy szli do kościoła

w starych saksońskich strojach. Podobnie było w Ploesti. Po koncercie przyszedł jakiś młody mężczyzna, płynną niemczyzną pogratulował mi koncertu i powiedział, że pochodzi z Brasov. Na moje pytanie skąd tak dobrze zna język niemiecki, odparł z nieskrywaną dumą: „Bo ja jestem Niemcem!" Podobno urzędujący premier, Maurer, swoje dziecko wysłał w Bukareszcie nie do publicznej szkoły, ale prywatnej – niemieckiej. Co może być zwykłą plotką. Należy jednak pamiętać, że pierwszy król nowo powstałego w drugiej połowie XIX wieku państwa o nazwie Romania, pochodził z cesarskiej rodziny Hohenzollernów. A ponieważ Rumunia w czasie I wojny światowej walczyła po stronie Ententy, „w nagrodę dostała" w roku 1918 dawne księstwo siedmiogrodzkie, należące poprzednio do monarchii austro-węgierskiej. Nic zatem dziwnego, że ta niemiecko-węgierska mniejszość podkreślała swoją wyższość nad zacofaną, biedną rumuńską większością.

Prawie wszystkie hotele na prowincji pochodziły z lat trzydziestych i były w fatalnym stanie. Dominował brud. Dzisiaj już nie pamiętam, w którym mieście w łazience karaluchy wychodziły z każdej szpary. A kiedy z obrzydzeniem parę rozgniotłem butem, ich zwłoki nie zostały uprzątnięte przez cały okres mojego pobytu. A w Craiova zobaczyłem na ulicy kroczącego dumnie mężczyznę, za którym dreptała pokornie w odległości paru kroków kobieta, zapewne żona, dźwigająca na głowie… mały telewizor. Był to tak niezwykły widok, że stanąłem jak wryty. Ale poza mną nikt na to nie zwrócił uwagi.

W różnych krajach najbardziej mnie uderzał kontrast między starymi obyczajami, a powierzchowną nieraz nowoczesnością. Podobnie było w Izraelu, Libanie, Bułgarii czy Kubie. Splot religijnych nakazów, historycznej tradycji, etnicznej obyczajowości, dawnych nawyków w połączeniu ze współczesną techniką dawał zarówno zabawne jak i groźne rezultaty. Opowiadano mi w różnych krajach ponure historie, których wolę tutaj nie przytaczać. I władze, niezależnie od orientacji ideologicznej – nie mogły lekceważyć tego wszystkiego, co składało się na tzw. narodowe dziedzictwo. Czasami zresztą władze wykorzystywały to – jak wiadomo – do celów politycznych. I tak robią do dzisiaj.

Nie mniej ciekawym krajem, w którym miałem koncerty w końcu lat sześćdziesiątych – była Jugosławia. I znowu pojawia się określenie „sztuczny kraj". Kiedy decyzją zwycięskich państw powstała w roku 1918 Jugosławia jako monarchia, już od początku rysowały się poważne różnice, które niebawem stały się źródłem konfliktów. A w czasie II wojny światowej doprowadziły do straszliwej rzezi, która powtórzyła się po rozpadzie Jugosławii. Nie miejsce tutaj na najkrótszą nawet analizę, wystarczy przypomnieć, że Chorwacja i Słowenia, w znacznej mierze katolickie, przez kilkaset lat podlegały Habsburgom, zaś prawosławna Serbia Turkom. Do tego dochodził znaczny procent muzułmanów, a także odrębnych etnicznie Macedończyków i Albańczyków oraz paru innych mniejszych grup narodowościowych. Nawet alfabety były i są nadal odmienne w różnych częściach kraju.

Pierwszy raz miałem tylko jeden koncert z Narodową Orkiestrą w Belgradzie. Solistką była skrzypaczka, profesorka w stołecznym konserwatorium. Zaprosiła mnie i attachée kulturalnego polskiej ambasady na kolację do swojego domu. Mieszkała razem z siostrą pianistką i jej mężem. Attachée zabrał mnie z hotelu i razem pojechaliśmy do dużego, starego domu w willowej dzielnicy. Kiedy rozpoczęliśmy kolację, mąż pianistki powiedział, że jest profesorem historii na uniwersytecie belgradzkim i przed wojną przez jeden rok studiował w Krakowie. Poczem zwrócił się do mnie nieoczekiwanie.

- A pan jest kniaziem.

Zapadła cisza. Po chwili milczenia zdecydowałem się na protest.

- To niemożliwe. Wprawdzie moja rodzina wywodzi się z litewskich bojarów, ale nie kniaziów.

Ale profesor zaprzeczył.

- Widziałem dokumenty.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- A może myli pan nazwisko Wiłkomirski z Lubomirski? Lubomirscy to książęca rodzina.

Profesor obruszył się z lekka:

- Jako historyk takich błędów nie popełniam.

Przyznałem mu wobec tego rację i uznałem temat za wyczerpany. Ale najzabawniejsza był mina attachée. Jako dyplomata socjalistycznego państwa nie bardzo wiedział, jak ma się zachować. I wcale mu się nie dziwiłem. Stąd jego mina, pozornie obojętna, ale ze skrywanym zaskoczeniem. A ja do dzisiaj jestem pewien, że profesor się mylił.

Drugie wspomnienie dotyczy następnej bytności. Solistą koncertów w Belgradzie i Lubljanie miał być sławny Samson François, co stanowiło dla mnie niewątpliwe wyróżnienie. Cieszyłem się z góry na współpracę z nim, tym bardziej, że miał grać III koncert fortepianowy Prokofiewa. Kiedy zjawił się na próbie, zaskoczył mnie jego widok. Zniszczona twarz, rozbiegane oczy, nieskoordynowane ruchy i rozwichrzone włosy. Do tego szeroka peleryna. Wydawał mi się reliktem bohemy z przełomu XIX i XX wieku. Ale to wszystko nie miałoby żadnego znaczenia, gdyby dobrze grał. Okazało się jednak od samego początku, że François nie panuje nad sobą. Grał chaotycznie, nieprecyzyjnie, raz po raz myląc się i gubiąc. Byłem przerażony. Wydawało się, że solista nie słyszy w ogóle tego, co sam gra, a tym bardziej orkiestry. Kiedy przerywałem, aby coś poprawić – nie rozumiał, co do niego mówię. Próba była zupełnie nieefektywna. Nie wiedziałem, co robić. Po próbie odprowadziłem na bok przedstawicielkę jugosłowiańskiej agencji artystycznej, która pilotowała Françoisa i zapytałem czy może wie, co się stało z tak słynnym pianistą. Odpowiedziała, że prawdopodobnie François jest narkomanem. Zrozumiałem, dlaczego tak się zachowywał i tak grał. Pozbawiony narkotyków i zagrożony uwięzieniem nie panował nad sobą.

Próba generalna i koncert były dla mnie koszmarem. Należą do najgorszych wspomnień. Z Belgradu pojechałem do Lubljany. Uprzedziłem orkiestrę, używając eufemistycznego określenia, że solista gra wyjątkowo swobodnie. François wydawał się nieco spokojniejszy i bardziej opanowany. Wpłynęło to dodatnio na jego grę, choć w niewielkim stopniu. Może dano mu jakieś paranarkotyczne lekarstwo? A w rok później dowiedziałem się, że Samson François zmarł.

I jeszcze jedno, warte zapisania, wspomnienie z Jugosławii. Kiedy wyszedłem na ulicę w Lubljanie, zobaczyłem, że miejskie autobusy mają znak firmowy Mercedesa. Nie wierzyłem własnym oczom. A na sklepowych wystawach leżały zachodnie kosmetyki, które w tamtym czasie w Polsce można było kupić tylko za dewizy w „Peweksie". Od muzyków z orkiestry (znacznie lepszej niż belgradzka) dowiedziałem się, że władze republiki słoweńskiej mają prawo do samodzielnego prowadzenia handlu zagranicznego, oczywiście w ograniczonym zakresie. Ta względna swoboda pozwalała na sprowadzanie zachodnich produktów. Ale i tak Słoweńcy klęli na rząd w Belgradzie, twierdząc, że muszą – jak to określili – dopłacać do tych brudasów z południa. Istotnie, różnica cywilizacyjna między Lubljaną a Belgradem była uderzająca. A o ile większa między np. wsią słoweńską a bośniacką czy czarnogórską, mogłem się tylko domyślać. Ta powierzchowna nawet obserwacja wystarczyła, aby potwierdzić moje określenie „sztuczny kraj". Czym się to skończyło, wiemy z historii ostatnich lat, kiedy to Jugosławia rozpadła się po śmierci Tito w krwawej wojnie domowej.

Kilkanaście lat później pojechałem jeszcze dwukrotnie na koncerty do Dubrownika, który stanowił niemal enklawę. Przypuszczam, że turystów było więcej niż mieszkańców tego wyjątkowo pięknego miasta. Ale ta „europejskość" też sprawiała wrażenie sztuczności. Ciekawe czy obecnie Słowenia i Chorwacja po uzyskaniu niepodległości są już „normalnymi" państwami?

Lata 1964 - 1968

Bodajże pod koniec lat pięćdziesiątych władze zdecydowały, że w latach 1960-66 cały kraj obchodzić będzie 1000-lecie Polski. Była to inteligentna decyzja, ponieważ w podręcznikach historii jako początek państwowości polskiej widniała tylko jedna data: chrzest Polski w roku 966. Przesunięcie Milenium o parę lat wstecz miało udowodnić, że zanim nastąpił chrzest, Polska jako państwo już istniała. Wyprzedzono również zaplanowane przez Kościół na rok 1966 obchody. Te wszystkie – wynikające z doraźnych potrzeb politycznych – działania, miały jednak ogromne pozytywne znaczenie. Ożywiały zainteresowanie początkami Polski przy pełnej aprobacie władz. A to oznaczało wsparcie finansowe dla naukowych badań. Historycy wykorzystali te szanse i pojawiło się mnóstwo cennych monografii.

O ile pamiętam, w roku 1964 grupa 34 intelektualistów, chcąc również wykorzystać tę sprzyjającą „milenijną" atmosferę, wystosowała do premiera list, w którym postulowała zwiększenie nakładów na kulturę i złagodzenie cenzury. Ponieważ list podpisali najwybitniejsi uczeni i pisarze, początkowo miałem nadzieję, że władze ustosunkują się do niego pozytywnie. Tym bardziej, że postulaty były jak najbardziej słuszne. Tymczasem, jak się dowiedziałem od Wandzi, Mietka i różnych znajomych z Warszawy, władze uznały list za działanie antypaństwowe. Autorów listu oficjalna propaganda uznała niemal za wrogów. Słyszałem również, że niektórych szykanowano, wstrzymując np. ich publikacje oraz awanse na uczelniach. A co najsmutniejsze, list odniósł przeciwny skutek – zaostrzono cenzurę.

Wydarzenia, które będę teraz opisywał, wpłynęły bezpośrednio na moje życie. Niektóre miały wymiar historyczny, inne dotyczyły tylko mnie. Wszystkie jednak zaważyły nie tylko na moim życiu, lecz także na kształtowaniu mojej psychiki. Przypuszczalnie była to już także ostatnia duża zmiana mojego stosunku do świata i ludzi. Pomimo ważności tych wydarzeń, nie potrafię dzisiaj, po upływie kilkudziesięciu lat, uporządkować ich chronologicznie. Nie pamiętam niestety, w jakiej kolejności występowały i być może nie uniknę pomyłek w ich przedstawieniu. Mam nadzieję jednak, że dokładność chronologii nie jest i w tym przypadku aż tak istotna.

W roku 65 szczeciński Komitet Wojewódzki PZPR zaproponował mi kandydowanie na radnego Miejskiej Rady Narodowej. Określenie „kandydowanie" było eufemizmem, ponieważ propozycja KW oznaczała, że będę pierwszy na liście, a zatem przy zasadzie „głosujemy bez skreśleń" – zostanę wybrany. Ponieważ nigdy dotąd nie byłem radnym, postanowiłem zdobyć nowe doświadczenie i propozycję przyjąłem. Zgodnie z oczekiwaniami „społeczeństwo mnie wybrało" i zostałem radnym. Myślę, że określenie pracy radnego jako fikcji samorządności nie będzie przesadą. I tak np. powinienem mieć regularne dyżury. Byłem tylko raz i nie zjawiła się ani jedna osoba. Uznałem zatem parogodzinne siedzenie w ratuszu za stratę czasu i więcej na żaden dyżur nie poszedłem. Ludzie wiedzieli, że jedyną szansą na załatwienie jakiejkolwiek sprawy jest interwencja komitetu

partyjnego, miejskiego czy wojewódzkiego. Rady Narodowe nie miały w tamtym czasie żadnej samodzielności. Sesje polegały na zgodnym przegłosowywaniu wydrukowanych wcześniej uchwał. Oczywiście co gorliwsi radni zabierali głos w dyskusji. Był to pozór demokracji. Radni zaczynali swoje wystąpienia stereotypowymi zwrotami: „zgadzam się z przedstawionym projektem uchwały", lub „jak już powiedział referujący, projekt jest słuszny", albo „popieram w pełni projekt uchwały" itd. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek jakiś radny zakwestionował prezentowany przez zarząd miasta projekt. Był już przecież wydrukowany! Tak więc przez rok czy dwa nie zabrałem ani razu głosu. Pod pulpitem pisałem felietony, nowelki lub instrumentowałem drobne utwory na orkiestrę kameralną. A przy głosowaniu kolejnych uchwał, podnosiłem rękę. Parę razy zdarzyło się jednak – co lojalnie stwierdzam – że zapytano radnych o zdanie. Pamiętam, że w jakiejś peryferyjnej dzielnicy Szczecina zlikwidowano sklep. Wydział Handlu zwrócił się do radnych z pytaniem czy uważają, że bardziej potrzebny jest sklep spożywczy czy przemysłowy. No i odbyła się „twórcza" dyskusja, zakończona głosowaniem. A przecież większość radnych, łącznie ze mną, nie miała pojęcia o rzeczywistych potrzebach mieszkańców tej odległej dzielnicy.

Pewnego jednak dnia wydarzyło się coś niezwykłego. Wydział Komunikacji przygotował projekt uchwały, zmieniający dotychczasowe zasady kupowania biletów dla grup uczniów. Zamiast nabywania biletów od konduktora, projekt przewidywał obowiązek ich zakupu dzień wcześniej w dyrekcji MZK na podstawie pisemnego zamówienia. Pomysł wydawał mi się raczej dziwaczny i już szykowałem się do zadania pytania, jaki jest jego cel, kiedy nagle zabrała głos radna w starszym wieku. Powiedziała, że jest nauczycielką i uważa, że przyjęcie tej uchwały utrudni pracę szkół. Często zdarza się bowiem, że z powodu nagłej choroby nauczyciela organizuje się wyjazd klasy do muzeum, kina czy na wycieczkę. A uchwała uniemożliwi takie nagłe wyjazdy. Ponadto dla szkól oddalonych od centrum miasta wysyłanie pracownika z pieniędzmi po zakup biletów będzie kłopotliwe. Po tym wystąpieniu zabrało głos jeszcze paru ośmielonych radnych, zgodnie krytykując projekt jako nieżyciowy. Zauważyłem za stołem prezydialnym krótką dyskusję, po której przewodniczący MRN oświadczył:

- Proponuję, abyśmy dzisiaj przyjęli projekt, a potem w trybie roboczym wydział komunikacji uzgodni z wydziałem oświaty ewentualne zmiany.

Poczułem, że ogarnia mnie złość i po raz pierwszy od początku kadencji zabrałem głos. Powiedziałem bez ogródek:

- Nie rozumiem, dlaczego mamy przyjmować uchwałę, która jest, jak wynika z dyskusji, zła. Czy nie można jej po prostu odrzucić?

Po moich słowach zapadła cisza. Przewodniczący szeptem naradzał się z osobami siedzącymi za stołem prezydialnym, poczem oświadczył :

- Proponuję nie przegłosowywać teraz przedłożonej uchwały. Zajmiemy się nią na następnej sesji.

Dlaczego nie można było projektu uchwały wycofać – nie wiem. Czyżby obawiano się, że obniży to autorytet władzy ludowej? Warto dodać, że ani na następnej sesji ani na żadnej innej do końca kadencji do sprawy już nie wrócono.

I drugie, zupełnie inne wspomnienie radnego MRN. Rok 1968. Nagonki na Żydów, lub – jak kto woli – Polaków żydowskiego pochodzenia. Jedną z radnych była lekarka, znana w Szczecinie jako świetny pediatra. I ją, i jej męża zwolniono z pracy. Rozżalona i oburzona napisała list do Miejskiej Rady Narodowej, wytykając władzom dyskryminację rasową. Na znak protestu złożyła mandat. Na sesji przewodniczący przeczytał list lekarki i stwierdził,

że obraziła Polskę i w związku z tym należy podjąć uchwałę o pozbawieniu jej mandatu. Różni radni zabierali głos, oczywiście potępiając antypolską treść listu. Kiedy zabrakło już chętnych do powtarzania w kółko tych samych zarzutów, przewodniczący przeczytał wniosek o pozbawienie radnej mandatu.

Zastanawiałem się, co mam robić. Głosować za wnioskiem nie miałem zamiaru. Głosować przeciw byłoby nielogiczne, ponieważ lekarka sama już zrzekła się mandatu. Postanowiłem zatem wstrzymać się od głosu. I byłem ciekaw, jak postąpią radni, choć sądząc po dyskusji, nie spodziewałem się sprzeciwów. Przypuszczałem, że większość myśli tak jak ja i również wstrzyma się od głosu. Kiedy przewodniczący zapytał, kto jest „za", wszyscy przede mną i z boku podnieśli ręce. „Kto jest przeciw?" – nikt. „Kto się wstrzymał?" Podniosłem rękę, a po chwili usłyszałem – „Dwie osoby". To znaczyło, że jeszcze jeden radny siedzący za mną, również odważył się na posiadanie odmiennego od ogółu zdania.

Nie muszę chyba dodawać, że rok później przed następnymi wyborami, władze nie zaproponowały mi już kandydowania. A do sprawy Żydów wrócę w osobnym podrozdziale.

Teraz jeszcze zrelacjonuję Kongres Kultury Polskiej, który – jeżeli mnie pamięć nie myli – odbył się w roku 1967 i miał być zakończeniem obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. Zostałem wybrany na delegata województwa szczecińskiego i pojechałem do Warszawy, ciekaw jak wygląda tego rodzaju impreza. Inauguracja odbyła się w Teatrze Polskim, choć nie jestem tego całkowicie pewien. Pojawił się Gomułka ze świtą i zasiadł w honorowej loży.

A na scenie, za stołem zajęli miejsca wybitni przedstawiciele kultury i nauki. Inauguracyjny referat wygłosił profesor Klemensiewicz. Był to jeden z najpiękniejszych wykładów, jakie słyszałem. Zbudowany z niezwykłą precyzją: wstęp – rozwinięcie – kulminacja – podsumowanie – zakończenie. Klemensiewicz mówił oczywiście „z głowy", nienaganną, bogatą polszczyzną, obrazowo, bez nadużywania obcych terminów. Po tej oficjalnej części, władze odjechały, a my przez dwa dni obradowaliśmy w komisjach i spotykaliśmy się na swobodnych dyskusjach. Już nie pamiętam, kto mnie przedstawił Erwinowi Axerowi. Powiedziałem, że widziałem parę znakomitych przedstawień w jego reżyserii i cieszę się, że mogę go poznać, bo dużo o nim słyszałem. A na to Axer:

- Pewnie, że śpię z całym teatrem?

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, on dodał:

- A to nieprawda. Tylko z połową. Żeńską.

Roześmiałem się, a Axer z poważną miną uzupełnił:

- O panu również co nie co słyszałem. W tej samej materii.

I tak zaczęła się nasza krótkotrwała, niestety, znajomość. Potem dyskutowaliśmy o kinie. Kiedy oświadczyłem, że filmy Antonioniego są dla mnie nudne, Axer przyznał iż istotnie charakteryzują się wolnym tempem, ale za to są mistrzowskie w sensie plastycznym. A wolne tempo akcji pozwala widzowi na rozkoszowanie się pięknem obrazów. Axer namówił mnie, abym poszedł z nim na obrady sekcji teatralnej, bo chciał posłuchać wystąpienia Grotowskiego. Weszliśmy do małej salki. Było sporo osób, głównie reżyserów i aktorów. Grotowski przemawiał z ogromną pasją, atakując współczesny polski teatr. Nazwał go skostniałym, wstecznym, oderwanym od życia. Na twarzach obecnych widać było dezaprobatę. Byli to przecież czołowi przedstawiciele tego właśnie teatru, który Grotowski dezawuował. W konkluzji oświadczył, że teatr polski w takiej postaci nie ma przyszłości. Oklaski były mniej niż skromne. A kiedy wychodziliśmy, Axer powiedział do mnie półgłosem:

- Zazdroszczę mu. On naprawdę wierzy w to co mówi.

Jak wiadomo, Grotowski wcielał w życie swoje idee w założonym przez siebie teatrze Laboratorium. A dalsza jego działalność należy już do historii światowego teatru.

Kongres zakończył się przyjęciem jakichś uroczystych deklaracji, z których oczywiście nic nie wynikało.

Sprawa żydowska

Rok 1968 był przełomowy nie tylko dla Polski. Zdawałem sobie z tego sprawę, obserwując wydarzenia i przede wszystkim ludzkie zachowania. Myślę, że można bez przesady powiedzieć, iż świat bardzo się zmienił po zamieszkach studenckich w Europie i Ameryce, po zamordowaniu Martina Luthera Kinga, interwencji ZSRR w Czechosłowacji i kampanii antysemickiej w Polsce, której rezultatem była emigracja Żydów do różnych krajów. Już wtedy wiedziałem, że te pozornie niezależne od siebie wydarzenia, są w rzeczywistości przejawami dążenia, zwłaszcza młodych ludzi, do zmian. Proces ten zresztą trwał także w następnych latach i byłby nie do pomyślenia bez głębokich przeobrażeń w ludzkiej mentalności, wywołanych w roku 68.

W Polsce pomimo cenzury wiedzieliśmy, że na szczycie władzy trwa walka o wpływy pomiędzy „natolińczykami" a „moczarowcami". Do rozgrywki wykorzystano wydarzenia na Bliskim Wschodzie. W 67 wojska izraelskie rozgromiły w zaledwie sześć dni połączone siły Egiptu, Syrii, Jordanii i OWP. Już w parę tygodni później rozpuszczono plotki, że w polskiej armii wyżsi oficerowie pochodzenia żydowskiego „opijali" zwycięstwo Izraelitów. Jak było naprawdę, nie wiem. Ale wielu ludzi w to uwierzyło, ponieważ niestety antysemityzm był w Polsce nadal żywy, choć starannie skrywany. A teraz „moczarowcy" wykorzystali go pod pretekstem obrony interesów Polski i walki z syjonizmem. Należy pamiętać, że ZSRR, a za nim państwa tzw. obozu socjalistycznego, popierały kraje arabskie ze względu na ich wrogość wobec USA. I tak wielka światowa polityka dała broń do ręki naszym rodzimym antysemitom.

W marcu 68 miałem koncert w Poczdamie. Dyrektor tamtejszej orkiestry oglądał potajemnie zachodnioniemiecką telewizję RIAS (nie pamiętam, co ten skrót oznaczał) i powiedział mi, że w Polsce mają miejsce antyrządowe wystąpienia studentów. Według oficjalnej wersji, podawanej przez Warszawę, inspirowane przez syjonistów. Ale klasa robotnicza poparła partię i rząd, organizując wiece potępiające studenckie rozruchy. Domyślałem się, że było to brudne wykorzystywanie zarówno antysemickich jak i antyinteligenckich postaw znacznej części naszego społeczeństwa, zwłaszcza tej pochodzenia robotniczo-chłopskiego. Po koncertach w Niemczech, wsiadałem zazwyczaj do pośpiesznego Berlin-Warszawa, wysiadałem na stacji w Kostrzynie i stamtąd dostawałem się jakimś lokalnym pociągiem do Szczecina. Kontrole graniczne w latach sześćdziesiątych odbywały się już w czasie jazdy. Kiedy więc na stacji w Kunowicach wszedł do przedziału oficer, okazało się, że już nie raz mnie „odprawiał". Uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem zapytał, jak długo nie było mnie w kraju. Odpowiedziałem, że prawie tydzień.

- A to się pan zdziwi po przyjeździe do domu.
- Co się stało?
- Nareszcie wzięliśmy się za tych Żydów.

Te słowa na zawsze zapadły w moją pamięć. Nie mogłem pojąć, że polski oficer mógł coś takiego powiedzieć dwadzieścia parę lat po wojnie, w której wymordowano miliony Żydów. Po przyjeździe do domu, dowiedziałem się od Bożenny więcej szczegółów. Pracowała wtedy w szczecińskiej filii Polskich Linii Oceanicznych i była świadkiem nagonki na Żydów, zatrudnionych tam od lat na różnych, często kierowniczych, stanowiskach. Następnego dnia w filharmonii mój były uczeń, a obecnie I sekretarz POP, potwierdził, że w wielu instytucjach zwalnia się Żydów z pracy, a także usuwa z partii. Zareagowałem ze złością.

-Ten stary sklerotyk Gomułka powinien już dawno odejść!

Było to w sekretariacie, w obecności paru zaledwie osób. A następnego dnia sekretarza POP wezwano pilnie do KW. Tam usłyszał pytanie (cytuję z pamięci):

- Co tam wasz dyrektor powiedział wczoraj na towarzysza Gomułkę?

Sekretarz okazał się przyzwoitym człowiekiem i powiedział:

- Przecież znacie naszego dyrektora; zawsze mówi jakieś dowcipy.

- To powiedzcie dyrektorowi, żeby przez jakiś czas nie mówił takich dowcipów.

Sekretarz opowiedział mi przebieg rozmowy dzień później i dodał:

- Panie dyrektorze, niech pan będzie ostrożniejszy.

Minęło parę dni i zatelefonował do mnie ktoś z Komendy MO. Prosił o rozmowę. Kiedy się zjawił, pokazał legitymację i kartkę z nazwiskami paru muzyków. I poprosił o ich teczki personalne. Kiedy je przyniosłem, usiadł w moim gabinecie przy małym stoliku i zagłębił się w lekturze ich zawartości. A ja domyślałem się, że teczki dotyczą Żydów. Dotychczas nigdy nie zastanawiałem się nad pochodzeniem swoich pracowników. Ważne było, jak grają i jak się zachowują. Jeden z nich nazywał się Gruenbaum, inny miał specyficzny akcent, jeszcze inni garbate nosy, semickie powieki i odstające uszy. Ale mnie, powtarzam, takie rzeczy nie interesowały. Po dłuższym czasie oficer UB, bo kimże innym mógł być, zakończył pracę i zamknął teczki. Wręczył mi je i powiedział „dziękuję". Odniosłem je do pokoju kadrowej, a kiedy wróciłem, usłyszałem pytanie:

- Towarzyszu dyrektorze, jacy to są muzycy?

Pomyślałem „to o to chodziło" i odpowiedziałem:

- Rozmaici. Jedni lepsi, a drudzy gorsi. Ale wszyscy są w filharmonii niezbędnie potrzebni.

Oficer spojrzał zdziwiony. Powtórzyłem:

- Wszyscy są niezbędnie potrzebni, ponieważ – jak wiecie – w Szczecinie nie ma wyższej szkoły muzycznej. Tak więc każdego muzyka trzeba „importować". A to oznacza, że trzeba mu zapewnić mieszkanie. Zaś mieszkań brakuje.

Po tych słowach oficer nic już nie powiedział i pożegnał się. Kiedy wróciłem do domu, powiedziałem do Bożenny, że jeśli wezwą mnie do KW i zażądają zwolnienia z pracy jednego choćby muzyka, złożę rezygnację. Poparła moje stanowisko. Ale okazało się, że nie było to potrzebne. Nikt z przedstawicieli władz nigdy nawet nie próbował ze mną na ten temat rozmawiać. A słyszałem, że od dyrektorów innych instytucji wręcz żądano zwalniania pracowników pochodzenia żydowskiego. Podobno tylko nieliczni, ryzykując utratę stanowiska, odmawiali. Kiedy później, po ponad dwudziestu latach przyjechałem do Szczecina jako gościnny dyrygent, przyszli do mnie, będący już na emeryturach, moi dawni muzycy żydowskiego pochodzenia z podziękowaniami, że ich wtedy, w tym strasznym roku 68, uratowałem.

Festiwal w Sztokholmie

W lecie 68 Ministerstwo Kultury i Sztuki zaproponowało mi wyjazd w charakterze obserwatora na Międzynarodowy Festiwal odbywający się we wrześniu w Sztokholmie. Oczywiście propozycję z radością przyjąłem, ponieważ nigdy dotąd nie byłem w Szwecji. Kiedy we wrześniu wszedłem do wagonu sypialnego, aby udać się do Warszawy po paszport, zdziwiła mnie duża liczba pasażerów i jeszcze większa ilość bagażu, który dosłownie zapełniał nie tylko przedziały, ale i korytarze. Okazało się, że to emigrują szczecińscy Żydzi, którzy przez Warszawę jechali do Wiednia. Wśród nich było paru znajomych, między innymi przewodniczący Żydowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, oczywiście wieloletni członek PZPR. Co roku z wyjątkiem ostatniego, zamawiał w filharmonii koncert z okazji kwietniowej rocznicy wybuchu powstania w warszawskim getcie. Teraz na mój widok, wykrzyknął na cały wagon :

- No i co pan na to? Widzi pan, jak nas urządzili?

Cóż miałem powiedzieć? Stałem w milczeniu. A on wyciągnął z portfela kartkę, która była zezwoleniem na wyjazd z Polski.

- I tylko to nam dali! – krzyknął przewodniczący – Zabrali nawet dowody osobiste!

Było mi wstyd za polskie władze. Nie spodziewałem się takiego rasistowskiego zachowania. A potem w Warszawie, kiedy zgłosiłem się do ambasady szwedzkiej po odbiór paszportu z wizą, urzędniczka popatrzyła na mnie z pogardą i zamiast wręczyć mi dokument, dosłownie szurnęła go na stół, za którym siedziała. Domyśliłem się dlaczego spotkał mnie w obecności wielu osób taki afront. Za tamtych czasów były w Polsce cztery rodzaje paszportów: dyplomatyczny (koloru nie pamiętam), granatowy prywatny, granatowy z literką „S", dla wyjeżdżających „na delegację" z jakiejś instytucji (np. muzycy na koncerty) i służbowy w kolorze zielonym. Tym razem, ponieważ wysyłało mnie ministerstwa, miałem prawo do „lepszego" – zielonego paszportu służbowego. Dla szwedzkiej urzędniczki, która nie wiedziała, w jakim celu wyjeżdżam, byłem po prostu przedstawicielem rasistowskiego rządu. Rozumiałem jej pogardę, ponieważ to również ona wręczała Żydom wizy załączone do upokarzających zezwoleń na wyjazd.

A w Sztokholmie w biurze festiwalu spotkałem niemieckiego dziennikarza. Kiedy dowiedział się, że jestem z Polski, zaatakował mnie w obecności dyrektora festiwalu i paru innych osób.

- Jakim prawem weszliście do Czechosłowacji? Jesteście zwykłymi agresorami, łamiącymi jej suwerenność!

(Niezorientowanemu czytelnikowi wyjaśniam, że w sierpniu wojska Układu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji, po tym jak władze tego kraju ogłosiły, że chcą wystąpić z tego Układu).

Poczułem się głupio. Ja również uważałem wkroczenie wojsk do Czechosłowacji za zwyczajną agresję. Ale jak powiedzieć to cudzoziemcom, zwłaszcza Niemcowi? A wszyscy czekali na moją odpowiedź. Wahałem się. Czy wolno mi potępić polski rząd, choć się z nim nie zgadzałem? Czy stare porzekadło o „kalaniu własnego gniazda" nie ma już znaczenia? Przeżyłem paskudne chwile. Wreszcie po dłuższej chwili podjąłem decyzję. Ważąc każde słowo, zwłaszcza, że nie mówię biegle po niemiecku, powiedziałem:

- Musi pan zrozumieć, że w obecnej sytuacji międzynarodowej, pełnej konfliktów i napięć, polski rząd nie mógł dopuścić do rozbicia Układu Warszawskiego. Zbyt dobrze

pamiętamy, że w czasie ostatniej wojny zginęło w Polsce sześć milionów ludzi. Tyle ile liczy obecnie cała ludność Szwecji.

Dziennikarz przerwał mi.

- Dlaczego mówi pan o wojnie? Przecież teraz Niemcy nie zagrażają Polsce.

Czułem, że uzyskuję przewagę. Zapytałem:

- Jest pan absolutnie pewny? Da mi pan to na piśmie?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Ale nagle coś sobie przypomniał. Zaśmiał się i zapytał drwiąco:

- A coście zrobili z Żydami? Oni też zagrażają waszemu bezpieczeństwu?

W tym momencie nie miałem już żadnych argumentów. Rozłożyłem tylko bezradnie ręce, a potem z ponurą miną podniosłem je do góry na znak kapitulacji. Kiedy po zakończeniu festiwalu żegnałem się z dyrektorem, ten zapytał wprost czy nie zechciałbym pozostać w Szwecji. Jak twierdził, nie byłoby z tym żadnych problemów. Powiedział bez ogródek:

- Z pańskich słów wynika, że nie aprobuje pan poczynań swojego rządu, choć nie wyrażał pan tego bezpośrednio. Niech pan zostanie, a na pewno znajdzie się dla pana praca. Szwecja nie ma wielu dyrygentów.

Podziękowałem, powtarzając to co mówiłem w NRF. W Polsce jest mój dom, za który w czasie wojny przelewałem krew. Rządy się zmieniają, ale naród pozostaje i powinienem wracać, aby mu dawać muzykę.

Zrozumiał i więcej nie nalegał. A ja wspominam moje przeżycia w roku 68 jako jedne z najsmutniejszych. I upokarzających, ponieważ musiałem wstydzić się za mój kraj. Nie tylko za rząd, lecz także za zwykłych ludzi. Kiedy wyjechały dziesiątki młodych naukowców pochodzenia żydowskiego i na uczelniach zabrakło tzw. pracowników dydaktycznych, władze co prędzej mianowały nowych docentów. Nazywano ich volksdocentami. Kursował wówczas ponury dowcip: „Co trzeba zrobić, aby zostać docentem? Wydać jedną pracę i dwóch kolegów Żydów". Podobno, kiedy kazano profesorowi Sierpińskiemu zwolnić asystentów pochodzenia żydowskiego, na znak protestu opuścił katedrę matematyki na Uniwersytecie Wrocławskim i wyjechał z Polski. I znany w świecie wrocławski ośrodek matematyczny przestał się liczyć. Podobnie było na Uniwersytecie Warszawskim z wydziałem fizyki.

A w warszawskiej PWSM rektor zwolnił na żądanie władz profesora – Żyda. Był nim Ryszard Bakst, laureat konkursu chopinowskiego. Nie lubiłem jego gry; była zbyt nerwowa, a zarazem sucha. Do Szczecina zaprosiłem go tylko raz. Kiedy jednak dowiedziałem się, że wyrzucono go z pracy, natychmiast zatelefonowałem do niego i zaproponowałem pierwszy wolny termin. Pamiętam, że rozpłakał się przy telefonie i wyjąkał: „To pan mi proponuje nowy koncert, a inni dyrektorzy odwołują nawet te, które były już zaplanowane". Bakst miał zamiar wyjechać do Anglii, gdzie już czekała na niego posada profesora w Manchesterze. Potrzebował jednak do pracy instrumentów. Miał dwa fortepiany i aby je wywieźć za granicę, niezbędne było zezwolenie ministerstwa. Bakst otrzymał takie zezwolenie, ale tylko na jeden, co było celową szykaną. Napisał zatem odwołanie i poprosił czołowych warszawskich muzyków o popierające podpisy. Jak mi opowiadała Marysia – i ona, i Kazio, i prawie wszyscy profesorowie PWSM podpisali. Z paroma wyjątkami. Między innymi odmówiła Regina Smendzianka. Było to dla mnie oburzające i kiedy parę lat później miałem z nią wspólny koncert, zapytałem wprost, dlaczego to zrobiła. Zaczęła mi tłumaczyć, że do listy z podpisami nie było dołączone odwołanie i że ona nigdy nie podpisuje „w ciemno". Powiedziałem jej krótko i niezbyt uprzejmie, żeby „nie opowiadała mi anegdot". I choć naprawdę ją ceniłem jako świetną pianistkę, nigdy potem nie zaprosiłem jej ani do Szczecina ani do Wałbrzycha. Nie mogłem się przemóc.

Rok 68 był probierzem ludzkich charakterów. Niestety w wielu przypadkach wynik był negatywny.

Przemówienie Gomułki

Wspominałem już kiedyś o sekretarzu CRZZ, Arturze Starewiczu, który później został sekretarzem KC. Od Mietka dowiedziałem się, że pisał teksty przemówień dla Gomułki. Z wyjątkiem dwóch. I właśnie o nich teraz chciałbym wspomnieć.

W związku z Tysiącleciem Polski w Londynie ukazała się niewielkich rozmiarów książka. Autorem był niejaki Oskar Halecki, nieznany szerzej emigracyjny historyk. W swojej książce dowodził, że Polska wszystko zawdzięcza Kościołowi. Podkreśliwszy słusznie zasługi zakonników: benedyktynów, dominikanów, jezuitów i pijarów, pominął w sposób wyraźny szkodliwą działalność hierarchów kościelnych, często wręcz antypolską. Jednocześnie pomniejszył znaczenie świeckich uczonych i pisarzy, innowierców i zamożnego mieszczaństwa. Miałem tę książkę w ręku, ale nawet pobieżny rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że była jednostronna i tendencyjna. A ponieważ Halecki mieszkając w Londynie, odcięty był od źródeł historycznych, nie mógł wnieść niczego nowego do historiografii. Myślę zresztą, że nie miał takich ambicji i że chciał jedynie dostarczyć emigrantom krótkiego i popularnego zarysu dziejów Polski. Tego rodzaju marginalne publikacje przechodzą na ogół bez echa i szybko ulegają zapomnieniu. Niestety książkę dostarczono Gomułce. I – jak mi mówiono – wpadł w szał. Postanowił przy najbliższej okazji poświęcić przemówienie „rozprawieniu się" z książką Haleckiego. Starewicz próbował go odwieść go od tego zamiaru. Opowiadał potem Mietkowi, że żaden argument nie trafiał Gomułce do przekonania. Starewicz dowodził, że napisana w języku polskim książka dotrze tylko do wąskich środowisk emigracyjnych i nie będzie miała żadnego znaczenia politycznego. I że pierwsza osoba w państwie nie powinna zajmować się publicznie jedną książką. Na próżno. Gomułka nie dał się przekonać.

Nie pamiętam już, przy jakiej okazji wygłosił przemówienie. Wszedł na mównicę z książką Haleckiego w ręku i zaczął nią wymachiwać. Oskarżał autora o gloryfikowanie Kościoła i przytaczał różne argumenty na dowód, że to właśnie Kościół hamował rozwój Polski. Gomułka ujął się za pańszczyźnianymi chłopami, dzięki którym kraj mógł w ogóle żyć. Mieszał fakty historyczne z demagogicznymi sformułowaniami. Był to żenujący pokaz intelektualnej nieporadności. Nigdy nie lubiłem Gomułki i nie rozumiałem, dlaczego w 56 roku tak wielu ludzi obdarzyło go zaufaniem. Dla mnie był zawsze prymitywnym, choć obdarzonym pewnym sprytem, typowym „chłopkiem-roztropkiem". Drażnił mnie jego „marmeladowy" głos, fatalny akcent i wymachiwanie rozczapierzonymi palcami.

Jak mi później opowiadano, dzięki temu przemówieniu, Halecki zrobił karierę. Jego książkę przetłumaczono na parę języków, ponieważ niechętni Polsce politycy chcieli się dowiedzieć, co w niej było tak ważnego, że rozwścieczyło Gomułkę.

Drugie przemówienie dotyczyło syjonizmu. I tym razem Starewicz, według tego co opowiadał Mietkowi, odmówił jego napisania. Tłumaczył, że taki atak będzie źle odebrany za granicą, że zostanie wykorzystany do przedstawienia Polski jako kraju antysemickiego i że może spowodować zerwanie kontaktów kulturalnych, naukowych i gospodarczych z liczącymi się w świecie kręgami żydowskimi. Przyszłość pokazała, że Starewicz miał rację. Ale Gomułka był głuchy na wszelkie argumenty. Wygłosił przemówienie, które oglądałem

w telewizji. Było wyjątkowo brutalne i obrzydliwe. Gomułka, który jako I sekretarz rządzącej partii był najważniejszą osobą w państwie, atakował personalnie bardziej lub mniej znane osobistości. Wymieniał nieraz wielokrotnie ich nazwiska. Wśród piętnowanych jako wrogów Polski i socjalizmu były osoby pochodzenia żydowskiego, a także wielu „czystych aryjczyków", takich jak np. Kołakowski, Kisielewski, Lipski czy Dejmek.

O ile większość zaatakowanych rzeczywiście w swoich publicznych wypowiedziach krytykowała władzę, o tyle np. jedyną „winą" Dejmka było wyreżyserowanie „Dziadów". Władze uznały je za antyradzieckie. Niestety, nie miałem możliwości zobaczenia przedstawienia, ale z licznych relacji wynikało, że istotnie rozłożenie w inscenizacji niektórych akcentów, podkreślało i tak zawartą już w tekście antyrosyjskość. Zresztą jak najbardziej uzasadnioną historycznie. Szczególnie rozdrażniło władze zakończenie. Grający Gustawa-Konrada Holoubek wychodził samotnie na proscenium z rękami skutymi długim łańcuchem i wygłaszał wiersz zatytułowany „Do przyjaciół Moskali". Publiczność odczytała to jako aktualną skargę na dominację radziecką i owacyjnie klaskała.

Władze postanowiły – jak to się mówi – zdjąć sztukę z afisza. Ostatnie przedstawienie zamieniło się w prawdziwą manifestację, która stała się przysłowiową iskrą. W ciągu następnych dni rozpoczęły się studenckie demonstracje, bezwzględnie tłumione przez milicję. Nie będę ich relacjonował, ponieważ są znane z historii, a w dodatku nie brałem w nich bezpośredniego udziału. Wydarzenia marcowe miały duże znaczenie dla przyszłości kraju. Wśród przywódców studentów pojawili się ludzie, którzy kilka lat później stworzyli KOR (Komitet Obrony Robotników), a potem pomogli przy organizowaniu „Solidarności". To właśnie „pokolenie 68" przyczyniło się do transformacji ustroju. I tych zasług nikt im nie odbierze.

Wracając do przemówienia, to zgodnie z przewidywaniami Starewicza wywarło fatalne wrażenie za granicą. Na szereg lat zepsuło opinię o Polsce. Wielu artystów (m.in. Artur Rubinstein) odwołało swoje koncerty. Jak mi mówiono, podobnie postępowali wybitni naukowcy. Skutki odczuła również gospodarka. Podobno wiele firm zachodnich odmówiło współpracy z polskimi centralami handlowymi. Dopiero po odejściu Gomułki w 70 roku udało się te szkody naprawić. Ponieważ nagonka na Żydów nie przebiegała tak brutalnie w pozostałych państwach tzw. obozu socjalistycznego, umocnił się na Zachodzie wizerunek Polski jako kraju antysemickiego. Nie raz się o tym niestety przekonałem. Nawet w Rumunii mi to wytykano.

Warto jeszcze dodać, że m.in. Dejmek i Kołakowski stracili swoje posady. Ówczesny kierownik wydziału kultury KC, Wincenty Kraśko okazał się przyzwoitym człowiekiem i umożliwił obu wyjazd za granicę. Wykazał tym prawdziwą odwagę. Jak wiadomo, Dejmek wyjechał do Jugosławii, a Kołakowski do Anglii. Później opowiadał mi Mietek, że Gomułka na wiadomość o tym wpadł w furię i wyrzucił Kraśkę z zajmowanego stanowiska. Kiedy jednak Gomułka przestał być I sekretarzem KC, Kraśko niebawem został wicepremierem. A Starewicz w tym samym mniej więcej okresie wyjechał jako ambasador Polski do Londynu. Dodatkową ironiczną pointę stanowi fakt, że Starewicz był Żydem.

Rozdział XXVII

SZCZECIN (V)

Znaczna część ludzi lubi wspominając mówić: „to były dobre lata" lub odwrotnie „to były lata fatalne". Ja natomiast przekonałem się, że jedynie przy bardzo krótkich okresach czasu można używać tego rodzaju sformułowań. Kiedy jednak bierzemy pod uwagę paroletnie okresy – dobre i złe wydarzenia stale się przeplatają. Być może są takie pojedyncze osoby, które nazywamy „w czepku urodzonymi" i którym wszystko się udaje. Napisałem „być może", ponieważ nie wierzę w stałe powodzenie jednych i chroniczny pech drugich. Owszem – powtarzam – może to mieć miejsce na przestrzeni krótkiego odcinka czasu. W perspektywie jednak lat – jest to według mnie – właściwie niemożliwe. Tym bardziej, że nigdy nie można przewidzieć, które niepomyślne zdarzenie okaże się w skutkach korzystne. I odwrotnie, coś co wydaje się dobre, może spowodować w przyszłości opłakane skutki.

Piszę o tym, ponieważ lata 69-71, którymi głównie zajmę się w tym rozdziale, były w moim życiu splotem sukcesów i porażek. I to w różnych dziedzinach. A tak ewidentna klęska, za którą uważa się odwołanie z kierowniczego stanowiska – w rezultacie (jeśli pominę kryzys finansowy) okazała się wręcz błogosławieństwem. Dzięki niej przez sześć lat mogłem czytać, komponować, uczyć się psychologii i filozofii oraz odbyć podróż dookoła świata. A wreszcie jako tzw. wolny strzelec zostać zaproponowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na organizatora nowej filharmonii.

WUML

Powyższy skrót to Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu. Użycie słowa „uniwersytet" w moim przekonaniu jest nadużyciem. Teraz też działają w Polsce Uniwersytety Trzeciego Wieku, co brzmi raczej humorystycznie. WULM powstał na wzór radzieckich instytucji podobnego rodzaju. Ale tam uczestnictwo było niemal obowiązkowe. Nawet – jak mi opowiadali radzieccy soliści – sam Dawid Ojstrach, jeden z największych skrzypków świata, musiał skończyć w Moskwie taką „uczelnię". Ponieważ WUML przeszedł bezpowrotnie do historii, myślę, że warto utrwalić na kartach tej książki moje, związane z nim, wspomnienia.

Kiedy wstępowałem do PZPR, dowiedziałem się, że każdy członek musi wykonywać tzw. zadania. Już nie pamiętam, ile ich należało wykonać w ciągu roku. Wybrałem najmniej absorbujące: sprawdzanie dokumentacji zebrań. Komitet Miejski wyznaczył mnie do skontrolowania Zakładowej Organizacji Partyjnej w Porcie czy Stoczni, już dzisiaj nie pamiętam dokładnie. Pojechałem, dostałem stos zeszytów. Miałem sprawdzać częstotliwość zebrań, ich tematykę i „żywość" dyskusji. Było to przeraźliwie nudne zajęcie, które zabrało mi parę godzin. Zrezygnowałem zatem z takiego zadania i po paru miesiącach wybrałem

inne: prowadzenie szkoleń Podstawowej Organizacji Partyjnej w… filharmonii. Okazało się bowiem, że dotąd tylko od czasu do czasu pojawiał się na zebraniu ktoś z Komitetu Miejskiego i wygłaszał referat na aktualny temat, zaczerpnięty z broszurek zatytułowanych „Notatnik agitatora". Raz zmusiłem się do przejrzenia jednej i choć nie spodziewałem się rozprawy naukowej, uderzył mnie wyjątkowo niski poziom. Język był prymitywny, argumentacja tendencyjna, przedstawianie faktów wybiórcze, a wnioski powierzchowne. Nic zatem dziwnego, że prelegent czerpiący wiedzę z takich publikacji nie potrafił zainteresować muzyków. Zaproponowałem zatem, że chętnie poprowadzę szkolenia. Komitet Miejski wyraził zgodę, ale zastrzegł, że muszę ukończyć dwuletni kurs na WUML-u. Dowiedziałem się również, że uczęszczanie na ten kurs będzie uznane za partyjne zadanie. Bardzo mi to odpowiadało. Zgłosiłem się zatem do kierownika WUML-u i w następnym roku szkolnym zostałem „studentem". Wybrałem z paru możliwości kurs, który chyba nazywał się filozoficzno-religijny. Na wykłady chodziłem rzadko, ponieważ miałem dużo koncertów gościnnych, a każdy wyjazd oznaczał tygodniową nieobecność. Oczywiście musiałem przynosić pisemne usprawiedliwienia. Wykłady z filozofii prowadził młody pracownik naukowy z Uniwersytetu Poznańskiego i stały na dobrym poziomie. Natomiast wykłady z religii, których na szczęście przez cały czas trwania kursu było zaledwie parę – na nędznym poziomie. Prowadził je jakiś partyjny agitator, który potrafił przez godzinę lub więcej opowiadać o tym, że proboszczowie „śpią" ze swoimi gospodyniami.

Kim byli uczestnicy kursu? Sądząc po ich wyglądzie, rozmowach i pytaniach kierowanych do wykładowcy – byli to wyłącznie ludzie z podstawowym lub średnim wykształceniem. Potem mi wyjaśniono, że przeważnie członkowie PZPR idą na WUML, aby poprawić swoją pozycję w zakładzie pracy. Ukończenie kursu pomaga w awansie, uzyskaniu podwyżki lub wyższej premii, a także skraca czas oczekiwania na upragniony przydział mieszkania.

Kiedy po dwóch latach zbliżał się termin egzaminu z filozofii (z religii na szczęście nie było), uczestnicy kursu wpadli w panikę. Bez przerwy zadawali wykładowcy pytania w rodzaju: „Towarzyszu profesorze, co będzie na egzaminie?", „Czy damy radę?", „Z czego mamy się uczyć?" Wykładowca był naprawdę sympatycznym i rozsądnym młodym człowiekiem. Zdawał sobie sprawę, że zrozumienie choćby paru podstawowych zagadnień filozofii przerasta całkowicie możliwości tych ludzi. Jak kolejarz w średnim wieku czy robotnik ze stoczni mogą zdać egzamin np. z ontologii. A na wykładach była mowa o podziale filozofii lub głównych kierunkach. Wykładowca pisał na tablicy nazwy pojęć i teorii oraz nazwiska największych myślicieli. Byłem pewien, że dla większości słuchaczy stanowiło to czystą abstrakcję. Dlatego na parę tygodni przed terminem egzaminu, wykładowca – co dobrze pamiętam – powiedział:

- Towarzysze, egzamin będzie miał trzy formy. Pierwsza będzie polegała na wyciągnięciu kartki, na której będą trzy pytania. Na przykład: pierwsze – co to jest gnoseologia, drugie – marksistowska teoria prawdy, trzecie – co wiemy o Heglu. Drugą formą będzie streszczenie dowolnie wybranej broszurki z Biblioteki Klasyków Marksizmu. Trzecia forma to samodzielne przygotowanie się z jednego z głównych zagadnień filozoficznych.

Rozpoczęła się dyskusja, którą można było nazwać gorącą lub nawet burzliwą. Niewielka grupa zdecydowała się nauczyć kilkudziesięciu pojęć i po wyciągnięciu kartki, wyrecytować je z pamięci. Większość jednak wolała notować nazwiska autorów i tytuły zalecanych broszurek. Były to krótkie prace Marksa, Engelsa, Lenina. Stalin w tamtym czasie nie był już „klasykiem marksizmu". Ponadto wykładowca polecał jeszcze – pamiętam – broszurki autorstwa Schaffa i Brusa, ujmujące w sposób popularny najważniejsze pojęcia teorii marksistowskiej.

Tak się zdarzyło, że w tym okresie zainteresowałem się filozofią Pierre´a Teillharda de Chardin. Podziwiałem jego wręcz ekwilibrystyczne wysiłki intelektualne, aby połączyć katolicyzm z nowymi odkryciami naukowymi. Nawet dla mnie, niebędącego teologiem „trąciły" herezją, a w każdym razie dalekie były od ortodoksji. Nie dziwiłem się, że Kościół nie pozwalał za jego życia na publikacje tych prac. Teillhard de Chardin jako zdyscyplinowany jezuita, podporządkowywał się tym zakazom. Mogę sobie wyobrazić tragiczne rozdarcie, jakie przeżywał. Kiedy umierał, prosił zgromadzonych wokół łóżka przyjaciół, w większości księży i zakonników, aby zaraz po jego śmierci zniszczyli wszystkie rękopisy i maszynopisy. Ledwo jednak zmarł, przyjaciele poukrywali je w ubraniach i potajemnie wynieśli. A potem rozesłali po wydawnictwach, oczywiście nie kościelnych. Publikacje wywołały konsternację w Watykanie. Kościół wydał później pisemne ostrzeżenie dla wiernych, aby nie przyjmowali teorii Teillharda bezkrytycznie. Te informacje przekazał mi w zaufaniu znajomy działacz PAX-u.

Kiedy wszedłem do pokoju, w którym wykładowca egzaminował jednoosobowo uczestników kursu, powiedziałem mu o tym, że ostatnio czytałem Teillharda de Chardin. Pamiętam, że się rozpromienił; miał już pewnie dosyć wysłuchiwania teorii marksistowskich. I co najmniej przez pół godziny rozmawialiśmy o katolickim myślicielu, idącym samotnie wbrew Kościołowi własną drogą. A potem dostałem piątkę z marksizmu-leninizmu! Ale świadectwa ukończenia WUML-u nie odebrałem. A szkoda, byłaby to „cenna" pamiątka.

ZSRR

W Związku Radzieckim byłem trzykrotnie: dwa razy na koncertach i raz jako delegat na Kongres Kompozytorów Radzieckich. Odniosłem wrażenia i szokujące i negatywne. Za pierwszym razem, a był to rok 68, miałem koncerty w Kiszyniowie i Odessie. To pierwsze miasto nie pozostawiło w mojej pamięci żadnego śladu poza wspomnieniem o miłym zwyczaju witania w najlepszej restauracji każdego gościa chlebem i solą przez pracowników ubranych w ludowe, mołdawskie stroje. Natomiast pobyt w Odessie pozostawił wiele rozmaitych wspomnień. Mieszkałem w starym hotelu, zbudowanym jeszcze w XIX wieku. Wszystko w nim było duże, wysokie i szerokie: hole, klatki schodowe, pokoje. Otrzymałem jedyny w całym hotelu apartament z łazienką. Poinformowano moją tłumaczkę, że w czasie pobytu w Odessie zajmował go ostatni car Wszechrusi. Apartament składał się z przedsionka, wielkości równej pokojom w nowoczesnych hotelach, ogromnej sali i z zasłoniętej kotarą alkowy. A w niej na podwyższeniu stało wielkie łoże z czterema kolumnami, na których wspierał się baldachim. Nigdy ani przedtem ani potem nie spałem w takim łożu. A obok alkowy była, przypominająca salon, łazienka z wielką miedzianą wanną. Na szczęście hotel był skanalizowany i miałem bieżącą wodę ciepłą i zimną.

Przypominam sobie jeszcze, że kiedyś w jakimś małym mieście w NRD mieszkałem w apartamencie, w którym nocował Wilhelm Pieck. (Czy dzisiaj to nazwisko coś mówi młodym ludziom?). Aha, a w Lądku wraz z moją obecną żoną przez tzw. miodowy tydzień (na miesiąc nie miałem czasu!) zajmowaliśmy w wojskowym ośrodku wypoczynkowym dwupokojowy apartament generalski. Po tej dygresji wracam do wspomnień z Odessy. Altowiolista z orkiestry, który znał niemiecki, oprowadzał mnie po mieście. Pomimo grudnia, temperatura była wysoka i sprzyjała nawet długim spacerom. Zobaczyłem dawny

pałac gubernatora, z którego żoną, przebywający w Odessie na wygnaniu Puszkin, podobno „sypiał". Oczywiście przeszedłem słynnymi historycznymi schodami, uwiecznionymi w filmie Eisensteina „Pancernik Potiomkin". Ale najciekawszy był spacer do dzielnicy, w której mieszkał największy bandyta Odessy sprzed I wojny światowej. Miał przezwisko Miszka Japoniec i stał się dla Izaaka Babla pierwowzorem postaci Benia Krzyka. A Babla uważam za największego obok Erenburga pisarza radzieckiego. Wszedłem nawet na podwórko kamienicy, w której legendarny bandyta miał mieszkanie. Muzyk opowiadał mi, że przez lata carska policja nie mogła złapać Miszki Japońca. A kiedy powstała Cze-Ka (rosyjski skrót bardzo długiej nazwy, brzmiącej po polsku: Ogólnorosyjska Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem) zaproszono bandytę – który bądź co bądź walczył z caratem – na rozmowy, zapewniając mu całkowite bezpieczeństwo. Miszka Japoniec, mając swój bandycki honor, wierzył, że dane słowo będzie dotrzymane. Poszedł do siedziby Cze-Ka i nigdy już stamtąd nie wyszedł. Tę historię, nie wiem czy prawdziwą, opowiedział mi półgłosem radziecki muzyk, kiedy szliśmy pustą alejką w parku.

Nie ma już ZSRR i dlatego myślę, że warto opisać jeszcze parę szczegółów z moich pobytów w tamtym kraju. Każdemu zagranicznemu artyście towarzyszyła osobista tłumaczka. Z takim zwyczajem spotkałem się tylko w ZSRR i na Kubie. W innych krajach, nawet tzw. obozu socjalistycznego, poruszałem się całkiem swobodnie. W ZSRR tłumaczka spotykała mnie na lotnisku w Moskwie i zawoziła limuzyną „Goskoncertu" (radziecka agencja koncertowa, oczywiście państwowa) do hotelu. Za drugim i trzecim pobytem był to największy w tamtych czasach hotel „Rossija"; podobno miał 6 000 pokojów. Tam zabierała mój paszport i szła do biura, aby mnie zameldować. Paszport musiała zostawić, a ja dostawałem w zamian przepustkę, którą okazywałem portierowi. Bez niej nie mógłbym w ogóle wejść do hotelu. I tak było za każdym razem. Zaproszenie jakiegokolwiek gościa do pokoju nie wchodziło w rachubę. Do przyjmowania gości służył duży hol na parterze lub restauracja i kawiarnia.

W czasie drugiej bytności w ZSRR dyrygowałem w Tallinie i Rydze. Tam doznałem przeżyć innego rodzaju. W pierwszym z tych miast byłem jako słuchacz na recitalu organowym w kościele, który po II wojnie światowej zamieniono na salę koncertową. Zlikwidowano ołtarz i odwrócono ławki o 180°. Tak więc publiczność siedziała tyłem do absydy a twarzą do organów i znajdującego się pod nimi głównego wejścia. Dla mnie było to tak dziwne uczucie, że aby słuchać muzyki - musiałem zamknąć oczy. Widok wielkich, ozdobnych drzwi, pomimo że zamkniętych, całkowicie mnie rozpraszał.

W Rydze po raz pierwszy spotkałem się z niemal jawną niechęcią do Rosjan. Zaraz po przyjeździe poszliśmy do filharmonii, już dzisiaj nie pamiętam, w jakim celu. Ponieważ tłumaczka nie była pewna czy idziemy w dobrym kierunku, postanowiła zapytać o drogę pierwszą napotkaną osobę. Była to akurat jakaś staruszka. Usłyszawszy pytanie w języku rosyjskim, odburknęła coś ze złością, wtuliła głowę w ramiona i szybko odeszła. Tłumaczka była zaskoczona. Powiedziałem, że następnego przechodnia sam zapytam. Kiedy zadałem pytanie o drogę do filharmonii w języku niemieckim, otrzymałem życzliwą odpowiedź. Wprawdzie po łotewsku, ale z wyraźnym wskazaniem kierunku i dodatkowymi wyjaśnieniami na migi. A następnego dnia przed próbą powiedziałem do orkiestry, podobnie jak w różnych innych krajach, po niemiecku:

- Przepraszam, że nie znam waszego języka, w tym przypadku łotewskiego. Nie znam również rosyjskiego i dlatego będę mówił po niemiecku.

Kiedy muzycy usłyszeli, że nie znam rosyjskiego, na ich twarzach pojawił się uśmiech.

Jakby nad estradą zabłysło słońce. A w przerwie otoczyli mnie całą grupą i zadawali mnóstwo pytań. Większość znała niemiecki, szczególnie starsze pokolenie. Jedna ze skrzypaczek przedstawiła się jako matka Gideona Kremera. Wiedziała od niego, że mieliśmy w Bydgoszczy wspólny koncert. Pogratulowałem jej utalentowanego syna i wyraziłem pewność, że zrobi wielką karierę. Jak się okazało, miałem rację.

W programie koncertu znajdowała się moja symfonietta. Była połączeniem dodekafonizmu z aleatoryzmem. Dowiedziałem się od muzyków, że u nich nie wykonuje się utworów pisanych taką techniką. Ktoś szepnął nawet, że są po prostu zabronione. Ponieważ koncert był powtórzony następnego dnia dla telewizji i emitowany podobno na całą republikę łotewską – nagrywający technik prosił o pokazanie w partyturze miejsc, w których muzycy grają na samych stroikach, uderzają dłońmi w instrumenty, szeleszczą nutami. Bo właśnie te nietypowe sposoby wydobywania dźwięku łotewscy operatorzy chcieli pokazać telewidzom. Jaki był rezonans społeczny – nigdy się nie dowiem. W każdym razie pracownicy telewizji mieli po transmisji zadowolone miny.

Ale najciekawsze wspomnienie związane jest ze spotkaniem, które odbyło się po koncercie. Kiedy ubierałem się w pokoju artystycznym, przyszedł do mnie młody muzyk z orkiestry i zapytał czy mógłbym porozmawiać z jego kolegami, studentami ryskiego uniwersytetu. Odpowiedziałem, że oczywiście, ale nie w gmachu filharmonii, który na pewno zaraz zamkną. Zaprosiłem studentów do rozległego holu hotelowego. Cała grupa składała się z kilkunastu osób; nie pamiętam czy poza chłopcami były także dziewczęta. Kiedy usiedliśmy, zapytałem, kto zna angielski (ponieważ posługuję się nim nieco lepiej niż niemieckim). Okazało się, że dwóch czy trzech uczy się angielskiego i podjęli się roli tłumaczy. Pierwsze pytanie dotyczyło nowoczesnej muzyki. Wyjaśniałem, że kompozytorzy poszukują nowych środków wyrazu. Służy temu odmienne od dotąd stosowanych sposobów wydobywanie dźwięków. Kompozytorzy chcą obok arco, pizzicato, sul tasto itd. wprowadzać rozmaite szumy, stuki, szmery, zgrzyty. Natomiast aleatoryzm zwiększa rolę wykonawców. Przy okazji wspominałem o podobnych próbach w malarstwie i rzeźbie. I o tym, że dla rozwoju sztuki eksperymenty są niezbędne. Nie można tkwić w najwspanialszej nawet tradycji, gdyż grozi to powstawaniem eklektycznych dzieł. A to po prostu oznacza marazm. Nie było to zgodne z oficjalną linią KPZR, ale uważałem, że mam prawo do osobistej wypowiedzi. Młodzież – jak widziałem – słuchała z wyjątkową uwagą.

Kiedy skończyłem odpowiadać na pytania dotyczące muzyki, ktoś z obecnych poprosił o wyjaśnienie, czym jest strukturalizm. Przyznaję, że się z lekka przestraszyłem. Moja angielszczyzna była zbyt słaba, aby przy jej pomocy wyjaśniać wysoce skomplikowane problemy strukturalizmu. Ale uznałem, że nie mogę zasłaniać się kiepską znajomością angielskiego, gdyż młodzi ludzie uznają to za tchórzostwo. O strukturalizmie bowiem – o czym wiedziałem już wcześniej – nie wolno było mówić na wyższych uczelniach ZSRR. Przywołałem więc na pomoc wszystkie moje władze umysłowe i rozpocząłem pseudowykład o strukturalizmie. Całe szczęście, że w owym okresie pasjonowałem się tą teorią. Powiedziałem zatem o genezie, rozprzestrzenianiu się językoznawstwa na inne dziedziny wiedzy i ogromnych zaletach metodologicznych strukturalizmu. Z konieczności wspomniałem o socjologii i filozofii. I wtedy padło pytanie:

- A jaką filozofię pan wyznaje?

Odpowiedziałem bez wahania:

- Jako człowiekowi XX wieku najbliższy jest mi egzystencjalizm.

I natychmiast uzupełniłem:

- Ale i on nie odpowiada na wszystkie pytania.

Zauważyłem, że studenci słuchają w napięciu. Zdecydowałem się zatem na dodatkowe wyjaśnienie:

- Żadna filozofia nie potrafi odpowiedzieć na wszystkie pytania nurtujące człowieka.

I aby zakończyć sprawę, dopowiedziałem z uśmiechem:

- Nawet marksizm.

Zobaczyłem radość w oczach młodych ludzi. Cieszyli się, że ktoś miał odwagę wygłosić taką „herezję". Ale po chwili ciszy, jeden ze studentów zapytał:

- To co pan nam radzi robić?

Byłem w kłopocie. Miałem pełną świadomość sytuacji. Co mogę radzić tym młodym ludziom z podbitego kraju, którzy mieli jeszcze mniej swobody niż ich rówieśnicy w Rosji? Po dłuższym zastanowieniu powiedziałem:

- Mogę wam tylko doradzić to, co sam robiłem. Czytać, czytać i czytać. Jak najwięcej książek z różnych dziedzin wiedzy oraz arcydzieła literatury pięknej. To pozwoli na wypracowanie własnego światopoglądu i znalezienie właściwej drogi.

I zgodnie z sumieniem dodałem:

– Ale wtedy możecie mieć kłopoty.

Na tym zakończyło się to nocne spotkanie. Młodzi ludzie podziękowali i odeszli w pełnym zadumy milczeniu, odprowadzani podejrzliwym spojrzeniem portierki. A moja tłumaczka, która twierdziła, że nie zna angielskiego, na pewno wychwyciła niektóre „międzynarodowe" słowa. Po powrocie do Moskwy musiała zdać relację z tego nieformalnego spotkania. Rezultat był oczywisty. Nigdy więcej nie zostałem zaproszony na koncerty do Związku Radzieckiego.

Dublin

Już nie pamiętam dokładnie, ale gdzieś pod koniec lat sześćdziesiątych występował w Szczecinie młody japoński pianista. „Trafił" na nienajlepszego dyrygenta, który nie radził sobie z akompaniamentem. Przeprosiłem za to solistę i tak rozpoczęła się rozmowa. Opowiadał, że mieszka na stałe w Paryżu, a jego impresariem jest Francuzka, Jacqueline de Roszney. Zajmuje się także zapraszaniem artystów do orkiestry Radia Irlandzkiego w Dublinie. Japończyk zapytał czy byłbym zainteresowany występem z tamtą orkiestrą. Powiedziałem, że jak najbardziej, ponieważ jeszcze nie byłem w Irlandii. Mniej więcej po roku „Pagart" poinformował mnie, że otrzymałem zaproszenie na koncert do Dublina w lutym 71. Poleciałem przez Londyn do kraju, który – jak wiadomo – po wielosetletniej angielskiej niewoli, prześladowaniach, krwawych walkach, dopiero w roku 1921 zdobył niepodległość. Pomimo tego językiem urzędowym nadal był angielski, a funt irlandzki rozmiarami i wartością był identyczny z funtem brytyjskim. Kiedy o tym rozmawiałem z dyrektorem radia, wytłumaczył mi, że była to konieczność, aby nowo powstała wolna Republika Irlandzka mogła w ogóle funkcjonować. Język irlandzki należy do grupy języków celtyckich i tylko część Irlandczyków potrafi się nim posługiwać. Najwięksi pisarze irlandzcy tworzyli po angielsku. Wystarczy wymienić Swifta, Yeatsa, Wilde´a, Joyce´a czy Shawa. Od XVIII wieku rozpoczęła się emigracja do USA. Dzięki temu w historii tamtego kraju pojawiły się takie nazwiska jak Kennedy, Connor, Fitzgerald i wszystkie mające przedrostek „O", np. O′Neill czy O′Casey.

Dyrektor radia tłumaczył dalej, że gospodarka irlandzka związana jest z gospodarką brytyjską. Po pół wieku niepodległości nie uzyskano jeszcze niestety niezależności gospodarczej. Ale, jak twierdził dyrektor, te więzy ulegają z roku na rok rozluźnieniu. A co do języka, to dzieci uczą się irlandzkiego obowiązkowo w szkole i być może niebawem kraj będzie oficjalnie dwujęzyczny. Natomiast prawdziwą tragedią był podział wyspy i zdaniem dyrektora, nie istnieją szanse na połączenie. Wiedziałem o tym zanim przyjechałem do Irlandii. Dopóki tzw. protestancka większość Ulsteru woli obywatelstwo bogatszej i silniejszej Wielkiej Brytanii od obywatelstwa biedniejszej i słabszej Republiki Irlandzkiej – zjednoczenie obu części wyspy nie będzie możliwe. Wszystko to było zrozumiale, ale pamiętałem jak za czasów okupacji mnie i innych warszawiaków drażniły obwieszczenia w języku niemieckim. A co czuli Irlandczycy, zwłaszcza ci sprzed pół wieku, którzy wywalczyli wolność polityczną, kiedy nadal musieli używać języka znienawidzonych angielskich okupantów?

Solistą koncertu był chiński pianista Fou T′song, z którym miałem przed laty wspólne występy w Polsce, zanim wyjechał do Anglii. Tam ożenił się z córką Menuhina, ale jak słyszałem, małżeństwo było krótkotrwałe. Ucieszyliśmy się ze spotkania, a Fou T′song prosił, abyśmy rozmawiali po polsku. Miał nadal sentyment do naszego kraju. Kiedy w czasie próby wymienialiśmy uwagi, muzycy mieli coraz bardziej zdziwione miny. Spoglądali to na siebie to na mnie i coś tam szeptali. Dopiero w czasie przerwy wyjaśniło się ich zachowanie. Podeszli do mnie i zapytali, skąd znam chiński. Wybuchnąłem śmiechem i powiedziałem: „To nie ja znam chiński, to on zna polski".

Po koncercie do pokoju artystycznego przyszedł jakiś Chińczyk w średnim wieku. Okazało się, że był to astronom, dyrektor obserwatorium astronomicznego w Dublinie. Zaprosił Fou T′songa, mnie i znajomego chińskiego lekarza na kolację do swego domu. Pojechaliśmy do pięknej willi, gdzie przywitała nas żona astronoma, Angielka. Ubrana była w piękne kimono. Kolacja składała się z chińskich potraw. Ponieważ w Dublinie nie można było kupić produktów chińskich, zamawiano je w specjalnym sklepie w Londynie. Pamiętam, że gospodyni podała m.in. zupę z bambusa, kaczkę po pekińsku, jakąś niemal czarną i „ciągnącą się" jarzynę oraz kompot z owoców lotosu. Ponieważ lubię egzotyczne potrawy, miałem prawdziwą ucztę. W czasie kolacji rozmawialiśmy o tzw. rewolucji kulturalnej. Dowiedziałem się wówczas, że podobno głównym celem było usunięcie wojskowych gubernatorów, pochodzących jeszcze z rodów mandaryńskich. Kiedy wyraziłem żal, że przy okazji zniszczono wiele zabytków, poinformowano mnie, iż te najcenniejsze zabezpieczyło wcześniej wojsko. Mimo że wszyscy trzej Chińczycy byli uciekinierami, a ich rodziny, które pozostały w kraju, nie uniknęły prześladowań, nie przeklinali ani socjalistycznych władz ani personalnie Mao-Tse-Tunga. Z konfucjańską wyrozumiałością tłumaczyli mi zachodzące w Chinach zmiany, a nawet ekscesy wywoływane przez „hunwejbinów" (od słowa Hunwejping, czyli po polsku Czerwona Gwardia). Dowiedziałem się wówczas, że w Chinach jest tak dużo i tak różnych języków, że porozumieć się łatwiej przy pomocy pisma niż mowy. Stąd popularność ściennych gazetek z prymitywnymi sloganami. Ściągnięci z całego kraju młodzi ludzie, owi „hunwejbini", mogli porozumieć się ze sobą jedynie dzięki niewielkiej ilości najprostszych znaków, wypisanych na murach.

Po kolacji gospodarz przyniósł chiński drzeworyt i razem z Fou T′songiem i lekarzem zachwycali się jakimiś szczegółami. Przez grzeczność, z uwagi na żonę gospodarza i mnie, rozmawiali po angielsku. W pewnym momencie zaczęli dyskutować o dziełach jakiegoś dawnego poety o nazwisku, którego nigdy nie słyszałem. Twierdzili, że to największy

poeta na całym świecie. Ponieważ miałem już dość tych „samozachwytów", zapytałem: „a Szekspir?". Usłyszałem, że był o wiele, wiele lepszy niż Szekspir. Zadałem wówczas pytanie, dlaczego w takim razie nie jest tłumaczony jak Szekspir na wszystkie języki. Gospodarz popatrzył na mnie z pewnym pobłażaniem i odpowiedział stanowczo, choć z niezwykłą uprzejmością:

- Tego poety (tu wymienił nazwisko, którego nie pamiętam) nie można przetłumaczyć na żaden język białego człowieka, ponieważ oryginał jest zbyt subtelny.

Uderzyło mnie to starannie skrywane, ale wyczuwalne poczucie wyższości przedstawiciela żółtej rasy. Dwa lata później przeżyłem to samo w czasie pobytu w Japonii. Tam usłyszałem XIX - wieczne powiedzenie: „Są trzy rzeczy zapewniające pełne szczęście: japońska żona, amerykański pieniądz i chiński kucharz". Oraz komentarz: „Obecnie jen jest mocniejszy i pewniejszy niż dolar, a zatem już dwie rzeczy niezbędne do szczęścia są japońskie. Brakuje nam jeszcze kuchni równie dobrej jak chińska. Pracujemy nad tym i niebawem przegonimy Chińczyków. Wtedy pełnia szczęścia będzie osiągalna tylko u nas, w Japonii". Powiedziane to zostało lekkim tonem z jakby przyklejonym do twarzy uśmiechem i nieruchomym spojrzeniem czarnych oczu.

Koncert w Dublinie był powtórzony w Corku, drugim co do wielkości mieście Republiki Irlandzkiej. Kiedy razem z orkiestrą jechaliśmy pociągiem do Corku, dyrektor radia pokazał mi recenzję z mojego koncertu, którą opublikowano w rannej gazecie. Zawsze uważałem, że recenzje powinny ukazywać się od razu, dzień po koncercie, a nie – jak to u nas często bywa – po tygodniu. Nie wiem, dlaczego nie można do tego doprowadzić. Recenzja była wręcz entuzjastyczna. Z jednym zastrzeżeniem. Recenzent skrytykował zmniejszenie przeze mnie orkiestry do akompaniamentu koncertu Mozarta. Twierdził, że w dużej sali z wielkim koncertowym fortepianem nie ma potrzeby ograniczania brzmienia orkiestry. Ja jednak, wychowany na polskiej tradycji, nie przyjąłem tej krytyki, pomimo że dyrektor radia określił recenzenta jako najbardziej wpływowego publicystę muzycznego Irlandii. I kiedy po roku przyjechałem ponownie do Dublina, „dla zasady" znowu zmniejszyłem orkiestrę w akompaniamencie innego koncertu fortepianowego Mozarta. Recenzent poczuł się najwidoczniej obrażony i tym razem napisał miażdżącą krytykę. Była według mnie tendencyjnie niesprawiedliwa, ponieważ nie dyrygowałem gorzej niż poprzednio. Tym bardziej, że w programie była VI symfonia Czajkowskiego, za którą w Warszawie dostałem wyjątkowo dobre recenzje. Później zdałem sobie sprawę, że powinienem był dla „świętego spokoju" ustąpić i zgodnie z sugestią wpływowego recenzenta akompaniować z pełnym składem orkiestry. To by go usatysfakcjonowało, a ja mógłbym co roku jeździć na koncerty do Irlandii. Stało się jednak inaczej. Ten drugi pobyt był zarazem ostatnim. A najzabawniejsze, że po niemal dwudziestu latach przyznałem rację dublińskiemu recenzentowi i przestałem zmniejszać orkiestrę do akompaniamentów. I po co się było wtedy upierać?

Grudzień 70

Oto znów historia, a może nawet Historia przez duże „H" wtargnęła gwałtownie w moje osobiste życie. I jednocześnie, raz jeszcze, potwierdziło się znaczenie przypadku. Lata okupacji mógłbym spędzić nie w Warszawie, a na przykład w Krakowie. Wówczas nie brałbym udziału w powstaniu i byłbym innym człowiekiem. Ten powtarzający się tryb warunkowy ewidentnie podkreśla rolę przypadku. Z obozu mógłbym nie wyjeżdżać

na roboty do Hamburga i mój późniejszy stosunek do świata i ludzi byłby całkiem inny. Wydarzenia grudniowe w Szczecinie również wpłynęły w sposób zasadniczy na moje życie, choć znalazłem się niemal w ich centrum najzupełniej przypadkowo. Zostawiam jednak te dywagacje i przechodzę do relacjonowania faktów.

Ilekroć władze dokonywały np. wymiany pieniędzy lub podwyżki cen, zawsze robiły to „z zaskoczenia". W tamtych czasach sklepy i banki były zamknięte we wszystkie dni wolne od pracy, tzn. w święta państwowe i kościelne oraz w niedziele. Tak więc ludzie dowiadywali się z radia czy telewizji o zmianach, które będą obowiązywały od poniedziałku, dopiero w niedzielę. Była to haniebna metoda, wywołująca złość i rozgoryczenie. Nic zatem dziwnego, że ogłoszone w niedzielę, 13 grudnia znacznej podwyżki cen żywności i innych artykułów pierwszej potrzeby zostały przez ludzi przyjęte bardzo źle. Podobno – jak się później dowiedziałem – Gomułka wygłosił już w sobotę wieczorem przemówienie o wprowadzonych zmianach. Ale było to po zamknięciu sklepów. Ja tego przemówienia nie słyszałem, gdyż byłem na koncercie. Pamiętam wypowiedzi pracowników filharmonii w poniedziałek rano. Muzycy z wściekłością dyskutowali i z trudem udało się rozpocząć próbę. Szczególnie drażniły opublikowane w porannej prasie tabele, z których wynikało, że „świat pracy zyskał na zmianach cen". Bo wprawdzie mięso, ryby czy mąka podrożały, ale za to staniały telewizory, pralki, lodówki, których i tak w sklepach brakowało. Ponadto ludzie zauważyli, że żywność zdrożała akurat przed świętami, co odebrano jako celowe i złośliwe działanie władz. Skutki okazały się fatalne.

We wtorek rano dotarły do Szczecina pierwsze informacje o poniedziałkowych zamieszkach i strajku w Gdańsku. W środę wiadomości były groźniejsze: podpalono budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku, a do strajku stoczniowców przyłączyli się pracownicy innych zakładów Trójmiasta. W filharmonii próby odbywały się na pozór normalnie, ponieważ w piątek, 18 grudnia miał się odbyć ostatni przed świętami koncert. Solistką była Wandzia. Pojawiła się na próbie w czwartek. Opowiedziała, że akurat od poniedziałku odbywało się w Warszawie kolejne plenum KC. Ale członków tego wysokiego organu partii nie poinformowano w ogóle o strajku w stoczni gdańskiej. Dopiero późnym wieczorem po zakończeniu obrad prywatnymi kanałami dowiedzieli się o rozruchach na Wybrzeżu. To był jaskrawy przykład oderwania się kierownictwa PZPR nie tylko od społeczeństwa, ale także od własnych członków.

Po czwartkowej próbie dowiedzieliśmy się, że wybuchł strajk w stoczni szczecińskiej. Pracownicy maszerujący w stronę Komitetu Wojewódzkiego zostali rozpędzeni przez milicję. Ponownie się zgromadzili i dotarli do budynku KW innymi ulicami. A potem go podpalili. Wówczas milicja użyła gazów łzawiących i – jak to się mówi – przywróciła porządek. Pamiętam, że nie wierzyłem w to „przywrócenie porządku" i co prędzej wysłałem Wandzię do naszego mieszkania, w którym gosposia przygotowywała dla nas obiad. Po półgodzinie Wandzia zatelefonowała, że bezpiecznie dotarła na miejsce, ale ulice są wyludnione i czuć zapach gazu. Urzędniczki zwolniłem godzinę wcześniej, aby możliwie jak najszybciej znalazły się w swoich mieszkaniach. Sam z woźnymi pozostałem w biurze do godziny piętnastej. W miarę jak zbliżałem się do domu, czuć było coraz wyraźniej pozostałości gazu łzawiącego. Potem zobaczyłem dym snujący się nad spalonym częściowo budynkiem KW. Kiedy już znalazłem się w swoim mieszkaniu na II piętrze, usłyszałem nagle krzyki i tupot nóg. Razem z Wandzią i gosposią podbiegliśmy do okna i zobaczyliśmy setki biegnących z różnych stron ludzi. Zaczęli otaczać budynek Komendy Milicji, stojący po drugiej stronie wąskiej ulicy, naprzeciw naszego domu. Teraz krótka

dygresja topograficzna. Nieopodal naszego domu były dwa place: Hołdu Pruskiego i nieco dalej Żołnierza Polskiego. Przy tym drugim znajdował się budynek KW. Komenda Milicji mieściła się przy ulicy Małopolskiej, która przylegała do placu Hołdu Pruskiego. Nieco dalej, po drugiej stronie ulicy Małopolskiej znajdował się drugi budynek Komendy Milicji i obok siedziba Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych. Tak to mniej więcej wyglądało w stosunku do naszego domu.

Z okien naszego mieszkania można było widzieć część placu Hołdu Pruskiego oraz ulicę Starzyńskiego. (Tutaj uwaga na marginesie: nie jestem pewien nazw dwóch ulic: Starzyńskiego i Henryka Pobożnego. A nie mam możliwości wyjazdu do Szczecina, aby to sprawdzić). Celowo opisuję te wszystkie szczegóły, ponieważ po raz pierwszy – i oby ostatni - zetknąłem się z czymś, co nosiło znamię bratobójczej walki. Polak stanął przeciw Polakowi. Każda wojna jest straszna, ale wojna domowa jest chyba czymś najbardziej przerażającym. A wtedy w Szczecinie na moich oczach polscy stoczniowcy rzucali kamieniami brukowymi i palącymi się szmatami na polskich milicjantów i żołnierzy, broniących dostępu do siedziby Komendy Milicji. A zaraz potem padły pierwsze strzały. To strzelali polscy milicjanci do polskich stoczniowców. Był to straszny widok. Ludzie krzyczeli, uciekali, wracali. A ponieważ dwa domy dalej przy ulicy Starzyńskiego mieściła się rejonowa przychodnia, rannych i zabitych niesiono pod naszymi oknami. Nie chciałbym przeżyć tego ponownie.

Bożenna pracowała wówczas w PLO, które mieściło się również przy ulicy Małopolskiej, 100-150 metrów od naszego domu. Dyrektor pozwolił pracownikom udać się wcześniej do domów i Bożenna przebiegła przez ulicę Henryka Pobożnego na tyły domu i przez drzwi od podwórka dostała się do mieszkania. Tą samą drogą, tylko w przeciwną stronę, wydostała się gosposia, która mieszkała parę ulic dalej. Stoczniowcy usiłowali podpalić oba budynki Komendy Milicji oraz WRZZ. Bezskutecznie. Nadjechały opancerzone wozy z wojskiem i zaczęły rozpraszać tłum. Już nie pamiętam, jak długo trwało „oczyszczanie" placu i przyległych ulic. W każdym razie jeszcze po zapadnięciu wczesnego grudniowego zmroku, strzelano świetlnymi pociskami z karabinu maszynowego, umieszczonego gdzieś na górnym piętrze Komendy. Może już tylko dla postrachu?

Szczecińska rozgłośnia radiowa, podawała komunikaty (potem także przez megafony), że obowiązuje godzina milicyjna (nie pamiętam od której) i na ulicach mogą przebywać tylko te osoby, które wracają do miejsc zamieszkania. Wczesnym wieczorem, pomimo protestów Bożenny, postanowiłem odprowadzić Wandzię do hotelu, w którym się zatrzymała. Uważałem, że tam jej będzie wygodniej. Wprawdzie obie dziewczyny bały się o mój powrót do domu, ponieważ Komenda była otoczona wojskiem i tzw. skotami. Bały się, aby jakiś nerwowy żołnierz nie strzelił na widok nadchodzącego mężczyzny. Postawiłem jednak na swoim. Wyszliśmy z Wandzią z domu i pod bacznym spojrzeniem żołnierzy stojących pod Komendą ruszyliśmy spokojnie w stronę hotelu. Nie spotkaliśmy ani jednego człowieka. Wymarłe ulice sprawiały makabryczne wrażenie, potęgowane przez dalekie wystrzały. Doprowadziłem Wandzię do hotelu i umówiłem się, że rano przyjdzie do naszego mieszkania. Muszę jeszcze dodać, że w międzyczasie w całym mieście telefony zostały wyłączone.

Ruszyłem w powrotną drogę. W pewnym momencie z bocznej ulicy wyłonił się trzyosobowy patrol: oficer i dwóch żołnierzy z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi. Zatrzymałem się, a oficer zapytał:

- Dokąd idziecie, obywatelu?

- Wracam do domu.

- A gdzie mieszkacie?

Odpowiedziałem swobodnie:

- Niestety przy Komendzie Milicji.

Oficer popatrzył na mnie bacznie i ku mojemu zaskoczeniu zmienił ton.

- Odprowadzimy pana do domu, aby nikt pana nie zatrzymał.

Ta zmiana „obywatela" na „pana" jakże była charakterystyczna. Przeszliśmy parę kroków w milczeniu kiedy nagle oficer wybuchnął:

- Stałem pod Komendą, aby ją chronić, a ci demonstranci pluli na mój mundur! Mundur polskiego oficera!

Cóż miałem powiedzieć? Rozumiałem żal i gorycz oficera, który spełniał tylko swój żołnierski obowiązek. Doszliśmy do mojego domu. Podałem dłoń oficerowi, który skwapliwie ją uścisnął. Tamto spotkanie było jeszcze jednym smutnym przyczynkiem do skomplikowanych losów naszego kraju.

Następnego dnia poszedłem do biura. Zrezygnowałem z próby i zwolniłem muzyków do domu oraz dopilnowałem, aby na drzwiach filharmonii umieszczono zawiadomienie o odwołaniu koncertu. Było to raczej zbyteczne, gdyż w całym mieście obowiązywał zakaz organizowania publicznych imprez. Raz po raz dochodziły do nas informacje, że robotnicy w różnych miejscach organizują pochody, ale wojsko i milicja szybko je likwidowały. Podobno na murze otaczającym stocznię wymalowano wapnem ogromny napis: „Wstań Stalinie, bo robotnik polski ginie!" a potem – jak wiadomo z historii – odszedł Gomułka, Cyrankiewicz i paru ich najbliższych współpracowników. I sekretarzem został Gierek. Ale o tym napiszę osobno.

Stela 70

To co widziałem w ów pamiętny czwartek, 17 grudnia 70 roku, prześladowało mnie przez wiele nocy. Nie tylko w ciągu nieprzespanych godzin, ale także w czasie snu. Nie mogłem się z tego otrząsnąć, by nie użyć określenia „wyzwolić". Na wydarzenia czwartkowe nałożył się ponadto pozornie drobny incydent z następnego dnia. W piątek, wracając z pracy zostałem zatrzymany na placu Hołdu Pruskiego, kilkadziesiąt metrów od mojego mieszkania. O tym, że plac był otoczony przez opancerzone pojazdy, już pisałem. Ponieważ w piątek trwały jeszcze na peryferiach utarczki robotników z milicją i wojskiem, Komendy pilnowano szczególnie starannie. Później dowiedziałem się, że mieścił się w niej tzw. sztab operacyjny. Idąc śpiesznie, zostałem nagle zatrzymany przez trzech żołnierzy.

- Dowód osobisty – usłyszałem krótki rozkaz.

Poczułem przypływ złości. Przypomniała mi się okupacja. Od tamtych czasów ilekroć muszę okazywać jakimkolwiek osobom jakikolwiek osobisty dokument – czuję się upokorzony. Wiem, że to całkowicie nieracjonalne, ale nie potrafię się opanować. Dziesiątki (może nawet setki) razy przekraczałem granicę i powinienem się przyzwyczaić do okazywania paszportu. Niestety nic na to nie poradzę, że za każdym razem czuję się kimś gorszym od osobnika w mundurze. Wiem, że on spełnia tylko swój obowiązek, że ta formalność jest konieczna, że w jego działaniu nie ma niż złośliwego itd. Ta świadomość w niczym nie osłabia mojego uczucia upokorzenia.

Wtedy w Szczecinie odebrałem żądanie okazania dowodu osobistego jako nadużycie władzy. Dlatego odpowiedziałem krótko i szorstko:

- Idę do domu.

- Okażcie dowód, obywatelu – powtórzył z naciskiem żołnierz.

- Ja tutaj mieszkam – oświadczyłem, coraz bardziej agresywnie. I wtedy usłyszałem po raz trzeci:

- Proszę o dowód osobisty.

Żołnierz z naszywkami sierżanta patrzył na mnie twardo, podobnie jak ja na niego. Rozpiąłem kożuch i wyciągnąłem dokument. Obejrzał go dokładnie i sprawdził adres. Oddał dowód bez słowa i odsunął się na bok. Ten drobny incydent zepsuł mi ma długo humor i – być może – stał się ostatnim impulsem do skomponowania utworu, poświęconego grudniowym wydarzeniom.

Pisałem go w okresie między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem. Musiałem wyrzucić z siebie całą gorycz i wściekłość. Nazwałem go „Stela 70" z podtytułem „Pamięci wszystkich ofiar Grudnia". Jego dalsze dzieje warte są – moim zdaniem – upamiętnienia, ponieważ żaden z moich utworów nie był tak związany z historycznymi wydarzeniami i tak zależny od polityki.

Jak już pisałem, w lutym 71 miałem pierwszy koncert w Dublinie. W programie, na życzenie dyrekcji Radia Irlandzkiego, wykonałem uwerturę „Olintiac" nieznanego irlandzkiego kompozytora o nazwisku Reidy. Była to muzyka wtórna i zupełnie nieciekawa. Kiedy zatem po koncercie dyrektor Radia zaprosił mnie na następny sezon, od razu zapytałem czy mógłbym wykonać własny utwór. Wyraził zgodę. Umieściłem „Stelę 70". Została przez orkiestrę i publiczność przyjęta życzliwie, choć bez entuzjazmu. Przypuszczam, że przyczyną były niestandardowe środki wyrazu, jak np. uderzanie przez muzyków nogami o podłogę w rytmie marsza żałobnego.

Zdawałem sobie sprawę, że utwór noszący podtytuł „Pamięci wszystkich ofiar Grudnia" nie miał szans na wykonanie w Polsce. Czekałem zatem na zmianę sytuacji politycznej. Jak wiadomo z historii, w czerwcu 1976 roku na skutek podwyżek cen, rozpoczęły się strajki, demonstracje i zamieszki. Największe w Radomiu i Ursusie. Brutalne działania ZOMO (Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej), dyscyplinarne zwalnianie pracowników uczestniczących w demonstracjach i inne formy represji spowodowały, że Gierek stracił resztę sympatii i zaufania znacznej części społeczeństwa. Pojawiła się po raz pierwszy solidarność pomiędzy różnymi grupami zawodowymi. Dobrze pamiętam, że w czerwcowych demonstracjach 56 roku w Poznaniu udział brali głównie robotnicy. Studenci stali na uboczu. Natomiast w marcu 68 roku robotnicy nie poparli demonstracji studentów. W czasie grudniowych rozruchów na Wybrzeżu (rok 70) środowiska inteligenckie poza pojedynczymi wyjątkami nie przyłączyły się do robotniczych protestów. Zmiana nastąpiła dopiero po raz pierwszy w lecie 76 dzięki inicjatywie warszawskich pisarzy, prawników, dziennikarzy, aktorów. Postanowiono pomóc aresztowanym lub zwolnionym z pracy robotnikom i ich rodzinom. Tak powstał Komitet Obrony Robotników (KOR). Myślę, że kiedyś historycy właściwie ocenią i docenią przełomowe znaczenie KOR-u. Już teraz zaryzykuję tezę, że gdyby nie działacze KOR, nie doszłoby po paru latach do powstania „Solidarności", a przede wszystkim podpisania porozumień sierpniowych.

Wracam jednak do mojego utworu. Kiedy w roku 1977 zauważyłem pewne rozluźnienie cenzury, wstawiłem „Stelę 70" do programu gościnnego koncertu w Filharmonii Łódzkiej, zaplanowanego na luty 78. Na tydzień przed pierwszą próbą zatelefonowano do mnie, że Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk zakwestionował mój utwór i nakazał usunięcie go z afisza, co równało się z zakazem wykonania. Należałoby raczej napisać,

że zakwestionowano nie utwór, ale tytuł i podtytuł. Dyrektor filharmonii bardzo mnie przepraszał, ale – jak wiadomo – musiał podporządkować się decyzji cenzury. Byłem wściekły i po przyjeździe do Łodzi, złożyłem wizytę kierownikowi wydziału kultury Urzędu Wojewódzkiego. Oświadczyłem, że zakaz wykonania mojego utworu uważam za niedopuszczalne ograniczenie swobody twórczej. Podkreśliłem, że mój utwór nie ma charakteru politycznego i jest jedynie hołdem dla zabitych i rannych, wśród których byli poza robotnikami także żołnierze i milicjanci. Kierownik nie próbował nawet ze mną polemizować. Tłumaczył tylko, że w napiętej sytuacji społecznej, mój utwór zamiast działać łagodząco, mógłby zaognić atmosferę. Ta rozmowa była zresztą bezprzedmiotowa, ponieważ decyzja o zdjęciu mojego utworu z programu była ostateczna i na afiszach już go nie umieszczono.

A potem nastąpiły znane z historii wydarzenia sierpnia 80. W listopadzie tego samego roku zaproponowano mi dyrygowanie koncertami zorganizowanymi przez olsztyńską „Solidarność". Miały się odbyć w tamtejszej hali sportowej. Z uwagi na masowy charakter tych koncertów, ułożyłem program złożony z fragmentów znanych utworów. M.in. I część V symfonii Beethovena i Mazur z „Halki". Zaryzykowałem również „Stelę 70", trwającą nie dłużej niż 6-7 minut. Trudno mi powiedzieć czy utwór się podobał, ponieważ atmosfera w hali była wyjątkowo uroczysta. Wszystkie utwory w wykonaniu orkiestry oraz wiersze, które pomiędzy nimi recytowała Halina Mikołajka – oklaskiwane były owacyjnie. Muszę przyznać, że i ja uległem temu nastrojowi. Ale o tych historycznych wydarzeniach roku 1980 napiszę w odpowiednim czasie.

We wrześniu 81 roku pojechałem z orkiestrą wałbrzyską do Jeleniej Góry. Nie był to koncert w sali Jeleniogórskiej Filharmonii, ale – o ile mnie pamięć nie zawodzi – w auli Filii Wrocławskiej Akademii Ekonomicznej. Nie mogę sobie również przypomnieć z jakiej okazji i kto go organizował. W programie była wyłącznie muzyka polska. Na zakończenie wykonaliśmy „Stelę 70". Miała duże powodzenie, ale przypuszczam, że raczej z powodów pozamuzycznych.

Ale to nie koniec „przygód" tego utworu. Zachęcony wykonaniem „Steli 70" w Olsztynie i Jeleniej Górze, postanowiłem zadyrygować ją na zwykłym koncercie. Akurat w lutym 82 roku miałem zaplanowany występ w Zielonej Górze. Wstawiłem „Stelę 70" do programu, tym razem jednak nie podając podtytułu. Cenzura nie skojarzyła „70" z rokiem 1970 a słowa „Stela" z kamieniem grobowym. Wiele osób myślało, że chodzi o „stellę" czyli gwiazdę. Tak więc projekt afisza został zatwierdzony i drukarnia go wydrukowała. Na pierwszej próbie wyjaśniłem muzykom, że utwór dotyczy wydarzeń grudniowych w Szczecinie w roku 1970 i stąd podtytuł „Pamięci wszystkich ofiar Grudnia". Następnego dnia wybuchła awantura. Ktoś z muzyków doniósł władzom, a wydział kultury Urzędu Wojewódzkiego natychmiast zabronił wykonania „nieprawomyślnego" utworu. Cóż było robić, zmieniłem „Stelę 70" na „Bolero" Ravela, co zapewne uradowało publiczność.

Po powrocie do Wałbrzycha napisałem do wojewody zielonogórskiego zażalenie na decyzję dyrektora wydziału kultury. Wojewoda odpisał, że podtrzymuje tę decyzję jako słuszną z powodów politycznych. Wysłałem kolejny list, polemizując ze stanowiskiem wojewody właśnie z przyczyn politycznych. Moje argumenty nie przekonały jednak wojewody, czemu dał wyraz w obszernej odpowiedzi. Uznałem, że dalsza korespondencja nie ma sensu. Żałuję tylko, że nie zabrałem na pamiątkę afisza z wydrukowaną „Stelą 70". A o moich innych zatargach z cenzurą, nieraz będę jeszcze pisał.

Rozdział XXVIII

SZCZECIN (VI)

Przypuszczam na podstawie mojego jednostkowego doświadczenia oraz przeprowadzonych rozmów, że każdy (no, może prawie każdy) kierujący jakąś grupą ludzi w pewnym momencie znajdzie się w sytuacji, którą nazwałbym „komasacją niezadowolenia" lub „frontem niezadowolonych". I to niezależnie od tego czy kieruje wielkim zakładem pracy, instytucją, urzędem, małą firmą. Mechanizm jest prosty i wynika z pewnych prawidłowości psychologicznych, jak np. przewagi bodźców emocjonalnych nad racjonalnym myśleniem. A oto parę przykładów. Jeśli pracownik przez 10 lat otrzymuje premie za dobrą pracę, osiągnięcia, podnoszenie kwalifikacji – jest oczywiście usatysfakcjonowany. Jeśli jednak w jedenastym roku zaniedba się w pracy lub popełni znaczący błąd i premii nie otrzyma – potraktuje to jako krzywdę. Zapomni o poprzednich otrzymanych dziesięciu premiach, a pamiętać będzie tylko o tej jednej, której obecnie nie otrzymał. I nigdy kierownikowi tego nie daruje. Odwrotnie, jeżeli kiepski pracownik przez 10 lat nie otrzymywał premii, ponieważ nie miał żadnych osiągnięć, nie podnosił kwalifikacji – będzie uważał się za pokrzywdzonego przez kierownika. Jeżeli jednak poprawił wyniki swojej pracy i w jedenastym roku otrzymał premię – w niczym to nie złagodzi jego złości za minione lata i nadal będzie czuł wrogość do kierownika. Po paru latach liczba niezadowolonych pracowników osiągnie – jak mówią fizycy – masę krytyczną i musi nastąpić wybuch. Określona grupa przystąpi do działań mających na celu usunięcie kierownika. I to właśnie spotkało mnie po czternastu latach pracy w Filharmonii Szczecińskiej. Do dzisiaj nie wiem czy nie było to najbardziej bolesne wydarzenie w moim życiu zawodowym.

Dwa zebrania

Grupa muzyków przy pomocy Rady Zakładowej, czyli komórki związkowej, istniejącej w każdej instytucji, zażądała zwołania zebrania załogi, czyli wszystkich pracowników. Było to chyba w połowie lutego 1971 roku. Temat: omówienie sytuacji w filharmonii. Zgodnie z obowiązującymi przepisami musiałem takie zebranie zorganizować. Rada Zakładowa zażądała ponadto, aby był na nim obecny dyrektor wydziału kultury urzędu miejskiego, któremu w tamtym okresie podlegała filharmonia. A był nim były dyrektor Biblioteki Miejskiej, którego jako radny krytykowałem przed paru laty za brak stanowczych działań i ustępliwość wobec władz. Chodziło o zdobycie środków finansowych na remont biblioteki. Nic zatem dziwnego, że od tamtego czasu wyraźnie mnie nie lubił.

Na zebraniu, przy tzw. milczącej większości, kilkunastu muzyków atakowało mnie mniej lub więcej gwałtownie. Krytykowali właściwie wszystko, co robiłem. W dłuższej wypowiedzi próbowałem odparować poważniejsze zarzuty i wyśmiać mniej istotne. Na

końcu zabrał głos dyrektor wydziału kultury. Widziałem, że był wyraźnie rozczarowany słabością zarzutów moich wrogów. Stwierdził, że należy wyjaśnić nieporozumienia i naprawić atmosferę w instytucji. Tak więc zebranie nie doprowadziło do zażegnania konfliktu. Przeciwnicy byli zawiedzeni, ponieważ nie doprowadzili do mojego odejścia. I wtedy popełniłem niewybaczalny błąd. Należało zaraz po zebraniu zmontować grupę swoich zwolenników, a przeciwników albo zastraszyć, albo ułagodzić. A ja pozostawiłem sprawy ich biegowi, ponieważ uważałem, że byłoby poniżej mojej godności wdawać się w jakieś rozgrywki personalne. Sądziłem, że moje umiejętności i osiągnięcia wystarczą. Jakże się myliłem!

Po paru tygodniach Rada Zakładowa zażądała zwołania kolejnego zebrania. Zastosowali nową taktykę. Zamiast atakować mnie jako dyrektora, przeniesiono zarzuty na płaszczyznę moralną. Opiszę je szczegółowo, ponieważ ilustrują metody, do dzisiaj niestety stosowane w celu zniszczenia przeciwnika.

Przed paroma laty zatrudniłem w orkiestrze małżeństwo świeżych absolwentów PWSM. W krótkim terminie otrzymali mieszkanie. Ona była skrzypaczką, a on altowiolistą. Jego mianowałem koncertmistrzem grupy altówek, ponieważ dotychczasowy, którego zastałem, był bardzo słaby. Pewnego dnia przyszedł do mnie nowo mianowany koncertmistrz i poprosił o rozmowę. Bardzo zdenerwowany powiedział, że czuje wrogość grupy altówek wobec swojej osoby. Kiedy ma do wykonania partię solową, jest pewien, że koledzy z grupy „czyhają" na jakąkolwiek pomyłkę. Usiłowałem go pocieszać, tłumacząc, że zawiść pozostałych altowiolistów wynika z faktu, że grają od niego o wiele gorzej. Na to niemal wykrzyknął:

- Ale dlaczego są tacy?

Powiedziałem wówczas, co dobrze pamiętam:

- Już Szekspir napisał „wszyscy ludzie są łajdakami". Ja mówię łagodniej: „każdy człowiek jest potencjalną świnią". Nie dziw się, jeżeli ktoś ci robi świństwa; takie jest życie.

Miałem nadzieję, że moje słowa pomogą młodemu człowiekowi, ponieważ wyszedł jakby uspokojony. A teraz na zebraniu, po upływie paru lat, tenże altowiolista powiedział:

- Dyrektor uważa każdego człowieka za świnię. Sam mi to kiedyś powiedział. Jak może ktoś taki być dyrektorem?

Było to tak wstrętne, że straciłem – co pamiętam – oddech. Po sali przeszedł szmer. I co miałem robić? Prostować? Opowiedzieć treść całej rozmowy? Wyjaśnić kontekst? Przywołać cytat z Szekspira? Zrezygnowałem, ponieważ poczułem fizyczne obrzydzenie.

Parę lat wcześniej zaplanowałem cykl „Ostatnie symfonie Mozarta". Opowiedziałem na próbie, jak powstały te arcydzieła i chcąc przybliżyć muzykom postać genialnego kompozytora, przytoczyłem kursujące w Wiedniu anegdoty o jego bujnym życiu seksualnym. A teraz na zebraniu jeden z muzyków oświadczył:

- Dyrektor mówił, że Mozart był dziwkarzem. Od tamtego czasu nie mogę skupić się w czasie grania, ponieważ muzyka Mozarta kojarzy mi się z seksem. Jak taki człowiek może być dyrektorem i dyrygentem?

I znowu poczułem wstręt. Tego rodzaju zarzuty były czymś plugawym. Jak z nimi polemizować? Tłumaczyć, prostować, wyjaśniać? Postanowiłem milczeć.

A wtedy wstała moja była uczennica i oświadczyła z całą powagą, że obiecałem jej stanowisko koncertmistrza grupy wiolonczel, jeżeli „pójdzie ze mną do łóżka". Było to oczywiście ohydne kłamstwo. Po jej słowach rozległy się stłumione chichoty, ale było ich

niewiele. Czułem, że większość muzyków uwierzyła. A przecież absurdalność tego zarzutu nie wymagała komentarzy. Dziewczyna była pilną uczennicą, ale o bardzo niewielkich zdolnościach. Z trudem udało mi się przygotować ją do dyplomu średniej szkoły. Jak ktokolwiek mógłby przypuszczać, że mianuję ją koncertmistrzem, tym bardziej, że funkcję tę pełnił absolwent wyższej szkoły?

Zaraz potem wstała jeszcze jedna dziewczyna z orkiestry, nie pamiętam na czym grająca i potwierdziła, że jej również proponowałem podwyżkę pensji w zamian za „pójście ze mną do łóżka". Zaczęło mnie dosłownie mdlić ze wstrętu. Tak perfidnych kłamstw nie oczekiwałem. Pamiętam, że poczułem ogarniające mnie obrzydzenie i zniechęcenie do dalszej pracy w filharmonii. A kiedy prowadzący zebranie przewodniczący Rady Zakładowej zapytał czy chcę zabrać głos, odpowiedziałem jednym słowem i – pamiętam to dobrze – z celową pogardą:

- Nie.

Wówczas dyrektor wydziału kultury oświadczył:

- Widzę, że w takiej sytuacji dalsza praca dyrektora nie będzie możliwa i władze zajmą odpowiednie stanowisko.

W jego głosie wyczułem satysfakcję. A ja następnego dnia zrezygnowałem z dyrygowania wszystkimi koncertami w filharmonii do końca sezonu. Nie wyobrażałem sobie bowiem wspólnego tworzenia muzyki z orkiestrą, w której znajdowali się tak podli ludzie. Byłem także zawiedziony bierną postawą większości muzyków. Jak to się mówi – straciłem do nich serce. A ponieważ miałem w następnych miesiącach koncerty w Koszalinie, Słupsku, Krakowie, Warszawie i Olsztynie, pracy mi nie brakowało. Zaś po tym drugim zebraniu już się z orkiestrą Filharmonii Szczecińskiej nie spotkałem. Nawet się nie pożegnałem. Muzycy również nie wystąpili z taką inicjatywą. Po prostu z dniem 31 sierpnia zniknąłem z instytucji, którą prowadziłem przez czternaście lat.

Dalszy ciąg

Pod koniec maja otrzymałem pismo odwołujące mnie ze stanowiska dyrektora i kierownika artystycznego z dniem 30 maja 71. Był to błąd formalny, ponieważ powinna być data 31 maja. Dziewczyny w biurze, które nie solidaryzowały się z muzykami, radziły mi, abym zakwestionował ważność pisma z powodu tej pomyłki. Odpowiedziałem, że nie wypada, abym postępował w ten sposób. Trzy miesiące później, 31 sierpnia, zorganizowałem dla biura „pożegnalną kawę". Potem zabrałem resztę swoich papierów i taksówką pojechałem do domu. Zaś następnego dnia rozpocząłem „autopsychoanalizę". Dzięki temu, trwającemu parę tygodni zabiegowi, odzyskałem równowagę, a jeszcze później tzw. pogodę ducha. Zdawałem sobie sprawę, że zwalanie swojej porażki na zmowę wrogów nie prowadzi do niczego. Aby pozbyć się uczucia rozgoryczenia, konieczny był rozrachunek z samym sobą. Konieczna analiza własnego postępowania i znalezienie swoich błędów. Dzień w dzień przez kilka godzin przypominałem sobie, co robiłem. Szczegółowo analizowałem każde działanie i każdą wypowiedź. Starałem się patrzeć na siebie z dystansem i obiektywnie oceniać zarówno dokonania jak i zaniedbania. Po paru tygodniach doszedłem do wniosku, że ja również w znacznej mierze ponoszę winę za swoją porażkę. A oto fakty.

Powiększyłem orkiestrę i znacznie podniosłem jej poziom, organizowałem koncerty gościnne w kraju (m.in. w Warszawie) i za granicą (m.in. w Pradze), kupiłem dużo nowych

i dobrych instrumentów, pozyskałem sporo mieszkań dla muzyków, poprawiłem frekwencję, poszerzyłem zasięg koncertów edukacyjnych, wprowadziłem nowe formy, powołałem do życia orkiestrę kameralną, z którą występowałem w Polsce (m.in. w Warszawie), Czechosłowacji i NRD. Były to niewątpliwe osiągnięcia, które zostały docenione przez władze, otrzymałem bowiem medale i nagrody. Nic zatem dziwnego, że takie czy inne głosy krytyczne w orkiestrze uważałem za zwykłe „czepianie się". Zacząłem traktować muzyków instrumentalnie, jako biernych realizatorów moich planów. Przestałem w nich widzieć jednostki ludzkie. Tutaj muszę się jednak usprawiedliwić. Jeżeli ktokolwiek miał jakieś osobiste kłopoty, np. mieszkaniowe, zawsze pomagałem. Nie dotyczyło to jednak pracy; w orkiestrze mieli tylko grać i nie wtrącać się do tego, co robię.

Analizując dalej swoje postępowanie, doszedłem do uogólnień, które przedstawiłem na początku tego rozdziału. I pojawiła się wątpliwość czy przy przyznawaniu premii i podwyżek również nie działałem zbyt bezwzględnie. Przypomniałem sobie, jak całkowicie pozbawiłem dwóch muzyków rocznej premii tylko za to, że w drodze na koncert do Bydgoszczy, wypili pomimo zakazu na postoju w barze po „setce" wódki. W niektórych sprawach, m.in. w spożywaniu alkoholu, nie uznawałem kompromisu. Na próbach i po koncertach personalnie wytykałem błędy ostrymi słowami jak np.: niedopuszczalne, nie do przyjęcia, kompromitacja, skandal.

I wreszcie moje zamiłowanie do mówienia dowcipów, nie tylko politycznych, lecz także o zabarwieniu erotycznym. Przez te czternaście lat mnóstwo razy publicznie, dla zabawy robiłem żartobliwe uwagi, aluzje, a nawet luźne propozycje. Moi wrogowie wykorzystali to przeciwko mnie, co nie zmienia faktu, że tego rodzaju dowcipkowanie okazało się błędem. W tym miejscu warto dodać, że w parę miesięcy później dowiedziałem się o dalszym ciągu tych seksualnych oszczerstw. Moi wrogowie namówili obie dziewczyny, którym rzekomo złożyłem „łóżkowe" propozycje, aby potwierdziły to na piśmie. A potem te oświadczenia przekazano prokuraturze. Jak mi opowiadano, prokurator zaprosił obie dziewczyny na rozmowę i na podstawie ich słów bez trudu stwierdził, że były namówione i „ustawione". Dlatego skargę oddalił i nie podjął żadnych prawnych kroków. Niestety, nikt o tym nie powiadomił załogi. Ani mnie.

I jeszcze jedna informacja. Jak mi znacznie później zrelacjonowano, władze województwa szczecińskiego dla uspokojenia nastrojów po grudniu 70, w ciągu następnego półrocza odwołały z różnych stanowisk kierowniczych około 200 osób. Podobnie było w całym kraju. Tak więc historia znowu wpłynęła na moje życie.

Pewnego dnia zatelefonował do mnie ówczesny minister kultury i sztuki, Lucjan Motyka. Moje kontakty z nim opiszę w osobnym rozdziale o ministrach. Powiedział, że był zaskoczony decyzją władz lokalnych i że postara się znaleźć dla mnie posadę za granicą. Podziękowałem i czekałem na wiadomość. Rzeczywiście po paru tygodniach zadzwonił dyrektor Biura Muzyki „Pagartu" i zapytał czy byłbym zainteresowany objęciem stanowiska dyrygenta orkiestry w Guadalajarze w Meksyku. Odpowiedziałem, że jestem jak najbardziej zainteresowany. Podał mi nawet warunki finansowe; były znośne. Mijały dni, potem tygodnie, a ja nie otrzymałem żadnej wiadomości. Wreszcie „Pagart" powiadomił mnie, że sprawa jest nieaktualna. A potem, przy jakiejś bytności w Warszawie, znajoma urzędniczka ministerstwa powiedziała mi w zaufaniu, że to właśnie z winy pracowników „Pagartu" nie otrzymałem tej posady. Po prostu zbyt późno wysłano dokumenty.

Po dłuższym czasie, już w roku 1972, nadeszła następna propozycja, tym razem wyjazdu na kontrakt do Bagdadu. A może pamięć płata mi figle i był to Bejrut? W każdym

razie ta propozycja zawierała znacznie lepsze warunki finansowe. Oczywiście bez wahania zgodziłem się ją przyjąć. I znowu zapadła trwająca szereg tygodni cisza. Zatelefonowałem wreszcie do „Pagartu" i dowiedziałem się, że tę posadę dostał inny dyrygent, parę miesięcy po mnie także odwołany ze stanowiska. Był w gorszej sytuacji ode mnie, nie miał gościnnych koncertów i nie potrafił skomponować lub opracować jakiegokolwiek utworu. Podobno nawet sprzedał telewizor, aby mieć „na życie".

I tak zakończyły się starania „Pagartu" zorganizowania dla mnie posady za granicą.

Dyrektor wydziału kultury Urzędu Wojewódzkiego zachował się, w przeciwieństwie do swojego odpowiednika w Urzędzie Miejskim bardzo przyzwoicie. Zaprosił mnie na rozmowę, w czasie której wręczył mi wielki bukiet kwiatów i długie pismo, dziękujące za to co zrobiłem dla Szczecina i Pomorza Zachodniego. Jak było do przewidzenia, urząd miasta nie zdobył się na taki gest. Ponieważ uważałem, że obowiązkiem instancji partyjnej było bronienie mnie, przestałem płacić składki. Po paru miesiącach otrzymałem pismo, informujące o skreśleniu z ewidencji członków PZPR. Na to złożyłem zażalenie w liście do KC, pisząc, że wyrzucenie mnie bez odbycia jakiejkolwiek rozmowy „uważam za kolejny przykład bezdusznego stosunku do mojej osoby". To zdanie zacytowałem dosłownie, ponieważ nigdy go nie zapomniałem. W ciągu paru dni zatelefonowano do mnie z KW, prosząc grzecznie na rozmowę. Kiedy się zjawiłem w wydziale organizacyjnym, przeproszono mnie za skreślenie z listy członków i tłumacząc, że choć było to zgodne ze statutem, powinno być poprzedzone bezpośrednim kontaktem. Odpowiedziałem, że jako bezrobotny nie mam pieniędzy na płacenie składek. Powstał istotny dylemat, ponieważ w socjalistycznym państwie nie mogło być żadnego bezrobotnego. A tym bardziej partyjnego, w dodatku wielokrotnie odznaczanego i nagradzanego. Ponieważ nie chciałem należeć do POP przy filharmonii, skierowano mnie do tzw. Terenowej Organizacji Partyjnej (TOP) przy ADM (Administracji Domów Mieszkalnych). Grupowała np. kobiety, które przerwały pracę, aby opiekować się chorymi dziećmi czy starymi rodzicami oraz emerytów i rencistów, których zakłady pracy były oddalone od śródmieścia. Zebrania odbywały się raz w miesiącu i trwały najwyżej godzinę. Była to fikcja, ponieważ TOP nie miała właściwie na nic wpływu. Od czasu do czasu kierownik ADM, który był zarazem I sekretarzem, informował członków, co dzieje się w podległym mu urzędzie. Raz czy dwa przyszedł jakiś agitator, aby w nieudolny sposób omówić aktualne zagadnienia polityczne. Jego wezwania do dyskusji lub zadawania pytań pozostały bez echa. A składka miesięczna wynosiła zaledwie 1 zł.

Oczywiście musiałem zwolnić gosposię. Na to już nie było mnie stać. Przejąłem część jej obowiązków, tzn. zakupy i gotowanie. O ile ta pierwsza czynność stawała się z czasem coraz bardziej kłopotliwa, o tyle gotowanie sprawiało mi dużo przyjemności. Nauczyłem się nawet piec raz do roku na święta Bożego Narodzenia prawdziwy drożdżowy makowiec, z czego byłem naprawdę dumny.

Ostatnią ważną sprawą, która wydarzyła się w roku 1971, było uzyskanie wreszcie, po 14 latach oczekiwania, rozwodu. Otrzymałem z Warszawy od znajomej prawniczki informację, że Sąd Najwyższy wydał orzeczenie, iż w wyjątkowych przypadkach może uzyskać rozwód strona winna rozkładu małżeństwa. Do takich wyjątkowych przypadków zalicza się wieloletnią rozłąkę i stałe, choć nieformalne pożycie z inną osoba. Zwróciłem się natychmiast do adwokata, który prowadził poprzednią, niestety przegraną sprawę rozwodową. Był to znakomity prawnik o nazwisku Garlicki. Potwierdził, że istotnie ostatnie orzeczenie Sądu Najwyższego stworzyło warunki do uzyskania przeze mnie rozwodu. Choć opłata sądowa w sprawie rozwodowej była wysoka, jak również honorarium adwokata

– nie zastanawiałem się ani minuty. Uzyskanie wolności cywilnej i spełnienie obietnicy wobec Bożenny były ważniejsze niż pieniądze. Na początku lata pojechałem do Warszawy na rozprawę. Mec. Garlicki nie mógł być obecny, ale zapewnił mnie telefonicznie, że w oparciu o orzeczenie Sądu Najwyższego tym razem nie powinniśmy przegrać. Wszystkie szczegóły zawarł w piśmie procesowym.

Na zapytanie sędziny czy podtrzymuję swoje stanowisko odnośnie rozwodu, odpowiedziałem twierdząco. Zwróciła się wtedy do mojej żony z pytaniem czy zgadza się na rozwód. Ta wykrzyknęła z płaczem:

- Nie! Nigdy! Tutaj jest jego dom. Ja go kocham! Niech wraca!

Poprosiłem o głos i wygłosiłem następujące przemówienie.

- Wysoki sądzie, wojna rozdzieliła wiele kochających się małżeństw. Kiedy te, które ocalały, spotkały się po zakończeniu wojny, okazało się, że 5 lat rozłąki i przebywania w różnych warunkach, uniemożliwiało, pomimo obopólnych chęci, dalsze pożycie. Są to sprawy powszechnie znane. Nasze małżeństwo, które trudno uznać za kochające, rozpadło się przed czternastu laty. Żyliśmy osobno w zupełnie odmiennych warunkach. Nic nas już nie łączy. Czy z punktu widzenia psychologii możliwe byłoby wspólne życie dwojga obecnie obcych, żywiących do siebie wzajemne urazy, osób?

Po pewnym czasie dostaliśmy wreszcie radosną wiadomość, że sąd orzekł rozwód. Ale to jeszcze nie był koniec. Moja eksmałżonka w swojej zapiekłej nienawiści i urażonej godności kobiecej złożyła apelację. Na szczęście obecność moja nie była konieczna na rozprawie wyznaczonej na 27 lipca. Mec. Garlicki był na niej, powołał się tylko na orzeczenie Sądu Najwyższego i apelacja została odrzucona. W sierpniu wzięliśmy z Bożenną ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego. Zasłużyła na to zadośćuczynienie za lata dwuznacznej sytuacji, w której się znajdowała. Należy pamiętać, że w tamtych czasach przestrzegano tzw. moralności socjalistycznej, która niewiele różniła się od moralności drobnomieszczańskiej. Bożenna przez te wszystkie lata była zameldowana jako sublokatorka. Nie mogliśmy mieszkać razem w hotelach i na wczasach. Podziwiałem jej hart ducha w tak niezręcznej sytuacji. Cieszyłem się, że mogłem to wreszcie wynagrodzić. Tak więc rok 1971, fatalny z powodu utraty stanowiska, okazał się pomyślny w sprawie osobistej.

Moje dzienniki

Kiedy w poprzednim rozdziale odtwarzałem wydarzenia wiosny 71 roku, przypomniałem sobie, że po odejściu z Filharmonii Szczecińskiej zacząłem pisać dziennik, czy – jak kto woli – pamiętnik. Postanowiłem zatem (już po skończeniu podrozdziału) sprawdzić czy w zapiskach z tamtego okresu nie znajdę jakichś dodatkowych szczegółów. Kilkanaście tzw. bloków akademickich od lat leżało z tyłu za albumami płytowymi. Znalazłem je i jak się okazało, dziennik zacząłem pisać nie we wrześniu 71, ale w maju, po skończeniu 45 lat. Jeszcze jeden przykład ułomności mojej pamięci. I prowadziłem ten dziennik w miarę systematycznie aż do ponurego okresu różnych chorób, pobytów w szpitalach i operacji w roku 1999. Lektura codziennych notatek z maja 71 roku była prawdziwym zaskoczeniem. Tak ważne wydarzenia jak wyrzucenie mnie z pracy (przepraszam: odwołanie ze stanowiska!) traktowałem wówczas marginesowo. Najwięcej uwagi i miejsca poświęcałem problemom filozoficznym, rozważaniom nad czytanymi książkami oraz komponowanym utworom. W pierwszej notatce pod datą 15 maja omawiałem sens i sposoby pisania pamiętnika.

Następnego dnia rozważałem psychologiczne aspekty tej czynności. W kolejnym dniu zastanowiłem się nad ludzkimi postawami. Itd. Itd. Warto zaznaczyć, że pamiętnik pisany był wyłącznie dla mnie, bez zamiaru jakiejkolwiek publikacji. Z jego lektury wynika jasno, że w krytycznym momencie mojego życia postanowiłem utrwalić własne przemyślenia, a nie codzienne wydarzenia. Może to był rodzaj obrony?

Czytając te codzienne notatki sprzed 35 lat musiałem zmienić moje przekonanie o całkowitej bierności muzyków Filharmonii Szczecińskiej w mojej sprawie. Okazało się, że moi zwolennicy chodzili do władz, zbierali podpisy w mojej obronie itd. Jak się okazało – nie miało to niestety praktycznego znaczenia. Znalazłem również zapis z września, że pracownicy techniczni filharmonii odwiedzili mnie w domu i przynieśli bukiet złożony z 14 róż, symbolizujących 14 lat mojej pracy. Piękny gest na pożegnanie ze strony sprzątaczek, woźnych, portierów. Muzycy nie wpadli na taki pomysł.

W kolejnych miesiącach znalazłem zapiski świadczące, że nawet władze czuły się widocznie nieswojo. Wojewódzki Wydział Kultury poza kwiatami i listem przyznał mi nagrodę w wysokości 3 000 zł. O ile dobrze pamiętam, moja pensja dyrektorska wynosiła 5 500 zł. Ku mojemu zdziwieniu przeczytałem, że również we wrześniu przewodniczący MRN zaprosił mnie na uroczyste pożegnanie. W obecności swego zastępcy i dyrektora wydziału kultury (mojego wroga, który doprowadził do odwołania mnie ze stanowiska!) dziękował mi za to, co zrobiłem dla kultury Szczecina. Trwało to – jak zapisałem – około pół godziny, a potem otrzymałem kopertę, w której była nagroda – 3 000 zł. A skoro już piszę o pieniądzach, to okazało się, że po 14 latach „dyrektorowania" i dziesiątkach koncertów nie zgromadziłem żadnych pieniędzy. Jedynie na tzw. koncie w PKO miałem dewizy, ale były nieosiągalne. Ówczesne przepisy nie zezwalały na ich pobranie. Brzmi to absurdalnie, ale tak było naprawdę. Owszem, mogłem zabrać z konta dowolną ilość dewiz, ale wyłącznie w tzw. bonach towarowych do zrealizowania w sklepach Pewexu. Mogłem również sprzedać dewizy, ale tylko państwu po oficjalnym kursie, który był śmiesznie niski. Nie pamiętam, w którym roku bank płacił za dolara 15 złotych, a na tzw. czarnym rynku kosztował ponad 70 złotych. Były to trudne do pojęcia idiotyzmy.

W tej trudnej sytuacji finansowej, w jakiej się znalazłem (musiałem ciągle płacić alimenty na dzieci), pomogło mi wiele osób. Przyznaję ze wstydem, że o tym zapomniałem. Dopiero dzięki lekturze mojego dziennika z lat 1971-74 przypomniałem sobie ludzi, którzy pomogli mi bezinteresownie, ze zwykłej życzliwości. Myślę, że powinienem utrwalić w tym miejscu ich nazwiska. Na pierwszym miejscu znajduje się Helena Wodnicka. Była naczelniczką wydziału operowego w ministerstwie. To jej zawdzięczam zamówienie baletu i załatwienie w 72 roku posady w Teatrze Muzycznym w Gdyni, a w 74 roku stałej współpracy z Operą Wrocławską. Z kolei Zdzisław Śliwiński, który od 1965 roku był dyrektorem Teatru Wielkiego, zaprosił mnie do przygotowania premiery „Baletów Szwedzkich". Zbigniew Puchalski, dyrektor rozgłośni radiowej w Szczecinie, zaproponował mi opracowanie cyklu kilkudziesięciu cotygodniowych audycji. Kierownik Chóru Politechniki Szczecińskiej, Jerzy Szyrocki, zamówił u mnie szereg pieśni. A kto pilotował zakupy innych moich utworów przez ministerstwo – nigdy się już nie dowiem. Dwa razy wyjechałem jako obserwator za granicę, do Brna i Berlina, co również było pomocą finansową. O tym wszystkim przypomniałem sobie dopiero czytając swój dziennik. I wyłonił się nieco inny obraz tamtych 6 lat bezrobocia. W czasie lektury raz po raz napotykałem na wręcz zaskakujące zdania, z których wynikało, że jestem szczęśliwy z możliwości poświęcenia całego czasu na robienie tego, co mnie pasjonowało: czytanie, komponowanie. Znalazłem również narzekanie na to,

że zmarnowałem 14 lat życia na pracę urzędnika, czyli dyrektora. A ja myślałem na starość, że tamten okres był najbardziej twórczy. Oto dowód jak człowiek zmienia się z upływem czasu i jak zmienia się jego ocena własnego życia. Chyba, że to tylko ja jestem aż tak chwiejny, czyli niezrównoważony psychicznie. Ciekawe czy moje rodzeństwo kiedykolwiek miało aż tak głębokie wątpliwości co do wybranej przez siebie drogi i własnego postępowania?

Postanowiłem teraz, że zanim będę przystępował do wspominania kolejnych okresów mojej przeszłości, przeczytam odnośne miejsca w starych zapiskach. Aby uniknąć nie tylko pomyłki w datach czy faktach, ale przede wszystkim w ocenach. I dlatego tę autobiografię należy opatrzyć następującym zastrzeżeniem: ja teraz opisuję siebie „wtedy", co prawdopodobnie jest całkowicie fałszywe. A może każdą w ogóle autobiografię? Ale rozumując w ten sposób, podważa się sens jakiejkolwiek retrospekcji, wspomnień i w ogóle opisów dawnych myśli, uczuć, wrażeń itd. Nie są to moim zdaniem wydumane spekulacje. W takiej jednak sytuacji, opisując przeszłość, należałoby się ograniczyć wyłącznie do „nagich" faktów. Ale wtedy autobiografia zamieniłaby się w suchą kronikę, kalendarium, które nic nie mówiłoby o autorze, czyli człowieku. I nie byłaby warta napisania, a tym bardziej czytania. Wyjątek oczywiście stanowiliby geniusze. Kroniki ich życia bowiem należą do historii ludzkości, a wykazy dzieł można nazwać przewodnikiem po kulturze świata.

Jak z tego wynika, mnożą się wątpliwości. A może są zupełnie niepotrzebne? Może to tylko przejaw mojego przewrażliwienia?

Przed podróżą

W polskich przedsiębiorstwach armatorskich był zwyczaj, że pracownik po 7 latach pracy miał prawo do corocznego ulgowego rejsu statkiem. A po 10 latach można było zabrać także jedną najbliższą osobę z rodziny. Bożenna najpierw pracowała w PŻM (Polska Żegluga Morska) z siedziba w Szczecinie, a potem w szczecińskim przedstawicielstwie PLO (Polskie Linie Oceaniczne), których centrala znajdowała się w Gdyni. W tym drugim miejscu pracy awansowała na stanowisko sekretarki dyrektora. Według jej ocen, był to prymitywny facet nieznający języków obcych, źle mówiący po polsku (stale używał formy „podeszedłem"!). Ale jego rodzony brat został po Gierku I sekretarzem KW w Katowicach. I to wystarczyło. Bożenna dzięki posadzie sekretarki, poznała kapitanów statków, którzy doradzali jej, które rejsy są najciekawsze. I tak odwiedziła porty hiszpańskie, tureckie, bliskowschodnie i zachodnio-afrykańskie. Kiedy na statku trwały załadunki i rozładunki mogła całymi dniami zwiedzać zabytki. Ponieważ była sekretarką dyrektora, mogła liczyć na pomoc kapitanów i przedstawicieli handlowych. Z tych podróży przywoziła mi pamiątki, które do dzisiaj zdobią mój pokój.

Ponieważ w roku 71 minęło 10 lat pracy Bożenny w przedsiębiorstwach żeglugowych, postanowiliśmy, że popłyniemy razem w jakiś ciekawy rejs. Ja najbardziej chciałem zobaczyć Japonię, której kulturą od lat byłem zafascynowany. Okazało się, że są statki PLO, które w miarę regularnie kursują pomiędzy Gdynią a Jokohamą. Kiedy zdecydowaliśmy się na rejs do Japonii, jeden z kapitanów przywiózł wręcz elektryzującą wiadomość: w centrali PLO rozpatrują możliwość zorganizowania próbnego rejsu, w którym statek zamiast wracać z Japonii do Polski tą samą trasą – popłynie dalej w kierunku wschodnim, tzn. przez Pacyfik i kanał Panamski. Była to prawdziwa podróż dookoła świata. Taka niezwykła szansa zdarza

się pewnie tylko raz w życiu. W moim miała miejsce jeszcze jedna podobna: zorganizowanie od podstaw nowej filharmonii. Ale to zdarzyło się parę lat później.

Wiadomość o możliwości opłynięcia świata wydawała się tak fantastyczna, że trudno mi było w nią uwierzyć. Statek miał wyruszyć z Gdyni w połowie kwietnia, zawinąć do Rotterdamu i Hawru, potem opłynąć Afrykę i przez ocean Indyjski dotrzeć do Singapuru. Kolejny postój w Hongkongu, a następnie trzy porty japońskie: Jokohama, Kobe i Kioto. Droga powrotna wiodła przez Pacyfik, Kanał Panamski i Atlantyk do Europy. Było to coś niewiarygodnego. Kiedy na parę tygodni przed wyjazdem wiadomość została potwierdzona, Bożenna zabezpieczyła dla nas tzw. kajutę czy inaczej kabinę armatorską, najlepszą na statku. Dostaliśmy zastrzyki przeciwko ospie, cholerze i innym tropikalnym chorobom. Wystąpiliśmy o sprzedaż 100 dolarów na osobę. Nie wiadomo dlaczego mnie przyznano, a żonie nie. Idiotyzmem było także, że choć miałem konto dewizowe i tak nie mogłem z niego zabrać własnych, zarobionych pieniędzy na podróż za granicę. Ale te 100 dolarów musiałem kupić. I pomimo że oficjalny kurs wynosił wtedy 22 złote, ja zapłaciłem po 55 złoty za dolara. Różnica nazywała się podatkiem na fundusz turystyczny, a był to zwykły rozbój w „majestacie prawa". Za to Bożenna mogła kupić jak każdy wyjeżdżający za granicę Polak 10 dolarów po 22 złote. Teraz, po kilkudziesięciu latach mogę się przyznać, licząc na przedawnienie, że popełniłem przestępstwo. Po koncertach w Irlandii wwiozłem oficjalnie do kraju funty, ponieważ musiałem zapłacić „Pagartowi" prowizję. Pozostałe funty powinienem był zgodnie z prawem wpłacić do Banku Pekao, na tzw. konto „A." Postanowiłem jednak tym razem zatrzymać je w domu, aby potem sprzedać na „czarnym rynku". Część tych funtów zabrałem nielegalnie w podróż, aby mieć na przejazdy, zwiedzanie i zakup pamiątek. I to właśnie było przestępstwem. Miałem jednak usprawiedliwienie: byłem bezrobotny. Ale wątpię czy sąd uznałby to za okoliczność łagodzącą.

Jeszcze przed wyjazdem otrzymałem parę dobrych wiadomości. Ministerstwo obiecało zakupić za sporą kwotę 15 000 zł moją suitę „Zamek Królewski w Warszawie" oraz przyznało mi półroczne stypendium po 2 000 zł miesięcznie za skomponowanie baletu dla Opery Bałtyckiej w Gdańsku. Ponadto „Tygodnik Morski" zamówił u mnie cykl felietonów z tej pierwszej w dziejach marynarki handlowej podróży dookoła świata. A od września miałem podjąć pracę jako kierownik muzyczny teatru operetkowego w Gdyni. Nie bardzo mi to odpowiadało, ale stanowiło zabezpieczenie finansowe.

Nie będę opisywał choroby morskiej, życia na statku, rozrywek, porządku dnia itd. Zajęłoby to zbyt dużo miejsca i wątpię czy byłoby ciekawe dla ewentualnego czytelnika. Ograniczę się raczej do skrótowej relacji tego, co robiłem, widziałem, słyszałem. Przez ponad trzymiesięczną podróż skomponowałem cały balet pod tytułem „Baśń o księciu Jasnym", napisałem kilkanaście felietonów, przeczytałem kilkadziesiąt książek i obejrzałem parę filmów. Ale przede wszystkim zwiedziłem ogromną liczbę muzeów, świątyń, zamków i innych ciekawych obiektów. Przypuszczam, że z tej podróży wróciłem innym człowiekiem. Kontakt z różnymi kulturami, religiami, obyczajami zmienił mnie w znacznym stopniu. Zastanawiam się czy nie była to w ogóle ostatnia znacząca zmiana mojej osobowości. Na czy polegała? Mówiąc w wielkim uproszczeniu, uświadomiłem sobie z całą ostrością to, co już wcześniej wyczuwałem intuicyjnie: małość ludzkich spraw, nawet tych, które uznajemy powszechnie za najważniejsze. Nabrałem dystansu do moich problemów, a tym samym innych ludzi. Pojąłem jak niezmierna przepaść istnieje pomiędzy nieśmiertelnymi arcydziełami sztuki a nędzą ludzkiej egzystencji. Pomiędzy olśniewającą mądrością wielkich myślicieli a miałkością intelektualną milionów. Nie dokonało się we mnie

przewartościowanie, ale przeciwnie – utrwaliła się dotychczasowa hierarchia wartości. Tylko przy jej pomocy mogłem żyć i pracować pomiędzy Brahmsem a Oświęcimiem, Rembrandtem a Hiroszimą, Szekspirem a Torquemadą. I tak dalej i tak dalej. Ta długa podróż pozwoliła na uporządkowanie wrażeń, spokojne przemyślenia, wyciągnięcie wniosków. Moje osobiste sprawy stały się tak mało ważne wobec „Człowieka z wyrwanym sercem" Zadkina, czy „Peace Memorial Park". Przypuszczam, że dokonało się we mnie przeobrażenie o zasadniczym charakterze. Nie pamiętam jednak, kiedy zdałem sobie z tego sprawę. Zaraz po powrocie czy dopiero po upływie lat? A może dopiero teraz, kiedy piszę te wspomnienia?

Wracając do spraw bardziej „przyziemnych", muszę jeszcze zdać relację z dwóch rozmów, które odbyłem w Gdyni i Gdańsku, zanim wsiadłem na statek. Złożyłem wizytę dyrektorce Teatru Muzycznego w Gdyni, Danucie Baduszkowej. Wiele o niej słyszałem jako dobrej reżyserce spektakli operowych i operetkowych oraz także sprawnej organizatorce. I rzeczywiście w tej pierwszej rozmowie odniosłem wrażenie, że jest osobą inteligentną, energiczną i kompetentną. Jaką będzie szefową – nie mogłem osądzić. Pensja, którą mi zaproponowała, nie była wysoka, zwłaszcza w sytuacji tzw. życia na dwa domy (a właściwie na trzy, ponieważ nadal płaciłem alimenty) oraz ponoszenia kosztów podróży do Szczecina. Na szczęście Baduszkowa zobowiązała się do wystąpienia do Wydziału Kultury o zgodę na pokrywanie przez teatr kosztów mojego zakwaterowania w hotelu. Pracę miałem rozpocząć 1 października.

Drugą rozmowę odbyłem w Operze Bałtyckiej w Gdańsku z Janiną Jarzynówną, w owym czasie jedną z czołowych polskich choreografek. Podjęła się wystawienia mojego baletu, który miałem skomponować w czasie podróży. Przedstawiłem Jarzynównie libretto i tytuły wszystkich przewidzianych tańców solowych i zespołowych. Wyglądało na to, że się jej spodobały. Dla mnie zdanie Jarzynówny liczyło się najbardziej, ponieważ w przeciwieństwie do mnie, była doświadczonym fachowcem. Ja jako autor libretta i kompozytor muzyki baletowej dopiero debiutowałem. Prapremierę ustaliliśmy - o ile pamiętam – nie wcześniej niż na sezon 73/74. Nie tyle z powodu pracy baletu, co długiego okresu czasu potrzebnego na przygotowanie materiału orkiestrowego.

W piątek, 14 kwietnia 1972 roku wsiadłem na statek „Hel", aby ruszyć w morską podróż dookoła świata. Jeszcze dzisiaj, po upływie tylu lat, uważam, że był to jeden z najciekawszych epizodów mojego życia. Tylu różnorodnych przeżyć w tak krótkim okresie czasu nie miałem ani przedtem, ani potem. I w dodatku były to wyłącznie przeżycia piękne, pouczające, wzbogacające moją wiedzę. W następnym rozdziale spróbuję w możliwie skrótowej formie przedstawić to wszystko, co spotkało mnie w tej podróży i jakie doświadczenia z niej wyniosłem.

Rozdział XXIX

PODRÓŻ DOOKOŁA ŚWIATA

Przygotowując się do napisania tego rozdziału, przejrzałem swój dziennik, który prowadziłem na statku oraz felietony dla „Tygodnika Morskiego" i „Głosu Szczecińskiego", a także zdjęcia, mapy, foldery i kupione pamiątki. Stopniowo wyłaniał się obraz tamtych 100 dni i znowu okazało się, jak wiele wydarzeń i wrażeń zatarło się w mojej pamięci. „Tygodnik Morski" wydrukował wszystkie moje utrzymane w konwencji żartobliwej felietony. Ale „Głos Szczeciński", mający jako dziennik o wiele więcej miejsca – ani jednego. Kiedy po powrocie zapytałem dlaczego, odpowiedziano mi, że felietony były zbyt obszerne. A ja podejrzewałem, że po prostu ktoś we władzach uznał, że nie należy robić reklamy komuś, kogo przed rokiem zdjęto ze stanowiska. Albo redaktor obawiał się moich niektórych, zbyt „nieortodoksyjnych" sformułowań. Jeszcze jeden przykład jak niebezpieczna społecznie jest cenzura. Nadal uważam za lepszy całkowity nawet brak cenzury niż jej istnienie. I mniej szkodliwy, wbrew temu co twierdzili i twierdzą różnej „maści" moraliści.

Z posiadanych materiałów wybrałem najbardziej istotne, w przeciwnym razie ten rozdział rozrósłby się do monstrualnych rozmiarów. Aczkolwiek przyznaję, że taka selekcja będzie dla mnie przykra. Jakże chciałbym uratować od zapomnienia dokładny opis statku, charakterów członków załogi, zabawnych, choć drobnych incydentów, licznych rozmów ze spotkanymi Chińczykami czy Japończykami itd. Ale z takiej ilości wspomnień powstałaby cała książka. Tylko po co? Jak wiadomo, półki bibliotek zapełnione są relacjami z podróży. Jeśli pisali je ludzie obdarzeni zmysłem obserwacji i zdolnościami literackimi – stworzyli prawdziwe dzieła. Inne nie posiadają żadnej wartości. Ponadto w czasach filmu, telewizji, internetu, wspaniałych albumów i przede wszystkim możliwości podróżowania, nie widzę sensu w przedstawianiu szczegółowej relacji z tego, co przeżyłem w mojej podróży sprzed trzydziestu pięciu lat.

Pierwsze trzy dni

Parę zdań o statku, który – być może – już dawno został wycofany z eksploatacji i – jak mówią marynarze – przeznaczony na żyletki. Był naprawdę nowoczesny. Został zbudowany zaledwie przed rokiem w duńskiej stoczni „Nakskov". Jak mnie poinformowano, był statkiem szybkim i nazywano go potocznie „ekspresowcem". Osiągał szybkość 22 węzłów, co przy maksymalnej w tamtych latach dla statków handlowych szybkości 28 węzłów, stawiało go w światowej czołówce. Miał długość 166 m i szerokość 23 m. Nośność wynosiła ponad 14 000 DWT („deathweight tona", czyli po polsku „tona martwej wagi", a krócej „tonaż"). Moc maszyn – 20 000 KM, a moc agregatorów zapewniłaby energię elektryczną dla 10-tysięcznego miasta. Tak więc m/s (skrót Motor ship) „Hel" na tle ówczesnej polskiej floty

przedstawiał się korzystnie. I jako ciekawostkę dodam, że we wszystkich „parametrach" przewyższał słynny transatlantyk „Stefan Batory", statek flagowy polskiej floty.

„Hel" poza ogromnymi ładowniami i pomieszczeniami dla załogi, dysponował kabinami pasażerskimi. Jeżeli nie były zajęte przez żony marynarzy, pracowników PLO lub Ministerstwa Żeglugi, „Orbis" mógł je wynajmować zwykłym podróżnym. Jazda statkiem handlowym miała tę niedogodność, że trwała dłużej, ponieważ poza portem docelowym, statek zatrzymywał się po drodze w innych portach w celu załadunku lub wyładunku towarów. Ale miała i przewagę nad statkiem pasażerskim; postoje w różnych portach umożliwiały zwiedzanie zabytków.

Kabina, którą zajmowaliśmy, miała „na oko" ponad 20m². Dysponowaliśmy ponadto własną, dużą łazienką. Jadaliśmy przy tzw. stole kapitańskim, co na statku uważane jest za wyróżnienie, czyli razem z kapitanem i I oficerem. Jedzenie było dobre i obfite, na skutek czego przy ograniczonych możliwościach ruchu, znacznie przytyłem. Dopóki statek płynął, większość czasu zajmowało mi komponowanie baletu, pisanie felietonów i czytanie. A podczas postojów zwiedzałem i zwiedzałem.

I jeszcze jedna sprawa, tzw. choroba morska. Pamiętam, że pierwsze podróże samolotem „odchorowywałem". Kupowałem jedyny dostępny w tamtych czasach środek o nazwie „Aviomarin". Pomagał. Ponieważ nie lubię uzależnienia od lekarstw (i nie tylko!), stopniowo odzwyczajałem się od przyjmowania „Aviomarinu". Najpierw przy krótkich przelotach i bezwietrznej pogodzie, a potem stopniowo przy coraz dłuższych. Po paru latach latałem już bez lekarstwa i bez „żołądkowych emocji". Piszę o tym, ponieważ niemal od razu – jak złośliwie komentują marynarze – złożyłem „hołd Neptunowi". Pierwszego dnia płynęliśmy spokojnie po Bałtyku. I nic. Przy kolacji żartowałem nawet, że chciałbym przeżyć prawdziwy sztorm. Ale następnego dnia, po wypłynięciu z Kanału Kilońskiego trafiliśmy na Morzu Północnym na tzw. martwą falę. Jest to pozostałość po burzliwej pogodzie. Fale nie rzucają już statkiem na różne strony, tylko unoszą go do góry i gwałtownie opuszczają na dół. To opuszczanie statku powoduje przeciwny ruch żołądka – do góry. Reszta nie wymaga wyjaśnienia. Ale na szczęście nigdy potem przez całą podróż nie cierpiałem na morska chorobę. Nie wiem czy zawdzięczałem to wyjątkowo dobrej pogodzie, czy może temu, że mój organizm szybko przyzwyczaił się do kołysania statku.

Przy przepływaniu Kanału Kilońskiego opowiadano mi o dziwnych, a zarazem zabawnych zwyczajach handlowo-dewizowych. W tamtych czasach załogi statków otrzymywały poza pensją w złotówkach, dodatek w dolarach. Dla oficerów był stosunkowo wysoki, dla szeregowych marynarzy niewielki. W strefie wolnocłowej Kanału Kilońskiego kupowano za dolary tysiące papierosów. Bez wychodzenia na ląd! Podczas gdy statek wolno płynął, motorówki dowoziły sterty kartonów z papierosami, które potem wypełniały pod sufit kabiny załogi. Było to legalne, ponieważ każdy mógł oświadczyć, że jest nałogowym palaczem i na tak długą podróż potrzebuje dużej ilości papierosów. Sprzedawano papierosy potem w portach takich krajów, gdzie amerykańskie papierosy były drogie. Miejscowi handlarze płacili marynarzom nie pieniędzmi, ale tzw. chodliwymi towarami. Sprzedawano je z kolei tam, gdzie odczuwano ich brak, a gdzie np. złoto było tańsze niż w Europie. Te transakcje były już nielegalne i dokonywano ich w nocy. W drodze powrotnej w Kanale Kilońskim za złoto marynarze kupowali dolary (też nielegalnie) na następną podróż. Podobno takie kombinacje dawały tzw. sześciokrotne przebicie, co w normalnym języku oznacza, że na jednego wydanego na zakup papierosów dolara, otrzymywało się w rezultacie aż sześć. Tego rodzaju handel kwitł na liniach śródziemnomorskich i bliskowschodnich. Na tzw.

moście węglowym pomiędzy Polską a Anglią handlowano w tamtych latach perukami. Były modne, a u nas ich nie produkowano. Niektóre z moich występujących na estradzie znajomych pań używały po kilka peruk na zmianę. Tak więc marynarze mieli zapewniony zbyt. Oczywiście i ten handel był zabroniony. A ten cały nielegalny proceder tylko dlatego mógł istnieć, że przepisy dewizowe były i głupie, i nieżyciowe.

Jestem na tyle dorosły i – pochlebiam sobie – znający historię, aby wiedzieć, że zawsze i wszędzie władze narzucały poddanym jakieś ograniczenia. W miarę jednak rozwoju społeczeństwa te ograniczenia powoli ulegały zmniejszeniu. W Europie i Ameryce Północnej w XIX wieku wraz z postępem cywilizacji technicznej zaczęło pojawiać się coraz więcej swobód demokratycznych. A to spowodowało dalsze zmniejszanie ograniczeń. Niestety, tzw. rządy totalitarne czy inaczej – autorytarne, cofnęły niektóre kraje o setki lat, niemal do średniowiecza. W dużych i małych sprawach. Od swobody poruszania się, wolnych wyborów, wolności słowa aż do obowiązku zgłaszania na granicy każdej rzeczy, którą kupiło się za własne zarobione pieniądze. Osoba przyjeżdżająca do Polski musiała wypełnić druczek, który nazywał się chyba Deklaracją Celno-dewizową. Trzeba tam było wpisać każdą rzecz zakupioną lub otrzymaną w prezencie. Ponieważ druczki były małe, a ja lubiłem kupować rozmaite drobiazgi, często zdarzało się, że brakowało mi miejsca. Wtedy następne rzeczy dopisywałem na osobnej kartce. Celnicy mieli zdziwione miny, a kiedy zadawali stereotypowe pytanie: „Czy zgłosił pan wszystko?", odpowiadałem z uśmiechem: „Nie bardzo, ponieważ zabrakło mi miejsca nawet na tej dodatkowej kartce. Kupiłem jeszcze „kryminał" na lotnisku, pasek do spodni, długopis". Muszę przyznać, że prawie nigdy nie musiałem otwierać walizki. Raz czy dwa poproszono o otwarcie, ale celnik na widok porządnie złożonego i umocowanego paskami fraka, rezygnował nawet z włożenia ręki do środka. Ale chciałbym dodać, że przestrzegałem zasady, aby nie przemycać niczego. Uważałem, że choć tego rodzaju ograniczenia można było uznać za bezprawne, ich łamanie czy naruszanie do niczego nie prowadziło.

Pierwsze porty

Pomimo mieszkania przez kilkanaście lat w portowym mieście, nie miałem pojęcia o pracy handlowego statku. Dopiero podróż uświadomiła mi, na czym ta praca polega. Ponieważ każdy dzień eksploatacji kosztował znaczne pieniądze, armator starał się ograniczać do minimum zarówno czas podróży jak i pobytu w portach. Aby statek jak najefektywniej w sensie ekonomicznym „pracował na siebie", wykorzystać należało każdą godzinę. Nie zawsze było to możliwe. Np. dokerzy, czyli pracownicy portowi w Rotterdamie odmówili wyładowania towarów po godzinie 15. Nawet za wyższą opłatę. Po prostu nie chcieli pracować więcej niż 8 godzin. A w Japonii dokerzy pracowali „na okrągło". Kiedy zmogły ich zmęczenie i brak snu, kładli się na pokładzie i zasypiali. Po pewnym czasie wstawali i natychmiast zabierali się do roboty. Ta całodobowa praca była i dla mnie dokuczliwa, ponieważ hałas uniemożliwiał w nocy sen.

Pierwszym portem była Antwerpia. Postój trwał zaledwie parę godzin, tyle ile potrzeba na załadowanie towaru. Pojechaliśmy z żoną do śródmieścia. Na wizytę w muzeum nie mieliśmy czasu; dom Rubensa był akurat nieczynny. Tak więc udało się tylko zobaczyć stare miasto. Katedra naprawdę piękna, a rynek z ratuszem wręcz zachwycający. Jaka szkoda, że wszystko oglądaliśmy w pośpiechu.

Następnego dnia byliśmy już w Rotterdamie. I znowu mieliśmy tylko parę godzin. Obejrzeliśmy całkowicie odbudowane śródmieście z przejmującą rzeźbą Zadkina „Człowiek z wyrwanym sercem". Podobno artysta początkowo przeznaczył dzieło dla Warszawy, ale ówczesne władze z niewiadomych powodów odmówiły. Jeśli to prawda, decyzja świadczyłaby o ignorancji, głupocie i zaślepieniu. Ale w polityce wszystko jest możliwe. Pierwsze wrażenie w Rotterdamie, już od razu po opuszczeniu statku, to porządek i spokój. Nawet w porcie nie było zgiełku i gorączkowego pośpiechu. Czuło się dobrą organizację. Podobne wrażenie odniosłem w samym mieście. Uderzająca czystość ulic i wszędzie dużo kwiatów. W drodze powrotnej staliśmy w Rotterdamie parę dni. I to pierwsze wrażenie potwierdziło się w całej rozciągłości. A kiedy później spotkałem Wandzię i powiedziałem, że chciałbym pracować w Holandii, zapytała wprost: „A czy Holendrzy wiedzą o tym? Czy napisałeś jakąś ofertę?" Zaprzeczyłem, a Wandzia machnęła tylko ręką. Miała rację, ale przez całe życie nie potrafiłem załatwić czegokolwiek dla siebie. Wada charakteru?

Po dwóch dniach zawinęliśmy do Hamburga. Kiedy niemiecki pilot wprowadzał statek do portu, z umieszczonych na brzegu głośników słychać było polski hymn. A dwa dni później, w czasie odpływania, port również żegnał nas hymnem. Jak mi mówiono, jest to zwyczaj przyjęty w Hamburgu. Czy przetrwał do dzisiaj – nie wiem. Stałem na pokładzie, obserwując rozległy obszar portu i nagle zobaczyłem ogromny napis „Howaldts Werke". Nie wiedziałem czy była to centrala wielkiej stoczni czy jeden z oddziałów, ale ta nazwa obudziła wspomnienia. Stanął mi przed oczyma Hamburg przełomu lat 44 i 45, Hamburg ostatniej wojennej zimy. To w tym mieście pracowałem jako jeniec w jednym z oddziałów tej samej stoczni Howaldta. To tutaj cudem uszedłem śmierci w zbombardowanym elewatorze. Tego się nie da zapomnieć. Ale nagle, stojąc na statku, uświadomiłem sobie, że zjawiam się w Hamburgu w jakże innym charakterze. Nie jako pozbawiony swobody więzień, ale jako wolny turysta witany narodowym hymnem. Cóż za odmiana losu!

Jak zapewne każdemu występującemu sprawiają mi satysfakcję oklaski po koncercie. Ale przyznaję, że przez lata marzyłem, aby zadyrygować w Hamburgu i tutaj właśnie być oklaskiwanym. Niestety to marzenie pozostało niespełnione. Ale miałem w Niemczech kilkadziesiąt koncertów od Wilhelmshaven, Rostocku i Schwerinie na północy, po Cottbus, Weimar i Görlitz na południu. I przyznaję, że oklaski w Niemczech zawsze sprawiały mi najwięcej przyjemności. Być może było to głupie, ale czy zbyt trudne do wytłumaczenia?

Wieczorem pojechaliśmy zobaczyć słynną w całym świecie „dzielnicę uciech" w St. Pauli, skupione głównie przy ulicy Reeperbahn. Byłem w niej zaraz po wojnie, ale wtedy znajdowało się tam zaledwie parę piwiarni i uliczka „za blachą". Nazwę zawdzięczała blaszanym parkanom, z obu stron zasłaniającym jezdnię i chodniki. Wtedy, w 45 roku stał tam policjant, a teraz w 72 umieszczono tylko tabliczki „Młodzieży wstęp wzbroniony". A w środku, tak jak poprzednio w oświetlonych witrynach siedziały roznegliżowane, jaskrawo uszminkowane kobiety. Nowością natomiast były dwa obiekty o nazwach: „Eros Center" i „Palais d′amour". Duże, słabo oświetlone hale z otwartymi boksami, w których stały kobiety. A naokoło pełno mężczyzn oglądających bezceremonialnie ten „żywy towar". Rezygnuję z relacjonowania moich myśli i uczuć; wymagałoby to zbyt długich i skomplikowanych wywodów. Zauważę tylko, że podniecały mnie zawsze – do czego się przyznaję – pornograficzne zdjęcia, a tym bardziej filmy. Podniecał mnie również widok obnażonego kobiecego ciała. Natomiast wtedy, tam w Hamburgu nie odczuwałem żadnego podniecenia. I do dzisiaj nie wiem, dlaczego.

Następnego dnia przed południem pojechaliśmy do starego centrum. Tam gdzie w 45 roku piętrzyły się góry ruin, zobaczyłem nowoczesne bloki i szerokie aleje. Tylko ogromny pomnik Bismarcka pozostał taki sam. Alianci go nie zburzyli, nawet okupujący Hamburg Francuzi. I słusznie, trudno odmówić „Żelaznemu Kanclerzowi" wielkości. Żałowałem, że zabrakło mi czasu, aby poszukać Kanał Wilhelma, nad którym – o ile pamiętam – znajdowały się zbombardowane elewatory.

Z Hamburga pojechaliśmy do Hawru. To miasto również ucierpiało w czasie działań wojennych. Śródmieście, podobnie jak w Hamburgu i Rotterdamie zostało nie odbudowane, ale od nowa zbudowane. O ile można ostatecznie zrozumieć rekonstrukcję Starego Miasta w Warszawie, o tyle odbudowa Nowego Świata w dawnym kształcie była według mnie pozbawiona sensu. Ani to wybitne dzieło architektoniczno-urbanistyczne, ani pamiątka dawnej chwały naszego kraju. A pozostawienie wąskiej uliczki w samym centrum stolicy było czymś absurdalnym.

Z Hawru poza funkcjonalnie rozwiązanym nowym śródmieściem, zapamiętałem dwa nowoczesne kościoły, z których szczególnie jeden wzbudził mój zachwyt. Przekonałem się, że nie tylko romańskie i gotyckie katedry stwarzają modlitewny nastrój. Również ten nowoczesny kościół wywierał podobne wrażenie. Przypuszczam, że wierzącemu ułatwiał kontakt z Bogiem, a niewierzącemu przypominał, że religia miała i ma nadal potężną siłę oddziaływania na ludzką psychikę.

Przez dwa oceany

Ponieważ po wypłynięciu z Hawru czekała mnie trzytygodniowa podróż do najbliższego portu, ułożyłem sobie plan codziennych zajęć, który starałem się realizować. Rano robiłem gimnastykę, goliłem się i myłem. Po śniadaniu, które zawsze było o godz. 8, pisałem balet. Po obiedzie o godz. 12, spacerowałem na ogół po statku i odbywałem rozmowy z kapitanem lub innymi oficerami. Podwieczorek był już o godz. 15.30, a po nim znowu pracowałem. Kolację podawano wyjątkowo wcześnie, bo już o 17.30 (a w portach nawet o 17!). Wieczorem czytałem, pisałem, oglądałem filmy, grałem w kości, rozmawiałem lub spacerowałem. Rozmowy były pouczające, bo dotyczyły często absurdów pracy w przedsiębiorstwach morskich. Okazało się, że w każdej dziedzinie naszego życia panowały głupie przepisy i personalne układy. Już wówczas, na początku lat siedemdziesiątych widać było, że tamten system nie sprawdzał się w praktyce. Czy przyczyna tkwiła w oparciu go o ideologię, czy w niekompetencji rządzących – nie zdołałem dociec. A może każda ideologia, religijna czy świecka, nie nadaje się do wcielania w życie?

W miarę jak zbliżaliśmy się do Afryki, postanowiłem się opalać. Zacząłem od 5 minut i stopniowo doszedłem aż do 30 w pobliżu równika. Na statku jechały jako pasażerki, żony marynarzy. Niektóre z nich już pierwszego dnia leżały na słońcu - pomimo ostrzeżeń – przez parę godzin i oczywiście uległy poważnym poparzeniom.

Z daleka widziałem Las Palmas, natomiast brzegi Afryki były zbyt daleko, abym mógł je dostrzec. Któregoś dnia zawołano, mnie, ponieważ mijał nas ogromny tankowiec o nośności aż 100 000 ton. Tak mi w każdym razie powiedział kapitan. Podobno długość tego kolosa wynosiła pół kilometra. Trudno było uwierzyć. Tankowce tej wielkości nie wpływają do żadnego portu, ale są rozładowywane na redzie przez mniejsze jednostki. Skoro już piszę o statkach, to powinienem odnotować, że pierwszy mechanik zaprosił mnie któregoś dnia

do obejrzenia maszynowni. Byłem zaskoczony rozmiarami paropiętrowej hali i wielkością spalinowych silników. Innego dnia kapitan oprowadził mnie po całym statku. Najbardziej zaimponował mi klucz, który nazywał się zerówką. Pasował do wszystkich kilkudziesięciu drzwi, od ogromnych ładowni po pasażerskie kabiny. Kapitan wyjaśnił, że oficerowie mieli klucze pasujące do określonych drzwi, związanych z wykonywanymi funkcjami. I tak np. ochmistrz dysponował kluczem, który otwierał pomieszczenia gospodarcze oraz kabiny załogi i pasażerów. Ale nie pasował już do maszynowni, sterowni, ładowni. A my mieliśmy klucz, który wyłącznie otwierał naszą kabinę. Przyznaję, że nie mogłem pojąć, jak zdołano wyprodukować tak skomplikowany system zamków.

7 maja minęliśmy Przylądek Dobrej Nadziei, który był na początku nazywany Przylądkiem Burz. Istotnie, na tym najbardziej wysuniętym na południe cyplu Afryki fale były spore i naszym statkiem rzucało na wszystkie strony. Pomimo że pogoda była słoneczna. Za przylądkiem wpłynęliśmy na Ocean Indyjski, co oczywiście jest tylko umownym podziałem wód opływających nasz glob.

W parę dni później ponownie przecięliśmy umowną linię zwaną równikiem, oddzielającą półkulę południową od północnej. Albo – jak kto woli – północną od południowej. Już po raz drugi, ponieważ pierwszy raz zdarzyło się to przy opływaniu Afryki od zachodniej strony. Załoga zapowiadała, że tzw. chrzest równikowy odbędzie się właśnie na oceanie Indyjskim. Od Bożenny już dawniej dowiedziałem się o tym relikcie barbarzyńskich obyczajów sprzed setek lat, wzorowanym zresztą na tzw. inicjacji praktykowanej przez pierwotne ludy. Inicjacja miała poza magiczną otoczką jak najbardziej praktyczny cel: sprawdzenie czy młody mężczyzna był już gotów do spotkania oczekujących go niebezpieczeństw, wytrzymywania bólu, przewidywania zagrożeń. Na pierwszych europejskich podróżników i odkrywców czyhały zupełnie nieznane niebezpieczeństwa tajemniczych lądów i ludów. Żeglarze tamtych stuleci musieli być odważni, twardzi, odporni, bezwzględni. Chrzest równikowy był sprawdzianem tych niezbędnych cech. Ale dzisiaj? Czemu służy zanurzanie w gnijących i cuchnących odpadkach, podwieszanie na reji, smarowanie mazutem, konsumowanie obrzydliwie smakujących potraw itd.? Jest to zabawa polegająca na znęcaniu się tych, którzy już chrzest zaliczyli, nad tymi, którzy przekraczają równik po raz pierwszy. Słyszałem, że na statkach pasażerskich ten ceremoniał ogranicza się np. do wrzucenia do basenu czy obowiązku wypicia bez cukru soku z cytryny. Ale na okrętach wojennych oraz statkach szkoleniowych i handlowych w tamtych latach nadal stosowano ten – powtarzam – barbarzyński zwyczaj. I nikt z marynarzy nie mógł się wyłamać. Ja na szczęście byłem obok żon marynarzy jedynym pasażerem i zostałem potraktowany „ulgowo". Ale w tej podróży brało udział także kilku marynarzy, którzy przekraczali równik po raz pierwszy. Z przykrością patrzyłem, jak się nad nimi znęcano. Kiedy ceremonia dobiegła końca, okazało się, że płynący po raz pierwszy radiotelegrafista, chcąc uniknąć „chrztu", zamknął się w kabinie. Miał widocznie nadzieję, że o nim zapomną. Przeliczył się. Marynarze wzięli klucz od stewarda, otworzyli drzwi i przemocą wyciągnęli nieszczęsnego radiotelegrafistę. Przy radosnych wrzaskach rozpoczęły się „tortury". Poczułem obrzydzenie i opuściłem pokład. A potem zmywałem z siebie naftą lepki mazut i szorowałem się parokrotnie mydłem, aby pozbyć się smrodu zgnilizny.

Wcześniej, zanim osiągnęliśmy równik, zastanawiałem się czy nie odmówić udziału w chrzcie. Przypuszczam, że kapitan nie pozwoliłby na zastosowanie przemocy wobec pasażera. Jednak moja żona, która już przeszła chrzest przed dwoma laty w czasie podróży do zachodniej Afryki, prosiła, abym poddał się tej głupiej i upokarzającej procedurze.

Twierdziła, że byłbym – jak się to mówi – spalony w oczach załogi. Nie tylko zwykli marynarze, ale i oficerowie uznaliby mnie za tchórza i do końca podróży ignorowali. Cóż było robić, poszedłem na kompromis. Podobnie zresztą postąpiły płynące z nami żony marynarzy.

Z podróży przez dwa oceany pamiętam pięknie skaczące nad falami delfiny i tzw. latające ryby. Zdarzyło się kilka razy, że ryby skoczyły tak wysoko, iż spadały na pokład. Mogłem wtedy zobaczyć ich szerokie boczne płetwy przypominające skrzydła. Niestety nie udało mi się przez całą podróż zobaczyć rekina. Powetowałem to sobie w muzeum morskim w Singapurze.

Ocean Indyjski opuściliśmy, wpływając do cieśniny Malakka pomiędzy Sumatrą a półwyspem Malajskim. W ciemnościach tropikalnej nocy na wodzie migotały setki lamp. Były to łodzie rybaków tajlandzkich i malezyjskich. Kapitan stał na tzw. mostku i osobiście pilnował, aby przypadkiem nie uderzyć w jakąś łódź. Na statku zapalono wszystkie światła i wycie syreny raz po raz ostrzegało rybaków. Jak mówił kapitan, przejazd przez tę cieśninę był wyjątkowo trudny. A rano stanęliśmy w Singapurze.

Singapur

W Singapurze, tym mieście – państwie, zetknąłem się po raz pierwszy z Dalekim Wschodem. Znałem już dwa kraje ze strefy subtropikalnej: Kubę i Izrael. Ale Singapur stanowił fascynujące połączenie gorącego klimatu, chińskiej tradycji i nowoczesnej metropolii. Tutaj splatały się wpływy wielu kultur, zarówno w sferze obyczajów jak i wyrobów, ubiorów, jedzenia. Panowała także koegzystencja religii: buddyzmu, hinduizmu, islamu, chrześcijaństwa. Różne świątynie stały często blisko siebie. Czy wybuchały zamieszki na tle religijnym – nie wiem. Singapur dzięki swemu geograficznemu położeniu był jednym z największych portów i centrów handlowych całej południowo-wschodniej Azji. Podziwiałem szerokie, nowoczesne aleje, luksusowe hotele, rozległe bazary. I to wszystko w otoczeniu bujnej roślinności. Po raz pierwszy zetknąłem się z prawdziwym klimatem tropikalnym; Singapur leży zaledwie 130 km od równika. Zdarzyło się parę razy w ciągu tych niecałych czterech dni, że niespodziewanie na czyste błękitne niebo napływały ciężkie, ciemne chmury i wtedy przechodnie szybko kryli się w bramach, sklepach, restauracjach. Nawet niektóre samochody zatrzymywały się wzdłuż krawężników. Za pierwszym razem byłem tak zaskoczony, że nie zdążyłem naśladować „tubylców". Zostałem ukarany, lunął deszcz tak obfity, że zanim dobiegłem do pierwszego osłoniętego miejsca – byłem całkowicie mokry. Całe szczęście, że miałem na sobie tylko koszulkę, lekkie spodnie i sandały. Deszcz trwał kilkadziesiąt sekund, poczem chmury zniknęły tak nagle, jak się pojawiły. Zabłysło słońce i ulice zaczęły dosłownie parować. Niezwykły widok. Po paru minutach chodniki i jezdnie były suche i życie wróciło do normy. Nigdy dotąd nie spotkałem się z takim fenomenem.

Z wielu różnych wrażeń w czasie pobytu w Singapurze, utrwalę kilka, które wydają się najważniejsze. Pierwsze to wizyta w „Tiger Balm Park", co można przetłumaczyć jako „Park Tygrysiego Balsamu". Tygrysi balsam, co głoszą ogromne tablice w trzech językach: malajskim, chińskim i angielskim, leczy reumatyzm, przeziębienie, ból głowy, zmęczenie, a także dolegliwości serca i żołądka. Prawdziwe panaceum. Osobiście nie wierzę w takie cudowne właściwości jednego medykamentu. Ale miliony ludzi uwierzyło i wynalazca

został milionerem. Aby upamiętnić swoje imię, zafundował rodzinnemu miastu w roku 1937 ogromny park. Zaludnił go monstrualnej wielkości postaciami z mitologii chińskiej i malajskiej. W dodatku postaci te odtwarzały sceny z legend. To tak jak gdyby np. w Atenach 2-3 metrowej wysokości Achilles walczył z równie wielkim Hektorem. A nieco dalej, za skałą czy kępą drzew Achilles, stojąc na gigantycznym rydwanie zaprzężonym w potwornej wielkości konie, wlókłby zwłoki Hektora. Tak właśnie prezentowały się sceny z legend chińskich i malajskich. I wszystko pomalowane w oślepiająco jaskrawe kolory i skąpane potokami najczerwieńszej krwi. Był to przerażający kicz, podobny do naszych jarmarczno - odpustowych „koszmarków", pomnożony do n-tej potęgi. Byłem tak wstrząśnięty, że obawiałem się swojej reakcji, np. w postaci wrzasku. To wszystko wyglądało jak zmaterializowany sen wariata, rozciągnięty na terenie kilku kilometrów kwadratowych! Uciekliśmy stamtąd w pośpiechu.

Zupełnym kontrastem było zwiedzanie świątyni buddyjskiej, podobno najstarszej i największej w Singapurze. Nazywała się Toa Paych. Składała się z parterowych, drewnianych pawilonów, poprzedzielanych bujną roślinnością. Wszędzie były niezwykłej piękności bardzo stare posągi bogów, demonów, duchów. Były wyrzeźbione w drewnie lub kamieniu. Najbardziej jednak zachwycił mnie mały ogródek, otoczony ze wszystkich stron niskimi, niewielkimi pawilonami. Panowała cisza, którą przerywał jedynie świergot jaskółek pod czerwonymi okapami i szmer wody w malutkiej fontannie na środku ogródka. Bez przesady mogę stwierdzić, że spłynął na mnie nieznany dotąd spokój. Tak jakby wypełniła mnie cisza tej świątyni. Powiedziałem półgłosem:

- Chciałbym tu zostać na zawsze.

A moja żona popatrzyła na mnie i spokojnie zapytała:

- Na jak długo by ci to wystarczyło? Naprawdę na zawsze?

Pomyślałem i po chwili przyznałem jej rację. Dla mnie pogrążenie się w kontemplacji było nieosiągalne. Zbyt już byłem „skażony" mentalnością europejsko-amerykańską. Nie mógłbym żyć bez działania. Szkoda.

Stare miasto w niczym nie przypominało nowoczesnej metropolii. Po raz pierwszy zobaczyłem sklepy, które nie miały ani drzwi, ani okien. Od ulicy odgradzały je żaluzje, podnoszone na cały dzień do góry. Wnętrze było ciemne i chłodne. Sprzedawcy siedzieli przed sklepami, pomiędzy wystawionymi towarami. W takim właśnie sklepie kupiłem ostatniego dnia wielki kapelusz z trzciny, jaki nosili – a może i noszą nadal – kulisi. Do dzisiaj zdobi mój pokój. A skoro już wspomniałem o zakupach, to w tamtych czasach najmodniejszym materiałem w Polsce była kremplina. Jej zalety to niska cena oraz trwałe i żywe kolory. Nasi marynarze kupowali ją masowo. Nic zatem dziwnego, że chińscy sprzedawcy usłyszawszy, że rozmawiamy po polsku, zaczęli nas dosłownie wciągać do swoich sklepików, wołając: „Polish, kremplin! Polish, kremplin! Singapur był w tamtym czasie największym centrum handlu materiałami włókienniczymi. Nigdy nie widziałem takich ilości różnorodnych tkanin, od indonezyjskich batików po chińskie jedwabie. A także tyle złotej biżuterii w ogromnych sklepach jubilerskich, pilnie strzeżonych przez uzbrojonych w karabiny strażników. Mówiono mi, że jeszcze w końcu XIX wieku po morzu Chińskim grasowali korsarze, a zrabowane towary sprzedawali właśnie w Singapurze. I to podobno stało się podstawą dzisiejszego dobrobytu.

Zdążyłem zwiedzić muzeum narodowe, w którym najciekawszy był dział przyrodniczy z wielkimi i pięknymi motylami. Widziałem także znane podobno w całej Azji Akwarium. Tam wśród niezliczonej ilości stworzeń żyjących w morzu zobaczyłem żywego rekina.

Rzeczywiście, nie ma sympatycznego „wyrazu twarzy". A także raję, podobno nie mniej niebezpieczną dla człowieka. Byłem również w ogrodzie botanicznym z bajecznie kolorowymi o niezwykłych kształtach i upajającym zapachu kwiatami. A jeszcze bardziej zainteresowała mnie wydzielona część z roślinnością właściwą dla tropikalnego lasu. Ta miniaturowa dżungla, przez którą prowadziła wąska, ułożona z płytek ścieżka, wywierała niesamowite wrażenie. Kiedy szedłem samotnie w ciemnej gęstwinie splątanych gałęzi drzew, lian, krzewów, mogłem sobie wyobrazić, jak łatwo było zginąć od zatrutej strzały wydmuchniętej z wydrążonego bambusa.

I jeszcze jedno interesujące doznanie: kolacja w chińskiej restauracji. Było 9 osób i zapraszający zamówił 9 potraw, w tym dwie mięsne, dwie rybne oraz dwie zupy. Do tego jedno danie mączne, jedno grzybowe i kompot z owoców zwanych „oczy smoka", a na początek tzw. przystawki z wędlin i sera, nie uważane za potrawę. Nie licząc mnóstwa różnych sosów, przypraw i warzyw oraz napojów od soków po alkohole. Na tej kolacji postanowiłem nauczyć się jeść pałeczkami, podobnie jak to robili chińscy gospodarze. Po krótkim instruktażu z niejakim trudem potrafiłem posługiwać się gładkimi patyczkami. Najwięcej namęczyłem się przy śliskich grzybach. Trwało to długo, zanim „triumfalnie" zjadłem ostatniego grzybka. Wszyscy pozostali biesiadnicy oraz kelnerzy uprzejmie czekali aż skończę. A największym zaskoczeniem było, kiedy zobaczyłem, jak przy wyjściu z restauracji kierownik sali wręczył zapraszającemu nas chińskiemu agentowi torbę z butelkami napoczętych w czasie kolacji alkoholi. Jak mi powiedziano, taki panuje tutaj zwyczaj. Korzystny i dla gości, i dla renomy restauracji.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wspomnieć, czego dowiedziałem się od miejscowych o sytuacji społecznej i politycznej. Myślę, że warto te wiadomości utrwalić, ponieważ co działo się w Singapurze przed trzydziestoma czterema laty – przeszło do historii. Jak wiadomo, Singapur leży na paru wyspach oddzielonych wąską cieśniną od półwyspu Malajskiego. Początkowo mieszkali tam oczywiście tylko Malajowie, ale kiedy sułtan Djohor na początku XIX wieku sprzedał Anglikom wyspy, zaczęli się na nich masowo osiedlać Chińczycy. Stopniowo wypierali miejscową ludność i to tak skutecznie, że w czasie mojego pobytu Malajowie stanowili około jednej czwartej wszystkich obywateli Singapuru. Polityka, finanse, przemysł, handel, przeszły całkowicie w chińskie ręce. Malajowie – jak sam widziałem – byli dokerami, zamiataczami, kelnerami itp. Chiński agent mówił mi bez ogródek, że Malajowie są leniwi i brudni. Premier Lee Kuan Yew rządził przez wiele lat twardą ręką. Był w pewnym sensie dyktatorem, ale – co trzeba przyznać, zapewnił Singapurowi dobrobyt, porządek i stabilizację. Był podobno fanatykiem czystości i surowe kary spadały na tych, którzy ośmielili się rzucić na ziemię niedopałek papierosa, papierek od cukierka czy splunąć. Dlatego w Singapurze panowała wyjątkowa czystość, wyjątkowa nie tylko jak na kraj tropikalny, ale nawet w porównaniu z Europą. Może z wyjątkiem Holandii, ewentualnie Szwajcarii i Skandynawii. Gwoli prawdy dodam, że ta wzorcowa czystość ograniczała się do nowoczesnego śródmieścia i nie sięgała do wąskich uliczek starej części miasta. Ta surowość przepisów porządkowych rozciągnęła się także – jak mi mówiono – na inne sfery życia, m.in. na długość włosów. Rząd zabronił mężczyznom noszenia długich włosów. Łamanie tego przepisu było karane wysokimi grzywnami. Osobiście uważam, że tego rodzaju zakazy są wręcz niebezpieczne. Najpierw władze wtrącają się do uczesania i ubiorów, a potem przechodzą do decydowania, jakich książek nie wolno czytać. Stąd prosta droga do rządów totalitarnych.

W Singapurze funkcjonował Międzynarodowy Dom Marynarza, prowadzony przez trzy misje: katolicką, anglikańską i protestancką. W małej kapliczce, na tym samym stole – ołtarzu odprawiano w niedziele kolejno nabożeństwa trzech wyznań. W tym Domu dyskutowałem z dwoma pastorami o granicach wolności właśnie na przykładzie Singapuru. Muszę przyznać, że nie uzgodniliśmy poglądów. Obaj pastorzy jako przedstawiciele oficjalnych religii (choć – mówiąc nawiasem – nie tak restrykcyjnych jak katolicyzm) łatwiej godzili się na ograniczanie swobód, jeżeli to służyło porządkowi i dobrym obyczajom. A ja złośliwie dodałem: „I prawomyślności zgodnej z wytycznymi rządu".

W Domu Marynarza była biblioteka w języku angielskim. Każdy, kto chciał, mógł sobie bez żadnej opłaty zabrać w podróż książkę. Pod warunkiem, że w zamian w innym Domu tę lub inną książkę zostawi. Ja wziąłem dwie: „Lolitę" i „Adę" Nabokova, których oczywiście ze względów moralnych nie przetłumaczono na język polski. Cenzura PRL przypominała w tym względzie kościelny indeks.

A najlepszego w całym moim życiu ananasa zjadłem w Singapurze w starej części miasta. Kupiłem go od ulicznego sprzedawcy, nie dbając o higienę.

Od Hong Kongu do Kobe

Po opuszczeniu Singapuru płynęliśmy po Morzu Południowochińskim w prawdziwie tropikalnym upale. Nawet ruch powietrza powodowany przez pęd statku niewiele pomagał. Kiedy drugiego dnia znaleźliśmy się w pobliżu Wietnamu, pojawił się samolot. Jak przypuszczaliśmy – wojskowy. Kapitan kazał natychmiast wciągnąć na maszt polską flagę. Po pewnym czasie nadleciał drugi samolot, a mniej więcej po pół godzinie niedaleko nas przepłynął statek patrolowy. Wówczas uświadomiłem sobie, że w odległości kilkuset kilometrów toczy się prawdziwa wojna. I jak każda bratobójcza – szczególnie okrutna. Zwłaszcza jeśli przy jej okazji mocarstwa załatwiają swoje brudne sprawy. Przypomniało mi się, jakie zdziwienie wywoływały pierwsze kontakty z muzykami południowoamerykańskimi, którzy przyjeżdżali do Polski na gościnne występy w latach pięćdziesiątych. Dla nich II wojna światowa była czymś tak odległym, że nie wydawała się rzeczywista. Filmy dokumentalne odbierali niemal jak fabularne. Czyżby wojnę można było pojąć tylko w bezpośrednim zetknięciu? Tylko wtedy, kiedy dotyczy nas codziennie?

Po dwóch dniach dopłynęliśmy wieczorem do Hong Kongu. Marynarze opowiadali, że podobno jest to po Rio de Janeiro, najpiękniejszy widok. Oba te miasta zostały zbudowane na stromych wzniesieniach. Wpływając do portu, widzi się jakby ścianę jarzących się świateł. Coś wręcz fascynującego! Uliczne lampy, reklamowe neony tworzą prawdziwą feerię świateł i kolorów. Nie mogłem oderwać oczu. Niezapomniany widok.

W Hong Kongu nie zauważyłem portu w naszym rozumieniu. Duże statki stały zakotwiczone w pewnej odległości od lądu, a załadunek i wyładunek towarów dokonywał się przy pomocy małych statków. Pasażerów przewoziły motorówki. Nie wiem oczywiście czy tak było zawsze, ale opisuję to, co widziałem na własne oczy. Przedpołudnie spędziłem na oglądaniu miasta, znanego z książek i filmów, głównie sensacyjnych. Rzeczywiście ulice Hong Kongu sprawiają tajemnicze, a zarazem niepokojące wrażenie. Są otoczone wielopiętrowymi domami, zasłaniającymi słońce. Resztę nieba zakrywają niezliczone ilości reklam, umocowanych na murach, lub wiszących wzdłuż i w poprzek ulic. Trzeba pamiętać, że miasto położone jest na wyspie i niewielkim skrawku azjatyckiego kontynentu. Tutaj

każdy metr kwadratowy ceni się dosłownie „na wagę złota". Ulice są wąskie i w dodatku po obu stronach zastawione wózkami z towarami. Samochody jadą wolno nieprzerwanym strumieniem, a tłumy pieszych przeciskają się wąskim przejściem pomiędzy domami a wózkami. Opis ulic Hong Kongu wymagałby pióra wybitnego literata, dla mnie to zbyt trudne. Byłem tak zafascynowany oglądaniem miasta, że zakup pamiątek, widokówek, a nawet mapy zostawiłem na następny dzień. Wieczorem byliśmy na kolacji w restauracji mieszczącej się na zakotwiczonym i specjalnie dostosowanym statku. To również niezwykłe przeżycie. Gości przewożą specjalne łodzie zwane sampanami. Płynęliśmy obok dzielnicy zbudowanej na łódkach i zamieszkałej przez nędzarzy, głównie uciekinierów z Chińskiej Republiki Ludowej. Smutny widok i miałem przykre uczucie, być może irracjonalne, że jadąc na wykwintną kolację, za którą płaci zamożny chiński agent handlowy, krzywdzę tych biedaków.

Następnego dnia w czasie śniadania okazało się, że odpływamy przed południem, a nie pod wieczór, jak zostało pierwotnie zaplanowane. Byłem naprawdę wściekły. Na skutek tej zmiany, nie wiem przez kogo zawinionej, nie mam żadnej pamiątki z jednego z najpiękniejszych miast, jakie w życiu widziałem.

Po opuszczeniu Hong Kongu wpłynęliśmy do Cieśniny Tajwańskiej, a potem na Morze Wschodniochińskie. Drugiego dnia w nocy minęliśmy Okinawę. Jak przed laty czytałem, wyspy bronił garnizon składający się ze 100 000 żołnierzy. Wszyscy zginęli z wyjątkiem 7 ciężko rannych, którzy nie mieli sił, aby popełnić samobójstwo. Bohaterstwo czy fanatyzm? A może jedno nie wyklucza drugiego? W latach sześćdziesiątych docierały do nas filmy japońskie. Starałem się je wszystkie oglądać. Były na ogół znakomite, szczególnie te w reżyserii Kurosawy. Ale dla mnie najbardziej frapujący był kontakt z mentalnością japońską, jakże różną od europejskiej. Nawet w jakimś stopniu od chińskiej. Być może sprawiło to oddalenie od kontynentu. Analizę zostawiam fachowcom; mnie interesowało samo zjawisko tak wyraźnej odrębności z jej plusami i minusami. Oraz skutki dla rozwoju kraju.

30 maja dopłynęliśmy do Japonii, o której zobaczeniu marzyłem od młodości. Przez 18 dni mogłem obserwować ten jedyny w swoim rodzaju kraj. Było to pouczające doświadczenie, rozszerzające moją wiedzę o świecie.

Japonia

Pierwszym portem, do którego zawinęliśmy, było Kobe. Od razu rano pojechaliśmy z Bożenną do miasta. Dowiedziałem się, że przed wojną było to właściwie miasteczko, które w związku z rozwojem gospodarczym Japonii rozrosło się w niebywały sposób w ciągu kilkunastu zaledwie lat. Liczyło w 1972 roku półtora miliona mieszkańców, a port należał do największych w kraju. Jednak najbardziej zaimponowało mi tzw. podziemne miasto. Japońskie władze, mając świadomość braku wolnych terenów, nakazały budowę centrów handlowych nie na powierzchni, ale pod ziemią. Jak mi mówiono, we wszystkich dużych miastach drążono, tak jak w kopalniach, chodniki, z tym że były nieporównywalnie większe. Zarówno wzwyż jak i wszerz. Naprawdę imponujące osiągnięcie. W Tokio kolej podziemna, czyli metro pełni funkcję podziemnego tramwaju. Stacje metra są przystankami tramwajowymi, niesamowite wrażenie. I to wszystko w kraju, który przegrał wojnę. I w dodatku bywał w przeszłości często nawiedzany przez straszliwe trzęsienia ziemi. Naprawdę powinniśmy się uczyć u Japończyków organizacji, porządku, czystości, pracowitości i perspektywicznego myślenia. Oraz paru innych jeszcze rzeczy.

Niestety w Kobe byliśmy tylko jeden dzień. Popłynęliśmy do Jokohamy, największego portu Japonii, który tworzył z Tokio jedną ogromną aglomerację. Jazda pociągiem z portu do śródmieścia trwała zaledwie 30 minut. Przez parę dni rano po śniadaniu opuszczałem statek, zabierając kanapki i wracałem późnym wieczorem. W mesie czekał obiad i kolacja, tak więc nie musiałem wydawać pieniędzy na jedzenie. Byłem w Muzeum Narodowym, w którym zgromadzono najpiękniejsze dzieła malarstwa japońskiego. Znałem je z licznych reprodukcji, ale po raz kolejny przekonałem się, że dopiero oryginały mówią o wielkości twórców. Widziałem z daleka pałac cesarski, podziemne miasto i Ginzę, która „pobiła" rozmachem, ruchem ulicznym, światłami reklam wszystkie znane mi dotąd stolice europejskie. Dzięki listowi polecającemu od szczecińskiego dziennikarza do japońskiego kolegi, mogłem zobaczyć wnętrze drukarni największej chyba gazety tokijskiej „Asahi Shimbun". Oszołomił mnie widok gigantycznej maszyny rotacyjnej. Dziennikarz zaprosił żonę i mnie do małej restauracji na skromną kolację. Lokal był przedzielony na dwie części. W pierwszej stały „normalne" stoły i krzesła, a potrawy podawano na zwykłych talerzach ze sztućcami. Ale druga, z tyłu, przeznaczona była na tradycyjny sposób jedzenia. Oczywiście bez zastanowienia wybrałem tę drugą część. Po zdjęciu obuwia usiedliśmy na poduszkach, rozłożonych na niewielkim podwyższeniu. Przed nami postawiono małe stoliki. Kelnerka po dojściu do podwyższenia, zrzucała obuwie i klęcząc kładła potrawy na stolikach. Zamiast talerzy były deseczki o różnych kształtach. Również każda potrawa miała inną formę. Pierwszy raz zetknąłem się z taką dbałością o wygląd jedzenia. Potraw było dużo, ale porcje malutkie. Jedliśmy przy pomocy palców albo pałeczek. Wyjątkowo zrezygnowałem z mojej abstynencji i piłem ciepłą sake z małych miseczek. A kiedy opuszczaliśmy lokal, uśmiechnięta obsługa kłaniała się głęboko według japońskiej tradycji. My również wycofaliśmy się tyłem, bijąc pokłony i uśmiechając się uprzejmie. Bardzo mi ten zwyczaj odpowiadał. Świadczył – moim zdaniem – o tym, co nazywamy kulturą współżycia.

Podobnie było w każdym sklepie. Czy cokolwiek kupiłem czy po obejrzeniu zrezygnowałem z zakupu, sprzedawca zawsze uśmiechał się i żegnał mnie głębokim ukłonem. Kiedy po powrocie do Polski opowiadałem przy jakiejś okazji w Komitecie Wojewódzkim PZPR o tych obyczajach, jeden z wysokich funkcjonariuszy zareagował z oburzeniem:

- To poniżające, to uwłacza godności człowieka pracy!

Nie wytrzymałem i z jadowitym uśmiechem powiedziałem:

- A każdy występujący artysta, kłania się publiczności. Widzieliście kiedyś głębokie ukłony tancerek? Czyżby artyści nie mieli godności?

Dygnitarz spojrzał na mnie z ukosa. Takimi odezwaniami robiłem sobie przez całe życie wrogów. Jak mówi obecnie moja trzecia żona – niepotrzebnie.

Nie sposób zrelacjonować ogromu wrażeń z tamtego kilkunastodniowego pobytu w Japonii. Byliśmy na przykład w Kamakurze, gdzie znajduje się największy podobno na świecie brązowy posąg Buddy. Przy „okazji" zwiedziliśmy siedem różnych świątyń buddyjskich. Jedna z nich o nazwie Sanjusangedo zawierała 1 000 najróżniejszych posągów kolejnego wcielenia Buddy o imieniu Kannon. Nie znam się na buddyjskiej teologii, podaję zatem tę informację za japońskim folderem. Ale wrażenie niesamowite, kiedy ogląda się taką liczbę posągów w jednej gigantycznej drewnianej sali z XII wieku. A do Nary pojechałem sam i widziałem największy, ponad 16- metrowy drewniany posąg Buddy. Nara, która w VIII wieku była stolicą Japonii, jest fascynującym miejscem. Odwiedziłem słynny Park Jeleni, gdzie tablice ostrzegają gości, aby uważali na zwierzęta, które zamiast uciekać

przed ludźmi, potrafią ich zaatakować. A w jednej ze świątyń wisiało 3 000 lampionów. Odwiedziny Nagoi to zupełnie inne przeżycie. To ten okres historii Japonii, na którym piętno odcisnął jeden ród – Tokugawów. Przez ponad dwieście lat jako szogunowie rządzili krajem w zastępstwie marionetkowych cesarzy. Nagoja była siedzibą rodu, a tym samym szogunatem, czyli faktycznie stolicą Japonii. Częściowo zburzony i spalony w czasie II wojny światowej pałac został odbudowany czy może raczej zrekonstruowany w pierwotnym kształcie. Wywiera ogromne wrażenie. Wszystko tchnie dawną wielkością Japonii i potęgą słynnego rodu Tokugawów. Zdążyłem jeszcze odwiedzić w Nagoi słynną fabrykę porcelany, gdzie goście za niewielką opłatą mogli przez szybę oglądać kolejne fazy powstawania wyrobów porcelanowych. A po zakończeniu kupić je. W grupie turystów byłem jedynym, który nie mógł sobie na to pozwolić.

Z Nagoi wróciliśmy do Kobe, gdzie staliśmy przez sześć czy siedem dni. Dzięki temu mogłem sam lub w towarzystwie robić wycieczki. To właśnie z Kobe jeździłem do Nary, Kioto i Osaki. Moim pragnieniem było kupienie oryginalnego samurajskiego hełmu i miecza. W różnych miastach szukałem w mniejszych lub większych sklepach. Niestety, okazało się, że to przekracza moje możliwości finansowe. Najskromniejszy hełm kosztował kilkaset dolarów. Podobnie kształtowały się ceny autentycznych mieczy. Jeszcze droższe były prawdziwe jedwabne, ręcznie malowane kimona. A takich tanich, kretonowych, w których Japonki chodziły na co dzień, nie warto było kupować. W Kioto, które ponad 1 000 lat było stolicą Japonii, widziałem najpiękniejsze świątynie i ogrody. W Jokohamie odwiedziłem prywatną szkołę muzyczną i Muzeum Jedwabiu. W Osace byłem w teatrze Kabuki. Widziałem wystawę drewnianych domków jednorodzinnych, składających się z czterech pokoi, kuchni i łazienki. Ceny od 20 000 dolarów. Nie sposób opisać wszystkiego, co zwiedziłem, a tym bardziej swoich wrażeń. Połączenie żywej tradycji z najnowszą techniką stanowiło jedyne chyba na świecie połączenie. I jak się okazało – sprzyjające rozwojowi kraju. A mnie pozwoliło na znaczne rozszerzenie horyzontów.

I wreszcie ostatnia wizyta i największe przeżycie – Hiroszima. Z uwagi na stosunkowo duży koszt zdecydowałem się na ten wyjazd dosłownie w ostatniej chwili. Walczyłem z przemożną chęcią zobaczenia Hiroszimy przez cały okres pobytu w Japonii. Było to jedno z moich życiowych marzeń i niewiele brakowało, abym z niego zrezygnował wyłącznie z przyczyn finansowych. W latach siedemdziesiątych w Polsce – o ile pamiętam – cena jednego dolara na tzw. czarnym rynku wahała się od 70 do 90 złotych. A zatem wydanie kilkudziesięciu dolarów na podróż z Kobe do Hiroszimy równało się mniej więcej przeciętnej półrocznej pensji. Pomimo tych wyliczeń i rozterek, w przeddzień opuszczenia Japonii wyszedłem o świcie ze statku i udałem się na dworzec kolejowy w Kobe. Stamtąd lokalnym pociągiem pojechałem do Osaki. Tam taksówką dostałem się na specjalny dworzec dla najszybszego wówczas na świecie pociągu Hikari. Dla bezpieczeństwa zbudowano dla niego osobną linię kolejową z własnymi mostami, wiaduktami oraz dworcami. W tamtym czasie – jeżeli dobrze pamiętam – parę razy dziennie kursował z Tokio przez Osakę do Okajamy i z powrotem do Tokio. W parę miesięcy później już do Hiroszimy. Jak mi mówiono, osiągał szybkość 300 km/godz., co uniemożliwiało oglądanie czegokolwiek przez okno. W Okajamie przesiadłem się do zwykłego pociągu i znalazłem się w Hiroszimie. Przeczytałem w przewodniku, że po wybuchu w całym mieście ocalało tylko 17 domów. Tak więc całe miasto zbudowano od nowa. Prosto z dworca pojechałem do Peace Memorial Park. Widziałem A – Bomb Dome (tłumacząc dosłownie: Kopuła Bomby Atomowej), budynek, nad którym rozerwała się bomba. Widziałem Statue of the A – Bomb Children (Statua Dzieci Bomby Atomowej), Cenotaph of A – Bomb

(Cenotaf, czyli grobowiec bez ciał) i The Flame of Peace (Płomień Pokoju) z palącym się tzw. wiecznym ogniem. Byłem w Memorial Museum (po polsku Muzeum Pamięci). Tego, co tam przeżyłem, nie potrafię opisać w paru zdaniach. Musiałbym na to poświecić wiele stronic. A i tak nie wiadomo czy zdołałbym przekazać swoje uczucia we właściwy sposób. Jedno jest pewne, przeżyłem głęboki wstrząs, stojąc w miejscu, w którym wybuchła pierwsza w historii ludzkości bomba atomowa. Wstrząs nieporównywalny z żadnym innym. I taki pozostał w mej pamięci na zawsze.

Kończę już te skrótowe wspomnienia o Japonii. Jestem przekonany, że aby opisać je bardziej dokładnie, musiałbym poświecić nie jeden podrozdział, a co najmniej cały rozdział. A może nawet napisać małą książeczkę. 18 dni poświęconych zwiedzaniu i rozmowom z Japończykami to – jak sądzę – wystarczający okres czasu, aby mieć dość materiału na osobną pracę. Być może kiedyś ją napiszę, jeżeli starczy mi życia.

Powrót do Europy

Kilkunastodniową nieprzerwaną podróż przez Pacyfik wykorzystałem na pisanie baletu. Przez okres pobytu w Japonii nie miałem czasu na komponowanie i powstały spore zaległości w stosunku do przyjętego jeszcze w Gdyni planu. Warto o tym napisać, wyprzedzając nawet późniejsze wydarzenia. Chciałem jak najwcześniej skończyć balet, ponieważ od tego zależało jego wystawienie. Już pisałem, że otrzymałem półroczne stypendium na skomponowanie baletu. Po przedłożeniu gotowej partytury, mogłem się starać o zakupienie utworu przez ministerstwo. A potem o ewentualne wystawienie w Operze Bałtyckiej. Niestety, zamiar udał się tylko częściowo. W czasie podróży skończyłem komponowanie, a gotową partyturę wysłałem do ministerstwa. Po pewnym czasie tzw. komisja zakupów powiadomiła mnie, że balet został zatwierdzony do wystawienia i jednocześnie zakupiony za znaczną kwotę 35 000 zł, pomniejszoną o sumę otrzymanego stypendium. Ministerstwo zobowiązało się także do pokrycia kosztów rozpisania materiału orkiestrowego. Do tego momentu wszystko rozwijało się pomyślnie, ale – jak to często miało miejsce w moim życiu – nastąpiły nieprzewidziane komplikacje. Jak mi powiedziano, pracownia, w której pisano i kopiowano materiały orkiestrowe, miała taką ilość pracy, że nie mogła przyjąć nowych zamówień. Ich realizację przesunięto na późniejsze terminy. A w międzyczasie Janina Jarzynówna zrezygnowała ze stanowiska kierownika baletu Opery Bałtyckiej. Jej następcy nie znałem. Tak więc mojego baletu nie wystawiono, a partytura zapewne spoczywa w jakimś archiwum dzieł niewykonanych. Ale to wszystko było znacznie później.

Poza komponowaniem czas podróży wykorzystywałem na lekturę. Zabrałem ze sobą parę książek, licząc na bibliotekę, w którą wyposażony był każdy statek PLO. Rzeczywiście znalazłem kilkadziesiąt książek, które można było z grubsza podzielić na trzy grupy: te które już czytałem, te których nie warto było czytać i wreszcie te które mnie zainteresowały. A w ogóle dobór książek był wręcz absurdalny. Znalazłem np. „Idiotę" Dostojewskiego i „Kiedy umieram" Faulknera. Kto z marynarzy będzie to czytał? I po co? Zaiste, nie była to lektura odpowiednia dla ludzi pracujących na statku. Innych książek z tzw. wielkiej literatury nie znalazłem. Poza tym przeważnie „kryminały" oraz „produkcyjniaki" polskie i radzieckie. Wyszukałem zaledwie parę książek naprawdę interesujących. Domyślam się, że jakiś urzędnik „od kultury" w PLO wyposażał biblioteki na statkach według schematu; po jednej powieści z każdego kraju, po kilka kryminałów itd. Nic zatem dziwnego, że

niewielu członków załogi wypożyczało książki. Przy takim zestawie woleli oglądać filmy. Ale i te stanowiły bezsensowną mieszaninę: obok kilku dobrych filmów, większość zupełnie nędzna. Tak więc krzewienie kultury wśród marynarzy było kolejną fikcją.

Na zakończenie tych rozważań o lekturze dodam, że nie zabrałem w podróż ani jednej powieści. Ograniczyłem się wyłącznie do książek z różnych dziedzin wiedzy: historii, literatury, socjologii, psychologii itd.

Odnotowuję zabawne wydarzenie. W połowie czerwca powtórzyliśmy jeden dzień dwa razy! Spowodowała to ciągła podróż na wschód. Co parę dni przesuwaliśmy zegarki o godzinę do przodu, skracając noc. W ten sposób „zarobiliśmy" jeden dzień. Ale będziemy musieli, zanim wrócimy do Polski, „oddać" jeszcze 12 godzin snu. A gdybyśmy jechali w przeciwna stronę, to jest na zachód – procedura byłaby odwrotna. Nie bardzo rozumiem te matematyczno – astronomiczno - kalendarzowe manipulacje, ale muszę je przyjąć „na wiarę".

Kolejnym ciekawym wydarzeniem było przepłynięcie Kanału Panamskiego. Wspaniałe widoki gęstych lasów pokrywających górskie stoki i nie mniej wspaniałe dzieło ludzkiego umysłu: system śluz. Jak mi powiedziano, różnica poziomów obu oceanów wynosi 28 metrów. To mniej więcej wysokość 10-piętrowego domu. Połączenie kanałów, jezior i śluz w jeden system wzbudza podziw. Kiedy już wypłynęliśmy na Ocean Atlantycki, żałowałem jedynie, że nie mając wizy, nie mogłem zwiedzić żadnego z miast przy obu końcach Kanału.

Podróż przez Atlantyk przebiegała bez zakłóceń i po 9 dniach wpłynęliśmy do Kanału La Manche. W ten sposób mogę napisać zgodnie z prawdą, że okrążyłem kulę ziemską. Pamiętam, że czułem coś w rodzaju smutku. Żałowałem, że kończy się piękna podróż, a mnie czeka praca w operetce, którą muszę podjąć wyłącznie dla pieniędzy. Trochę podtrzymywała mnie na duchu myśl, że zdążę jeszcze zobaczyć parę muzeów w czasie wyładowywania w portach przywiezionych z Japonii towarów. I rzeczywiście. Do Rotterdamu przyjechaliśmy w sobotnie południe. Dokerzy nie pracowali. Dzięki temu oglądałem tę część miasta, której nie zdążyłem zobaczyć za pierwszym pobytem. A na całą niedzielę wybrałem się do Amsterdamu. Przebiegłem, bo inaczej nie sposób tego nazwać, trzy muzea. Cudowne obrazy mistrzów niderlandzkich. Nie sposób opisać wrażeń, mój język jest zbyt ubogi. Jak oddać słowami piękno arcydzieł Rembrandta, Vermeera czy Halsa. A w dziale nowej sztuki impresjoniści oraz Cezanne, Malewicz, Picasso, Chagall. Wróciłem na statek nie tylko zmęczony i z opuchniętymi nogami, ale także wręcz oszołomiony nadmiarem wrażeń. W poniedziałek „pozwoliłem" nogom odpocząć i prawie cały dzień pisałem balet. Widocznie wielkie malarstwo pomogło mi w komponowaniu. A we wtorek odwiedziłem dwa muzea rotterdamskie: morskie i malarskie. W pierwszym zobaczyłem stare mapy (replikę jednej kupiłem i do dzisiaj wisi na ścianie w moim pokoju), modele statków, dzwony okrętowe itp. A drugie muzeum pełne było najwspanialszych obrazów. Jak się dowiedziałem, wszystkie były darowiznami bogatych Holendrów. Obok arcydzieł malarzy flamandzkich, także cudowne obrazy Breughla i Boscha. Nie mniej olśniewające obrazy Moneta i Kandinskiego.

W parę dni później zawinęliśmy do portu w Antwerpii. Dzięki pomocy przedstawiciela PLO, zrobiliśmy dwie wycieczki. Pierwszą do Gandawy, stolicy Flandrii. Wspaniała katedra i zamek. Drugą do Brukseli, gdzie zobaczyłem śródmieście i „Atomium" na terenach po wystawie światowej, a potem „po drodze" odwiedziliśmy Waterloo i ogromne muzeum w Tervuren z największymi podobno na świecie zbiorami afrykańskich instrumentów. Rzeczywiście nie spodziewałem się tylu rodzajów bębnów, grzechotek, piszczałek.

W Antwerpii w ciągu jednej niedzieli zdążyłem „oblecieć" aż cztery różne muzea. Największe wrażenie wywarła Galeria Malarstwa z całą salą poświęconą rodzinie

Breughlów. I znowu brakuje mi słów, aby opisać piękno tamtych obrazów. Jestem pewien, że wzbogaciły moją wyobraźnię, pogłębiły wrażliwość i rozszerzyły horyzonty.

Ku mojej radości, choć nie wypadało jej okazywać, dowiedziałem się, że statek ma tzw. przeciek i naprawa odbędzie się w Hamburgu. Dzięki temu przez parę dni mogłem oglądać miasto i zwiedzać muzea. Są uboższe od francuskich, belgijskich czy holenderskich. Ale znalazłem w jednym całą salę poświęconą projektom Kokoszki do „Czarodziejskiego fletu". Rewelacyjne! Nie spodziewałem się, że można z projektów dekoracji i kostiumów stworzyć wielkie dzieło sztuki.

30 lipca dobiliśmy do portu w Gdyni. Moja niezwykła, niemal „bajkowa" podróż dookoła świata dobiegła końca. Nadszedł czas na powrót do rzeczywistości. Nigdy już potem nie miałem tak długiej i tak urozmaiconej podróży. Pamiętam, jak po powrocie do Szczecina poszedłem do księgarni, aby kupić odkładane na moją prośbę przez trzy miesiące książki. Spotkałem tam znajomego profesora Akademii Medycznej. Był zdziwiony, że tak długo mnie nie widział. Kiedy powiedziałem, że w 100 dni opłynąłem kulę ziemską, westchnął i pół żartem, pół serio oświadczył: „U nas tylko bezrobotny może sobie pozwolić na taką podróż".

Rozdział XXX

LATA 1973 – 1977

Jeśli do tych lat dołożę jeszcze rok 1972, to sześcioletni okres mojego bezrobocia w sensie braku etatu, był wyjątkowo twórczy. Znacznie później w jakimś wywiadzie nazwałem go najszczęśliwszym w moim życiu. Istotnie, nigdy przedtem ani potem nie miałem tak długiego okresu czasu, w którym mogłem robić to, co mnie najbardziej interesowało. Przeczytałem ogromną liczbę dzieł z różnych dziedzin nauki, co w znacznym sposób powiększyło moją dotychczasową, raczej ograniczoną, wiedzę. Szczególnie w naukach ścisłych. Skomponowałem największą liczbę utworów, z których spora część była wykonywana w kraju i za granicą. W szczecińskim radio prowadziłem własny program złożony z ponad pięćdziesięciu 20-minutowych audycji pod łącznym tytułem „Muzyka współczesna i…". Było to całkiem nowe, pouczające doświadczenie. Współpracowałem z Operą Wrocławską, dyrygując parę razy „Borysa Godunowa" i około osiemdziesięciu razy „Barona cygańskiego". Miałem premierę baletową w warszawskim Teatrze Wielkim. Dyrygowanie w kanale operowym znacznie zwiększyło moją technikę dyrygencką. Nadal miałem gościnne koncerty w polskich filharmoniach i trzykrotnie byłem za granicą; łącznie ponad siedemdziesiąt występów. No i wreszcie jako wolny słuchacz zaliczyłem wszystkie egzaminy na studium doktoranckim. Jeśli dodam do tego rozpoczęcie pracy w Wałbrzychu w grudniu 77 roku, dzięki czemu w rok później powstała nowa filharmonia, co uważam za dzieło mojego życia – to myślę, że naprawdę lata 72-77 były pięknym i twórczym okresem.

Wydarzenia polityczne

Wystarczy sięgnąć do jakiegokolwiek podręcznika powojennej historii, aby zauważyć, jak wiele wydarzyło się w latach 72-77 w Polsce i na świecie. Niektóre z tych wydarzeń miały bezpośredni wpływ na moje życie. Opiszę je pokrótce.

Należy zacząć od rozluźnienia cenzury, zwiększenia kontaktów z zagranicą i nieznacznego wzrostu stopy życiowej dzięki ożywieniu gospodarki. To są niewątpliwe plusy działalności Gierka, zwłaszcza w początkowym okresie. Zakończył się właściwie w 75 roku, kiedy zmieniono w sposób zasadniczy administracyjny podział kraju. Zlikwidowano powiaty, a na miejsce 17 województw powstało 49. Miało to zmniejszyć biurokrację i ułatwić obywatelom kontakt z władzą. Niestety z winy nieprecyzyjnych aktów wykonawczych, a przede wszystkim ludzi na stanowiskach – słuszny zamysł nie został w pełni zrealizowany. Pozwolę sobie tutaj na dygresję. Obserwując przez kilkadziesiąt lat to, co działo się i nadal dzieje w Polsce, oraz porównując to z innymi krajami, doszedłem do jednego wniosku. Myślę, że we współczesnym świecie i nieograniczonych właściwie możliwościach komunikacji,

dla Polski najkorzystniejszy byłby podział na sześć dużych okręgów, na wzór niemieckich landów. Mogłyby zresztą nazywać się tradycyjnie województwami. Aby zapewnić sprawne funkcjonowanie administracji, należałoby jedynie wzmocnić ustawowo powiaty i gminy. I zabezpieczyć kompetentne kadry.

Gierek, aby ożywić gospodarkę, brał pożyczki od rządów i banków zachodnich, kupując licencje, technologie, a nawet całe zakłady przemysłowe. Niestety cykle inwestycyjne tak się przedłużały, że zyski z opóźnionej, a często i kiepskiej jakości produkcji nie starczały na spłatę kredytów. I tak rosły odsetki. To, co napisałem, jest oczywiście wielkim skrótem i uproszczeniem wielu procesów zachodzących w latach siedemdziesiątych. Mówili mi o tym ludzie mający taki czy inny kontakt z gospodarką, a także znajomi funkcjonariusze partyjni. Nawet prasa raz po raz „przebijała" przez cenzurę i donosiła o różnych nieprawidłowościach. Piszę o tym, ponieważ – powtarzam – ta sytuacja wpłynęła bezpośrednio na moje życie, w dobrym i złym znaczeniu.

Na świecie również w tych pięciu latach miały miejsce ważne wydarzenia, począwszy od kolejnej wojny izraelsko-arabskiej, kryzysu paliwowego, zakończenia wojny w Wietnamie, przejęcia władzy w Kambodży przez Pol Pota aż do śmierci Franco, Mao Tse-tunga i Allende. To były wprawdzie odległe sprawy, ale wiązały się z przemianami w polityce światowej i miały związek z polską gospodarką, a zatem i moim życiem. I stopniowo zaczęły wpływać na to, co nazywamy stopą życiową. A to znalazło odbicie w sytuacji politycznej. Ludzie zaczęli odczuwać braki na rynku, a kiedy w czerwcu 76 roku nastąpiła podwyżka cen, wybuchły zamieszki. Najpierw w Radomiu, a potem w Ursusie. Brutalne działania milicji, a szczególnie ZOMO (Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej) odbiły się szerokim echem w kraju. O ile uchwalone w lutym zmiany konstytucji spotkały się tylko z protestami intelektualistów i studentów przy obojętności robotników i chłopów, o tyle czerwcowe wystąpienia robotników zostały od razu poparte przez liczną grupę warszawskiej inteligencji. Myślę, że była to zapowiedź przyszłej „Solidarności". Już w lipcu zaczął działać KOR (Komitet Obrony Robotników).

Miałem w Warszawie znajomą prawniczkę, która była sędzią utworzonego parę lat wcześniej sądu pracy. Opowiadała mi o procesach, w których prawnicy KOR domagali się przywrócenia do pracy zwolnionych dyscyplinarnie robotników fabryk w Radomiu i Ursusie. W czasie trwania tych procesów do prezesa warszawskiego sądu pracy, kolegi mojej znajomej, telefonowali rozmaici wysocy funkcjonariusze partyjni. Mniej lub więcej subtelnie próbowali wywierać na niego nacisk, aby sędziowie odrzucali wnioski adwokatów. Jak mi opowiadała moja znajoma, prezes tak się wściekł, że poszedł do KC i zagroził, że jeśli nie ustaną tego rodzaju interwencje, poda się do dymisji. W rezultacie sześciu zwolnionych robotników przywrócono do pracy i to uroczyście, w obecności sędziów. Chciałbym dodać, że ci sędziowie byli przeważnie członkami PZPR. Warto o tym pamiętać.

Pomimo że KOR nie został zalegalizowany, nie tylko działał, lecz także pisemnie wysuwał rozmaite postulaty. Trwało to do lata 77, kiedy ostatni aresztowani wyszli z więzień. W międzyczasie powstawały coraz to nowe nielegalne organizacje. Jestem przekonany, że mogły działać wyłącznie dzięki „miękkiej" polityce Gierka. Kiedyś historia oceni to właściwie. W tym miejscu chciałbym podkreślić, że nigdy, w przeciwieństwie do wielu moich znajomych, nie byłem zwolennikiem Gierka. Nie odpowiadał mi ten typ człowieka. Tym niemniej starałem się być obiektywny i bezstronnie oceniać jego zalety i wady. Gdyby na jego miejscu znalazł się w tamtych czasach inny przywódca, w latach 77 i 80, powtórzyłby się grudzień 70 w nieporównywalnie większej skali. A wówczas ofiar byłyby tysiące.

Różne zajęcia

Jak już pisałem poprzednio, Helena Wodnicka, która była naczelnikiem wydziału operowego, martwiła się moim brakiem stałego zatrudnienia. Należała do nielicznych osób w ministerstwie, które okazywały mi pomoc. I to zupełnie bezinteresownie, co podtrzymywało moją wiarę w ludzi. Wodnicka doradziła dyrektorce Teatru Muzycznego w Gdyni, Danucie Baduszkowej, aby mnie zatrudniła jako kierownika muzycznego. A z kolei mnie namówiła, abym tę mało interesująca propozycję przyjął. Przed wyjazdem w podróż dookoła świata i po powrocie uzgodniłem z Baduszkową niezbędne szczegóły i 1 października podjąłem pracę. Gdyński Teatr Muzyczny miał być eksperymentalną placówką, szkolącą młodych wokalistów pod kątem potrzeb modnego wówczas musicalu. O ile pamiętam, przy teatrze funkcjonowało jakieś studium. Cóż z tego, jeśli poza dwiema czy trzema osobami, pozostali soliści pozbawieni byli trzech podstawowych dyspozycji: wokalnych, aktorskich i tanecznych. O braku muzykalności nie warto nawet wspominać. Chodząc na próby i przedstawienia, szybko się o tym przekonałem. Orkiestra czy może raczej zespól instrumentalny prezentował żenująco niski poziom. W tamtych czasach brakowało w Polsce muzyków i do Teatru Muzycznego poszli tylko ci, których nie zatrudniono w orkiestrze Opery i Filharmonii Bałtyckiej. Nie pamiętam dyrygenta, ale był okazem nieudolności. Kiedy po pierwszej w sezonie premierze, Baduszkowa poprosiła mnie o ocenę, uczciwie powiedziałem o wszystkich brakach solistów, orkiestry i dyrygenta. Od tego momentu jej dotychczasowa życzliwość znikła i w pierwszych dniach stycznia 73, pod pretekstem niemożności uzyskania dla mnie mieszkania i dalszego płacenia za hotel, rozwiązała ze mną umowę.

W następnych latach parokrotnie wyłaniały się różne propozycje, ale jakoś nie udało się ich zrealizować. Kiedyś powiedziałem o tym Mietkowi, który był wtedy nie tylko naczelnym redaktorem „Polityki", lecz także – o ile pamiętam – posłem i członkiem KC. Mietek obiecał, że zapyta znajomych dygnitarzy, dlaczego od paru lat pozostaję bez stałego zatrudnienia. Kiedy spotkaliśmy się następnym razem, przekazał mi, co usłyszał w KC i ministerstwie. Okazało się, że nikt nie kwestionował moich umiejętności dyrygenckich i organizacyjnych, ale miałem opinię „konfliktowego dyrektora". Na pytanie co oznacza określenie „konfliktowy", odpowiedziano Mietkowi, że wysuwam coraz to nowe żądania pod adresem władz centralnych i lokalnych, np. o mieszkania czy pieniądze na zakup instrumentów. A także wymagałem, aby muzycy podnosili swój poziom. Przy okazji wspomniano, że nie potrafiłem współpracować z POP i Radą Zakładową. Po tych wyjaśnieniach zrozumiałem wreszcie, dlaczego władze wolały na stanowiskach dyrektorów pozbawionych zdolności organizacyjnych, kiepskich często dyrygentów, niż mnie. W tej sytuacji musiałem zadowolić się różnymi dorywczymi zajęciami.

Jak już wspomniałem, w roku 1973 miałem cotygodniowe 20-minutowe audycje w lokalnym programie rozgłośni szczecińskiej pt. „Muzyka współczesna i…" Próbowałem przybliżyć słuchaczom muzykę XX wieku przy pomocy nawiązywania do epok wcześniejszych. Wybierałem krótkie fragmenty najbardziej reprezentatywnych utworów, które poprzedzałem przystępnymi omówieniami. Czy spełniły swoje popularyzatorskie zadanie – nigdy się nie dowiedziałem. Ale miałem satysfakcję, że robię coś ciekawego, no i zarabiałem trochę pieniędzy.

Pod koniec 72 roku moje rodzeństwo i ja otrzymaliśmy zaproszenie do udziału w filmie, który miał być w całości poświęcony naszej czwórce. Była to interesująca propozycja i w dodatku korzystna finansowo. Zdjęcia nakręcano w Łodzi. Treścią filmu były nasze rozmowy czy może raczej dyskusje, czasem nawet ostre. Poza tym rodzina grała razem i osobno, a ja zaprezentowałem krótki, najwyżej 60-90 – sekundowy fragment mojego utworu. Nie pamiętam nawet jakiego. No i na końcu wykonaliśmy wspólnie z towarzyszeniem orkiestry parominutowy fragment potrójnego koncertu Beethovena. Z pracy nad tym filmem najbardziej utkwiło mi w pamięci wręcz przerażające marnotrawstwo czasu i pieniędzy. Bywały dni, które spędzałem w hotelu, czekając od rana na „wezwanie" do studia. Zdarzało się, że późnym popołudniem otrzymywałem telefon, że w tym dniu zdjęcia zostały już zakończone i dopiero następnego dnia będę potrzebny. Ale stawkę dzienną, zgodnie z umową, otrzymywałem. Patrząc na to beztroskie szafowanie pieniędzmi, myślałem, że żadna prywatna wytwórnia filmowa nie mogłaby sobie na to pozwolić. Na szczęście film, który miał tytuł „Cztery temperamenty", okazał się zupełnie przyzwoity, choć i tak najbardziej ostre fragmenty dyskusji zostały przez reżysera wycięte. Do rozpowszechniania został skierowany w roku 1973.

W latach 73-77 napisałem sporo utworów, z których niektóre były wykonywane, a kilka nawet zostało wydrukowanych. Gościnnych koncertów miałem ponad 60, co statystycznie daje 12 rocznie. Przekonałem się wówczas, że z tak małej liczby gościnnych występów nie mógłbym wyżyć. Przypuszczam jednak, że niektórzy dyrektorzy filharmonii obawiali się mnie zapraszać. Taki dyrygent bez stałej posady był zagrożeniem. A nuż spodobałby się orkiestrze i ta chciałaby dokonać zmiany dyrektora? Te wszystkie dorywcze zajęcia nie zapewniały wprawdzie stałego dopływu pieniędzy, ale za to zostawiały sporo czasu na lektury. Ich spis w sensie ilościowym i jakościowym byłby naprawdę imponujący. Uzupełniłem moje braki w naukach ścisłych, a przede wszystkim w psychologii. W pewnym sensie zakończyłem również poznawanie światowej literatury pięknej do połowy XX wieku. Tak więc ten przymusowy okres bezrobocia czy może raczej „bezetacia" został z pewnością w pełni wykorzystany. Od roku 1978 do 2006 nie miałem już nigdy tyle czasu dla siebie.

Opera

W latach 58-60 przygotowywałem w Operetce Szczecińskiej od strony muzycznej trzy premiery: „Zemstę nietoperza", „Barona cygańskiego" i „1001 noc". Nie zapewniało to specjalnej satysfakcji artystycznej, ale honoraria były przyzwoite. W dodatku „dokomponowywałem" muzykę do tzw. wstawek baletowych, co przynosiło jeszcze tantiemy autorskie z ZAIKS-u. To było na początku mojej pracy w Szczecinie. Potem, po zmianie dyrektora, współpraca z operetką została przerwana. W 74 roku pani Helena Wodnicka, o której już pisałem, skłoniła dyrektora Opery Wrocławskiej, Bolesława Jankowskiego, do nawiązania ze mną kontaktu. Opera to nie operetka, a zatem coś nowego. I mimo wszystko na wyższym poziomie. Zgodziłem się i przez ponad dwa lata dojeżdżałem do Wrocławia. Było to męczące, ale zapewniało w miarę stały dochód. Ponadto dowiedziałem się, na czym polega praca w operze, co było nowym, cennym doświadczeniem.

Poziom artystyczny Opery Wrocławskiej w tamtym okresie nie był wysoki. Najlepiej – o ile pamiętam – prezentował się balet, który prowadziła Teresa Kujawa. Chór był nienajgorszy, ale stanowczo za mały, bodajże zaledwie 40 osób. Orkiestra stanowiła żałosną

zbieraninę: obok dobrych muzyków - wręcz słabi. Mówiono mi, że byli to na ogół muzycy, którzy nie dostali się do filharmonii zorganizowanej przez Andrzeja Markowskiego w roku 1965. A soliści? Jak ich ocenić? Kilkoro wokalistów wysokiej klasy: dwa – trzy znakomite soprany, tyleż samo altów i barytonów oraz po jednym prawdziwym tenorze i basie. Pozostali soliści raczej przeciętni, chociaż czasami potrafili pięknie zaśpiewać jakąś arię czy ensembl. Najgorsi byli dyrygenci. Jeśli mnie pamięć nie myli, było ich czworo, choć nie wiem czy wszyscy byli na etatach, czy tylko występowali gościnnie. Wszyscy mieli nader ograniczoną technikę i byli pozbawieni jakiegokolwiek temperamentu. Pod tym względem wyjątkowo się dobrali. Przez miłosierdzie nie wymienię ich nazwisk.

W okresie współpracy zadyrygowałem ponad 80 przedstawień „Barona cygańskiego" i 7 „Borysa Godunowa". Od razu na pierwszych próbach wprowadziłem liczne zmiany temp i dynamiki, co jedni soliści akceptowali z uznaniem, ale u innych wywoływały sprzeciw. Miałem już jednak swoje lata i doświadczenia. I jako taką pozycję. Usiłowałem oponentom tłumaczyć mój zamysł interpretacyjny, ale niezależnie od tego czy ich przekonałem czy nie – wprowadziłem konsekwentnie wszystkie zmiany. Przypuszczam zresztą, że zyskałem pewien autorytet, ponieważ parokrotnie przedstawiciele solistów i orkiestry pytali czy nie zechciałbym objąć stanowiska dyrektora. Nie chcąc ich zrażać, dawałem wymijające odpowiedzi. Jeszcze po paru latach, będąc już w Wałbrzychu, otrzymałem telefoniczną propozycję objęcia stanowiska dyrektora Opery Wrocławskiej. Bez zastanowienia odmówiłem. Pamiętam, że użyłem sformułowania „Nie jestem samobójcą". Istotnie, zespół opery był skłócony, a działacze partyjni i związkowi przyzwyczaili się do „mianowania i odwoływania" dyrektorów.

Jak już pisałem, dyrektor Teatru Wielkiego w Warszawie, Zdzisław Śliwiński w porozumieniu z Heleną Wodnicką, zaprosił mnie do dyrygowania premierą tzw. „Baletów Szwedzkich". Przygotować je miała sławna choreografka szwedzka Brigit Culbert. Było to dla mnie kolejne cenne doświadczenie. Przez wiele tygodni mieszkałem w „Bristolu", uczestniczyłem w rannych i wieczornych próbach baletu i ćwiczyłem z orkiestrą. A w niektóre wolne wieczory chodziłem na przedstawienia w Teatrze Wielkim i w innych warszawskich teatrach.

Muzyka kompozytorów szwedzkich niezbyt mi odpowiadała. Jak się później okazało – także i publiczności. „Balety Szwedzkie" miały zaledwie kilkanaście przedstawień. Ale dzięki nim poznałem paru znakomitych tancerzy, m.in. Marię Krzyszkowską, która była zarazem kierowniczką baletu, i Stanisława Szymańskiego.

Przypuszczam, że mój debiut w Teatrze Wielkim był udany, ponieważ potem Śliwiński i ówczesny kierownik artystyczny Antoni Wicherek rozmawiali ze mną na temat ewentualnej współpracy. Był nawet konkretny projekt gościnnego zadyrygowania „Borysa Godunowa". Nie doszedł do skutku, gdyż w międzyczasie nastąpiła zmiana dyrekcji.

I warto jeszcze wspomnieć o dwóch wyjazdach w charakterze obserwatora. Jeden do Brna na jakiś festiwal. Zapamiętałem, że w programie było przedstawienie opery Trojana, opartej na tym samym tekście co film „Jak zabić starszą panią". Świetna, quasi nowoczesna, dowcipna muzyka. Natomiast po koncercie najnowszej muzyki czeskiej, na zapytanie węgierskiego muzykologa, dlaczego współczesna muzyka jest tak brzydka, odpowiedziałem: „Jakie czasy – taka muzyka". Bardzo się ucieszył, a następnego dnia na odbywającym się równolegle kongresie muzykologicznym, przytoczył z trybuny moje powiedzenie. Dodał, że usłyszał je z ust polskiego dyrygenta i uważa za najkrótszą i najbardziej trafną charakterystykę nowej muzyki. I taki był mój jedyny „wkład" w dorobek światowej muzykologii!

Z Brna pamiętam jeszcze wycieczkę do wspaniałych podziemnych grot i zwiedzanie starych zamków i pałaców.

A w Berlinie widziałem w Stadttsoper mało interesujące przedstawienie „Wesela Figara". Prowadził je Otmar Suitner, uważany za wybitnego dyrygenta. Według mnie był tylko przeciętny. Ale poszedłem także do Komische Oper na „Skrzypka na dachu". Od lat słyszałem o rewelacyjnych przedstawieniach tego teatru, który od początku prowadził Walter Felsenstein. Rzeczywiście, to co zobaczyłem, było czymś nadzwyczajnym. Każdy niemal ruch sceniczny został zsynchronizowany z muzyką, a nowatorskie rozwiązania inscenizacyjne wzbudziły mój zachwyt. Jak mi opowiadano, specjalnie wyczarterowane samoloty przywoziły słuchaczy zza oceanu.

Zwiedziłem także muzea berlińskie, m.in. Bode i Pergamon - Museum. Widziałem tam wspaniałe zabytki, ale największe wrażenie wywarły delikatna, filigranowa, złota biżuteria Sumerów i asyryjskie skrzydlate byki na ogromnym murze, pokrytym ciemnobłękitną emalią. A ołtarz pergamoński oszałamia wielkością, choć nie jest to – moim zdaniem – arcydzieło architektury.

Z moją pracą w Operze Wrocławskiej wiąże się jeszcze jedno wspomnienie. Pewnego dnia przyjechał z ZSRR tenor, aby omówić z dyrekcją swoje gościnne występy w następnym sezonie. Akurat wieczorem dyrygowałem „Borysa Godunowa", więc zaproszono przybysza do dyrekcyjnej loży. Po przedstawieniu pogratulował mi, ale potem dodał z przekąsem: „Jeśli nie ma się 100-osobowego chóru, nie należy wystawiać <Borysa>". Musiałem się z tą opinią zgodzić. Liczący najwyżej 40 osób chór nie mógł oddać potęgi muzyki. Tym bardziej, że reżyser, chcąc widocznie zatuszować małą liczbę „ludu" sławiącego cara – kazał chórowi przemieszczać się na scenie biegiem. Biedni chórzyści, nie dość że byli zdyszani, to dodatkowo mieli kłopoty z patrzeniem na dyrygenta. W takiej sytuacji ich głosy brzmiały jeszcze słabiej, niż gdyby stali w miejscu.

Uwaga tenora utkwiła mi w pamięci i potem, układając programy koncertów symfonicznych, starałem się nie zapomnieć, że przy wyborze utworu należy pamiętać o odpowiednio dużej obsadzie instrumentów smyczkowych. I zdarzało się, że rezygnowałem w ogóle z koncertów gościnnych (nawet w Paryżu!), jeśli skład smyczków był moim zdaniem zbyt mały.

I ostanie operowe wspomnienie, o parę lat późniejsze. Spędziliśmy kiedyś z moją dopiero co poślubioną trzecią żoną tydzień w Lądku-Zdroju razem z Wandzią i Jurkiem Semkowem. Oni się leczyli, a my byliśmy na tzw. miodowym tygodniu. Na więcej nie mieliśmy czasu. Spacerowaliśmy razem i dyskutowaliśmy. Pamiętam, jak Jurek powiedział, że największe przeżycia artystyczne miał w czasie dyrygowania przedstawieniami operowymi. Uzasadnił to tym, że połączenie muzyki w wykonaniu solistów, chóru i orkiestry z aktorstwem, kostiumami i dekoracjami jest czymś nieporównywalnym. Wyraziłem wówczas wątpliwość czy tyle różnych elementów może stworzyć doskonałą całość. I zapytałem wręcz, ile razy udało mu się to osiągnąć. Po dłuższym milczeniu, Jurek odpowiedział z wahaniem, że bardzo rzadko. Potem zastanowił się jeszcze przez parę chwil i dodał: „Prawie nigdy".

I to szczere wyznanie znakomitego dyrygenta, przygotowującego premiery w najlepszych teatrach operowych, utwierdziło mnie w przekonaniu, że praca w filharmonii daje więcej satysfakcji. Być może było to błędne przekonanie, ale do dzisiaj nie miałem okazji, aby je zmienić.

Doktorat

Zrelacjonuję teraz jedną z przygód mojego długiego życia, na pewno najciekawszą w sensie intelektualnym. Nieraz żałowałem, że nie wybrałem drogi naukowej i zazdrościłem moim kolegom ze studiów uniwersyteckich, że zostali profesorami wyższych uczelni. Zdawałem sobie sprawę, że taka zazdrość jest irracjonalna, by nie użyć mocniejszego określenia – infantylna. Ale marzenia o prowadzeniu pracy naukowej pozostały. I oto niespodziewanie na wiosnę 75 pojawiła się możliwość spełnienia tego marzenia. Dowiedziałem się, że w warszawskiej PWSM zostanie na jesieni powołane studium doktoranckie. Jego kierownikiem mianowano Witolda Rudzińskiego, który był przez krótki czas moim profesorem w Łodzi. Nie darzyłem go sympatią ani specjalnym szacunkiem. Wydawał mi się sprytnym megalomanem, który potrafił dobrze „sprzedawać" swoje ograniczone zdolności i umiejętności. Być może krzywdzę go tą dawną oceną, ale uczciwie ją w tym miejscu przypominam. Uważałem go za przeciętnego kompozytora, wykorzystującego swoje znajomości, stanowisko i sytuację polityczną do promowania własnych utworów. Teraz, z perspektywy lat, nie jestem pewien czy można mu z tego powodu czynić zarzuty. Z jego prac teoretycznych przeglądałem kiedyś bodajże „Naukę słuchania muzyki" i znacznie później „Naukę o rytmie muzycznym". Były w moim odczuciu „przegadane", podobnie jak prelekcje radiowe, na które parę razy przypadkowo trafiłem. Mimo tych zastrzeżeń, utrzymywałem z nim poprawne stosunki i na jego prośbę, zadyrygowałem w Wałbrzychu w latach osiemdziesiątych „Dach świata". Pamiętam, że przyjechał na koncert i podarował mi partyturę z odręczną dedykacją.

Wracam jednak do roku 75. Rudziński powiedział, że nie mogę zostać słuchaczem studium doktoranckiego z dwóch powodów. Po pierwsze byłem „za stary"; ustalono granicę wieku - 40 lat. Po drugie nie pracowałem w szkolnictwie muzycznym. Każdy z tych powodów był wystarczający. Zgodził się natomiast, abym został wolnym słuchaczem. Nie miałem prawa do stypendium, które otrzymywali wszyscy doktoranci, ale „za to" nie obowiązywałaby mnie dyscyplina uczestniczenia w wykładach. Po dwóch latach mogłem zdawać egzaminy i w ten sposób zaliczyć studium i co najważniejsze – otworzyć przewód doktorski. Zgodziłem się na te warunki, a kiedy przedstawiłem mu pomysł przyszłej dysertacji, natychmiast poszedł ze mną do Marii Manturzewskiej. Była wówczas – o ile pamiętam – docentem i prowadziła w PWSM międzywydziałową poradnię psychologiczną. Zaprezentowałem jej hipotezę, która miała być tematem mojej ewentualnej pracy doktorskiej, a która brzmiała: że dyrygentem zostaje się nie z powodu specjalnych uzdolnień, ale dla zaspokojenia popędu dominacji. Nigdy nie zapomnę jej wręcz entuzjastycznej reakcji. Oświadczyła Rudzińskiemu i mnie, że taką pracę nowatorską i unikatową (dosłowne jej określenie!) może napisać tylko ktoś, kto jest dyrygentem z przygotowaniem psychologicznym. Zapytała od razu bez ogródek czy sprostam temu zadaniu. Powiedziałem o swoich zainteresowaniach psychologią i o dotychczasowych lekturach (Hilgard, Guillamme, Hebb, Eysenck, Maslow, Skiner, Freud, Jung, Tiepłow, Dąbrowski, Kretschmer i inni). Zauważyłem, że była zaskoczona. Stwierdziła, że przeczytałem więcej niż przeciętny student ostatniego roku psychologii. Na zakończenie zaproponowała, że będzie – jak to się nazywa – moim opiekunem (czy raczej opiekunką) naukową, a po otwarciu przewodu – promotorem (-ką). I tak właśnie rozpoczęła się moja przygoda ze studiami doktoranckimi.

Kazio, kiedy mu o tym powiedziałem, zapytał z wyraźną drwiną:

- A po co ci to?

Odparłem:

- Aby tacy jak ty zadawali takie pytanie.

Ale oczywiście w jakimś sensie Kazio miał rację. O ile pamiętam, w tamtych czasach jedynym doktorem wśród nie tylko dyrygentów lecz w ogóle muzyków, był Latoszewski. Skończył przed wojną prawo. Natomiast doktorzy muzykologii pozostawali na ogół na uniwersytetach, a tylko sporadycznie wykładali przedmioty teoretyczne w PWSM. Ale w latach siedemdziesiątych okazało się, że młodzi teoretycy po skończeniu I wydziału kompozycji, teorii i dyrygentury, nie mieli możliwości awansowania. Do tego aby zostać docentami, a tym bardziej profesorami, brakowało im właśnie doktoratu. Starsi, jak np. Sikorki, Szeligowski, Perkowski czy Rudziński dzięki swojemu dorobkowi kompozytorskiemu otrzymali tytuły profesorów. A młodsi musieli zadowolić się zaledwie stanowiskiem wykładowcy. Aby zaradzić tej krzywdzącej sytuacji, postanowiono otworzyć w warszawskiej PWSM studium doktoranckie.

Zajęcia rozpoczęły się w końcu października 75. Odbywały się raz w miesiącu w soboty i niedziele. Wykładowcami byli na ogół pracownicy naukowi Uniwersytetu Warszawskiego, o nader zróżnicowanym poziomie. Ale wśród nich było trzech, którym wiele zawdzięczam: Pelc i Hinc (nie wiem czy dobrze piszę ich nazwiska) oraz sam Tatarkiewicz. Już dla tych trzech profesorów warto było przez dwa lata jeździć do Warszawy. Tatarkiewicz w roku 75 miał już 89 lat. Był drobnej postury, zasuszonym staruszkiem, chodzącym drobnymi krokami przy pomocy laski. Od razu na pierwszym wykładzie poprosił, aby ewentualne pytania pisać na kartkach, ponieważ ma kłopoty ze słuchem. A wykłady wyglądały następująco: mówił cicho, spokojnie, nie posługując się żadnymi notatkami. Pierwsza połowa wykładu trwała bez przerwy około dwóch godzin. Potem spoglądał na zegarek i mówił – „Państwo jesteście zapewne już zmęczeni, piętnaście minut przerwy". A następnie wykładał kolejne dwie godziny. Nazwy dzieł i cytaty podawał w oryginalnych językach: np. Arystotelesa po grecku, Senekę po łacinie, Kanta po niemiecku, Kartezjusza po francusku. Byłem wstrząśnięty tą niewiarygodną pamięcią. Przy pierwszej sposobności zapytałem panią Manturzewską, jak to jest możliwe, aby stary człowiek dysponował taką pamięcią. Odpowiedziała, że jeśli ktokolwiek pracuje bez przerwy umysłowo, jego komórki nerwowe zachowują zdolność odradzania, chociaż nie w takiej ilości jak w młodym wieku. Ponadto ciągłe używanie pamięci powoduje, że jest nadal sprawna. Wszystko to rozumiałem, ale taka pamięć jaką dysponował Tatarkiewicz, budziła podziw. Nawet gdyby miał 20 czy 30 lat. Najzabawniejsze, że my, doktoranci nie znaliśmy tylu języków, a zwłaszcza greki i łaciny. Ale nikt się do tego nie przyznał. Obawialiśmy się reakcji starego profesora. Mógłby np. uznać, że nie można być doktorem nauk humanistycznych bez znajomości greki. I co wtedy? Miałem w swojej bibliotece dwa pierwsze tomy „Historii filozofii", ponieważ – jak mi mówiono – trzeci został wstrzymany przez cenzurę. Kiedy w latach siedemdziesiątych wydano wreszcie drukiem całość, sprawdziłem, co Tatarkiewicz takiego napisał o Marksie i Leninie, że naraził się cenzurze. Nigdzie, podobnie jak w całej „Historii filozofii", nie wartościował, opiniował, osądzał. Ale w porównaniu do prezentacji myśli i dzieł innych filozofów Marksowi, Engelsowi i Leninowi poświęcił bardzo mało miejsca. A o Stalinie w ogóle nie wspomniał. Przypuszczam, że był to „grzech" niewybaczalny. Na studium doktoranckim w PWSM Tatarkiewicz wykładał estetykę. Żałowałem, że tego, co mówił o znaczeniu piękna, nie słyszeli polityczni decydenci. Chociaż wątpię czy to by do nich dotarło.

Profesor Hinc wykładał historię filozofii. Mówił o największych myślicielach nie tylko z pasją, ale wręcz z miłością. Pamiętam, że jako jedyny „doktorant" w ciągu dwóch lat przygotowałem „na ochotnika" aż trzy referaty: o Baconie, Platonie i Kancie. Kiedy po zreferowaniu „Państwa", oświadczyłem, że Platon był faszystą, Hinc poprosił, abym nie używał współczesnych określeń w stosunku do myślicieli minionych epok. A po referacie o „Krytyce praktycznego rozumu" zapytał, ile dni zajęło mi przygotowanie. Zgodnie z prawdą powiedziałem, że około tygodnia. A na to Hinc westchnął i powiedział, że chciałby obcować przez tyle dni tylko z myślą Kanta. To zdanie utkwiło mi w pamięci.

A profesor Pelc był zupełnie inny. Miał niewiarygodnie precyzyjny sposób mówienia. Każde zdanie zawierało tylko niezbędne słowa. Wykładał logikę i metodologię. Kiedy na drugim roku zapytał, kto zaczął pisać pracę doktorską, okazało się, że tylko ja jeden miałem już napisany wstęp. Poprosił, abym przeczytał go na następnych zajęciach. Przez dwie godziny „maglował" mnie, domagając się objaśnienia niemal każdego zdania. „A co pan chciał przez to powiedzieć?" „A co pan miał na myśli?" „Dlaczego użył pan tego słowa?" – dopytywał się raz po raz. A ja musiałem wyjaśniać, tłumaczyć, „dookreślać", precyzować. Było to męczące, ale zarazem niezwykle pouczające. Zgodnie z zaleceniem pani Manturzewskiej, cytatów nie tłumaczyłem, ale podawałem w oryginalnym języku. Pelc od razu zapytał:

- Dlaczego pan nie tłumaczy?

Odpowiedziałem, że moja opiekunka naukowa stwierdziła, iż czytelnik rozprawy doktorskiej powinien znać obce języki. Pelc zastanowił się przez chwilę, a potem kiwnął aprobująco głową. Jedno jest pewne, po wykładach Pelca starałem się zmienić swój sposób mówienia i pisania. I chyba udało mi się to, przynajmniej w jakimś stopniu.

O ile pamiętam, uczestników studium było ponad dwadzieścia osób, mniej więcej w wieku trzydziestu lat. Ja przy nich byłem „staruszkiem". I jedynym muzykiem – wykonawcą. Poza mną wszyscy bowiem pracowali w szkołach muzycznych jako nauczyciele przedmiotów teoretycznych. Po paru miesiącach mogłem się przekonać, że z nielicznymi wyjątkami, poziom intelektualny doktorantów nie był zbyt wysoki. Nie wiem, ilu z nich po skończeniu studium otworzyło przewody, a tym bardziej ilu napisało pracę i zdobyło upragniony tytuł doktora. Ja w każdym razie zaliczyłem po dwóch latach wszystkie egzaminy, a nawet zdążyłem poza wstępem napisać także pierwszy rozdział. I zebrać bibliografię liczącą sto kilkadziesiąt przeczytanych pozycji. Na jesieni 1977 roku miałem opracować ankietę, wysłać ją do dyrygentów, przeprowadzić z paroma wybranymi bezpośrednie wywiady, przygotować plan całej rozprawy i zabrać się do pisania. Zamierzeń tych nie udało się zrealizować, ponieważ we wrześniu otrzymałem kolejną propozycję posady.

Zaskakująca propozycja

Od roku 1975 moja sytuacja finansowa znacznie się poprawiła. Współpraca z Operą Wrocławską, a potem z Teatrem Wielkim zapewniały mniej więcej stały, comiesięczny dochód. Przestałem już płacić alimenty na syna, ponieważ skończył studia. Ponadto zakupy moich utworów przez ministerstwo pozwoliły na zgromadzenie pewnej kwoty na książeczkach PKO, co zabezpieczało przeżycie na kolejny rok. Dodatkowo od jesieni 77 dyrygowałem gościnnie przedstawieniami w szczecińskiej operetce i miałem parę wykładów dla studentów politechniki. Pamiętam, że w jakimś miesiącu na 31 nocy,

15 spędziłem w wagonach sypialnych, jeżdżąc głównie między Szczecinem, Warszawą i Wrocławiem. Ale za to w miarę spokojnie mogłem myśleć o napisaniu pracy doktorskiej i z dystansem przyjmować informacje czy raczej plotki, o czekających na mnie posadach. Niektóre z nich były wręcz fantastyczne. Spróbuję przypomnieć najważniejsze. Stale trwały rozmowy o etacie dyrygenta w Operze Wrocławskiej i w Teatrze Wielkim. Odbyłem tych rozmów co najmniej kilkanaście przy okazji kolejnych przedstawień. Czasem były zupełnie luźne, a czasem przeciwnie – konkretne. Jednocześnie krążyły wieści, że ministerstwo ma mi zaproponować stanowisko dyrektora Teatru Wielkiego w Łodzi albo dyrektora Opery Bałtyckiej. Oczywiście uważałem te wieści za zwyczajne plotki. Najbardziej jednak nieprawdopodobnie brzmiała plotka, że mam zostać dyrektorem departamentu muzyki w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Parę lat później, kiedy już pracowałem w Wałbrzychu, w czasie gościnnego koncertu w Jeleniej Górze usłyszałem jeszcze bardziej fantastyczną plotkę, że lada dzień zaproponują mi stanowisko wiceministra! Skąd się brały tego rodzaju informacje – nigdy nie zdołałem się dowiedzieć. Natomiast zupełnie konkretne rozmowy prowadzono ze mną na temat objęcia stanowiska kierownika muzycznego w Warszawskiej Operetce. Podobnie jak i w Filharmonii Pomorskiej.

Jednocześnie „Pagart" co pewien czas pytał czy objąłbym posadę szefa orkiestry w Ghanie, wyjechał na koncerty do Meksyku itd. Na wszystkie te propozycje zawsze odpowiadałem, że jestem jak najbardziej zainteresowany. Choć coraz mniej wierzyłem w ich realność. Tym bardziej, że Wandzia zdradziła mi, iż któryś z dygnitarzy powiedział jej w zaufaniu, że poza znaną już „konfliktowością" uważano mnie za „niepewnego politycznie". Pomimo członkostwa w PZPR! Prawdopodobnie dlatego, że ośmielałem się głośno krytykować przeróżne błędy władz. Tak więc coraz bardziej byłem przekonany, że aż do emerytury będę żył z dorywczych występów w filharmoniach, operach czy operetkach. I że o kierowniczym stanowisku nie ma co marzyć.

We wrześniu 77 roku otrzymałem niespodziewanie list z Wałbrzyskiego Towarzystwa Muzycznego im. H. Wieniawskiego z siedzibą w Szczawnie Zdroju z zapytaniem czy podjąłbym się zorganizowania orkiestry kameralnej. Nie była to na tyle atrakcyjna propozycja, aby jechać na drugi koniec Polski i dlatego odpisałem, że chętnie porozmawiam z przedstawicielem WTM, jeśli przyjedzie do mnie do Szczecina. Na to otrzymałem kolejny list z informacją, że WTM jest tylko pośrednikiem, a rozmowy muszą odbyć się w wydziale kultury Urzędu Wojewódzkiego. Cóż było robić? Ustaliliśmy termin mojej wizyty w Wałbrzychu na 12 września. Pokój w hotelu „Sudety" miał być zarezerwowany od 11. Ze Szczecina wyjechałem pociągiem pośpiesznym „Wawel", przesiadłem się we Wrocławiu na lokalny pociąg i przed wieczorem wysiadłem na dworcu Wałbrzych Miasto. Na widok małego budynku i jednego zaledwie peronu, miałem ochotę natychmiast wracać. Był to irracjonalny odruch, z którego oczywiście natychmiast zrezygnowałem. O ile pamiętam, nigdy dotąd nie byłem w Wałbrzychu i nic o nim nie wiedziałem poza tym, że należy do miast górniczych i od 75 roku został stolicą nowo utworzonego województwa. Po wyjściu z dworca zapytałem pierwszego spotkanego przechodnia, jak dostać się do hotelu „Sudety". Powiedział, że to blisko, około 100 metrów i wskazał ręką kierunek. Istotnie, niebawem za rogiem ujrzałem duży 9-piętrowy nowy budynek, co od razu wpłynęło na poprawę wizerunku miasta. Kiedy meldując się prosiłem o pokój z łazienką, recepcjonistka z wyczuwalną w głosie urazą odparła – „U nas wszystkie pokoje są z łazienkami".

Następnego dnia rano pojechałem taksówką do biura WTM w Szczawnie. Tam przyjął mnie prezes i dwóch członków zarządu. Prezes, starszy pan prezentujący typ

prowincjonalnego działacza, przedstawił mi sytuację. Towarzystwo, korzystając z dotacji województwa, prowadziło półzawodową orkiestrę, złożoną bodajże z dwudziestu paru osób. W jej skład wchodzili głównie nauczyciele i uczniowie ostatnich klas szkoły muzycznej. Aby zagrać jakikolwiek koncert, np. z okazji święta państwowego, doangażowywano 10-15 muzyków z Wrocławia lub Zielonej Góry. Dyrygował przeważnie dyrektor szkoły muzycznej, który… nie był dyrygentem. Po akademii z okazji 1 Maja nowy I sekretarz KW powiedział, że chciałby, aby w Wałbrzychu powstała stała zawodowa orkiestra. W tamtych czasach życzenie I sekretarza było rozkazem. WTM zwróciło się do ministerstwa z prośbą o zaproponowanie kandydata. Dyrektor właściwego departamentu podał moje nazwisko, a nawet adres. Prezes WTM dodał, że ministerstwo obiecało „na początek" – o ile pamiętam – 10 czy 16 etatów.

Po wysłuchaniu tej relacji odpowiedziałem, że nie interesuje mnie ani taki skład zespołu, ani mało konkretne obietnice. Jeżeli miałbym podjąć się organizacji, to tylko instytucji o nazwie filharmonia z pełną orkiestrą symfoniczną. Prezes wyglądał na zaskoczonego i zmartwionego. Zaczął coś bąkać o prowincjonalnej „okryjbidzie", ale pozostali członkowie zarządu poparli moje stanowisko.

Tutaj muszę przerwać wspomnienia i przedstawić podstawowy problem, który wyłonił się teraz w czasie pisania tej książki. Posiadam trzy różne wersje tamtych wydarzeń, pomimo że wszystkie sam pisałem. W ogólnym zarysie są zgodne, co niewątpliwie świadczy o ich wiarygodności, tym niemniej występują pewne rozbieżności. Wynikają przede wszystkim z przeznaczenia. Pierwsza wersja to pamiętnik, w którym w tamtym czasie dzień po dniu notowałem najważniejsze sprawy. Przeznaczony był wyłącznie dla mnie; nie pisałem go z myślą o jakiejkolwiek publikacji. Ale relacje z wydarzeń są z konieczności skrótowe i przeplatane refleksjami z przeczytanych książek, wydarzeń politycznych i osobistych problemów. A tak się akurat fatalnie złożyło, że przeżywałem wtedy naprawdę poważny uczuciowy dramat. Trwające przez szereg miesięcy głębokie rozterki powodowały bezsenność, brak apetytu, zawroty głowy i doprowadziły do zaburzeń sercowych. Jak wynika z zapisów pamiętnika, już w Wałbrzychu, pod koniec września 78 zawieziono mnie do szpitala, gdzie lekarka po zbadaniu chciała mnie natychmiast zatrzymać na oddziale kardiologicznym. Ponieważ zdecydowanie odmówiłem, przepisała mi jakieś lekarstwa, w tym nitroglicerynę. W takiej sytuacji notatki w pamiętniku nie zawierają niestety wielu szczegółów, które utrwaliły się w mojej pamięci. Nie wiem jednak, po upływie tylu lat, czy są dokładne.

Druga wersja to publikacja w „Kronice Wałbrzyskiej" z roku 1981. Zatytułowałem ją „Fragmenty pamiętnika, który – gdyby został napisany – brzmiałby właśnie tak". Była to, choć ubrana w formę fikcyjnego dziennika, w miarę wierna relacja, choć z konieczności okrojona z uwagi na możliwości wydawnictwa i sytuację polityczną. Nie mogłem np. dokładnie zrelacjonować rozmowy z ministrem Józefem Tejchmą. Wprawdzie w roku 1981 nie kierował już resortem kultury, ale nadal był sekretarzem KC i… ministrem oświaty. Nie chciałem także skrzywdzić ludzi, którzy np. początkowo byli przeciwnikami powstania filharmonii, a potem zmienili zdanie. Lub na odwrót – ze zwolenników stali się na skutek prywatnych urazów – przeciwnikami.

I wreszcie ostatnia wersja: historia powstania filharmonii, którą napisałem w monografii na dwudziestopięciolecie. Uważałem, że nie wypada eksponować swojej osoby i dlatego często używałem liczby mnogiej: „zdecydowaliśmy" czy „zrobiliśmy" oraz takich zwrotów jak: „postanowiono" lub „załatwiono". A w rzeczywistości to ja sam decydowałem, robiłem,

postanawiałem, załatwiałem. Myślę, że w tej książce powinienem przedstawić wreszcie taką relację tamtych wydarzeń, która będzie kompletna i zgodna z faktami. Z zastrzeżeniem, że oparta została przede wszystkim na mojej pamięci.

Wracam zatem do relacjonowania owego spotkania w WTM w dniu 12 września 77 roku. Zdezorientowany prezes oświadczył, że jest tylko pośrednikiem i nie ma upoważnienia do zmiany warunków ministerstwa, a tym bardziej podejmowania decyzji. Pozostali członkowie zarządu doradzili, aby powiadomił o zaistniałej sytuacji dyrektora wydziału kultury Urzędu Wojewódzkiego. Prezes skwapliwie skorzystał z rady i co prędzej zatelefonował. Przekazał pokrótce moje stanowisko. Dyrektor poprosił, aby natychmiast przyjechał ze mną do wydziału. Później wielokrotnie przekonałem się, że zaletami tego dyrektora, który nazywał się Stanisław Kawczak, były: szybkość podejmowania decyzji, odwaga i szerokość spojrzenia. Niestety miał zbytnią skłonność do częstego nadużywania alkoholu. Na skutek tego zdjęto go po pewnym czasie ze stanowiska, co niewątpliwie było stratą dla Wałbrzycha. W każdym razie dopóki był dyrektorem, zawsze mogłem liczyć na jego zrozumienie, poparcie i pomoc.

Kawczak przyjął nas w towarzystwie swego zastępcy. Przedstawiłem, tym razem szerzej, swoje stanowisko. Nie żadna kilkunastoosobowa orkiestra kameralna, ale instytucja o nazwie filharmonia z wielką 70-osobową orkiestrą symfoniczną, różnymi zespołami i działem tzw. upowszechniania, zajmującym się audycjami szkolnymi. Zauważyłem zabawną reakcję Kawczaka. Widać było, że nie miał żadnego pojęcia o muzyce, instytucjach artystycznych itp., ale z drugiej strony podobał mu się rozmach mojej propozycji. Po paru dodatkowych pytaniach powiedział, że powołanie orkiestry było inicjatywą I sekretarza KW, wobec tego decyzję może podjąć wyłącznie upoważniona przez niego towarzyszka Danuta Mika, sekretarz propagandy, która odpowiadała za sprawy kultury. Znałem ten skądinąd nienormalny układ. Strukturze administracji państwowej odpowiadała mniej więcej podobna struktura partyjna: minister kultury – kierownik wydziału kultury KC, dyrektor wojewódzkiego wydziału kultury – instruktor do spraw kultury KW itd. A sekretarz propagandy odpowiadał wicewojewodzie, któremu podlegała oświata, kultura, służba zdrowia itp. Z tym, że funkcjonariusz w aparacie partyjnym był ważniejszy od swego odpowiednika w administracji. I tak np. to I sekretarz KW wydawał polecenie wojewodzie, a nie na odwrót! Było to dublowanie kompetencji, które paraliżowało działanie administracji państwowej. Ale prawdą jest także, że często skutecznie naprawiało błędy tej administracji. Ja sam kilkakrotnie dzięki bezpośredniej osobistej interwencji mogłem załatwić różnym ludziom ważne dla nich sprawy, których ociężała biurokracja nie potrafiła rozwiązać. Identycznie było z filharmonią. Gdyby nie paru dygnitarzy partyjnych, najpierw w Wałbrzychu, a potem także w Warszawie – biurokraci w ministerstwie z Tejchmą na czele nie dopuściliby do jej powstania. Opiszę to niebawem ze szczegółami.

Kiedy Kawczak przedstawił Mikowej przez telefon sytuację, ta powiedziała, że nie może mnie przyjąć, gdyż właśnie wyjeżdża – jak to się mówiło – w teren i wróci dopiero późnym wieczorem. Zaproponowała, aby poprosić mnie o pozostanie w Wałbrzychu przez noc i wówczas następnego dnia przed południem moglibyśmy się wszyscy spotkać. Wyraziłem zgodę. Przedłużono rezerwację pokoju w hotelu, zawiadomiłem telefonicznie żonę, że zostaję o dzień dłużej i na tym zakończyliśmy rozmowę. A kiedy już wychodziliśmy z gabinetu, Kawczak zatrzymał mnie jeszcze na parę minut. Kiedy zostaliśmy sami, tłumacząc się gęsto poprosił, abym opowiedział mu o sobie, dotychczasowej pracy i osiągnięciach. Omal nie wybuchnąłem śmiechem. Dyrektor wydziału kultury, człowiek po wyższych

studiach, nie uznał za stosowne zainteresować się wcześniej, kim był kandydat ministerstwa na stanowisko dyrektora orkiestry, która miała powstać w Wałbrzychu i obejmować swoim działaniem całe województwo. Powstrzymując jednak rozbawienie, pokrótce przedstawiłem moją różnorodną działalność. Zauważyłem, że nie spodziewał się, że ktoś z takimi – pożal się Boże – osiągnięciami zgodziłby przenieść się do Wałbrzycha.

Rozmowa w KW

Po dwóch opisanych przeze mnie rozmowach w dniu 12 września 77, następnego dnia odbyło się spotkanie, które zadecydowało o powstaniu filharmonii w Wałbrzychu. Uczestnicy tego ważnego spotkania zapamiętali inne – jak to zwykle bywa – szczegóły. Dla mnie istotne było, że po dłuższej argumentacji towarzyszka sekretarz przyjęła w całości moją koncepcję. Zdając sobie sprawę, że nikt z obecnych (poza Mikową byli jeszcze: Kawczak i jego zastępca oraz prezes WTM Grzejszczyk) nie orientuje się w zagadnieniach muzyki, szeroko wyjaśniłem czym są filharmonie. Tłumaczyłem, że w Polsce funkcjonowało – o ile pamiętałem – 17 muzycznych instytucji noszących nazwę Państwowa Filharmonia. Tylko one prowadziły pełną działalność koncertową i upowszechnieniową, jak to się wtedy nazywało. Żaden ambitny młody człowiek, a tylko z takich można stworzyć dobra orkiestrę symfoniczną, nie opuści dużego ośrodka, w którym kończył studia i nie przeniesie się do orkiestry kameralnej towarzystwa muzycznego w małym Wałbrzychu. Ponadto repertuar orkiestry kameralnej opiera się głównie na muzyce barokowej i klasycznej, mniej atrakcyjnej dla niewyrobionego słuchacza. Byłem tak przejęty swoim wystąpieniem, że zerwałem się z fotela, na którym siedziałem i zacząłem spacerować po całym gabinecie, podkreślając gestami swoje słowa.

Znacznie później Mikowa w jakimś wywiadzie powiedziała pół żartem, pół serio: „Jak mogliśmy odmówić towarzyszowi Wiłkomirskiemu? Biegał po moim gabinecie, krzycząc i wymachując rękami. Całkiem nas oszołomił".

Kawczak pamiętał długie wywody i żartobliwie przyznał, że połowy z nich i tak nie rozumiał. Mnie zaś utkwiła w pamięci pasja, z którą mówiłem. I świadomość, że w gabinetach dygnitarzy petenci na ogół mówią cicho i pokornie.

Kiedy skończyłem, Mikowa spokojnie zapytała:

- A co wam, towarzyszu, będzie potrzebne, aby zrealizować to, o czym mówiliście?

Odparłem od razu, ponieważ na takie pytanie byłem przygotowany.

- Odpowiednia sala, 70 mieszkań, instrumenty, około 100 etatów. No i pieniądze.

Zapadła cisza. Wszyscy czekali na to, co powie Mikowa. Ona zaś poczekała aż usiądę i powiedziała zdecydowanym głosem:

- Przyjmujemy waszą koncepcję. Powołamy w Wałbrzychu filharmonię.

Żałowałem, że ta scena nie została sfilmowana. Grzejszczyk spojrzał na Mikową z niedowierzaniem i wyraźnym osłupieniem. Na twarzy Kawczaka pojawił się uśmiech. Zrozumiałem, że jemu, jako odpowiedzialnemu za kulturę w nowym województwie, zależało na powstaniu filharmonii. Ja również nie kryłem zadowolenia. A Mikowa powiedziała do Kawczaka:

- Stasiu, poproś sekretarkę, aby wezwała do mnie natychmiast wiceprezydenta. (Tu wymieniła nazwisko, którego dzisiaj nie pamiętam. Podlegały mu, jak się potem domyśliłem, sprawy mieszkaniowe).

Kawczak spełnił polecenie. Czekając na przyjazd wiceprezydenta, zadawano mi pytania na temat zakupu potrzebnych instrumentów, sposobu werbowania muzyków, układania repertuaru itd. Mikowa zdecydowała również, że po zakończeniu rozmowy obejrzę różne sale, które po adaptacji mogłyby się nadać dla potrzeb filharmonii.

Zjawił się zadyszany wiceprezydent. To jeszcze jeden przyczynek do nienormalnej sytuacji, możliwej tylko w systemie autorytarnym. Choć w tym przypadku ta nienormalność była korzystna. Mikowa przedstawiła mnie wiceprezydentowi, a kiedy wszyscy usiedli, powiedziała po prostu:

- Towarzyszu, postanowiliśmy powołać w Wałbrzychu filharmonię i będziemy potrzebować mieszkań.

Wiceprezydent otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale zanim zdążył wykrztusić choćby jedno słowo, usłyszał:

- Potrzeba 70 mieszkań w ciągu dwóch lat.

I znowu żałowałem, że nie można było sfilmować twarzy biednego wiceprezydenta. A Mikowa mówiła dalej:

- Na pewno dacie radę. Będziecie mieli nasze poparcie. Bądźcie w kontakcie z towarzyszem Wiłkomirskim.

I wstała na znak, że rozmowa skończona. Zaraz potem obejrzałem bodajże dwie czy trzy sale w centrum miasta. Tylko jedna nadawała się jako tako na filharmonię. Było to kino „Polonia". Ponad trzysta miejsc, malutka estrada i brak zaplecza. Ale ja wywnioskowałem po próbach z głosem i klaskaniem, że sala miała wyjątkowo dobrą akustykę. Rozstałem się z Kawczakiem po uzgodnieniu, co kto z nas będzie teraz robił. Ja miałem przygotować wstępny preliminarz i zakres adaptacji sali, a on przeprowadzić rozmowy z ministerstwem, od którego zależała ostateczna decyzja. Raz jeszcze przypominam, że w tamtych czasach pomimo częściowej decentralizacji, wszystkie instytucje artystyczne były finansowane centralnie. Ministerstwo decydowało nie tylko o wysokości dotacji, ale także ustalało liczbę etatów i tzw. limity, tzn. podział pieniędzy na poszczególne paragrafy. I co najważniejsze, tylko ministerstwo mogło powołać nową instytucję artystyczną.

Dalsze rozmowy

Po spotkaniu w KW wróciłem do Szczecina. I czekałem. Raz po raz telefonował Kawczak, informując mnie o mizernych wynikach rozmów z ministerstwem. Nawet wyjazd delegacji Urzędu Wojewódzkiego niewiele zmienił. Dyrektorzy departamentu finansowego i merytorycznego (chyba nazywał się Teatrów, Oper i Filharmonii, a może jeszcze inaczej) twardo stali na stanowisku, że przy trudnościach gospodarczych i ekonomicznych państwa, nie ma szans na powołanie i finansowanie nowej filharmonii. Na skutek prośby Urzędu Wojewódzkiego minister kultury i sztuki, Józef Tejchma, zgodził się przyjąć mnie na prywatnej audiencji. A kim był ten minister? Wieloletni działacz partyjny, zajmujący się – o ile pamiętam – rolnictwem. Awansując, został wreszcie sekretarzem KC, wicepremierem, a nawet członkiem Biura Politycznego, czyli jednym z kilkunastu ludzi rządzących krajem. I na „dokładkę" piastował jeszcze stanowisko ministra kultury i sztuki. Zupełnie nie rozumiałem takiej polityki kadrowej. Czy rzeczywiście aż tak brakowało posłusznych i zaufanych członków PZPR, że jeden człowiek zajmował parę kierowniczych stanowisk? I w dodatku nie mając najmniejszego pojęcia np. o kulturze? A swoją drogą byłoby ciekawe

dowiedzieć się czy brał osobne pensje za każdą z tych posad. Natomiast w efektywność pracy na tylu „stołkach" trudno mi uwierzyć.

W sobotę, 15 października otrzymałem telefoniczną wiadomość od dyrektora Gabinetu Ministra, że rozmowa z Tejchmą odbędzie się we wtorek, 18 o godz. 17 w Urzędzie Rady Ministrów przy al. Ujazdowskich. W niedzielę na noc wyjechałem do Warszawy. W poniedziałek dyrektor departamentu ekonomicznego ministerstwa potwierdził w rozmowie ze mną, że nie podpisze wniosku o powołanie nowej filharmonii, która ma kosztować według kosztorysu nadesłanego przez Urząd Wojewódzki w Wałbrzychu 9 000 000 zł. We wtorek rano złożyłem wizytę dyrektorowi departamentu, któremu podlegały wszystkie instytucje artystyczne. Zapomniałem zarówno nazwy tego departamentu jak i nazwiska dyrektora. Już w czasie wcześniejszych kontaktów zauważyłem, że nie tylko nie ma pojęcia, czym jest kultura, ale chyba także uważa ją za coś zbędnego! Ciekawe czy bywał na koncertach i przedstawieniach teatralnych. W tamtej wtorkowej rozmowie zapewniał mnie, że w zasadzie jest za stworzeniem orkiestry (nie użył słowa „filharmonia") w Wałbrzychu, ale z powodu trudności ekonomicznych nie od razu. Dlatego proponuje etapowe organizowanie zespołu, rozłożone na parę lat. Na moje pytanie, jak sobie to konkretnie wyobraża, odparł: „W tym roku pan i kwartet". Aby nie wybuchnąć gniewem lub śmiechem, wstałem i pożegnałem się z nim, mówiąc krótko „do widzenia".

Przed godziną 17 zjawiłem się w biurze przepustek Urzędu Rady Ministrów. Przepustka była już przygotowana, a na moje spotkanie wyszedł oficer, którego mundur ozdabiały liczne srebrne sznury, i zaprowadził mnie do sekretarki Tejchmy. Zostałem przyjęty punktualnie. Tejchma poświęcił na rozmowę aż godzinę, w czasie której przeważnie ja mówiłem. Zacząłem od tłumaczenia, dlaczego w Wałbrzychu powinna powstać duża orkiestra symfoniczna, a nie mały zespół kameralny. Miałem w głowie przygotowaną „przemowę". Patrząc – co dobrze pamiętam – prosto w oczy dygnitarza, z poważną miną powiedziałem porozumiewawczym tonem:

- Towarzysz premier i ja wiemy, że muzyka Vivaldiego i Mozarta, przeznaczona na mały zespół kameralny jest genialna, ale klasa robotnicza, wałbrzyscy górnicy potrzebują muzyki romantycznej Moniuszki lub Czajkowskiego. A do jej wykonania niezbędna jest duża orkiestra symfoniczna.

Dygnitarz nie odwrócił wzroku, ale mogłem zauważyć po wyrazie twarzy, że nie bardzo wie, dlaczego muzyka Vivaldiego i Mozarta jest genialna. A może w ogóle nie wiedział, kim byli ci kompozytorzy?

Aby pokazać, że jest „zorientowany", Tejchma zadał pytanie skąd wezmę muzyków. Odpowiedziałem, że chcę stworzyć młodą orkiestrę i oprę się głównie na absolwentach wyższych szkół muzycznych. A Tejchman na to, że na pewno będę „kaperował". Odparłem, że nie można nazwać „kaperowaniem" stwarzania młodym ludziom warunków do życia i pracy. Wreszcie dygnitarz powiedział konfidencjonalnym tonem:

- Wiecie, towarzyszu dyrektorze, mamy teraz w kraju poważne problemy finansowe. Rok 1978 będzie bardzo trudny, ale następny rok zapowiada się dużo lepiej. Miałem ochotę zapytać, na jakiej podstawie towarzysz premier tak twierdzi, ale oczywiście zdołałem się powstrzymać i czekałem na konkluzję.

- Zaczekajcie więc z założeniem dużej orkiestry jeszcze jeden rok.

I dodał:

- Zresztą zastanowimy się i damy znać do wydziału kultury.

Dali znać po paru tygodniach, że na rok 1978 dadzą aż cztery etaty: dyrektora,

sekretarki, księgowej i organizatora przyszłej orkiestry. W wyniku dalszych pertraktacji, o których dowiadywałem się przez telefon, „wytargowano" dodatkowo 18 etatów na orkiestrę kameralną. Miałem już dość tego oczekiwania, zmian, niepewności. Zawiadomiłem Kawczaka, że albo rozpocznę 1 grudnia prace nad zorganizowaniem w przyszłym roku filharmonii, albo rezygnuję w ogóle z przyjazdu do Wałbrzycha. Mogłem sobie na to pozwolić, ponieważ stała współpraca ze szczecińską operetką, którą podjąłem we wrześniu, zapewniała mi dochód na skromną egzystencję. Miałem również zaplanowane koncerty w Bydgoszczy i Krakowie. Nadal otwarta była możliwość stałego zatrudnienia w Operetce Warszawskiej na stanowisku kierownika muzycznego.

Kawczak odpowiedział, że Urząd Wojewódzki będzie jeszcze próbował wpłynąć na zmianę decyzji ministerstwa i że już ustalono termin wizyty wojewody u Tejchmy. W związku z tym prosi, abym od 1 grudnia rozpoczął pracę w Wałbrzychu jako dyrektor przyszłej filharmonii. Zamieszkałem w hotelu i wziąłem się do roboty. Dowiedziałem się, że ministerstwo przyznało dwie odrębne dotacje: jedną dla WTM w wysokości 1 200 000 zł na orkiestrę kameralną (za mało) i drugą dla przyszłej instytucji na owe cztery etaty administracyjne – 750 000 zł (o wiele za dużo). Takie pomyłki nie powinny mieć miejsca. Ponadto Wydział Kultury miał dołożyć WTM-owi jeszcze 1 100 000 zł na fikcyjne koncerty, tak więc łącznie dysponowałbym w roku 78 kwotą trzech milionów złotych. Za dużo na działalność orkiestry kameralnej i za mało na zorganizowanie filharmonii. W takiej absurdalnej sytuacji poprosiłem o rozmowę z I sekretarzem KW, aby wreszcie podjął ostateczną decyzję. A tymczasem pracowałem tak intensywnie, jak chyba nigdy dotąd. Czułem otaczającą mnie życzliwość i autentyczne zaangażowanie grona ludzi na wyższych i niższych stanowiskach. Było widać, że naprawdę chcą doprowadzić do powstania filharmonii. Jak wynika z moich codziennych notatek w pamiętniku, nie miałem nie tylko własnego pokoju, ale nawet biurka. Pisałem w kącie sekretariatu wydziału kultury, siedząc na krześle przy małym stoliku. Ale każde pismo, które dyktowałem sekretarce, Kawczak natychmiast podpisywał. Dziennie miałem po parę spotkań. Podobnie jak pisma dotyczyły przesłuchań muzyków, przydziałów mieszkań, załatwienia tymczasowych kwater, anonsów do prasy, poszukiwania instrumentów, nut, pulpitów, adaptacji sali itd. Zapomniałem o swoich osobistych problemach i wieku; miałem już przecież 51 lat. A ministerstwo nadal wyszukiwało coraz to nowe przeszkody.

12 grudnia w towarzystwie Mikowej i zastępcy Kawczaka odbyłem decydującą – jak się okazało – ostateczna rozmowę. I sekretarz KW, Jerzy Grochmalicki, wysłuchał relacji zastępcy Kawczaka, poczem spojrzał na mnie wyczekująco. Przytaczam teraz niemal dosłownie treść poszczególnych wypowiedzi, ponieważ można bez specjalnej przesady stwierdzić, że dla kultury wałbrzyskiej to spotkanie miało historyczne znaczenie. Nawiązując do relacji zastępcy dyrektora wydziału kultury, powiedziałem z goryczą:

- Tak więc nie będzie filharmonii w Wałbrzychu.

A Grochmalicki z prawdziwym albo udawanym spokojem zapytał:

- Dlaczego?

Zdziwiony tym pytaniem, wyjaśniłem tonem pełnym rezygnacji:

- Bo nie będzie pieniędzy.

Na to Grochmalicki uśmiechnął się i nie zmieniając natężenia głosu, powiedział:

- Towarzyszu dyrektorze, pieniądze to nie wasza sprawa. Wy macie zorganizować filharmonię, a o pieniądze to my się będziemy starać.

Na pytające spojrzenie Mikowej, odparł z niezmiennym spokojem:

- Jak towarzysz Tejchma i tym razem odmówi, znajdę inne sposoby, aby powołać filharmonię.

I wyjaśnił:

- Jak będzie chciał, oddam państwu 300 etatów z gospodarki w zamian za etaty dla orkiestry.

Brzmiało to niemal jak: „My, z Bożej łaski, władca…". I znowu pomyślałem, jak ta „nienormalność" autorytarnego państwa może być czasami, choć nader rzadko, wykorzystana dla dobra kraju.

A potem Grochmalicki polecił sekretarce, aby go połączyła telefonicznie z wojewodą Antonim Trembulakiem. Kiedy otrzymał połączenie, w obecności nas wszystkich powiedział równie spokojnie, krótko i rzeczowo:

- Antoś, wysyłam do ciebie dyrektora Wiłkomirskiego. Załatw wszystko, o co cię poprosi. Dziękuję.

Kazał przygotować dla mnie samochód i pojechałem do gmachu Urzędu Wojewódzkiego. Wojewoda czekał już na mnie i wysłuchał z nieukrywaną ciekawością moich postulatów. Nie wyraził – co dokładnie pamiętam – żadnych obiekcji. Obiecał, że załatwi wszystkie sprawy niezbędne do powołania przyszłej filharmonii. I rzeczywiście. W ciągu paru dni otworzył w Narodowym Banku konto dla instytucji, której oficjalnie nie było. Jak tego dokonał – do dzisiaj nie wiem. A z dniem 9 stycznia 1978 roku powołał nowe państwowe przedsiębiorstwo pod nazwą „Filharmonia Wałbrzyska w organizacji" Był to prawny wybieg, który uniemożliwił ministerstwu jakikolwiek sprzeciw. Muszę jeszcze dodać, że przez cały rok 78 wojewoda przelewał na konto tyle pieniędzy, ile potrzebowałem, nigdy nie kwestionując celowości i wysokości wydatkowanych sum. Prawdą jest jednak, że starałem się oszczędnie gospodarować pieniędzmi.

I tak zaczęła się moja druga i ostatnia praca na dyrektorskim „stołku". I zapewne najważniejsza.

Rozdział XXXI

WAŁBRZYCH – SZKOŁA MUZYCZNA

Kiedy przeglądam notatki z mojego dziennika z przełomu lat 77/78, trudno mi uwierzyć, że mogłem pracować aż tak intensywnie, mając – bądź co bądź – powyżej pięćdziesiątki. Nie lepiej było w latach 78 i 79. W dzienniku notowałem co pewien czas rozkład zajęć. I tak np. próba w filharmonii, zebranie, dalszy ciąg próby, jazda do szkoły tylko w celu podpisania jakichś pilnych dokumentów, powrót do filharmonii na koncert szkolny, ponowna jazda do szkoły na radę pedagogiczną, która kończy się późnym wieczorem. Albo nocna podróż do Warszawy, tam załatwianie różnych spraw w ministerstwie, CHPM, „Pagarcie", rozmowy w jakiejś szkole i Filharmonii Narodowej na temat zakupu starych instrumentów, powrót nocą do Wałbrzycha, rano próba, potem narada w KW, jazda do szkoły, lekcja psychologii, rozmowy ze skłóconymi nauczycielami. Itd. itd. Albo po sześć i więcej koncertów w ciągu kolejnych dni przy normalnych zajęciach w filharmonii i szkole. Czytając teraz rozkłady zajęć, nie wierzyłem własnym oczom. Jak to było możliwe? Raz po raz powtarzają się takie słowa jak: walczyłem, załatwiałem, ratowałem, naprawiałem, godziłem, interweniowałem, agitowałem itd. Z opisu tych zmagań można by stworzyć niemal sensacyjny scenariusz. Ponadto znajduję w notatkach informacje o brakach w zaopatrzeniu w najprostsze produkty żywnościowe. A przecież musiałem coś jeść „w biegu". Do tego często pękały rury, brakowało wody, wyłączano ogrzewanie. Jak sobie dawałem radę, będąc zupełnie sam – doprawdy nie wiem.

Propozycja

Szkoła Muzyczna w Wałbrzychu była jedną z pierwszych na Dolnym Śląsku i zapewne pierwszą w ogóle placówką muzyczną w tym mieście. Po różnych zmianach przyjęła nazwę Państwowa Szkoła Muzyczna I i II stopnia im. Stanisława Moniuszki. Mieściła się przy ulicy Moniuszki w trzech budynkach w dużym ogrodzie otoczonym wysokim murem. Główny budynek był piękną I-piętrową willą z niewielką salą. Do czego służyła Niemcom – nie wiem. Przy nim stał dobudowany już po wojnie niewielki budynek, w którym znajdowały się pomieszczenia biurowe. A w głębi ogrodu jeszcze trzeci budynek przeznaczony na dodatkowe klasy.

Jak już pisałem, nauczyciele szkoły stanowili trzon działającej od paru lat Społecznej Orkiestry Symfonicznej, no i stanowili większość członków Towarzystwa Muzycznego im. H. Wieniawskiego. Nauczycieli mieszkających w Wałbrzychu było zbyt mało, aby zabezpieczyć wszystkie potrzeby kadrowe szkoły i dlatego musiała korzystać z osób dojeżdżających z Wrocławia. O tym wszystkim dowiedziałem się w ciągu pierwszych tygodni pracy. Jak również o fatalnej atmosferze w samej szkole i wokół niej. Kłótnie,

intrygi, plotki, donosy podrywały opinię szkoły i wpływały negatywnie na nabór uczniów do i klasy. Ostatni dyrektor, zresztą wrocławianin, zrezygnował na wiosnę 77 i jego obowiązki przejęła dotychczasowa zastępczyni, ucząca gry na flecie.

Zupełnie niespodziewanie w pierwszych dniach stycznia 78 władze zaproponowały mi objęcie stanowiska dyrektora Szkoły Muzycznej. Oczywiście było to dla mnie całkowite zaskoczenie. Przecież te same władze zleciły mi zorganizowanie filharmonii i wiedziały, ile to pochłania czasu i energii, nie wspominając o pracy koncepcyjnej. Propozycja postawiła mnie w trudnej sytuacji. Mogłem od razu odmówić, tłumacząc, że do czasu zakończenia prac budowlano - adaptacyjnych, skompletowania orkiestry i zdobycia instrumentów – jest to po prostu niemożliwe. Nawet dwudziestolatek w pełni sił nie podołałby takiej ilości różnych działań. A ja miałem już ponad pięćdziesiąt. Byłem pewien, że władze zrozumiałyby moją odmowę. Z drugiej jednak strony znalezienie odpowiedniego dyrektora w środku roku szkolnego było niezwykle trudne.

Po krótkim namyśle zapytałem, dlaczego dotychczasowa p.o. dyrektorka nie może pozostać. Ma przecież doświadczenie pedagogiczne i organizacyjne. Usłyszałem wówczas, że właśnie ta osoba nie może dłużej pełnić kierowniczego stanowiska. Nie może nawet być wicedyrektorem. Pomimo niewątpliwych zalet takich jak energia, pomysłowość, inteligencja. Okazało się, że to ona, a właściwie jej charakter i postępowanie są główną przyczyną intryg, plotek i całej złej atmosfery w szkole i wokół niej. To, co usłyszałem, oparte było na wiarygodnych dokumentach i informacjach.

Znowu zacząłem intensywnie myśleć. Jeśli odmówię, władze prawdopodobnie nie będą miały pretensji. Ale niewykluczone, że będą miały żal, iż im nie pomogłem w krytycznej sytuacji. Jeśli natomiast przyjmę propozycję, staną się moimi „dłużnikami". A to będę mógł wykorzystać dla dobra przyszłej filharmonii. Po prostu władze nie będą mogły odmówić moim prośbom. Zyskam sojuszników i protektorów.

Przedstawiciele władz, którzy ze mną rozmawiali, ze zrozumieniem czekali w milczeniu na moją decyzję. Była trudna i niosła ze sobą ryzyko, że po prostu nie wytrzymam fizycznie i psychicznie takiego obciążenia, napięcia, poczucia odpowiedzialności. Rachunek „za" i „przeciw" miał wiele niewiadomych. Co będzie, jeśli zajęty tworzeniem filharmonii nie zdołam uzdrowić atmosfery w szkole i nadać jej rozwojowego kierunku? Ostatecznie nigdy nie pracowałem etatowo jako nauczyciel i nie znałem mechanizmu funkcjonowania szkoły muzycznej. A tym bardziej obowiązków dyrektora. I odwrotna sytuacja: a co się stanie, jeśli czas poświęcony szkole doprowadzi do zaniedbań w tworzeniu filharmonii, opóźni prace budowlane itd.? I zawiodę oczekiwania władz, które wbrew opinii ministra zaryzykowały wydawanie państwowych pieniędzy? Oto prawdziwy dylemat.

W czasie tych rozważań uświadomiłem sobie nagle, że przecież nie mam żadnego biura, a nawet własnego pokoju, co w znacznym stopniu utrudniało moją pracę. Natomiast jako dyrektor szkoły będę dysponował paroma pomieszczeniami biurowymi, gabinetem, adresem i telefonami. Myślę dzisiaj, że właśnie ta świadomość możliwości normalnego urzędowania przeważyła. Powiedziałem: „zgoda". Nie zapomnę wyrazu ulgi na twarzach moich rozmówców, uśmiechów, uścisków dłoni.

Już następnego dnia dyrektor wydziału kultury przedstawił mnie pracownikom szkolnej administracji i tak zaczęło się moje „podwójne" życie, wypełniające czas od rana do wieczora. Trwało ponad trzy lata, do końca roku szkolnego 1980/81.

Pierwsze działania

Chcąc udowodnić sobie, a przy okazji innym, że potrafię być dyrektorem szkoły muzycznej, zaplanowałem od razu szereg działań. Po pierwsze przebudowałem biuro. Poprzedni dyrektor, aby mieć swobodę, zlikwidował drzwi pomiędzy gabinetem a sekretariatem. Pozostawił tylko drzwi prowadzące bezpośrednio na korytarz. W ten sposób mógł przyjmować gości bez wiedzy sekretarki. Ale według mnie brak stałego kontaktu z sekretariatem nie był słuszny. Dlatego od razu kazałem wybić otwór w ścianie pomiędzy gabinetem a sekretariatem i umieścić tam drzwi, wyjęte z korytarza. A otwór pomiędzy gabinetem a korytarzem zamurować. Drobna rzecz, ale istotna, która – jak się później dowiedziałem - została przychylnie oceniona przez nauczycieli i uczniów, a przede wszystkim pracowników biura. Po drugie wydałem polecenie, aby najlepsi uczniowie ostatnich klas dawali regularne koncerty w klubach i świetlicach. I sam je jako prelegent prowadziłem. Zajęła się tym dotychczasowa p.o. dyrektorka. Dzięki temu wykorzystałem jej energię i znajomości, a także załagodziłem ewentualne poczucie krzywdy. Akcja koncertowa była sprawna, a była dyrektorka znowu stała się kimś ważnym. I co istotne, nie walczyła przeciwko mnie. Po trzecie postanowiłem uzdrowić fatalną atmosferę wśród nauczycieli, głównie klas fortepianu. Szkoła to swoisty mały światek, wyodrębniona grupa społeczna. Działają w niej podobne mechanizmy jak w dużych społecznościach. Zetknąłem się z tym po raz pierwszy. Większość nauczycielek klas fortepianu skończyła wałbrzyską szkołę, potem wrocławską PWSM i wróciła do Wałbrzycha. Już nie jako uczennice, lecz nauczycielki. Powychodziły za mąż, założyły rodziny. Jak mi opowiadano, początkowo były przyjaciółkami. Spotykały się nie tylko w pracy, ale także prywatnie. I jak to często bywa, w pewnym momencie jakiś błahy incydent doprowadził do konfliktu. A że po latach przyjaźni wszystko o sobie nawzajem wiedziały, zaczęły się plotki, intrygi, obmowy. A nawet donosy do władz.

Postanowiłem z tym skończyć. Zorganizowałem specjalne zebranie tylko dla nauczycielek fortepianu. Pozwoliłem im mówić, ale wkrótce dyskusja zmieniła się we wzajemne oskarżenia. A potem zaczęły padać wyzwiska. Wtedy przerwałem tę gwałtowną wymianę zdań i wyjątkowo ostro stwierdziłem, że panie mają prawo wzajemnie się nie lubić. Jeśli jednak swoje animozje zaczną wynosić na zewnątrz, a w samej szkole zacznie to przeszkadzać w pracy – wyciągnę konsekwencje służbowe. Miałem tę przewagę, że ani jednej z nauczycielek przedtem nie znałem i nie byłem związany z żadną grupą. Jak mi się wydawało, po tym spotkaniu antagonizmy osłabły i ogólna atmosfera w gronie pedagogów uległa nieznacznej poprawie.

Po czwarte postanowiłem utworzyć dwie nowe szkoły: muzyczną podstawową i ogólnokształcącą i muzyczne liceum. Niezorientowanemu czytelnikowi wyjaśniam, że w obowiązującym w tamtych czasach systemie nauka w szkołach muzycznych mogła odbywać się wyłącznie w godzinach popołudniowych. Przedpołudnia zajmowały lekcje w szkołach ogólnokształcących. Biedne dzieci prosto z jednej szkoły biegły do drugiej, po drodze w pośpiechu jedząc byle co. Obiad mogły zjeść dopiero wieczorem. A kiedy odrabiać lekcje? Ćwiczyć na instrumencie? Przygotować się do egzaminów? W tej sytuacji od wielu lat w dużych miastach powołano do życia placówki oświatowe nowego typu, łączące program szkoły ogólnokształcącej z muzyczną, zarówno na poziomie podstawowym jak i licealnym. Ułatwiało to w znacznej mierze pogodzenie różnych obowiązków szkolnych, tym bardziej,

że nauczyciele przedmiotów ogólnokształcących mieli na ogół zrozumienie dla priorytetu zajęć muzycznych w tego typu placówkach oświatowych. Jednak w przypadku Wałbrzycha powołanie do życia nowych szkół wymagało nowego budynku, dodatkowych nauczycieli, instrumentów, no i oczywiście zgody władz. Udało się to zrealizować w ciągu dwóch lat.

Po piąte rozpocząłem starania o powołanie w Wałbrzychu filii wrocławskiej PWSM. Wszystkie te działania wymagały podróży do Wrocławia i Warszawy oraz odbywania mnóstwa rozmów na różnych szczeblach. Jak znajdowałem na to wszystko czas i siły – nie wiem. Ale udało mi się zainteresować wielu ludzi i pomimo rozmaitych oporów znaleźć poparcie dla moich pomysłów.

Na wiosnę roku 80 zapadła decyzja o otworzeniu od nowego roku akademickiego filii PWSM. Niestety wydarzenia polityczne stanęły na przeszkodzie. Rok później przestałem być dyrektorem szkoły, a moi następcy nie podjęli jakoś tematu. Szkoda. Natomiast ogólnokształcąca szkoła muzyczna powstała już w roku 79, a liceum muzyczne rok później. Całość złożona z czterech jednostek otrzymała nazwę Zespół Szkół Muzycznych.

Po szóste postanowiłem zwiększyć liczbę uczniów, stosując różne sposoby, o których nie warto tutaj wspominać. Ale najlepszą promocją okazało się powstanie filharmonii. Po inauguracji w listopadzie 78, na wiosnę zgłosiła się do szkoły duża liczba chętnych. I co ciekawe, wśród kandydatów było wiele dzieci rozmaitych prominentów. Zawód muzyka stał się nagle atrakcyjny. Nie dysponuję ścisłymi danymi liczbowymi, ale pamiętam, że kiedy rozpocząłem pracę w szkole, w klasach skrzypiec było 30 uczniów, a kiedy kończyłem – ponad 100. Pamiętam również, ile wysiłku kosztowało zdobycie w tamtych czasach skrzypiec dla nowo wstępujących uczniów. Zrezygnowałem z dojeżdżających z Wrocławia pedagogów, zastąpili ich nowo zatrudnieni muzycy filharmonii.

Po siódme wreszcie, zaplanowałem przeniesienie szkoły do nowej siedziby. Dotychczas użytkowane trzy budynki przestały mieścić zwiększoną liczbę uczniów. Na skutek różnych zabiegów, dokonałem dziwnej zamiany. Porozumiałem się z Komitetem Miejskim PZPR, który nie miał własnej siedziby. Za odstąpienie im głównego budynku szkoły, miałem otrzymać stosunkowo nowy obiekt, tzw. „tysiąclatkę". Było takie hasło w latach sześćdziesiątych: „Tysiąc szkól na Tysiąclecie". Ile ich ostatecznie zbudowano – nie pamiętam. Szkoła, którą miałem otrzymać, była nie tylko znacznie większa, ale także bardziej funkcjonalna. A w dodatku władze obiecały jej rozbudowę. Natychmiast naszkicowałem dodatkowe skrzydła, w których miały się znaleźć: klasy, sala koncertowa oraz internat. Inżynier przygotował fachowy projekt. Ale było to w roku szkolnym 79/80. Na jesieni wydarzenia na Wybrzeżu, a następnie kryzys przekreśliły raz na zawsze te plany.

Jako nauczyciel

Moja działalność w szkole obfitowała w większe i mniejsze konflikty. Niektóre były przykre, inne śmieszne. Starałem się nie wchodzić w żadne układy i nie ulegać jakimkolwiek wpływom. A było wiele prób, począwszy od kanałów partyjnych poprzez mniej lub więcej wyraźne propozycje „łóżkowe". I niestety musiałem także przeciwstawiać się różnym żądaniom pedagogów. Pamiętam na przykład dyskusję na radzie pedagogicznej, zamykającej rok szkolny. Nauczyciele niemal jednomyślnie zdecydowali o usunięciu uczennicy kończącej szkołę I stopnia. W minionych latach miała same piątki. Na półrocze również dobre oceny, ale na egzaminach końcowych bardzo słabe wyniki. Zdziwiony, zapytałem nauczycielkę,

która prowadziła ją od początku, jak może to wytłumaczyć. I wówczas dowiedziałem się, że uczennicy w marcu zmarła matka. Wpadłem w złość. Uznałem, że jeżeli dziewczynka pomimo takiego ciosu nie przerwała nauki, wykazała tym samym wyjątkowe zalety charakteru. Usunięcie jej ze szkoły byłoby rażącą niesprawiedliwością i nie wiadomo, jak wpłynęłoby na jej dalsze życie. I wbrew opinii większości rady pedagogicznej, podjąłem decyzję, aby dziewczynkę przyjąć do szkoły II stopnia. I tak się stało. A kiedy już nie byłem dyrektorem, dowiedziałem się, że ta uczennica równolegle uzyskała maturę w liceum ogólnokształcącym i dyplom szkoły muzycznej. Potem zdała egzamin do Akademii Medycznej i została lekarzem – pediatrą. Nieraz jeszcze zetknąłem się z objawami bezduszności pedagogów. I co zastanawiające, nie tych starych, „zrutynizowanych", ale przeciwnie – młodych.

Rok szkolny 79/80 rozpocząłem już w nowej szkole, choć jak zwykle budowniczowie nie dotrzymali terminów. Zgodnie z przepisami dyrektor obowiązany jest do tzw. hospitacji. Nie znam się na pedagogice, ale uważam, że niewiele w tym sensu. Owszem, na lekcji form muzycznych zauważyłem, że nauczyciel prezentował niski poziom. Pomimo że był absolwentem muzykologii. Postanowiłem go zwolnić. Niestety okazało się, że to nie takie proste. Musiałem najpierw zwrócić się do ministerstwa o powołanie komisji. Jeśli jej opinia pokryłaby się z moją, nauczyciel zostałby pouczony o swoich błędach i… pozostawiony na cały następny rok szkolny. Zupełny absurd! Kiepski pedagog przez cały rok mógłby nadal źle uczyć. Po kolejnym roku znowu zjawiłaby się komisja i oceniła czy nastąpiła poprawa. Jeśli nie, mógłbym go wreszcie zwolnić. Uznałem, że to kiepskie rozwiązanie i po odbyciu z nauczycielem twardej rozmowy, wymogłem na nim zgodę na dobrowolne przejście na stanowisko bibliotekarza i kierownika płytoteki.

Tenże nauczyciel prowadził także lekcje historii muzyki. Przypadkowo dowiedziałem się od uczniów, że nie zdążył przerobić programu i na miesiąc przed końcowym egzaminem „dotarł" dopiero do impresjonizmu. A co z całą muzyką XX wieku? Egzamin z historii muzyki miał wpływ na końcową ocenę i zdawało się go przed komisją, w której zasiadał wizytator z Wrocławia. W tak krytycznej sytuacji zdecydowałem się pomóc uczniom. Zaproponowałem, aby wieczorem, już po ostatniej lekcji, przychodzili do mnie do gabinetu, a ja spróbuję wskazać najistotniejsze zagadnienia tzw. współczesnej muzyki. Oczywiście nie miałem czasu, aby się do tych spotkań przygotować, tak więc z konieczności musiałem zdać się wyłącznie na swoją pamięć. Na szczęście, jak już pisałem, parę lat wcześniej prowadziłem w Szczecinie cykl programów radiowych o muzyce współczesnej i liczyłem na to, że nie wszystko zapomniałem.

Już nie pamiętam, ile miałem tych „konspiracyjnych lekcji", ale uczniowie (o czym się później dowiedziałem) zdziwili się, że historia muzyki może być tak ciekawa. Na pierwszym spotkaniu powiedziałem im od razu, że daty, życiorysy i nazwy ważniejszych utworów mogą sobie sami wypisać z małej encyklopedii muzyki. I ograniczyłem się do ogólnej charakterystyki epok, stylów, kierunków. A także o wzajemnych zależnościach pomiędzy muzyką a historią powszechną, odkryciami naukowymi, ruchami społecznymi oraz innymi sztukami. Jak pamiętam, wszyscy zdali egzamin, przeważnie z piątkami i czwórkami.

Dyrektor musiał mieć tzw. pensum godzin lekcyjnych. Wybrałem dla siebie zajęcia z orkiestrą oraz psychologię. O ile szkolna orkiestra była raczej fikcją z powodu zbyt małej liczby grających uczniów, o tyle uczenie psychologii na ostatnim roku szkoły II stopnia było dla mnie i przyjemne, i pouczające. Większość uczniów miała już około 20 lat i ukończone liceum ogólnokształcące. Tutaj uwaga na marginesie. Jeżeli mnie pamięć nie myli, w tamtych czasach nauka w szkole muzycznej I stopnia trwała sześć lat i tyleż samo II stopnia.

A w szkołach ogólnokształcących było osiem lat podstawowej i cztery liceum. Tak więc ostatni rok nauki w liceum przypadał jednocześnie z rokiem dyplomowym w szkole muzycznej. I dlatego często się zdarzało, że uczniowie przerywali naukę przed rokiem dyplomowym, aby spokojnie przygotować się do matury. Po skończeniu liceum mogli już większość czasu poświęcić na ćwiczenie na instrumencie, aby jak najlepiej zagrać na dyplomowym egzaminie. Tak więc moje lekcje psychologii przeznaczone były dla dojrzałej młodzieży. Pomimo braku czasu, przygotowywałem się do nich starannie. Nie będę tutaj streszczał tego, co mówiłem, ale pamiętam, że burzyłem mity religijne, obyczajowe, pseudonaukowe. Teorie Freuda, Junga, Adlera, Skinnera, Fromma, Maslowa a także psychoanaliza, behawioryzm, psychologia postaci – to dla tych młodych ludzi było czymś całkowicie nowym. Tego ich nie uczono w liceum. Znacznie później dowiedziałem się, że po każdej lekcji dyskutowali zapamiętale i z niecierpliwością czekali na następne „rewelacje".

Jedna z uczennic, mająca wówczas zaledwie dziewiętnaście lat, została niebawem moją żoną. Ale o tym napiszę osobno.

Koniec pracy w Szkole Muzycznej

Moje działania, nawet te korzystne dla Szkoły Muzycznej, wywoływały opór wśród wielu nauczycieli. Jak w każdej grupie społecznej, naruszanie status quo zawsze dla pewnych osób będzie niewygodne. Zwłaszcza dla tych o niższych kwalifikacjach lub po prostu leniwych. Poza tym zmiany naruszają tzw. układy. Nic zatem dziwnego, że w gronie pedagogicznym rosła liczba moich przeciwników. Pamiętam, że zupełnie się tym nie martwiłem, ponieważ pracę w szkole traktowałem jako ciężki obowiązek, który wykonywałem tylko z uwagi na prośbę władz. A te nadal popierały moje działania zarówno w filharmonii jak i w szkole.

Wybiegnę teraz znacznie w przyszłość, aby zakończyć wspomnienia o Szkole Muzycznej i więcej do nich nie wracać. Parę lat później w jakiejś prywatnej rozmowie powiedziałem, że dwa najbardziej przykre okresy w moim życiu to pobyt w obozie jenieckim oraz praca na stanowisku dyrektora szkoły. Smutna to konstatacja, ale jeszcze dzisiaj podpisałbym się pod nią.

Jak wiadomo z historii, w lecie 80 roku powstała „Solidarność". Opiszę to w specjalnym rozdziale, poświęconym wydarzeniom politycznym. Tutaj przypomnę tylko, że powstanie tej organizacji, która nazywała się związkiem zawodowym, a de facto stała się partią polityczną, było – moim zdaniem – początkiem rewolucji. Można oczywiście używać innych określeń, ale nie zmieni to faktu, że przemiany w Polsce w latach osiemdziesiątych miały charakter rewolucyjny. Wracam jednak do szkoły. Podobnie jak w całej Polsce, w Wałbrzychu w każdej niemal instytucji powstały komórki „Solidarności". I tak samo wstępowali do nich obok prawdziwych ideowych opozycjonistów, przeróżni frustraci, nieudacznicy, a także cwaniacy, osobnicy żądni władzy i zwykli karierowicze. A ponieważ większość ludzi była zmęczona trudnościami codziennego życia i niezadowolona z rządów PZPR, liczba członków „Solidarności" – jak mówiono – przekroczyła 9 000 000.

W filharmonii – o ile pamiętam – na stu pracowników aż osiemdziesięciu wstąpiło do nowego związku zawodowego. W Szkole Muzycznej było podobnie. Wybrano zarząd, w skład którego „dali się wybrać" najbardziej niezadowoleni pedagodzy. I natychmiast zabrali się do walki ze mną. Przewodniczącą została jedna z nauczycielek fortepianu. Po parotygodniowej „walce podjazdowej" zażądała zwołania Nadzwyczajnej Rady

Pedagogicznej. Swoje wystąpienie zaczęła od tego, że nie doceniam pracy pedagogów. Kiedy spojrzałem na nią zdziwiony, wyjaśniła, że nigdy np. w dniu nauczyciela lub z okazji zakończenia roku szkolnego w swoich wystąpieniach nie chwaliłem nauczycieli, nie wymieniałem ich nazwisk i nie podkreślałem zasług. Następnie przewodnicząca i parę innych nauczycielek zaczęło wyliczać moje „przewinienia": oddanie starej siedziby szkoły i przeniesienie do nowej, zwiększenie liczby uczniów klas skrzypiec i instrumentów dętych na niekorzyść fortepianu, zajmowanie się projektem nowej siedziby itd. itd. Zarzucano mi także, że wyjeżdżam na koncerty i zbyt mało czasu i uwagi poświęcam sprawom szkoły. Na zakończenie przewodnicząca wręczyła mi parę stron maszynopisu, zawierającego według jej słów, postulaty pedagogów. Rzuciłem okiem na tekst i zobaczyłem określenia w rodzaju: „domagamy się", „żądamy", „oczekujemy natychmiastowego załatwienia". To mi wystarczyło. Bez słowa oddałem maszynopis przewodniczącej. A potem oświadczyłem, że następnego dnia złożę w wydziale kultury rezygnację i niezwłocznie odejdę. Zaskoczenie było kompletne. W ciszy nauczyciele wymieniali spojrzenia. Widać było po ich twarzach, że nie wiedzą, co powiedzieć. Wreszcie ktoś zaczął bąkać, że „to nie było naszym zamiarem", „że zależy nam, aby Pan nadal był dyrektorem". Odpowiedziałem twardo, że osobiście nie widzę możliwości współpracy, ponieważ związek zanegował to, co uważałem za korzystne dla szkoły i miasta. Na to nauczyciele zaczęli prosić jeden przez drugiego, abym zmienił decyzję i nie składał rezygnacji i że na pewno się porozumiemy. Również przewodnicząca chyba zdała sobie sprawę, że przesadziła i próbowała załagodzić konflikt.

Zgodnie z tym, co powiedziałem, następnego dnia poszedłem do wydziału kultury. Dyrektor był zdziwiony i – jak zauważyłem – przestraszony. Prosił, abym się wstrzymał z ostateczną decyzją. Jednak w parę dni później złożyłem pisemną rezygnację ze stanowiska dyrektora Zespołu Szkół Muzycznych od 1 lutego 81, tzn. po zakończeniu pierwszego półrocza. W wyniku licznych rozmów, po paru tygodniach zgodziłem się pozostać do końca roku szkolnego. I tak się też stało. Pamiętam, że z prawdziwą ulgą podpisałem ostatnie świadectwa i rozstałem się ze sfrustrowanymi nauczycielkami. Zdążyłem jeszcze w międzyczasie odzyskać dawny budynek szkoły, ponieważ z powodu sytuacji politycznej Komitet Miejski PZPR zrezygnował z przeprowadzki. Załatwiłem również pieniądze na remont, a konkretnie na niezbędną adaptację i modernizację starego obiektu. Tak więc zostawiłem szkołę po trzech latach w dużo lepszej kondycji od tej, w której ją przejąłem. Niestety, mój następca (nie pamiętam kto nim został), a także ci, którzy po nim przyszli, w znacznym stopniu zmarnowali to, co udało mi się zrobić. Częściowo z własnej winy, ale muszę uczciwie przyznać, że okres był wyjątkowo niesprzyjający. W latach osiemdziesiątych ustawiczne strajki, kryzys gospodarczy i rozpad systemu politycznego uniemożliwił pozyskiwanie dodatkowych środków finansowych. Potem nastąpiła tzw. transformacja i zmiana ustroju. Nie było szans ani na budowę nowych obiektów, które zaplanowałem, ani rozszerzenia działalności szkoły. Ale to nie należy już do mojej autobiografii.

Religioznawstwo

Moje kontakty z pedagogiką miały jeszcze jedną formę, zarówno pouczająca jak i zabawną. Bodajże w połowie lat osiemdziesiątych (dokładnej daty nie pamiętam) władze oświatowe wprowadziły do klasy maturalnej w liceach nowy przedmiot – religioznawstwo. Pomysł nie był zły, ale jego realizacja fatalna. Po pierwsze zapomniano, że w Polsce

nigdy nie wykładano na uniwersytetach religioznawstwa, w przeciwieństwie do wielu krajów zachodnich. O ile pamiętam, już w połowie XIX wieku na uniwersytecie w Bazylei utworzono katedrę religioznawstwa. U nas przed wojną uczono w szkołach państwowych wyłącznie religii katolickiej. Po wojnie naukę religii przeniesiono do kościołów. Natomiast na poziomie uniwersyteckim – o ile pamiętam – nie istniała w żadnej postaci dziedzina wiedzy zwana religioznawstwem. W jaki zatem sposób wyobrażały sobie władze znalezienie wykwalifikowanych nauczycieli? Szukano ich wśród socjologów, psychologów, historyków. Dało o sobie znać uproszczone traktowanie religii tylko jako „opium dla ludu". Tzw. lektorzy wysyłani z instancji partyjnych na zebrania w terenie, potrafili w najlepszym razie mówić o inkwizycji i paleniu na stosach heretyków. Na ogół jednak ograniczali się do niewybrednego atakowania księży lub polityki Watykanu.

Kiedy dowiedziałem się o kłopotach w znalezieniu nauczycieli religioznawstwa, szczególnie w takich miastach jak Wałbrzych, pozbawionych kadry uniwersyteckiej, zaproponowałem w jakiejś rozmowie „dla zabawy" swoją kandydaturę. Powiedziałem, że od lat interesuję się zagadnieniami religii i zgromadziłem sporą liczbę książek na ten temat. Ku mojemu zaskoczeniu, propozycja została przyjęta z radością. Nie mogłem się już wówczas wycofać, ale postawiłem jeden warunek: będę uczył w I Liceum Ogólnokształcącym. Była to w tamtym czasie jedna z najlepszych szkół na Dolnym Śląsku, ale zarazem najbardziej opozycyjna. Po ogłoszeniu stanu wojennego część nauczycieli internowano, innych zwolniono z pracy. Również uczniowie, pochodzący głównie z rodzin inteligenckich, jawnie i głośno wyrażali swoje „antyrządowe" nastawienie. Mój warunek wynikał z chęci zmierzenia się z młodzieżą, która – jak przypuszczałem – antylewicowość łączyła z prokościelnym nastawieniem.

I tak od września zostałem wykładowcą religioznawstwa. O ile pamiętam, miałem raz w tygodniu dwie kolejne godziny lekcyjne. W tym miejscu dodam jeszcze, że władze oświatowe popełniły zasadniczy błąd, który w zarodku przekreślił sens wprowadzenia do szkół religioznawstwa. Ustalono bowiem, że będzie to przedmiot obowiązkowy, ale nieoceniany. Trudno uwierzyć, że można było wpaść na tak idiotyczny pomysł. W konsekwencji uczniowie siedzieli w klasie i nie robili notatek. Przeciwnie, niektórzy, zwłaszcza na początku, ostentacyjnie czytali książki lub odrabiali lekcje. Przypuszczam zatem, że niewiele zapamiętali z tego, co mówił wykładowca, zwłaszcza przy przyjętym z góry negatywnym nastawieniu do tego przedmiotu.

Od razu na pierwszej lekcji poprosiłem, aby obecność w dzienniku pisał dyżurny. Wywołało to widoczne na twarzach licealistów zdziwienie. A potem oświadczyłem, że jestem materialistą, czyli – jak kto woli – niewierzącym lub inaczej ateistą. Tego rodzaju oświadczenie sprawiło, że młodzież zaczęła wymieniać spojrzenia, a nawet wypowiadać szeptem uwagi. Kiedy minął ten swoisty „szok", wyjaśniłem, że właśnie dzięki temu mogę uczyć religioznawstwa. Dla mnie bowiem wszystkie religie są jednakowo ważne. I zaraz dodałem, że religie są najwspanialszym wytworem ludzkiego umysłu. Są źródłem najgłębszych przeżyć, motorem potężnych ruchów społecznych oraz inspiracją arcydzieł sztuki. Zauważyłem z satysfakcją, że młodzież była zdezorientowana. Ateista, który zachwyca się oddziaływaniem religii na człowieka? Pamiętam, że celowo nie rozwinąłem tego tematu. Wolałem, aby młodzi ludzie, bądź co bądź w klasie maturalnej, sami przemyśleli i przedyskutowali moje słowa.

Pierwsze lekcje poświęciłem na omówienie psychologicznych aspektów religii i jej społecznych uwarunkowań, a następnie podobieństw i różnic pomiędzy magią a religią.

Podałem rozmaite definicje, nieraz całkowicie sprzeczne. Przez cały czas pamiętałem, aby traktować wszystkie kulty religijne wyłącznie jako dzieło ludzkiego umysłu. I unikałem na razie jakichkolwiek aluzji do chrześcijaństwa. Przestrzegałem przyjętego przez siebie założenia: z religioznawstwa nie robić w jakiejkolwiek formie walki z Kościołem. Miał to być przedmiot wiedzy, niezwiązany z osobistą, prywatną potrzebą wiary. Na ile udało mi się to przeprowadzić – nie wiem.

Do końca roku szkolnego zdołałem dotrzeć zaledwie do początków chrześcijaństwa. Omawiając religie Wschodu, potem Grecji, Rzymu, a wreszcie plemion germańskich i słowiańskich – używałem stale takich określeń jak „mit", „mitologia", „legenda". Nie wywoływało to jakichkolwiek negatywnych reakcji ze strony uczniów. Kiedy jednak musiałem tych samych słów użyć w stosunku do judaizmu – wyczułem w klasie wrogość. Dotknąłem bowiem podstaw wiary chrześcijańskiej, zawartych w Starym Testamencie. A kiedy wykazywałem pochodzenie Pierwszych Ksiąg od wcześniejszych mitów sumeryjskich – rozległy się po raz pierwszy głośne protesty. Byłem na to przygotowany i spokojnie przytoczyłem dowody oparte na wykopaliskach. Na następnych lekcjach, analizując Biblię udowadniałem „historyczność" tej rzekomo objawionej Księgi. Oczywiście bez użycia określenia „rzekomo objawionej". Po prostu mówiłem o jej „ludzkim" pochodzeniu. Zdawałem sobie sprawę ze śliskości tematu i – pamiętam – z wielką ostrożnością dobierałem słowa.

Podobnie było na ostatnich lekcjach, kiedy mówiłem o początkach chrześcijaństwa, Esseńczykach, zwojach z Qumran, roli kobiet w pierwszych gminach, braku celibatu itd. Te „rewelacje" przyjmowano z niedowierzaniem, niechęcią, a nawet otwartą wrogością pojedynczych uczniów. Tylko jedna osoba po ostatniej lekcji poprosiła mnie o podanie tytułów choćby paru książek z dziedziny religioznawstwa. Muszę dodać w tym miejscu, że bardzo starannie przygotowywałem się do każdego wykładu i z góry nastawiałem się na ewentualne podchwytliwe pytania, sprzeciwy czy otwarte ataki. Zawsze byłem gotów do dyskusji. Niestety, nigdy do niej nie doszło, ponieważ – jak się domyślałem – młodzież zbyt mało wiedziała w ogóle o zagadnieniach religii.

W następnym roku uczniowie byli niemal całkowicie obojętni. Nie mogłem zauważyć nawet dawnej wrogości. Musieli chodzić na lekcje religioznawstwa, to chodzili, ale czułem, że zupełnie ich nie interesowało to, o czym mówiłem. Być może, wina leżała po mojej stronie. Być może nie potrafiłem w odpowiedni sposób przedstawić zagadnień, które mnie pasjonowały. Być może nie mam zdolności pedagogicznych. W każdym razie, jak napisałem na początku tego podrozdziału, było to pouczające doświadczenie. Raz jeszcze uświadomiłem sobie, jak trudno przekonać ludzi, nawet młodych, do prób przezwyciężenia wdrożonych nawyków myślenia. Ja sam już od dzieciństwa starałem się myśleć samodzielnie. Może to zasługa atmosfery domowej, w której rodzice nie narzucali nam gotowych rozwiązań ani nie zmuszali do bezkrytycznego podporządkowywania się autorytetom. A może była to moja wrodzona przekora, która nieraz utrudniała mi życie, ale która jednocześnie pozwoliła na niezależność myślenia.

Natomiast obserwowanie zachowań młodzieży było niewątpliwie zabawne. Nie kwestionując prawdziwej wiary, przynajmniej u części uczniów, wyczuwałem, że ich przywiązanie do katolicyzmu wynikało także z niechęci do obowiązującej w tamtych czasach ideologii. Było to jasne przeciwstawienie: PZPR – Kościół. Uczniowie nie chcieli słuchać moich wywodów. Traktowali je po prostu jako część nienawistnej propagandy. Argumentów, że w całym cywilizowanym świecie od dziesiątków lat niezależni uczeni

zajmują się badaniem religii – w ogóle nie przyjmowali do wiadomości. W takiej sytuacji moje wysiłki obiektywnego przedstawienia problemów religioznawstwa były naprawdę skazane na niepowodzenie. Zabawne, a zarazem smutne.

Po zakończeniu drugiego roku, zrezygnowałem. Uznałem, że szkoda mojego czasu i energii. I do dzisiaj nie wiem czy chociaż niektórych uczniów zachęciłem do zainteresowania się problemami religii i do prób wyrwania się z intelektualnej inercji.

Inne prace pedagogiczne

W moim długim życiu miałem dosłownie dziesiątki spotkań w najróżniejszych środowiskach: od profesorów wyższych uczelni, poprzez tzw. działaczy kultury, sekretarzy Komitetów Powiatowych PZPR aż po uczniów szkól podstawowych. Spotkania miały rozmaity charakter, ale starałem się zawsze, aby spełniały jakiś zamysł dydaktyczny. Trudno jednak nazwać to działalnością pedagogiczną. Co innego pojedynczy, nawet parogodzinny wykład, referat czy pogadanka, a co innego systematyczne przekazywanie wiedzy. Do pedagogiki niewątpliwie należały wykłady o muzyce organizowane przez Wojewódzki Dom Kultury w Wałbrzychu. Trwały dwa lata i przeznaczone były dla pracowników świetlic, klubów, domów kultury. Broniłem się przed przyjęciem tej propozycji, ale uległem wreszcie na osobistą prośbę pani Mikowej, sekretarza propagandy KW PZPR, która – jak już pisałem – była jedną z największych orędowniczek filharmonii. Nie pamiętam czy wykłady odbywały się raz w miesiącu czy może co dwa tygodnie i ile godzin trwały. Ale w tamtym czasie WDK mieścił się w odległej dzielnicy Wałbrzycha, niemal dokładnie po przeciwległej stronie miasta. Aby tam dotrzeć, musiałem jechać dwoma autobusami, co zajmowało przy ówczesnych trudnościach komunikacyjnych ponad godzinę.

Na pierwszym wykładzie zobaczyłem wśród słuchaczy znaczną rozpiętość wieku. Obok starszych tzw. działaczy kultury, zupełnie młodzi absolwenci liceów. Jedyne co ich łączyło, to całkowita nieznajomość zagadnień muzycznych. Przekonałem się o tym od razu na pierwszym spotkaniu. Kiedy zacząłem od definicji kultury i sztuk pięknych, raz po raz proszono mnie o powtarzanie najprostszych określeń. A byłem przekonany, że o tym już mówili inni wykładowcy, np. od kulturoznawstwa, teatru czy sztuk plastycznych. Zmieniłem zatem sposób mówienia. Więcej dyktowałem, a nawet co trudniejsze słowa pisałem na tablicy. Oczywiście słuchacze wszystko pilnie notowali, ponieważ po zakończeniu kursu musieli zdawać egzaminy. Przez całe dwa lata czułem, że większość słuchaczy nie rozumie przynajmniej połowy tego, co mówię. I ci ludzie mieli upowszechniać kulturę!

Kiedy zbliżał się termin zakończenia kursu, słuchacze wpadli w panikę. Przypomniał mi się WUML, o którym pisałem wcześniej. Wypunktowałem najważniejsze tematy z historii muzyki, ze znajomości instrumentów i podstawowych form. Egzaminy prowadziłem sam i aby nie jeździć na drugi koniec miasta, zorganizowałem je w filharmonii. Poziom był wręcz przerażająco niski. Poza paroma osobami, które po prostu „wykuły" to, co zanotowały na wykładach, reszta z trudem rozumiała zadawane pytania. Jeden ze zdających nie potrafił odróżnić klawesynu od ksylofonu. Kiedy zapytałem, co to jest klawesyn – odpowiedział, że to instrument perkusyjny. Inny twierdził, że Chopin żył wcześniej niż Bach. Jeszcze inny za twórcę „Halki" uznał Szymanowskiego. Nic zatem dziwnego, że większość musiała zdawać po raz drugi. Rekord pobiła pewna dziewczyna, zresztą ładna. Oblała drugi egzamin i przyszła na trzeci. I tym razem nie potrafiła prawidłowo odpowiedzieć na najłatwiejsze nawet pytania.

Widząc po moim dezaprobującym kiwaniu głową, że i tym razem obleje, spojrzała na mnie tzw. omdlewającym spojrzeniem i ponieważ dzieliło nas biurko, cofnęła do tyłu krzesło, a następnie podciągnęła do góry spódniczkę na niewątpliwie kształtnych udach. Było widoczne, jak bardzo zależy jej na zdaniu egzaminu, bez którego nie mogła otrzymać pracy. Poczułem się głupio. Wiedziałem, że jeśli tylko zechcę, pójdzie ze mną do łóżka. Ba, ale takie wykorzystanie sytuacji uwłaczałoby mojej męskiej dumie. Klnąc zatem w duchu, zrezygnowałem z okazji i poprosiłem o indeks. Wpisałem jej „dostateczny". Kiedy wstałem, aby ją pożegnać, szybko podeszła do mnie i niespodziewanie pocałowała prosto w usta.

Następna praca pedagogiczna miała zupełnie inny charakter. Wczesną wiosną zwrócił się do mnie młody skrzypek z orkiestry w Jeleniej Górze. W poprzednim roku uzyskał dyplom w tamtejszej średnie szkole muzycznej i po kilkumiesięcznym przygotowaniu chciał zdawać egzaminy wstępne do PWSM w Krakowie. Ale nie do klasy skrzypiec, lecz na dyrygenturę. I prosił, abym mu pomógł w przygotowaniu obowiązkowej symfonii klasycznej. Choć – jak już pisałem – nie mam pedagogicznego zamiłowania, trudno mi było odmówić. Chłopiec przyjeżdżał do mnie parę razy w tygodniu, pilnie słuchał moich wskazówek i starał się je coraz lepiej realizować z lekcji na lekcję. Potem chciał mi zapłacić, ale zdecydowanie odmówiłem. W dowód wdzięczności kupił mi w dużej donicy piękną palmę. Niestety po paru latach nie wytrzymała suchego powietrza w mieszkaniu i zmarniała. Chłopiec pojechał do Krakowa, a potem powiadomił mnie telefonicznie, że nie zdał. Ponieważ sam nie podał żadnych szczegółów, uznałem, że nie wypada pytać. W kilka miesięcy później miałem koncert w Krakowie i spotkałem przypadkowo Jurka Katlewicza, który uczył w PWSM dyrygentury i ówczesną prorektor, znaną kompozytorkę, Krystynę Moszumańską-Nazar. Ponieważ oboje byli członkami komisji egzaminacyjnej, zapytałem, jak wypadł skrzypek z Jeleniej Góry. Odpowiedzieli, że dyrygował bardzo przyzwoicie, lepiej od innych kandydatów, ale oblał egzamin z solfeżu. Znowu minęło trochę czasu i dowiedziałem się, że „mój" skrzypek ponownie zdawał do krakowskiej PWSM. Tym razem został przyjęty; domyślałem się, że przez cały rok „wkuwał" solfeż. Jak dalej potoczyły się jego losy – nie wiem, ponieważ nigdy potem już go nie spotkałem.

Ostatni mój kontakt z pedagogiką był najbardziej zabawny i dlatego warto o nim napisać. Bodajże na początku lat osiemdziesiątych zatelefonował do mnie Marek Pijarowski, który był wówczas dyrektorem Filharmonii Wrocławskiej, z prośbą, abym objął po nim klasę dyrygentury w tamtejszej PWSM. Wyjaśnił, że otrzymał propozycję objęcia stanowisk dwóch tzw. stałych dyrygentów gościnnych: w Rostocku i Krakowie. Były to dla młodego dyrygenta naprawdę atrakcyjne propozycje. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie lubię uczyć. I zadałem pytanie:

- A ilu pan ma studentów?

- Czterech.

- A ilu z nich ma szansę zostać dyrygentami?

Cisza w słuchawce, a potem uczciwa odpowiedź:

- Jeden.

Zacząłem się śmiać i powiedziałem:

- Panie Marku, to ja mam męczyć się cotygodniowymi dojazdami do Wrocławia, męczyć się z trzema niezdolnymi studentami i tylko po to, aby ewentualnie jeden zdolny został dyrygentem?

Przytaczam tę rozmowę z pamięci w miarę wiernie, ponieważ ilustruje ówczesny stan polskich uczelni muzycznych. Każdy profesor musiał mieć co najmniej czterech studentów

i w takiej sytuacji, jeśli nie było bardzo zdolnych kandydatów, przyjmowało się zaledwie przeciętnie zdolnych. Kończyli z trudem studia, dostawali „trójkowe" dyplomy i powiększali rzeszę sfrustrowanych miernych muzyków.

Wracajmy jednak do relacjonowanej rozmowy. Pijarowski agitował i namawiał, prosił i nalegał. Użył wreszcie argumentu, że jeżeli nie zgodzę się na jego propozycję, cała klasa zostanie zlikwidowana. Jak się bowiem okazało, we Wrocławiu nie ma żadnego dyrygenta, który potrafiłby uczyć studentów. Była to niestety prawda. W tej sytuacji, po krótkim namyśle postawiłem warunek: jeśli uczelnia wystąpi do ministra z wnioskiem o mianowanie mnie docentem, „dla zabawy" zgodzę się objąć klasę. Pijarowski uznał, że warunek jest łatwy do spełnienia z uwagi na mój tzw. dorobek dyrygencki.

W parę dni później zatelefonował z podziękowaniem dziekan I wydziału i poinformował mnie, że w najbliższym czasie zostanie zwołana w tej sprawie Rada Wydziału. Po pewnym czasie otrzymałem kolejną informację, że Rada Wydziału zaopiniowała pozytywnie mój warunek i wystosuje odpowiedni wniosek do rektora. Jeśli ten zaakceptuje wniosek, uczelnia wystąpi z oficjalnym pismem do ministra. Oczywiście będę musiał napisać obszerny życiorys, załączyć afisze, programy, zadyrygować koncert i wygłosić referat. Wyjaśniam, że w tamtych czasach minister miał uprawnienia do mianowania docentów przy pomocy takiej skróconej procedury. Słyszałem, że właśnie w ten sposób objął w latach siedemdziesiątych klasę kompozycji w warszawskiej PWSM Tadeusz Baird.

Po pewnym czasie zatelefonował dziekan i z żalem powiadomił mnie, że rektor odmówił wystosowania pisma do ministra w sprawie mojej docentury. Swojej decyzji nie uzasadnił. Za to dziekan wyjaśnił, że po prostu przestraszył się mojej obecności na uczelni, ponieważ już plotkowano, że w najbliższych wyborach senat wystawi moją kandydaturę na… rektora. Moje osiągnięcia organizacyjne w Wałbrzychu wzbudzały – według słów dziekana – podziw wśród profesorów. Była to tak zabawna informacja, że parsknąłem śmiechem w słuchawkę. Jeszcze nie pracowałem, a już stałem się zagrożeniem. Tak więc nie zrobiłem akademickiej „kariery". A co dalej z klasą? Została rzeczywiście zlikwidowana, a studenci przenieśli się na inne uczelnie. Klasę reaktywowano dopiero po paru latach, kiedy Pijarowski zakończył stalą współpracę z Rostockiem i Krakowem. Komiczną pointą stały się dalsze losy rektora, który przepadł w najbliższych wyborach i to w sposób żenujący. Jak mi mówiono, w tajnym głosowaniu nie uzyskał ani jednego głosu. A kim był? Podobno nader miernym kompozytorem. Ja w każdym razie nigdy nie słyszałem żadnej jego kompozycji.

Rozdział XXXII

WAŁBRZYCH - 1978 – 80

Monografie

Niewątpliwie był to jeden z najważniejszych okresów w moim zawodowym życiu. Stanąłem przed próbą zmierzenia się z czymś zupełnie nieznanym. Przypuszczałem zresztą, że nie tylko dla mnie, ale i dla każdego innego dyrygenta na moim miejscu. Nie znałem bowiem żadnego przypadku, aby dyrygent zakładał filharmonię. Tego rodzaju duże instytucje były powoływane przez różne stowarzyszenia, grupy finansistów i arystokratów bądź organy władz państwowych czy samorządowych, a organizowane przez doświadczonego managera. W przypadku Wałbrzycha ja sam musiałem pełnić wielorakie funkcje, niezwiązane z zawodem dyrygenta. Kiedy dzisiaj, po 29 latach, piszę te słowa, mogę z satysfakcją stwierdzić, że tej najcięższej życiowej próbie sprostałem. Stworzona przeze mnie instytucja przetrwała tzw. burze dziejowe, istnieje i działa.

Rok 1978 został stosunkowo najlepiej udokumentowany, ponieważ w kolejnych monografiach jubileuszowych filharmonii poświęcano mu najwięcej miejsca. Przed przystąpieniem do pisania tych wspomnień przejrzałem wszystkie monografie i przeczytałem ponownie wszystkie teksty. Jakże różne są te publikacje! Pierwsza, na pięciolecie, to przykład narastającego kryzysu gospodarczego. Mały zeszycik wydrukowany w 1983 roku na wstrętnym szarym papierze, z mało czytelnymi literami i zamazanymi zdjęciami. Autorem tekstu był zasłużony dziennikarz, Jarosław Haak. Od początku interesował się filharmonią, znał szczegóły powstania orkiestry i w swoim omówieniu starał się pomijać słabości młodej instytucji. Podkreślał natomiast zasługi dla upowszechnienia muzyki wśród społeczeństwa nowego województwa, a zwłaszcza dzieci i młodzieży.

Monografia dziesięciolecia, wydrukowana w roku 1988 na znacznie lepszym papierze, miała już inny charakter i bogatszą treść. Tekst napisał Wojciech Dzieduszycki, który od początku, jako jedyny wrocławianin nastawiony był przyjaźnie do filharmonii. Pisał pozytywne recenzje i współpracował ze mną jako prelegent na festiwalu w Szczawnie Zdroju. Pisząc omówienie miał ułatwione zadanie. W dziesięcioletnim okresie orkiestra miała już za sobą, poza stałymi kontaktami z CSRS i NRD, także aż dziewięć wyjazdów do Włoch, Francji i Berlina Zachodniego. Zwiększyła się znacznie liczba koncertów edukacyjnych, które odbywały się nie tylko na terenie województwa wałbrzyskiego, lecz także jeleniogórskiego i legnickiego. A liczba słuchaczy w ciągu tych 10 lat była wręcz imponująca – ponad 2 400 000!

Nie było natomiast żadnej monografii w roku 1993. Z historii wiadomo, że po tzw. transformacji nastąpiło w roku 1991 obcięcie dotacji dla kultury o 25-30%. O rocznicy 15-lecia mogliśmy wspomnieć jedynie w zwykłym programie koncertu, który nazwaliśmy jubileuszowym. Omówienie na dwóch stroniczkach napisałem sam, aby zaoszczędzić na honorarium dla autora z zewnątrz.

Monografia na dwudziestolecie to już mała, 40-stronicowa książeczka. Zawiera sporo zdjęć, choć także nienajlepszej jakości. Autorem tekstu był Marek Malinowski, uważany za najlepszego znawcę historii Wałbrzycha. Nic zatem dziwnego, że oparł się na źródłach i przedstawił rozwój muzyki w mieście od roku 1945. Ponieważ miał także zacięcie polemiczne, musiałem – choć niechętnie – parę razy „wyretuszować" w tekście najbardziej kontrowersyjne sformułowania.

Ostatnia monografia, którą się posiłkowałem przy pisaniu tych wspomnień, powstała z okazji jubileuszu XXV-lecia w roku 2003 i miała już przyzwoity europejski – jak ocenili znawcy – poziom. Była to mała książeczka (mimo wszystko musiałem oszczędzać), ale wydrukowana ładną czcionką, na dobrym papierze i z kolorowymi, wysokiej jakości zdjęciami. Projekt graficzny również zyskał uznanie i był dziełem współpracującej z filharmonią od lat Agencji Wydawniczo-Reklamowej Barbary i Wiesława Szubów. Mając pełną świadomość, że z uwagi na mój wiek oraz przebyte choroby i operacje, ten jubileusz może być dla mnie ostatnim, postanowiłem sam napisać okolicznościowy, obszerny tekst. I potraktować go nie jako kronikarską relację, ale osobiste, subiektywne przedstawienie swojego stosunku do stworzonej przeze mnie instytucji. Do jej powstania, historii, wzlotów i upadków oraz stanu w roku jubileuszowym. Na ile mój zamysł udało się zrealizować – nie wiem.

Ale to jeszcze nie wszystkie źródła, z których korzystałem, pisząc teraz swoje wspomnienia. Miałem także codzienne zapiski, które w miarę regularnie prowadziłem od roku 1971 do 1999. Notowałem w nich uwagi na temat przeczytanych książek i oglądanych filmów, wrażenia z koncertów, relacje ze spotkań z różnymi osobami, refleksje i opinie o wydarzeniach politycznych oraz najrozmaitsze opisy codziennego życia. Z powodu nagromadzenia dużej ilości różnorodnego materiału w monografiach – te moje często lakoniczne zapiski były mniej przydatne. Miały jednak jeden istotny walor – były całkowicie szczere, ponieważ naprawdę nie zamierzałem ich publikować. W zbyt wielu miejscach zawierały osobiste, a nawet intymne szczegóły.

W roku 1981 w publikacji „Kronika Wałbrzyska" zamieściłem na prośbę redakcji paraliteracki tekst, który zatytułowałem „Fragmenty pamiętnika, który – gdyby został napisany – brzmiałby właśnie tak". Wszystkie opisywane wydarzenia były prawdziwe, ale podane w formie lekko zbeletryzowanej. Pierwszy zapis tego fikcyjnego pamiętnika nosił datę 11 września 1977 r. I zaczynał się od słów: „I oto jestem w Wałbrzychu". Ostatni zapis nosił datę 28 listopada 1978 r i był relacją z inauguracyjnego koncertu oraz paru następnych w dniach 24 – 27 tegoż miesiąca. A podsumowaniem było zdanie: „Filharmonia Wałbrzyska stała się rzeczywistością". Zaś ten cały pseudopamiętnik kończył się pytaniem: „Czyż w moim zawodzie można pragnąć czegoś więcej niż ludzkiego wzruszenia?"

Pierwsze półrocze 78

Po tych wstępnych uwagach wracam do bardziej systematycznych relacji. W styczniu 78 załatwiałem sprawy mieszkaniowe dla muzyków i dla siebie. Otrzymałem już pierwsze adresy, co było – jak na tamte czasy – wyjątkowo szybko. Moja sprawa nieco się skomplikowała. Poprosiłem bowiem o tzw. M6, czyli cztery pokoje. Większych mieszkań podobno się nie budowało. Na pytanie, dlaczego potrzebuję czterech pokoi skoro jestem sam, odpowiedziałem z udaną powagą: w jednym będę spał, w drugim jadł, w trzecim

pracował a w czwartym przyjmował gości. No i dodałem jeszcze, że niewykluczone, iż założę rodzinę. Władze przyjęły moje wyjaśnienia, ale ktoś w Zarządzie Spółdzielni je zakwestionował. Oczywiście po paru interwencjach na wysokim szczeblu udało się sprawę mieszkania pomyślnie sfinalizować.

Przesłuchałem muzyków dotychczas działającej orkiestry. Było ich – jak mi mówiono – dwudziestu kilku. Do przesłuchania stanęło kilkunastu. Większość przyjąłem, choć naprawdę nadawałoby się zaledwie parę osób. Obawiałem się jednak, że nie zdołamy skompletować orkiestry symfonicznej tylko z muzyków z zewnątrz. W czasie krótkiej wizyty w Warszawie udało mi się dzięki pomocy dyrektora Śliwińskiego zakupić parę starych instrumentów w Teatrze Wielkim, a w Szkole Muzycznej pękniętą, ale „czynną" harfę. W CHPM natomiast obiecano mi, że jeśli wojewoda załatwi w ministerstwie przydział dewiz, będę mógł zakupić najbardziej potrzebne instrumenty.

I ostatnia informacja ze stycznia 78. Tejchma przestał być ministrem kultury i sztuki. Miał objąć resort oświaty. Oto przykład jak fatalne są jednopartyjne rządy. Jakie kwalifikacje miał ten człowiek na kierowanie kulturą lub oświatą? Ale był to „swój człowiek". Najzabawniejsze, że niektórzy moi warszawscy znajomi żałowali odejścia Tejchmy, ponieważ był… przyzwoity. W tamtym systemie „przyzwoitość" czy „porządność" zastępowały kompetencje, bo często zdarzało się, że dygnitarz nie miał nie tylko kwalifikacji, ale w dodatku był arogantem, despotą, chamem. Ja osobiście miałem o Tejchmie negatywne zdanie.

W ciągu następnych tygodni znowu musiałem pojechać do Warszawy i wówczas w CHPM doradzono mi, abym zapytał wojewodę czy nie mógłby ze swej puli dolarowej dać mi pewną kwotę na zakup instrumentów. Ta pula to odpisy z wpływów „Pewexu". Posłuchałem tej rady i natychmiast po powrocie do Wałbrzycha rozmawiałem z wojewodą. Początkowo nie wydawał się zbyt chętny do uszczuplenia swojej puli, ale jakoś go przekonałem. A potrzebna była suma – jak na owe czasy – znaczna, gdyż wynosiła 4 000 dolarów. Tyle bowiem kosztował komplet czterech kotłów firmy „Premier".

W tym samym okresie „zmuszono" mnie do przeprowadzenia badań w sanatorium w Sokołowsku. Przysłali po mnie karetkę. Badania przeprowadzało aż dwóch lekarzy. Okazało się, że mam bardzo niskie ciśnienie, około 100. Poza tym żadnych innych chorób nie stwierdzono. Pracownicy filharmonii dziwili się, że przy tak niskim ciśnieniu mogę tak intensywnie pracować. I w dodatku nie pijąc kawy.

Najwięcej trudności w tych pierwszych miesiącach przysparzały sprawy budowlano-adaptacyjne. Kiedy udało mi się pokonać opór konserwatora zabytków, który początkowo nie chciał wydać zgody na jakąkolwiek przebudowę obiektu, okazało się, że Miejskie Biuro Projektów we Wrocławiu (w Wałbrzychu nie było w ogóle żadnego biura projektowego) nie miało wolnych terminów. Po różnych zabiegach spotkałem się z inżynierami w ich siedzibie. I stanąłem sam jeden przeciwko jedenastu fachowcom. Tłumaczyli mi, że nawet gdyby mieli wolne terminy, wykonanie projektu i dokumentacji zgodnych z moimi zamierzeniami, wymagałoby wielu miesięcy. Usiłowałem ich przekonać, używając rozmaitych argumentów, że jest to jednak możliwe. Nie pamiętam, ile czasu trwała ta dyskusja, kiedy zniecierpliwiony szef zespołu projektantów, powiedział:

- Panie dyrektorze, niech nam pan nie mówi, ile potrzeba czasu na przygotowanie pełnej dokumentacji. Ja pana nie pouczam, ilu prób wymaga opracowanie programu koncertu.

Uśmiechnąłem się i odparłem:

- Proszę sobie wyobrazić, panie inżynierze, że ja również znajduję się w sytuacji, w której będę musiał w ciągu zaledwie trzech miesięcy nie tylko przygotować program koncertu

inauguracyjnego, ale przede wszystkim stworzyć od podstaw całą orkiestrę symfoniczną. A na razie nie mam jeszcze ani muzyków, ani instrumentów, ani nawet sali.

Zapadła cisza. Inżynierowie spojrzeli na mnie z niedowierzaniem. A potem ich szef niespodziewanie wybuchnął śmiechem i wyciągnął do mnie rękę ze słowami:

- Załatwione.

Uzgodniliśmy potem sprawy finansowe. Obiecałem, że zapłacę najwyższe stawki w taryfikatorze i pokryję wszelkie dodatkowe koszty. Żałuję, że zapomniałem nazwisko tego inżyniera. To, co zrobił dla mnie i filharmonii, przechowuję we wdzięcznej pamięci. I mogę dodać, że Biuro Projektów wywiązało się z przyjętych terminów.

Na początku lutego uzgodniłem z kuratorem, że od września rozpocznę za jego zgodą i jego poparciem regularne comiesięczne audycje umuzykalniając w szkołach. Takie, które od dwudziestu paru lat organizuje się w całym kraju. Początkowo przez „Artos", a potem przez filharmonie. A których z niewiadomych dla mnie przyczyn nie było w Wałbrzychu.

Kilkunastu muzyków z dawnej orkiestry, których zatrudniłem po przesłuchaniu do przyszłej orkiestry filharmonicznej, nie otrzymało 31 stycznia pensji. Przyczyna? Brak zgody ministerstwa na powołanie orkiestry, brak nominacji dla mnie, brak numeru statystycznego przedsiębiorstwa o nazwie „Filharmonia Wałbrzyska w organizacji" i wreszcie w związku z tym własnego konta. Ale dzięki wojewodzie i pewnej kombinacji formalno-księgowej udało się 4 lutego wypłacić muzykom pensje.

A oto inny absurd z tamtego okresu. 5 lutego były wybory do sejmu. Nie pamiętam, na jakiej podstawie, mieszkając w hotelu, miałem prawo głosować. Ale to i tak nie miało znaczenia, tym bardziej, że głosowałem na wałbrzyskich kandydatów, o których nic nie wiedziałem. A ponieważ władze lansowały hasło „głosujemy bez skreśleń", większość ludzi nie wchodziła w ogóle do kabin, tylko automatycznie wrzucała kartki do urn. Ja sam po otrzymaniu kartki nawet jej demonstracyjnie nie czytając, wrzuciłem do urny. Ale z wyborami wiązało się pewne wydarzenie. Zastępca dyrektora wydziału kultury WRN, który pomagał w organizowaniu filharmonii, pełnił – jak inni urzędnicy – przy wyborach dyżur z ramienia wojewody w jakimś miasteczku. W czasie tego dyżuru upił się i podobno nawet z kimś pobił. Od razu następnego dnia wyrzucono go z PZPR i dyscyplinarnie zwolniono z pracy. Niebawem wyjechał z Wałbrzycha, gdyż miał trudności ze znalezieniem posady. Był to bowiem tzw. przeciętniak, a na stanowisko kierownicze dostał się wyłącznie dzięki legitymacji partyjnej. Ludzie z wałbrzyskiego środowiska kultury, którzy go znali, zastanawiali się głośno nad przyczynami tak głupiego postępku.

Dotarły do mnie informacje, że po atakach prasy wrocławskiej na pomysł powołania filharmonii w Wałbrzychu, odezwali się z kolei publicyści warszawscy. Zapewne „podpuszczeni" przez znajomych muzyków wrocławskich. Zbigniew Pawlicki, mój otwarty wróg od czasu, kiedy w Szczecinie zrezygnowałem z jego prelekcji, napisał pogardliwie o „powiatowych ambicjach". W innej relacji użyto określenia „gminne ambicje". Zdzisław Sierpiński – jak mi mówiono – zaatakował od innej strony. Przytoczył dane, zresztą prawdziwe, o brakach kadrowych w orkiestrach i stwierdził, że powstanie nowej filharmonii będzie szkodliwe dla muzyki polskiej. Mocne słowa! Brakowało jeszcze tak często używanych w polityce określeń jak: sabotaż czy dywersja. Nie wiem czy słuszne było podanie przeze mnie w tych wspomnieniach nazwisk obu panów. Miałem określone zdanie o ich morale na podstawie paru faktów. W swoim czasie mieli wpływ na życie muzyczne w naszym kraju. A potem okazało się, że na trwale nie zapisali się właściwie niczym. Może nie powinienem był upamiętniać ich nazwisk?

I jeszcze parę spraw wartych odnotowania w pierwszym półroczu 78 roku. Pierwsze to dwa spotkania: jedno w wydziale kultury Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu, a drugie w siedzibie SPAM w Warszawie. Na pierwszym dyrektorzy opery i filharmonii zarzucili mi nielojalność, ponieważ – jak to określili – podkupuję im muzyków. Odpowiedziałem, że po pierwsze to nie są „ich muzycy", ale tegoroczni absolwenci PWSM. A chcą przyjść do mnie, ponieważ zapewniam tym młodym ludziom lepsze warunki życia i pracy, dając mieszkania i wyższe płace. A po drugie muszę być przede wszystkim lojalny wobec wałbrzyskich władz, wobec których zobowiązałem się do stworzenia filharmonii. Jak można było przewidzieć, spotkanie do niczego nie doprowadziło.

W SPAM-ie tematem spotkania były trudności kadrowe polskich orkiestr. Wszyscy poza mną narzekali. I tam również nic nie wyniknęło z parogodzinnego gadania. Wszyscy wiedzieliśmy, że problemem są niskie na ogół pensje i brak mieszkań. A na to żaden dyrektor filharmonii czy opery nie miał wpływu.

I druga sprawa, o której warto wspomnieć. Na koniec czerwca miałem już zgłoszenia około 50 muzyków z całej Polski. Tak więc mogłem się spodziewać, że od 1 września razem z muzykami wałbrzyskimi stworzę prawie pełną 70-osobową orkiestrę. Pamiętam, że trudno mi było w to uwierzyć.

Koncerty w Czechosłowacji

W połowie sierpnia 78 muzycy zaczęli ćwiczyć z II dyrygentem, a ja rozpocząłem przygotowania do nowego roku szkolnego i przede wszystkim otwarcia w listopadzie filharmonii. Biuro Projektowe zgodnie z obietnicą dostarczyło 31 sierpnia pełną dokumentację. Teraz wszystko zależało od przedsiębiorstw budowlanych. Pani Mikowa zwołała dyrektorów i wręczyła im nominacje na członków Komitetu Budowy Filharmonii. Było to zręczne posunięcie taktyczne, ponieważ w pewnym sensie czyniło ich współodpowiedzialnymi za terminowe wykonanie prac. A poza tym poczuli się wyróżnieni. Widziałem na twarzach dyrektorów satysfakcję, kiedy odbierali nominacje. Wszystkie prace miał koordynować I sekretarz Komitetu Miejskiego, Jerzy Karykowski. Dzięki jego energii oraz – co muszę przyznać – bezwzględnemu traktowaniu dyrektorów przedsiębiorstw budowlanych, wszystkie prace zostały zakończone przed koncertem inauguracyjnym. Gdyby nie Karykowski oraz wcześniej wspomniani: Grochmalicki, Trembulak i Mikowa – filharmonia w ogóle by nie powstała. Zwłaszcza w tak niewiarygodnie krótkim okresie czasu. Dzisiaj, po upływie prawie 30 lat, mogę stwierdzić z całą pewnością, że byli prawdziwymi współtwórcami filharmonii.

Chciałbym jeszcze wspomnieć, że w końcu czerwca odbył się koncert dyplomowy dwóch absolwentów wrocławskiej PWSM, którzy od września mieli u nas pracować. Akompaniowała mała orkiestra, złożona z wałbrzyskich muzyków oraz paru doangażowanych studentów ostatniego roku, którzy również mieli podjąć pracę w Wałbrzychu po skończeniu studiów. Koncert prowadził nowy II dyrygent. Wałbrzyscy muzycy w ciągu minionych miesięcy zrobili niewątpliwe postępy, co dobrze rokowało na przyszłość.

1 września na estradzie zasiadło 69 muzyków. Gwoli prawdy muszę dodać, że inne „źródła" podają liczbę 67. Większość muzyków nie miała skończonych 30 lat. Był to dla mnie piękny dzień. Powinienem raczej napisać „byłby", ponieważ w tym samym okresie skomplikowały się moje sprawy osobiste, ale o tym napiszę w innym miejscu w osobnym

rozdziale. W wyniku tych komplikacji, a może z przepracowania, zacząłem odczuwać sercowe dolegliwości. Zawieziono mnie do szpitala i tym razem wyniki badań były fatalne. Okazało się, że mam nie tylko początki choroby wieńcowej, ale także wyraźny stan przedzawałowy. Lekarka chciała zatrzymać mnie w szpitalu i wyłączyć natychmiast z pracy. Powiedziałem jej, że to absolutnie niewykonalne aż do połowy grudnia. Rozłożyła bezradnie ręce i zwróciła mi uwagę, że istnieje ryzyko zawału. Na to ja rozłożyłem ręce i odparłem, że zdaję sobie z tego sprawę. Umówiliśmy się na kolejne badania za 2-3 tygodnie. Przepisała mi parę lekarstw, w tym nitroglicerynę. No i wróciłem do pracy.

Odbył się pierwszy koncert kameralny „Przy kawie i świecach". W programie muzyka starowłoska i sonety Petrarki. I moje tzw. słowo wiążące. Była to nowość w Wałbrzychu i może dlatego sala w MPiK-u była pełna, a powodzenie duże. I co ważne – wykonawcy wyłącznie wałbrzyscy.

30 września odbył się wreszcie pierwszy koncert orkiestry symfonicznej. Można go uznać za historyczny. Ponieważ sala była w trakcie prac budowlanych, koncert odbył się bodajże w auli jakiejś szkoły. Niestety zapomniałem jakiej. Zastanawiające, że tak ważne wydarzenia nie pozostają w pamięci ze wszystkimi szczegółami. Zapomniałem również czy odbył się za zaproszeniami, czy wstęp był wolny, czy też może sprzedawano bilety. Oczywiście obecne były wszystkie władze wojewódzkie i miejskie. O mojej tremie nie warto teraz wspominać. W programie były utwory przygotowywane przez cały miesiąc na koncerty do Czechosłowacji. Poza dyrygowaniem musiałem również zapowiadać. Muzycy wystąpili po raz pierwszy w nowo uszytych frakach. Były to podobno pierwsze fraki w historii polskiego Wałbrzycha. Spółdzielnia krawiecka bała się przyjąć zamówienie, ponieważ dotąd nigdy nie szyła fraków. Miałem świadomość, że nawet w takich drobiazgach tworzyłem historię miasta. No i warto dodać humorystyczny szczegół. Ostatnie fraki, czarne pantofle i skarpetki przywieziono dopiero na pół godziny przed rozpoczęciem koncertu. Absolutne szaleństwo!

Orkiestra – jak pamiętam – grała gorzej niż na próbach. Zbyt dużo indywidualnych pomyłek i brak zespołowej precyzji. Ale powodzenie było nadspodziewanie duże. A przecież większość obecnych, z przedstawicielami władz włącznie, prawdopodobnie po raz pierwszy słyszała dużą orkiestrę symfoniczną.

W następnych dniach po tym koncercie, który był zarazem próbą generalną przed wyjazdem do Czechosłowacji, miałem jeszcze dwie próby. Na pierwszej poprawiałem błędy z koncertu, a na drugą przyjechała Halina Czerny-Stefańska. O niej napiszę osobno w rozdziale poświęconym solistom mojego życia. Halinę poznałem w 1948 roku, zanim zdobyła I nagrodę na Konkursie Chopinowskim. Zachwyciła wykonaniem utworów Chopina, a szczególnie – co utkwiło mi w pamięci – Poloneza Zarębskiego. A potem, już jako dyrygent, miałem z nią wiele koncertów w różnych miastach, z Warszawą włącznie. Nic zatem dziwnego, że łączyły mnie z Haliną i jej mężem Ludwikiem przyjacielskie stosunki. Dlatego zaprosiłem ją jako solistkę na otwarcie filharmonii i „przy okazji" na pierwszy wyjazd za granicę. I - jak sądzę – Halina te propozycję przyjęła również z powodu tych przyjacielskich stosunków. A warto pamiętać, że w latach siedemdziesiątych była światowej sławy pianistką i miała za sobą występy z największymi i najlepszymi orkiestrami. Poza tym była wymagającą solistką i słyszałem, że potrafiła na próbach w kraju i za granicą robić awantury, jeśli dyrygent lub orkiestra nie spełniali jej wymagań. Dlatego bardziej się bałem spotkania na próbie z Haliną niż występu przed publicznością.

Na szczęście próba przebiegła pomyślnie. Muzycy starali się grać jak najlepiej, a ja,

znając na szczęście interpretacje Haliny, podporządkowałem akompaniament jej życzeniom. Po zakończeniu próby oświadczyła publicznie, że „nie gracie gorzej niż inne stare orkiestry". Był to niewątpliwy komplement, uwzględniając fakt, że młodzi muzycy grali koncert e-moll Chopina po raz pierwszy.

Czas na wspomnienia z wyjazdu do Czechosłowacji. Choć odbył się w ramach oficjalnej wymiany pomiędzy województwem wałbrzyskim a okręgiem wschodnio-czeskim, dała o sobie znać zadawniona niechęć Czechów do Polaków. Od początku drobne szykany: w sali, w której mieliśmy grać, nie było na estradzie pulpitów (schowano je do magazynu), muzyków zakwaterowano w szkolnym internacie o niskim standardzie (tylko Halina i ja mieszkaliśmy w hotelu). A w dodatku zaplanowano, że zaraz po drugim koncercie orkiestra wyjedzie na noc do Wałbrzycha. Dopiero po moich licznych interwencjach zabezpieczono dla muzyków nocleg w jakimś ośrodku domków kempingowych. Wywołało to kolejną awanturę, którą warto opisać.

Kiedy muzycy po drugim koncercie około godziny 22 przyjechali do domków, okazało się, że panuje w nich wyjątkowo niska temperatura. Niektórzy, przeklinając, położyli się spać w ubraniach, ale inni poszli do baru znajdującego się na terenie ośrodka. Tam rozgrzewali się alkoholem. O północy pracownik baru powiedział, że zamyka bar. Na to muzycy oświadczyli, że nie wyjdą. Wywiązała się awantura, w wyniku której Czech uderzył widelcem czy korkociągiem w twarz jednego z muzyków i wezwał milicję.

Wczesnym rankiem obudził mnie w hotelu telefon. Wezwani przez Czecha oficerowie MO poinformowali mnie o nocnych wydarzeniach i prosili, abym pojechał z nimi do ośrodka. Na miejscu zastaliśmy wzburzonych muzyków i obejrzeliśmy zranionego skrzypka. Polscy i czescy oficerowie nie bardzo wiedzieli, jak rozładować napięcie. Pamiętam, że szybko podjąłem decyzję. Stwierdziłem, że aby uniknąć „międzynarodowego konfliktu", należy uspokoić muzyków. W tym celu zaproponowałem: czescy gospodarze zafundują całej orkiestrze śniadanie, potem pozwolą im za otrzymane diety w koronach na zakup pamiątek, opóźnią wyjazd do godziny 12 i załatwią, aby na granicy nie było żadnej kontroli. Po krótkiej debacie Czesi przyjęli moje warunki. Kiedy zakomunikowałem to muzykom, nastrój zmienił się diametralnie. Dobrze pamiętam, z jaką ulgą przyjęli to rozwiązanie polscy i czescy oficerowie. I tak raz w życiu udało mi się zostać „dyplomatycznym mediatorem".

Czas wreszcie na relację z koncertów w Pardubicach i Hradec Kralove. Były niewątpliwym sukcesem. Owacje publiczności zaskoczyły i orkiestrę, i siedzące w I rzędzie władze czeskie i polskie. Widać to było na ich twarzach. Muzycy grali naprawdę przyzwoicie w sensie technicznym, a – jak sądzę – podbili publiczność młodością i temperamentem. I taki sukces w ostatecznym rozrachunku był najważniejszy.

Inauguracja

Z całą pewnością mogę dzisiaj, po upływie 28 lat, napisać, że okres przed otwarciem filharmonii był najbardziej pracowity w całym moim życiu. Od początku września do końca listopada 78 załatwiłem tak wiele najrozmaitszych i czasami przedziwnych spraw, że gdyby nie utrwalone codzienne zapiski – sam bym nie wierzył, że to możliwe. I w dodatku często jeżdżąc pomiędzy Wałbrzychem, Szczecinem, Warszawą i Wrocławiem, nie licząc takich miejscowości jak Lądek czy Kudowa. O ilości i różnorodności zajęć

świadczą zapiski z tamtego czasu. W październiku uzyskałem rozwód i wprowadziłem się do nowego mieszkania. Ze Szczecina zabrałem tylko książki, tapczan i regały. Paczek z książkami było 148 i do tego tylko 10 z nutami. Założyłem POP przy filharmonii: 5 członków i 6 kandydatów.

Zabawna historia. Odbyła się – jak mi mówiono – pierwsza w dziejach województwa wałbrzyskiego sesja WRN poświęcona kulturze. Przyjechał wiceminister kultury. Obejrzał „budująca się" salę i wyglądał na przestraszonego faktem, że dzieje się tutaj coś nielegalnego. Zapytał mnie, ilu zatrudniam pracowników. Odpowiedziałem, że około setki. Z ponurą miną zadał drugie pytanie – „A ile ma pan etatów?". Odparłem zgodnie z prawdą, że cztery. A on na to, że zapłacę karę za tak ogromne przekroczenie. Ja zaś z promiennym uśmiechem oświadczyłem, że „wliczyłem to w moją pensję". Istotnie, przekroczenie limitu zatrudnienia, jak wcześniej dla zabawy wyliczyliśmy z główną księgową, wynosiło 2 500%! To chyba rekord. A potem na sesji po raz pierwszy przemawiałem, oczywiście o filharmonii, jej budowie, koncertach w Czechosłowacji, listopadowej inauguracji i dalszych planach, o jej znaczeniu dla województwa i w ogóle o roli muzyki dla rozwoju społeczeństwa. Adresowałem zarówno do lokalnych władz, radnych jak i wiceministra.

Ponieważ mieszkania dla muzyków były jeszcze „w stadium budowy" wojewódzki komendant MO „pożyczył mi 15 lokali", które oczywiście zobowiązałem się oddać po Nowym Roku. Dzięki temu mogłem dać klucze najważniejszym dla orkiestry muzykom, np. koncertmistrzowi.

W poniedziałek, 20 listopada odbyła się pierwsza próba na nowo budowanej estradzie w wyremontowanej sali. Śmierdziało farbami i lakierami tak mocno, że wszystkim łzawiły oczy, a co wrażliwszych rozbolały głowy. A kiedy my graliśmy, robotnicy z hukiem rozbierali rusztowania. Byłem pewien, że muzycy w „starych" orkiestrach nie zgodziliby się grać w takich warunkach. Ale moja młoda orkiestra pracowała z zapałem. W czasie następnych prób sprzątano salę, a zapach środków czyszczących był również uciążliwy. Potem montowano fotele, a łoskot czasami zagłuszał piana orkiestry.

Po poniedziałkowej próbie Orkiestra Kameralna dała swój pierwszy koncert bodajże – o ile pamiętam – na otwarcie nowej biblioteki w jakimś miasteczku. Tak właśnie zaplanowałem. Gdzie nie będzie dużej estrady mieszczącej orkiestrę symfoniczną, tam wystąpi kameralna.

W środę późnym wieczorem otrzymałem telefon od Ludwika Stefańskiego, że Halina jest chora i nie przyjedzie na inaugurację. Omal nie zemdlałem. Nie bardzo pamiętam, jakich używałem argumentów, aby zmienić jej postanowienie. Następnego dnia rano zastałem w biurze telegram, odwołujący koncert. Byłem tak zdruzgotany, że nie zauważyłem, iż był wysłany przed rozmową telefoniczną. Ale zanim zdążyłem podjąć jakąkolwiek decyzję, zatelefonował Ludwik i oznajmił, że jednak Halina, rozumiejąc sytuację, przyjedzie. Będziemy musieli jednak odebrać ją z dworca we Wrocławiu i przywieźć samochodem do Wałbrzycha. Oczywiście obiecałem spełnić ten warunek.

Ponieważ na pierwszy koncert w piątek, 24 listopada, zabrakło zaproszeń, mnóstwo nieznanych mi, a ważnych osób, obraziło się. I tak powiększył się krąg przeciwników filharmonii. Na sobotę zaplanowałem powtórzenie piątkowego koncertu, tym razem „za biletami". Również zostały błyskawicznie sprzedane.

Wracając do czwartku, to po zakończeniu próby odbył się koncert dla młodzieży szkolnej. Był to sprawdzian akustyki, która okazała się nadspodziewanie dobra. Późnym południem przyjechał Chór Politechniki ze Szczecina i wieczorem odbyła się próba „Harnasi". A w piątek rano próba generalna całości z Haliną, Chórem i Andrzejem Bachledą.

O koncercie, otwierającym nową filharmonią, mógłbym jeszcze dzisiaj napisać szczegółową relację. Takich wydarzeń nigdy się nie zapomina. Górnicy w odświętnych strojach witali w holu gości. To pomysł pani Mikowej, aby ułagodzić „lobby górnicze", które straciło mieszkania na rzecz filharmonii. Z Warszawy przyjechali zaproszeni dziennikarze, co zaowocowało grzecznościowymi sprawozdaniami. Z Komitetu Centralnego PZPR przyjechał zastępca kierownika Wydziału Kultury, ale z ministerstwa tylko urzędnik średniego szczebla – zastępca dyrektora departamentu. Przedstawiciele władz wałbrzyskich uznali to za celowy afront, gdyż na otwarciu nowej instytucji artystycznej powinien był być minister. Ale ja rozumiałem, że nie mógł swoją obecnością „zaklepać" nielegalnej filharmonii. W czasie koncertu raz zgasło (szczęśliwie na krótko) światło, raz nastąpiło jakieś sprzężenie (co zniszczyło nagranie radiowe), a jeden z reflektorów zainstalowanych przez telewizję tak oślepiał Halinę, że siedzący w pierwszym rzędzie Grochmalicki wstał i odwrócił reflektor. Te wszystkie zdarzenia nie mogły jednak zepsuć uroczystego nastroju oraz niekłamanego entuzjazmu słuchaczy. Tym istotniejszego, że nie byli to melomani, a tzw. oficjele. A ja mogłem powiedzieć sobie, że spełniłem podjęte zobowiązanie: filharmonia stała się faktem.

Dwadzieścia lat później w jubileuszowej monografii Bolesław Marciniszyn, ostatni wojewoda wałbrzyski, zresztą z nadania AWS, napisał m.in.: „politycy odchodzą, województwa przemijają, a Filharmonia Sudecka pozostaje". Nic dodać, nic ująć. A słowa te były tym ważniejsze, że nie istniały już wówczas kopalnie.

Po koncercie odbyła się dla wybranych osób kolacja w Zamku Książ. Pamiętam, że byłem tak zmęczony, że nie rozumiałem, co się wokół dzieje. Ale musiałem siedzieć jako tzw. bohater wieczoru. W pewnym momencie poczułem za sobą zapach alkoholu i ktoś objął mnie ramieniem. Usłyszałem – „Nie martwcie się, towarzyszu dyrektorze, będziecie mieli tę swoją filharmonię". Pamiętam tę wypowiedź słowo po słowie. Był to z lekka podpity zastępca kierownika wydziału kultury KC, w tamtych czasach ważniejszy niż minister. Muszę przyznać, że obietnicy dotrzymał. Ale o tym później.

Pani Mikowa była jedyną osobą, która zauważyła moje zmęczenie i „odesłała" swoim samochodem do domu. A następnego dnia, w sobotę, 26 miałem rano próbę z solistami, chórem i orkiestrą do „Stabat Mater" Szymanowskiego, którym to dziełem otwieraliśmy w niedzielę „Tryptyk Wałbrzyski", trzydniowy festiwal oratoryjny w Kościele Aniołów Stróżów. Po tej próbie od razu druga próba Orkiestry Kameralnej, ponieważ o godz. 16.30 graliśmy na rozdaniu nagród Konkursu Poetyckiego „O Złotą Lampkę Górniczą". To mający już paroletnią tradycję konkurs, ale nagrodzone wiersze nie były najwyższego lotu. Rozdanie nagród odbywało się w ratuszu i dlatego zdążyliśmy dobiec na powtórzenie koncertu inauguracyjnego o godz. 19 w filharmonii. Dzisiaj, z perspektywy lat mogę określić tamte dni jako „zwariowane". W niedzielę, 27 rano próba generalna „Stabat Mater", a wieczorem koncert. Zaś potem spotkanie całej orkiestry z przedstawicielami władz wałbrzyskich na kolacji w jakiejś restauracji. I znowu powtórzyła się sytuacja z piątku. Nie wypadało, abym wyszedł wcześniej niż zaproszeni goście. Na szczęście od poniedziałku czekała dygnitarzy praca i o godz. 1 w nocy mogłem razem z innymi opuścić restaurację. O ile pamiętam, muzycy zostali niemal do rana, ponieważ mieli dwa dni wolne. Ja zaś musiałem pilnować przez te dni następnych koncertów „Tryptyku". I tak zakończyły się uroczystości związane z otwarciem filharmonii.

Co dalej

W tygodniu po inauguracji poza normalnymi zajęciami w filharmonii i szkole, złożyłem dwie wizyty: Grochmalickiemu i Mikowej. Druga odbyła się na jej zaproszenie i obejmowała parę osób, które włożyły najwięcej wysiłku przy otwarciu filharmonii. Były to podziękowania i gratulacje oraz pochwały pod moim adresem. Natomiast wizyta u Grochmalickiego była krótka i ciekawa. Kiedy skończyłem dziękować mu za to wszystko, co zrobił dla powstania filharmonii, powiedział:

- To ja wam dziękuję, towarzyszu dyrektorze. Gdyby inauguracja się nie udała, dzisiaj nie byłbym już pierwszym sekretarzem.

Przypomniała mi się wtedy historia pewnego donosu. Pracownicy kina „Polonia", w którym mieściła się również filharmonia, napisali do Jaroszewicza list oskarżający lokalne władze o zlikwidowanie sklepu mięsnego, aby zrobić hol dla filharmonii oraz o chęć zamknięcia kina. Na skutek tego donosu, przyjechał do Wałbrzycha specjalny wysłannik premiera, aby zbadać sprawę na miejscu. Nie znałem przebiegu rozmów, ale jak słyszałem, były bardzo nieprzyjemne. Po słowach Grochmalickiego uświadomiłem sobie, że zapewne rzucił na szalę autorytet I sekretarza. Może wziął sprawę powołania filharmonii na swoją osobistą odpowiedzialność?

Pozytywna reakcja warszawskich dziennikarzy i entuzjastyczne sprawozdania prasy lokalnej i delegatur czasopism wrocławskich potwierdziły słuszność decyzji o powołaniu filharmonii i wzmocniły pozycję Grochmalickiego. A istotnie, to co pisały gazety, mogło przyprawić o przysłowiowy zawrót głowy. Nigdy ani przedtem, ani potem nie czytałem tylu komplementów pod swoim adresem. W jednym artykule określono mnie jako „cudotwórcę z ulicy Moniuszki" (przy tej ulicy w budynku szkoły mieściło się moje biuro), co już było znaczną przesadą. W licznych wywiadach podkreślałem jednak, że inauguracja to dopiero początek. Aby stworzyć prawdziwą orkiestrę, potrzeba paru lat ciężkiej, systematycznej pracy. Nie chciałem, aby euforia spowodowana sukcesem, przewróciła młodym muzykom w głowie. Dlatego – jak pamiętam – na pierwszej próbie przed następnym koncertem, poza słowami podziękowania za ogromny wysiłek, wytknąłem błędy koncertu inauguracyjnego.

A potem zabrałem się do roboty. Kontynuowałem starania o powołanie w Wałbrzychu filii wrocławskiej PWSM. Rozmawiałem z dyrektorami domów kultury w dawnych miastach powiatowych na temat organizowania powtórzeń naszych piątkowych koncertów symfonicznych. Ku mojemu przyjemnemu zaskoczeniu, wszyscy byli chętni do współpracy. Przypuszczałem, że wpływ na ich pozytywny stosunek miał nasz sukces, tak bardzo nagłośniony. No i zapewne opieka I sekretarza KW. Dzięki tej współpracy przez szereg lat programy piątkowych koncertów wykonywaliśmy w coraz to innym mieście. Początkowo tylko w województwie wałbrzyskim, a po pewnym czasie także w jeleniogórskim i legnickim. Poczyniłem też starania, aby orkiestra brała udział w festiwalach. Tak się bowiem złożyło, że na Dolnym Śląsku od wielu lat odbywały się takie festiwale jak Chopinowski w Dusznikach, Moniuszkowski w Kudowie, Wieniawskiego w Szczawnie Zdroju i Muzyki Rosyjsko-Radzieckiej w Lądku. Po podziale administracyjnym wszystkie cztery znalazły się w granicach województwa wałbrzyskiego. Była to szansa dla orkiestry, aby pokazać się recenzentom prasy centralnej, a przede wszystkim czołowym solistom z kraju i zagranicy. A jednocześnie udowodnić, że warto było powołać w Wałbrzychu filharmonię, choćby tylko dlatego, aby „obsługiwała" festiwale. I rzeczywiście po pewnym czasie i przy

dużych staraniach udało się zapewnić udział wałbrzyskiej orkiestry we wszystkich czterech festiwalach.

W parę dni po inauguracyjnym koncercie zatelefonował do mnie dyrektor Dolnośląskiego Zjednoczenia Węglowego (nie pamiętam czy tak dokładnie brzmiała nazwa) z prośbą, aby orkiestra zagrała na tzw. Akademii barbórkowej w wałbrzyskim Górniczym Domu Kultury. Nie zastanawiając się ani chwili, wyraziłem zgodę. W Wałbrzychu górnictwo było – jak wiadomo – najważniejszą gałęzią przemysłu. W pierwszych tygodniach pracy poznałem hasło „Wałbrzych na węglu stoi". Górnicy mieli rozliczne przywileje, m.in. pierwszeństwo do otrzymania przydziałów mieszkaniowych. Występ na „barbórkowej" akademii umacniał pozycję nowej filharmonii, gdyż dotąd brały udział wyłącznie dęte orkiestry górnicze. Wybrałem jak najłatwiejsze do słuchania utwory i oczywiście sam je w przystępny sposób omawiałem. Powodzenie – jak pamiętam – mieliśmy duże, gdyż zgromadzeni górnicy i ich rodziny nigdy dotąd nie słyszeli orkiestry symfonicznej. Tak więc występ był dla nich niewątpliwą atrakcją. I co zabawne, podobał się władzom bardziej niż inauguracyjny, co jest zrozumiałe z uwagi na program. Mazur z „Halki" jest łatwiejszy w odbiorze niż taniec góralski z „Harnasi", a krótkie fragmenty z „Carmen" niż cały 40-minutowy koncert Chopina. Nic zatem dziwnego, że władze z Grochmalickim na czele „zamówiły się" na pierwszy w historii filharmonii (a może i Wałbrzycha) koncert karnawałowy w styczniu. Sala była oczywiście pełna, a powodzenie wyjątkowo duże. Musiałem bisować zakończenie zamykających program „Preludiów". I na marginesie zabawny szczegół. W czasie rozmowy z Grochmalickim, o której pisałem, wyraził żartobliwą pretensję, że siedząc na inauguracyjnym koncercie w pierwszym rzędzie, widział tylko buty muzyków. Odpowiedziałem, że to nie filharmonia wyznaczała miejsca lecz Wydział Kultury. A przy okazji zwróciłem również „na wesoło" uwagę, że zwyczaj sadzania prominentów w I rzędzie jest błędny w odniesieniu do koncertów. W większości sal odstęp między I rzędem a wysoką estradą jest mały i słuchacze nie tylko nie widzą całej orkiestry, ale przede wszystkim mają gorszy odbiór muzyki. I zaproponowałem Grochmalickiemu, że na następnym koncercie znajdę dla niego i „świty" lepsze miejsca. Zgodził się i odtąd władze siedziały bliżej końca sali, gdzie podłoga była nieco wyższa, co zapewniało lepszą widoczność i słyszalność.

Okres otwarcia filharmonii i pierwszych miesięcy działalności został najlepiej udokumentowany przez prasę i kolejne monografie. Dlatego nie będę tutaj szerzej się nim zajmował. Zainteresowanych odsyłam do właściwych publikacji. Rok 1979 i pierwsze półrocze 80 wypełniała praca przy podnoszeniu poziomu orkiestry i powiększaniu składu, załatwianiu mieszkań, zakupu instrumentów. A ja sam dyrygowałem zarówno w Wałbrzychu jak i w innych miastach. Nagrałem w Filharmonii Narodowej płytę. Kupiłem działkę w tzw. Pracowniczych Ogródkach Działkowych i wybudowałem (oczywiście nie ja, ale murarz!) altankę oraz studnię. Doprowadziłem do opracowania projektu rozbudowy filharmonii. Był to śmiały plan. Z dwóch domów miano w ciągu 2-3 lat wykwaterować kilkunastu lokatorów i stworzyć jeden wielki obiekt. Z powiększoną salą koncertową, małymi salami prób i podziemnym parkingiem. Opracowałem nawet wstępny kosztorys, dziś już nie pamiętam, w jakiej wysokości.

Przeniosłem szkołę do nowego budynku i zaprojektowałem jej rozbudowę: aulę na 200 słuchaczy, internat, stołówkę i kilkadziesiąt nowych klas. Pierwsze szkice projektu były już gotowe.

Najśmielszy plan opiszę bardziej szczegółowo, gdyż charakteryzuje mój tok myślenia. Na wiosnę 80 roku poprosiłem o rozmowę z I sekretarzem KW. W tamtych czasach dzięki

moim tzw. sukcesom na różnych polach działalności, miałem ułatwiony dostęp do wszystkich miejscowych dygnitarzy. Kiedy usiedliśmy, powiedziałem, co dokładnie pamiętam:

- Towarzyszu sekretarzu, musimy w Wałbrzychu zbudować operę.

On tylko jęknął i powiedział – „Jezus, Maria", co niezbyt pasowało do zajmowanej funkcji. A potem zapytał:

- Towarzyszu dyrektorze, czy musicie ciągle mieć nowe pomysły?

Obaj zaczęliśmy się śmiać. Wytłumaczyłem, że przygotowanie projektu i opracowanie pełnej dokumentacji może trwać do pięciu lat. A budowa aż 15. W tej sytuacji otwarcie opery byłoby dopiero za 20 lat. Pamiętam, że powiedziałem:

- W roku 2000 przyszli mieszkańcy Wałbrzycha, który przy dalszym rozwoju może liczyć 200 000 obywateli, zapytają: „Kto rządził w roku 1980 i nie przewidział, że w tak dużym mieście powinna być opera?".

Grochmalicki pokiwał głową i odparł z powątpiewaniem:

- Przy obecnej katastrofalnej sytuacji gospodarczej nikt w Warszawie nie zaakceptuje otwarcia inwestycji pod tytułem „Opera".

Pomyślał przez chwilę i dodał:

- Ale może znajdziemy sposób. Spróbujemy znaleźć inny tytuł: na przykład Osiedlowy Dom Kultury dla dwóch dzielnic, Piaskowej Góry i Podzamcza. To razem pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, a docelowo siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt. Dlatego budowę Domu Kultury może udałoby się w Warszawie wywalczyć. A potem, po paru latach, już w czasie realizacji, dokona się małych zmian w dokumentacji i powstanie wasza opera.

Po tych słowach poprosił sekretarkę, aby połączyła go z prezesem Spółdzielni Mieszkaniowej „Podzamcze". Prezesowi powiedział krótko:

- Przyjedzie do was dyrektor Wiłkomirski. Załatwcie sprawę, którą wam przedstawi.

Umówiłem się z prezesem i od razu do niego pojechałem. Tam raz jeszcze, bardziej szczegółowo, przedstawiłem mój pomysł. Muszę przyznać, że prezes zapalił się do niego. Uznał, że tzw. wielofunkcyjny dom kultury na wzór niemieckich, miał szanse na realizację. Postanowiliśmy, że od jesieni zabierzemy się do roboty. Niestety – jak wiadomo – wydarzenia sierpnia 80 raz na zawsze przekreśliły moje „dumne" plany.

Aha, zapomniałem napisać, że otrzymałem tytuł „Wałbrzyszanina Roku 78", a w roku 1979 nagrodę Miasta Wałbrzycha oraz Krzyż Oficerski Orderu „Polonia Restituta". Zaś na początku 80 roku jeszcze tytuł „Zasłużony dla miasta Wałbrzycha". Tak więc zaszczyty spływały na mnie seryjnie. Niestety za wszystko trzeba płacić. W lutym 80 roku musiałem poddać się operacji żylaków prawej nogi, ponieważ dostałem zakrzepowego zapalenia żył. To również warto opisać.

Jeszcze wiosną 79 zaplanowałem na koniec stycznia 80 koncert złożony wyłącznie z utworów Straussa w pierwszej części i Gershwina w drugiej. Kiedy ta informacja dotarła do publicznej wiadomości, zainteresowanie przekroczyło moje najśmielsze oczekiwania. Warto dodać, że był to pierwszy tego typu koncert w historii Wałbrzycha. Takich szlagierów jak „Błękitna rapsodia" czy „Amerykanin w Paryżu" nigdy dotąd nie słyszano na żywo. Jak to się mówi „na pniu" sprzedaliśmy 10 koncertów: 5 w Wałbrzychu (w tym dwa zamknięte dla liceów) i 5 w innych miastach województwa. Jak na złość w dniu pierwszego koncertu prawa noga stwardniała, z lekka pozieleniała i zaczęła boleć. Dyrygowanie w tych warunkach było prawdziwą torturą. Przed koncertem w Kłodzku poczułem się tak źle, że wezwano karetkę pogotowia. Lekarz oczywiście zabronił mi dyrygowania i chciał natychmiast zabrać do szpitala. Kiedy stanowczo odmówiłem, zaaplikował mi jakiś zastrzyk i przepisał lekarstwa,

po które ktoś pobiegł do apteki. No i zadyrygowałem koncert, kilkakrotnie bisując.

W Wałbrzychu zawieziono mnie do chirurga, który potwierdził diagnozę kłodzkiego lekarza pogotowia i kazał leżeć nieruchomo. A ja miałem przed sobą jeszcze pięć koncertów. Na nic się zdały tłumaczenia chirurga, że przy zakrzepowym zapaleniu żył każdy krok może spowodować nawet zgon, jeśli skrzep oderwie się i powędruje do serca. Przyznałem rację lekarzowi i… pojechałem dyrygować. Dopiero jak skończyłem ostatni, dziesiąty koncert, posłusznie położyłem się do łóżka. Przy pomocy zastrzyków zlikwidowano stan zapalny. Wtedy zabrano mnie do szpitala i operowano. A trzeciego dnia wymogłem na ordynatorze, aby pozwolił mi wrócić do domu, ponieważ w warunkach szpitalnych nie mogłem spać, pomimo że miałem osobny pokój.

O ile pamiętam, już po tygodniu rekonwalescencji w domu, zacząłem jeździć do pracy: rano taksówką do filharmonii, w południe taksówką do szkoły i wieczorem znowu taksówką do domu. Oczywiście na własny koszt. Do głowy by mi nie przyszło, że mógłbym za państwowe pieniądze jeździć taksówkami. Muszę zaznaczyć, że Małgorzata, moja późniejsza żona, na wiadomość o chorobie zamieszkała u mnie. Bez jej pomocy nie dałbym sobie rady. Dziewczyna zaryzykowała tzw. dobre imię, co dowodzi odwagi, charakteru i uczucia.

Zapomniałem napisać, że w pierwszych dniach grudnia 79 włamano się do mojego mieszkania przez balkon. Na szczęście wróciłem wcześniej i spłoszyłem złodziei. Dzięki niezwykle sprawnej akcji MO, co muszę uczciwie przyznać, już po paru godzinach otrzymałem telefoniczną wiadomość o zatrzymaniu złodziei. Następnego dnia rano odebrałem prawie wszystkie rzeczy, a przede wszystkim kożuch i aparat fotograficzny. W wyniku tego zdarzenia w lecie zainstalowałem na obu balkonach kraty.

I już chyba ostatnia ważna relacja z tamtego okresu. Na wiosnę 80 zapytałem Małgorzatę czy chce zostać moją żoną. Przyjęła tzw. oświadczyny i wyznaczyliśmy datę ślubu na sierpień. To wydarzenie opiszę w osobnym rozdziale poświęconym żonom i innym kobietom mojego życia.

Muszę jeszcze wspomnieć, że w pierwszym półroczu 80 miałem parę propozycji objęcia różnych stanowisk, np. pierwszego rektora nowej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Bydgoszczy, która miała powstać od 1 października 80 roku. Kolejną propozycją było stanowisko kierownika muzycznego Operetki Warszawskiej. O ile pamiętam, w tej sprawie telefonował osobiście nowo mianowany dyrektor, znany aktor Ryszard Pietruski. A przedstawiciele orkiestry Filharmonii Wrocławskiej wręcz prosili, abym od nowego sezonu został dyrektorem tej instytucji. Za wszystkie propozycje podziękowałem. To zabawne; przez sześć lat bezrobocia nie miałem tak konkretnych propozycji. Czyżby wieść o moich osiągnięciach w Wałbrzychu podniosła moje „akcje”?

Rozdział XXXIII

PAMIĘTNE LATA 1980/81

Powstanie „Solidarności”

W lipcu 80 zaczęły do mnie dochodzić wiadomości o strajkach w Lublinie. Oczywiście przedstawiciele władz, z którymi rozmawiałem, bagatelizowali je. Twierdzili, że strajki mają niewielkie rozmiary, a ich źródłem są trudności w zaopatrzeniu. W Wałbrzychu również odczuwałem braki w towarach codziennego użytku. Jednego dnia nie było wystarczającej ilości mleka, drugiego – chleba. Największe kłopoty wystąpiły w regularnym zaopatrzeniu w mięso i wędliny. Nic więc dziwnego, że ludzie coraz głośniej wyrażali swoje niezadowolenie. Raz jeszcze potwierdzało się stare spostrzeżenie, że społeczeństwa nie interesują problemy gospodarcze w tzw. skali makro, ale to co można znaleźć i kupić w sklepach. Okazało się, że przeciętny obywatel, w każdym razie w Wałbrzychu, ma więcej pieniędzy niż może za nie kupić najbardziej potrzebnych towarów.

Ponieważ te wspomnienia nie są książką historyczną, ograniczę się wyłącznie do relacjonowania tego, co widziałem i słyszałem w tamtym okresie. Później, czasem dopiero po kilkunastu latach, dowiedziałem się o różnych przyczynach i rozmiarach ówczesnych strajków. Ale tutaj będę pisał tylko o tym, co widziałem wtedy, w owym pamiętnym lecie 80 roku. Muszę niestety ze wstydem przyznać, że nie przewidziałem dalekosiężnych skutków lipcowych i sierpniowych strajków i protestów. I nie mogę się teraz pocieszać, że chyba nikt ich nie przewidział: ani politycy, ani naukowcy. Dopiero w roku 1989 zrozumiałem, że byłem wtedy świadkiem prawdziwej rewolucji, choć na szczęście prawie bezkrwawej. Tzw. transformacja ustrojowa była rewolucyjnym przewrotem, który mógł przekształcić się w wojnę domową. Chwała tym, którzy jej zapobiegli.

Jak już pisałem, 16 sierpnia odbył się ślub i następnego dnia ojciec Małgorzaty odwiózł nas do Lądka na tzw. miodowy miesiąc, który de facto ograniczył się do jednego tygodnia. Na więcej nie mogłem sobie pozwolić z uwagi na zajęcia w filharmonii. Śmiałem się z tego ograniczenia „miodu” do zaledwie jednego tygodnia. W Lądku mieszkaliśmy w wojskowym ośrodku wypoczynkowym, gdzie „po znajomości” zarezerwowano dla nas apartament generalski. Bardzo duży pokój z kolorowym telewizorem i łazienką z ubikacją. Na posiłki chodziliśmy do znajdującego się obok sanatorium. Z telewizji dowiadywaliśmy się, o coraz to nowych strajkach. Po Lublinie Wybrzeże. Nawet ustąpienie premiera Babiucha (czy poza historykami ktoś jeszcze pamięta to nazwisko?) nie poprawiło sytuacji. Coraz to nowe żądania i coraz to nowe ustępstwa władz. Zauważyłem, że strajki z gospodarczych zaczęły zamieniać się na polityczne. Z tym że przede wszystkim godziły w gospodarkę. Rozumiałbym tzw. strajki ostrzegawcze, po których następowałyby negocjacje. Ale zatrzymywanie produkcji w kolejnych zakładach pracy szkodziło całemu krajowi. Tak wówczas uważałem.

Pod koniec sierpnia zastrajkowały wałbrzyskie kopalnie. A potem komunikacja miejska. Czekających na przystankach ludzi zabierały przejeżdżające samochody osobowe. Objawiła się, jakże niestety rzadka w naszym społeczeństwie, solidarność. Już nie raz przekonałem się, że zwykli Polacy w momentach zagrożeń potrafią się jednoczyć. Szkoda tylko, że na bardzo krótko.

30 sierpnia podpisano w Szczecinie porozumienie pomiędzy rządem a strajkującymi. Władze zgodziły się na powstanie niezależnych od administracji związków zawodowych i następnego dnia miał ruszyć port i stocznia. 31 sierpnia podpisano również porozumienie w Gdańsku. Wówczas po raz pierwszy zobaczyłem Wałęsę. Ciekawe są moje zapiski na jego temat i warto je przytoczyć. Zwróciłem uwagę na częste używanie przez Wałęsę zaimka „ja" i jego odmian. Napisałem, że to wskazuje, iż jest niewyżytym przywódcą. Nazwałem go antypatycznym osobnikiem i „przepowiedziałem", że będzie przysparzał rządowi kłopotów. Nie domyślałem się wtedy jak wielkich. A moja młoda 20-letnia żona, spojrzawszy na minę Wałęsy, znaczek z Matką Boską w klapie i ogromny długopis, zawołała – „Cóż to za idiota!". Jeżeli określenie „idiota" oddzielimy od jego medycznej konotacji, to miała rację. Potocznie bowiem nazywamy idiotą głupka, bęcwała, zadufka, kabotyna, megalomana. Wszystkie te określenia pasują niestety do charyzmatycznego trybuna ludowego, którym był niewątpliwie Wałęsa. Będę jeszcze o tym pisał później.

A 1 września rozpoczął się „jak gdyby nigdy nic" nowy rok szkolny. Pomimo że kopalnie na Górnym Śląsku (a także w Wałbrzychu) nadal strajkowały. Ja zaś „jak gdyby nigdy nic" nie odwołałem Festiwalu Muzyki Rosyjskiej i Radzieckiej w Lądku. Pomimo obaw różnych dygnitarzy. Okazało się, że miałem rację. Nie było żadnych prowokacji, demonstracji czy bojkotu. Przeciwnie, koncerty miały znakomitą frekwencję. O ile pamiętam, jedną z solistek była Joanna Szczepkowska, recytująca rosyjskie poezje. Po paru dniach odwołano Gierka i większość członków jego ekipy. Nigdy nie byłem zwolennikiem Gierka, aczkolwiek wolałem go niż Gomułkę. Nie miejsce tutaj na szersze omówienie. Jeżeli starczy czasu, sprecyzuję w specjalnym rozdziale mój stosunek do różnych przywódców polskich i obcych.

11 września, pomimo zmian na najwyższych stanowiskach państwowych i partyjnych, w Urzędzie Wojewódzkim zorganizowano uroczystość z okazji 30-lecia mojej pracy dyrygenckiej. Byli sekretarze KW i KM oraz wojewoda z zastępcami. Wysłuchałem „hymnów pochwalnych" na moją cześć oraz przy okazji różnych informacji politycznych. Następnego dnia odbyła się inauguracja sezonu. Tym razem władze miejskie wręczyły mi przed koncertem dyplom z okazji przyznania tytułu zasłużonego obywatela miasta Wałbrzycha. Ja zaś przy okazji tego jubileuszu dokonałem w swoich zapiskach krótkiego podsumowania. Było szczere i gorzkie. Stwierdziłem, że potrafię wygłaszać rozmaite sentencje o życiu, ale sam nie stosuję ich w praktyce. I doszedłem do smutnego wniosku, że mogłem lepiej wykorzystać swoje zdolności.

W latach 78/79 byłem tak zajęty organizowaniem filharmonii i rozwijaniem szkoły, że sprawy tzw. wielkiej polityki wydawały mi się drugorzędne. Dlatego nawet wybór kardynała Wojtyły na papieża, a potem jego przyjazd do Polski w następnym roku nie wzbudził mojego zainteresowania. Podobnie jak obalenie straszliwego reżimu Czerwonych Khmerów w Kambodży czy utworzenie republiki islamskiej w Iranie. Mało uwagi poświęciłem także wyborowi Margaret Thatcher na premiera i interwencji ZSRR w Afganistanie. A przecież były to wydarzenia o znaczeniu historycznym, w dobrym czy złym znaczeniu tego określenia. Również w pierwszej połowie 80 roku sprawy zawodowe oraz osobiste przesłoniły kolejne wydarzenia w światowej polityce, jak np. śmierć Tito, zbojkotowana olimpiada w Moskwie, sankcje amerykańskie wobec ZSRR, wybór Reagana na prezydenta USA czy wybuch wojny

iracko-irańskiej. Wszystko to miało wpływ na życie milionów ludzi, pośrednio także na moje. I było wstępem do ogromnych zmian na świecie.

Dopiero wydarzenia sierpniowe zmusiły mnie do żywszego zainteresowania się polityką. Ale i tak nie wpłynęły na moją działalność zawodową. Już w październiku pojechałem z orkiestrą na trzy koncerty do NRD. Oczywiście znajomi Niemcy dopytywali się o sytuację w Polsce, ale tylko w rozmowie w tzw. cztery oczy. W listopadzie miałem koncerty w Gdańsku. Rozmawiałem z muzykami – członkami nowo powstałej „Solidarności". Pamiętam, że już wtedy powiedziałem im, że słabością związku są przeróżni frustraci i nieudacznicy, którzy swoje kompleksy będą leczyli agresją. I że na nienawiści, nawet usprawiedliwionej, nie da się zbudować niczego pozytywnego. Bliższa i dalsza przyszłość potwierdziła niestety moje przewidywania.

Koncerty w Olsztynie

Na początku grudnia otrzymałem telefon z Olsztyna od przewodniczącego „Solidarności" w tamtejszej filharmonii. Zaproponował mi aż cztery koncerty: dwa zwykłe abonamentowe i dwa w hali sportowej ku czci „Solidarności" ze specjalnym programem. Przy okazji poinformował mnie, że Janusz Przybylski przestał być już dyrektorem, a tymi koncertami to on właśnie miał dyrygować. Odpowiedziałem szczerze, że przyjmę propozycję pod warunkiem, że Przybylski nie wyrazi sprzeciwu. Ponieważ mój rozmówca nie mógł zrozumieć tego zastrzeżenia, wyjaśniłem, że Przybylski został dyrektorem Filharmonii Olsztyńskiej dzięki mojej protekcji (opiszę to później szczegółowo). W takiej sytuacji nie wypada mi po tym, jak został zwolniony z pracy, przejmować jego koncertów. Zatelefonowałem zatem do Przybylskiego, który – gdy mu przedstawiłem sprawę – nie krył zaskoczenia. Pamiętam jego słowa, że prawdopodobnie żaden inny kolega dyrygent nie miałby takich skrupułów. Oczywiście podziękował mi za telefon i zostawił tzw. wolną rękę w rozmowach z „Solidarnością". Tak więc z czystym sumieniem mogłem przyjąć propozycję.

Koncerty w hali sportowej były interesującym doświadczeniem. Nie wiem, ile słuchaczy zgromadziło się na obu koncertach popołudniowym i wieczorowym, ale myślę, że lekko licząc łącznie 5 - 6 000. Orkiestra grała „Romea i Julię", Mazura z „Halki", I część V symfonii Beethovena i moją „Stelę 70", o której już pisałem. Było to polskie prawykonanie, na które czekałam od 1971 roku! Halina Mikołajska recytowała wiersze Miłosza. Jak widać z tego programu, organizatorzy zadbali, aby koncerty nie miały wyraźnie politycznego charakteru i nie przeobraziły się w demonstrację. Oczywiście wszyscy wykonawcy łącznie ze mną występowali bezinteresownie. O tym, że koncerty miały powodzenie – nie muszę pisać.

Zaraz po drugim koncercie zawieziono mnie do hotelu, abym się przebrał i natychmiast pojechaliśmy na dworzec. Miałem wykupiony bilet sypialny na pociąg pospieszny do Warszawy. Jaka była stacja początkowa, nie pamiętam. Kiedy przyjechaliśmy na dworzec, dowiedzieliśmy się, że pociąg ma opóźnienie. Jak duże – nie podano. Byłem przerażony i powiedziałem odprowadzającym mnie działaczom „Solidarności", że muszę być rano w Warszawie, aby zdążyć na samolot do Wrocławia (bilet miałem w kieszeni). Z lotniska samochód miał mnie zabrać prosto na popołudniową próbę do koncertu oratoryjnego z Chórem Akademii Medycznej w Gdańsku i solistami z Warszawy. Działacze „Solidarności" zrozumieli sytuację i przy pomocy swoich związkowych kanałów dowiedzieli się, że są jakieś ruchy wojsk przy granicy polsko-radzieckiej i w związku z tym wstrzymano

wszystkie pociągi. Nigdy nie dowiedziałem się, o co chodziło i czy w ogóle informacja ta była prawdziwa.

W tej sytuacji na koszt „Solidarności" wysłano mnie taksówką do Warszawy. I tak całą noc jechałem po dwóch koncertach. Udało mi się chyba zdrzemnąć na tylnym siedzeniu, ale nie jestem tego pewien, gdyż byłem na wpół przytomny ze zmęczenia. Ale na samolot zdążyłem. Dalszą część podróży odbyłem bez zakłóceń, a także próbę. O zmęczeniu, jakie odczuwałem wieczorem, nie warto wspominać.

A koncerty 19 i 20 grudnia, na których po raz pierwszy w Wałbrzychu wykonałem „Magnificat" Bacha i „Stabat Mater" Szymanowskiego miały znakomitą frekwencję i duże powodzenie. Ale to jeszcze nie koniec wspomnień z Olsztyna. W przerwach prób rozmawiałem z muzykami, którzy jako komitet zakładowy „Solidarności" doprowadzili do odejścia Przybylskiego. Zarzuciłem im, że pozbyli się nie tylko dobrego dyrygenta, ale także sprawnego organizatora. Powiedziałem, że to on załatwił w ministerstwie pieniądze na powiększenie orkiestry i doprowadził do zakończenia budowy sali. Jego zasługą również było podniesienie poziomu orkiestry. Muzycy przyznali mi całkowicie rację, ale powiedzieli dosłownie:

- Pan nie wie, jaki on był. Jak nas traktował.

Widząc zdziwienie na mojej twarzy, wyjaśnili, że z przedstawicielami związku rozmawiał jak z parobkami. Cytuję ich słowa:

- Kiedy przychodziliśmy do niego, nie prosił nawet, abyśmy usiedli. My staliśmy, a on za biurkiem siedział rozwalony w fotelu.

Uznałem po usłyszeniu takich argumentów, że nie warto kontynuować rozmowy i jedynie na zakończenie powiedziałem:

- Obawiam się, że nigdy już nie będziecie mieli takiego dobrego dyrektora.

Niestety moje słowa, które dokładnie pamiętam, okazały się „prorocze". Orkiestra Filharmonii Olsztyńskiej do momentu przyjścia Przybylskiego była jedną z najgorszych w kraju. Dzięki niemu stała się zespołem, o którym zaczęto mówić z uznaniem. A po odejściu Przybylskiego zaczęła szybko tracić poziom i po kilku latach znalazła się znowu w „ogonie" polskich orkiestr. I – co smutne – do dzisiaj następnym dyrektorom nie udało się jej wydźwignąć.

Pisząc te wspomnienia, muszę z przykrością stwierdzić, że w mojej filharmonii również powstał komitet założycielski „Solidarności". Do związku zapisało się chyba ponad trzy czwarte pracowników. Na ich czele najwięksi krzykacze, malkontenci, by nie rzec – rozrabiacze. Niektórzy już przedtem działali w POP i Radzie Zakładowej. Próbowali „przejąć władzę", ale moja pozycja jako założyciela filharmonii była mocniejsza od pozycji Przybylskiego. A ponadto po gorzkich doświadczeniach ze Szczecina łagodniej traktowałem muzyków. No i mimo wszystko dużo dla nich zrobiłem. Tak więc – o ile pamiętam – nie przymierzali się na razie do pozbycia się mnie z instytucji. Ale wybiegając w tych wspomnieniach w przyszłość, mogę napisać, że próbowali to zrobić w latach dziewięćdziesiątych.

Ostatnie miesiące 80 roku

Zaraz po operacji nogi znajomi doradzili mi, abym wystąpił o talon na samochód. Tłumaczyli, że należy mi się taki przywilej, tym bardziej, że nie wiadomo czy operowana noga odzyska dawną sprawność. Ponieważ w przeciwieństwie do większości moich kolegów nigdy nie prosiłem o talon na samochód, postanowiłem po raz pierwszy wykorzystać dyrektorskie stanowisko. Napisałem pismo do ministerstwa. Było to bodajże na wiosnę. Po pewnym czasie otrzymałem informację z Komitetu Centralnego PZPR, że sekretarz Łukaszewicz przyznał mi talon. Nigdy się nie dowiedziałem, w jaki sposób moje pismo zawędrowało z ministerstwa aż do KC. Nie wdając się w szczegóły, podam tylko, że wziąłem pożyczkę z banku i po pewnych kłopotach stałem się posiadaczem „Łady". Ponieważ egzamin na prawo jazdy zdałem już w Szczecinie, przy pomocy różnych osób przypominałem sobie, na czym polega prowadzenie samochodu. Pamiętam, że nie wykazywałem specjalnego talentu. Zaraz po ślubie woził mnie z Małgorzatą jej ojciec, a w grudniu ona sama po pomyślnie zdanym egzaminie, otrzymała prawo jazdy.

Na jesieni 80 jedyny miejscowy tygodnik „Trybuna Wałbrzyska" rozpoczął druk w odcinkach moich wspomnień. Nosiły przekorny tytuł „Wspomnienia nie tylko muzyczne". Były krótkie i utrzymane w żartobliwej formie quasi felietonu. Każdy odcinek miał osobny tytuł. Żałuję, że w pierwszym okresie nie zbierałem ich systematycznie i dlatego obecnie nie mam kompletu. Ale również i ja nie pisałem systematycznie. Wyjazdy na koncerty, wydarzenia polityczne, strajki i przeróżne sprawy zawodowo-osobiste sprawiły, że zdarzały się często przerwy w publikowaniu kolejnych odcinków. A w 84 roku na skutek zatargu z tzw. cenzurą czyli Urzędem Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, bo tak się chyba nazywała ta niesławna instytucja, zrezygnowałem z pisania. Myślę, że warto będzie poświęcić osobny podrozdział historii tych „Wspomnień nie tylko muzycznych".

W październiku udało mi się, pomimo niesprzyjających warunków ekonomiczno-społeczno-politycznych zorganizować obchody 35-lecia Szkoły Muzycznej. Wydrukowałem skromną monografię, załatwiłem medale i nagrody i odbyły się aż trzy okolicznościowe koncerty w wykonaniu kolejno: pedagogów, uczniów i absolwentów. Tak więc udało mi się urządzić jubileusz na przyzwoitym poziomie. Nie wiedziałem wówczas, że to będzie ostatni rok mojej pracy w szkole.

I jeszcze jedno smutne wspomnienie z tamtego miesiąca. Wsiadając rano do autobusu usłyszałem pytanie jednego z muzyków:

- Panie dyrektorze, słyszał pan, że jakiś Miłosz dostał nagrodę Nobla?

Byłem całkowicie zaskoczony. Nie uświadamiałem sobie, że młodzi ludzie mogli w ogóle nie znać nazwiska Miłosza. Również w biurze urzędniczki dopytywały się, kto to taki ten Miłosz. Po jego ucieczce – jeżeli pamiętam – w 1951 roku został „wymazany" z polskiej literatury. Jeszcze jeden przykład do jakiego fałszowania rzeczywistości prowadzi podporządkowanie wszystkiego ideologii: objawionej lub świeckiej.

Raz po raz wybuchające strajki, a co za tym idzie wstrzymywanie produkcji doprowadziło do narastających braków w zaopatrzeniu. Ceny stale rosły. Władze dawały podwyżki coraz to nowym grupom zawodowym. Czułem potęgujące rozprężenie. Nie była to atmosfera sprzyjająca systematycznej pracy. W październiku orkiestra wyjechała na trzy koncerty do NRD. Po raz pierwszy zdarzyło się, że niektórzy muzycy zbyt dużo wypili alkoholu na kolacji po pierwszym koncercie. Zaważyło to fatalnie na poziomie dwóch następnych.

Po powrocie do Wałbrzycha zostali ukarani naganami i pozbawieni rocznej nagrody. Ale wiedziałem, że ich zachowanie to skutek ogólnej atmosfery niepewności, niepokoju i braku stabilizacji. Ponieważ w szkolnictwie przyznano podwyżki, zaryzykowałem i dałem je także w filharmonii. Było to niezgodne z przepisami, które przewidywały w kulturze podwyżki tylko raz w roku, od 1 stycznia. Liczyłem jednak, że w ogólnym bałaganie ministerstwo tego nie zauważy. Miałem także moralny argument, że inne grupy zawodowe raz po raz dostawały podwyżki. Jak się okazało, dobrze przewidziałem. Urzędnicy w ministerstwie nie zakwestionowali nagłego zwiększenia funduszu płac i to wstecz, od 1 sierpnia.

W listopadzie miałem aż trzy koncerty gościnne: w Jeleniej górze, Gdańsku i Koszalinie. Byłem niemile zaskoczony niskim poziomem wszystkich orkiestr oraz niekompletnymi składami. Ale zabawnym szczegółem były zakupy. W Gdańsku kupiłem 10 rolek papieru toaletowego, którego stale brakowało na Dolnym Śląsku. Zrobiłem paczkę i wysłałem pocztą. W Koszalinie zaś udało mi się nabyć aż 12 puszek niemieckich konserw; śledzie w sosie śmietanowym. Mój solista, znakomity pianista, Tadeusz Żmudziński, mieszkający w Katowicach, kupił 10 paczek makaronu, 20 torebek zup w proszku i kostkę masła. Tak przedstawiały się braki w zaopatrzeniu na Górnym Śląsku. Warto dodać, że nie dotyczyło to górników, którzy mogli zaopatrywać się w kioskach na terenie kopalń. To doprawdy ponure, jak w tamtych czasach podróże artystyczne zamieniały się w handlowe. Przed 6 grudniem zabrakło w sklepach słodyczy. Ludzie dosłownie polowali na jakiekolwiek cukierki czy ciasteczka, aby dać dzieciom na Św. Mikołaja.

W grudniu 80 widać było, że władze straciły panowanie nad tym, co się w Polsce dzieje. Nastąpiła przerażająca dezorganizacja. Nawet przywódcy „Solidarności" zauważyli, że tracą wpływ na robotników. Jak podały media, na początku miesiąca zwołano do Moskwy przywódców państw Układu Warszawskiego. Oficjalny komunikat był lakoniczny i stereotypowy o przyjaźni, wzajemnym zrozumieniu, zacieśnianiu współpracy. Ale ja i zapewne znaczna część społeczeństwa wiedzieliśmy, że za tymi gładkimi słowami kryje się groźba interwencji. Dzięki tzw. przeciekom dowiedziałem się w końcu grudnia, że planowano odbycie w Polsce manewrów wojsk wszystkich „bratnich" krajów. Potwierdziło to moje przypuszczenia, że coś się działo w połowie grudnia, co zatrzymało pociągi na północno-wschodnim krańcu Polski. Akurat wtedy, kiedy byłem w Olsztynie.

Pomimo tych wszystkich perturbacji pierwsze święta Bożego Narodzenia w nowym małżeństwie były wyjątkowo udane. Jak każdy pracujący, mogłem kupić pół kilo szynki i tyleż kiełbasy. Ponadto znajomi wspomagali nas różnymi „deficytowymi" produktami: śmietaną, kurczakiem, a nawet indykiem. Nie licząc sporej ilości konserw. Zdziwiła mnie ta życzliwość; raz po raz ktoś pytał czy nie potrzebuję jajek, tłuszczu, mąki itd. Tak więc nigdy dotąd nie zgromadziłem tyle jedzenia. Przez całe święta nie wychodziliśmy z domu. Początkowo rodzice Małgorzaty mieli żal, że nie chcemy z nimi spędzić choćby jednego ze świątecznych dni. Wytłumaczyliśmy im, że ja przy swojej pracy mam po prostu dosyć ludzi i potrzebuję samotności. To samo od lat tłumaczyłem matce. „Warszawska" rodzina każde święta spędzała wspólnie: kolację wigilijną i oba świąteczne obiady organizowali na przemian. Ale zawsze w tym samym gronie. Nigdy nie wziąłem w tym udziału. Wiem, że ludzie uważali mnie za odludka, dziwaka, wyrodka.

A nasze Boże Narodzenie w tym ponurym roku 80 było – co dobrze pamiętam – ciche i spokojne. Wyłączyliśmy na trzy dni telefon i odcięliśmy się od świata. Pozwoliło to na prawdziwy odpoczynek. No i także na tradycyjne obżarstwo. Makowiec mi się nie udał, gdyż nadzienie było zbyt ciężkie i ciasto za mało wyrosło. Natomiast po raz pierwszy

robiłem makaron do rosołu i kopytka do pieczonego indyka. Miałem prawdziwą tremę. Ale mogę „uwiecznić" w tej książce mój sukces jako kucharza. A nadzienie do indyka mógłbym nawet zaprezentować na dowolnym konkursie.

Podsumowując to przełomowe drugie półrocze 80, mogłem stwierdzić, że cały rok był na ogół pomyślny. Operacja nogi w lutym nie spowodowała stałego jej osłabienia i mogłem po paru miesiącach chodzić, skakać, no i dyrygować. A w sierpniu ślub, który zakończył dwuletni okres samotności. (Choć muszę szczerze wyznać, że określenie „samotność" nie odpowiadało stanowi, w jakim żyłem). Miałem parę udanych koncertów, a filharmonia i szkoła, choć z trudnościami, rozwijały się pomyślnie. Panujący w Polsce chaos przeszkadzał w pracy i życiu, ale – jak się potem przekonałem – jego skutki dały o sobie znać dopiero później.

Pierwsze miesiące roku 1981

Obserwacja roku 1981, a także lat następnych, potwierdziła zbanalizowane powiedzenie, że „życie toczy się dalej". Jak pamiętam, w jeszcze wyraźniejszej formie przejawiało się to w czasie okupacji. Nawet w tak nienormalnych warunkach Polacy uczyli się, pracowali naukowo, komponowali, rozwijali intelektualnie, bawili, kochali, śmiali się i rodzili dzieci. „Tout proportions gardées" – jak mówią Francuzi, podobnie zachowywali się Polacy w latach osiemdziesiątych. Pomimo stałych napięć społeczno-politycznych, raz po raz wybuchających strajkach i zamieszkach, obawach przed tym co może przynieść najbliższa przyszłość i utrudniających życie brakach na rynku – Polacy, przynajmniej większość – starała się żyć w miarę normalnie. Ja sam, zarówno w życiu osobistym jak i zawodowym, nauczyłem się walczyć z przeciwnościami i traktować najróżniejsze uciążliwości jako stały składnik codziennego życia. Można byłoby zaryzykować twierdzenie, że codzienne życie w kraju toczyło się na różnych poziomach, jakby w „równoległych światach". Oto parę przykładów. Przez pierwsze półrocze 81 prowadziłem rozmowy z przedstawicielami władz na temat przebudowy filharmonii i rozbudowy szkoły. Co więcej, otrzymałem potwierdzenia, że odpowiednie instancje wysokiego szczebla poprą moje plany. A w tym samym czasie na naszych oczach rozpadało się państwo. Ludzie przyzwyczaili się do kolejek w sklepach i parogodzinnych opóźnień pociągów. Traktowali je jako uciążliwy, ale konieczny element codziennej egzystencji. To co nienormalne stawało się normalne. Jeszcze jedno potwierdzenie poglądu o plastyczności ludzkiej natury. Było to zarazem podświadome przystosowanie się do otaczającej rzeczywistości, niezbędne dla przetrwania organizmu. Zarówno jednostkowego jak i społecznego. Tak to w każdym razie odbierałem.

Jeździłem codziennie do pracy, załatwiałem mnóstwo spraw, prowadziłem próby i koncerty, odbywałem przeróżne zebrania i spotkania, udzielałem wywiadów, pisałem felietony i snułem dalekosiężne plany osobiste i zawodowe. Innymi słowy starałem się żyć normalnie, pomimo że obok mnie działy się rzeczy nienormalne.

Jak wiadomo z podręczników historii i monograficznych opracowań, niemal bez przerwy dochodziło do konfrontacji władz z „Solidarnością". Obie strony, co było wyraźnie widać, lawirowały, łagodziły lub zaostrzały napięcia, manewrowały i szukały rozmaitych rozwiązań. Władze miały o wiele trudniejszą sytuację; odpowiadały bowiem za państwo. Musiały oscylować pomiędzy reformatorami w swoich szeregach a tzw. betonem partyjnym. I przede wszystkim uwzględniać stanowisko ZSRR. Media raz po raz donosiły o spotkaniach

w Moskwie, rozmowach na „najwyższym szczeblu" i manewrach „zaprzyjaźnionych" wojsk.

Przywódcy „Solidarności" natomiast musieli uwzględniać nacisk robotników. Była to paradoksalna sytuacja. Robotnicy występowali przeciwko robotniczej partii, rządzącej państwem robotniczo-chłopskim. Jak wynika z moich zapisków, nie mogłem pojąć, dlaczego robotnicy nie mogą lub nie chcą zrozumieć, że działają przeciwko sobie. Wydawało mi się absurdem, że niszczą państwo, w którym byli przodującą klasą. I kolejny paradoks. W kierownictwie „Solidarności" grupą łagodzącą nastroje byli właśnie inteligenci, czyli przedstawiciele klasy najgorzej traktowanej. Nie było tajemnicą, że w „Solidarności" ścierają się przeciwstawne poglądy. Jedni pragnęli osiągnąć zmiany systemu politycznego drogą pertraktacji, a inni dążyli wręcz do otwartej konfrontacji, nawet za cenę wojny domowej. Nie pamiętając o wydarzeniach na Węgrzech w roku 1956.

Pisząc o tym w roku 2006, próbuję zdobyć się na jak największy obiektywizm. Wiadomo teraz, że na skutek wielorakich i skomplikowanych działań międzynarodowych, „pełzająca rewolucja" zapoczątkowana przez „Solidarność" i zakończona w roku 1989, doprowadziła do zmiany ustroju w tzw. obozie socjalistycznym. Było to w pełnym tego słowa znaczeniu wydarzenie historyczne. Zakończyła się kolejna epoka rządów autorytarnych. Po faszyzmie i nazizmie przyszła kolej na komunizm, który ja wolę nazywać socjalizmem państwowym lub biurokratycznym. Osobiście uważam pojęcie „komunizm" za znacznie szersze i bardziej społeczne niż polityczne. Ale te rozważania wymagałyby napisania odrębnego eseju.

Myślę, że nie warto wspominać o moich planach związanych z filharmonią i szkołą, ponieważ prawie nic z nich nie udało się zrealizować. Wpierw nie było pieniędzy, następnie zmieniły się władze, a potem w tzw. gospodarce wolnorynkowej zabrakło w ogóle jakichkolwiek możliwości. Natomiast udało się uratować część przynajmniej moich projektów osobistych.

Jak już pisałem, Małgorzata w grudniu 80 zdała egzamin i dostała prawo jazdy. W dwa miesiące później pojechaliśmy do NRD na koncerty. To dopiero był prawdziwy sprawdzian jej umiejętności prowadzenia samochodu. Okazało się, że nadspodziewanie szybko stała się sprawnym kierowcą. A ja starałem się być czujnym i przewidującym pilotem, zwłaszcza w obcym kraju. Ponieważ za trzy koncerty dostałem sporo marek, mogliśmy kupić mnóstwo trudno osiągalnych w Polsce rzeczy, takich jak damskie obuwie, bielizna oraz sprzęt gospodarstwa domowego. A także wyjątkowo tanie i dobre płyty.

W maju poleciałem na dwa koncerty do Dubrownika. Honorarium było niewielkie, ale dzięki absurdalnemu przelicznikowi dolarowemu zarobiłem o wiele więcej na zwrocie kosztów podróży. Warto utrwalić to na tych kartach jako jeszcze jeden przykład anormalności ówczesnej ekonomiki. W tamtych czasach były w Polsce trzy różne kursy dolara: pierwszy oficjalny, drugi tzw. peweksowski i trzeci czarnorynkowy. W roku 81 – o ile się nie mylę – oficjalny wynosił zaledwie 15 zł za dolara, przy zakupach w Peweksie 70 zł, a na czarnym rynku aż 150 zł. Bilety samolotowe kupiłem według ceny oficjalnej, gdyż jadąc na koncerty organizowane przez państwową agencję „Pagart", miałem do tego prawo. Tak więc za kosztujące np. 500 dolarów bilety zapłaciłem 7 500 zł. Ale za otrzymane w Dubrowniku dolary mogłem w Peweksie nabyć towary warte 35 000 zł. A gdybym chciał te dolary sprzedać u tzw. koników, otrzymałbym aż 75 000 zł. Myślę, że ta nienormalna sytuacja nie wymaga komentarza.

Parę lat później, po urodzeniu Wiosny, miałem kolejne zaproszenie do Dubrownika. Polecieliśmy razem we trójkę i to, co otrzymałem jako zwrot kosztów moich biletów

wystarczyło na pokrycie także biletów Małgorzaty i Wiosny oraz różnicy za większy pokój w hotelu. Trudno dzisiaj uwierzyć, że takie nonsensy były w tamtych czasach czymś zwyczajnym.

W lutym 81 wprowadzono kartki na mięso. Było to przyznanie się władz do klęski polityki gospodarczej. Pod naciskiem „Solidarności" władze jeszcze w roku 80 zgodziły się na wprowadzenie wolnych od pracy sobót. Uznałem to za głupotę. W katastrofalnej sytuacji ekonomicznej skracanie czasu pracy było po prostu szkodliwe. A w styczniu rząd wycofał się z zawartego porozumienia i ogłosił, że tylko dwie soboty w miesiącu będą wolne. Kolejny błąd. Rozpoczęły się protesty, demonstracje, strajki. Jak się dowiedziałem, nawet zwolennicy „Solidarności" na Zachodzie nie rozumieli stanowiska związku. Uważali, że należy zwiększyć produkcję zamiast ją zmniejszać, ponieważ kryzys godził przede wszystkim w zwykłych obywateli. Ale robotnicy chcieli mniej pracować i dobro kraju nie było dla nich najważniejsze. A słaby rząd ustąpił; wszystkie soboty stały się wolnymi dniami.

Refleksje

W tych przełomowych dla Polski miesiącach zauważyłem u siebie niepokojący objaw. Przestałem po raz pierwszy utożsamiać się z przeciwnikami ustroju. Od przyjazdu do Polski byłem zdecydowanym opozycjonistą, co – jak sądzę – dawało się zauważyć w czasie lektury tej książki. Najpierw, za studenckich czasów byłem uczestnikiem lub współorganizatorem rozmaitych antyrządowych wystąpień. Pisałem i mówiłem o swoich przekonaniach przy różnych okazjach. Potem zająłem się pracą dyrygencką, ale nadal sympatyzowałem z tymi, którzy demonstrowali w latach 56, 68, 70, 76. Ale w roku 80, co mnie samego zastanowiło, nie podobało mi się podpisanie tzw. porozumień sierpniowych. Może zostało to spowodowane arogancją Wałęsy i kilku innych przywódców robotników? A może zbyt wyraźnymi akcentami politycznymi? Albo manifestowaniem więzi „Solidarności" z Kościołem? Prawdopodobnie wszystkie te czynniki razem wywołały u mnie niechęć do całego ruchu. Rosła ona coraz bardziej w miarę pojawiania się nowych żądań i strajków. A postępujące gwałtownie rozprężenie gospodarki utrudniało mi normalną pracę i tę niechęć pogłębiało.

Nigdy nie utożsamiałem się z tzw. establishmentem. Przy każdej okazji publicznie wytykałem błędy, niedociągnięcia, niekompetencje, biurokrację, bezduszność. Wiem, że wiele osób na wysokich stanowiskach bardzo mnie za to nie lubiło. Szczególnie w ministerstwie. Często odczuwałem to na „własnej skórze". Nawet będąc człowiekiem PZPR nie ukrywałem, że obca mi jest ideologia marksistowska. Na pewno miałem przekonania lewicowe, ale bardziej przypominające zachodnią socjaldemokrację. Wiedziałem zresztą, że podobnie myślało wielu partyjnych dygnitarzy.

Tak więc w pamiętnym roku 81 miałem – jak to się mówi – ambiwalencję uczuć. Nie popierałem ani rządzących, ani ich przeciwników. Panujący ustrój nie odpowiadał mi tak samo jak działania „Solidarności". Rozumiałem uwarunkowania geopolityczne i nie widziałem rozwiązań, które usatysfakcjonowałyby, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej większość Polaków.

Pewnego dnia przyszli do mnie przedstawiciele „Solidarności" i zapytali czy mogliby rozdawać swoje gazetki w holu filharmonii, bo nie mają w śródmieściu własnego lokalu. Wyraziłem zgodę pod warunkiem, że nie będzie tekstów politycznych a tylko związkowe.

Mój warunek został przyjęty i odtąd przynoszono mi do „cenzury" gazetki, a ja po pobieżnym przejrzeniu wydawałem zgodę na kolportaż. Oczywiście przy pierwszej okazji zarzucono mi w Komitecie Wojewódzkim PZPR, że propaguję w państwowej instytucji antyrządowy związek. Odpowiedziałem, że „Solidarność" jest legalną organizacją i skoro władze miasta nie załatwiły jej lokalu, uważałem za swój obowiązek udostępnić hol filharmonii, tym bardziej, że trzy czwarte załogi należało do tego związku. A propos Komitet Wojewódzki, to choć nie byłem jego członkiem, zostałem zaproszony do Komisji Ideologicznej. Swoisty dowcip, a w dodatku spotęgowany faktem, że stałem się najbardziej aktywnym członkiem tej komisji. Chciano mnie nawet wybrać na przewodniczącego! Pozostali członkowie potrafili na zebraniach wygłaszać pełne frazesów przemówienia. Ja usiłowałem przedstawiać konkretne sprawy. Pamiętam, że kiedyś twardo powiedziałem, że nie ma czegoś takiego jak partia, na którą ciągle się ktoś powołuje. Partia to nie żaden abstrakcyjny byt, ale wyłącznie członkowie, czyli żywi ludzie, zorganizowani w określony sposób. A ci członkowie niczym nie różnią się od innych ludzi: nie pracują lepiej, nie są uczciwsi ani bardziej kompetentni. I to oni kompromitują organizację, którą nazywamy partią. Nie wiedziałem czy moje słowa przekonały członków komisji, ale uważałem za swój obowiązek powiedzieć parę słów gorzkiej prawdy. Najzabawniejsze, że na różnych zebraniach zabierałem głos i mówiłem o rzeczach oczywistych choć przykrych. Potem słyszałem komplementy i wyrazy poparcia. Ale nic z nich nie wynikło. Wszystko toczyło się po staremu.

Dostałem zaproszenie do Zespołu do spraw Muzyki przy Komitecie Centralnym PZPR. Jak mi powiedziano, podobne zespoły, złożone wyłącznie z członków partii, powołano także dla innych dziedzin sztuki. Pomysł może i dobry, ale realizacja okazała się błędna. Chcąc zapewnić jak najszerszą reprezentację środowiska muzycznego, zaproszono aż czterdzieści osób. Obok wybitnych muzyków byli zupełnie nieznani. I tak np. obok Haliny Czerny-Stefańskiej, Jadwigi Szajna-Lewandowskiej, Włodzimierza Kamieńskiego znalazłem na liście obecności zupełnie nic niemówiące nazwiska. Może byli to I sekretarze POP w filharmoniach czy operach? Z dyrygentów poza mną, było tylko dwóch: Robert Satanowski i Szymon Kawalla. Kiedy zastępcy kierownika Wydziału Kultury, Michałowi Jagielle, powiedziałem, że zespół był zbyt liczny, uspokoił mnie oświadczeniem, iż nawet połowa nie będzie przyjeżdżać na zebrania. Jak się okazało, miał rację. Na ogół pojawiało się zaledwie kilkanaście osób. Na pierwszym zebraniu w maju większość obecnych w ogóle nie zabrała głosu. Czyżby stworzono kolejne fikcyjne ciało, powołane dla uspokojenia środowiska?

Również w maju odbyło się pierwsze w historii Wałbrzycha wykonanie „Bolera" Ravela. Nie spodziewałem się takiego zainteresowania. Ciekawe, że nawet na otwarciu filharmonii ani na Gershwinie nie było takich tłumów. Oto zastanawiający fenomen psychologiczno-socjologiczny. Co takiego jest w tym utworze, że tak działa na ludzi? Pomimo że wykonywałem go kilkadziesiąt razy w różnych krajach, do dzisiaj nie znalazłem odpowiedzi. Czyżby wielokrotne powtarzanie jednej melodii wywierało na publiczność wpływ hipnotyczny?

A w czerwcu żegnałem się ze szkołą. Jak to zwykle bywa, część nauczycieli wyraźnie się cieszyła, inni natomiast mieli smętny wyraz twarzy. A ja z trudem ukrywałem radość.

W ostatnich dniach miesiąca dowiedziałem się, że Andrzej Szwalbe zapisał się do „Solidarności". Nie mogłem powstrzymać śmiechu. Toż chyba żaden inny dyrektor filharmonii nie był tak ceniony, nagradzany, a przede wszystkim wspomagany. Każdą jego inicjatywę natychmiast wspierano finansowo. Zgodnie z prawdą muszę stwierdzić, że Szwalbe był znakomitym organizatorem; najlepszym obok Śliwińskiego dyrektorem

polskich filharmonii. To tylko dzięki jego energii, pracowitości, uporowi, zapobiegliwości i… natręctwu zbudowano w Bydgoszczy najlepszą salę koncertową i powstała Wyższa Szkoła Muzyczna. Zainicjował powstanie paru festiwali i założył pierwszą chyba w kraju stałą etatową orkiestrę kameralną. Jego zasługi można by jeszcze długo wymieniać. Ale poza tym był antypatycznym człowiekiem, łasym na zaszczyty i pochwały. Świetnie scharakteryzowała go Irena Dubiska: „Szwalbe kocha muzykę i nienawidzi muzyków". Może marzył o karierze muzyka? Może okazało się w przeszłości, że był pozbawiony zdolności? A może po prostu zewnętrzne warunki unicestwiły jego młodzieńcze marzenia? Jedno było pewne: Szwalbe ze wszystkich dyrektorów filharmonii był największym beneficjentem ustroju. A teraz stał się działaczem „Solidarności". Czyżby wyczuł, że od dotychczasowych władz już niczego nie dostanie i należy wiązać się z przyszłymi? Bardzo to smutne, a zarazem zabawne.

I kolejna refleksja. W końcu czerwca miałem już tak dość ciągłych postulatów i wniosków komisji zakładowej „Solidarności" dotyczących podwyżek, że postanowiłem przyznać je od 1 lipca. W celu uniknięcia jałowych dyskusji, zaproponowałem, aby każda z organizacji działających w filharmonii, przygotowała własną listę z konkretnymi nazwiskami. Był to perfidny pomysł, co szczerze przyznaję. Przedstawiciele „Solidarności", starego związku zawodowego, POP i SPAM-u zeszli się 29 czerwca w moim gabinecie i przez długie godziny zamiast dyskutować, po prostu kłócili się zaciekle. Każdy forował swoich najbliższych kolegów, nie zapominając oczywiście o sobie i swoich żonach. A ja z wewnętrzną złośliwą satysfakcją, którą Niemcy nazywają Schadenfreude, tylko się przysłuchiwałem. Targi trwały długo i były zaciekłe. Co pewien czas uczestnicy tych żenujących sporów pytali – „A co pan dyrektor? Jakie jest pańskie zdanie?" Na te pytania niezmiennie odpowiadałem – „Ja tylko słucham i notuję wasze ustalenia".

Po wielu godzinach przedstawiciele społecznych organizacji ustalili wreszcie listę, będącą swoistym kompromisem, opartym na jednostkowych interesach, ambicjach, układach. Oczywiście sobie nawzajem przyznali podwyżki i – jak przypuszczałem – jedynie dzięki temu możliwe stało się ostateczne uzgodnienie. Było to ponure widowisko. Następnego dnia rano wywieszono listę podwyżek i zaczęły się korowody niezadowolonych muzyków. Były odwołania, protesty, a nawet dwie rezygnacje z pracy. A ja na wszystkie żale, pretensje, interwencje odpowiadałem, że podwyżki przyznawali wyłącznie przedstawiciele organizacji społecznych. Ja tylko notowałem. Oczywiście muzycy zauważyli, że wszyscy tzw. działacze „dali" sobie i swoim żonom podwyżki i byli oburzeni. A na pierwszej próbie po urlopie większość orkiestry publicznie zażądała, abym wszelkie podwyżki czy nagrody dawał sam.

Przed stanem wojennym

Drugą połowę roku 81 charakteryzowało w jeszcze ostrzejszej formie to schizofreniczne rozdwojenie życia, o którym pisałem poprzednio. Zestawienie oficjalnych informacji telewizyjnych z tymi nieoficjalnymi, krążącymi między ludźmi, wprowadzało chorobliwy stan niepewności. Podczas gdy robotnicy strajkowali, demonstrowali, wiecowali – ich żony stały w kolejkach, aby zdobyć najprostsze towary. Teatry i filharmonie dawały przedstawienia i koncerty dla malejącej liczby widzów i słuchaczy. Raz po raz dochodziły wieści o odwoływanych imprezach, nawet rozrywkowych. Ja również brałem udział w tej swoistej grze pozorów. Starałem się na przekór coraz powszechniejszemu poczuciu

zagrożenia przeciwstawiać normalne działania. Późną wiosną zakończyłem planowanie sezonu 81/82, zajmowałem się intensywnie działką, pisałem felietony, czytałem książki, opracowywałem na orkiestrę różne utwory, dyrygowałem koncertami i powiększałem swój repertuar, ucząc się pilnie coraz to nowych symfonii. Gdyby ktoś z zewnątrz obserwował moje ówczesne życie w oderwaniu od tego, co działo się w Polsce, uznałby je za zupełnie normalne. Dlatego nazwałem to grą pozorów.

Orkiestra wzięła udział, jak co roku we wszystkich czterech festiwalach. Nawet wrześniowym w Lądku. I tak jak w poprzednim roku, odbyło się bez jakichkolwiek demonstracji. Ale na wszystkich koncertach frekwencja była słabsza. A skoro już piszę o Lądku, to warto wspomnieć, że pojechaliśmy w sierpniu na parodniowy wypoczynek do tego samego ośrodka, co przed rokiem. Tak się złożyło, że w tym samym czasie w sanatorium leczyła się Wandzia i Jurek Semkow. Dzięki temu, kiedy nie mieli rozmaitych zabiegów, mogliśmy spacerować i rozmawiać. Małgorzata początkowo była onieśmielona towarzystwem światowej sławy artystów, ale szybko zauważyła ich śmieszności i pozy. Przy Jurku nawet sztuczność Wandzi, która zawsze mnie drażniła, wydawała się naturalnością. Myślę, że kiedyś przytoczę parę autentycznych anegdot związanych z jego zachowaniem „na pokaz".

Poważnym problemem wszystkich polskich filharmonii stały się wyjazdy, a właściwie ucieczki muzyków. O ile w innych zawodach, aby pracować za granicą, niezbędna była znajomość języka, o tyle muzykom wystarczała umiejętność grania. Jak wiadomo, w nutach obowiązuje terminologia włoska, a żaden dyrygent nie powie: „grajcie cicho". Ograniczy się do jednego słowa „piano". Nic zatem dziwnego, że emigracja wśród muzyków przybrała znaczne rozmiary. Muzycy nielegalnie sprzedawali mieszkania i meble, potem wyjeżdżali legalnie na wczasy, bądź zaproszenia. Kiedy już znaleźli się po drugiej stronie tzw. żelaznej kurtyny, znajdowali sobie zatrudnienie. Przeważnie w podrzędnych zespołach rozrywkowych.

Kiedy po wakacjach wróciłem do pracy, okazało się, że z orkiestry uciekło aż czterech muzyków: I waltornista, kontrabasista oraz małżeństwo, wiolonczelistka i perkusista. Pomimo że miałem problemy ze znalezieniem następców, ucieczka małżeństwa sprawiła mi prawdziwą satysfakcję. Od razu po rozpoczęciu pracy otrzymali mieszkanie. Kiedy zaś powstała „Solidarność", stanęli na jej czele. On jako przewodniczący atakował mnie przy każdej okazji, a ona bez przerwy intrygowała w mniej lub więcej jawny sposób. Oczywiście wszystko to dla „dobra Polski i filharmonii". Przemawiali zawsze górnolotnie, posługując się demagogią. A znaczna część muzyków, jak to często bywa, ulegała wygłaszanym przez nich frazesom. I właśnie ci „naprawiacze Rzeczpospolitej", jak ich nazywałem, pierwsi opuścili kraj, nielegalnie sprzedając otrzymane dzięki filharmonii mieszkanie. Kolejny przyczynek do ludzkich postaw. Nie omieszkałem powiedzieć o tym całej orkiestrze.

Również dyrektor szkoły załatwił sobie – jak mi mówiono – posadę organisty w jakiejś niemieckiej wsi i po wakacjach nie pojawił się w Wałbrzychu. Działacze szkolnej „Solidarności" znaleźli we Wrocławiu kogoś znajomego i zarekomendowali go Wojewódzkiemu Wydziałowi Kultury. Była to chybiona kandydatura i po roku trzeba było zatrudnić nowego dyrektora.

Również w roku 81 niespodziewanie otrzymałem list z Kanady. Napisał do mnie Andrzej Barszczewski, z którym byłem w niewoli. Nie pamiętam zupełnie, w jakim walczył oddziale i w jaki sposób spotkałem się z nim w obozie. Zbliżyliśmy się, ponieważ interesował się literaturą i mieliśmy tematy do rozmów. Andrzej nie wrócił do Polski, aby szukać swojego ojca, który od 39 roku przebywał w jakimś Oflagu. Przed moim wyjazdem

z Niemiec, zrobiliśmy sobie na pożegnanie wspólne zdjęcie, poczem o Andrzeju całkowicie zapomniałem. I oto nagle, po upływie trzydziestu kilku lat otrzymałem od niego list. Wręcz niewiarygodne wydarzenie. Okazało się, że Andrzej odnalazł ojca, zostali obaj we Francji, tam skończył studia inżynierskie, a potem dostał posadę w Kanadzie. Ożenił się z Kanadyjką i założył rodzinę. Ostatnio pracował w przemyśle zbrojeniowym i był nawet przewodniczącym kanadyjskiego stowarzyszenia inżynierów-elektroników. Andrzej napisał, że dowiedział się z jakiejś gazety o tym, że założyłem w Wałbrzychu filharmonię, zdobył mój adres i co prędzej wysłał list. Wyjaśnił również, że jako pracownik przemysłu zbrojeniowego nie mógł pojechać do kraju socjalistycznego i dlatego nigdy nie odwiedził swojej rodziny, w tym brata. Na zakończenie listu pytał czy chcę z nim korespondować. Oczywiście natychmiast odpisałem, że z prawdziwą radością. W następnym liście zapytał czy czegoś nie potrzebuję, gdyż słyszał o problemach gospodarczych w Polsce. Odpisałem, że dziękuję, ale daję sobie jakoś radę. Poprosiłem go jedynie o przysłanie starych, używanych „kryminałów", które czytałem w podróżach, aby nie stracić kontaktu z angielskim, a które można było czasem znaleźć po długich poszukiwaniach w antykwariatach. Andrzej szybko przysłał sporych rozmiarów paczkę. Było w niej 20-30 używanych „pocket-books" . Nowe kosztowały w tamtych czasach poniżej 1 dolara kanadyjskiego, a używane najwyżej połowę tej kwoty. Tak więc podejrzewałem, że wysłanie paczki było droższe niż zakup wszystkich książek. Nie miałem jednak żadnych wyrzutów sumienia, że narażam Andrzeja na koszty, ponieważ wiedziałem z jego listów, iż dobrze zarabia i ma dwa domy: jeden w Toronto, a drugi gdzieś w lasach nad jeziorem. Przysłał mi nawet zdjęcia tych domów i dwóch samochodów: dużej limuzyny i „terenówki". A na Boże Narodzenie 81 otrzymałem jeszcze jedną paczkę, tym razem ze słodyczami. Bardzo się nam przydała na te ponure święta po ogłoszeniu stanu wojennego.

O Andrzeju napiszę jeszcze w związku z narodzeniem mojej córki. Dzięki jego pomocy udało nam się zapewnić Wiośnie pokarm przez najtrudniejsze pierwsze miesiące jej życia. Jakie miałaby zdrowie gdyby nie Andrzej – wolę dzisiaj nie myśleć.

Aby całkowicie zakończyć opis wydarzeń sprzed ogłoszenia stanu wojennego, warto utrwalić jeszcze dwa wspomnienia, jakże charakterystyczne dla atmosfery tamtych dni.

Otrzymałem anonim następującej treści, który cytuję z pamięci: „Ty …(tu następował obelżywy w intencji autora epitet, którego nie pamiętam, np. „komuchu!", „bolszewiku!", „zdrajco!"). Nie pomogą ci kraty na balkonach ani pistolet. Zabijemy ciebie i twoją młodą żonę!" Kraty na obu balkonach zostały założone po włamaniu, o którym pisałem. Natomiast pistolet – wiatrówkę kupiłem, o ile się nie mylę w Pradze w roku 1967, kiedy miałem tam koncerty ze szczecińską orkiestrą kameralną. Ale o tym mogli wiedzieć po jakiejś przypadkowej rozmowie tylko nieliczni pracownicy filharmonii. Zgodnie z moim zwyczajem, po przeczytaniu anonimu zniszczyłem go starannie, nikomu nic nie mówiąc. Nawet „młodej żonie".

Drugie wspomnienie dotyczy napastliwego felietonu w jakiejś „solidarnościowej" gazetce, które w tamtym czasie pojawiały się i znikały. Zupełnie mi nieznany autor w felietonie zatytułowanym „Brud na pięciolinii" kwestionował wydanie pieniędzy na powstanie filharmonii, nazwał ją fasadową instytucją i uznał za gwałt zadany „całej wałbrzyskiej kulturze". A mnie określił jako „dobrze ustawionego we władzach totalitarnych dyrygenta." Muszę przyznać, że najbardziej rozbawiło mnie to określenie, nijak niepasujące do sześcioletniego bezrobocia, poprzedzającego mój przyjazd do Wałbrzycha. Oczywiście pojawiło się również zdanie, że filharmonia zabrała ludziom pracy mieszkania. Jakby

muzycy nie byli ludźmi pracy. Na zakończenie autor użył sformułowania, że filharmonia „… jest po prostu pękniętym wrzodem komunistycznej polityki kulturalnej".

Kiedy pokazano mi ten felieton i przeczytałem powyższe zdanie, przypomniałem sobie, jak w roku 1946 nazwano łódzki uniwersytet „ropiejącym wrzodem na ciele robotniczej Łodzi". Czyżby dla określonego typu ludzi uniwersytety i filharmonie były wrzodami? Czy inne wyższe uczelnie i inne instytucje artystyczne również? A może to był kolejny przejaw owej groźnej dla Polski antyinteligenckiej postawy?

Oczywiście w następnym numerze owej gazetki paru czytelników ostro skrytykowało autora felietonu, co zresztą i tak nie miało istotnego znaczenia. Gazetka niebawem przestała wychodzić, a jej nazwa podobnie jak nazwisko autora uległy całkowitemu zapomnieniu. Poza poczuciem niesmaku w mojej pamięci.

Rozdział XXXIV

PRZEŁOM 81/82

Stan wojenny – wprowadzenie

W piątek, 11 grudnia miałem koncerty w Toruniu z tamtejszą orkiestrą kameralną. Poprzednio byłem przed trzema laty i orkiestra grała wówczas znacznie lepiej. Również sala była, jak się to mówi, nabita do ostatniego miejsca. Tym razem widziałem sporo wolnych krzeseł. Ale trudno wymagać, aby ludzie chodzili na koncerty w atmosferze niepewności i nienormalnego rozpolitykowania. Wałbrzych w porównaniu z Toruniem wydał mi się przysłowiową oazą spokoju. Może to wpływ studentów, a może obecności w Toruniu po przymusowym exodusie wileńskiej inteligencji. W sobotę, 12 grudnia, skrócony program wykonany został w odbudowanym kościele w Kruszwicy. Po powrocie do hotelu w Toruniu poprosiłem recepcjonistkę o wczesne obudzenie i zamówienie taksówki, abym mógł zdążyć na ekspresowy pociąg „Kujawiak" do Warszawy. Bilet z miejscówką miałem już oczywiście kupiony.

Kiedy recepcjonistka obudziła mnie rano o godzinie wpół do szóstej, dowiedziałem się o ogłoszeniu tzw. stanu wojennego. Pamiętam, że ten fakt nie wywarł na mnie wielkiego wrażenia. Próbowałem uspokoić płaczącą recepcjonistkę, ale kiedy zamówiona taksówka nie przyjechała, pobiegłem z walizką i teczką na postój. Nie warto opowiadać o dalszych perypetiach, które zakończyły się jednak pomyślnie, tzn. zdążyłem na pociąg. I który, co ciekawe, po raz pierwszy od dłuższego czasu przybył do Warszawy punktualnie. A na dworcu czekała Małgorzata, która o dwie godziny wcześniej przyjechała z Wałbrzycha. Była przestraszona widząc stojące na ulicy tzw. skoty, czyli pojazdy opancerzone. Przypomniał mi się wtedy rok 70 w Szczecinie. Ponieważ o taksówce nie było co marzyć, pojechaliśmy autobusem do hotelu „Europejskiego", w którym mieliśmy zamówiony pokój. Przed głównym wejściem stali uzbrojeni żołnierze w hełmach. Usłyszałem:

- Nie wolno wchodzić!

Poczułem, że ogarnia mnie złość.

- Mam tutaj zamówiony pokój – raczej warknąłem niż powiedziałem.

Żołnierze spojrzeli po sobie skonsternowani.

- Ale teraz mieści się tutaj sztab – wyjaśnił jeden pojednawczo. – Nie wolno nam nikogo wpuszczać.

- To proszę zawołać oficera – nalegałem stanowczo. W konsekwencji pojawił się oficer, również w hełmie i po wysłuchaniu moich wyjaśnień, zawołał kierownika recepcji. Temu z kolei podałem swoje nazwisko. Poszedł, sprawdził rezerwację i zostaliśmy wpuszczeni do środka. Okazało się, że sztab (jaki – nigdy się nie dowiedziałem, może dla śródmieścia?) zajmował tylko parter. W pozostałej części hotelu mieszkali goście, którzy zresztą w większości w ciągu paru godzin w popłochu opuścili Warszawę.

Nie warto streszczać dalszej części dnia, wizyty u rodziny i pocieszania przerażonej matki. Ponieważ obowiązywała godzina policyjna, wróciliśmy wcześniej do hotelu i poprosiłem o wstawienie do pokoju jakiegokolwiek telewizora. Dzięki temu mogliśmy wieczorem oglądać wiadomości, a przede wszystkim powtarzane wielokrotnie przemówienie Jaruzelskiego oraz słuchać tekstu groźnego dekretu o stanie wojennym.

Następnego dnia rano poszedłem do ministerstwa, gdyż liczyłem, że uda mi się uzyskać połączenie telefoniczne z Wałbrzychem. Niestety okazało się, że w całej Polsce nie działały centrale międzynarodowe i międzymiastowe. Czynne były tylko połączenia wojskowe. Urzędniczki ministerstwa doradziły mi, abym poszedł do pokojów zajętych na potrzeby wojska, gdzie zainstalowano specjalne polowe centrale telefoniczne. Przedstawiłem dyżurującym oficerom prośbę o połączenie z Wałbrzychem, abym mógł wydać polecenia dotyczące odwołania prób i koncertów zaplanowanych na 18 i 19 grudnia.

- My możemy łączyć się tylko ze sztabami – tłumaczyli oficerowie. – A w ogóle to nie wolno używać wojskowych telefonów do spraw cywilnych.

- Moja sprawa dotyczy pracy całej państwowej instytucji. Jeżeli połączycie mnie z wałbrzyskim sztabem, porozmawiam ze znajomymi pułkownikami i jestem pewien, że załatwią sprawę.

Oficerowie widząc moje zdecydowanie, ustąpili i połączyli mnie ze sztabem w Wałbrzychu. Zapytałem czy jest pułkownik Maślak, szef RKU czy WKU, nie pamiętam dzisiaj, jak się ten urząd nazywał. Na szczęście ten znajomy pułkownik, z którym spotykałem się parokrotnie przy różnych oficjalnych okazjach, był obecny. Poprosiłem, aby wysłał kogoś do filharmonii z następującymi poleceniami: odwołać próby orkiestry aż do Nowego Roku oraz wszystkie koncerty przed świętami. Obiecałem również, że za dzień - dwa przyjadę do Wałbrzycha. Rozmowa była krótka i konkretna, a obecni oficerowie patrzyli na mnie ze zdziwieniem i szacunkiem, że takiego języka używam w stosunku do – bądź co bądź – pułkownika.

Ponieważ zaplanowane na wtorek sympozjum „Kadry dla kultury" zostało odwołane, kupiłem bilety sypialne i wróciliśmy do Wałbrzycha. W środę rano pojechałem do biura. Drażnił mnie nadawany przez miejski radiowęzeł tekst o dekrecie stanu wojennego, straszący surowymi sankcjami do kary śmierci włącznie. I jako przerywniki – głupawa muzyczka. Poszedłem do KW z protestem przeciwko takiemu traktowaniu społeczeństwa. Na mój wniosek zwołano specjalną naradę u wicewojewody. Uważam za swój obowiązek utrwalić jej nazwisko: Helena Jarocka. Należała do tych osób, które dobrze zapisały się w mojej pamięci w tych trudnych dniach stanu wojennego. Była szybka w podejmowaniu samodzielnych decyzji i odważna w rozmowach z tzw. komisarzem wojskowym. Na mój wniosek wycofano głupawą muzyczkę rozrywkową, a nadawano rozporządzenia porządkowe i informacje handlowe. A przed świętami sam wybrałem płyty z kolędami, które puszczano nie tylko przez miejski radiowęzeł, lecz także z samochodów z głośnikami jeżdżących po odległych dzielnicach.

W filharmonii kazałem na własną odpowiedzialność zdjąć wszystkie propagandowe plakaty jak np. „Kontrrewolucja nie przejdzie!" Uważałem, że nie wypada w sytuacji, kiedy ograniczono prawa obywatelskie a po ulicach jeżdżą opancerzone transportery – uprawiać prymitywnej propagandy. Moim zdaniem nie spełniała swojej funkcji, a tylko drażniła ludzi. Kiedy dowiedziałem się, że w całym Wałbrzychu brakuje jabłek, przekazałem tę informację Jarockiej. Obiecała załatwić „import" z innych województw. Istotnie po dwóch dniach dotarły pierwsze transporty jabłek. I takich drobnych spraw, ułatwiających ludziom

życie udało mi się dzięki Jarockiej, załatwić sporo. Dotychczas nikomu o tym nie mówiłem, chcę jednak, aby nie zostały zapomniane.

Próby normalizacji

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem udało mi się załatwić zezwolenie na rozpoczęcie 4 stycznia audycji dla szkół i przedszkoli, pomimo nadal obowiązującego zakazu organizowania jakichkolwiek imprez. Następnym krokiem, który zaplanowałem, było uzyskanie zgody na organizowanie koncertów w klubach, świetlicach i ewentualnie w domach kultury. Ale w tym celu należało najpierw załatwić ich otwarcie, co zamierzałem zrobić, wykorzystując jako członek komisji ideologicznej KW „kanały" partyjne. A ostatnim krokiem byłoby zezwolenie na wznowienie koncertów symfonicznych. Odbywałem liczne rozmowy z wojewodą, wicewojewodziną, prezydentem miasta, sekretarzami KW, a nawet znajomymi pułkownikami. Przekonywałem ich, że otwarcie instytucji artystycznych będzie dobrym krokiem w kierunku normalizacji, której pragnie większość ludzi. Nie wiem, na ile moje argumenty przekonały prominentów-decydentów, ale już 12 stycznia wojewoda podpisał zarządzenie o otwarciu wszystkich instytucji kultury.

A święta spędziliśmy z Małgorzatą w miarę spokojnie. Jak zwykle, głównie przy pomocy życzliwych osób, udało się zgromadzić sporo jedzenia. Ale Małgorzata jadła mało z powodu mdłości. Przyznała się, że prawdopodobnie jest w ciąży. Od dawna tego pragnęła. Ja byłem przeciwny z uwagi na to, co działo się w kraju. Uważałem, że powinniśmy zaczekać na „lepsze czasy". Ale po głębszym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie ma żadnej pewności, że te „lepsze czasy" kiedykolwiek nadejdą. Pamiętam również, że z powodu nieuregulowanej sytuacji prawnej, nie zgadzałem się, aby Bożenna urodziła dziecko. Dopiero po ślubie z Małgorzatą zdałem sobie sprawę, jaką krzywdę Bożennie wyrządziłem. Nie chciałem zatem powtórzyć tamtego błędu. Ale prawdą było również, że stan wojenny był rzeczywiście najgorszym momentem na urodzenie dziecka.

Po Nowym Roku zacząłem interweniować w sprawach niezwiązanych z moją pracą. Było to rezultatem przekonania wielu ludzi, że jako znana i ceniona osoba mam tzw. dojścia do władz. I dlatego wielokrotnie proszono mnie o interwencje. I tak np. załatwiłem zmianę głupiego zarządzenia o dacie rejestracji kartek na mięso. Z powodu świąt urząd miasta wydawał te kartki jeszcze 5 stycznia. A termin rejestracji mijał 7. Tworzyły się ogromne kolejki, ludzie tracili czas i przeklinali biurokrację. Przekonałem prezydenta miasta o konieczności przedłużenia rejestracji o parę dni. Inna interwencja dotyczyła pracowników MZK. Okazało się, że nikt nie otrzymał pensji za grudzień, ponieważ milicja w pierwszym dniu stanu wojennego zarekwirowała wszystkie dokumenty. Dlaczego – nie wiadomo. A wśród tych dokumentów były listy płac. I nikt z kierownictwa przez tyle tygodni nie potrafił odzyskać tych list. Na skutek mojej interwencji w ciągu dwóch dni wypłacono pensje na podstawie przedkładanych przez pracowników, a posiadanych w domu umów o pracę.

Jestem przekonany, że w tamtym ponurym okresie stanu wojennego podobnie jak ja działały tysiące osób. Starały się wykorzystać swoje stanowiska i znajomości, aby ulżyć doli zwykłych ludzi i wpływać na zmianę najbardziej uciążliwych zarządzeń. Nie było to bynajmniej łatwe. Na przeszkodzie stały bowiem nie tylko bezmyślność, tępota czy zła wola władzy, lecz często tchórzostwo i oportunizm funkcjonariuszy średniego szczebla administracji, partii, milicji i wojska. I zwykła chęć uniknięcia odpowiedzialności. Stara, jakże obrzydliwa zasada „nie wychylać się".

Pewnego dnia, już nie pamiętam, w jakim to było miesiącu, dowiedziałem się od znajomego lekarza, że dyrektorzy większych i mniejszych instytucji, a nawet ordynatorzy oddziałów szpitalnych, mają podpisywać tzw. lojalki. Wpadłem w furię. Poszedłem do KW i powiedziałem, że jeśli ktokolwiek przyjdzie do mnie z czymś takim, wyrzucę go za drzwi, a następnego dnia oddam legitymację partyjną. Pamiętam nawet sformułowanie, którego użyłem, że świstek papieru nie może zastąpić postawy człowieka. Oświadczyłem ponadto, że jeżeli swoim życiem nie dowiodłem, że jestem lojalny wobec własnego kraju, to nie będę tego dokumentował żadnym pisemnym oświadczeniem lojalności.

Pani Mikowa, z którą rozmawiałem, zapewniła mnie, że nikt nie wątpi w moją postawę. Obiecała załatwić, aby nie wymagano ode mnie oświadczenia lojalności. I rzeczywiście nikt się u mnie nie pojawił.

22 stycznia odbył się pierwszy koncert symfoniczny. Pomimo obaw frekwencja była zupełnie przyzwoita. A napływające z różnych miast wieści (może celowo rozgłaszane) straszyły pustymi salami, nawet w operetkach. Zaproponowałem, aby zorganizować koncert dla żołnierzy stacjonujących w Wałbrzychu. Władze podchwyciły tę inicjatywę i w lutym odbył się specjalny koncert. Obok żołnierzy pojawił się sztab z generałem - komisarzem wojskowym na czele oraz wałbrzyscy prominenci. Program składał się wyłącznie z krótkich, popularnych utworów, od Mazura z „Halki" po Lezginkę Chaczaturiana. „Przemyciłem" – o ile pamiętam – nawet jakiegoś menueta Mozarta, tańce Dvoraka i Brahmsa i „Poemat" Fibicha. Byłem pewien, że większość wojskowych po raz pierwszy w życiu była na koncercie symfonicznym. Prawdopodobnie łącznie z generałem. Dlatego też w swoim tzw. słowie wiążącym (jedno z najgłupszych określeń, jakie znam) podkreślałem wielkość muzyki i znaczenie filharmonii. Myślę, że ten koncert ułatwił mi potem załatwianie wielu spraw w różnych urzędach.

Na początku marca dowiedziałem się od ludzi, którzy słuchali Radia „Wolna Europa", że Wandzia poprosiła o azyl w Niemczech. Miesiąc wcześniej miałem z nią koncert w Łodzi, który jak się okazało – był ostatnim przed wyjazdem z Polski. Potem miała jechać na tournée do Niemiec. Oczywiście nie wspomniała o zamiarze emigracji. Pamiętam, że moja pierwsza reakcja była negatywna. Wandzi, podobnie jak np. Wajdy nie szykanowano i mogła swobodnie wyjeżdżać za granicę. Nie została także internowana. Opowiadała, że dużo wcześniej, po tym jak spotkali się u niej członkowie KOR-u, zaproszono ją telefonicznie na Komendę MO. Przysłano po nią samochód, uprzejmie ostrzeżono, aby się nie angażowała „w politykę" i elegancko odwieziono do domu. Przypuszczam, że jej nienawiść do systemu miała dwie podstawowe przyczyny. Jedną była świadomość, że przez długie lata służyła temu reżimowi. Pamiętam nasze zaciekłe dyskusje. Kiedy opowiadałem jej o więzieniach, prześladowaniach, dyskryminacji niewinnych ludzi – z wściekłością krzyczała, że to kłamstwa i że ulegam wrogiej propagandzie. Ta „zawiedziona miłość" do ustroju połączyła się z drugą – małżeńską. Mietek, o którego niewierności dowiedziała się parę lat temu, stał się nagle uosobieniem socjalistycznej władzy. Wanda – jak przypuszczałem – czuła się „podwójnie zdradzoną" kobietą. Było to dla mnie wtedy zarówno smutne jak i zabawne. Miałem przed oczyma wyraźny przykład, jaką siłą są emocjonalne reakcje oraz jak „dopasowywuje się" do nich pseudoracjonalne argumenty.

Pomimo „szaleństwa" cen (o czym kiedyś napiszę obszerniej) i różnych ograniczeń wynikających ze stanu wojennego, starliśmy się żyć w miarę normalnie. Wymagało to oczywiście zwiększonego wysiłku. Powoli zresztą znoszono lub łagodzono niektóre ograniczenia. Najpierw włączono telefony miejscowe, potem stopniowo przywrócono

łączność międzymiastową. Coraz mniej było na ulicach patroli. Wypuszczono również internowanych. Jako kolejny przykład normalizacji mogę podać podjętą w marcu decyzję o utrzymaniu wszystkich czterech wałbrzyskich festiwali. Z braku wystarczających środków finansowych miały być jedynie skrócone.

Historia mojej sekretarki

Chciałbym w tym podrozdziale odstąpić od przestrzeganej na ogół przeze mnie zasady pisania tylko o swoich sprawach i zająć się osobą postronną. Jako usprawiedliwienie mogę podać fakt, że jej zachowanie było znakomitą ilustracją sytuacji politycznej w Polsce. Bodajże na początku 80 roku zatrudniłem na etacie gońca nie tzw. młodocianego, ale dojrzałą kobietę. Zgodziła się na niską pensję, ponieważ – jak twierdziła – była w krytycznej sytuacji materialnej. Mieszkała z dwoma nieletnimi synami u rodziców. Mąż wyjechał na Zachód i nie wrócił. Według jej słów zarabiał zbyt mało, aby przysyłać pieniądze. Opowiadała nam, że jeszcze w liceum występowała jako recytatorka i marzyła, aby zostać aktorką. Niestety oblała parokrotnie egzamin do szkoły aktorskiej.

Nie podam jej prawdziwego imienia ani tym bardziej nazwiska, ponieważ nie ma to żadnego znaczenia. Nazwę ją Marzeną. W okresie pracy w charakterze gońca nauczyła się pisać na maszynie i kiedy odeszła dotychczasowa sekretarka, zajęła jej miejsce. Niestety okazało się, że pisząc robi żenujące błędy ortograficzne, a ja miałem zwyczaj większość pism dyktować. Było dziwne, że maturzystka, mająca jako recytatorka kontakt z drukowanymi poezjami, nie potrafiła zapamiętać prawidłowej pisowni. Podejrzewałem, że jej zdolności recytatorskie nie łączyły się z tzw. ogólną inteligencją. Podobnie zresztą zdarza się u wielu muzyków. Słyszałem Marzenę recytującą na różnych okolicznościowych koncertach i robiła to naprawdę przyzwoicie. Ale kiedy, chcąc jej pomóc, pozwoliłem, aby wygłosiła parozdaniową prelekcję, omal nie nastąpiła katastrofa. Z trudem „dukała" najprostsze zdania, które jej wcześniej podyktowałem. Domyślałem się, że musi mieć potężne kompleksy, które ją paraliżują. Nie zdziwiłem się zatem, że po powstaniu „Solidarności" została entuzjastyczną działaczką. Nie ograniczyła się do wygłaszania płomiennych przemówień w filharmonii, ale weszła także w skład miejskiego komitetu obywatelskiego. To miedzy innymi na skutek jej energii tak dużo muzyków wstąpiło do „Solidarności". Zajęcia związkowo-polityczno-społeczne bardzo ją pochłaniały i zaczęła pracować coraz gorzej. Kiedy zwróciłem jej na to uwagę, była oburzona. „Pracuję dla przyszłości Polski" – oświadczyła stanowczo. A ja niestety nie mogłem jej zwolnić, ponieważ była w zarządzie filharmonicznej „Solidarności" i chronił ją związkowy immunitet.

Po ogłoszeniu stanu wojennego władze zarządziły, że w zakładach pracy wszystkie materiały dotyczące „Solidarności" mają być zebrane, opieczętowane i zdeponowane w bezpiecznym miejscu. Kiedy wróciłem z Warszawy do Wałbrzycha, moja zastępczyni poinformowała mnie, że zarządzenie zostało wykonane i materiały znajdują się w archiwum filharmonii. Uznałem sprawę za załatwioną. Zauważyłem natomiast zmianę w zachowaniu Marzeny. Była wyraźnie przestraszona. Przestała perorować i przykładała się do pracy.

Nie pamiętam po upływie jakiego czasu, może to były dni, a może tygodnie, wczesnym rankiem, jeszcze przed wyjściem do pracy, odebrałem w domu telefon. Oficer z Komendy Wojewódzkiej MO prosił o natychmiastową rozmowę. Istotnie nie minął kwadrans jak zjawiło się w moim mieszkaniu dwóch funkcjonariuszy w cywilu. Po okazaniu legitymacji

przedstawili sprawę.

- Towarzyszu dyrektorze, wasza sekretarka nie oddała wszystkich dokumentów „Solidarności". W biurku nadal trzyma listy członków i materiały propagandowe. Nie chcemy robić rewizji, gdyż musielibyśmy ją aresztować. Prosimy abyście sami to załatwili.

Podziękowałem oficerom za wyjątkową wyrozumiałość i zapytałem, dlaczego Marzena pomimo wielu próśb, nie może od kilku lat dostać paszportu.

- Pozwólcie jej wyjechać z synami do męża – powiedziałem.

Oficerowie pokiwali głowami.

- My też tak uważamy, ale to w centrali mają inne zdanie.

Po przyjeździe do biura wezwałem Marzenę do gabinetu i kazałem natychmiast opróżnić biurko. Wybuchnęła płaczem i spełniła polecenie. Wyciągnęła z szuflad jakieś druczki, pisma, listy i znaczki. Spakowałem to wszystko do kartonu, zakleiłem taśmą i poprosiłem swoją zastępczynię, aby zaniosła do archiwum.

Minęło znowu parę tygodni i pewnego dnia Marzena pokazała mi wezwanie do Komendy MO. Cała się trzęsła ze strachu. Zapytałem:

- Działasz w konspiracji?

Zaprzeczyła.

- To nie masz się czego bać – powiedziałem.

A następnego dnia rano Marzena przyszła do mojego gabinetu blada, zapłakana i z trzęsącymi się rękami. Powiedziała łamiącym się głosem:

- Podpisałam zgodę na współpracę.

Nie wytrzymałem i krzyknąłem:

- Zwariowałaś?

A potem spokojniej:

- Ale dlaczego?

I wówczas jąkając się i płacząc opowiedziała, że o wyznaczonej godzinie przyjęło ją w komendzie dwóch cywilnych funkcjonariuszy i straszyło aresztem. Położyli przed nią kartkę papieru i długopis. Kazali napisać, że będzie współpracowała ze służbami bezpieczeństwa. Poczem wyszli.

- No i co? – zapytałem.

- Bałam się, że mnie zamkną.

Ogarnęła mnie złość i powiedziałem:

- A gdyby nawet cię zamknęli, to co? Przecież mieszkasz z rodzicami, którzy w razie czego zajęliby się twoimi synami.

Marzena, wycierając łzy mówiła dalej:

- Potem wrócili i napisałam, co kazali. I podpisałam.

Zapadło milczenie.

- I co mam teraz robić?

- Nie trzeba było podpisywać – powiedziałem twardo.

- A gdybym dzisiaj poszła i odwołała to, co podpisałam?

Parsknąłem śmiechem.

- Teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Rób, co chcesz.

Miałem ochotę natychmiast pozbyć się Marzeny z pracy, ale doszedłem do wniosku, że w zaistniałej sytuacji po prostu nie wypadało. Odczekałem zatem parę miesięcy i przy pierwszej dużej pomyłce, którą popełniła, dałem Marzenie zwykłe trzymiesięczne wypowiedzenie. W kilka tygodni później otrzymałem wezwanie do Sądu Pracy. Marzena

złożyła odwołanie, w którym napisała, że jest jedyną żywicielką rodziny. Na zakończenie stwierdziła, że taki człowiek jak ja nie powinien być dyrektorem, ponieważ ma siostrę, która uciekła za granicę. Przyznaję, że nie wierzyłem własnym oczom. Jak coś takiego mogła napisać aktywistka „Solidarności"?

Rozprawa była krótka. Przedstawiłem dowody złej pracy Marzeny i nieudane próby zatrudnienia jej jako prelegentki. Stwierdziłem, że nie jest jedyną żywicielką dzieci, ponieważ ma męża za granicą, z którym się nie rozwiodła. Stara się także o zezwolenie na wyjazd do niego. Na zakończenie oświadczyłem, że w związku z niskimi kwalifikacjami powódki mogę ją zatrudnić jedynie jako sprzątaczkę. Marzena odrzuciła tę propozycję z oburzeniem, co wystarczyło, aby sąd oddalił powództwo.

Zapewniam, że wszystko, co napisałem, wydarzyło się naprawdę. I choć rozmowy cytowałem z pamięci, mogłem najwyżej zmienić niechcący poszczególne słowa. Natomiast przebieg wydarzeń przedstawiłem wiernie.

Myślę, że należało opowiedzieć tę historię ze szczegółami, gdyż była symptomatyczna dla znacznej części naszego społeczeństwa. Jego postaw, zachowań, moralności. I to miał być ów osławiony etos „Solidarności", o którym tyle mówiono potem przez lata.

Różne spotkania

Przeglądając notatki z tamtego okresu, zauważyłem zwiększoną liczbę przeróżnych spotkań, zebrań, konferencji, sympozjów. I zapisane moje wrażenia: jałowe, nudne, zbędne. W podobnie krytyczny sposób oceniałem wystąpienia przedstawicieli najwyższych władz: dogmatyczne, stereotypowe, niewnoszące nic nowego itd. Zapisywałem również, o czym mówiłem. A potem gorzkie uwagi w rodzaju: i tak nic z tego nie wynikło, zabrakło dyskusji, nie podjęto tematu. Przypominam sobie, że na przestrzeni wielu lat prawie na każdym spotkaniu zabierałem głos, przedstawiając swój punkt widzenia. Czasem nawet konkretne pomysły czy projekty. Nader rzadko zdarzała się polemika. Przeważnie wysłuchiwano moich wywodów i nie podejmowano dyskusji. Jako dyrygent wyczuwałem reakcję obecnych: czy aprobowali moje słowa, czy odwrotnie – przyjmowali je niechętnie, lub nawet wrogo. I dotyczyło to spotkań w różnych miastach i środowiskach.

Kiedyś na naradzie w Warszawie po moim krytycznym wystąpieniu jako pierwszy zabrał głos zastępca kierownika wydziału kultury KC. Powiedział patetycznym głosem:

- Nie rozumiem, skąd u towarzysza Wiłkomirskiego takie czarnowidztwo. Przecież kultura polska rozwija się dynamicznie i zyskuje coraz wyższe oceny w świecie.

Po tych słowach nikt już nie odważył się na krytyczną wypowiedź.

Na innym spotkaniu, również w Warszawie, stwierdziłem, że jest w Polsce parę orkiestr symfonicznych o katastrofalnym poziomie i które, aby występować, muszą na każdy koncert zapraszać kilkunastu muzyków z innych miast. I zaproponowałem, aby te pseudoorkiestry zlikwidować, a ich dotacje przeznaczyć na stałe koncerty orkiestr z sąsiednich filharmonii. Wtedy jako pierwszy zabrał głos sekretarz CRZZ, który oświadczył:

- Orkiestry są zdobyczą klasy robotniczej i nie dopuścimy do ich likwidacji.

Takie oświadczenie uniemożliwiło jakąkolwiek dyskusję. Często także zdarzało się, że po moim wystąpieniu zapadało niezręczne milczenie, a następny zabierający głos mówił o czymś zupełnie innym. Bywało i tak, przeważnie na tzw. plenach partyjnych, że prowadzący naradę dygnitarz w obowiązkowym podsumowaniu „interpretował" moje

słowa w następujący sposób: „towarzysz Wiłkomirski chciał powiedzieć…”. Oczywiście łagodząc lub nawet przeinaczając sens moich słów.

Pamiętam jak na pewnym zebraniu, I sekretarz KW mówiąc o protestach w Gdańsku, użył określenia „mądrość klasy robotniczej”. Zabrałem oczywiście głos i powiedziałem otwarcie:

- Z całym szacunkiem, towarzyszu sekretarzu, ale nie mogę się z wami zgodzić. Nie istnieje coś takiego jak „zbiorowa mądrość”. Mogą istnieć zbiorowe emocje, ale nie mądrość. A poza tym praca w kopalni, na budowie czy przy obrabiarce nie zapewnia posiadania mądrości.

I tego wątku również nie podjęto w dalszej dyskusji.

Inna natomiast była reakcja na moje wystąpienie na pewnym spotkaniu w Wałbrzychu, zorganizowanym przez „Solidarność” jeszcze przed stanem wojennym. O ile pamiętam, miały być trzy 20-minutowe referaty, wszystkie o charakterze politycznym. Pierwszy wygłosił ktoś z tzw. komitetu obywatelskiego, drugi – zaproszony naukowiec z Wrocławia i ostatni był mój, noszący tytuł „Polityka a kultura”. Tytułów pozostałych referatów nie pamiętam. Mówiłem o ścisłych związkach polityki i kultury od czasów starożytnych i o wykorzystywaniu twórców przez władców dla własnych interesów.

Ponieważ obecni na sali wiedzieli, kim byłem, zaczęły się podchwytliwe pytania o mój stosunek do tzw. fasadowości w kulturze, o kontakty z władzami PZPR, o prześladowania niektórych artystów itd. Odpowiadałem zgodnie z moim zwyczajem (Żeromski wolałby zapewne użyć słowa „obyczajem”) zupełnie szczerze. Nie pamiętam, w jaki sposób i w jakim kontekście ktoś zapytał o mój stosunek do powstania warszawskiego. Na to pytanie musiałem odpowiedzieć uczciwie, że uważam je za polityczny i militarny błąd, choć dla mnie pozostanie na zawsze wspaniałym wspomnieniem. I wtedy rozpętała się burza. Parę osób zaczęło dosłownie krzyczeć. Usłyszałem takie słowa jak: „i to pan mówi?”, „pan – powstaniec?”. Jedni nazywali mnie „zdrajcą idei powstania!” (do dzisiaj nie wiem, co to określenie mogło znaczyć), inni żałowali, że „taki patriota mówi takie rzeczy!”. Ja zaś miałem satysfakcję, że moja wypowiedź wywołała zróżnicowane reakcje, a nie przeszła bez echa.

Zabawne były spotkania we Wrocławiu, szczególnie te dotyczące kultury. Przychodzili na nie długowłosi, zarośnięci, niedbale, by nie rzec niechlujnie ubrani młodzi osobnicy, określający się mianem zbuntowanych artystów. Przeważnie w swoich wystąpieniach nie zgłaszali jakichś rewolucyjnych manifestów, lecz ograniczali się do mniej lub więcej płaczliwych narzekań na niedocenianie ich przez… socjalistyczne władze. No i oczywiście podkreślali wyjątkowość Wrocławia jako promieniującego ośrodka kultury. I to w okresie, kiedy Wrocław opuszczali od lat czołowi twórcy i wykonawcy, a miejscowe instytucje przeżywały stagnację lub nawet wyraźny regres. Te negatywne zjawiska były znane, ponieważ dziennikarze raz po raz uderzali na alarm, przypominając czasy kiedy we Wrocławiu tworzyli tacy artyści jak Rotbaum, Grotowski, Tomaszewski, Skuszanka. Ale „zbuntowani artyści” żyli w swoim wyimaginowanym świecie. Ciekaw jestem, czy zostawili po sobie jakieś znaczące dzieła.

Na tych spotkaniach zabierałem głos, starając się, zapewne bezskutecznie, wytłumaczyć wrocławianom, że poza ich miastem istnieją na Dolnym Śląsku także inne ośrodki z instytucjami artystycznymi. Jako przykłady wymieniałem teatr w Jeleniej Górze i filharmonię w Wałbrzychu. Moje słowa przyjmowano albo z lekceważeniem, albo z niedowierzaniem. Widać to było po twarzach słuchaczy, szczególnie po porozumiewawczych spojrzeniach

i kpiących uśmiechach. Pamiętam, że jako jaskrawy przykład niedoceniania innych dolnośląskich ośrodków podałem skandaliczny (użyłem – pamiętam – tego słowa) skład delegacji na Kongres Kultury, który rozpoczął się 12 grudnia 81 i został przerwany przez ogłoszenie stanu wojennego. W delegacji tej nie znalazła się ani jedna osoba z Wałbrzycha. Wrocław uzurpował sobie (tak to sformułowałem) prawo do reprezentowania całego Dolnego Śląska. Powiedziałem to na spotkaniu zorganizowanym w pierwszych miesiącach 82. I tym razem nikt mi nie odpowiedział. Ale niebawem otrzymałem niespodziewanie doroczną Nagrodę Dolnośląskiej Prasy, przyznawaną oczywiście przez środowisko wrocławskie. Czyżby w ten sposób zamierzali mi udowodnić, że nie miałem racji? A może chcieli tylko – jak to się mówi – zamknąć mi gębę?

Urodzenie Wiosny

Małgorzata znosiła bardzo źle pierwsze miesiące ciąży. Prawdopodobnie przyczyną był konflikt pomiędzy naszymi grupami krwi. Ona ma RH+. Lekarze – jak mi potem mówiła – przypuszczali jednak, że torsje mają podłoże nerwowe. Wykluczyli tzw. zatrucie ciążowe, a różne badania wykazały jedynie brak potasu. Miała tak silne torsje, że parokrotnie pogotowie zabierało ją do szpitala. Najgorzej było w lutym w Łodzi, dokąd przyjechała na moje koncerty z Wandzią. W niedzielę rano poczuła się tak źle, że musiałem zostawić ją w szpitalu, bez możliwości kontaktu telefonicznego z uwagi na stan wojenny. Skontaktowałem się z paroma znajomymi lekarzami, prosząc o ewentualne zajęcie się moją żoną w trudnej sytuacji służby zdrowia. I po południu pojechałem do Bydgoszczy na następny koncert. Od Małgorzaty nie miałem żadnej wiadomości ani tam, ani po powrocie w sobotę, 6 do Wałbrzycha. Zjawiła się niespodziewanie we wtorek wieczorem. Schudła około 10 kilo. I nadal jeszcze przez dłuższy czas czuła się źle. Dopiero na wiosnę ustąpiły torsje, ale zaczęły się różne inne dolegliwości. Tak więc ciąża nie była radosnym oczekiwaniem, jak to opiewają kiepscy pisarze, a ciężkim przeżyciem. I tak dotrwaliśmy do sierpnia.

Warunki przyjmowania kobiet do szpitala i ich traktowania przez lekarzy warte są przynajmniej skrótowego opisu. W wyznaczonym dniu zgłosiliśmy się do izby przyjęć. W małej i brudnej poczekalni stała zaledwie jedna krótka ławka i w takiej sytuacji kobiety w dziewiątym miesiącu ciąży musiały stać, opierając się o ściany. I w dodatku w dusznym powietrzu. Pamiętam moją wściekłość i bezradność. Zgodnie ze skierowaniem zgłosiliśmy się między godziną 8 a 8.30. Lekarze przyszli dopiero o godzinie 9 i… zniknęli. Pojawili się ponownie po pół godzinie i oświadczyli, że przyjęte będą tylko te kobiety, których przewidywany termin rozwiązania już minął. Przyjęto zatem na dziesięć czekających, tylko cztery, w tym Małgorzatę. Pojechałem do pracy, a o godz. 11.45 zatelefonowała zmartwiona, że jeszcze nikt jej nie zbadał. Udało mi się po wielu próbach połączyć wreszcie z zastępcą ordynatora, który zajmował się położnicami. Poinformował mnie, że „pańską żonę, panie dyrektorze, już osobiście zbadałem". Te słowa pozwoliły mi na spokojne zajęcie się pracą. Wieczorem zatelefonowała Małgorzata i opowiedziała, jak było naprawdę. Okazało się, że lekarz kłamał. Zbadał ją dopiero o godz. 17 i to tylko dlatego, że spotkała go przypadkiem na korytarzu. Po badaniu otrzymała zastrzyk przyspieszający poród.

Przez następne dwa dni czekałem na wiadomość, że już urodziła. Niestety pomimo stosowania różnych środków, nic nie nastąpiło. Żartowałem, aby pocieszyć Małgorzatę, że dziecko nie chce się urodzić, ponieważ nie odpowiada mu sytuacja w Polsce. Nigdy

nie dowiedzieliśmy się czy to opóźnienie nie było po prostu wynikiem pomyłki lekarzy, którzy źle obliczyli datę rozwiązania. 22 sierpnia wieczorem otrzymałem ostatni telefon od Małgorzaty. Zaczęły odchodzić tzw. wody płodowe i zabierano ją na „porodówkę". Następnego dnia, a był to poniedziałek, rano zatelefonowałem bezpośrednio na oddział porodowy. Położna poinformowała mnie, że „sam ordynator zajmuje się teraz pańską żoną". Zapewne dlatego, że znałem go z różnych oficjalnych spotkań. Mniej więcej po godzinie-półtora położna zadzwoniła z wiadomością, że mam już córkę. Kiedy zapytałem, jak się czuje żona, odpowiedziała, że dobrze, choć jest zmęczona i obolała całonocnym rodzeniem.

Ale to nie koniec relacji o naszej służbie zdrowia. Zgodnie z umową wysłałem od razu telegram do rodziców Małgorzaty, wieczorem natomiast powiadomiłem telefonicznie moją matkę. (Działały już centrale międzymiastowe.) Zabawne, zmartwiła się, że nie urodził się syn. Na próżno tłumaczyłem, że właśnie chciałem mieć córkę. Podobnie było rano w rozmowie z położną. Kiedy informowała mnie, że urodziła się córka, słyszałem w barwie głosu coś w rodzaju „niestety".

Obyczajowy atawizm. Również w ten sam wieczór zatelefonował ojciec Małgorzaty. Okazało się, że wczesnym popołudniem połączył się ze szpitalem i otrzymał informację, że „pani Małgorzata Wiłkomirska jeszcze nie urodziła". A zaraz potem nadszedł mój telegram, że już szczęśliwie jest po wszystkim. Aż trudno uwierzyć w taki bałagan.

We wtorek pojechałem do szpitala i wykorzystując znajomości z dyrektorem szpitala i ordynatorem, udało mi się rozmawiać z lekarzem zajmującym się noworodkami. Okazało się, że dziecko jest „dystroficzne", czyli ma niedowagę. Nie chce ssać i nie wiadomo z jakiego powodu. Jest tak słabe, że nawet nie ma sił płakać. Na szczęście już następnego dnia, w środę zabraliśmy dziecko do domu. Urodziło się z wagą 2,60 kg a opuściło szpital mając jeszcze mniej – 2,40. Ponieważ Małgorzata nie miała niestety pokarmu, musieliśmy karmić dziecko z butelki.

I tutaj dygresja. Pisałem o Andrzeju Barszczewskim, moim koledze z niewoli. Na wiadomość, że moja żona będzie rodzić i znając sytuację w Polsce, przysłał nam samorzutnie bodajże dwie paczki z żywnością. O ile pamiętam, pierwsza zawierała cukier, syrop klonowy i mięsne konserwy. A w drugiej były pieluszki, smoczek, buteleczki i duża puszka pokarmu dla niemowląt. Nazywał się „Formula 1". Mogę z dużą dozą prawdopodobieństwa napisać po latach, że to dzięki Andrzejowi moja córka przetrwała najtrudniejsze pierwsze dni swojego życia. Ośmielony jego życzliwością, powiadomiłem go, że moja żona nie ma pokarmu i „Formula 1" okazała się wspaniała. Dziecko zaczęło jeść i szybko przybierać na wadze. Natychmiast przysłał 24 puszki różnych pokarmów na kolejne miesiące rozwoju niemowlęcia. Warto zaznaczyć, że w tamtych czasach w Polsce były tylko dwa rodzaje pokarmu w proszku: tzw. niebieski w wolnej sprzedaży i „Humana" na recepty w aptekach, przeznaczona wyłącznie dla niemowląt dystroficznych. Ponieważ moja córka należała do takich, przez pierwsze miesiące mogliśmy „Humaną" uzupełniać kanadyjski pokarm. Przez następne parę lat otrzymywaliśmy paczki z ubrankami i słodyczami dla Wiosny.

Aby zakończyć wspomnienia o urodzeniu Wiosny, wrócę jeszcze do relacji z ostatniego dnia pobytu w szpitalu. W środę, 25 sierpnia rano lekarz po zbadaniu Małgorzaty powiedział, że o godz. 11.30 będzie wypisana razem z dzieckiem. Kiedy zjawiłem się w szpitalu, zobaczyłem następującą scenę: w małym dusznym pokoiku tłoczyły się matki, podczas gdy ojcowie stali na zewnątrz na schodach. I wszyscy czekali ponad dwie godziny, co było według mnie skandalem. Wreszcie pielęgniarki otworzyły okienko i zaczęły wywoływać

matki po nazwisku i wręczać im niemowlęta, jakby to były paczki na poczcie. Coś co nie mieściło się w mojej głowie. Tak ważny moment w życiu każdej kobiety został przez niedbałość, bezmyślność, obojętność czy lekceważenie bezpowrotnie stracony.

Spotkania z Mietkiem

Pewnego dnia pani Mikowa podzieliła się ze mną smutną wiadomością. W sytuacji pogarszającej się stale sytuacji ekonomicznej i rosnących żądań płacowych pracowników, dyrektorzy zakładów przemysłowych likwidują biblioteki. I to tych największych jak np. Świdnicka Fabryka Wagonów. Byłem dosłownie wściekły. Oszczędność na pensji bibliotekarza to nic nieznacząca pozycja w budżecie kopalni, huty czy wielkiej fabryki, zatrudniających tysiące pracowników. Jak opowiadała Mikowa, książki składowało się w byle jakich magazynach, a pomieszczenia biblioteczne przeznaczano na cele socjalne. Interwencje u władz wojskowych nie dawały rezultatu; inne problemy uważano za priorytetowe. Podobna sytuacja panowała podobno w całym kraju.

Postanowiłem po raz pierwszy wykorzystać znajomość z Mietkiem, który został w lutym wicepremierem. Napisałem zatem do niego list z prośbą o przyjęcie mnie na rozmowę w sprawie bibliotek zakładowych. Po ponad miesiącu otrzymałem wiadomość z KW, że zapraszają mnie na określoną godzinę, o której będę mógł połączyć się tzw. telefonem rządowym z Mietkiem. Okazało się, że gdzieś „wetknął" mój list i zupełnie o nim zapomniał. A teraz znalazł go przypadkowo. Przeprosił i umówiliśmy się na rozmowę. Pojechałem zatem do Warszawy i o uzgodnionej popołudniowej godzinie zjawiłem się w gmachu Prezydium Rady Ministrów. Sekretarka przeprosiła mnie z góry za przewidywane opóźnienie, ale jakieś niespodziewane sprawy spowodowały przesunięcie wszystkich spotkań. Usiadłem zatem, wziąłem do czytania pierwsze z brzegu czasopismo i czekałem około godziny. Kiedy z gabinetu wyszedł Mietek z Kiszczakiem, obaj długo mnie przepraszali. Powiedziałem, że przez to opóźnienie nie zdążę kupić nasion na działkę. Kiszczak zainteresował się, o jakie nasiona mi chodziło i przez parę minut wymienialiśmy poglądy na tematy „sadownicze". Mietkowi przedstawiłem w tzw. telegraficznym skrócie sytuację kultury na prowincji. Wtrącił, że w Warszawie nie jest o wiele lepiej. Kiedy doszedłem do likwidowania bibliotek zakładowych, powiedziałem, co dokładnie pamiętam: „Mogę sobie wyobrazić Polskę bez muzyki. Będzie to smutny kraj, ale jednak Polska. Bez bibliotek, czyli bez książek, czyli bez języka nie będzie w ogóle Polski".

Mietek obiecał, że spróbuje zarówno kanałami administracyjnymi jak i partyjnymi, zahamować ten skandaliczny proces likwidacji. Jaki był skutek – nie wiem. Ja w każdym razie miałem czyste sumienie, że spełniłem swój smutny obowiązek ratowania bibliotek w wielkich zakładach przemysłowych. A na zakończenie Mietek zapytał czy nie chciałbym napisać problemowego artykułu o kulturze do „Polityki". Wprawdzie nie był już od roku naczelnym redaktorem, ale obiecał załatwić publikację ze swoim następcą.

W ciągu najbliższych tygodni napisałem artykuł i wysłałem. Po paru dniach otrzymałem zwrot z prośbą o skrócenie. Po dokonaniu, wprawdzie z niechęcią, skrótów – artykuł odesłałem. I doczekałem się publikacji. Oczywiście moje wnioski, którymi kończyłem artykuł, nie zostały nigdy zrealizowane.

Rozmowa z Mietkiem miała niespodziewany ciąg dalszy. Ponieważ wiele osób pisało do niego listy, postanowił zamiast odpowiadać każdemu z osobna, spotkać się ze wszystkimi

osobiście. Było to nowum w polskich obyczajach politycznych. Tak więc w listopadzie w urzędzie rady ministrów odbyło się spotkanie. Byłem zaskoczony, kiedy i ja otrzymałem zaproszenie. Sprawę bibliotek przedstawiłem w bezpośredniej rozmowie i nie było potrzeby, abym ją jeszcze raz prezentował publicznie. Domyślałem się jednak, że Mietek chciał się przede mną popisać, być może także z uwagi na Wandzię. Zebrało się 80-90 osób. Sądząc po wypowiedziach, większość prezentowała wyraźne antyrządowe nastawienie. Cóż z tego, jeśli to, co mówili było na żenująco niskim poziomie. Zarówno pod względem treści jak i formy. Rzucały się w oczy braki w logicznym myśleniu, znajomości historii i posługiwaniu się ojczystym językiem. Dominowały pretensje, uprzedzenia, żale, a przede wszystkim zaciekłość. Emocje górowały nad rozsądkiem. I to wszystko nagrywała telewizja. Po trzech czy czterech godzinach zabrałem głos. Na początku wyśmiałem to, co nazywano emigracją wewnętrzną. Aktorzy czy dziennikarze odmawiali np. udziału w programach radiowych i telewizyjnych. Miał to być protest przeciwko stanowi wojennemu i reżimowym mediom. Zapytałem szyderczo czy ci „wewnętrzni emigranci" korzystają z reżimowego prądu i wody? I kartek żywnościowych? Mówiąc to, z rozbawieniem obserwowałem wściekłe miny wielu osób. Doradziłem, aby społeczeństwo pouczyło się historii, co pomogłoby zrozumieć aktualną sytuację. A rządzący powinni studiować psychologię. Zaś na zakończenie oświadczyłem, że dla mnie osobiście najważniejsza jest polska państwowość i polska kultura. I dla jej uratowania gotów jestem sprzymierzyć się nawet z diabłem.

Telewizja zmontowała dwie jednogodzinne relacje, które parokrotnie wyemitowała. Zakończyła je moim wystąpieniem. Czy kogoś przekonałem – nie wiem. Ale żałowałem, że nie puszczono w całości tego pięciogodzinnego spotkania. Może liczne głupawe, bełkotliwe, niekonsekwentne i agresywne wypowiedzi otrzeźwiłyby wielu ludzi. A ja zyskałem pewnego rodzaju popularność. Niektóre osoby gratulowały mi, ale inne patrzyły z nieukrywana niechęcią.

Stan wojenny - zniesienie

Czas teraz na próbę krótkiego podsumowania ponad półtorarocznego okresu stanu wojennego. Lub raczej tej jego części, która mnie mniej lub bardziej bezpośrednio dotyczyła. I przede wszystkim tego, co sam przeżyłem, w czym brałem udział, co widziałem. A nie tego, co słyszałem lub czytałem.

Pomimo surowych przepisów dekretu, już po paru tygodniach nastąpiło pewne rozluźnienie i stopniowo łagodzono różne restrykcje. Ja osobiście o wiele bardziej odczuwałem braki w zaopatrzeniu niż takie czy inne ograniczenia. Kolejki w sklepach były bardziej uciążliwe niż coraz rzadsze legitymowanie na ulicy. Ponadto pamiętałem aż nadto dobrze tzw. okres stalinowski, przy którym stan wojenny wydawał się niemal „tchnieniem wolności".

Dzisiaj, z perspektywy dwudziestu kilku lat, mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że wówczas, tak samo jak teraz, uważałem wprowadzenie stanu wojennego za w pełni uzasadnione. I pomimo ujawniania coraz to nowych dokumentów i komentarzy kompetentnych historyków, tej opinii dotąd nie zmieniłem. Natomiast gromkie slogany głoszone przez polityków nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Preparowane są bowiem na doraźne, nieraz brudne i nieuczciwe, potrzeby.

W listopadzie 81 roku moi znajomi działacze „Solidarności" wygłaszali coraz bardziej buńczuczne hasła. W ich gazetkach czytałem wręcz nawoływania do przejęcia siłą władzy w Polsce. Wiele osób przekonywało mnie, że kierownictwo PZPR utraciło nie tylko autorytet, ale jakąkolwiek więź z masami członkowskimi. Że wojsko, a nawet milicja w razie konfrontacji – staną po stronie „Solidarności". Na takie opinie odpowiadałem pytaniem – „A co będzie, jeśli nie całe wojsko i nie cała milicja?". a uspokajające „Nie ma obawy!" niezbyt mnie przekonywało. Byłem wtedy i jestem do dzisiaj całkowicie pewny, że stan wojenny zapobiegł wojnie domowej. A jak wiadomo z historii, najbardziej krwawe są walki bratobójcze. Z wypowiedzi, wygłoszonych 3 i 4 grudnia w Radomiu i 12 grudnia w Gdańsku, jasno wynikało, że tzw. skrzydło radykalne w Komisji Krajowej „Solidarności" zaczyna przeważać nad umiarkowanym. Nawet Wałęsa był już krytykowany za „ugodowość". W takiej sytuacji zupełnie realna była możliwość, że grupy robotników z zaskoczenia opanują rozgłośnie radiowe i telewizyjne, gmachy administracji publicznej, dworce, a także posterunki milicji. Jeśliby udało im się dotrzeć do koszar, przekonać choć część żołnierzy i zdobyć broń – nie byłoby już szans na uniknięcie rozlewu krwi. Kierownictwo ZSRR, a jeszcze bardziej „bratnich" partii, nie mogłoby pozwolić na wojnę domową w środku tzw. obozu socjalistycznego. Musiałoby interweniować w imię „internacjonalistycznego braterstwa i solidarności".

Pamiętam, jak w pierwszych miesiącach 82 roku na zebraniu w KW wysocy funkcjonariusze aparatu partyjnego zastanawiali się, co zrobić, aby przełamać tak głębokie podziały w naszym społeczeństwie. Powiedziałem, że istnieje tylko jeden sposób: poprosić, aby wojska radzieckie wkroczyły do Polski. Wówczas cały naród zjednoczy się pod przewodem PZPR przeciwko najeźdźcy. Po moich słowach zapadło milczenie. Widziałem, że obecni nie wiedzieli czy mówię serio czy żartuję. A ja, znając z przekazów historycznych oraz własnego doświadczenia nastawienie znacznej części Polaków do obcych, a zwłaszcza Szwabów i Moskali, nie wątpiłem, że wszystkie wewnętrzne podziały znikną w obliczu zagrożenia z zewnątrz. Generałowie, sekretarze, księża stanęliby ramię w ramię na barykadach. Na widok radzieckich czołgów, walczący dotąd przeciwko sobie Polacy zjednoczyliby się w wojnie o niepodległość. Czym by to się skończyło – wolałem nie myśleć. Miałem w pamięci rok 56 w Budapeszcie. Według nieoficjalnych danych zginęły setki ludzi, tysiące zostały po upadku powstania uwięzione. Ponad 200 000 zdołało uciec do Austrii, która otworzyła granicę. A co byłoby w Polsce? Uciekać nie byłoby dokąd i walki, już chociażby z tej racji, trwałyby dłużej. Armia polska była o wiele silniejsza od węgierskiej. Wiadomo z historii, że wojsko przeszło na stronę powstańców, a na ich czele stał komunistyczny generał, były partyzant Pal Mareter. Imre Nogy, który był także komunistą, a nawet przez jakiś czas premierem, powołał rząd jedności narodu. Nic to nie pomogło. Czołgi radzieckie w parę dni zdławiły powstanie. A ile dni czy tygodni byłoby potrzeba, aby rozbić opór Polski? Ile byłoby ofiar? Jakie zniszczenia? Wolałem o tym nie myśleć.

Dlatego uważałem, że stan wojenny zapobiegł wybuchowi wojny domowej, której następstwem byłaby radziecka interwencja. Byłem przekonany, że będąc na miejscu Jaruzelskiego, postąpiłbym tak samo. Moim zadaniem nie wolno było ryzykować i liczyć na ewentualne porozumienie ze skrajnym skrzydłem kierownictwa „Solidarności".

I sprawa ostatnia, podnoszona przez krytyków stanu wojennego. Wskazują oni, że przecież w 89 roku przy tzw. Okrągłym Stole dokonano pokojowego przekazania władzy. Jest to argument nieuczciwy. Rok 89 to nie 81. Nie miejsce tu na szerszy wywód, ale wystarczy parę porównań. Potęga militarna USA wzrosła przez te osiem lat, zaś ZSRR

osłabła. Podobnie z gospodarką. Ale najważniejsza była różnica pomiędzy Gorbaczowem a Breżniewem. Ekipa Brezniewa – jestem o tym całkowicie przekonany – nie dopuściłaby do rozpadu obozu socjalistycznego. Byłaby gotowa rozpętać III wojnę światową. Ofiary i zniszczenia nie miały dla niej żadnego znaczenia. Ale Gorbaczow był młodszy i miał inną mentalność. Dowodziły tego tzw. głasność i pierestrojka. Tak więc jestem pewien, że gdyby w 89 roku w ZSRR rządził ktoś taki jak Breżniew, nie doszłoby do rozpadu obozu socjalistycznego, zmiany ustroju w krajach Europy Wschodniej i zjednoczenia Niemiec. Niezależnie od wszelkich kosztów, ZSRR w tamtym kształcie mógł jeszcze funkcjonować przez wiele lat. Z historii wiadomo, jak długo dogorywały niektóre imperia, np. rzymskie. Myślę, że za kilkadziesiąt lat historycy następnych pokoleń będą mogli bez politycznego zacietrzewienia opisać zarówno wydarzenia roku 81 jak i 89.

Niestety, stan wojenny stał się również niewykorzystaną szansą. I ja, i wielu moich znajomych liczyliśmy, że przy pomocy dyscypliny wojskowej uda się uporządkować najważniejsze sprawy i usunąć największe bolączki, wynikające z braku kompetencji, wieloletnich zaniedbań i przede wszystkim bałaganu organizacyjnego. Na początku wydawało się, że nasze oczekiwania zostaną spełnione. Z wysokich funkcji odwołano wielu ludzi, którzy swoją działalnością szkodzili ekonomii, gospodarce czy polityce, nie wspominając o kulturze. Niestety ich następcy nie byli lepsi. I kraj nadal pogrążał się w bezwładzie, marazmie, dezorganizacji. Chcąc być jednak sprawiedliwy, muszę zaznaczyć, że pole manewru władz było nader ograniczone. Z jednej strony ZSRR, z drugiej „Solidarność".

Nie można również nie wspomnieć, że uzdrowienie gospodarki wymagało kapitału i rzetelnej pracy. Po ogłoszeniu stanu wojennego dopływ kapitału zachodniego w postaci kredytów został zablokowany, a o jakości pracy znacznej części robotników wstyd wspominać. Poza tym maszyny były przestarzałe i częściowo zdekapitalizowane, brakowało także nowoczesnej technologii. Tak więc po zmarnowaniu okazji, którą stwarzały reformy ekipy Gierka, straciliśmy kolejną szansę rozwoju kraju.

To co napisałem, jest oczywiście dużym skrótem i wymagałoby rozszerzenia, ale myślę, że do potrzeb autobiografii wystarczy naszkicowanie ówczesnej sytuacji i tego jak ją wtedy oceniałem. Pamiętam, że mniej więcej od końca 82 roku patrzyłem w przyszłość z coraz większym pesymizmem.

Rozdział XXXV

LATA KRYZYSU

1983 - 1985

Zniesienie stanu wojennego – tak to się oficjalnie nazywało – nastąpiło 22 lipca 1983 roku. Już przedtem, w końcu poprzedniego roku, zwolniono wszystkich internowanych. Rozwiązano cieszący się złą sławą i wyśmiewany Front Jedności Narodu, a wcześniej powołano do życia PRON (Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego). Rozwiązywano jedne stowarzyszenia, powoływano nowe. Było widać, że władze starają się usilnie o łagodzenie nastrojów społecznych. Możliwe, że przyniosłoby to pożądane rezultaty, gdyby nie poważne błędy propagandowe. Nie warto tutaj o nich pisać, można je znaleźć w niejednej monografii. Ja osobiście wściekałem się na głupotę zbyt gorliwych funkcjonariuszy partyjnych i brak wyczucia służalczych publicystów. Najpoważniejsze błędy, moim zdaniem, popełniały służby bezpieczeństwa, które – jak się wydawało – prowadziły własną politykę. W jakim celu – nigdy się nie zdołałem dowiedzieć. Przesadnie brutalne rozpędzanie demonstracji, czasami nawet ze śmiertelnymi ofiarami, zamiast uspokajać – zaogniły sytuację. Nic nie mogło usprawiedliwić działań ZOMO (Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej), dysponującej wystarczającymi środkami, aby rozpraszać demonstrantów bez konieczności zabijania i okaleczania. O ile śmierć Przemyka mogła być niezamierzona, o tyle zamordowanie Popiełuszki musiało być wcześniej zaplanowane. Przypuszczałem, że była to intryga starych UB-eków, wymierzona nie w „Solidarność" czy Kościół, ale przeciwnie – w Kiszczaka. Jak mi mówiono, Kiszczak był wojskowym, którego Gierek mianował ministrem spraw wewnętrznych, aby ograniczyć samowolę służb bezpieczeństwa. Jeżeli ta informacja odpowiada prawdzie, to moje przypuszczenia były słuszne. Organizatorzy zabójstwa Popiełuszki mogli mieć nadzieję, że skompromitują Kiszczaka i spowodują jego dymisję. A kto wie, może liczyli, że ta zbrodnia wywoła społeczny bunt, obalenie Gierka, krwawe rozruchy i w konsekwencji zbrojną interwencję ZSRR. Ale to tylko moje domysły, niepoparte żadnymi dowodami. Ciekawe czy kiedykolwiek historycy dotrą do jakichś dokumentów i wyjaśnią, jak było naprawdę.

A skoro zacząłem już pisać o śmierci, warto dodać, że w pierwszych trzech latach kryzysu 83-85 umarli śmiercią naturalną lub zostali zabici kolejno: Andropow, Czernienko, Indira Gandhi, Enwer Hodża, Olof Palme, cesarz Hirochito, Chomeini, Kadar. Na moje życie wpłynęła, choć pośrednio, tylko śmierć dwóch pierwszych. Ponadto w polityce światowej nastąpiło w tym samym okresie wiele wydarzeń, które w ten czy inny sposób wiązały się ze zamianami w Polsce. Przede wszystkim reelekcje Kohla, Reagana, Thatcher i Mitteranda. Bez tych polityków nie nastąpiłby bezkrwawy przewrót w roku 1989, niezależnie od dzielących ich różnic. I rozmaitych, często przeciwstawnych ocen, głoszonych w tamtych latach i obecnie.

Poza polityką, która niestety wciskała się do naszego codziennego życia, starałem się pracować w miarę normalnie. Tamte lata kryzysu pochłaniały mnóstwo czasu i energii na przezwyciężanie ogromnej ilości przeszkód. Niektóre miały charakter obiektywny i wiązały się z ogólną sytuacją gospodarczą kraju, a nawet międzynarodowymi wydarzeniami. Ale większość tych przeszkód wynikała z niekompetencji, dezorganizacji, a nawet złej woli urzędników różnych szczebli. I powszechnej – jak to wtedy określano - „spychologii". Z niechęci i obawy przed braniem odpowiedzialności. Nazywano to także asekuranctwem. Większość funkcjonariuszy, często na wysokich stanowiskach, nie chciała ryzykować swoich posad. Dlatego wolała nie podejmować decyzji. „Umywała ręce", czekała na instrukcje, powoływała się na "kogoś" wyżej. Dlatego zdarzało się często, że nie można było załatwić najprostszej sprawy bez pomocy znajomego decydenta. Pamiętam, że wędrowałem od naczelnika do prezydenta, od dyrektora do wojewody, od kierownika do sekretarza. Dobrze, że dysponowałem takimi możliwościami, a co mieli robić zwykli obywatele?

Dzięki moim znajomościom udało mi się załatwić np. sprawę mieszkania dwojga starych ludzi, którzy zajmowali jeden pokój na IV piętrze w tzw. starym budownictwie. Identyczny pokój zwolnił się w tym samym budynku na parterze. Starzy ludzie pisali, chodzili po rozmaitych urzędach, prosząc o zamianę. Nie musieliby wówczas nosić węgla i zakupionego jedzenia po schodach aż na IV piętro. Bezskutecznie. Wreszcie ktoś przekazał mi informację o tej żenującej sprawie. „Uruchomiłem" znajomych dygnitarzy w Komitecie Wojewódzkim. Po paru dniach staruszkowie otrzymali przydział na upragniony pokój na parterze.

Poważniejszą sprawą była interwencja w sprawie koksowni. W tamtych czasach w Wałbrzychu działała koksownia, wykorzystująca dolnośląski antracyt, zatruwając przy okazji środowisko. Nie wdając się teraz w szczegóły, mogę zrelacjonować, co mi wówczas powiedziano. Powstał projekt uruchomienia drugiej, nieczynnej koksowni między śródmieściem a Szczawnem. Jak mi wyjaśnili fachowcy, mogłoby to doprowadzić do nieodwracalnych szkód ekologicznych, a przede wszystkim zniszczenia uzdrowiska. Przekazałem sprawę natychmiast do Komitetu Wojewódzkiego. Obiecali zasięgnąć opinii rzeczoznawców. Po dwóch tygodniach otrzymałem telefoniczną wiadomość, że decyzja o uruchomieniu nieczynnej koksowni została anulowana. Powiedziałem wówczas z goryczą, że żyjemy w chorym systemie. Nie jest bowiem normalne, że partia polityczna poprawia błędy administracji rządowej. Mój rozmówca, I sekretarz, przyznał mi rację.

Przytoczyłem tylko dwa przykłady, ale w tamtych latach interweniowałem w wielu sprawach niezwiązanych z kulturą. I coraz wyraźniej widziałem niewydolność systemu.

Również przy pomocy KW musiałem rozwiązywać różne problemy filharmonii. Władze centralne przy narastających brakach w produkcji większość towarów – jak to się wtedy mówiło – przeznaczały na potrzeby rynku. Poza tymi, które otrzymywało wojsko, milicja, górnicy i… KC. W bufetach mieszczących się w siedzibach tych instytucji oraz na terenie kopalń – pracownicy mogli nabywać bez kartek rozmaite, niedostępne w sklepach produkty. Możliwe zresztą, że moja wiedza była niepełna i takich uprzywilejowanych urzędów, organów czy instytucji istniało więcej. Ale filharmonie, teatry, biblioteki czy muzea do nich nie należały. Zakup tzw. środków czyszczących, nie wspominając o oponach, akumulatorach, żarówkach był wręcz niemożliwy. Musiałem zatem „wydeptywać" korytarze KW, aby przy pomocy sekretarzy załatwić np. przydział proszku do prania, ponieważ zgodnie z układem zbiorowym na filharmonii spoczywał obowiązek prania koszul frakowych. Ponieważ był to ewidentnie absurdalny przepis, kupowaliśmy proszek na koszt instytucji i w odpowiednich porcjach rozdawaliśmy muzykom.

Władze wykazywały wzmożoną aktywność, przejawiającą się m.in. w organizowaniu przeróżnych zebrań, konferencji, narad. Nigdy przedtem ani potem nie uczestniczyłem w tylu różnego rodzaju spotkaniach, co w tych pierwszych latach kryzysu. Do Warszawy jeździłem przynajmniej dwa razy w miesiącu. Do ministerstwa, KC oraz przeróżnych stowarzyszeń czy instytucji. Raz nawet zostałem zaproszony do Sejmu na posiedzenie komisji kultury. Już nie pamiętam, jaki był temat, ale poziom dyskusji zapamiętałem jako wręcz żenujący. Siedziałem obok znajomego dyrektora departamentu ekonomicznego w ministerstwie. Wymienialiśmy raz po raz kąśliwe komentarze, słuchając wystąpień posłów. Mieli je przygotowane na piśmie, ale nawet nie potrafili przeczytać ich poprawnie.

Czasem narady były bardzo długie, ale pamiętam i taką, która po ospałej dyskusji trwała zaledwie dwie godziny. Uważałem za swój obowiązek prawie zawsze zabierać głos, choć wiedziałem, że poza robieniem sobie wrogów – niczego nie zmienię. Wolałem bezpośrednie rozmowy z decydentami w zamkniętych gabinetach. Wtedy istniała szansa, że uda się załatwić jakąś sprawę, usunąć przeszkodę, rozwiązać problem. Tylko dzięki tym działaniom otrzymałem przydział dwóch czteropokojowych mieszkań dla filharmonii, co pozwoliło urządzić rodzaj pokojów hotelowych dla ośmiu nowo zaangażowanych muzyków. Nie było to całkowicie legalne, ponieważ w tamtych czasach przydziały mieszkań mogły otrzymywać tylko tzw. osoby fizyczne, a nie instytucje. Udało mi się jednak załatwić, że prezydent miasta, naczelnik wydziału spraw lokalowych i prezes spółdzielni mieszkaniowej udawali, iż o niczym nie wiedzą. I ten nielegalny stan trwał parę lat, dopóki nie udało się sukcesywnie uzyskać indywidualnych przydziałów dla muzyków.

Również przy pomocy życzliwych decydentów wywalczyłem talony na zakup kilku maszyn do pisania, najbardziej potrzebnych mebli i autobusu „Jelcz" prosto z fabryki. Oraz dodatkowe środki finansowe na zakupy.

Z tych wspomnień wyłania się obraz mojej działalności zawodowej, społecznej, politycznej. A miałem już wtedy bądź co bądź około sześćdziesiątki i powracające co pewien czas dolegliwości sercowo-krążeniowe. Szczególnie męczące były podróże do Warszawy. Po nocy spędzonej, bo trudno byłoby ją nazwać przespaną, uczestniczyłem w jakimś zebraniu, załatwiałem przy okazji różne sprawy w rozmaitych urzędach i odwiedzałem rodzinę. Po takim męczącym dniu kolejna noc w pociągu. A rano następnego dnia pędziłem do filharmonii, często prosto na próbę. Orkiestra nadal przeżywała kryzys. Podobnie zresztą jak inne polskie zespoły. Emigracja zarobkowa trwała. W każdej orkiestrze brakowało muzyków. Najlepsi absolwenci wyższych szkół muzycznych wyjeżdżali za granicę od razu po dyplomie. Pensje pracowników instytucji artystycznych wynosiły zaledwie połowę średniej krajowej. Podobnie było wśród naukowców. Słyszałem, że rektor zarabiał mniej niż palacz c.o. (centralnego ogrzewania) w tzw. sezonie grzewczym, a adiunkt mniej niż sprzątaczka. Degradacja inteligencji była wyraźna. Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza stanowiła zagrożenie dla władz. Stąd ciągłe ustępstwa płacowe. Najszybciej rosły ceny, potem pensje robotników. Kiedy mówiłem o tym na różnych zebraniach, decydenci – nawet wysokiego szczebla – rozkładali bezradnie ręce. I jak w takich warunkach można było spodziewać się dobrego poziomu orkiestr?

Sprawy osobiste

Niestety napięta atmosfera tamtych lat, postępujący rozpad państwa, wybuchające raz po raz strajki rzutowały na moje życie osobiste. Ale obserwowałem swoisty fenomen. Kiedy wracałem do domu, z furią opowiadałem Małgorzacie o problemach w pracy. Po wyrzuceniu z siebie całej złości, starałem się zapomnieć o otaczającej mnie rzeczywistości. I – o dziwo! – udawało się to osiągnąć. Wielką pomocą była obecność Wiosny. Obserwowanie jej rozwoju stało się wręcz pasjonującym zajęciem. W miarę jak rosła, absorbowała coraz więcej czasu. A to z kolei wzmacniało więź między nami. Po raz pierwszy poczułem, że jestem ojcem. Przypomniało mi się, że kiedy urodził się Bogusław, miałem niecałe 23 lata. Okazało się, że to dla mnie zbyt mało. Nie dojrzałem jeszcze do ojcostwa. Denerwował mnie płacz niemowlęcia, pomimo że nie musiałem się nim zajmować. Matka pierwszej żony, która we wrześniu 39 roku straciła jedynego ukochanego syna, przelała całą miłość na wnuka. Pamiętam, że zagarnęła go dla siebie, odsuwając od dziecka nie tylko mnie, ale nawet własną córkę. Ze wstydem muszę przyznać, że po raz pierwszy poczułem do swojego syna coś, co można by nazwać miłością, kiedy, mając dwa lata, złapał mnie za spodnie i powiedział „tata".

Natomiast teraz od trzeciego dnia życia Wiosny, zajmowałem się nią niemal codziennie. O ile pamiętam, położna przychodziła kapać ją przez tydzień czy dwa. A potem ja to musiałem robić, ponieważ Małgorzata naprawdę bała się trzymać takie maleństwo na jednej ręce w wanience. Ja zresztą też, ale jakoś pokonałem strach. Dzięki temu jednak od razu poczułem, że mam dziecko. Przypuszczam, że te codzienne kąpiele, przygotowywanie pokarmu, potem trzymanie Wiosny na jednej ręce, a butelki w drugiej, zabieranie zabrudzonych pieluszek, przewijanie itd.– były podstawą więzi emocjonalnej.

Przez pierwsze lata rezygnowałem z wyjazdów na koncerty gościnne, co niestety spowodowało, że „wypadłem z rynku". Nigdy już potem nie miałem tylu koncertów w polskich filharmoniach co przed narodzeniem dziecka. Wpłynęło to również negatywnie na nasz domowy budżet. Ale za to mogłem z czystym sumieniem powiedzieć, że wychowałem własną córkę. Była to zresztą konieczność, gdyż wymogłem na Małgorzacie, aby nie tylko rozpoczęła studia zaoczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze, lecz także wróciła do pracy w filharmonii. Kiedy wyjeżdżała na trasę audycji szkolnych, zostawałem z dzieckiem w domu, „urzędując" przy pomocy telefonu. A w razie potrzeby przywożono mi papiery do podpisu. Podobnie było raz w miesiącu, kiedy Małgorzata jechała na zajęcia do Zielonej Góry. I trwało to parę lat. A potem, kiedy Wiosna miała już 3-4 lata, jeździła ze mną codziennie do pracy zatłoczonym autobusem. W gabinecie budowała z foteli „domek", a ja urzędowałem, prowadziłem zebrania, odbywałem rozmowy.

Siedząc z dzieckiem w domu mogłem uczyć się partytur, pisać wspomnienia w odcinkach do „Trybuny Wałbrzyskiej" i czytać książki, które nadal regularnie kupowałem. A trzeba przyznać, że korzystając z pewnego rozluźnienia cenzury ruch wydawniczy nabrał rozpędu. Publikowano coraz więcej książek naukowych. I kolejny paradoks. W coraz bardziej pogłębiającym się kryzysie gospodarczym mogłem kupować książki, dotąd niedostępne. Domyślałem się zresztą, że umowy wydawnicze i tłumaczenia rozpoczęto jeszcze za „czasów Gierka", a teraz je realizowano. To właśnie w tym okresie udało mi się nabyć znaczną część książek z różnych dziedzin wiedzy, m.in. trzytomowy atlas anatomiczny dla lekarzy, wyłącznie z napisami łacińskimi. Nie był mi do niczego potrzebny, ale nie mogłem

oprzeć się pokusie. No i kupowałem poza książeczkami dla małych dzieci, które jeszcze były bardzo tanie, także książki „na przyszłość". M.in. czterotomową historię Polski, czy zebrane dzieła Mickiewicza. Wydane były na kiepskim papierze, źle zszyte, bez twardej okładki, ale za to ceny nieporównywalnie niskie. Książki przydały się, kiedy Wiosna chodziła do szkoły podstawowej i liceum.

Wspominając sprawy osobiste, muszę opisać jeszcze jedno zdarzenie. Widząc rozkład orkiestry, poszedłem do Mikowej i powiedziałem, że będę musiał złożyć rezygnację. Uzasadniłem to całkowitą niemożnością brania odpowiedzialności za instytucję. I powiedziałem, że jeśli nie otrzymam w najbliższym czasie choćby paru mieszkań, podejmę decyzję o odejściu z filharmonii. Mikowa uznała słuszność mojego stanowiska i obiecała natychmiastowe działania. Rzeczywiście w ciągu paru tygodni otrzymałem dwa czteropokojowe mieszkania, o czym już pisałem. W następnym roku kolejne dwa. Dzięki temu pod koniec 85 roku miałem znowu skompletowaną orkiestrę i mogłem rozpocząć od nowa podnoszenie poziomu. Ale ta wizyta oraz następne zaowocowały jeszcze czymś zupełnie innym. Niespodziewanie w 83 roku otrzymałem nagrodę wojewódzką, co poza splendorem było także pomocą finansową. A rok później Medal 40-lecia PRL i Medal Komisji Edukacji Narodowej.

O ile pierwsze odznaczenie nie miało większego znaczenia, gdyż otrzymało je mnóstwo ludzi, o tyle drugie stanowiło cenne wyróżnienie. Medal ten – jak mi mówiono – przyznawano wybitnym pedagogom po wieloletniej działalności dydaktycznej. Przeważnie dostawali starzy, zasłużeni profesorowie wyższych uczelni. O ile pamiętam, w roku 84 byłem jedynym w Wałbrzychu, który to odznaczenie otrzymał. W roku 85 uhonorowano mnie także Medalem „Za zasługi dla województwa wałbrzyskiego". A w lecie następnego roku zatelefonowano do mnie z KW z wiadomością, że Rada Państwa przyznała mi Sztandar Pracy I klasy. Było to chyba jedno z najwyższych odznaczeń ustanowionych przez PRL. O ile pamiętam, I klasę dostawali przeważnie górnicy. Znacznie później dowiedziałem się, że na ponad 120 000 Sztandarów Pracy obu klas, 99% otrzymali górnicy! Dla zasłużonych pracowników kultury wystarczała na ogół II klasa. Tak więc wyróżnienie mojej osoby wałbrzyskie władze potraktowały jako wyraz uznania dla województwa. Tak w każdym razie mówili w oficjalnych wystąpieniach.

Kolejna wiadomość była mniej zaskakująca. Order miałem odebrać w Warszawie, w Belwederze w przeddzień 22 lipca przy okazji corocznej ceremonii. A jako jedyny, otrzymujący tak wysokie odznaczenie, miałem przemawiać w imieniu wszystkich „udekorowanych". Na taką okazję władze wysłały mnie samochodem służbowym. Pamiętam, że bardzo mnie te zabiegi bawiły. Od młodości nie przywiązywałem wagi do medali, tytułów, nagród, stanowisk, czemu nieraz dawałem wyraz w rozmowach. Zauważyłem, że tego rodzaju poglądy drażniły niektórych przedstawicieli władz. Zawsze uważałem, że wartość człowieka polega na zupełnie czymś innym. Na tym, co wie, umie i co czuje. W manierze romantycznej można by to ująć bardziej wzniośle: co ma w głowie i sercu.

Wracam teraz do lipca 86. Jadąc do Warszawy zabraliśmy po drodze działaczkę samorządową, która miała otrzymać brązowy krzyż zasługi. Pokoje dla niej, kierowcy i mnie zarezerwowano w hotelu sejmowym. Następnego dnia odbyła się w Belwederze uroczystość. W dużej sali kłębiło się około 100 osób, które miały zostać odznaczone. Między nimi kręcili się zaaferowani urzędnicy. Usłyszałem nagle donośny głos, pytający czy na sali znajduje się towarzysz Wiłkomirski. Kiedy przecisnąłem się przez tłum, urzędnik w średnim wieku (jak się domyśliłem – szef protokołu) uścisnął mi dłoń i przeszedł na

„pan". Ustawił mnie na początku sali, a obok mnie, również wywołanego po nazwisku, generała, który miał otrzymać Sztandar Pracy II klasy. A potem ustawiano w dwuszeregu kolejnych odznaczonych, oczywiście według „rangi" orderów: starych i młodych, kobiety i mężczyzn, cywilów i wojskowych. Rozumiałem, że takie uporządkowanie jest konieczne, ale obserwując je – z trudem powstrzymywałem śmiech. Nic na to nie poradzę, ale rozmaite ceremonie zawsze mnie rozbawiały. Pamiętam, że już w dzieciństwie śmieszyły mnie uroczyste miny i dostojny krok dygnitarzy, celebrujących przede wszystkim… siebie.

Zbyt dużo dygresji; wracam do relacji. O wyznaczonej porze do sali wkroczyli najwyżsi dostojnicy PRL z Jaruzelskim i Messnerem na czele. Jaruzelski jako przewodniczący Rady Państwa, czyli ktoś w rodzaju prezydenta, wygłosił krótkie przemówienie. A potem przystąpił do odznaczania pierwszego rzędu, zaś Messner równolegle – drugiego. Po obowiązującej formułce dodał: „A my się znamy ze Szczecina", co było znaczną przesadą. Raz bowiem spotkałem się z nim przy jakiejś okazji, kiedy był posłem z zachodniopomorskiego okręgu. Po zakończeniu przypinania orderów, uścisków dłoni, wręczania legitymacji, szef protokołu zapowiedział uroczyście:

- W imieniu odznaczonych głos zabierze towarzysz Józef Wiłkomirski.

Miałem dokładnie zaplanowane, co powiedzieć. Stanąłem na wskazanym na środku sali miejscu i oświadczyłem – co dobrze pamiętam – że nie będę mówił tak, jak to jest w zwyczaju, iż otrzymane ordery zobowiązują odznaczonych do jeszcze większego wysiłku. Jestem bowiem pewien, że obecni na sali nie potrzebują takiego dopingu. Dowiedli tego dotychczasowym życiem. Jestem natomiast pewien, że traktują otrzymane odznaczenia jako wyraz doceniania ich działalności, która często napotyka na rozliczne przeszkody. Zauważyłem, że na twarzach niektórych przedstawicieli władz, między innymi Messnera, pojawiły się lekkie uśmiechy. I zakończyłem stwierdzeniem, że otrzymane ordery pomogą w przezwyciężaniu trudności, za co Radzie Państwa i osobiście towarzyszowi przewodniczącemu w imieniu odznaczonych dziękuję.

Po oklaskach podeszli do mnie różni dygnitarze, aby mi gratulować nietypowego wystąpienia. Przy okazji powiedziałem Messnerowi o tragicznej sytuacji kultury, na co obiecał mi, że zajmie się tym osobiście. A w dalszej rozmowie nie wytrzymałem i zwróciłem się do Jaruzelskiego ze słowami, których nigdy nie zapomnę:

- Towarzyszu sekretarzu, codziennie jeżdżę w tłoku do pracy i z powrotem do domu miejskim autobusem i słyszę, co zwykli ludzie o was mówią. Obarczają was odpowiedzialnością za bałagan w kraju, za potworną biurokrację, za tolerowanie cwaniactwa na różnych szczeblach władzy. I chcieliby twardszych decyzji oraz większej konsekwencji.

Otaczający mnie dostojnicy zdrętwieli. Zapadła cisza, a po chwili – co pamiętam jak by to było wczoraj – Jaruzelski powiedział:

- Mają rację. Rozumiem ich. Zobaczę, co się da zrobić.

Po tych słowach przeszedł do innych odznaczonych, aby i z nimi porozmawiać. A ówczesny przewodniczący ZSL bodajże o nazwisku Malinowski, chcąc być dowcipny rzekł:

- Widać, że nazywacie się Wiłkomirski, bo kąsacie jak prawdziwy wilk.

Potem była wycieczka do Wilanowa, obiad i powrót do Wałbrzycha. Następnego dnia otrzymałem liczne telefony z gratulacjami. I muszę dodać, że zgodnie z moimi przypuszczeniami, na skutek otrzymania tak wysokiego odznaczenia i zaszczytu przemawiania, załatwiłem parę ważnych spraw dla filharmonii. Przez pewien czas nikt nie odważył się odmówić tak wyróżnionej osobie. Jakże to typowe.

Kontakty z SB

Nigdy przedtem ani potem nie miałem tylu kontaktów ze służbą bezpieczeństwa jak w latach osiemdziesiątych. Przez cały okres pracy w Szczecinie zaledwie parę rozmów, z których dwie dotyczyły ewentualnej współpracy. Kolejna związana była z wizytą w moim domu amerykańskiego wicekonsula i jeszcze jedna – muzyków żydowskiego pochodzenia. Wszystkie te spotkania opisałem w rozdziale XXV. Innych rozmów przypomnieć sobie nie potrafię, choć nie wykluczam, że mogły być. Ale najwyżej jedna lub dwie. W okresie sześcioletniego bezrobocia miałem spokój. W Wałbrzychu przez pierwszy okres pracy również nikt się do mnie nie zgłosił. Dopiero w stanie wojennym pojawił się, oczywiście po uprzejmym telefonicznym uzgodnieniu dnia i godziny spotkania, młody człowiek. Przedstawił się, okazał legitymację i zaczął zadawać pytania o nastroje wśród muzyków, o to jak się zachowują dawni działacze „Solidarności", a jak członkowie PZPR i tak w ogóle, co pracownicy mówią. Odpowiadałem z przesadną swobodą, że nie mam zwyczaju rozmawiać w instytucji o polityce i że nie interesują mnie poglądy muzyków. Dla mnie najważniejsze jest, aby orkiestra dobrze grała, a z tym mam kłopoty. I zacząłem wymieniać stałe bolączki: niskie pensje, brak mieszkań, niemożność kupienia instrumentów itd. Po wysłuchaniu tej litanii mój gość stracił chęć do dalszych pytań.

W następnych miesiącach zgłaszał się regularnie, co parę tygodni, tłumacząc, że pełni funkcję jakby opiekuna filharmonii z ramienia służby bezpieczeństwa. Przyjąłem tę informację bez komentarza.

27 sierpnia 82 roku przed próbą woźny wręczył mi kilka znalezionych na fotelach w sali źle wykonanych antyrządowych ulotek. Nie pamiętam ich treści. Ponieważ od strony holu sala była zamknięta, ulotki mógł rozłożyć tylko muzyk. Kiedy orkiestra usiadła, pokazałem ulotki i powiedziałem, że jeżeli ktoś chce zmienić ustrój, to nie uda się tego osiągnąć przy pomocy ulotek. Do tego potrzeba czołgów i armat. A ponieważ muzycy ich nie mają, niech zajmą się graniem. Rozległy się śmiechy i próba potoczyła się bez zakłóceń. W przerwie wszystkie ulotki starannie podarłem na drobne kawałeczki i wyrzuciłem do kosza. I uznałem sprawę za załatwioną. Ale następnego dnia nasz „opiekun" „zamówił się" na rozmowę i po próbie zjawił się w moim gabinecie. Zapytał:

- Co słychać?

Zgodnie z prawda odpowiedziałem, że słychać muzykę, ponieważ mamy próby do najbliższego koncertu. A na to „opiekun" zadał kolejne pytanie:

- I nic specjalnego się nie wydarzyło?

Choć domyślałem się, o co mu chodzi, odpowiedziałem po krótkim zastanowieniu:

- Specjalnego? Nie przypominam sobie.

- No, a te ulotki?

Omal nie parsknąłem śmiechem. Z udanym lekceważeniem powtórzyłem:

- Ulotki? A były, były. Nie uważam ich jednak za coś specjalnego.

Zdezorientowany funkcjonariusz zadał kolejne pytanie.

- A coście z nimi zrobili, towarzyszu dyrektorze?

Z przesadną obojętnością odpowiedziałem:

- Zniszczyłem. A cóż innego mogłem zrobić?

Jak ta rozmowa została potem zrelacjonowana w Urzędzie Spraw Wewnętrznych – nigdy

się nie dowiedziałem. A tym bardziej, co napisał ów funkcjonariusz w ewentualnej notatce służbowej.

Kolejnym spotkaniem z SB była wizyta dwóch oficerów w moim mieszkaniu w sprawie sekretarki, o czym już pisałem. I ostatni kontakt, tym razem telefoniczny, miał miejsce nieco później. Nie pamiętam, w którym roku lat osiemdziesiątych, wybito monety z wizerunkiem papieża. Oczywiście w ograniczonej ilości, bardziej jako numizmat niż środek płatniczy. Nie pamiętam, o jakim były nominale. Oczywiście tysiące ludzi starało się zdobyć taką monetę. Urzędniczki księgowości załatwiły po znajomości w Narodowym Banku 10 sztuk. Zapytały mnie, w jaki sposób je rozdzielić. Ktoś zaproponował, aby zrobić losowanie wśród wszystkich, około 100 zatrudnionych. Miałem inne zdanie. Uznałem, że monety nie były „przydziałem" dla instytucji, ale przyjacielską przysługą urzędniczek w banku dla koleżanek urzędniczek w filharmonii. I powiedziałem, aby podzieliły te 10 monet między pracowników administracji. Być może moja decyzja była błędna, ale wynikała zapewne z osobistego stosunku do papieża. Dla mnie bowiem moneta z jego wizerunkiem nie miała żadnego znaczenia.

W jakiś sposób wiadomość o monetach dotarła do orkiestry. Zjawiło się paru muzyków, którym wyjaśniłem, że urzędniczki z księgowości z własnej inicjatywy załatwiły dla siebie parę sztuk. Nie były to monety z żadnego rozdzielnika dla instytucji. Czy przekonałem muzyków – nie wiem. Ale niebawem zjawił się I sekretarz POP i wręcz zażądał oddania orkiestrze wszystkich monet, argumentując, że „muzycy są ważniejsi od urzędniczek". Nie wytrzymałem i powiedziałem twardo, że ważności stanowisk nie mierzy się monetami z papieżem. Wątpię, czy zrozumiał mój sarkazm.

W parę dni później dowiedziałem się, że sekretarz poszedł do Komitetu Miejskiego PZPR na skargę. Do dzisiaj nie wiem, w jaki sposób sprawa trafiła do… służby bezpieczeństwa. Czy przekazał to jakiś pracownik KM, czy też doniósł sam sekretarz POP. W każdym razie dwoje muzyków dostało wezwanie do komendy MO. Następnego dnia przekazali mi, że pytano ich o stosunki w filharmonii, o zachowanie i pracę dyrektora i o monety z papieżem. Znowu wpadłem we wściekłość i zatelefonowałem do KW i KM z prośbą, aby pouczyli sekretarza organizacji partyjnej, że nie powinien zajmować się monetami z papieżem. A potem poprosiłem o połączenie z zastępcą komendanta wojewódzkiego MO do spraw bezpieczeństwa. Był to inteligentny oficer w stopniu podpułkownika, z którym spotykałem się przy różnych oficjalnych okazjach i z którym wymienialiśmy kąśliwe uwagi o różnych wałbrzyskich prominentach. Kiedy uzyskałem połączenie, powiedziałem mu, że w komendzie przesłuchują muzyków na mój temat. A potem poprosiłem, aby jego pracownicy, jeśli mają do mnie sprawę, rozmawiali ze mną, a nie za moimi plecami z muzykami. Obiecał, że to załatwi. Istotnie nikogo więcej nie wezwano na przesłuchania, a ja już potem nie miałem żadnego kontaktu z SB.

Kończąc tę relację, chciałbym podzielić się z przyszłym czytelnikiem pewną refleksją. Przypuszczałem, że UB i SB na konfidentów wybierały osoby bezpartyjne. Członkowie PZPR na skutek samej przynależności do partii cieszyli się w społeczeństwie mniejszym zaufaniem. W ich towarzystwie ludzie byli ostrożniejsi. Tak więc lepiej było zwerbować na konfidenta bezpartyjnego. A metody były zapewne te same od tysięcy lat: straszenie, przekupywanie, szantażowanie. Jeżeli chodzi o mnie, to sądzę, że po pierwszej nieudanej próbie, Urząd Bezpieczeństwa po prostu ze mnie zrezygnował. Byłem mało znaczącym dyrektorem prowincjonalnej filharmonii, w dodatku nieukrywającym ani swoich przekonań ani swojego swobodnego trybu życia. I raz po raz udowadniającym, że nie należy do osób, które można przestraszyć lub przekupić.

Kłopoty z cenzurą

O cenzurze napisano wiele przy różnych okazjach. Dla mnie, który zetknął się z nią po raz pierwszy już w Warszawie w czasie okupacji – jest czymś haniebnym. To określenie nie oddaje w całości mojego stosunku do cenzury. Równie dobrze mógłbym użyć innych przymiotników: odrażająca, plugawa, groźna, uwłaczająca ludzkiej godności, łamiąca wolność. Niemcy zabronili grać Chopina, ale nie Moniuszkę czy Szymanowskiego. Twórczość żydowskich pisarzy czy kompozytorów była oczywiście zakazana. Z różnych rodzajów cenzury, za najbardziej niebezpieczną uważam cenzurę prewencyjną. Jeśli po opublikowaniu książki lub artykułu władze uznają, że z jakichś względów stanowi zagrożenie dla państwa, społeczeństwa czy moralności i nakaże wycofanie ze sprzedaży – zawsze pozostaje możliwość protestu lub dyskusji. A poza tym owa publikacja częściowo zdążyła trafić do czytelników; stała się faktem i społecznie już zaistniała. Ale cenzura, która w ogóle uniemożliwia druk książki czy prawykonanie sztuki scenicznej lub utworu muzycznego – skazuje je na niebyt. Niewydrukowana książka po prostu nie istnieje. Jeszcze bardziej wyraźne jest to w przypadku utworu muzycznego. Dopóki nie zostanie zagrany i usłyszany – jest abstrakcją. Dlatego cenzurę prewencyjną uważam za najgroźniejszą. A taką właśnie stosowano w państwach tzw. obozu socjalistycznego i do tego właśnie powołany był Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Jak już pisałem, zetknąłem się z nim bezpośrednio przy okazji „Steli 70".

Moje artykuły i wypowiedzi na ogół nie były „okrajane" przez cenzurę, chociaż zdarzyło się, że wykreślano pojedyncze zdania. Kiedyś w jakimś wywiadzie powiedziałem, że po powrocie do Polski przeżyłem aż cztery okresy „błędów i wypaczeń", mając zapewne na myśli rządy Bieruta, Ochaba, Gomułki i Gierka. Cenzura to zdanie wykreśliła, pomimo że było to już w połowie lat osiemdziesiątych. A parę lat wcześniej „Polityka" opublikowała mój artykuł o różnych nieprawidłowościach życia kulturalnego w Polsce. Cenzura nie zakwestionowała ani jednego zdania, ale wykreśliła motto, które było cytatem z Camusa: „Tylko biedni ludzie potrzebują mitów". Żartowaliśmy, że niezbadane są decyzje cenzury.

Jak wiadomo, cenzurze podlegały nawet prywatne zaproszenia na ślub. Wyłączone były tylko wizytówki. Programy wszystkich koncertów musiały zostać zatwierdzone przez Urząd Kontroli. Bez jego pieczątki drukarnia nie przyjmowała żadnych materiałów do publikacji. Cenzor sprawdzał tytuły utworów, (dlatego „Stela 70" z podtytułem „Wszystkim Ofiarom Grudnia" została skreślona) i tzw. omówienie, czyli krótki życiorys kompozytora i muzyczną analizę utworu. Nie musieliśmy tylko załączać tekstów, które były już wydrukowane w książkach czy partyturach.

Kierowniczką wałbrzyskiego Urzędu Kontroli była pani, o której w środowisku kultury mówiono źle. Szczególnie narzekali pracownicy teatru. Podobno potrafiła przychodzić na próby i sprawdzać czy aktorzy recytują słowa zgodne z drukowanym tekstem. Ja natomiast mogę stwierdzić, że w stosunku do filharmonii była wyjątkowo wyrozumiała. Nigdy nie zdarzyło się, aby cokolwiek w naszych programach zakwestionowała. Raz czy dwa zatelefonowała do mnie z prośbą o wyjaśnienie jakiegoś określenia, które kojarzyło się jej z polityką. Po paru latach zgodnej współpracy oświadczyła, że ma do mnie pełne zaufanie i rezygnuje z czytania przysyłanych z filharmonii tekstów. Prosiła, abym sam je sprawdzał i podpisywał, a ona będzie „w ciemno" przystawiała pieczątkę urzędu. Tak więc zostałem „wicecenzorem". Ale muszę przyznać, że nigdy nie zawiodłem zaufania tej pani.

Dzięki tolerancji wałbrzyskiej cenzorki mogłem w 85 roku urządzić koncert z okazji dziesiątej rocznicy śmierci Szostakowicza, a w omówieniu przedstawić jego biografię. Autor omówienia, mój II dyrygent, zapytał czy może napisać prawdę o zmaganiach kompozytora z radzieckim reżimem. Odpowiedziałem, że nie tylko może, ale powinien napisać uczciwy życiorys. Wyraził powątpiewanie czy cenzura zgodzi się na to. Zapewniałem, że na pewno zatwierdzi tekst (oczywiście nie wiedział, że ja będę „cenzorem"), pod warunkiem, iż będzie unikał takich określeń jak np. „system stalinowski", „dławienie wolności twórczej", „naciski reżimu", „nagonka partii". Młody człowiek napisał dobre omówienie i zgodnie z prawdą przedstawił tragiczny los Szostakowicza, genialnego kompozytora, zaszczutego przez autorytarne państwo. Podpisałem tekst i program został opublikowany. Melomani gratulowali mi omówienia, (podpisanego oczywiście nazwiskiem II dyrygenta), z którego po raz pierwszy dowiedzieli się prawdy o życiu Szostakowicza. A ja miałem satysfakcję, że zdecydowałem się zaryzykować ewentualny konflikt z cenzurą i partią. Nie podaję nazwiska wałbrzyskiej tolerancyjnej cenzorki, ponieważ nie wiem czy by sobie tego życzyła.

Koniec „Wspomnień"

W Wałbrzychu była w tamtych czasach tylko jedna gazeta, tygodnik „Trybuna Wałbrzyska", o ile się nie mylę – organ Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Czytałem kiedyś opinię wydziału prasy KC, wysoko oceniający „Trybunę" na tle innych podobnych tygodników w Polsce. Ja należałem do sporej grupy osób, krytykujących „Trybunę" za brak poważnych problemowych artykułów i słabe zainteresowanie kulturą. Pamiętam, że w wyniku tych powtarzających się zarzutów, pani Mikowa, która odpowiadała jako sekretarz propagandy KW za tzw. nadbudowę, zwołała specjalną naradę. Prawie wszyscy zaproszeni skrytykowali linię pisma i jego poziom. Redaktor naczelny, Marek Malinowski usiłował się bronić, ale nie przekonał ani oponentów, ani Mikowej, która na zakończenie zebrania zapowiedziała powołanie rady redakcyjnej. To niewielkie ciało społeczne miało wspólnie z naczelnym redaktorem wypracować zmiany w charakterze pisma. Po pewnym czasie otrzymałem zaproszenie do nowo powstałej rady redakcyjnej. O ile pamiętam, składała się z mniej niż 10 osób.

Być może w wyniku tej narady otrzymałem od Malinowskiego propozycję publikowania swojego życiorysu w odcinkach. Uzgodniliśmy, że będą krótkie i utrzymane w formie osobnych felietonów. Starałem się, aby były atrakcyjne w treści i w miarę możliwości dowcipne. Muszę przyznać, że stały się dobrą szkołą publicystycznej dyscypliny. Zgodnie z umową, pojedynczy odcinek – felieton nie powinien był przekraczać półtora stronicy znormalizowanego maszynopisu. Wymyśliłem wspólny tytuł: „Wspomnienia nie tylko muzyczne". Każdy odcinek miał ponadto własny tytuł, np. „Moje utwory literackie", „Jak zostałem żołnierzem AK", „Przed godziną W", „Zdobycie poczty głównej". Niestety nie mam kilkudziesięciu pierwszych odcinków. Dlaczego tak się stało – nie potrafię dzisiaj wytłumaczyć. Nie pamiętam nawet, w którym roku zacząłem pisać; prawdopodobnie w roku 81 lub 82. Odcinki miały się ukazywać regularnie, co tydzień, ale częste strajki drukarzy i ważne wydarzenia polityczne sprawiały, że następowały niezamierzone przerwy. W każdym razie zdążyłem opisać dzieciństwo, wybuch wojny, okupację w Warszawie, powstanie, obóz i powrót do Polski. Cenzura nie zakwestionowała ani jednego słowa. Tutaj istotna uwaga: ponieważ „Trybuna" była drukowana we Wrocławiu (jedyna wałbrzyska drukarnia nie miała

odpowiednich urządzeń), kontrolę tekstów przeprowadzał tamtejszy cenzor. W 92 odcinku, zatytułowanym „Powrót do Polski", zrelacjonowałem w paru zdaniach podróż statkiem z Lubeki do Gdyni. I napisałem: „Ojczyzna przywitała mnie ogromnym plakatem, na którym widniał jakiś zbir o twarzy zwyrodnialca oraz napis >>AK – zapluty karzeł reakcji<< Ile złego wyrządziły tego rodzaju hasła – nie muszę chyba pisać. Opłakane skutki odczuwamy do dzisiaj".

Cenzura nie zakwestionowała tych ostrych jak na owe czasy, sformułowań. Moi znajomi nie kryli zaskoczenia. Był to bowiem początek roku 1984.

Nie mam niestety odcinka 93, ale domyślam się, że opisywałem w nim przywitanie z rodziną i jej losy po powstaniu. Odcinek 94 nosił tytuł „Sytuacja polityczna". Powinienem właściwie przytoczyć go w całości. Przypominał bowiem nie tylko atmosferę przełomu lat 1945/46 i nastroje środowisk inteligenckich, lecz także mój pogląd na tamte czasy w roku 1984. Jeśli warunki techniczne pozwolą, umieszczę cały tekst w aneksie.

Odcinek 94 nie ukazał się w druku i został odrzucony przez Okręgowy Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk we Wrocławiu. O tej decyzji został powiadomiony pisemnie redaktor Marek Malinowski. I ten dokument powinien także zostać przedstawiony w całości ze względu na jego kuriozalną treść. Decyzja dotyczyła zakazu „…rozpowszechniania części publikacji …" i tu następowało wyliczenie: od wyrazu…do wyrazu. Razem wyrzucono jedną trzecią odcinka, co w ogóle pozbawiało go jakiegokolwiek sensu. Ale najbardziej porażające i przerażające było uzasadnienie: „kwestionowane fragmenty podważają wyważoną politycznie interpretację władz państwowych odnośnie wydarzeń w Polsce lat powojennych. Autor sugeruje, iż niepopularne decyzje były świadomie fałszowane, co godzi w konstytucyjny ustrój PRL, podważa autorytet władzy oraz sojusz PRL i ZSRR".

Pomijając fatalną polszczyznę tego tekstu (np. „podważają wyważoną" lub „interpretację …odnośnie"), jest on ponurym przykładem, do czego prowadzi cenzura prewencyjna. Zamiast jakiejkolwiek próby dyskusji, odgórne orzekanie z użyciem takich określeń jak „godzi w…ustrój" lub „…podważa …sojusz PRL i ZSRR."

I na zakończenie tej urzędowej decyzji zdanie: „Redakcja po zapoznaniu się z ingerencjami wycofała artykuł". Było to całkowite kłamstwo. Kiedy Malinowski powiadomił mnie o wyrzuceniu jednej trzeciej tekstu, nie zgodziłem się oczywiście na publikację okaleczonego odcinka. A nazwanie wspomnień artykułem było całkowitym nieporozumieniem. Napisałem długie odwołanie do Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk mieszczącego się przy ulicy Mysiej w Warszawie. I to pismo powinienem przedstawić w całości. Z braku miejsca zacytuję ostatnie zdanie: „Do uznania Głównego Urzędu (…) pozostawiam sposób pouczenia cenzora wrocławskiego o tym, co jest słuszne z punktu widzenia polityki". A przedtem stwierdziłem, że „…przez takich cenzorów przegrywamy kolejne batalie ideologiczne".

Po tygodniu otrzymałem uprzejmą odpowiedź z głównego urzędu, sugerującą możliwość publikacji zakwestionowanego odcinka po jego przeredagowaniu. Malinowski także nalegał, abym zgodził się na drobne korekty. Stanowczo odmówiłem.

Ale to nie koniec losów odcinka 94. Po paru dniach dowiedziałem się, że drukarze wrocławscy, zapewne członkowie zakazanej „Solidarności", odbili nielegalnie tekst i rozpowszechniali go jako tzw. bibułę. Przyznaję, że ta wiadomość sprawiła mi satysfakcję. A w odwołaniu do Głównego Urzędu wspomniałem o tym, pisząc, że „dotychczas moje >>Wspomnienia<< czytał jedynie nieliczny krąg zainteresowanych w wałbrzyskim". Ale na skutek błędnej decyzji wrocławskiego cenzora „…wyszedł poza Wałbrzych, a zapewne i poza Wrocław. Oto opłakane skutki błędów politycznych".

Pomimo próśb Malinowskiego, nie zgodziłem się na publikację następnych odcinków „Wspomnień", choć miałem je już przygotowane.

Po roku 90 Malinowski przestał być naczelnym redaktorem „Trybuny Wałbrzyskiej", która zmieniła tytuł na „Tygodnik Wałbrzyski". Dla mnie było to pozbawione sensu, ponieważ słowo trybuna istnieje od setek lat, niezależnie od zmieniających się systemów politycznych. W roku 1995 – o ile dobrze pamiętam – Malinowski został redaktorem naczelnym nowego czasopisma o nazwie „Sudeckie Wiadomości Gospodarcze". Zaproponował mi kontynuację „Wspomnień", pamiętając, że przed 10 laty cieszyły się zainteresowaniem czytelników. Propozycje przyjąłem i rozpocząłem pisanie kolejnych odcinków. Niestety z przyczyn ekonomicznych nowy tygodnik uległ likwidacji. I tak ostatecznie skończyło się publikowanie w odcinkach mojego życiorysu.

Ratowanie kultury

Jak już pisałem, kryzys gospodarczy i stan niepewności społeczno-politycznej odbił się katastrofalnie na kondycji kultury. Podobnie zresztą jak nauki i oświaty. Wynikało to również z nieudolnych prób łagodzenia nastrojów wśród robotników straszących władze strajkami i demonstracjami. Była to swoista forma przypochlebiania się, która – jak wiadomo z historii – nie spełniła swego zadania. Przeciwnie, umacniała jakże błędne przekonanie robotników o ich społecznej hegemonii. To przecenianie znaczenia klasy robotniczej doprowadziło do deprecjonowania roli inteligencji. Wróciły niestety antyinteligenckie ataki z 68 roku. Sam słyszałem oficjalne wypowiedzi, że słabością PZPR jest zbyt mała ilość robotników w partii. Albo jeszcze gorsze, głoszące, że wszystkie błędy władz były skutkiem nadmiernej liczby inteligentów w PZPR. Z pogardliwym akcentowaniem słowa „inteligentów". Na jednym z plenów KC ktoś wnioskował, aby rozwiązać …Uniwersytet Warszawski! Uzasadnienie brzmiało: „Skończą się kłopoty z niesfornymi profesorami i studentami". Był to rok 1984. A sala przyjęła wniosek owacyjnymi oklaskami. Było to przerażające widowisko. Na szczęście wniosku nie poddano pod głosowanie.

Nic zatem dziwnego, że zdobycie pieniędzy dla filharmonii stawało się coraz trudniejsze. Kronika tamtych dni to pasmo przeróżnych zebrań, uczestniczenie w rozmaitych komisjach, dziesiątki rozmów i pism. Jeździłem do Warszawy i Wrocławia pociągami, samolotami, samochodami. Wykorzystywałem każdą sposobność, aby spotkać się z przedstawicielami władz. Nie zdarzyło się, abym nie przyjął zaproszenia na jakieś zebranie. Byłem członkiem wielu gremiów, mając nadzieję, że walcząc o poprawę sytuacji finansowej kultury, załatwię coś dla filharmonii. I mogę dzisiaj, po latach, stwierdzić z satysfakcją, że po dziesiątkach godzin przesiadywania na nudnych zebraniach i jałowych rozmowach udawało mi się „zdobywać" dodatkowe pieniądze, przydziały mieszkań, talony na mikrobusy itd.

Byłbym jednak niesprawiedliwy wobec siebie, gdybym przemilczał w tych wspomnieniach swoje uporczywe działania na rzecz całej kultury. Jako członek Zespołu Partyjnych Muzyków przy KC, miałem możliwość wpływania na kształt opracowanego wtedy projektu ustawy o kulturze. W zespole było trzech dyrygentów - dyrektorów: Szymon Kawalla, Robert Satanowski i ja. Satanowski, zajmujący w tamtych czasach różne stanowiska, jak np. prezesa SPAM, dyrektora Teatru Wielkiego w Warszawie, a nawet posła, praktycznie nie interesował się pracami zespołu. Przypuszczałem, że liczył na swoje powiązania wojskowo - ubeckie i był pewny, iż niezależnie od ustawy, potrafi załatwić pomyślnie każdą sprawę. Natomiast

Kawalla, mierny dyrygent, ale zapobiegliwy dyrektor, był bardzo aktywny. To dzięki jego (i mojej) postawie udało się zmienić najbardziej niekorzystne propozycje w projekcie ustawy. Pierwsza wersja była przygotowana przez wspólną komisję ministerialno - związkową. Nic zatem dziwnego, że pozycja dyrektora została nader ograniczona. Wywalczyliśmy zmianę i to wówczas – o ile pamiętam – wprowadzono zapis o jednoosobowym kierownictwie. Doprowadziliśmy także do usunięcia paragrafu o powołaniu w instytucjach artystycznych na wzór zakładów produkcyjnych czegoś w rodzaju rady robotniczej. Uznałem to za absurd. Argumentowałem, że funkcjonowanie, poziom i rozwój instytucji artystycznej zależą od osobowości dyrektora. Żaden kolektyw nie powinien ograniczać jego tzw. wizji. A takie przecież byłyby kompetencje proponowanej przez związki zawodowe rady pracowniczej. Filharmonia lub teatr to nie fabryka. Kawalla poparł mnie i zapytał referującego projekt ustawy przedstawiciela Ministerstwa:

- Czy mój woźny będzie decydować, jaką symfonią mam dyrygować?

Wybuch śmiechu uświadomił owemu przedstawicielowi, jak dalece absurdalne było żądanie związków zawodowych. Jeśli się nie mylę, zasugerowaliśmy, by w instytucjach artystycznych kompetencje rady robotniczej (lub jak kto woli – pracowniczej) przejęła rada artystyczna. I przeforsowaliśmy wówczas zapis, że jedna połowa składu będzie wybieralna, a druga mianowana przez dyrektora, który zarazem będzie przewodniczącym rady. Dowiedziałem się później, że związki zawodowe zakwestionowały to rozwiązanie i żmudne pertraktacje rozpoczęły się od nowa.

Kolejnym etapem burzliwych negocjacji była wysokość honorariów. Dotychczas stawka za dyrygowanie koncertu symfonicznego była identyczna ze stawką za dyrygowanie przedstawieniem operowym a nawet operetkowym. Uznaliśmy to za niesłuszne. W operach, a zwłaszcza w operetkach dyrygent prowadzi dziesiątki razy, często dzień po dniu to samo przedstawienie. A każdy niemal koncert symfoniczny ma inny program i wymaga kilku prób. Uzgodniliśmy po wielu dyskusjach projekt tabeli o zróżnicowanych stawkach. Ministerstwo przyjęło naszą propozycję, ale zaprotestowali oczywiście dyrektorzy oper i operetek. Odbywałem liczne podróże do Warszawy i wielogodzinne kłótnie. Pamiętam, że ostatecznie po niewielkich zmianach udało się przeforsować nasz projekt zróżnicowanych stawek.

Pisząc o stanowisku dyrektorów oper i operetek, przypomniałem sobie swoją rozmowę z sekretarzem KC, któremu m.in. podlegała kultura, nauka, oświata, media. Nazywał się Wasilewski, a imię niestety zapomniałem. Poznałem go w Belwederze przy okazji otrzymania orderu Sztandaru Pracy. Okazał się sympatycznym i kulturalnym panem. Zaprosił mnie na rozmowę. Nie omieszkałem skorzystać z tego zaproszenia, ponieważ chciałem mu przedstawić swój „rewolucyjny" projekt zmiany zasad dotowania instytucji artystycznych. Polegał na podziale dotacji na dwie części. Pierwszą nazwałem podmiotową i przeznaczona byłaby na płace i utrzymanie obiektu. Jak wiadomo, w filharmoniach (podobnie jak w teatrach) nie ma jednakowej liczby pracowników. Jeszcze większe różnice występują w kosztach utrzymania obiektów. Nie sposób porównać np. małej siedziby Filharmonii w Wałbrzychu z ogromnym budynkiem Filharmonii w Bydgoszczy. Dlatego zróżnicowanie tej stałej dotacji podmiotowej było konieczne i sprawiedliwe. Natomiast druga część, którą nazwałem przedmiotową, miała być uzależniona od ilości i rodzaju imprez. Uważałem, że należy określić orientacyjne koszty koncertów symfonicznych, kameralnych, recitali. Były przecież najzupełniej różne. Podobnie w teatrach. Wystawienie „Kordiana" było i jest droższe niż „Moralności pani Dulskiej". Wystarczy porównać liczbę aktorów,

rodzaj dekoracji i kostiumów. W koncercie symfonicznym bierze udział kilkudziesięciu instrumentalistów, w recitalu tylko jeden. W koncercie muzyki oratoryjnej występuje obok orkiestry kilkudziesięcioosobowy chór, a także soliści. Itd. Itd.

W moim projekcie dyrektor filharmonii podawał, ile koncertów jakiego rodzaju planuje wykonać w następnym roku budżetowym. I na to miał otrzymać dotację, którą nazwałem przedmiotową. Jeżeli zaplanowanych koncertów nie wykonał, musiałby oddać odpowiednią część dotacji.

Piszę o tym tak szczegółowo, ponieważ w dotychczas obowiązującym systemie dyrektorzy nie byli rozliczani z wykonywania koncertów czy przedstawień. Liczył się tylko końcowy wynik finansowy. Wystarczyło nie przekroczyć dotacji. Było to moim zdaniem demoralizujące; dyrektorom nie zależało na zwiększeniu ilości imprez. Nie byli mobilizowani do działania.

Kiedy przedstawiłem mój projekt Wasilewskiemu, uśmiechnął się smutno i powiedział:

- Znakomity pomysł, towarzyszu dyrektorze, ale niemożliwy do zrealizowania. Większość dyrektorów nigdy go nie zaakceptuje.

A potem szerzej uzasadnił:

- Aby uniknąć krytyki, że partia odgórnie administruje kulturą, musielibyśmy zwrócić się do stowarzyszeń twórczych z prośbą o opinię. Musielibyśmy odbyć szereg narad z dyrektorami. Ponieważ obecny system dotowania jest wygodny i wymaga mniej wysiłku – nie uzyskalibyśmy tzw. społecznej akceptacji. W takiej sytuacji wasz projekt nie ma żadnych szans na realizację. Smutna konstatacja.

W wyniku mojej działalności w Zespole Partyjnych Muzyków, o czym już pisałem, zostałem na wiosnę 84 wybrany do Prezydium. I niebawem okazało się, że musiałem jeszcze częściej jeździć do Warszawy. Zdarzało się, że telefonicznie otrzymywałem zaproszenie na zebranie zaledwie dzień przed terminem. Trzeba było wówczas wykorzystywać rozmaite znajomości, aby „zdobyć" miejsce sypialne lub bilet na samolot. Z takich nagłych wezwań najbardziej utkwiła mi w pamięci narada w KC zwołana przez Hieronima Kubiaka. Był to naukowiec, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jako sekretarz KC starał się pomóc środowiskom nauki i kultury. Na naradzie, której tematem była sytuacja w muzyce, wszyscy atakowali ówczesnego ministra kultury, Żygulskiego. Był to jeden z najgorszych ministrów, jakich znałem. Próbował bronić się w dyskusji nad wyraz nieudolnie. W czasie podsumowania Kubiak stwierdził, że muzykę polską należy ratować i to jak najszybciej. I postawił wniosek, aby orezydium zespołu przygotowało program naprawczy. Spojrzałem na Żygulskiego. Siedział skulony ze spuszczoną głową. Był wystarczająco inteligentny, aby zrozumieć, że wniosek Kubiaka był celowym afrontem wobec niego i resortu.

Ale i Żygulski potrafił robić afronty. W marcu 85 roku na krajowej naradzie muzyków, zwołanej z inicjatywy naszego zespołu, po wysłuchaniu przygotowanego przez prezydium referatu, wygłosił przemówienie. Stwierdził, że jest kryzys, pieniędzy nie ma, a nasze postulaty uważa za niemożliwe do zrealizowania. Poczem wyszedł z sali i nie wrócił do końca obrad. A obecnych było stu kilkudziesięciu czołowych polskich muzyków. Na szczęście w 86 roku Żygulski przestał być ministrem. Myślę, że podobnie jak ja, wielu ludzi kultury odetchnęło z ulgą. Słyszałem, że podobno władze wyznaczyły mu zadanie: udowodnić artystom, którzy w znacznej mierze byli krytykami ustroju, że nie są tacy ważni. Jeżeli ta informacja odpowiadała prawdzie, to rachuby władz całkowicie zawiodły. Nie tylko artyści, ale także inni pracownicy kultury coraz głośniej wypowiadali swoje niezadowolenie. Również ci, którzy dotąd stali po stronie rządu. Zauważyłem to na rozmaitych zebraniach. Wypowiedzi dyskutujących były jednoznacznie negatywne: od narzekań do otwartych ataków.

Po Żygulskim ministrem został Aleksander Krawczuk. Miałem wrażenie, że jego zadaniem było załagodzenie napięcia pomiędzy środowiskiem kultury a władzą. W rozdziale poświęconym ministrom opiszę spotkanie z Krawczukiem oraz jego działalność. Teraz zaznaczę tylko, że za jego kadencji nastąpiła poprawa sytuacji finansowej w instytucjach artystycznych. Wprawdzie niewielka, ale trudno było wymagać innej w czasie pogłębiającego się kryzysu gospodarczego.

Pisząc te wspomnienia, staram się zachować w miarę obiektywne spojrzenie. Nie jest to łatwe, ponieważ miałem ograniczony dostęp do pełnej informacji i w swoich ocenach często musiałem opierać się tylko na tym, co usłyszałem. Przypuszczam jednak, że w latach osiemdziesiątych, pomimo wyraźnych objawów rozpadającego się państwa, byli we władzach ludzie, którzy starali się ratować kulturę. Ja w każdym razie spotkałem takich i dzięki nim udało mi się nie tylko przeprowadzić filharmonię przez kryzysowe zawirowania, ale rozszerzyć jeszcze zakres jej działania, szczególnie edukacyjny. I co nie mniej ważne, po raz pierwszy w jej historii koncertować za tzw. żelazna kurtyną.

Kończąc ten rozdział, muszę samokrytycznie stwierdzić, że jest niestety chaotyczny. Jedynym usprawiedliwieniem może być fakt, iż usiłowałem z ogromnej ilości różnorodnego materiału wyłowić najistotniejsze informacje. Łatwiej byłoby zastosować zabieg kronikarski: relacjonować wydarzenia dzień po dniu. Obawiam się jednak, że taka relacja byłaby zbyt obszerna i mało interesująca dla ewentualnego czytelnika.

Rozdział XXXVI

OSTATNIE LATA PRL

W poprzednim rozdziale opisywałem objawy pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego. Działo się to w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. W drugiej nastąpiła katastrofa inflacyjna. Ale – moim zdaniem – najgorszy był rozkład państwa. Aby to opisać choćby najbardziej skrótowo, musiałbym dokonać analizy społeczno-polityczno-ekonomicznej, a to przerosłoby ramy tej książki. Nawet najmniej bystry obserwator mógł dostrzec całkowitą bezradność rządzących. Ponieważ to, co działo się wtedy w Polsce, miało ze względów oczywistych bezpośredni wpływ na moje życie, postaram się wypunktować najbardziej istotne sprawy. Za takie uważam cztery, ściśle związane ze sobą: obłędną inflację, rosnące z dnia na dzień ceny, pustoszejące półki z towarami codziennego użytku i pozbawione jakiegokolwiek sensu dysproporcje płacowe. Osobno omówię chaotyczne decyzje władz oraz nasilające się demonstracje, protesty, strajki. I na tym tle moje, przypominające walkę z wiatrakami, uporczywe wysiłki uratowania filharmonii. Uwieńczone, mimo wszystko, regularnymi wyjazdami orkiestry na koncerty zagraniczne i trudnym do uwierzenia rozszerzeniem edukacji muzycznej wśród dzieci i młodzieży. I co pocieszające, udało mi się w tych niesprzyjających warunkach, utrzymać rodzinę na przyzwoitym poziomie i zapewnić dziecku właściwy rozwój. Dzisiaj, po upływie dwudziestu lat, mogę mieć satysfakcję, że nie poddałem się nastrojowi beznadziejności. I że tamten trudny okres wykorzystałem z pożytkiem dla filharmonii i rodziny. A także dla wielu postronnych ludzi, którym pomagałem w przeróżnych, nieraz ważnych, sprawach. Myślę również, że dla mnie ten okres miał znaczenie, ponieważ pozwolił na sprawdzenie samego siebie w skomplikowanych, trudnych i odbiegających od normalności sytuacjach. Pochlebiam sobie, że wyszedłem z nich obronną ręką. I nie muszę się wstydzić tego, co wówczas robiłem, pisałem, mówiłem.

Inflacja

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych po raz pierwszy (i mam nadzieję ostatni) odczułem, co oznacza termin „szalejąca inflacja". Wystarczy przykład relacji dolara do złotówki. Już w latach siedemdziesiątych czarnorynkowa cena dolara wzrosła z 70 zł do 150 zł za 1 USD. Ale w roku 1988 jeden dolar kosztował zawrotną sumę 2 200 zł. Nic zatem dziwnego, że kto mógł, wyjeżdżał za granicę. Uderzyło to szczególnie w orkiestry, w których pensja muzyka wynosiła 20 000 zł. Najlepsi instrumentaliści wykorzystywali każdą możliwość, aby otrzymać paszport i próbować szczęścia przede wszystkim w RFN. Opowiadano mi, że niemal we wszystkich orkiestrach niemieckich można było spotkać przynajmniej jednego Polaka. Ja, zgodnie ze swoim sumieniem, oświadczyłem muzykom, że każdy dostanie urlop bezpłatny na krótszy czy dłuższy kontrakt zagraniczny. I słowa

dotrzymałem. Niestety, odbiło się to na poziomie orkiestry. Nigdy bowiem nie wiedziałem, ilu będę miał muzyków w następnym miesiącu. Podobna sytuacja panowała w większości polskich orkiestr. Jeśli dyrektor nie wyrażał zgody na urlop bezpłatny, muzyk ryzykował, składał wypowiedzenie i wyjeżdżał jako niezatrudniony.

Inflacja obniżała wartość złotego i automatycznie zmniejszała jego siłę nabywczą. Z miesiąca na miesiąc za tę samą pensję można było kupić o wiele mniej towarów. Nic zatem dziwnego, że ludzie domagali się podwyżek. A rząd zagrożony strajkami, ustępował. Oczywiście tylko tym środowiskom, które dysponowały wystarczającą siłą. Najpierw podwyżki dostawali górnicy. Potem hutnicy, a następnie pozostali robotnicy. Dla tzw. sfery budżetowej ciągle brakowało pieniędzy. Mogli jeszcze strajkować nauczyciele. Ale muzycy? Nie stanowili żadnej społecznej siły. Miałem tego pełną świadomość i usiłowałem tłumaczyć muzykom, że ich protesty na nic się nie zdadzą. Ale sam „pielgrzymowałem" od jednego dygnitarza do drugiego, nie przejmując się kolejnymi odmowami. Wykorzystywałem każdą sposobność, aby przedstawiać prominentom żałosną sytuację materialną muzyków. Przy okazji otrzymywanych medali czy nagród, do znudzenia powtarzałem te same argumenty. W wyniku tych moich działań, dostawałem co pewien czas jakieś kwoty na podwyżki. Nie były znaczne, ale z posiadanych przeze mnie informacji wynikało, że dyrektorzy wielu innych filharmonii nie otrzymywali nawet tego.

Na początku 89 roku w „Modzie Polskiej" biustonosz „Triumph" kosztował 28 000 zł, a majtki – 7 000 zł. Lodówka – 250 000 zł. W porównaniu z pensjami były to zawrotne kwoty. Listonosz zarabiał 50 000 zł, pielęgniarka – 60 000 zł, a nauczycielka – 70 000 zł. Ale mechanik samochodowy w państwowym warsztacie miał pensję w wysokości 200 000 zł, zaś w prywatnym aż 400 000 zł. Były to oficjalne dane. A muzyk w filharmonii zaledwie 40 000 zł. Kiedy poznałem te oficjalne dane, ze zdwojona siłą zacząłem walkę o pieniądze na podwyżki. Napisałem cztery niemal jednobrzmiące listy. Do KC, premiera, ministra finansów oraz ministra kultury i sztuki. Odbyłem parę rozmów w Warszawie i Wałbrzychu, wskazując na absurdalność tak dużych różnic płacowych.

Na jesieni 89 roku w wyniku kolejnych podwyżek, ale tylko w niektórych grupach zawodowych, średnie pensje kształtowały się następująco: kierowca WPK – 300 000 zł, sprzątaczka w przemyśle – 160 000 zł, sztygar – 600 000 zł. Ale sędzia tylko 200 000 zł, a ordynator zaledwie 130 000 zł. Kiedy się o tym dowiedziałem, wpadłem – co pamiętam – we wściekłość. Podjąłem kolejne ryzyko i nie czekając na odpowiedź od najwyższych czynników ani obiecane oficjalnie pieniądze na podwyżki, ustaliłem nowy taryfikator dla filharmonii. Najniższa pensja miała wynosić 90 000 zł (podwyżka ponad stuprocentowa!), a najwyższa 110 000 zł. Było to złamanie prawa, ponieważ według obowiązującego taryfikatora ministerstwa pułap w całej kulturze wynosił 102 000 zł.

I jeszcze jedna zabawna informacja. Jakieś wrocławskie przedsiębiorstwo ogłosiło w telewizji, że poszukuje pracowników. Gwarantowało bezpłatne zakwaterowanie i minimalną płacę w wysokości 200 000 zł miesięcznie. A na zakończenie przeczytałem takie zdanie: „Wykształcenie ponadpodstawowe pożądane"!

Nowe pensje przyznałem od 1 sierpnia. W ciągu następnych miesięcy nękałem władze coraz to nowymi pismami. I choć na ogół nie otrzymywałem konkretnych pisemnych odpowiedzi, w listopadzie nadeszła dodatkowa i to znaczna dotacja na podwyżki. Oraz nowy taryfikator, wyższy od mojego. Tak więc opłaciło się zaryzykować. Ale w międzyczasie średnia krajowa znowu wzrosła, a ceny osiągnęły wręcz nieprawdopodobny poziom. Cena jednego dolara wahała się między 6 000 zł a 9 000 zł. A oto konkretny przykład skutków takiej

przerażającej inflacji: w listopadzie 89 roku otrzymałem wiadomość, że „po znajomości" będę mógł kupić dla filharmonii nowy autobus bez asygnaty, bezpośrednio z fabryki „Jelcz". Była to wspaniała, długo oczekiwana, wiadomość. Ale nowa cena wynosiła już 156 000 000 zł! Oczywiście nie miałem w kasie filharmonii takiej sumy. Wydział Kultury również. Ministerstwo odpowiedziało, że w końcu roku także nie dysponuje wolnymi pieniędzmi. Dopiero po wielu rozmowach uzyskałem obietnicę, że być może wojewoda w końcu grudnia znajdzie jakąś rezerwę finansową.

Na szczęście znalazł. Był to ostatni autobus, który kupiłem. W swoich notatkach zapisałem: „Obawiam się, że takiej sumy nigdy już filharmonia nie otrzyma". Miałem niestety rację. Wraz z końcem PRL skończył się także dla instytucji artystycznych prawdziwy mecenat państwa.

I jeszcze jedna informacja. GUS podał oficjalnie, że w ciągu roku 88 wydajność wzrosła o 125%. Ale płace wzrosły o 220%. Było jasne, że przy takich proporcjach nigdy nie uda się przezwyciężyć kryzysu gospodarczego.

Wyjazd do Włoch

Mój drugi dyrygent, który mieszkał w Warszawie, zapytał mnie na początku roku 86, czy może w imieniu filharmonii rozmawiać w „Pagarcie" o ewentualnym wyjeździe orkiestry na koncerty zagraniczne. Twierdził, że ma znajomych w ministerstwie a także w „Pagarcie". Odpowiedziałem, że daję mu wolną rękę do prowadzenia rozmów. Kiedy wrócił z Warszawy, był wyraźnie zniechęcony. Mówił, że urzędnicy w „Pagarcie" nie wydawali się zainteresowani wprowadzeniem nowej orkiestry na rynek. Woleli organizować koncerty starym, sprawdzonym filharmoniom. Tymczasem w połowie lutego otrzymałem niespodziewanie telefoniczną wiadomość z „Pagartu", że pojawiła się możliwość wyjazdu orkiestry w maju na dwutygodniowe tournée do Włoch. Bez chwili zastanowienia oświadczyłem, że jesteśmy gotowi przyjąć tę propozycję. No i zaczęły się niemal codzienne telefoniczne rozmowy. Przyjąłem wszystkie warunki: program, solistów, sprawy finansowe itd. Byłem całkowicie przekonany, że było to tzw. nagłe zastępstwo za jakąś inną filharmonię, która z jakichś powodów zrezygnowała w ostatniej chwili z wyjazdu. Nigdy nie zapytałem, jaka to była filharmonia i dlaczego zrezygnowała z tak korzystnej propozycji. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia; najważniejsza była okazja wyjazdu orkiestry po raz pierwszy na Zachód.

Parę dni później dowiedziałem się, że po zakończeniu tournée we Włoszech, pojedziemy jeszcze na jeden koncert do Francji. Mieliśmy 15 maja wystąpić w ramach jakiegoś festiwalu w Poitiers. Akurat w dniu moich sześćdziesiątych urodzin.

Nie będę opisywał nawału prac organizacyjnych w ciągu marca i kwietnia oraz przeróżnych kłopotów, trudności, przeszkód. Rada Artystyczna ustaliła skład orkiestry. Wywołało to ferment, ponieważ nie wszyscy muzycy mogli pojechać. Z różnych zresztą względów. Paru muzyków nie otrzymało paszportów, inni nie byli potrzebni (np. mieliśmy cztery flety, a potrzebne były tylko trzy). Rada Artystyczna nie zgodziła się także na zabranie najsłabszych instrumentalistów w smyczkach. Osobiście uważałem, że miała rację. Ale rozpętała się burza. „Odrzuceni" protestowali, próbowali interweniować i wpływać na zmianę decyzji. Na miejsce naszych najsłabszych instrumentalistów wzięliśmy dobrych z Warszawy. Bardzo to podniosło poziom całej orkiestry.

Rada Artystyczna chciała, abym dyrygował wszystkimi ośmioma koncertami we Włoszech i oczywiście tym najważniejszym w Poitiers. Zaprotestowałem. Powiedziałem, że II dyrygent za załatwienie całego wyjazdu, a potem za rzeczywistą pomoc przy organizacji (np. parokrotnie jeździł do Warszawy w sprawach paszportowo - wizowych) powinien także zadyrygować połową koncertów we Włoszech. Rada Artystyczna „wytargowała", że tylko trzema i w najmniejszych miastach.

W kwietniu rozpoczęły się intensywne próby, niezależnie od zwykłej działalności koncertowej. Tak się złożyło, że również w kwietniu wyjechałem na parę dni do Moskwy na Zjazd Kompozytorów Radzieckich. Opiszę to osobno. W czasie mojej nieobecności próby prowadził II dyrygent. Kiedy wróciłem, przyszli do mnie członkowie Rady Artystycznej i wyrazili bez ogródek swój niepokój. Według ich słów młody dyrygent nie potrafił prowadzić prób. Rozdrabniał się na egzekwowanie mniej istotnych szczegółów, zaniedbując o wiele ważniejsze problemy techniczne. Rada Artystyczna postulowała, abym przejął prowadzenie wszystkich prób. W trosce o wspólne dobro, tzn. jak najlepsze przygotowanie orkiestry – nie mogłem odmówić. Tak więc w najbardziej gorączkowym okresie załatwiania spraw organizacyjnych, musiałem jeszcze zająć się próbami. W dodatku Małgorzata pojechała na kolejne zajęcia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze i z konieczności spadł na mnie obowiązek opiekowania się Wiosną przez kilka dni. Do dzisiaj nie wiem, jak udało się połączyć te wszystkie różnorodne prace.

Od razu w czasie pierwszej próby okazało się, że Rada Artystyczna miała rację. Muzycy byli naprawdę słabo przygotowani. Jak to się mówi potocznie – „zakasałem rękawy" i zabrałem się do roboty. Przy wyjątkowym zaangażowaniu, by nie rzec – entuzjazmie – muzyków w ciągu paru dni udało się nadrobić zaległości. Ale pracowaliśmy naprawdę intensywnie, mieliśmy po dwie próby dziennie, co oznacza osiem godzin wyczerpującego grania. Z konieczności musiałem wykorzystywać dosłownie każdą minutę.

Po przezwyciężeniu wszystkich przeciwności, o których nie warto nawet pisać, w południe 1 maja orkiestra dwoma autobusami, wynajętymi w Warszawie przez „Pagart" wyjechała na swoje pierwsze „zachodnie" tournée. Z uwagi na ten fakt, rodziny muzyków urządziły uroczyste pożegnanie. Przyszły żony z dziećmi, wywołując sensację wśród przechodniów. Była oczywiście także Małgorzata z Wiosną. Tę radosną atmosferę mąciły jednak niepokojące informacje o awarii w elektrowni atomowej w Czarnobylu. O tym też postaram się napisać osobno.

Koncerty we Włoszech

Gdybym chciał szczegółowo zrelacjonować prawie trzytygodniowe tournée, musiałbym zapewne poświęcić na to kilkadziesiąt stronic, a nie jeden – jak zaplanowałem – krótki podrozdział. Ograniczę się zatem do paru ogólnych uwag.

Włoska niefrasobliwość w połączeniu z pagartowską obojętnością spowodowały w konsekwencji potężny bałagan. Trasa była ułożona bez sensu. Wystarczyło wziąć mapę, aby zobaczyć jak jeździliśmy z północy na południe i powrotem. 4 maja w Foggi, a następnego dnia w Arcoli i zaraz potem, szóstego w Teramo. Kolejne koncerty w Crotone, Potenzy, Caltagirone na Sycylii i w największym mieście – Messynie. Po przejechaniu całych Włoch ostatni koncert odbył się w Gorycji. Następnego dnia rano wyruszyliśmy w najdłuższy odcinek podróży, trwający ponad dobę. Przejechaliśmy całe północne Włochy,

tunelem pod Mont Blanc i przez pół Francji do Poitiers. A po paru godzinach odpoczynku musiałem dyrygować dużym programem Lisztowskim. Dla mnie noce spędzone w autobusie były torturą, ponieważ nie potrafiłem (i nadal nie potrafię) spać na siedząco. Zazdrościłem Kaziowi, który np. w pociągu zasypiał niemal natychmiast. Pociąg ruszał, a Kazio już drzemał w pozycji siedzącej. I nie przeszkadzały mu rozmowy, stukot kół, ruchy wagonu czy światło. Dla mnie to niemożliwe i dlatego przejazdy w tamtym tournée wspominam jako koszmar.

Dodatkowym utrudnieniem były fatalne autobusy. Warszawski PKS wynajął „Pagartowi" dwa „Ikarusy", które miały słabe silniki i kierowcy nie mogli czy nie chcieli jechać szybciej niż 80 km/godz. Nawet na znakomitych autostradach, gdzie zachodnie autokary rozwijały szybkość ponad 100 km/godz. Tak więc wlekliśmy się niemiłosiernie, tracąc cenny czas, który można byłoby przeznaczyć na wypoczynek.

Hotele miały na ogół przyzwoity standard, natomiast warunki, w których przyszło nam występować bywały rozmaite. O ile pamiętam, na osiem miast, tylko w dwóch były sale koncertowe. W pozostałych dawaliśmy koncerty albo w teatrach albo w kościołach. Nawet w tak dużym mieście jak Messyna. Natomiast zaskoczeniem dla mnie była zmiana, jaka zaszła we Włoszech w ciągu 30 lat. Pamiętałem, że w maju 1956 roku widziałem pod Rzymem „osiedle" zbudowane z kawałków blachy i tekturowych pudeł. Na ulicach mężczyźni zbierali niedopałki papierosów, rzucanych przez turystów, o chmarach żebrzących dzieci nie wspominając. A po upływie 30 lat zobaczyłem zupełnie inny kraj. Wspaniała sieć autostrad, nowoczesne hotele, ogromne domy towarowe, tysiące luksusowych samochodów. Nikt już nie zbierał na ulicy „petów" ani nie mieszkał w kartonowych budach. Jakiż kontrast z Polską lat osiemdziesiątych, pogrążoną w głębokim kryzysie!

Oczywiście nie roszczę sobie pretensji do całościowego ujęcia ekonomiczno-społecznej sytuacji Włoch, ale opisuję to, co wtedy widziałem na własne oczy.

Innego rodzaju zaskoczeniem były afisze naszych koncertów. Zobaczyłem zamiast włoskiego tłumaczenia słów „Państwowa Filharmonia" - zupełnie inną nazwę: „Filarmonica dei Sudetti", czyli Filharmonia Sudecka. W niektórych miastach było jeszcze czasami wydrukowane Wałbrzych lub „Polonia". Towarzyszący nam pilot z „Pagartu" wyjaśnił, że nazwę „Filharmonia Sudecka" wymyślił włoski impresario. Uzasadniał to następująco: 1. Nazwa Wałbrzych nic nie mówi przeciętnemu Włochowi; 2. Masowa imigracja Polaków do Włoch po zniesieniu stanu wojennego i ich zachowanie nie kojarzy się niestety dobrze z państwem polskim; 3. Określenie „państwowa" na afiszu koncertowym brzmi zbyt oficjalnie i nie zachęca do kupienia biletu. Natomiast Sudety są pojęciem historyczno-geograficznym i mogą stanowić atrakcję.

Mnie i muzykom nazwa „Filharmonia Sudecka" bardzo przypadła do gustu i po powrocie do Wałbrzycha rozpocząłem starania o jej oficjalną akceptację. Ostatecznie działała w Polsce Filharmonia Pomorska, Śląska czy Bałtycka. Po przełamaniu oporu ministerstwa udało się po paru miesiącach „przemianować" filharmonię i tak już do dzisiaj pozostało.

Pomimo ogromnego zmęczenia, odczuwałem w czasie całego tournée głęboką satysfakcję. Koncerty przyjmowane były przez włoską publiczność z prawdziwym entuzjazmem. Nie przesadzam. Okrzyki w rodzaju „bravo!", „bravissimo!" i owacje na stojąco pozwalały zapomnieć o zmęczeniu i stałym „niedospaniu". Oczywiście na każdym koncercie musieliśmy bisować, czasem nawet parokrotnie. Po koncercie w Messynie, przyjmowanym wyjątkowo gorąco, tamtejszy organizator przyznał mi, że bał się koncertu nieznanej orkiestry. Tym bardziej, że przed paroma tygodniami w Messynie występował

Teatr Wielki z Łodzi. W czasie trwania spektaklu przy poszczególnych ariach publiczność tupała, gwizdała i krzyczała „a la casa!" czyli „do domu!". Podaję tę wiadomość na odpowiedzialność mojego informatora.

Na ostatni koncert w Gorycji przyjechał włoski impresario, który organizował całe tournée. Był to pan w podeszłym wieku, który właśnie kończył swoją działalność. W czasie kolacji wyraził zachwyt dla poziomu orkiestry i mojej „sztuki dyrygenckiej", poczem zapytał wprost dlaczego „Pagart" przysyła mu ciągle kiepskie zespoły. Pamiętam, że powiedział dosłownie: „Orkiestry grają źle, dyrygenci dyrygują nudno i publiczność śpi". Cóż miałem mówić? Czy mogłem wyjaśnić rozmaite personalne układy i zakulisowe rozgrywki?

Podobna sytuacja powtórzyła się w Poitiers. Pomimo zmęczenia i niewyspania, orkiestra grała naprawdę – jak to się mówi – powyżej swoich możliwości. Nic zatem dziwnego, że mieliśmy duże powodzenie i musieliśmy trzykrotnie bisować. Po koncercie na spotkaniu z władzami miasta, ku mojemu zaskoczeniu mer powiedział, że właśnie dzisiaj są moje urodziny. Skąd o tym wiedział – pozostało tajemnicą. Poczem mer po złożeniu życzeń, dodał: „Wasza wspaniała orkiestra jest młoda, ale najmłodszy jest szef, pomimo swoich sześćdziesięciu lat". Było to naprawdę i miłe, i eleganckie z jego strony. I na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

A potem francuski impresario zaprosił mnie na kolację i powiedział, że od czasu występu WOSPR-u przed paroma laty, nie było w Poitiers tak dobrej orkiestry. Ponieważ przed rokiem – jak czytałem w prasie – występowała na tym samym festiwalu Filharmonia Wrocławska, zapytałem impresaria co o niej sądzi. Był na tyle uprzejmy, że nic nie powiedział. Machnął tylko lekceważąco ręką.

Razem z orkiestrą i pilotem „Pagartu" jeździł dziennikarz z Warszawy. Pisał pochlebne sprawozdania z koncertów, ale nie były to rzeczowe recenzje, ponieważ nie miał pojęcia o muzyce. Dlaczego „Pagart" wysłał akurat takiego dziennikarza – nigdy się nie dowiedziałem. Zapewne znowu jakieś osobiste powiązania. Do naszego tournée musiałem dopłacić z kasy filharmonii parę milionów, nie pamiętam już dokładnej sumy. Jak się domyślałem, miasta płaciły nasze diety i ponosiły koszty hoteli, wynajmu sal, druku afiszy itd. Filharmonia musiała pokryć koszty dwóch autobusów i ciężarówki na instrumenty. Ponieważ nie mogłem tego zrobić z dotacji, wywalczyłem dodatkowe środki u wojewody. Ale „za to" musiałem wziąć jako osobę towarzyszącą zastępczynię dyrektora wydziału kultury Urzędu Wojewódzkiego. Okazała się osobą niekrępującą, a po powrocie zrobiła nam znakomita reklamę. Natomiast „Pagart" oraz impresario włoski i francuski za trudy organizacji pobierali prowizje. Jak wysokie, pozostało to tzw. tajemnicą handlową.

W tamtych czasach (można było dodać przymiotnik „ponurych", „posępnych", „ciężkich" czy „smutnych") każdy wyjazd za granicę, nawet do NRD czy Czechosłowacji, stawał się także rodzajem podróży handlowej. Tym razem z braku czasu i sił nie zdążyłem kupić prawie niczego. Nie udało mi się także zwiedzić żadnego muzeum czy choćby zobaczyć jakiegokolwiek zabytku. Nawet słynnej katedry w Poitiers. W drodze powrotnej w jakimś niemieckim miasteczku, gdzie mieliśmy postój, zdążyłem kupić kilka soczków, serków i pożywek dla Wiosny. A po noclegu w Pradze trochę owoców i „aż" kilo parówek. Przykre to zakończenie pełnej sukcesów podróży koncertowej.

Pokłosie wyjazdu

Koncerty we Włoszech przyniosły rozmaite korzyści. W anormalnej sytuacji ekonomicznej Polski zaoszczędzone przez muzyków osiemnaście dolarowych diet równało się ich półrocznej pensji! Było zatem znaczną pomocą finansową. Zaraz po powrocie udzieliłem wielu wywiadów prasowych, radiowych i telewizyjnych, wzmacniając pozycję filharmonii. Myślę jednak, że najważniejsza była poprawa morale orkiestry. Powodzenie, jakie odnieśliśmy i komplementy wypowiadane przez solistów, impresariów, przedstawicieli „Pagartu" i włoskich muzyków, którzy byli słuchaczami koncertów – przekonały członków orkiestry, że stanowią już prawdziwy, zawodowy zespół. I potrafią dobrze grać. Dlatego byłem pewien, że kryzys wywołany wyjazdami najlepszych instrumentalistów po stanie wojennym – został przełamany. Jak się okazało, miałem rację. Od tamtego wyjazdu poziom orkiestry stale się podnosił, niezależnie od ciągłych trudności finansowych.

Pożegnalną kolację po koncercie w Gorycji zorganizowało tamtejsze Towarzystwo Muzyczne. Prezes o nazwisku Qualli, którego tytułowano profesorem, opowiadał o organizowanym od paru lat przez towarzystwo międzynarodowym konkursie skrzypcowym. I o tym, że finaliści grają z orkiestrą. Zapytał czy interesowałby nas udział w konkursie. Odpowiedziałem, że chętnie przyjedziemy i – co było moim błędem – lojalnie doradziłem, aby porozmawiał z towarzyszącym nam pagartowskim pilotem. A sprawa była pilna, ponieważ konkursy odbywały się we wrześniu. W czerwcu pojechałem do „Pagartu", gdzie zastępcy dyrektora opowiedziałem o naszych koncertach we Włoszech. Potwierdził, że słyszał już o tym, iż odnieśliśmy duży sukces. Wówczas przedstawiłem mu sprawę związaną z otrzymaną od prezesa Qualli propozycją udziału naszej orkiestry we wrześniowym konkursie w Gorycji. Propozycję złożoną w obecności pilota „Pagartu". Tymczasem już w parę dni po powrocie do Polski, dowiedziałem się nieoficjalnie, że do Gorycji pojedzie pod szyldem Teatru Wielkiego jakaś zbieranina warszawskich muzyków pod dyrekcją Niesiołowskiego. Wezwany przez dyrektora nasz były pilot twierdził, że rozmowy pomiędzy Teatrem Wielkim a Gorycją prowadzono już od wielu miesięcy. Jeszcze przed naszym majowym tournée. Niestety nie miałem dowodów, że kłamie. W każdym razie dyrektor obiecał, że po naszych sukcesach będą starali się wysyłać nas za granicę. I dodał, że warto, abyśmy przyjęli nazwę „Filharmonia Sudecka". Ułatwi to reklamowanie w krajach zachodnich.

W lutym 1989 otrzymałem niespodziewanie z Gorycji kartkę z życzeniami świątecznymi od profesora Qualli. Natychmiast odpisałem z podziękowaniem i przypomniałem ubiegłoroczną rozmowę o udziale naszej orkiestry w finale konkursu. Po paru tygodniach nadszedł list od Qualli'ego, w którym opisał fatalną grę rzekomej orkiestry Teatru Wielkiego z Warszawy.

Według jego słów muzycy byli nieprzygotowani, a dyrygent nie potrafił akompaniować. I potwierdził, że chce zaprosić naszą orkiestrę. Nie zwlekając wysłałem następny list, prosząc, aby wszystkie sprawy związane z naszym udziałem, uzgodnił ze mną w bezpośredniej korespondencji, a ja dopiero wtedy przekażę je „Pagartowi" do realizacji. Po tym liście nastąpiła w korespondencji przerwa, której przyczyny nigdy nie poznałem. Wprawdzie od jakiegoś polskiego skrzypka dowiedziałem się, że po skandalu z rzekomą orkiestrą Teatru Wielkiego organizatorzy konkursu zarzekali się głośno, że nigdy więcej nie będą współpracować z „Pagartem", ale ta wiadomość mogła być tylko złośliwą plotką.

Opisałem ten incydent szczegółowo, ponieważ stanowił on ilustrację obowiązujących w tamtych czasach przepisów. Słabością tzw. państw socjalistycznych była „monopolizacja". Można by stwierdzić bez przesady, że monopole gubią narody. Władze PRL na wzór ZSRR utworzyły dziesiątki central, które miały wyłączność na jakiekolwiek kontakty zagraniczne. Np. CHPM jako jedyna w kraju mogła importować instrumenty muzyczne i eksportować pianina z fabryk Kalisza czy Legnicy. „Metalexport" był monopolistą w eksporcie wyrobów hutniczych. Itd. itd. Polska Agencja Artystyczna „Pagart" miała wyłączność na eksport i import zespołów artystycznych oraz pojedynczych artystów. Żaden polski muzyk nie mógł otrzymać paszportu bez odpowiedniego pisma z „Pagartu", a zagraniczny dyrygent, instrumentalista czy śpiewak, aby móc wystąpić do polskiego konsula o wizę, musiał mieć oficjalne pisemne zaproszenie z „Pagartu". Było to całkowicie absurdalne, ale obowiązywało kilkadziesiąt lat. A zanim powstał „Pagart" całokształt kontaktów zagranicznych był skupiony w Biurze Współpracy z Zagranicą Ministerstwa Kultury i Sztuki. Był to jeszcze większy absurd.

Tak więc wszelkie wyjazdy zagraniczne uzależnione były od urzędników „Pagartu". Mówiło się głośno o tym, że wielu z nich brało łapówki. Dotyczyło to indywidualnych kontraktów, szczególnie w dziale muzyki rozrywkowej. Ale – jak to często bywa – tego rodzaju „wzajemne świadczenie usług" było trudne do udowodnienia. Jeśli jednak odrzucimy plotki o łapownictwie, to znana była zła praca licznych urzędników „Pagartu": mała operatywność, brak kompetencji, niechęć do wykazywania inicjatywy. Wandzia, która należała do „eksportowej czołówki" polskich artystów, opowiadała, że dzięki swoim znajomościom na całym świecie i wieloletnim bezpośrednim kontaktom, sama gromadziła w domu całą korespondencję dotycząca koncertów zagranicznych. Sama ustalała terminy, układała trasy, uzgadniała programy, a nawet wysokość honorariów. Kiedy wszystko było już gotowe, oddawała całą dokumentację do „Pagartu", który podpisywał stosowną umowę z zagranicznym kontrahentem. Brzmi to jak kiepski dowcip, że „Pagart" załatwiał jedynie wizy i bilety, biorąc za to w zależności od wysokości honorarium od 10 do 30% prowizji! Wiedzieliśmy, że „Pagart" był po prostu państwowym urzędem, a nie prawdziwym impresariatem. Oto jaskrawy przykład jak szkodliwy jest monopol w każdej dziedzinie.

Po tej długiej dygresji wracam do „pokłosia" naszego pierwszego wyjazdu na Zachód. Zastępca dyrektora „Pagartu" spełnił jednak po paru miesiącach swoją obietnicę i w wyniku długotrwałych pertraktacji pojechaliśmy w maju 87 na 4 koncerty do Włoch. Były udane, choć znowu fatalnie zorganizowane. Ale za to we wrześniu następnego roku wzięliśmy wreszcie udział w finale konkursu w Gorycji. Okazało się to wyjątkowo męczące. Przez dwa dni mieliśmy z finalistami po dwie trzygodzinne próby i prawie czterogodzinne koncerty. A trzeciego dnia jedną próbę i koncert z laureatami. Czwartego dnia rano wyjazd do Fabriano i po przejechaniu 600 kilometrów od razu koncert. A od świtu następnego dnia ponad 30-godzinną powrotną podróż do kraju. Pomimo tak „morderczego" maratonu orkiestra potwierdziła swój poziom. Grała naprawdę dobrze. Qualli oświadczył publicznie, że w ciągu ośmiu lat istnienia konkursu, żadna orkiestra nie potrafiła tak dobrze akompaniować. Inni organizatorzy mówili wprost – „Wasza orkiestra była najlepsza". A na moje pytanie skąd przyjechały poprzednie orkiestry, usłyszałem, że m.in. z Lubliany, Sofii i Budapesztu. Ta informacja sprawiła mi niemałą satysfakcję. A w rezultacie tego sukcesu przez najbliższe parę lat jeździliśmy do Gorycji nie tylko we wrześniu na konkurs, lecz także w grudniu na tzw. bożonarodzeniowe koncerty. Można zatem zaryzykować twierdzenie, że w tym najgorszym pod względem ekonomicznym dla filharmonii okresie orkiestra podnosiła swój poziom i umacniała swoją pozycję w muzyce polskiej.

Sprawy rodzinno - zawodowe

A jak w tym samym okresie 1986-89 wyglądało moje życie? Również pomimo wszystkich niesprzyjających czynników miało miejsce wiele pozytywnych wydarzeń. Małgorzata przy ogromnych naszych wyrzeczeniach, skończyła studia. Można by napisać o nich (tzn. i o wyrzeczeniach, i o studiach) cały podrozdział, ale to pozostawiam do jej własnej biografii. Najważniejsze, że je skończyła i uzyskała dyplom wraz z tytułem magistra. Wiosna po pomyślnym zaliczeniu testów (IQ - 136!) w Przychodni Psychologicznej poszła o rok wcześniej do tzw. starszaków w przedszkolu, a potem w wieku sześciu lat do szkoły. Dzięki temu w roku 2000, mając 18 lat, skończyła liceum i zdała egzaminy na Uniwersytet Warszawski. Będąc – o ile pamiętam – dopiero w II klasie licealnej oświadczyła, że po maturze będzie studiować w Warszawie stosunki międzynarodowe na wydziale nauk politycznych. Utkwiło mi w pamięci, że nie użyła zwrotu „chciałabym" czy „mam zamiar". Nie, stwierdziła po prostu: „Będę studiowała stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Warszawskim." a później już jako studentka II roku, rozpoczęła równoległe studia na wydziale filozofii. Nigdy nie wyraziłem słowa sprzeciwu, gdyż uważałem, że dziecko ma prawo budowania swojej przyszłości według własnego przekonania. Pod jednym warunkiem, że będzie poświęcone nauce i pożytecznej pracy.

Wybiegłem jednak zbyt daleko w przyszłość. Wracam zatem do drugiej połowy lat osiemdziesiątych. W tamtym okresie, jak już pisałem, miałem o wiele mniej koncertów w Polsce, ale za to zwiększyła się liczba wyjazdów zagranicznych. Wyjeżdżałem parokrotnie sam lub z orkiestrą do NRD w ramach wymiany. Podobnie do Czechosłowacji. Sam natomiast występowałem w Bruck, Baden-Baden, Hajfie i Dubrowniku. O każdym z tych koncertów mógłbym wiele napisać. Szczególnie pasjonujące były pobyty w Izraelu i Jugosławii.

Po koncercie w Baden-Baden zaproponowano mi stanowisko profesora i kierownika orkiestry studenckiej w Musik Hochschule w Mannheimie. Odmówiłem bez wahania. Niemcy agitowali, opierając się na różnicach w zarobkach. Za proponowaną pensję mógłbym tam kupić małego Volkswagena. W Polsce – za dwadzieścia moich dyrektorskich pensji. Ja argumentowałem, że organizuję rocznie 1 000 koncertów dla ok. 100 000 dzieci i to jest dla mnie ważniejsze. Po krótkiej wymianie zdań, Niemcy przyznali mi – acz niechętnie – rację.

Koncert w Bruck był tzw. chałturą. Otrzymałem spore honorarium, ale czułem niesmak do samego siebie. Orkiestra mała i słaba, a do programu wybrali z mojego repertuaru „Błękitną rapsodię" i… "Bolero" Ravela. Publiczność i muzycy byli zachwyceni, twierdząc, że to najlepszy koncert sezonu. A jaki był w rzeczywistości, lepiej nie wspominać.

O koncercie w Hajfie wolałbym zapomnieć. Półamatorska orkiestra studencka, która w ogóle nie potrafiła się zestroić pomimo moich „heroicznych" wysiłków. Fałsze na próbach i koncercie były wręcz przerażające. A solistą był dobry skrzypek z Tel Avivu, występujący w wielu krajach i wykładający m.in. w wiedeńskiej Musikhochschule. Kiedy przepraszałem go za fatalną grę orkiestry, pocieszał mnie, że przecież słyszałem żywiołowy aplauz przepełnionej sali i radość na twarzach studentów. I powtarzał – to przecież najważniejsze. Niezbyt mnie przekonał. Ale naprawdę ważne było to, że przy okazji zwiedziłem Nazaret, Kanę Galilejską, Akkę (czyli dawną Akrę), Tyberiadę, rzekę Jordan i pływałem po jeziorze Genezaret. To były niezapomniane przeżycia.

A wyjazd w roku 1986 do Dubrownika, pomimo różnych nieprzyjemnych przygód w podróży, pozostawił piękne wspomnienia. Kombinacje z absurdalnymi przeliczeniami

dolarowymi w Polsce i Jugosławii spowodowały, że zwrot kosztów podróży był ponad dwukrotnie wyższy niż moje honorarium za dwa koncerty. Dzięki temu mogłem pokryć cenę biletów samolotowych Warszawa – Belgrad – Dubrownik i z powrotem za siebie, Małgorzatę i Wiosnę. I jeszcze starczyło na ich pobyt oraz niewielkie zakupy. Był to październik, ale powietrze i woda w Adriatyku były tak ciepłe, jak u nas nieczęsto zdarza się w lecie. Wiosna po raz pierwszy kąpała się w morzu, co – jak się potem okazało – wpłynęło korzystnie na jej zdrowie. Zachorowała dopiero w lutym, a dotychczas miała różne dolegliwości od listopada. Była to dla nas wskazówka, aby co roku wyjeżdżać z dzieckiem nawet nad polskie zimne morze.

Skoro już zacząłem pisać o zdrowiu, to niestety w latach 86-89 zaczęły się u mnie pojawiać poważne objawy chorobowe. Dotychczas lekceważyłem różne dolegliwości. Jeśli bolał mnie brzuch, brałem sulfaguanidynę, jeśli zaczynał się katar – smarowałem nos maścią. Przy kaszlu piłem syrop, a na gorączkę stosowałem polopirynę. Jak widać, nie był to specjalnie bogaty wybór. Kiedy naprawdę pojawiła się jakaś poważna choroba i wysoka temperatura powyżej 39°C, znajomi lekarze przepisywali mi „zaocznie" odpowiedni antybiotyk. I tak z niewielkimi wyjątkami, które opisywałem, dotrwałem do sześćdziesiątki. Pracując – co uczciwie przyznaję – ponad siły. I dzieląc czas na dyrygowanie, komponowanie, pisanie, działalność społeczną i polityczną oraz „dyrektorzenie", nie licząc rozmaitych zajęć domowo-rodzinnych. Wystarczyłoby tego na parę osób. Ale wreszcie organizm – mówiąc potocznie – zbuntował się. Zaczęły się kłopoty z sercem. Coraz częściej „kłuło mnie" w klatce piersiowej. Albo „piekło". Raz po raz czułem się słaby i pojawiły się ranne krwotoki z nosa. A na domiar złego zacząłem coraz gorzej widzieć i słyszeć.

Z ogromną niechęcią poddałem się przeróżnym badaniom. Werdykt lekarzy był jednoznaczny: należy wreszcie zacząć dbać o zdrowie. Nie będę zanudzał przyszłego czytelnika szczegółowymi diagnozami ani wykazem lekarstw. Mogę tylko napisać, że brałem przepisane medykamenty regularnie, dopóki objawy chorobowe nie ustąpiły. Nawet przez pewien czas ograniczałem zajęcia. A kiedy objawy chorobowe ustępowały, wracałem do dawnego trybu życia. Głupota?

Kłopoty z sercem i krążeniem wracały okresowo, ale nie traktowałem ich poważnie. Jednak w październiku 86, tuż przed wyjazdem do Jugosławii, zemdlałem, wychodząc z ministerstwa. Wezwane pogotowie zabrało mnie do szpitala. Wiedząc jednak, że muszę odebrać paszporty i bilety, a następnego dnia odlecieć z rodziną na koncerty w Dubrowniku, nie zgodziłem się na hospitalizację. Po elektrokardiogramie, wbrew opinii lekarzy, podpisałem oświadczenie, że opuszczam szpital na własne żądanie i pobiegłem (o taksówce nie było co marzyć) z ul. Nowogrodzkiej do „Pagartu" na plac Zwycięstwa. I jakoś wytrzymałem.

Od jesieni tegoż roku zacząłem odczuwać coraz większe kłopoty ze wzrokiem. Kolejne badania stwierdziły szybko rosnącą krótkowzroczność i postępującą zaćmę. Ale, jak twierdzili zgodnie lekarze, dno oka było jeszcze czyste i nie należało spieszyć się z operacją. Potwierdziła to wizyta w klinice okulistycznej w Katowicach, kierowanej przez Gierkową, uważaną wówczas za jedną z najlepszych specjalistek w Polsce. Od listopada 88 zacząłem załatwiać przez KC i ministerstwo wyjazd na ewentualną operację w Moskwie, u słynnego w tamtych latach profesora Fiodotowa. Plany te zostały przekreślone przez wydarzenia polityczne następnego roku. Potem „po znajomości" załatwiono mi wizytę u radzieckiego wojskowego okulisty w Legnicy. Ale i on niebawem musiał opuścić Polskę.

Równolegle zauważyłem, że psuje mi się słuch, zwłaszcza w lewym uchu. Badania wykazały, że w paru oktawach prawie nie słyszę przy mniejszym natężeniu decybeli. Do

tych wszystkich dolegliwości, słabości, omdleń (m.in. we Włoszech po ostatnim koncercie w maju 88) dołączył problem kręgosłupa. Warto o nim wspomnieć, gdyż miał zabawne zakończenie. Od początku lat sześćdziesiątych zacząłem ćwiczyć najpierw przy pomocy sprężyn (tzw. ekspanderów), a następnie hantli. Sukcesywnie zwiększałem ich ciężar, od 1,5 kg do 6 kg. W związku z bólami serca, opiekujący się mną kardiolog, zabronił ćwiczeń z hantlami i doradził zwykłą gimnastykę. Ale tę z braku czasu po urodzeniu się dziecka, zaniedbałem. Uważałem, że dyrygowanie zastąpi regularne ćwiczenia gimnastyczne. Kolejny przejaw głupoty?

Pewnego dnia w listopadzie 87 obudziłem się rano i stwierdziłem, że nie mogę prawą ręką chwycić łyżki i maszynki do golenia. Wprawdzie od paru dni odczuwałem już bóle w dolnej części kręgosłupa, ale zgodnie z moimi zwyczajami, zlekceważyłem te objawy. Jakoś z wielkim wysiłkiem udało mi się wykonać ranne czynności, ale kiedy w biurze okazano się, że nie mogę już utrzymać długopisu, pojechałem do szpitala. Zdjęcie rentgenowskie wykazało zwyrodnienie, polegające – jak zrozumiałem z wyjaśnień lekarzy – na zrastaniu się kręgów. To właśnie powodowało ucisk na nerwy, ból i niedowład dłoni. Zaaplikowano mi lekarstwa i serię masaży. Oszczędzę wrażliwemu czytelnikowi opisu tortur, które zadawał mi masażysta. Ale już po dosłownie dwóch - trzech dniach odzyskałem pełną władzę w palcach i ból zaczął ustępować. Niestety musiałem przerwać kurację, gdyż masaże odbywały się tylko w godzinach rannych, a ja rozpocząłem próby. A ponieważ nastąpiła wyraźna poprawa, zapomniałem o dalszym leczeniu.

W lutym 89 roku wróciły bóle kręgosłupa. Przypomniałem sobie wówczas o rozmaitych „wygibasach", aplikowanych mi przez masażystę i zacząłem robić gimnastykę. Ponieważ nie przynosiło to wyraźnego skutku, pewnego popołudnia położyłem się na podłodze plecami do góry i poprosiłem, aby Wiosna ugniatała mi kręgosłup kolanami. Wstyd przyznawać się do takiej nieostrożności. Ciężar sześcioletniego dziecka mógł doprowadzić do uszkodzenia kręgosłupa i trwałego kalectwa z paraliżem. Pamiętam, że Wiosna traktowała to jako zabawę i aż zanosiła się od śmiechu, słysząc moje okrzyki bólu. Ale ta „barbarzyńska" terapia odniosła niespodziewany, niemal natychmiastowy sukces. Kręgosłup przestał mnie boleć, a od tego czasu systematycznie, dzień w dzień wykonuję cały zestaw ćwiczeń gimnastycznych. I ból kręgosłupa nigdy już nie wrócił.

W styczniu 1986 zmarła moja matka. Miała 85 lat. W czwartek dawała lekcje, w piątek zaczęła odczuwać bóle. W sobotę rano wbrew woli matki, mieszkająca z nią Marysia wezwała pogotowie. Lekarz natychmiast zarządził przewiezienie do szpitala. W poniedziałek wieczorem matka zmarła po dwóch dniach cierpień. Wiadomość o tym otrzymałem we wtorek rano. Na noc wyjechałem z Małgorzatą i Wiosną do Warszawy. Opiszę to szczegółowo przy końcu wspomnień, relacjonując moje stosunki z rodziną.

I ostatnie parę spraw związanych z moją ówczesną działalnością społeczno- zawodową. W 87 zorganizowałem w filharmonii cykl brahmsowski. W ciągu kolejnych czterech miesięcy orkiestra po raz pierwszy w historii Wałbrzycha wykonała wszystkie dzieła Brahmsa: cztery symfonie, oba koncerty fortepianowe, skrzypcowy i podwójny. Był to ważny sprawdzian umiejętności, zespołu i poszczególnych instrumentalistów. Mogę z satysfakcją stwierdzić, że wypadł nadspodziewanie dobrze. Również publiczność tłumnie uczestniczyła w tym niewątpliwym wydarzeniu. I co mnie zaskoczyło – przyjmowała z entuzjazmem bądź co bądź trudną muzykę. Na bis graliśmy tańce węgierskie. Wszystkie cztery koncerty sam dyrygowałem, chcąc nauczyć młodą orkiestrę właściwego – w moim rozumieniu – wykonawstwa muzyki Brahmsa.

W 88 roku odbyła się ocena kadr kierowniczych. Nie wiem czy tylko w kulturze i czy tylko w Wałbrzychu. W każdym razie – jak mi mówili oceniający – uzyskałem najwyższe oceny we wszystkich punktach. Różni prominenci składali mi z tej okazji gratulacje. A niebawem otrzymałem propozycję uczestniczenia w Egzekutywie KW. Jeżeli w tzw. terenie, odpowiednikiem KC był KW, to za odpowiednik Biura Politycznego można byłoby uznać Egzekutywę. Składała się z kilkunastu osób. O ile pamiętam, poza sekretarzami KW: komendant MO i jego zastępca, i sekretarz KM, dyrektorzy Zjednoczenia Węglowego i Koksowni, naczelny redaktor „Trybuny Wałbrzyskiej", przewodniczący WRZZ. Dlaczego do tego grona dobrano mnie – nie wiedziałem. Wyboru dokonywało oczywiście plenum KW. A oto kolejny przykład tego, co nazywało się w partii centralizmem demokratycznym. Ponieważ nie mogłem być na tym plenum, bo akurat wyjechałem na koncert do Słupska, zostałem na wniosek I sekretarza KW wybrany zaocznie. A co działo się na zebraniach egzekutywy, opiszę w następnym podrozdziale.

Wydarzenia polityczne

Lata 86 - 89 były niewątpliwie jednym z najważniejszych, a może nawet najważniejszym w ogóle okresem w powojennej historii Polski. A także wielu innych krajów europejskich. Przygotowały bowiem w obozie socjalistycznym to, co się nazywa transformacją ustrojową. Zakończyły hegemonię ZSRR, podział Europy na dwa wrogie obozym a tym samym tzw. zimną wojnę. To dzięki temu okresowi stały się możliwe zasadnicze przemiany w latach następnych, szczególnie w roku 90. A te przemiany były najważniejszymi wydarzeniami od 1945 roku i objęły setki milionów ludzi. Niezależnie od tego, co o tym sądzimy. Byłem świadkiem tych wydarzeń i nie mogę uniknąć ich zrelacjonowania. Oczywiście biorąc pod uwagę wyłącznie własną subiektywną perspektywę.

Zacznę od awarii w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Dowiedzieliśmy się o niej ze znacznym opóźnieniem. Pamiętam, że od razu uznałem apokaliptyczne informacje za przesadzone. Okazało się po latach, że miałem rację. Kiedy 1 maja 86 wyjeżdżałem z orkiestrą do Włoch, polskie media podały oficjalnie, że od następnego dnia dzieci będą otrzymywały jakieś lekarstwo, zmniejszające zagrożenie napromieniowaniem. Kiedy przyjechaliśmy do Włoch, dowiedzieliśmy się o niszczeniu sałaty oraz innych warzyw i owoców, uznanych przez tamtejsze władze za napromieniowane. A tymczasem Małgorzata po odjeździe naszych autobusów poszła z Wiosną na działkę, aby nazbierać świeżych warzyw. Zauważyła na nich biały pył, ale po starannym obmyciu pod bieżącą wodą – zjadły je ze smakiem. Kiedy piszę teraz te słowa po upływie dwudziestu lat, obie czują się świetnie, co potwierdza, że uspokajające raporty Międzynarodowej Agencji Atomowej oparte były na faktach. Wyolbrzymianie przez Zachód zagrożenia spowodowanego awarią miało zapewne podłoże polityczne.

O ile mnie pamięć nie myli, już w latach 87/88 zdałem sobie sprawę, że socjalizm w „wydaniu" radzieckim zawiódł. Nigdy nie byłem marksistą, z czego nie robiłem tajemnicy. Nie kwestionując przenikliwej analizy społeczno-ekonomicznej zawartej w dziełach Marksa, nawet na szkoleniach partyjnych wątpiłem w przydatność stosowania jej w polityce. A warstwa filozoficzna najzupełniej mi nie odpowiadała. Obserwując zaś to, co działo się w ZSRR i co na siłę przenoszono do tzw. KDL (Krajów Demokracji Ludowej), doszedłem do przekonania, że ustrój później nazwany socjalizmem realnym, a co ja wolałem określać

jako socjalizm państwowy lub biurokratyczny – zawiódł przede wszystkim jako system ekonomiczno-gospodarczy. Głośno mówiłem nawet na zebraniach partyjnych, że słabości ideologiczne, ograniczenia wolności, monopartyjność itd. nie były głównymi przyczynami widocznego coraz wyraźniej rozpadu państw tzw. obozu socjalistycznego. Społeczeństwa – twierdziłem – pogodziłyby się z cenzurą, służbami bezpieczeństwa, brakiem swobody wyjazdów za granicę itp., gdyby gospodarka była sprawna. To puste półki sklepowe doprowadziły do upadku PRL i innych państw. A wolnościowe hasła były tylko pięknie brzmiącymi ozdobami, wymyślonymi przez grupki inteligentów na użytek Zachodu. Piszę te gorzkie słowa z perspektywy dwudziestu lat. Dla większości robotników i chłopów ograniczenia wolności słowa nie były zbytnio uciążliwe w codziennym życiu. Podobnie trudności w uzyskaniu paszportu. Dla nich ważniejsza była możliwość zakupu dowolnych towarów za zarobione pieniądze w wystarczającej dla zaspokojenia codziennych potrzeb ilości. Wszystko inne było dodatkiem.

Widziałem rozpad kraju i chaotyczne próby jego powstrzymania, dokonywane przez zmieniające się ekipy rządowe i partyjne. Raz po raz wybuchały strajki oraz takie czy inne protesty i demonstracje. Tłumiono je mniej lub więcej brutalnie przy pomocy ZOMO, a jednocześnie władze wykonywały mało skuteczne gesty pojednawcze. Większość społeczeństwa odbierała te gesty jako objaw słabości rządzących, a brutalność ZOMO jako dowód, że władza jest przeciwko narodowi. Tę atmosferę umiejętnie podsycał Zachód.

Pomimo cenzury raz po raz dowiadywaliśmy się, że również w tzw. bratnich krajach ludzie zaczynają coraz śmielej wyrażać swoje niezadowolenie. Przełomem było ogłoszenie przez Gorbaczowa na początku 87 jawności życia politycznego (głasnost) i reformy gospodarczej (pierestrojki). Pamiętam ambiwalentny stosunek niektórych polskich dygnitarzy partyjnych do tej wiadomości. Z jednej strony przyzwyczajenie do ślepego posłuszeństwa wobec Wielkiego Brata, a z drugiej lęk o własne stanowiska. Wyczuwałem z niemałą uciechą, że nie bardzo wiedzą: czy popierać w całej rozciągłości decyzje Gorbaczowa, czy może raczej zaczekać z wyrażaniem opinii. I tak na wszelki wypadek - „przyczaić się".

A tymczasem wydarzenia nabrały przyspieszenia. Gorbaczow spotkał się w 87 roku z Reaganem i w następnym roku rozpoczął wycofywanie wojsk z Afganistanu. W Czechosłowacji, Bułgarii i Węgrzech nastąpiły zmiany na najwyższych stanowiskach partyjnych. Odeszli: Husak, Kadar, Żiwkow. Zakończenie wojny pomiędzy Irakiem a Iranem czy śmierć Olafa Palmego, cesarza Hirohito i ajatollaha Chomeiniego nie miały żadnego wpływu na przebieg wydarzeń w Polsce i przeszły – jak pamiętam – niemal niezauważone przez większość ludzi. Dla nas istotniejsze były takie wydarzenia jak ponowna rejestracja „Solidarności", zwolnienie wszystkich więźniów politycznych, zniesienie amerykańskich sankcji ekonomicznych. A dla mnie osobiście – obserwowanie kariery politycznej eksszwagra, Mietka. Opowiadał już wcześniej, że nie był lubiany przez tzw. beton partyjny z jednej strony, a z drugiej przez młodych, rządnych władzy karierowiczów w rodzaju Kwaśniewskiego czy Millera. Mietek nazywał ich „zimnymi technikami władzy". Przyszłość pokazała, że miał rację. Życiowa droga Mietka została uwieńczona najwyższymi stanowiskami: najpierw premiera, a potem I sekretarza PZPR, choć wówczas partia de facto przestała już rządzić.

No i najważniejsza sprawa: obrady tzw. Okrągłego Stołu. Dzisiaj oceny tego wydarzenia są skrajnie różne. Ja sam od początku byłem przeciwny. Twierdziłem głośno, że rząd (a zarazem PZPR) ma dwie drogi: albo będzie walczył o utrzymanie się przy władzy, albo z niej zrezygnuje, podając się do dymisji. Wówczas nastąpiłoby rozwiązanie sejmu i wybory,

które z całą pewnością wygrałaby „Solidarność". Stworzyłoby to jasną sytuację. Natomiast targi i przepychani przy „Okrągłym Stole" o podział stanowisk były dla mnie żenujące. Uważałem, że należało odejść z godnością. I znowu przyszłość pokazała, że miałem rację. Wytargowane ustępstwa okazały się krótkotrwałe. Wystarczy zajrzeć do podręcznika historii, aby się o tym przekonać.

Aby zakończyć ten podrozdział, należy jeszcze opisać rok 1989, w którym właściwie przestał istnieć nie tylko obóz socjalistyczny, ale także cała powojenna, „jałtańska" Europa. O tym też można przeczytać w podręcznikach historii. Pamiętam w miarę dokładnie, jak to odebrałem. Wbrew przewidywaniom te historyczne przemiany nie były dla mnie tak ważne jak fakt, że w tym samym roku Małgorzata skończyła studia, a Wiosna zmieniła w szkole muzycznej instrument: ze skrzypiec na fortepian. Większe znaczenie przywiązywałem do tego, że zdobyłem dodatkowe pieniądze na podwyżki i zorganizowałem największą liczbę symfonicznych koncertów dla dzieci i że za darmo udało mi się otrzymać 20-tomową muzyczną encyklopedię Grovesa. Tylko w roku 89 wyjeżdżałem z orkiestrą cztery razy za granicę: do Czechosłowacji, NRD i dwa razy do Włoch aż na 8 koncertów. I tutaj ciekawostka: 9 listopada obalono mur berliński. Było to niewątpliwie wydarzenie historyczne o randze symbolu. A 19 listopada moja orkiestra grała w niemieckim mieście Riesa VI symfonię Czajkowskiego. To też symboliczne. Druga podróż do Włoch miała miejsce w ostatnich dniach grudnia 89. Jak zwykle mieliśmy przejeżdżać przez Czechosłowację. Dokładnie w tych samych dniach Dubcek został przewodniczącym Zgromadzenia Federalnego, a Havel prezydentem Czechosłowacji. Celnicy czescy byli tym tak zdezorientowani, że po raz pierwszy odprawę na granicy zrobili szybko i grzecznie.

Myślę, że to przeplatanie spraw dużych i małych, historycznych i osobistych jest czymś naturalnym i pozwala zwykłym ludziom przetrwać dziejowe kataklizmy.

Rozdział XXXVII

PIERWSZE LATA RP

Przemiany

Nikt realistycznie myślący nie zaprzeczy, że rok 1989 był w powojennej historii Europy najważniejszy. Ba, ale w czasie jego trwania mało kto ze zwykłych obywateli – jak dokładnie pamiętam – zdawał sobie sprawę z jego przełomowego znaczenia. Można to ująć jeszcze inaczej: przeciętny Polak nie odczuwał dokonującej się transformacji. Odbywałem wiele rozmów ze swoimi pracownikami, znajomymi lekarzami czy urzędnikami. Zarówno oni jak i ja byliśmy świadomi ważności dokonujących się zmian, ale miały one minimalny wpływ na nasze codzienne życie. I kiedy usłyszałem z ust Joanny Szczepkowskiej patetyczne stwierdzenie „Szóstego czerwca umarła w Polsce komuna", wybuchnąłem śmiechem. Identycznie zareagowały: moja młodsza o 34 lata żona i młodsza o 56 lat córka. Dlaczego taka była reakcja „trzech pokoleń'? Aktorska sztuczność tego sformułowania oraz jego nieprzystająca do naszej rzeczywistości treść była wręcz zabawna. Jak wiadomo, w Polsce nigdy nie było komuny (o ile w ogóle wiadomo, co ten termin oznacza), natomiast wieszczenie o śmierci poprzedniego ustroju okazało się przedwczesne. Jego relikty przetrwały w mentalności wielu Polaków (także tych o skrajnie prawicowych poglądach) do XXI wieku i muszą minąć jeszcze co najmniej dwa pokolenia, aby zaczęły zanikać. Jest to oczywiście moje całkiem subiektywne przekonanie.

Kiedy przypominam sobie te ważne, można bez przesady powiedzieć, historyczne wydarzenia roku 89, pamiętam, że właściwie nic się nie zmieniło w moim osobistym i zawodowym życiu.

Wojna w 39 roku i początek okupacji całkowicie zburzył moje dzieciństwo. Ojciec stracił pracę, wysiedlono nas ze śródmieścia na peryferie, przestałem chodzić do konserwatorium, straciłem kontakt z dotychczasowym środowiskiem i niebawem władze niemieckie zamknęły gimnazjum. Nawet nazwa miasta uległa zmianie. Mało tego, jako zaledwie 13-letni chłopiec uświadomiłem sobie z całą ostrością, że zostałem pozbawiony praw. Każdy Niemiec mógł mnie popchnąć, uderzyć, uwięzić. Tak więc wiedziałem i odczuwałem zasadniczą zmianę. Również wybuch powstania całkowicie zmienił moje życie. Z cywila stałem się żołnierzem. I w dodatku żołnierzem w wyzwolonej Warszawie. Tego upajającego uczucia pierwszych dni sierpnia 44 nigdy nie zapomnę.

Następną, wyraźnie odczuwalną zmianą było zakończenie wojny w maju 45. Z dnia na dzień stałem się wolnym człowiekiem. Nie jeńcem, czyli więźniem zamkniętym w obozie, za drutami i pilnowanym przez uzbrojonego strażnika. Znowu mogłem poruszać się swobodnie. Kto tego nie przeżył – nie potrafi zrozumieć, co wtedy czułem.

Kiedy w grudniu 45 wróciłem do Polski, miałem pełną świadomość, że skończyło się coś co było „nietypowe", wyjątkowe. Wiedziałem, że rozpoczynam normalne życie. Studia,

praca, rodzina. A przeciwko jakiemukolwiek zakłóceniu tej normalności protestowałem początkowo z gwałtownością właściwą młodości. Z upływem lat moje reakcje uległy przeobrażeniu, stały się mniej gwałtowne, a bardziej wyważone. Ale nigdy z wyrażania swoich protestów nie zrezygnowałem. I uważam teraz za swój moralny obowiązek stwierdzić, że przy wszystkich ograniczeniach polskiej suwerenności (zwłaszcza do 56 roku), żyłem w kraju, w którym większość ludzi starała się tworzyć w miarę normalne warunki egzystencji. Z zastrzeżeniem, że pod pojęciem normalności rozumiałem możliwość pracy w wyuczonym zawodzie, kształcenia dzieci czy godziwego wypoczynku. Natomiast jako nienormalne odczuwałem: ograniczanie swobody wypowiedzi i wyjazdu za granicę, słaby rozwój gospodarczy, presję ideologiczną i oficjalne uznawanie hegemonii klasy robotniczej.

XX Zjazd KPZR, rozruchy w latach 56, 68, 70, a nawet powstanie „Solidarności" czy krótkotrwały stan wojenny nie spowodowały w moim życiu zasadniczych zmian. Kryzys lat osiemdziesiątych odbierałem jako naruszenie poprzedniej quasi normalności. Stwarzał poważne trudności w pracy i codziennych zakupach. Nie był jednak zmianą o zasadniczym charakterze.

Prawdopodobnie w ten sam sposób odebrałem historyczne wydarzenia roku 89. Nadal codziennie jeździłem przepełnionymi autobusami do pracy, walczyłem o zdobycie dodatkowych pieniędzy, aby zabezpieczyć działalność filharmonii, wściekałem się na indolencję władz, oburzałem na rażące dysproporcje płacowe i klątem na kłopoty z zaopatrzeniem. Ale – jak już pisałem – występowałem w kraju i za granicą, Małgorzata umuzykalniała dzieci, kończąc w międzyczasie studia, a Wiosna chlubnie „zaliczyła" kolejną klasę.

Wybory świadomie zlekceważyłem. Udzieliłem – o ile pamiętam – paru wywiadów prasowo – radiowo – telewizyjnych, ostro i zdecydowanie uzasadniając, dlaczego nie będę głosował. Czy zostały wydrukowane i wyemitowane – nie wiem. Wiedziałem, że moje słowa i tak nie będą miały żadnego znaczenia. Odmowa głosowania wynikała z braku zaufania do kandydatów. Na tzw. liście krajowej, jeśli mnie pamięć nie myli, znajdowali się głównie członkowie PZPR, od których nie oczekiwałem już żadnych sensownych działań. A kandydaci Komitetu Obywatelskiego fotografujący się z Wałęsą i ziejący nienawiścią do wszystkiego, co było po 45 roku – nie gwarantowali według mnie spokojnej pracy parlamentarnej, niezbędnej dla wydobycia Polski z zapaści. Przyszłość pokazała, że niestety miałem rację.

Zmiana nazwy państwa z PRL na RP nie miała dla mnie żadnego znaczenia. Nigdy nie wierzyłem w „magię" nazw. Dodanie korony do orła traktowałem jako pusty gest. Pierwotny orzeł sprzed tysiąca lat nie miał korony. Dodano ją, kiedy władca Polski stał się królem. A w republice jakie ma znaczenie czy orzeł nosi koronę czy nie? Potem nastąpiły dalsze zmiany. Milicję przemianowano na policję, a ZSL stał się PSL-em.

Po Rakowskim nastał Mazowiecki, a Jaruzelski zamienił tytuł przewodniczącego Rady Państwa na prezydenta. W nowym rządzie było paru dawnych ministrów i paru nowych. Aha, wprowadzono Senat, ale z tak ograniczonymi kompetencjami, że stał się tylko symbolicznym powrotem do przedwojennych czasów.

Nic zatem dziwnego, że te formalne zabiegi nie były w moim odczuciu prawdziwymi zmianami. Te nastąpiły później i niestety dalekie były od standardów prawdziwej demokracji parlamentarnej na wzór państw zachodnich. Ale te rozważania zaprowadziłyby mnie za daleko.

Warto tylko na zakończenie wspomnieć o zupełnie nieznanym mi ekonomiście, Leszku Balcerowiczu. We wrześniu objął ku mojemu zaskoczeniu stanowisko ministra finansów i wicepremiera. W grudniu 89 przedstawił plan zdławienia inflacji i wyprowadzenia kraju z kryzysu. Z perspektywy kilkunastu lat muszę stwierdzić, że ten plan wykonał. Jakim kosztem – wiedzą wszyscy, którzy żyli w latach dziewięćdziesiątych. Ja, obserwując to co się działo – miałem ambiwalencję uczuć. Rozumiałem, że kraj w latach osiemdziesiątych zmierzał do katastrofy ekonomiczno-gospodarczej. Ale terapię zastosowaną przez Balcerowicza można przyrównać do operacji na żywym organizmie bez jakiegokolwiek znieczulenia. Ja w każdym razie nie potrafię jej zapomnieć. Wzrost większości cen niemal o połowę obniżył drastycznie stopę życiową. Także moją, choć ratowałem się honorariami z koncertów zagranicznych. Inflacja i tak ogromna w latach osiemdziesiątych, jednorazowo skoczyła o kilkadziesiąt procent, ale niebawem zaczęła spadać. Ku zdziwieniu wielu ludzi, również mojemu. Zahamowanie wzrostu płac i ustalenie sztywnego, stałego kursu dolara były głównymi czynnikami powstrzymania inflacji. Ale miliony ludzi zbiedniały w znaczny sposób i pozostały na lata w tej opłakanej sytuacji. Tzw. nierentowne przedsiębiorstwa bankrutowały i pojawił się nieznany w PRL problem bezrobocia. PGR-y pozbawione pomocy państwa padały, co spowodowało wzrost cen produktów żywnościowych. Zaczęły się protesty, demonstracje, strajki. Rząd był zmuszony zamrozić ceny najważniejszych produktów.

Przez szereg lat pytano mnie, co sądzę o reformie Balcerowicza, który dla wielu ludzi stał się symbolem tzw. drapieżnego kapitalizmu. Niezmiennie odpowiadałem, że zgadzałbym się z drakońskimi metodami, które zastosował, gdyby rozłożyły się w miarę równo na wszystkie warstwy społeczne. Ale stworzenie warunków, w których możliwe były wręcz astronomiczne dochody dyrektorów państwowych przedsiębiorstw, prezesów państwowych spółek oraz całej klasy politycznej z samym Balcerowiczem włącznie, przy jednoczesnym ubóstwie milionów Polaków – uważałem po prostu za nieuczciwe. I tej opinii do dzisiaj nie zmieniłem.

Transformacja

Jak wiadomo z historii, 9 listopada 89 roku zwykli Niemcy zburzyli mur, rozdzielający Berlin na dwie części. Tym samym de facto przestała istnieć Niemiecka Republika Demokratyczna. Było to państwo na wskroś policyjne, przy którym PRL przypominało „oazę wolności". Ale zburzenie muru oznaczało także koniec tzw. obozu socjalistycznego. Gorbaczow potwierdził swoją oficjalną deklarację, że nie będzie interweniował w wewnętrzne sprawy sojuszniczych, „zaprzyjaźnionych" państw. O ile pamiętam, już wcześniej w Niemczech krążyły ulotki „Ein Volk – Ein Reich". Przypominały mi stare hasło sprzed pół wieku: „Ein Volk – Ein Führer".

Osobiście zawsze uważałem narzucony przez zewnętrzne siły podział narodu za krzywdzący i niesprawiedliwy. Wysoką cenę za rozbiory płacimy – moim zdaniem – do dzisiaj. Ale poza podzielonymi po 45 roku Niemcami, są jeszcze na świecie inne kraje. W Europie Irlandczycy, w Azji Kurdowie, nie wspominając o dziesiątkach rozdzielonych plemion afrykańskich. Ale przecież nawet w krajach w miarę jednolitych etnicznie, istnieją np. głębokie podziały religijne. Można by użyć banalnego stwierdzenia, że świat jest bardziej skomplikowany niż chcieliby tego moraliści.

Pod koniec stycznia 1990 nastąpiło samorozwiązanie PZPR. Oznaczało to – moim zdaniem – definitywny kres systemu opartego na dominacji jednej partii. Systemu, który uważałem za niszczący dla każdego państwa. Więcej, demoralizujący i deprawujący naród. I żadne ideologiczne argumenty tego systemu nie usprawiedliwiają. Równie niebezpieczna jest dominacja jednej religii.

Przypuszczałem, że PZPR przekształci się od razu w nową partię o charakterze zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji. Pomyliłem się. PZPR podzieliło się na dwie partie. Byłoby zrozumiałe, gdyby różniły się pod względem ideowym. Np. jedna komunistyczna, a druga socjalistyczna. Lub przynajmniej jedna socjalistyczna, a druga socjaldemokratyczna. Tak się jednak nie stało. Ku mojemu zdziwieniu z dawnej PZPR powstały dwie nowe partie socjaldemokratyczne. Jedna nazywała się Socjaldemokracją RP, a druga Unią Socjaldemokratyczną. Czy różniły się ideologicznie? Skądże! Ten bezsensowny podział dokonał się wyłącznie z przyczyn personalnych. Osobiste ambicyjki, układziki, rozgrywki osłabiły i tak już słabą lewicę. Był to poważny błąd polityczny. Lewica w Polsce była w tamtych latach skompromitowana w oczach wielu ludzi. Myślę, że bez przesady można twierdzić, iż większość społeczeństwa obciążała ją odpowiedzialnością za wszystkie błędy PRL, co zresztą nie było całkowicie pozbawione słuszności. Poza tym w pewnych kręgach po prostu otwarcie nienawidzono lewicy jako takiej. Podobnie było – jak wiadomo – przed wojną. W takiej sytuacji zjednoczenie resztek lewicy wydawało mi się koniecznością. Przeważyły jednak względy personalne, które zresztą ciągną się do dzisiaj. Byłem tak zdegustowany zachowaniem partyjnych działaczy, że kiedy namawiano mnie do wstąpienia do Socjaldemokracji – odmawiałem. Nie pomogło nawet przyniesienie mi do biura deklaracji z prośbą o podpisanie. Postanowiłem, że mogę być sympatykiem takiej czy innej partii lewicowej, ale nie jej członkiem. I w tym postanowieniu wytrwałem.

W pierwszym okresie transformacji najgorszy pod względem finansowym był rok 92. W tzw. sferze budżetowej zmniejszono na jesieni dotację o 25-30%. Była to prawdziwa katastrofa, której skutki instytucje artystyczne odczuwały przez parę następnych lat. Czy tak drastyczne cięcie było konieczne – nigdy się nie dowiedziałem. „Żebrałem" o jakiekolwiek środki finansowe u prywatnych sponsorów. Z miernym skutkiem. Tylko właściciel jednej firmy zdobył się na gest i wsparł filharmonię kwotą 250 milionów złotych. Na szczęście z przeforsowanego przeze mnie w Radzie Miejskiej „Mecenatu nad Kulturą" otrzymałem – o ile pamiętam – miliard i to pozwoliło mi na płacenie pracownikom pensji do końca roku. Słyszałem, że wiele instytucji artystycznych z braku pieniędzy przerwało działalność w listopadzie i grudniu.

W tymże smutnym roku 92 po raz pierwszy usłyszałem o działaczu chłopskim nazwiskiem Lepper. Jego demagogiczne wystąpienia zyskiwały poklask rolników. W listopadzie dowiedziałem się, że powstała Partia Monarchistyczna. Brzmiało to jak ponury dowcip. Jej członkowie podobno przyznawali sobie arystokratyczne tytuły i głosili, że Polskę uratować może tylko przywrócenie monarchii sprzed dwustu lat.

Wspominając rok 92 warto jeszcze napisać o całkowitym rozpadzie ZSRR. Po prostu przestał istnieć ten sztuczny, powstały wyłącznie na skutek zbrojnej przemocy, twór. Kolejne kraje wchodzące w jego skład, ogłaszały niepodległość. I w roku 92 przeszedł bezpowrotnie do historii. Był zapewne jednym z najbardziej krwawych systemów politycznych. Przetrwał siedemdziesiąt parę lat, III Rzesza o wiele krócej – zaledwie dwanaście. A Hiszpania generała Franco – niecałe czterdzieści.

Przypuszczam, że najdłużej trwały przerażające rządy konkwistadorów w Nowym Świecie. Można by napisać pouczające studium porównawcze. Tutaj zaznaczę tylko, że największe zbrodnie popełniano zawsze w imię szczytnych ideałów.

Po zniknięciu ZSRR i powstaniu nowych, wolnych państw, dosłownie wybuchnęły z niebywałą siłą negatywne zjawiska społeczne. Opisał je w posępny sposób Vaclav Havel w jakimś artykule. Wymienił m.in. skrajny nacjonalizm, przestępczość, nienawiść, rasizm, demagogię, intrygi, afery finansowe, fanatyzm. Havel stwierdził, że przy wszystkich słabościach marksizm był jednak jakąś twórczą ideologią. Kiedy znikł – pojawiła się próżnia. A przeróżne pseudoideologie o zabarwieniu fundamentalistyczno - populistycznym zajęły jego miejsce. Posępna, ale trafna konstatacja.

Rok 93 był dla mnie, a zapewne i dla kultury wałbrzyskiej, nieco lepszy. Radni jakby „przyzwyczaili się" do konieczności wspierania finansowo instytucji artystycznych i choć nadal o wszystko trzeba było walczyć w gabinetach, w kuluarach, na zebraniach komisji i sesjach – efekty były bardziej widoczne. Być może na tę zmianę nastawienia radnych wpłynęła również postępująca powoli, ale systematycznie stabilizacja finansowa. Na górze trwały rozgrywki polityczne i personalne, ale na dole wydawało się, że następuje pewne uspokojenie nastrojów. Wprawdzie raz po raz wybuchały strajki, ale ich skuteczność malała. Takie przynajmniej odnosiłem wrażenie. Nieco później zauważyłem, że to uspokojenie wypływało także z poczucia rezygnacji. Jak wynikało z moich obserwacji, znaczna część społeczeństwa pogodziła się z losem. Bardziej aktywne jednostki wyjeżdżały za granicę lub zaczynały pracować samodzielnie. Otwierano sklepiki, stawiano kioski, zakładano przeróżne warsztaty, powstawały bary, kawiarenki, smażalnie. Powoli dokonywała się transformacja w mentalności wielu ludzi. Wynikało to z rozmów, które prowadziłem. Ludzie, choć z oporami, zaczynali rozumieć, że „błogie" czasy opiekuńczego państwa robotniczo - chłopskiego skończyły się definitywnie. Myślę, że ta zmiana świadomości była dla przeciętnego człowieka trudniejsza niż dostosowanie się do gospodarki wolnorynkowej. A także jak kiedyś w 45 roku - do zmiany ustroju. Te problemy – jak sądzę – doczekają się w przyszłości rzetelnych naukowych opracowań.

I ostatnia sprawa, o której chciałbym napisać. O ile ludzie starsi pamiętali przedwojenne czasy, o tyle średnie pokolenie znało je tylko z opowiadań lub tendencyjnych materiałów propagandowych PRL. Jak wiadomo z historii, Polska sanacyjna, szczególnie od roku 1934, nie była „oazą wolności". Teraz, po transformacji ustrojowej 89 roku, ludzie musieli nauczyć się żyć w prawdziwej demokracji parlamentarnej. Zdaję sobie sprawę, że nie było to łatwe, szczególnie dla osób o niskim wykształceniu. Jak sobie dać radę ze swobodą obyczajów, poglądów, zachowań, wypowiedzi? Jestem pewien, że w mentalności wielu ludzi panował chaos. Co wolno, a czego nie? W jaki sposób wyrazić wolność? Pamiętam, że raz po raz przypominały mi się w tamtych latach gorzkie słowa Dostojewskiego: „Gdyby człowiekowi rosyjskiemu dać wolność, rozglądałby się komu ją oddać". Byłem przekonany, że to samo odnosiłoby się do wielu Polaków.

Byłem radnym

Pisałem już o swojej pracy jako radnego Miejskiej Rady Narodowej w Szczecinie. Była to jedna czteroletnia kadencja. W latach 1990 – 1998 byłem przez dwie kadencje radnym w Radzie Miejskiej Wałbrzycha. Tę zmianę nazwy uważałem za bezsensowną, podobnie

jak wiele innych, np. ulic czy placów. Już w roku 89 zapowiedziano, że w roku następnym odbędą się „pierwsze wolne wybory samorządowe". Ponieważ do końca byłem radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej, nie miałem zamiaru startować w ogłoszonych nowych wyborach. Ale niespodziewanie, w kwietniu 90, SDRP (Socjaldemokracja Rzeczpospolitej Polskiej) zaproponowała mi kandydowanie. Po krótkim namyśle zdecydowałem się przyjąć propozycję, aby całkowicie nie zrażać dawnych towarzyszy z PZPR, którym dopiero co odmówiłem wstąpienia do SDRP. Ponieważ termin wyborów został ustalony na 27 maja, domyślałem się, że zdecydowano w ostatniej chwili przy pomocy mojej osoby uratować lewicową listę. O ile pamiętam, miałem tylko jedno spotkanie z wyborcami. Byli to członkowie PZPR, przeważnie w wieku emerytalnym.

A potem, w poniedziałek 28 maja dowiedziałem się, że jako jedyny z lewicowej listy uzyskałem wystarczająca liczbę głosów, aby zostać radnym. Dla naszej dzielnicy przewidziano siedem mandatów. Sześć zdobyli kandydaci z listy tzw. Komitetów Obywatelskich, a lewica w mojej osobie tylko jeden. A w całym Wałbrzychu na 45 radnych, aż 41 było z list Komitetów, 3 z SDRP i jedna radna niezależna, z zawodu lekarka chorób dziecięcych. Opiekująca się zresztą Wiosną od jej urodzenia.

Po upływie czterech lat przy końcu pierwszej kadencji SDRP nie zaproponowała mi ponownego kandydowania. Widocznie woleli „swoich". Ale działacze Unii Pracy, małej partii lewicowej, utworzonej w 92 roku uznali, że – jak mówili – to skandal i poprosili, abym ich reprezentował w wyborach. Zgodziłem się dla zabawy, nie wierząc w powodzenie. Dlatego nie odbyłem ani jednego spotkania z wyborcami. Okazało się jednak, że moja praca zawodowa i społeczna wystarczyła. I przez kolejne cztery lata byłem jedynym radnym z listy Unii Pracy. Muszę lojalnie przyznać, że ani razu żaden członek tej partii nie sugerował mi czegokolwiek ani tym bardziej nie namawiał do zapisania się do UP. A w czasie tej drugiej kadencji, zwłaszcza w klubie radnych SDRP przekształconej później na SLD, obowiązywała dyscyplina klubowa, o której przed każdym głosowaniem przypominał przewodniczący.

Na początku pierwszej kadencji radni z list Komitetu Obywatelskiego patrzyli na trzech lewicowców z nieukrywaną wrogością. Osobiście bardzo mnie to bawiło. Były także złośliwe aluzje, a czasem otwarte personalne ataki. W drugiej kadencji układ sił uległ zasadniczej zmianie. SDRP miała bodajże 23 radnych, tzw. prawica (nie istniały już Komitety Obywatelskie, ale poszczególne partie, których nazw nie pamiętam) 21 i ja jeden spoza obu układów. O ile pamiętam, po paru miesiącach zarząd miasta „podkupił" dwóch radnych prawicowych i dysponował wyraźną przewagą.

Jak wspominam te osiem lat pracy w Radzie Miejskiej? Na wpół z rozbawieniem na wpół z niesmakiem. Gdybym miał zdolności literackie, mógłbym napisać powieść z gatunku tzw. czarnego humoru. Wśród radnych można było znaleźć typy godne „uwiecznienia". Oprócz zwykłych gaduł, zabierających głos na każdy temat, siedzieli mało rozgarnięci osobnicy. Nie rozumieli ani treści sprawozdań, ani projektów uchwał. Kiedy zaczynali mówić, rozlegał się głośny śmiech. Ale obok takich „nieszkodliwych" radnych było parę osób ziejących nienawiścią. Zarówno z lewej jak i z prawej strony. Niemal z każdego ich wystąpienia przebijała polityczna agresja. Przyznam się, że parę razy nie wytrzymałem i zabrałem głos, aby wręcz napiętnować to upolitycznienie rady. Nic nie pomogło.

Dla przykładu przytoczę trzy wydarzenia. Pierwsze miało miejsce – jeśli mnie pamięć nie myli – w roku 1991. Kiedy dzielono jakieś dodatkowe pieniądze, jedna z radnych postawiła wniosek, aby przyznać dotację na remont dachu w budynku liceum, którego była dyrektorką. Natomiast inny radny, będący dyrektorem Zakładu Oczyszczania Miasta

wnioskował o zakup niezbędnie potrzebnej nowoczesnej śmieciarki. Przewodniczący rady tłumaczył radnej, że Zakład Oczyszczania jest przedsiębiorstwem miejskim i ma z tej racji pierwszeństwo. Liceum podlega wojewodzie i to on powinien dać pieniądze na remont dachu. Radna nie dała się przekonać i zażądała, aby przegłosować oba wnioski. Oczywiście większość radnych poparła zakup śmieciarki. Ja również. Zaraz po głosowaniu, przewodniczący zarządził przerwę, a wówczas czerwona z furii radna powiedziała do mnie na cały głos:

- Ja wiem, dlaczego pan głosował przeciwko pieniądzom dla liceum. Jako komunista chce pan, aby polskie dzieci były głupie.

W sali zapadła nagła cisza; umilkły rozmowy. Pamiętam, że z trudem opanowałem złość. Spokojnie, ale głośno, akcentując każde słowo, odparłem:

- To co pani przed chwilą powiedziała, jest zwykłym chamstwem.

Nigdy przedtem ani nigdy potem nie użyłem takich słów wobec kobiety. Radna zamilkła, a ja postanowiłem po przerwie zabrać głos, zacytować jej słowa i zażądać oficjalnych przeprosin. Nie doszło do tego, gdyż owa radna sama podeszła do mnie przed rozpoczęciem obrad i zapytała:

- Czy wystarczą panu osobiste przeprosiny czy woli pan oficjalne, przed całą radą.

Domyśliłem się, że w czasie przerwy koledzy wytłumaczyli tej zacietrzewionej radnej niestosowność jej słów, zwłaszcza, że znana była moja działalność edukacyjna wśród dzieci i młodzieży. Odpowiedziałem, że wystarczą mi zwykłe przeprosiny. Usłyszałem zatem słowo „przepraszam", co zamknęło sprawę. A w parę miesięcy później owa radna powiedziała pewnego dnia:

- Przekonałam się, że jest pan w porządku.

Odpowiedziałem „dziękuję" i z trudem pohamowałem śmiech.

Ta sama radna w okresie drugiej kadencji w jakimś sporze nad projektem uchwały, krzyknęła pod adresem radnych lewicowych:

- Naprzeciwko mnie siedzą ci, którzy w stanie wojennym bili nas i zamykali do więzień.

Tak się złożyło, że nie byłem na sesji i nie mogłem od razu zareagować. O tym wystąpieniu dowiedziałem się następnego dnia. Kiedy jednak radna powtórzyła swoje słowa w jakimś wywiadzie prasowym, postanowiłem zająć stanowisko. Przy końcu następnej sesji, w tzw. oświadczeniach, zabrałem głos i powiedziałem twardo, że wśród radnych są tacy, którzy koniecznie chcą upolitycznić naszą radę. I podałem trzy nazwiska. M. in. owej radnej. Stwierdziłem otwarcie, że takie polityczne działania paraliżują pracę rady i tym samym szkodzą miastu. Nikt nie podjął dyskusji. Wątpię jednak czy trójkę wymienionych radnych oraz innych „gminnych polityków" przekonałem. O ile pamiętam, ograniczali jednak przez pewien czas personalne ataki o charakterze politycznym.

I trzecie wydarzenie o nieco innym charakterze. W pierwszej kadencji zarówno prezydent jak i obaj jego zastępcy byli rekomendowani przez Komitety Obywatelskie i wybrani w tajnym głosowaniu przez prawicową większość. Niespodziewanie po trzech latach prezydent złożył w komisji rewizyjnej pismo będące donosem na jednego z wiceprezydentów. Zarówno tryb postępowania jak i treść pisma były całkowitym zaskoczeniem. Radni na sesji, włącznie z członkami komisji rewizyjnej nie wiedzieli, jak zachować się w tak dziwacznej sytuacji. Kiedy przewodniczący komisji odczytał pismo prezydenta, zapadła cisza. Widać było zdezorientowanie. Zabrałem wówczas głos i wygłosiłem takie mniej więcej przemówienie:

- Panie prezydencie, mógłbym być z racji wieku pańskim ojcem i dlatego z góry proszę o wybaczenie tego, co za chwilę powiem. Mam za sobą ponad dwadzieścia lat pracy na stanowisku dyrektorskim. Jeśli któryś z moich zastępców nie odpowiadał mi, mówiłem mu to w oczy, a potem występowałem do władz o jego odwołanie. A pan za plecami wiceprezydenta, po trzech latach współpracy, wysyła pismo do komisji rewizyjnej, zawierające poważne zarzuty i oskarżenia. Dlaczego nie postawi pan po prostu wniosku o odwołanie wiceprezydenta, ponieważ nie chce pan lub nie może dłużej z nim współpracować?

Zapadła cisza. Wszyscy czekali na słowa prezydenta. Po dłuższej chwili wstał, rozłożył ręce i powiedział:

- Skoro rada nie zamierza zająć się tą sprawą…

Przerwał i usiadł.

Przewodniczący rady zapytał czy komisja rewizyjna ma jakieś wnioski. Otrzymał odpowiedź negatywną. Zapytał wówczas czy ktoś z radnych chce zabrać głos w tej sprawie. Nikt nie chciał. Wówczas przewodniczący uznał sprawę za zamkniętą. A potem wiceprezydent i wielu radnych dziękowało mi za to, co powiedziałem. I prezydium zarządu miasta dotrwało do końca kadencji w niezmienionym składzie.

A skoro mowa o antagonizmach na prawicy, to wspomnę jeszcze o zabawnej sytuacji. W czasie pierwszej kadencji sesje ciągnęły się nieraz do późnych godzin wieczornych. Wyłącznie z powodu gadulstwa i słabej orientacji (by nie rzec – inteligencji) wielu radnych. Ponieważ prezydent i przewodniczący klubu radnych „solidarnościowych" mieszkali w tej samej odległej dzielnicy Podzamcze co ja, zabierali mnie na zmianę do domu swoimi samochodami. Początkowo podczas tych kilkunastominutowych podróży rozmawialiśmy na różne tematy. Ale po upływie iluś miesięcy obaj panowie zaczęli się nawzajem oskarżać o rozmaite, niezbyt czyste, sprawy. Była to dla mnie znakomita „zabawa". Obaj antagoniści wiedzieli, że nie jestem z nikim związany politycznie ani towarzysko i zapewne dlatego śmiało wypowiadali swoje oskarżenia. Słuchałem w milczeniu, kiwałem głową, mówiłem „aha" i nigdy oczywiście nie zrobiłem jakiegokolwiek użytku z uzyskanych prawdziwych lub fałszywych informacji.

Parokrotnie zabierałem głos w różnych niepopularnych sprawach, zyskując uznanie jednych i niechęć innych. Wytykałem błędy językowe i nielogiczność sformułowań w materiałach przygotowanych na sesje. Po latach okazało się, że wiele osób pamiętało moje wystąpienia i wówczas dowiedziałem się, że nawet u przeciwników cieszyłem się szacunkiem.

I ostatnie wspomnienie. Byłem – o ile wiem – jedynym radnym, który przez obie kadencje nie wziął ani jednej diety. Nie brałem również udziału w tzw. sesjach wyjazdowych, gdzie na koszt podatników radni udawali przez dwa dni, że pracują. Uważałem, że za działalność społeczną nie należy brać pieniędzy. Jak mówił Przełęcki: „Bo takie są moje obyczaje".

Rok 1993

Był to rok obfitujący w różne wydarzenia, których skutki trwały przez parę następnych lat. Zarówno dobre jak i złe. Zacznę od spraw politycznych. Ostatnie oddziały radzieckie opuściły Polskę. Było to niewątpliwie historyczne wydarzenie. W mniejszej skali niespodziewana wygrana SLD i PSL w wyborach parlamentarnych po przedterminowym rozwiązaniu

Sejmu przez Wałęsę. Czy społeczeństwo było zmęczone reformą Balcerowicza? Czy może bardziej rozczarowane rządami prawicowych partii? A może raczej zawiedzione rozziewem pomiędzy marzeniami a rzeczywistością? Pamiętam artykuł w jakiejś zachodnioniemieckiej gazecie, gdzie autor napisał dosłownie, że najwidoczniej Polacy jako katolicy wierzą w cuda, ponieważ myślą, iż w ciągu trzech lat osiągną poziom dobrobytu, na który Niemcy pracowali przez 30 lat.

A za południową granicą przestał ostatecznie istnieć „sztuczny twór Wersalu", jakim była Czechosłowacja. Głośno wyrażałem opinię, że zapewne Słowacy nigdy już nie połączą się z Czechami w jedno państwo. Zaś w Republice Południowej Afryki nowa konstytucja definitywnie zakończyła tzw. apartheid.

Warto odnotować, że dyrektor Teatru w Görlitz podczas wizyty w Wałbrzychu powiedział mi, iż na rok 93 otrzymał dotację w wysokości 5 000 000 marek, co równało się 50 000 000 000 złotych. Czyli ponad dziesięciokrotnie więcej niż ja dla filharmonii. A skoro już mowa o pieniądzach, to w Serbii nastąpiła denominacja: jeden nowy dinar do 1 miliona starych! W Polsce denominacja była jednak mniejsza: o ile pamiętam jeden do 10 tysięcy. Moja pensja wynosiła w roku 93 według starych złotówek: 4 miliony plus dwa miliony dodatku funkcyjnego, plus wysługa lat – 800 000 plus 2 miliony premii. W porównaniu z zarobkami np. dyrektorów przedsiębiorstw miejskich miałem mniej niż połowę.

W tymże roku zaczęto przebąkiwać o konieczności reformy administracyjnej. Coraz wyraźniej było widać, że 49 województw to zbyt dużo w nowym zdecentralizowanym systemie politycznym. Osobiście uważałem, co zresztą napisałem w jednym z felietonów, że na wzór niemieckich landów, wystarczyłoby od sześciu do dziewięciu dużych województw. Jak wiadomo powstało aż 16. To spowodowało, że niektóre z nich od początku były słabe ekonomicznie, co wpłynęło w zasadniczy sposób na stopę życiową mieszkańców. Również podział na powiaty był w moim ówczesnym (i obecnym) przekonaniu wadliwy. Zbyt duża liczba powiatów uniemożliwiła prawidłowy rozwój wielu miasteczek, powodując zubożenie społeczeństwa i degradację tzw. infrastruktury.

Wracam jednak do roku 93. Jak już pisałem, bodajże w roku 1979 nabyłem ogródek działkowy. Nakupiłem mnóstwo drzewek i krzewów owocowych, jakiś, kiepski zresztą, murarz zbudował altankę i przez pierwsze lata po urodzeniu dziecka, spędzaliśmy na działce wszystkie wakacje. Bez przesady mogę napisać, że Wiosna wychowała się na działce. Ale w miarę jak rosła, wolała towarzystwo koleżanek. A ponieważ i Małgorzata straciła ochotę do „pracy na roli", postanowiłem działkę sprzedać. Musiało minąć dziesięć lat zanim obie zdecydowały, że chciałyby jednak mieć ogródek. I tak na jesieni 2003 kupiliśmy inną działkę, lepiej usytuowaną i zagospodarowaną. Ale to już inna historia.

W roku 93 zacząłem znowu komponować i od tego czasu starałem się w każdym roku napisać lub opracować choćby jeden utwór.

Najważniejszym – jak sądzę – moim osobistym wydarzeniem tego roku było podjęcie stałej współpracy z nowo powstałymi „Wiadomościami Gospodarczymi". Nie pamiętam niestety, jak do tego doszło, ale chyba z inicjatywy naczelnego redaktora, który przedtem kierował „Trybuną Wałbrzyską". Uzgodniliśmy, że nie będzie ingerował w moje teksty, nawet jeśli się z nimi nie zgadzał. I rzeczywiście dwa czy trzy razy zaznaczył, że redakcja nie zgadza się z wyrażonymi w felietonie poglądami, ale nie zmienił w tekście ani słowa. Tylko raz zdarzyło się, że wykreślił mi jedno zdanie, w którym podważałem jakiś katolicki dogmat. Gęsto się z tej „cenzury" tłumaczył. Twierdził, że Kościół może interweniować u prywatnego wydawcy, mając argument, iż nie jestem teologiem, a wtrącam się do spraw

doktrynalnych. Dodatkowym argumentem był fakt, że ów wydawca był praktykującym katolikiem. W drodze wyjątku przyjąłem te wyjaśnienia.

Po paru miesiącach zaproponowałem naczelnemu redaktorowi pisanie niezależnie od felietonów tekstów wzorowanych na „Zielonej Gęsi". Niezorientowanemu czytelnikowi wyjaśniam, że – o ile pamiętam – w drugiej połowie lat czterdziestych Gałczyński publikował w „Przekroju" krótkie satyryczne teksty pod wspólnym tytułem „Teatrzyk Zielona Gęś przedstawia". Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, po pewnym czasie cenzura zakazała ich dalszego drukowania. Po latach zostały wydane w formie książkowej.

Postanowiłem teraz, w innej sytuacji politycznej, podjąć tę formę satyry. Wymyśliłem oczywiście własny tytuł. Teraz był to Teatrzyk „Czerwony pająk", ponieważ, nie wiem czemu, niektórzy ludzie takim epitetem obdarzali byłych członków PZPR. Teksty były zawsze satyryczne i składały się z niewielkiej ilości zdań, czasami zaledwie kilkunastu. Wykpiwałem władze, począwszy od prezydenta RP. Wyśmiewałem równo lewicę i prawicę. Oraz mity narodowe.

Felietony i teatrzyki pisałem przez prawie pięć lat aż do dnia, w którym pismo przestało się ukazywać z przyczyn finansowych. Bardzo tego żałowałem, gdyż poza zabawą było to dla mnie znakomite ćwiczenie. Musiałem nauczyć się lapidarnego wysławiania i przestrzegania dyscypliny formalnej.

Dla porządku wspomnę jeszcze, że przez cały rok 93 strajki wybuchały raz po raz. Nie tylko w zakładach przemysłowych, lecz także w tzw. sferze budżetowej. Szczególnie ostre miały miejsce w oświacie. Jak słyszałem, w niektórych miastach strajkowali również pracownicy instytucji artystycznych. Wytłumaczyłem muzykom, że strajk w filharmonii nie miałby sensu, gdyż pozwoliłby władzom na zaoszczędzenie pieniędzy. Każdy bowiem odbyty koncert wymaga dopłaty. Nieodbyty – to czysta oszczędność. A pomimo wszystko muzyka czy nawet cała kultura nie mają takiego znaczenia społecznego (przynajmniej w oczach władz), jak oświata czy opieka zdrowotna. O wiele istotniejsze – jak wówczas mówiłem – są dobre koncerty cieszące się dużą frekwencją i powodzeniem. Okazało się, że miałem rację. Udało mi się pod koniec roku 93 zarówno od ministerstwa jak i miasta wywalczyć dodatkowe pieniądze, co pozwoliło na podwyżki, choć niestety nieznaczne.

Jedno wydarzenie z końca grudnia miało duży wpływ na dalsze losy filharmonii, ale o tym napiszę w następnym podrozdziale.

Koncert w Paryżu

Jak już pisałem, jubileusz 15-lecia filharmonii był skromny. Składał się właściwie tylko z dwóch koncertów. Na pierwszym Wandzia zagrała koncert Brahmsa za darmo, ponieważ wysokość honorarium, które brała w Polsce przekraczało moje możliwości. Orkiestra wykonała „Obrazki z wystawy". Nie mieliśmy nawet pieniędzy na wydrukowanie najskromniejszej choćby monografii. Na drugim koncercie mieliśmy wykonać IX symfonię Beethovena razem z chórem Politechniki Wrocławskiej, z którym od paru lat współpracowaliśmy. Parę tygodni przed występem zatelefonował kierownik chóru z informacją, że akurat w połowie grudnia przyjedzie do Wrocławia mały chórek z Abbeville w Normandii, który również ma w repertuarze IX symfonię. Kierownik zapytał czy w związku z tym oba chóry nie mogłyby razem zaśpiewać na koncercie w Wałbrzychu. Oczywiście wyraziłem zgodę.

W czwartek, 16 grudnia wieczorem pojechałem do Wrocławia na próbę z chórami i wówczas okazało się, że Francuzi mieli jakieś opóźnienie w podróży i przyjadą dopiero w nocy. Ode mnie zależało czy zaryzykuję i zgodzę się, aby śpiewali tylko po jednej orkiestrowej próbie wyznaczonej na piątkowe popołudnie przed koncertem. Podjąłem to ryzyko. Mały amatorski chórek okazał się sprawny i zdyscyplinowany. Koncert mogłem uznać za udany, a po sobotnim powtórzeniu kierownictwo chóru zaprosiło orkiestrę do Abbeville. Nie bardzo wierzyłem w realność takiego zaproszenia. Abbeville było małym miasteczkiem, a koszty podróży i zakwaterowania orkiestry mogły przekraczać możliwości finansowe lokalnych władz.

Po paru miesiącach ku mojemu zaskoczeniu nadeszła oficjalna propozycja występu w Abbeville, wystosowana przez mera miasta. Okazało się, że 3 września 94 przypada pięćdziesiąta rocznica wyzwolenia Abbeville przez dywizję pancerną generała Maczka. Dziwny zbieg okoliczności. Władze miasta postanowiły zorganizować uroczyste i bogate obchody. Zaprosiły wszystkich żyjących jeszcze żołnierzy tej dywizji, rozsianych – jak się potem okazało – po całym świecie. Do tego delegacje polskich i francuskich jednostek pancernych. No i chór Politechniki Wrocławskiej oraz naszą orkiestrę, abyśmy 3 września rano wystąpili w kościele na uroczystej mszy, upamiętniającej pierwszą mszę w wyzwolonym mieście. A wieczorem na stadionie. Najpierw mieliśmy wykonać parę popularnych utworów orkiestrowych, potem razem z chórami i solistami finał IX symfonii.

Po pewnym czasie kierownictwo francuskiego chóru zapytało czy orkiestra mogłaby „przy okazji" wykonać 5 września całą symfonię w Paryżu. Była to – przyznaję – wręcz oszałamiająca propozycja. Okazało się, że jakiś paryski dyrygent, współpracujący na stałe z chórem, chciałby zadyrygować IX symfonię w kościele św. Magdaleny. Odpowiedziałem, że nie mogę wyrazić zgody, aby orkiestra wykonała takie monumentalne dzieło z nieznanym dyrygentem po jednej próbie i to w Paryżu. Przedstawiłem swoją propozycję: IX symfonię zadyryguję ja, a ten paryski dyrygent otrzyma w zamian koncert w Wałbrzychu. I tak się stało. Do dzisiaj pamiętam, że na samą myśl o dyrygowaniu w Paryżu czułem ściskanie w żołądku.

Nie będę opisywał podróży do Francji i pobytu w Abbeville. Zbyt wiele mieliśmy miłych i przykrych przygód, spotkań, doznań. Nawet suche streszczenie zajęłoby zbyt wiele stronic. Zanotuję jedynie, że w paru normandzkich miasteczkach widziałem ulice generała Maczka lub I dywizji pancernej WP. Było to nader przyjemne.

5 września rano wyjechaliśmy z Abbeville do Paryża. Przy wyjeździe po raz kolejny spotkaliśmy się z bałaganem organizacyjnym, na którego przezwyciężenie musiałem wydatkować znaczną część energii, zamiast przeznaczyć ją w całości na dyrygowanie. Ale to opiszę w osobnym podrozdziale, poświęconym podróżom.

Nigdy nie zapomnę rosnącego z minuty na minutę przerażenia. Nie mogłem go opanować. Miałem pełną świadomość odpowiedzialności. W Paryżu występowali – jak wiadomo – najwięksi dyrygenci z całego świata. IX symfonia jest arcydziełem i – w co nie wątpiłem - Paryżanie znali ją z mistrzowskich wykonań. Zadawałem sobie idiotyczne pytanie – co ja tu robię? Miałem ochotę uciec, choć wiedziałem, że to całkowicie niemożliwe. Pamiętam, że czasami zdawało mi się, iż śnię jakiś koszmarny sen. Myślę, że nigdy w życiu nie miałem takiej tremy.

Jak przez mgłę przypominam sobie wyjście z zakrystii, widok mrocznego przepełnionego wnętrza ogromnego kościoła, kiepskie oświetlenie miejsca, na którym siedziała orkiestra, oraz przestraszone twarze muzyków. Nie wiem, jak zdobyłem się na uśmiech, aby dodać im odwagi.

Choć to brzmi nieprawdopodobnie, nie pamiętam, jak dyrygowałem i jak grała orkiestra. Ani przedtem, ani potem nie przeżyłem podobnego stanu. Wszystko działo się jakby poza mną. Kiedyś nazywano to transem. Istotnie, byłem jakby w transie.

Oprzytomniałem nieco w finale. Z konieczności. Chórowi i solistom trzeba było „poza transem" pokazywać wszystkie wejścia. Kiedy przebrzmiał ostatni akord, omal nie zemdlałem. Czułem jak słabnę w trwającej ileś sekund ciszy. Z przeraźliwą wyrazistością pojawiło się w myśli pytanie – „będą klaskać czy gwizdać?", a potem rozległo się to, co nazywamy burzą oklasków. Usłyszałem okrzyki „brawo!" i zobaczyłem, jak kilka setek ludzi zrywa się na nogi. Tzw. standing ovation w Paryżu po IX symfonii! Był to największy sukces mojego życia. I znowu zdawało mi się, że śnię. Ale nie był to tylko piękny sen – była to rzeczywistość. Ponieważ oklaski nie ustawały, „wysłałem" samych solistów, aby się kłaniali beze mnie. Potem wyszedłem sam. Kiedy publiczność nadal klaskała, wyszliśmy razem i wykonaliśmy na bis zakończenie finału, od Allegro ma non tanto. I znowu oklaski. Soliści wyszli jeszcze raz beze mnie, a potem ja sam i wykonaliśmy drugi bis – „Alleluja" Haendla, które mieliśmy przygotowane do mszy w Abbeville. Oklaski nie milkły. Ponieważ nie mieliśmy już żadnego utworu z chórami, zdecydowałem się na ryzykowny krok: zagramy Mazura z „Halki". W kościele. Sadząc po oklaskach, publiczność nie była zgorszona.

Później do zakrystii przyszli mieszkający w Paryżu Polacy i dosłownie z mokrymi od łez policzkami dziękowali za to, że mogli usłyszeć polskiego mazura.

Na prośbę muzyków przed opuszczeniem Paryża, objechaliśmy rozjaśnione neonami pola Elizejskie oraz place: Gwiazdy, Opery, Bastylii. A potem ruszyliśmy w drogę powrotną.

Ten udany koncert w Paryżu zaowocował paroletnią współpracą z francuskim dyrygentem. Było to tym cenniejsze, że orkiestra zrezygnowała z wyjazdów do Włoch, co opiszę w innym miejscu. Miało także ogromne znaczenie dla podniesienia morale zespołu. W tych najtrudniejszych latach, pomimo nędznych zarobków, potrafili udowodnić, że są prawdziwą orkiestrą. Przede wszystkim sobie, co – jak sądzę – pozwoliło im przetrwać w dobrej formie do jubileuszu XXV – lecia w roku 2003.

Następne koncerty

Zgodnie z moją obietnicą, paryskiego dyrygenta, Dominique'a Fanala, który zorganizował koncert w Paryżu, zaprosiłem do Wałbrzycha. Z rozmów, które z nim przeprowadziłem, dowiedziałem się o jego działalności. Warto utrwalić to, co mówił, jako przykład umiejętności wykorzystywania określonej sytuacji.

Fanal był przeciętnym muzykiem o ograniczonych umiejętnościach dyrygenckich. Ale był sprawnym organizatorem, co pozwoliło na różnorodne wykorzystanie osobistych możliwości zawodowych. Powołał do życia stowarzyszenie, które patronowało orkiestrze kameralnej o nazwie Sinfonietta de Paris. Orkiestra otrzymywała niewielką dotację od władz Paryża, co pozwoliło na prowadzenie w miarę regularnej działalności koncertowej. Fanal porozumiał się z proboszczem parafii św. Magdaleny i organizował różnego rodzaju koncerty w tym ogromnym kościele. Jak mi mówił, samych stałych miejsc siedzących było 700. Centralne położenie kościoła zapewniało dobrą frekwencję. Poza koncertami w Paryżu, Sinfonietta występowała w różnych miastach Francji, biorąc także udział w rozmaitych festiwalach.

Fanal, wykorzystując dysponowanie własną orkiestrą, prowadził wyjątkowo intensywną wymianę dyrygentów. Dosłownie z całym światem. Przypuszczam, że większość dyrygentów marzy o koncercie w Paryżu. Fanal mógł zaoferować szefom różnych orkiestr realizację takich marzeń. Widziałem zasięg jego kapelmistrzowskich wymian: od Europy po obie Ameryki, Azję i Australię. Oczywiście nie dyrygował wielkimi orkiestrami; musiał zadowolić się małymi, przeważnie o kameralnym składzie. Często uczniowskimi lub półamatorskimi. Ich szefowie dostawali w zamian koncerty z Sinfoniettą i to zaledwie po jednej próbie, ale mogli sobie zapisać w życiorysie dyrygowanie w Paryżu.

Po roku 89 Fanal nawiązał kontakty z orkiestrami w krajach dawnego tzw. obozu socjalistycznego i mógł nareszcie dyrygować dużymi orkiestrami symfonicznymi. W Polsce przez szereg lat współpracował z Filharmonią Olsztyńską, ale z przyczyn, których mi nie podał, doszło do zerwania. I właśnie wtedy udało mu się przypadkowo nawiązać kontakt z Wałbrzychem. Po dłuższych pertraktacjach rozpoczęliśmy trwającą parę lat współpracę.

W 96 roku zaproponował mi dwa koncerty w Paryżu z Sinfoniettą. Pierwszy 16 lipca, a drugi po dwóch tygodniach, 30. Dzięki temu mogłem razem z Małgorzatą i Wiosną zwiedzić centralną część Francji. Były to niewątpliwie jedne z najpiękniejszych wakacji. I pełne niezapomnianych przeżyć. Mieliśmy do dyspozycji prawie dwa wolne tygodnie między koncertami, ponad 8 000 franków (na moją prośbę Fanal wypłacił mi zaraz po przyjeździe honoraria za oba koncerty) i samochód. Zwiedziliśmy kilkanaście kościołów, w tym pięć najsłynniejszych katedr. Ponadto kilka również najbardziej znanych zamków nad Loarą oraz trzy muzea (m.in. Leonarda da Vinci w Amboise). No i oczywiście Mont Saint Michel.

O koncertach wolę nie pisać. Dyrygowanie Requiem Mozarta po jednej próbie nie było satysfakcjonujące, pomimo że publiczność przyjęła wykonanie owacją na stojąco.

Następny raz byłem w Paryżu dopiero w kwietniu 2000. Poleciałem samolotem. Był to niezwykły lot, który opiszę w osobnym rozdziale poświęconym podróżom i hotelom. Dyrygowałem znowu Sinfoniettą i znowu m.in. Requiem Mozarta po jednej próbie. A w sierpniu orkiestra miała tournée złożone bodajże z sześciu koncertów. Ja dyrygowałem trzema: w Lac d′Yssac, Montpezac i Paryżu. Ponieważ poza ostatnim pozostałe odbywały się na południu Francji, pojechaliśmy samochodem: Małgorzata, Wiosna, piesek i ja. Mieszkaliśmy w uzdrowiskowej miejscowości Vals les Bains i w dniach, kiedy orkiestra miała koncerty z Fanalem, mogliśmy zwiedzać region Ardeche, m.in. Avignion, Arles, Limes, akwedukty i mosty skalne nad wijącą się w głębokich wąwozach rzeką.

17 sierpnia po męczącej podróży z południa Francji do Paryża, prowadziłem znowu IX symfonię, tym razem w Saint Germain-des-Pres, jednym z najstarszych, a zarazem najpiękniejszych kościołów paryskich. Z polską orkiestrą wystąpili soliści francuscy i angielski chór z Bristolu, wykonując wspólnie arcydzieło kompozytora niemieckiego. Oto przykład „globalizacji" w kulturze!

Później Fanal parokrotnie zapraszał orkiestrę, proponując mi na zmianę z nim dyrygowanie niektórymi koncertami. Za każdym razem odmawiałem, ponieważ ze względów oszczędnościowych zmniejszał ilość muzyków do czterdziestu kilku (mieścili się wtedy w jednym autobusie). Nie wyobrażałem sobie dyrygowania IX symfonii z trzema wiolonczelami i dwoma kontrabasami! Zarówno w pierwszym jak i w drugim tournée miałem sześć wiolonczel i cztery kontrabasy.

Kiedy byłem młody, każdy – nawet najbardziej błahy – kompromis uważałem za hańbę. Narażałem się w ten sposób wielu ludziom. Z biegiem lat jednak zrozumiałem, że całe życie

składa się niestety z kompromisów. Pamiętam, że ta świadomość napełniała mnie goryczą. To różne sytuacje wymuszają konieczność ustępstw. Pozostaje jednak zasadnicza kwestia: jak daleko można się w nich posunąć. Jaką sprawę należy uznać za ważniejszą?

Często dyrygowałem małymi i kiepskimi orkiestrami w prowincjonalnych ośrodkach w Polsce i za granicą. Wiedziałem jednak, że nie była to czyjaś zła wola lub lekceważenie, ale określone warunki społeczno-finansowe, na które kierownictwo danej orkiestry nie miało wpływu. Ale gdzieś znajdowała się granica kompromisu. Parę razy zdarzyło mi się odmawiać wykonywania jakiegoś utworu z powodu braku niezbędnie potrzebnych instrumentalistów. Czasem moja groźba zerwania koncertu sprawiała, że kierownictwo zgadzało się na zmianę programu lub doangażowywało brakujących muzyków. Jednak dyrygowanie w Paryżu Beethovenowskiego arcydzieła w niepełnej obsadzie przekraczało moje możliwości kompromisu. Wolałem zrezygnować z honorarium i zapisania sobie w życiorysie kolejnego koncertu w Paryżu.

Współpraca z Fanalem, niewątpliwie korzystna dla tzw. image filharmonii oraz dla muzyków z uwagi na możliwość zarobku – została przerwana po paru latach. Warto o tym napisać, ponieważ rzuca światło na sytuację polskich orkiestr. Do czasu reformy Balcerowicza przy szalejącej inflacji, a co za tym idzie niewiarygodnie wysokiego kursu dolara, każdy wyjazd za granicę i otrzymywanie diet w dewizach – był bardzo korzystny. Przykładem może być pierwszy wyjazd filharmonii na Zachód w roku 1986. Otrzymane za 18 dni pobytu za granicą dolarowe diety dały każdemu muzykowi równowartość półrocznej pensji! Oczywiście licząc po czarnorynkowym kursie dolara. Była to całkowicie anormalna sytuacja. Ale w połowie lat dziewięćdziesiątych nastąpiła zmiana. Wprawdzie diety dolarowe nadal były wysokie w porównaniu z pensjami, ale w ramach rozsądnych proporcji. I przestały rekompensować wysiłek i zmęczenie w czasie koncertów, długich podróży autobusami bez noclegów i kiepskiego zakwaterowania na miejscu. Przeładowane programy i często bardzo kiepscy dyrygenci nie dawały muzykom satysfakcji zawodowej. Zaczęli walczyć o lepsze warunki, co powodowało, że zagraniczni kontrahenci zwrócili się do mniej wymagających, choć na ogół gorszych od polskich, orkiestr ukraińskich i rumuńskich.

I tak kolejno skończyła się współpraca filharmonii z Berlinem, Angouleme, Gorycją i Paryżem. Chcąc być ścisłym, powinienem użyć zamiast nazw miast – czterech nazwisk organizatorów. Nie wydaje mi się to jednak konieczne, ponieważ żadne z nich „nie przeszło do historii". Osobiście przyznawałem muzykom rację, ale uważałem, że lepiej się męczyć i trochę zarabiać, niż siedzieć w Wałbrzychu i nie zarabiać nic.

Rozdział XXXVIII

PRZED WIELKĄ ZMIANĄ

Ta Wielka Zmiana pisana dużymi literami to bynajmniej nie transformacja ustrojowa, ani kolejne małżeństwo. Ani ewentualna posada czy upragnione przejście na emeryturę. Te wszystkie niewątpliwie ważne wydarzenia nie mogły stać się Wielką Zmianą. Były nią choroby, które spowodowały konieczność poddania się paru zabiegom operacyjnym. A w ich wyniku straciłem jedno oko, jedną nerkę i „zyskałem w zamian" trzy tzw. by-passy. I jak twierdzili lekarze, kilka razy byłem już przysłowiową „jedną nogą na tamtym świecie". A w okresie od lutego do października 1999 spędziłem długie tygodnie w siedmiu szpitalach w trzech miastach. Straciłem kilkanaście kilo i co chyba najważniejsze, oswoiłem się z myślą, że mogę umrzeć. Dotychczas bowiem, pomimo iż miałem już ponad 70 lat, po prostu śmierć nie była przedmiotem mojego zainteresowania.

Pamiętam, że do wybuchu bomby w hamburskiej piwnicy nie zaprzątałem sobie głowy rozważaniami o śmierci. A przecież w czasie powstania mogłem zginąć tak jak większość kolegów z mojej kompanii. Nigdy jednak nie brałem pod uwagę takiej możliwości. Nie znałem uczucia lęku przed śmiercią. Młodzieńcza głupota czy świadomość walki o wolność? Ani wtedy, ani teraz nie potrafię na to odpowiedzieć. Ale po wybuchu bomby, kiedy myślałem, że już umarłem, nagle uświadomiłem sobie czym jest życie. I zacząłem się bać.

Mijały lata, a strach przed śmiercią nie ustępował. Budziłem się w nocy i z przerażeniem myślałem, że kiedyś, może nawet za moment, umrę. I wtedy chciało mi się krzyczeć na głos. Zaciskałem dłonie tak mocno, że paznokcie wbijały mi się w ciało. I tak było do dnia, w którym przeczytałem, a było to dopiero w latach sześćdziesiątych, u Schopenhauera jakże mądre sformułowanie. Przytaczam je tutaj, bo może pomóc komuś, kto przeżywa koszmary podobne do moich. Schopenhauer napisał: „Mądry człowiek nie myśli o śmierci. Zbyt wiele ma do zrobienia w życiu".

Było to dla mnie olśnienie. W ułamku sekundy pojąłem, że myślenie o śmierci jest po prostu stratą czasu. A strach przed śmiercią, czyli przed czymś nieuniknionym, nie ma w ogóle sensu. I naprawdę nigdy potem nie zastanawiałem się nad kresem swojego życia. A przecież uległem wypadkom samochodowym, latałem nad oceanem i w czasie śnieżnej burzy nad Kanadą, miałem stany przedzawałowe, a wreszcie parę operacji. Potem ludzie pytali mnie czy nie bałem się, kiedy wieziono mnie na stół operacyjny. Odpowiadałem zgodnie z prawdą, że nie. I mam nadzieję, że tak już pozostanie.

Dlaczego zatem te operacje i „powroty" nazywam Wielką Zmianą? Ponieważ, leżąc w szpitalach uświadomiłem sobie z całą ostrością, że wyparcie myśli o śmierci nie zapewni nieśmiertelności. Śmierć w moim stanie zdrowia i wieku „siedzi mi na karku". W takiej sytuacji trzeba jak najlepiej wykorzystać ten okruch życia, który mi jeszcze pozostał. To ta właśnie świadomość pozwoliła mi na nabranie dystansu do otaczającej mnie rzeczywistości. Wszelkie sprawy zawodowe, polityczne, finansowe jakby się pomniejszyły, a życie nabrało jeszcze większej wartości. Czyż to nie była naprawdę Wielka Zmiana?

Lata 94 - 96

Środek lat dziewięćdziesiątych obfitował w rozmaite wydarzenia o różnym tzw. ciężarze gatunkowym, mających jednak wpływ na moje życie. W lecie 94, po burzliwych debatach, Małgorzata i Wiosna zdecydowały się na kupno psa. Ja byłem przeciwny, wiedząc, że żywe zwierzę to nie przedmiot do zabawy, wymaga opieki. Oświadczyłem, że wprawdzie obie panie mają prawo do posiadania psa, ale ja się nim nie będę zajmował, a tym bardziej wpuszczał do mojego pokoju. Kiedy pewnego sierpniowego dnia wróciłem z pracy, Małgorzata trzymała na rękach sześciotygodniowego szczeniaka rasy sznaucer-miniatura. A kiedy go pogłaskałem (mimo wszystko), polizał mnie malutkim ozorkiem po dłoni. I tak nie udałem się na „wewnętrzną emigrację". Zawarliśmy przyjaźń trwającą do dzisiaj. Teraz, kiedy piszę te słowa, leży przy mnie na tapczanie, od czasu do czasu domagając się głaskania.

W grudniu 94 pomimo mojego sprzeciwu, zarząd miasta przeforsował uchwałę o przejęciu instytucji kultury w ramach tzw. pilotażu. Miał to być w zamierzeniu centralnych władz kolejny krok do poszerzenia zakresu uprawnień samorządów. Moim zdaniem rady nie były jeszcze gotowe do przejęcia tak ważnej dziedziny życia społecznego jak kultura. Po prostu nie miały wystarczającej liczby kompetentnych urzędników. Okazało się niebawem, że miałem rację. Już po paru miesiącach funkcjonowanie zawodowych instytucji kultury uległo zakłóceniu. Na jesieni władze centralne rozpoczęły ożywione dyskusje z różnymi środowiskami i bodajże od 1 kwietnia 96 pilotaż został zlikwidowany, a kultura wróciła do województw.

W 95 roku zmarli kolejno Kazio i Marysia. On miał 95 lat, a Marysia o trzy lata mniej. Bywając, zresztą rzadko, w Warszawie, nie odwiedzałem ich. Wiedziałem bowiem z relacji Wandzi, że oboje znajdowali się w bardzo złej kondycji. Kazio był tak słaby, że z trudem mówił, a w czasie ostatniej wizyty Wandzi zaczął nagle płakać i szeptać, że chciałby już umrzeć. Marysia, będąc w znacznie lepszej kondycji fizycznej, traciła kontakt ze światem rzeczywistym nie tylko z powodu daleko posuniętej głuchoty. Doprawdy nie wiem, co było gorsze. Zobaczywszy Wandzię, z trudem ją rozpoznała. Potem wyszła do swojego pokoju mówiąc, że będzie czytać. A kiedy Wandzia chciała się z nią pożegnać, zobaczyła, że Marysia leży na tapczanie z książką, którą trzyma „do góry nogami". Przyznaję, że nie miałem siły patrzeć na taką fizyczną i psychiczną ruinę ludzi, którzy byli mi bliscy. I którzy tyle znaczyli w moim życiu i którym tak wiele zawdzięczałem.

Pogrzeb Kazia był uroczysty. Nad trumną przemawiali przedstawiciele władz uczelni, związków, stowarzyszeń. Żegnali człowieka, który przy wszystkich swoich wadach i śmieszności kach położył ogromne zasługi dla polskiej muzyki. Pogrzeb Marysi był skromniejszy, ale również niepozbawiony przemówień. Ostatecznie wychowała parę pokoleń pianistów, nie licząc udziału w setkach koncertów solowych i kameralnych oraz uczestnictwa w jury wielu konkursów.

Na mszach, rozpoczynających uroczystości pogrzebowe, siadałem w ławce, nie chcąc zajmować jednego z krzeseł przeznaczonych dla tzw. najbliższej rodziny, a stojących na środku nawy na postrzępionym kawałku dywanu. Oczywiście, kiedy w czasie mszy obecni wstawali, ja ich naśladowałem. Kiedy klękali – imitowałem tę czynność. Kiedy jednak żegnali się, tego gestu nie wykonywałem. Uważałem i nadal tak uważam, że byłoby to po prostu nieuczciwe. Czy ktokolwiek zauważył moje zachowanie – nie wiem. Podobnie było nad grobem. Ksiądz błogosławił trumnę i obecnych, ludzie żegnali się znakiem krzyża,

a ja stałem nieruchomy. W związku z tym na pogrzebie Marysi wydarzył się incydent, który uważam za wart odnotowania.

Kiedy szedłem od przystanku autobusowego w kierunku kościoła przy cmentarzu powązkowskim, zobaczyłem wysiadającego z samochodu Bogusława Kaczyńskiego. On również mnie zauważył i pośpieszył na przywitanie. Zdziwiony zapytałem, co go sprowadziło w pobliże cmentarza. Boguś wyjaśnił, że był kiedyś przez krótki okres czasu studentem Marysi. Była to dla mnie zaskakująca informacja. Wiedziałem, że uczył się śpiewu, ale nie przypuszczałem, iż uczył się także gry na fortepianie.

Ponieważ – jak już pisałem – nie chciałem usiąść z rodziną, zajęliśmy z Bogusiem miejsca w pierwszym rzędzie ławek. Ja wprawdzie wolałem zostać gdzieś z tyłu, ale Boguś chciał – jak się domyślałem – być „na widoku". Zaczęła się msza. Kiedy ksiądz pobłogosławił zebranych, wszyscy oczywiście przeżegnali się. Również Kaczyński. Ja nie. Zauważył to i następnym razem poszedł w moje ślady. Domyśliłem się wówczas, że nie był wierzącym i praktykującym katolikiem, a żegnał się z tzw. oportunizmu. Zachowanie Bogusia zauważył ksiądz celebrujący mszę. Mnie nie znał, ale Kaczyński był popularną postacią telewizyjną. Zaobserwowałem, że przy każdym kolejnym błogosławieństwie ksiądz bacznie patrzył na Bogusia i miał coraz bardziej surowy wyraz twarzy.

Ten drobny w istocie incydent jakże był symptomatyczny dla atmosfery w Polsce. Wielu moich znajomych uczestniczy w obrzędach kościelnych dla tzw. świętego spokoju. Ja w tej kwestii mam odmienne zdanie. Ale to szerszy problem wymagający osobnego omówienia.

Żegnając się z rodziną, oświadczyłem, że „…to już mój ostatni przyjazd do Warszawy na pogrzeb". Na pytanie „dlaczego", odpowiedziałem, że „…teraz po starszeństwie kolej na mnie. Ale na własny pogrzeb na pewno już do Warszawy nie przyjadę". Rodzina uznała widocznie ten dowcip za nader kiepski, ponieważ nikt się nawet nie uśmiechnął.

Z wydarzeń 95 roku warto jeszcze odnotować telewizyjne debaty kandydatów na prezydentów: Wałęsy i Kwaśniewskiego, a właściwie tylko zachowanie tego pierwszego. Powiedział, że Kwaśniewskiemu nie poda ręki; może najwyżej nogę. Było to zupełnie niebywałe chamstwo i w dodatku powiedziane przed kamerami telewizyjnymi wobec milionów widzów. A kiedy po paru dniach Kwaśniewski odniósł zwycięstwo, było to nie tylko osobistą klęską Wałęsy lecz także sztucznie rozdmuchanego tzw. etosu „Solidarności".

W tymże 95 roku Wiosna stanęła po raz drugi do szkolnej olimpiady historycznej (rok wcześniej odpadła) i wygrała. Pozwoliło to jej na wstęp bez egzaminu do wybranego przez siebie liceum. Miałem osobistą satysfakcję, ponieważ to ja rozbudziłem w niej pasję do historii. Kiedy opowiadałem jej wymyślone przeze mnie baśnie, umieszczałem je zawsze w kontekście historycznym. Żałuję, że ich nie zapisywałem lub nagrywałem; można byłoby z tego stworzyć powieść z modnego obecnie gatunku „fantasty".

Baśnie muzyczne

Organizując dla dzieci szkół podstawowych koncerty edukacyjne, nazywane inaczej audycjami umuzykalniającymi, zastanawiałem się czy nie można byłoby podobnych koncertów robić dla dzieci przedszkolnych. Przynajmniej dla tzw. grup starszaków, czyli sześciolatków. Pierwsze próby podjąłem jeszcze w końcu lat osiemdziesiątych. Audycje dla szkół trwały 45 minut, tyle samo co godzina lekcyjna. Dla przedszkolaków skróciłem je do 30 minut. Dobrałem krótsze i łatwiejsze utwory oraz określiłem, w jaki sposób mają mówić prelegentki.

Dzieci słuchały prelekcji z uwagą, ale kiedy tylko zaczynał się utwór, szybko traciły zainteresowanie. Było to zastanawiające. I tak np. dla sześciolatków opowieść jak to mały Amadeuszek, będąc w ich wieku, już komponował, była ciekawa. Ale jego kompozycja nie.

To niepowodzenie skłoniło mnie do pewnego eksperymentu. Postanowiłem zainteresować te małe dzieci muzyką poprzez łączenie jej z najbardziej znanymi baśniami. Sam pisałem krótki tekst, umieszczając w nim przerwy na krótkie fragmenty utworów ilustrujące fabułę. Ta próba dała niespodziewanie dobre wyniki. Dzieci zainteresowane fabułą, słuchały również muzyki w skupieniu.

Przygotowanie na cały sezon 10 baśni zajmowało sporo czasu i wysiłku. Ale efekty dawały mi wiele satysfakcji. Po paru latach Małgorzata, która była narratorką, zaczęła wyrażać pewne wątpliwości co do słuszności naszych baśniowych audycji. Twierdziła, że opowiadanie znanych baśni nie jest w rzeczywistości edukacją muzyczną. Nie mogłem odmówić słuszności jej argumentacji, ale nie widziałem sposobu zmiany tej sytuacji. Ale Małgorzata znalazła iście „genialne" rozwiązanie. Powiedziała krótko – „Napisz baśnie, których fabuła związana będzie z muzyką". W odpowiedzi parsknąłem śmiechem i oświadczyłem dosłownie: „Nie jestem Andersenem". I znacząco popukałem się w czoło. Małgorzata jednak nie ustępowała, argumentując, że skoro mogłem przed laty opowiadać Wiośnie baśnie związane z historią, to nic nie stoi na przeszkodzie, abym teraz napisał baśnie związane z muzyką.

Takie dyskusje trwały przez parę miesięcy. Wreszcie uległem i w lecie 96 roku wymyśliłem cykl 9 baśni pod wspólnym tytułem „Wiolinka i Basik w Czarodziejskiej Krainie Muzyki". Wiolinka i Basik to były wymyślone przeze mnie małe elfiki, które miały przeżywać rozmaite muzyczne przygody. W pierwszej baśni np. pomagały Wróżce Melodii zbierać rozsypane nutki, aby ułożyć… melodię. W następnej baśni występował Król Rytmus itd. itd. Oczywiście Małgorzata „odtrąbiła" swoje zwycięstwo, a ja – co przyznaję – z prawdziwą przyjemnością oddałem się pisaniu coraz to nowych muzycznych baśni. W ciągu kolejnych lat powstało ich około siedemdziesięciu! Według orientacyjnych obliczeń, wysłuchało tych baśni tysiące dzieci poznając jednocześnie podstawowe problemy muzyczne i coraz to nowe instrumenty.

Niektóre tematy było stosunkowo łatwo ująć w formie baśni. Np. dwaj krasnale o imionach Śmiechuś i Płakuś mieli za zadanie przedstawić różnice pomiędzy utworami wesołymi i smutnymi. Ale jak wytłumaczyć dzieciom harmonię lub po prostu współbrzmienie? Wymyśliłem zatem gnoma o imieniu Paskuda, który odrywał główki kwiatów i dziwił się, dlaczego więdną. Wiolinka i Basik wytłumaczyli mu, że kwiatki to nie tylko same główki. Muszą mieć i korzonki, i łodyżki, aby rosnąć. I tak dzieci uczyły się poznawać rolę akordów. Najwięcej zabawy miałem w wymyślaniu imion. Czarownice nazywały się Grypa-Chrypa lub Dyssona, a czarodziej Imaginar. Większość imion była śmieszna: np. Franula-Dziumdziula, Michałek - Niechciałek, Trzask-Prask, Tramtadracki itd.

W drugim roku Wiolinka i Basik wyruszyli w podróż po świecie. Wymyśliłem baśnie dla różnych krajów, starając się zachować lokalny koloryt. A ilustracją była wyłącznie muzyka narodowa. Wymagało to starań ze strony wykonawców, aby znaleźć odpowiednie utwory.

Po paru latach wyczerpały się możliwości tematyczne i wówczas napisałem dziesięć fikcyjnych legend Dolnego Śląska. Miały nadspodziewane powodzenie i musiałem wymyślić następne dziesięć. Ludzie w większości nie chcieli wierzyć, że nie są to autentyczne legendy. Wątpili w moje autorstwo, co mi bardzo pochlebiało. Nie były to w ścisłym tego słowa znaczeniu audycje umuzykalniające, ale w zamian starałem się przybliżyć dzieciom obrzędy staropolskie, a nawet starosłowiańskie. Wprowadzałem również takie słowa jak kasztel, ostrokół, gędźba, gęśle. Wymyślałem imiona ludzi i duszków, aby wzbogacić wyobraźnię dzieci. Czy mi się to udało – nie wiem.

Baśni słuchały dzieci z ostatnich dwóch lat pobytu w przedszkolach oraz z tzw. zerówek i dwóch pierwszych klas, czyli razem maksimum pięć lat. Po tym okresie można było wrócić do początku całego cyklu.

Kończąc tę relację, mogę z satysfakcją stwierdzić, że tego rodzaju baśnie muzyczne są na pewno unikatowe. Gdybym miał umiejętność promowania siebie, mógłbym je rozreklamować w telewizji. Ale, przyznaję, nigdy nie potrafiłem „sprzedawać" swoich osiągnięć. Wiem, że to fatalna wada, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Ale taki już byłem w młodości i taki pozostałem do dzisiaj.

Publicystyka

Wydaje mi się, że środek lat dziewięćdziesiątych był najbardziej owocnym okresem w sensie publicystycznym. Nigdy przedtem ani potem nie współpracowałem z tyloma redakcjami i nie napisałem takiej liczby rozmaitych artykułów i felietonów. Poruszałem w nich zagadnienia, które mnie w danym momencie interesowały. Formułując je na piśmie, musiałem szukać najbardziej właściwych słów. Jakaś przeczytana książka, jakiś artykuł lub usłyszana wiadomość mogły stanowić inspirację do podjęcia samodzielnej próby zmierzenia się z tematem. Poruszałem tak poważne sprawy, jak np. filozoficzne pojęcie prawdy, wolności, miłości. W związku z jakąś rocznicą einsteinowską napisałem parę felietonów o życiu genialnego uczonego i doniosłości jego teorii. Obserwując wydarzenia polskiego życia politycznego, sformułowałem w konwencji satyrycznej „Prawo Wiłkomirskiego". Brzmiało (piszę z pamięci) mniej więcej tak: „Każda partia opozycyjna po dojściu do władzy powtarza w zwiększonym zakresie te błędy poprzedniej ekipy rządzącej, które najbardziej krytykowała". Wyśmiewałem ograniczenia intelektualne radnych i zarządu miasta oraz przede wszystkim głupie zarządzenia władz centralnych. Z perspektywy lat mogę stwierdzić, że zakres tematyczny był wyjątkowo szeroki i odzwierciedlał moje zainteresowania. Miałem świadomość, że Wałbrzych był intelektualną prowincją. Znajdował się według danych GUS na ostatnim miejscu ze wszystkich 49 miast wojewódzkich pod względem liczby osób z wyższym wykształceniem. To co się potocznie nazywa życiem umysłowym – po prostu nie istniało. Brakowało publicznych wykładów, spotkań z wybitnymi przedstawicielami nauki, dyskusji w prasie. Nieliczne próby organizowania wieczorów dyskusyjnych w klubach kończyły się niepowodzeniem.

W takiej sytuacji uważałem za swój obowiązek poprzez felietony zachęcić czytelników wałbrzyskich periodyków do – w miarę – samodzielnego myślenia. Celowo prowokowałem,

drwiłem, szydziłem. Liczyłem, że skłonię kogoś do podjęcia merytorycznej dyskusji. Niestety, zawiodłem się. Na palcach jednej ręki można byłoby policzyć listy polemizujące z moim stanowiskiem.

Pisałem – jak już wspomniałem w poprzednim rozdziale – przez pięć lat do „Sudeckich Wiadomości Gospodarczych". Oprócz tego do „Tygodnika Wałbrzyskiego" (dawnej „Trybuny Wałbrzyskiej") felietony pod wspólnym tytułem „Bez pardonu". Potem do „Nowej Wałbrzyskiej" z nieco zmienionym tytułem – „Bez litości". Rezonans społeczny był znikomy. Owszem, znajomi napomykali, że czytają moje felietony, które zresztą z uporem nazywali artykułami. Ale nie zachęciło to ich do podjęcia jakiejkolwiek dyskusji. Zdarzało się parokrotnie, że obcy ludzie zatrzymywali mnie na ulicy, w sklepie lub autobusie i dziękowali za to, co pisałem. Było to dla mnie – przyznaję – wielką pociechą. Ze trzy – cztery razy zaczepili mnie na ulicy jacyś podpici faceci i bełkocząc wyrażali uznanie:

- Dobrze piszesz! Pisz tak dalej!

Kiedy opowiadałem o tym w domu, Małgorzata kwitowała złośliwie:

- Widzisz, tylko pijacy czytają twoje felietony.

Nigdy zapewne nie da się policzyć, ile artykułów i felietonów napisałem w tamtym okresie. Trzysta? Czterysta? Szkoda, że ich nie gromadziłem. Zebrane w jednym tomie byłyby świadectwem nie tylko mojej aktywności umysłowej, lecz także – a może przede wszystkim – ilustracją wydarzeń zachodzących w tamtym okresie.

W roku 95 rozpocząłem współpracę z lokalną telewizją. Zaczęło się od małej, prywatnej stacji, obejmującej swoim zasięgiem dzielnicę Podgórze. Jak doszło do tego, że właściciel stacji zwrócił się do mnie z prośbą o cotygodniowe 10-minutowe gawędy – zupełnie nie pamiętam. Wiem tylko, że wyraziłem zgodę, gdyż uważałem, że może to być korzystne dla filharmonii. Ludzie kojarzyli moją osobę z instytucją, zatem regularna obecność w telewizji popularyzowała automatycznie filharmonię. A ponadto takie gawędy były dla mnie nową przygoda. Przyjąłem tą samą zasadę jak przy pisaniu felietonów. Każdą gawędę poświęcałem wybranemu zagadnieniu, bynajmniej nie związanemu z muzyką. Mówiłem o polityce, książkach, bezrobociu, wychowaniu dzieci i przeróżnych innych ogólnych sprawach. Nie muszę dodawać, że używałem prostego języka, krótkich zdań i unikałem obcych wyrazów. Miałem świadomość, że poziom przeciętnego telewidza w dzielnicy, zamieszkanej głównie przez byłych górników, nie należał do najwyższych. Oczywiście wszystkie gawędy mówiłem „z głowy", nie posługując się żadną kartką.

Dlaczego po kilku miesiącach ta współpraca została przerwana – wyleciało mi z pamięci.

W następnych latach inna lokalna, czyli tzw. osiedlowa telewizja zaproponowała mi podobne gawędy. Ta stacja o nazwie „Dami" obejmowała swoim zasięgiem m.in. dzielnicę Podzamcze, w której mieszkałem. Dzięki temu Małgorzata i Wiosna mogły oglądać kolejne gawędy i oczywiście ze złośliwą radością krytykować.

Tutaj istotna uwaga. Każdą gawędę nagrywałem bez przerwy. Na znak technika zaczynałem mówić. Po pięciu minutach podnosił rękę, aby mi zwrócić uwagę, że minęła już połowa czasu. Po następnych trzech minutach otrzymywałem kolejny znak. Wiedziałem, że muszę przygotować konkluzję i zakończyć gawędę.

Dzięki tym gawędom zyskałem w swojej dzielnicy znaczną popularność. Ludzie się za mną oglądali, wskazywali palcami, a nawet kłaniali. Dzieci mnie zaczepiały, mówiąc:

- A ja pana wczoraj oglądałem w telewizji.

Pytałem wówczas:

- No i jak? Podobało ci się?

Odpowiedź na ogół brzmiała:

- No, pewnie!

Jeszcze częściej niż w związku z felietonami, przechodnie na ulicy dziękowali za poruszane problemy a nawet proponowali różne tematy do następnych gawęd. Stałem się dzięki telewizji czymś w rodzaju lokalnej znakomitości. Potwierdziła się opinia ekspertów o potędze oddziaływania tego środka masowej komunikacji lub jak dawniej mówiono – środka masowego przekazu.

Ta współpraca trwała przez wiele miesięcy i została przerwana przez drobny incydent. Zdarzało się od czasu do czasu, że reporter „Dami" przychodził do filharmonii i nagrywał parominutowy fragment jakiegoś utworu, który redakcja uznała za atrakcyjny dla telewidzów. Pewnego dnia reporter nagrał cały koncert Czajkowskiego wykonywany przez rosyjskiego skrzypka. I parę dni później wyemitował. Któryś z muzyków usłyszał i następnego dnia wybuchła awantura. Orkiestra oświadczyła, że odda telewizję do sądu za łamanie ustawy o prawach autorskich. Udało mi się przekonać muzyków, że taka retransmisja to znakomita reklama, która nie tylko podnosi prestiż filharmonii, ale wpływa dodatnio na frekwencję. Argumentowałem, że ja za swoje gawędy nie biorę żadnego honorarium, właśnie z uwagi na popularyzację naszej instytucji. Po uspokojeniu muzyków, zatelefonowałem do redakcji i złożyłem oficjalny protest. Nastąpiła ostra wymiana zdań. Oświadczyłem, że telewizji wolno nagrywać dla celów informacyjnych nie więcej niż półtora minuty. Naczelna redaktorka na to, że powinniśmy być wdzięczni, że telewizja robi nam za darmo reklamę.

Po tej niezbyt przyjemnej rozmowie byłem przekonany, że sprawa nagrania i retransmisji została zakończona i że przede wszystkim nie ma w żadnej mierze związku ze współpracą między telewizją a moją osobą. Myliłem się. Dotychczas na kolejne gawędy umawialiśmy się telefonicznie. Tym razem telefon milczał. Osobiście uważałem, że to bardzo źle świadczyło o kulturze naczelnej redaktorki. I tak ostatecznie skończyła się moja stała współpraca w charakterze gawędziarza z osiedlową telewizją „Dami".

Wracając do publicystyki prasowej, to w połowie lat dziewięćdziesiątych pisałem równolegle także dla innych czasopism. Pamiętam, że Unia Pracy drukowała mniej więcej co miesiąc „Biuletyn" zawierający informacje o pracy partii. Zaproponowano mi pisanie stałego felietonu. Nie potrafię dzisiaj powiedzieć, ile napisałem krótszych i dłuższych felietonów na aktualne polityczne tematy. Atakowałem w nich nieokreśloną postawę ideologiczną Unii Pracy, słabą aktywność członków, brak długofalowej strategii itd. A po klęsce wyborczej w roku 1997, kiedy Unia Pracy nie weszła do parlamentu, przeprowadziłem ostrą analizę przyczyn, za jedną z najważniejszych uznając prywatne ambicje i intrygi członków kierownictw terenowych i słabość centrali.

W tym samym mniej więcej okresie zaczęto wydawać gazetkę dla 30-tysięcznej dzielnicy Podzamcze, w której – jak już nie raz wspominałem – mieszkałem od początku. Oczywiście poproszono mnie, abym pisał regularne felietony. Krytykowałem w nich biurokrację Spółdzielni Mieszkaniowej, nadmierne koszty eksploatacji, zbyt wysokie opłaty za ogrzewanie, fatalną pracę etatowych rzemieślników itd. Jak zwykle, naraziłem się wielu osobom na stanowiskach. Niestety gazetka po kilkunastu numerach przestała wychodzić z braku pieniędzy.

Kiedy przyjechałem do Wałbrzycha, powiedziano mi, że Świdnica konkuruje z Wałbrzychem i przy każdej okazji wytyka błędy wałbrzyskim władzom wojewódzkim. Podobne antagonizmy obserwowałem już wcześniej pomiędzy Słupskiem a Koszalinem,

Toruniem a Bydgoszczą, Gorzowem a Zieloną Górą. Byłby to – moim zdaniem – temat ciekawej pracy naukowej. Po transformacji w roku 89 i osłabieniu centralizmu te antagonizmy uległy zaostrzeniu. Przejawiało się to w różny sposób. M.in. w powstaniu lokalnych czasopism. Władze Świdnicy również w połowie lat dziewięćdziesiątych postanowiły wydawać własny tygodnik. Nie pamiętam, jaki miał tytuł. Ponieważ moje felietony w wałbrzyskiej prasie zyskały już pewien rozgłos, redakcja świdnicka zaproponowała mi współpracę. Nie chcąc powielać dotychczasowej formy, postanowiłem wymyślić coś nowego. I napisałem sprawozdanie z fikcyjnego odkrycia w Świdnicy, przy okazji remontu jakiejś kamienicy, skrzyń z dokumentami rady miejskiej sprzed kilkuset lat. Miały to być rzekome protokoły z obrad rady. Oczywiście podpisałem ten felieton imieniem i nazwiskiem, licząc, że każdy czytający potraktuje go jako żart. Okazało się jednak, że przeceniłem inteligencję iluś osób, m.in. prezydenta miasta Świdnicy. Jak mi opowiedzieli znajomi dziennikarze, po ukazaniu się gazety w kioskach, rozdzwoniły się telefony. Telefonowali rozmaici „dygnitarze" z ratusza, pytając skąd redakcja wie o remoncie, jaka to kamienica i jaka firma budowlana prowadzi roboty. A sam pan prezydent zarzucił redakcji, że opublikowała tak ważną informację bez jego zgody. Przyznaję, że początkowo nie mogłem uwierzyć w słowa dziennikarzy; myślałem, że – jak to się mówi – chcą mnie nabrać. Niestety okazało się, że dziennikarze mówili prawdę i to ja „nabrałem" niechcący przedstawicieli władz Świdnicy. W następnym numerze redakcja sprawę wyjaśniła, nie podając oczywiście, kim byli „nabrani".

A potem, podrabiając język staropolski, napisałem kilkanaście felietonów jako fragmenty rzekomych protokołów z obrad. Rzecz jasna, wyśmiewając radnych sprzed kilkuset lat, celowałem w obecnych, których znałem w Wałbrzychu. Zakładałem również, że poziom świdnickich radnych był wyższy i że czytelnicy to zauważą. Niestety po paru miesiącach zmieniono naczelnego redaktora gazety, a nowy zrezygnował ze współpracy ze mną. Już nie pamiętam, pod jakim pretekstem.

„Bez cenzury"

O ile dobrze pamiętam, na wiosnę 96, po jakiejś sesji, przewodniczący Rady Miejskiej zaprosił radnych na tzw. lampkę szampana z okazji… moich 70 urodzin. Wręczył mi kwiaty i wygłosił okolicznościowe przemówienie, życząc na zakończenie długich lat życia i działalności. W odpowiedzi wyraziłem nadzieję, że doczekam dnia, w którym na ekranie telewizora zobaczę planszę z napisem „Telewizja Wałbrzych", zamiast „Telewizja Wrocław".

I tak to się zaczęło. W niewiele miesięcy później podjęto rozmowy, w których brałem udział. Powołano tzw. grupę inicjatywną, do której należałem. Niestety, jak to często bywa – ścierały się różne koncepcje. Ostatecznie postanowiono powołać stowarzyszenie. Początkowo zaangażowałem się z zapałem w opracowanie ramowego programu. Widząc jednak, że pierwotna idea „rozmywa się" i górę biorą prywatne interesy, wycofałem się z dalszych prac.

Po dłuższym czasie ruszyły wreszcie programy, ale w zupełnie innym zakresie niż projektowałem. Tłumaczono mi, że na przeszkodzie stanął brak środków finansowych. Czy była to prawda – nigdy się nie dowiedziałem. Po paru latach jednak otrzymałem niespodziewanie propozycję prowadzenia własnego programu. „Telewizja Wałbrzych" stała się chyba w międzyczasie prywatną spółką, ale to mi zupełnie nie przeszkadzało.

Redakcja zaproponowała cotygodniowe gawędy, trwające aż 20 minut. Wyraziłem zastrzeżenia, że pojedyncza „gadająca głowa" przez tak długi okres czasu będzie po prostu nudna dla telewidzów. Usłyszałem w odpowiedzi, że mój żywy sposób mówienia, poparty charakterystyczną gestykulacją i mimiką – byłby atrakcyjny nawet przez godzinę.

Uległem tym, skądinąd pochlebnym dla mnie argumentom i przyjąłem propozycję. Wymyśliłem tytuł „Bez cenzury" i postawiłem jeden warunek: nikt nie będzie ingerował w to, co będę mówił. Redakcja warunek przyjęła i muszę zgodnie z prawdą przyznać, że nigdy nie zakwestionowała nie tylko moich opinii, ale nawet pojedynczych sformułowań.

Żałuję, że nie notowałem od początku tematów poszczególnych programów. Poruszałem bowiem szeroki – jak to się określa – wachlarz zagadnień: od omówienia znaczenia takich postaci jak Kant, Einstein, Cervantes aż po wspominanie rodzinnych wigilii i przepisy kulinarne. Ile dokładnie było odcinków cyklu „Bez cenzury" – zapewne nigdy nie da się odtworzyć. A szkoda.

W roku 2005 na skutek całkowicie dla mnie niezrozumiałych sporów, stacja telewizyjna przestała działać. Różni ludzie podawali różne przyczyny: od zatargów personalnych aż po nadużycia finansowe. Podobno sprawa trafiła do prokuratora. Nagle, po ponad rocznej przerwie, spółka pod nieznacznie zmienioną nazwą (zamiast „Telewizja Wałbrzych" – „Telewizja wałbrzyska") podjęła przerwaną działalność. Kto był winien i czy zatarg został zlikwidowany – było dla mnie najzupełniej obojętne. Najważniejsze, że znowu mogłem przekazywać ludziom swoje poglądy na aktualne wydarzenia i zachęcać do samodzielnego myślenia. 6 września 2006 podjąłem swój program „Bez cenzury". I oczywiście w pierwszym odcinku nie mogłem odmówić sobie napiętnowania coraz silniejszych prób ograniczenia wolności słowa przez władze. Naturalnie wspomniałem o złowieszczej roli kościelnego Indeksu (Index Librorum Prohibitorum), obowiązującego od roku 1557 do 1966!

A w następnych odcinkach zająłem się osławioną lustracją, której zresztą od początku byłem przeciwny. Powołanie IPN (Instytut Pamięci Narodowej) uważałem za bezsensowne i szkodliwe. Każda kolejna sprawa lustracyjna potwierdzała niestety moją opinię. No, a potem wyśmiałem pomysł lekcji wychowania patriotycznego.

Omawiając swoją współpracę z telewizją, doszedłem do roku 2006. Nieraz zastanawiałem się, jak dalece przygotowywanie programów, a następnie występowanie przed kamerą utrzymuje mój „starczy umysł" w dobrym stanie. Użyłem dla określenia starczy umysł cudzysłowu, choć – kto wie – może byłoby słuszniej z niego zrezygnować? Nie posługując się tzw. kartką i mówiąc „z głowy" przez 20 minut bez przerwy – zmuszałem swoją pamięć do znacznego wysiłku. A to w tak podeszłym wieku ma zapewne spore działanie terapeutyczne. Całe szczęście, że nigdy mnie nie peszyły kamery czy mikrofony i w przeciwieństwie do większości ludzi zachowywałem zawsze swobodę zachowania i mówienia w czasie publicznych wystąpień. Jak sadzę, to cenna zaleta.

We wrześniu 96 prywatna stacja telewizyjna „Polsat" nadała wywiad z Giedroyciem, nagrany w jego domu w Paryżu. Niestety sam go nie oglądałem, ale według zgodnej relacji paru wiarygodnych osób, wypowiedzi Giedroycia były smutne i krytyczne. Podobno na pytanie dziennikarki dlaczego odmówił przyjęcia orderu Orła Białego, który przyznał mu Wałęsa, odpowiedział krótko – „Bo nie chciałem, aby mi go wręczał tamten pan". I dodał – „Poza tym nie wiedziałem czy to była próba neutralizacji czy przekupstwa". Jeśli Giedroyć naprawdę użył takich słów, świadczyło to o jego głębokim rozczarowaniu sytuacją w Polsce. A potem w trakcie dalszego wywiadu stwierdził, że działalność kleru jest szkodliwa dla Polski.

Giedroyć był prawdziwym i chyba przez nikogo niekwestionowanym autorytetem moralnym. Dowiódł tego całym swoim życiem. Nie schlebiał przez dziesięciolecia zatęchłej emigracji na Zachodzie i otwarcie walczył z PRL-em. Z entuzjazmem powitał transformację, ale szybko przeszedł do gorzkiej krytyki. Ciekawe, co by powiedział, gdyby żył, o tym co dzieje się w Polsce w roku 2006, 10 lat po tamtym wywiadzie.

Również na jesieni 96 pojawił się u mnie prezydent klubu „Rotary" Jerzy Ignaszak. Chciał w drodze eksperymentu zorganizować charytatywny koncert bożonarodzeniowy, na wzór tych, które od lat urządza się w wielu zachodnich krajach. Zapytał czy orkiestra mogłaby zagrać nieodpłatnie. Odpowiedziałem, że muzycy zarabiają tak mało, iż byłoby nieprzyzwoitością prosić ich o granie za darmo. Tym bardziej, że ich honoraria za koncert wynoszą 50-70 zł, a przewidywana cena zaproszenia 30 zł. Tak więc biedny muzyk, grając za darmo, dałby na szlachetny cel więcej niż bogaci przedsiębiorcy. Oświadczyłem w konkluzji, że ja mogę zrzec się swojego honorarium, ale muzycy powinni otrzymać zapłatę. Prezydent przyznał mi rację. Ustaliliśmy datę koncertu i inne szczegóły.

Prezydium klubu znalazło dodatkowo paru sponsorów i w konsekwencji koncert po zapłaceniu wszystkich kosztów, przyniósł spory dochód, który przeznaczono na biedne dzieci. Ja oczywiście poza dyrygowaniem, również nieodpłatnie prowadziłem konferansjerkę i zinstrumentowałem kolędę, która rozpoczynała koncert. Publiczność, czego byłem pewien, składała się w przeważającej mierze z ludzi, którzy nigdy nie byli na koncercie symfonicznym. Nic zatem dziwnego, że początkowo oklaski były słabe. W miarę jednak prezentowania kolejnych utworów, publiczność zaczęła się rozgrzewać. Po ostatnim utworze (niestety nie pamiętam, co to było), mieliśmy owację i musieliśmy bisować.

Koncerty te stały się doroczną atrakcją. Za każdym razem program był inny. Dziesiąty odbył się w roku 2005.

W rok po pierwszym zaproponowano mi wstąpienie do klubu. Odmówiłem z prostej przyczyny: składki były zbyt wysokie. Po pewnym czasie prezydium klubu stwierdziło, że moje honorarium, którego się zrzekam, przewyższa składki i wobec tego zostanę zwolniony z ich płacenia. Zostałem zatem członkiem ekskluzywnego w pewnym sensie klubu „Rotary". Po paru latach zostałem wybrany na prezydenta, ale w połowie kadencji wystąpiłem z klubu. Nie będę zanudzał przyszłego ewentualnego czytelnika relacjonowaniem szczegółów, które nie miały istotnego znaczenia dla mojego życiorysu.

W 97 roku zaprenumerowałem „National Geographic", początkowo w języku angielskim, a potem polskim. To było naprawdę interesujące pismo, a prezentowane fotografie często wręcz zachwycające. Na pewno przyczyniło się do rozszerzenia naszych horyzontów, szczególnie Wiosny. Niestety po paru latach musiałem zrezygnować, ponieważ wyjazd Wiosny na studia do Warszawy uszczuplił domowy budżet.

No i wreszcie nadszedł rok 98, brzemienny w ważne wydarzenia. Po pierwsze zapadły decyzje, że od 1 stycznia następnego roku większość województw zostanie zlikwidowana. M.in. wałbrzyskie, jeleniogórskie i legnickie. Sprawa miała szerszy wymiar. Rząd AWS zaczął wprowadzać w nieuzasadnionym pośpiechu cztery reformy naraz: administracyjnego podziału kraju, systemu oświaty, ochrony zdrowia i systemu emerytalnego. Nie będę zajmował się ani relacjonowaniem przebiegu wprowadzania reform, ani mojego negatywnego do nich stosunku. Odnotuję tylko, że poza ogromnym zamętem i równie ogromnymi kosztami, funkcjonowanie państwa nie uległo odczuwalnej poprawie. Zostawiam jednak tę sprawę historykom.

Dla Wałbrzycha utrata statusu stolicy województwa okazała się równie katastrofalna jak wcześniej likwidacja kopalń. Zresztą moim zdaniem – przedwczesna. Reformy pogłębiły bezrobocie; wzrosło poczucie bezradności. Atmosfera stała się wręcz fatalna; dominowała apatia. Sami wałbrzyszanie mówili o umierającym mieście. Na szczęście – jak już pisałem w poprzednim roku – rozpoczęły się wyjazdy orkiestry na koncerty we Francji, nagrywanie płyt oraz występy na dwóch nowo powstałych festiwalach: „Pojednanie" we Wrocławiu i Muzyki Uzdrowiskowej w Polanicy. Wszystko to pomogło utrzymać poziom orkiestry i poprawiało choć trochę nastroje pesymizmu, rozgoryczenia, niepewności.

Udało mi się wywalczyć (choć może bardziej właściwe byłoby słowo „wyżebrać") pieniądze na remont sali i holu. Zakładając filharmonię, zdążyłem tylko zbudować estradę i dokonać paru drobnych napraw. Jak mi powiedziano, ostatni prawdziwy remont miał miejsce w latach… sześćdziesiątych! Ściany sali były niemal czarne, a hol i toalety były wręcz odrażające. Jedynie szatnia, zbudowana przeze mnie w roku 78 na kawałku dawnego podwórka – wyglądała przyzwoicie. Lewicowy wojewoda dał pieniądze na dokumentację jeszcze przed zmianą rządu w 1997 roku. Nowego, mianowanego już przez AWS, zaprosiłem na koncert. Kiedy zobaczył popękaną kamienną podłogę holu i czarne ściany sali, powiedział – „Panie dyrektorze, jestem z zawodu inżynierem. Nie musi pan niczego więcej mówić. Nie wypada, aby filharmonia działała w takich warunkach". I przyznał dotację, która pozwoliła na wykonanie dużego remontu. Pierwszego i – jak dotąd – ostatniego w dziejach filharmonii. A potem zdobyłem jeszcze dodatkową kwotę od władz miasta na remont brudnej klatki schodowej, prowadzącej na zaplecze, czyli do garderób orkiestry i pomieszczeń biurowych.

Te wszystkie prace musiały być wykonane w okresie dwóch letnich miesięcy 98 roku. Ile to wymagało rozmaitych zabiegów i przede wszystkim „nerwów" – nie muszę chyba wyjaśniać.

Należy jeszcze odnotować, że w latach dziewięćdziesiątych „przemianowano" ZBOWID na Związek Kombatantów, choć doprawdy nie wiem, w jakim celu. Chyba jedynie po to, aby zrobić pseudoweryfikację. Nie przyjęto do nowego związku żołnierzy tzw. Ochotniczych Brygad Międzynarodowych z czasów hiszpańskiej wojny domowej. Było to wręcz obrzydliwe. We Francji i innych krajach ci ochotnicy, nie zawsze lewicowi, byli uznawani za kombatantów, zgodnie zresztą z definicją słowa „kombatant". Ponadto były to już resztki pozostałych przy życiu dziewięćdziesięcioletnich staruszków. Ale niestety nasze prawicowe władze nie miały dla nich względów. Na szczęście rozpętała się burza, zaprotestowały zagraniczne organizacje i władze musiały się wycofać z projektu haniebnego rozporządzenia.

I znów „sakramentalne" zdanie: „jeżeli mnie pamięć nie myli", do ZBOWID-u wstąpiłem za namową paru osób w latach osiemdziesiątych. Miałem potwierdzenie z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz żyjących jeszcze kolegów ze Zgrupowania

„Gustaw – Harnaś". Dzięki temu otrzymałem kolejno: Krzyż Powstańczy, Krzyż AK, awans na stopień podporucznika, a po paru latach następny awans na porucznika i wreszcie tzw. patent weterana. Zgodnie z moim zwyczajem żadnych odznaczeń, medali, orderów i krzyży nigdy z jakiejkolwiek okazji (lub bez) nie przypinałem.

Rozdział XXXIX

LATA 98 – 99

Rozpoczynając ten rozdział, muszę wyznać ze skruchą, że wszystkie nieszczęścia, które wydarzyły się w związku z moim zdrowiem w latach 98/99, były wynikiem lekceważenia własnego organizmu. Dopiero leżąc na szpitalnym „łożu boleści", uświadomiłem to sobie z całą ostrością. Szkoda, że tak późno. Spoglądając wstecz, widziałem liczne błędy i dziwiłem się, że mój organizm wytrzymał aż tyle lat. W tropikach chodziłem z gołą, łysiejącą głową i bez przeciwsłonecznych okularów. Niewybaczalna głupota. Ponieważ nie znoszę atmosfery szpitalnej, wymuszałem na lekarzach zgodę na jak najwcześniejszy powrót do domu. I tak np. już na trzeci dzień po operacji żylaków prawej nogi opuściłem szpital, a po następnych czterech dniach jeździłem do filharmonii. Nigdy nie brałem zwolnień lekarskich i często pracowałem mając gorączkę. Itd. itd. A tymczasem lata biegły, organizm słabł, tym bardziej, że był nadmiernie eksploatowany. Wszyscy: rodzina, znajomi lekarze, współpracownicy twierdzili, że postępuję niewłaściwie. Ale ja z uporem kontynuowałem dotychczasowy tryb życia. Kiedy pojawiał się jakiś stan chorobowy, stosowałem trzy medykamenty: przy katarze – maść Acidi Borici, przy podwyższonej temperaturze – Polopirynę, a na żołądek – Sulfaguanidynę. Aha, a na zaśnięcie w sleepingu – Hydroxizinum.

Co parę lat miewałem kłopoty z sercem i wówczas z niechęcią udawałem się do lekarza, który przepisywał mi jakiś środek i zalecał zmniejszenie tempa życia. Lekarstwa brałem systematycznie do czasu zniknięcia objawów chorobowych, poczem przestawałem. A tempa pracy nie zmniejszałem. Dopiero w ostatnich latach, kiedy byłem już w okolicach siedemdziesiątki, na wiosnę w stanach skrajnego wyczerpania brałem serię wzmacniających zastrzyków. Jak się nazywały – nie pamiętam.

Pierwsza operacja

Moje krótkowidztwo systematycznie rosło i w połowie lat dziewięćdziesiątych nosiłem już okulary bodajże minus 12. A i zaćma stawała się coraz większa. W roku 1988 dwa ministerstwa: Kultury oraz Zdrowia, załatwiały dla mnie operację u słynnego profesora Fiłatowa w Moskwie. Sytuacja polityczna i przede wszystkim moja niechęć do zajmowania się swoim zdrowiem spowodowały odwlekanie wyjazdu, a transformacja w roku 1989 przekreśliła go ostatecznie. W początku lat dziewięćdziesiątych Wanda załatwiła operację w Heidelbergu. Matka jej studentki była asystentką jakiegoś znakomitego profesora okulistyki. Także i tej możliwości nie wykorzystałem. Podaję te szczegóły, aby w autobiografii, będącej czymś w rodzaju rachunku sumienia, przedstawić uczciwie stan faktyczny. To, co się stało z moim zdrowiem, było wyłącznie wynikiem mojej własnej głupoty.

Ponieważ widziałem coraz gorzej, zdecydowałem się wreszcie na operację zdjęcia katarakty. Dzięki poznanej lekarce, bez czekania w kolejce dostałem się do Kliniki Okulistycznej Akademii Medycznej we Wrocławiu. Tam, również po znajomości, umieszczono mnie w małym pokoju razem z jakimś emerytowanym profesorem tejże akademii. Wszystko odbyło się szybko: 3 czerwca 98 zostałem przyjęty do szpitala i zbadany, następnego dnia operowany, a już 7 wróciłem do domu. Zabieg się udał i żadne powikłania nie wystąpiły.

Jedynym utrudnieniem była ogromna różnica pomiędzy prawym a lewym okiem. Operowane prawe oko z wszczepioną sztuczną soczewką miało plus 3 dioptrie, a lewe minus 12! Na skutek takiej różnicy widziałem fatalnie. Pisałem z trudem, a czytać w ogóle nie mogłem. O problemach z uczeniem się partytur lepiej nie wspominać. Była to istna tortura. Po próbach, czyli po paru godzinach wpatrywania się w partytury, bolały mnie oczy i miewałem zawroty głowy.

Pierwszy koncert miałem już 3 lipca w Busku z lwowską orkiestrą kameralną. Lekarka odradzała tak szybki powrót do pracy, ale wytłumaczyłem jej, że nie mogę odwołać ustalonego rok wcześniej występu na międzynarodowym festiwalu.

I właśnie w Busku pojawiły się poważne problemy z sercem. Wychodząc na próbę z domu wczasowego, w którym mieszkałem, odczułem nagle ból w tzw. dołku, inaczej „splocie słonecznym". Był tak ostry, że musiałem stawać po zrobieniu zaledwie paru kroków. Po chwili ból mijał i wówczas mogłem iść dalej, ale znacznie wolniej. Początkowo byłem przekonany, że to jakaś dolegliwość żołądkowa spowodowana „wczasowym" odżywianiem, np. nieświeżym tłuszczem albo niedogotowanym mięsem. Tym bardziej, że zawsze po każdym posiłku od razu wychodziłem na próby lub imprezy. Kiedy jednak po powrocie do Wałbrzycha ten sam ból pojawiał się ilekroć szedłem szybkim krokiem, przestałem kojarzyć go z żołądkiem. Tak się jednak fatalnie złożyło, że miałem od sierpnia mnóstwo zajęć związanych z remontem sali oraz przygotowaniami do jubileuszu XX-lecia filharmonii, przypadającego w listopadzie. Do tego sporo koncertów, m.in. z IX symfonią Beethovena czy II Chaczaturiana. A zatem jeszcze więcej wyczerpującej pracy dla 72-letniego staruszka i brak czasu, aby pójść do lekarza.

Po jubileuszowych koncertach czułem się tak fatalnie, że zaraz po świętach poszedłem jednak do lekarki – „kardiolożki". Wstępne badanie wykazało anginę pectoris i prawdopodobieństwo zaawansowanej choroby wieńcowej. Elektrokardiogram wypadł fatalnie. Założono mi urządzenie zwane Holterem (od nazwiska wynalazcy?), które również potwierdziło zły stan mojego serca. „Po znajomości" zrobiono mi 30 grudnia USG. Po raz pierwszy zobaczyłem własne bijące serce. Wspaniały widok, z niczym nieporównywalny! Ale to badanie wykazało niedomykanie zastawki oraz potwierdziło chorobę wieńcową. Lekarz obsługujący USG pocieszył mnie, że na razie (co podkreślił z naciskiem) nie grozi mi zawał, ale w razie pojawienia się silniejszych bólów, mam natychmiast jechać do szpitala. A na wszelki wypadek przepisano mi nitroglicerynę.

Aby zakończyć ten opis sercowych przypadłości, cofnę się jeszcze w czasie i przypomnę, że zdarzyło mi się w ciągu poprzednich paru lat cztery razy zemdleć: na próbie, na ulicy, przed gmachem ministerstwa i we własnym gabinecie. Za każdym razem wzywano karetkę pogotowia, która zawoziła mnie do szpitala. Tam wykonywano elektrokardiogram i zalecano natychmiastowa hospitalizację. Ja jednak tłumaczyłem, że muszę opuścić szpital, bo następnego dnia lecę na koncerty do Dubrownika albo na festiwal do Lądka itd. W Warszawie lekarki zażądały nawet podpisania oświadczenia, że opuszczam szpital

na własne żądanie. Po badaniach grudniowych okazało się, że muszę teraz płacić za tę nadmierną eksploatację organizmu.

„Rozróba"

W Szczecinie po zatargu z Radą Zakładową Związku Zawodowego w pierwszym roku pracy, przez szereg lat miałem stosunki poprawne. Popsuły się dopiero po nieomal 10 latach. Przypuszczam, że współpraca lub jej brak pomiędzy kierownictwem zakładu a związkiem zawodowym zależy w głównej mierze od osoby przewodniczącego związku. Jeśli ma wygórowane ambicje, pragnie rządzić lub nie lubi dyrektora, zawsze znajdzie pretekst, aby zaogniać sytuację. Tak się właśnie zdarzyło w Szczecinie po zmianie przewodniczącego, bodajże w roku 1970. Natychmiast po objęciu funkcji rozpoczął podjazdową wojnę i doprowadził do mojej dymisji.

W Wałbrzychu pierwszy konflikt nastąpił po zawiązaniu „Solidarności". Jak wiadomo z historii, to właśnie „Solidarność" stała się przysłowiowym kamieniem, który wywołał lawinę. I tak jak krajowe kierownictwo dążyło do zmiany ustroju, tak komórki zakładowe pragnęły usuwać niewygodnych dyrektorów. Albo przynajmniej pokazywać swoją władzę. „Solidarność" w instytucjach artystycznych pragnęła decydować o podwyżkach, a nawet repertuarze. Nie warto opisywać większych i mniejszych sporów, ponieważ jako bądź co bądź twórca filharmonii, miałem i tak mocniejszą pozycję niż inni dyrektorzy. Najzabawniejszy incydent zdarzył się przed zapowiadanym strajkiem generalnym. Miał zacząć się w południe i trwać przez godzinę. W dniu poprzedzającym strajk przyszli do mnie członkowie komisji zakładowej (bo tak się chyba nazywało to ciało) i powiadomili, że zgodnie z wytycznymi kierownictwa związku o godzinie 12 zajmą mój gabinet. W odpowiedzi parsknąłem śmiechem i powiedziałem:

- Nie wyście mnie wprowadzili do tego gabinetu i nie wy będziecie mnie z niego usuwać.

Nie wiem, co bardziej speszyło związkowców, moje słowa czy śmiech; w każdym razie nie podjęli dyskusji. A strajk generalny został odwołany.

O wiele poważniejszy konflikt nastąpił na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy „Solidarność" już była znowu legalnym związkiem, a jej działacze przejęli władzę w Polsce. Opanowali sejm i senat oraz większość stanowisk w rządzie. W tamtym okresie, co opisywałem wcześniej, filharmonia jeździła stosunkowo często na koncerty za granicę. Skład orkiestry ustalany był przeze mnie w porozumieniu z Radą Artystyczną każdorazowo w zależności od potrzeb repertuaru i warunków finansowych. Dobrzy muzycy wyjeżdżali zawsze, ale zamiast słabych doangażowywałem paru dobrych smyczkowców z Warszawy czy Wrocławia. Wiedziałem, że ci słabsi mieli pretensje, ale dla mnie najważniejszy był wysoki poziom koncertów, gdyż od tego zależały następne wyjazdy.

Pewnego dnia przed próbą przewodniczący reaktywowanej „Solidarności" wstał i zapytał:

- Panie dyrektorze, dlaczego nie wszyscy nasi muzycy wyjeżdżają na tournée zagraniczne, a zamiast nich jadą obcy, z innych miast?

Odpowiedziałem z pewnym ociąganiem, gdyż miałem świadomość, że moje wyjaśnienia będą przykre dla słabszych muzyków.

- Uważam, że powinienem zabierać za granicę najlepszych muzyków, aby godnie reprezentować polską kulturę i zdobywać kolejne zaproszenia.

A na to przewodniczący:

- Ale naszym muzykom należą się wyjazdy zagraniczne.

Nie wytrzymałem i z uśmiechem prawie krzyknąłem:

- Włodziu, jesteś synem Stalina!

Muzycy gruchnęli śmiechem. Przewodniczący zrobił się czerwony na twarzy, a ja ciągnąłem dalej:

- Czyżbyś zapomniał, że teraz jest kapitalizm, wolny rynek i konkurencja? Naszym muzykom za granie w Wałbrzychu należy się pensja, a nie wyjazdy zagraniczne.

W ten sposób sprawa została zakończona, ale przewodniczący nie darował mi – jak się potem okazało – że ośmieszyłem go przed orkiestrą, nazywając „synem Stalina". Parę miesięcy później dwóch czy trzech gościnnych dyrygentów poinformowało mnie, że przyszedł do nich jeden z muzyków, przedstawił się jako przewodniczący zakładowej „Solidarności" i proponował stanowisko… dyrektora Filharmonii Sudeckiej. Jak mi mówili, byli zaskoczeni, a ponieważ propozycja ich nie interesowała – odmówili. Byli to dobrzy dyrygenci, mieszkający w Warszawie czy Krakowie i robiący tzw. międzynarodową karierę.

Postanowiłem pognębić ostatecznie przewodniczącego związku i na najbliższej próbie zwróciłem się do niego z pytaniem:

- Czy to prawda Włodziu, że proponujesz różnym dyrygentom stanowisko dyrektora naszej filharmonii?

Zapadła tzw. śmiertelna cisza. Przewodniczący zbladł, co zauważyłem pomimo mojej krótkowzroczności. Wstał i zaczął, jąkając się, tłumaczyć:

- Bo pan dyrektor nieraz mówił, że mógłby przejść na emeryturę, a ja nie chciałem, aby tu przyszedł ktoś nieodpowiedni.

Uśmiechając się złośliwie zapytałem:

- A nie mogłeś powiadomić mnie wcześniej o swoim zamiarze, zamiast rozmawiać za moimi plecami?

Biedny przewodniczący wyjąkał słabym głosem:

- Wiem, że pan dyrektor ma chore serce i nie chciałem, aby pan dostał zawału.

Dawno nie słyszałem takiego wybuchu śmiechu na estradzie. Z trudem udało mi się rozpocząć próbę. A przewodniczący niebawem załatwił sobie kontrakt zagraniczny i wyjechał na parę lat do Niemiec z jakimś zespołem uzdrowiskowym.

Prawdziwa „rozróba" miała miejsce dopiero w roku 98. Kiedy byłem w czerwcu na operacji oka, dwóch członków „Solidarności" korzystając z mojej nieobecności, rozpoczęło akcję mającą na celu zastraszenie mnie i – jak przypuszczałem później – albo zmuszenia do złożenia rezygnacji, albo wywalczenia jakichś przywilejów dla siebie. Miało to zapewne związek ze zmianą w roku 97 wojewody. Na miejsce lewicowego mianowany został „awuesowiec".

Kiedy wróciłem w sierpniu z urlopu, zjawiła się u mnie delegacja związkowa. Przewodniczący, miły i kulturalny skrzypek zagaił, poczem zabrał głos puzonista, skądinąd dobry instrumentalista. Ponieważ na wiosnę wywalczyłem pewną kwotę na podwyżki od 1 września, puzonista powiadomił mnie, że został powołany „komitet podwyżkowy", który przygotował nową listę pensji. Kiedy próbowałem wyjaśnić, że przyznana kwota niestety nie wystarczy na realizację przedstawionego projektu, puzonista i jedna z najsłabszych skrzypaczek w niewybredny sposób zaatakowali mnie, oskarżając o nieudolność, brak kompetencji, bezradność. Na twarzach pozostałych związkowców zobaczyłem zaskoczenie. Najwidoczniej agresywna para nie uprzedziła ich o swoim zamiarze takiego wystąpienia.

Spokojnie wysłuchałem zarzutów, a potem oświadczyłem, że w takiej sytuacji jeszcze dzisiaj zatelefonuję do wojewody, złożę mu rezygnację i odejdę z pracy. Widziałem przerażenie obecnych. Takiego obrotu sprawy nikt się z nich nie spodziewał. Po chwili ciszy, wstałem i powiedziałem:

- Dziękuję.

Następnego dnia muzycy i urzędnicy o niczym innym nie mówili. Dowiedziałem się, że większość członków „Solidarności" potępiła ataki puzonisty i skrzypaczki i wystosowała pismo do wojewody z prośbą, aby nie przyjmował mojej rezygnacji.

Zgodnie z zapowiedzią zatelefonowałem do wojewody i poprosiłem o rozmowę. Powiedziałem mu na wstępie, że w teczce mam pismo zawierające rezygnację ze stanowiska. Odparł, abym pisma nie wyjmował, gdyż z uwagi na to, że już od dawna posiadam uprawnienia emerytalne, musiałby tę rezygnację przyjąć. I od razu wyjaśnił:

- Ma pan moje pełne poparcie dla tego, co pan robi.

A potem dodał:

- Wprawdzie jestem od pana młodszy, ale pozwolę sobie wyrazić zdziwienie, że przejmuje się pan paroma krzykaczami. Mając tak długie doświadczenie dyrektorskie?

I jeszcze dopowiedział:

- A myśli pan, że ja jako działacz „Solidarności" nie mam nacisków ze strony zarządu regionu? Zawsze odpowiadam, że to ja ponoszę odpowiedzialność za całe województwo, a nie związek zawodowy. Pan zaś odpowiada za filharmonię.

Oczywiście przed pierwszą próbą po urlopie opowiedziałem orkiestrze o „rozróbie" i rozmowie z wojewodą. Zabawne było patrzeć na zawiedzione miny niektórych muzyków. Nigdy już potem nie miałem żadnego poważniejszego konfliktu z „Solidarnością", która zresztą po upadku AWS straciła swoją siłę.

Warto jeszcze wspomnieć, że zaraz po transformacji w roku 89 w siedzibie Miejskiego Komitetu Obywatelskiego (utworzono takie ciała w całej Polsce i przeważnie złożone były z działaczy „Solidarności") odbyło się zebranie poświęcone kulturze. Warto dodać, że te komitety układały listy wyborcze i decydowały o wymianie kadr kierowniczych w urzędach i instytucjach. Jedno z zebrań wałbrzyskiego komitetu poświęcono właśnie dyrektorom trzech instytucji artystycznych. W parę miesięcy później ktoś opowiedział mi w zaufaniu, jak przebiegało.

Zaczęto od teatrów. Na pytanie, jaki jest dyrektor Teatru Dramatycznego, padła odpowiedź „w porządku". I uzasadnienie, że nigdy nie należał do PZPR. W dodatku głośno mówił, iż przynależność partyjna niszczy artystę. O dyrektorze Teatru Lalki i Aktora powiedziano, że wprawdzie był członkiem PZPR, ale po ogłoszeniu stanu wojennego demonstracyjnie oddał legitymację. Kiedy przyszła kolej na Filharmonię Sudecką, zarzucono mi, że nie tylko należałem do PZPR dwadzieścia pięć lat, ale także byłem członkiem Komitetu Wojewódzkiego, a nawet (o zgrozo!) w ostatnich miesiącach 89 członkiem egzekutywy KW, czyli partyjnym prominentem. Podobno po tych słowach zapadła cisza. Wówczas jeden z czołowych działaczy „Solidarności" zapytał:

- A jaki jest jako dyrektor?

Na to obecni z pewną niechęcią przyznali, że dobry.

Wtedy przewodniczący zebrania powiedział:

- No, to niech na razie zostanie.

I to „na razie" trwało siedem lat, pomimo zmian rządów, premierów, ministrów, marszałków.

Jubileusz XX – lecia

Remont sali i holu rozpoczął się w końcu maja, natychmiast po ostatnim koncercie, a skończył w pierwszych dniach września, tuż przed pierwszym koncertem jubileuszowego sezonu. Hol malowano i sprzątano dosłownie w ostatniej chwili. Fotele na sali odkurzano, podczas gdy orkiestra odbywała próby. Osobiście nie znoszę takiego stylu pracy, ale niestety musiałem się do niego nieraz dostosowywać. Nawet najlepiej przygotowane plany przekreślają takie czynniki jak bałagan organizacyjny, lekceważenie obowiązków czy zwykła niekompetencja. Udało się jednak rozpocząć sezon i zabrać się za przygotowania do uroczystości jubileuszowych. Wysłaliśmy 190 (!) listów do większych przedsiębiorstw. Żadne nie raczyło odpowiedzieć. Dopiero jeden z członków komitetu organizacyjnego, będący przewodniczącym Sudeckiej Izby Handlowo-Przemysłowej, tzw. prywatnymi kanałami pozyskał kilkunastu sponsorów, którzy łącznie wpłacili niecałe 15 000 zł. Kwoty były różne, od 2 500 zł do… 100 zł. Dzięki temu mogliśmy wydrukować małą, zaledwie 40-stronicową monografię i zapłacić za wspólną kolację pracowników.

Główny koncert jubileuszowy, który odbył się 27 listopada miał uroczysty charakter. Były przemówienia, wśród których wyróżniły się dwa. Wojewoda chwaląc osiągnięcia filharmonii, na zakończenie powiedział (cytuję z pamięci): „Poprzednie władze zrobiły tylko jedną dobrą rzecz – założyły filharmonię!" Wywołało to oczywiście burzliwe oklaski. A w słowie wstępnym do monografii napisał: „Politycy odchodzą, województwa przemijają, a Filharmonia Sudecka pozostaje". Myślę, że takie słowa powinny stanowić swoiste memento dla zmieniających się władz różnego szczebla.

Drugie znaczące przemówienie wygłosiła przedstawicielka ministerstwa. Wychwalała pod niebiosa działalność filharmonii, szczególnie tę edukacyjną, a mnie sławiła, tytułując raz po raz mistrzem. Stojąc na estradzie między muzykami, z trudem powstrzymywałem śmiech. A potem były medale i dyplomy. Ja otrzymałem najwyższe jak dotąd odznaczenie: Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. „Pozostał" mi jeszcze Wielki Krzyż tegoż orderu, no i Order Orła Białego. Wojewoda uroczyście założył mi na szyję wstążkę z orderem i przypiął do fraka wielką błyszcząca gwiazdę. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, co niestety „uwiecznili" fotografowie. Ale jak utrzymać powagę przy tak anachronicznej ceremonii?

A po paru dniach „Tygodnik Wałbrzyski" opublikował na tytułowej stronie moje zdjęcie z krzyżem na szyi, gwiazdą na piersi i głupawym uśmiechem na twarzy. Powiedziałem wówczas, że jestem człowiekiem z pierwszej strony gazety. A Małgorzata i Wiosna nie mogły powstrzymać się od złośliwej uwagi, że „Tygodnik Wałbrzyski" to żadna licząca się gazeta.

Kiedyś bodajże w latach sześćdziesiątych wydrukowano na pierwszej stronie „Trybuny Ludu" wybity ogromną czcionką tytuł: Uroczysty koncert z okazji… (nie pamiętam już jakiej). Na początku informacji wymieniono imiona i nazwiska najważniejszych osobistości, które na ów uroczysty koncert przybyły. Potem duże fotografie czołowych przywódców i teksty ich przemówień. A na samym dole stronicy, gdzieś w kąciku jedno zdanie: „W części artystycznej wystąpili wybitni artyści warszawscy". Daję słowo, że tego nie zmyśliłem. Rozumiem, że gdyby tytuł informacji brzmiał „Uroczysta akademia z okazji", można byłoby usprawiedliwić małą wzmiankę o części artystycznej. Ale skoro napisano „koncert", należało choćby na drugiej stronicy wymienić tych wybitnych artystów.

Przypomniało mi się to zdarzenie w związku z jubileuszem filharmonii i moją fotografią na pierwszej stronie. Choć ustrój się zmienił, dla redakcji „Tygodnika Wałbrzyskiego" ważniejsze było przyznanie mi wysokiego odznaczenia, jakiego podobno jeszcze nikt w historii Wałbrzycha nie otrzymał, niż cały jubileusz.

Na sobotnim powtórzeniu jubileuszowego koncertu zjawił się ponownie wojewoda, aby przemówić do naszych melomanów (w piątek salę wypełnili wyłącznie zaproszeni przedstawiciele władz, urzędów i instytucji). A ja wręczyłem „po kwiatku" najstarszym posiadaczom abonamentów, którzy towarzyszyli nam od samego początku.

Był to ostatni jubileusz filharmonii jako instytucji wojewódzkiej. Od 1 stycznia 99, w wyniku przeprowadzanej w pośpiechu reformy administracyjnej, zlikwidowane zostało województwo wałbrzyskie. Obok 33 innych. Kiedy piszę te słowa pod koniec 2006 roku, mogę stwierdzić z całym przekonaniem, że należało albo zostawić prawie wszystkie 49 województw, albo utworzyć 6-8 dużych regionów. Powołane do życia 16 nowych województw nie spełniło pokładanych w nich nadziei. Trzysta kilkadziesiąt powiatów zawiodło jeszcze bardziej. Rozrosła się tylko niepomiernie biurokracja. Obok dużych silnych województw, inne z trudem dają sobie radę. Jeszcze gorzej z powiatami, jedne są bogate, a drugie pogrążają się w nędzy. Liczono, że ograniczenie liczby województw wzmocni samorządy. Stało się przeciwnie, wzmocniła się zależność od władz centralnych. Tym bardziej, że ustawa o samorządach okazała się niemal od początku legislacyjnym bublem. Ale rozważania na ten temat przekraczają tematykę tej autobiografii.

Druga operacja

W styczniu 99 miałem z Wandzią dwa koncerty: w Wałbrzychu i Szczecinie. Chciała z okazji 70-lecia urodzin po raz ostatni – jak oświadczyła – zagrać oba koncerty Szymanowskiego.

A w lutym pojechałem do kliniki we Wrocławiu na operację lewego oka. Podobnie jak w czerwcu, zabieg się udał, tzn. wyjęto mi soczewkę z zaćmą, przyszyto sztuczną i po trzech dniach wróciłem do domu. Przez jakiś czas wszystko było w porządku, ale potem operowane oko zaczęło nagle boleć. Jak to ja, nie przywiązywałem do tego wagi. Ale kiedy ból nie ustępował, pojechaliśmy do Wrocławia. Na widok mojego oka lekarka wpadła w panikę. Z jej słów wynikało, że coś się stało w oku, co spowodowało gwałtowny wzrost ciśnienia krwi. Ponieważ nie znam się na medycynie, moja relacja może być nieprecyzyjna. Otrzymałem zastrzyk, po którym omal nie zemdlałem, ponieważ gwałtownie obniżył ciśnienie… także w sercu. Przerażona lekarka zaaplikowała mi jakąś pastylkę, która podniosła ciśnienie.

Nie będę relacjonował dalszych licznych zabiegów, którym mnie poddano. Ostatecznie profesorka, będąca kierowniczką Kliniki Okulistyki, zdecydowała się na tzw. reoperację. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale wyraziłem zgodę. Ostatecznie utrata oka była czymś nieporównywalnie gorszym niż ponowna operacja. Uśpiono mnie i…

Tutaj robię dramatyczną pauzę, ponieważ przebudzenie po narkozie było jednym z najbardziej przerażających przeżyć w moim długim życiu. Obudziłem się w jakimś wielkim, jasno oświetlonym pomieszczeniu i słyszałem jednostajny szum. Znacznie później zorientowałem się, że to szumiały liczne maszyny reanimacyjne. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wydobyć głosu. Próbowałem się poruszyć. Bez rezultatu – byłem przywiązany.

Przez ułamek sekundy wyobraziłem sobie, że umarłem i znalazłem się w piekle. Jednak resztką świadomości odegnałem tę absurdalną myśl.

Ale gdzie jestem? Dlaczego tak oślepiające światło i co to za szum? I dlaczego nie mogę wydobyć głosu? Zacząłem się szarpać i charczeć. Dopiero po dłuższym czasie tej koszmarnej walki zjawiła się pielęgniarka. Widząc moje wysiłki, powiedziała:

- Proszę leżeć spokojnie. Zaraz przyjdzie lekarz.

I odeszła, a ja zrozumiałem, że podczas operacji musiało się ze mną stać coś złego.

Po pewnym czasie zjawił się lekarz, pochylił się nade mną i poczułem, jak wyciąga mi coś z gardła. Zobaczyłem długą rurkę; potem dowiedziałem się, że był to respirator. Gardło miałem obolałe, ale zdołałem wykształcić:

- Co się stało? Gdzie ja jestem?

I wówczas dowiedziałem się, że w czasie reperacji nastąpiło zakłócenie pracy serca. Lekarka miała do wyboru: albo kontynuować zabieg, ratujący oko, ale niosący ryzyko zawału i ewentualnie śmierci, albo przerwać zabieg, co oznaczało utratę oka, ale pozwalało na ratowanie życia.

Lekarz powiedział dosłownie:

- Wrócił pan z bardzo daleka. Był pan nieprzytomny około ośmiu godzin. Cieszę się, że udało nam się pana wybudzić.

W domyśle: i przywrócić do życia.

A Małgorzata, znając godzinę reoperacji, zatelefonowała do Kliniki Okulistycznej, aby dowiedzieć się o moje samopoczucie. Kiedy podała nazwisko, dyżurująca po godz. 15 pielęgniarka odpowiedziała krótko:

- Takiego pacjenta nie ma u nas na oddziale.

Małgorzata opowiadała później, że o mało nie zemdlała. Ubłagała pielęgniarkę, aby to sprawdziła. Po dłuższym oczekiwaniu pielęgniarka stwierdziła:

- Był taki pacjent, ale po operacji nie wrócił już na oddział.

Scena jak z kiepskiego filmu. Małgorzata dosłownie parę godzin usiłowała się dowiedzieć, co się ze mną stało. Czy jeszcze żyję? Dopiero późnym wieczorem dodzwoniła się na reanimację, gdzie poinformowano ją, że udało się mnie wybudzić i mojemu życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo.

Nie będę opisywał równie szczegółowo dalszego ciągu. Następnego dnia na moje stanowcze żądanie przeniesiono mnie z tej ogromnej reanimacyjnej sali na oddział intensywnej terapii do dwuosobowego pokoju. Spędziłem tam chyba około dwóch tygodni. Potem wróciłem do Kliniki Okulistycznej, gdzie sama pani profesor w asyście paru lekarek uświadomiła mi, że lewe oko straciłem bezpowrotnie. Wiedziałem zresztą o tym już wcześniej, gdyż lekarka, która mnie operowała, przybiegła zaraz następnego dnia po przerwanym zabiegu i płacząc przedstawiła sytuację. Czuła się, biedna, odpowiedzialna za to co się stało. Jak twierdziła, nieudany zabieg zdjęcia katarakty, zdarza się raz na 30 000 udanych. Akurat musiało na mnie trafić!

Lekarze, z którymi potem rozmawiałem, mieli różne opinie. Kardiolodzy twierdzili, że przy moim ówczesnym stanie serca nie powinno się było w ogóle robić operacji oka. Interniści uważali, że to nie narkoza spowodowała stan przedzawałowy, ale jakiś inny czynnik. Ich opinie potwierdziło w pewnym sensie USG głowy, które miałem parę miesięcy później. Lekarka obsługująca aparaturę, po zobaczeniu wyników zapytała:

- Kiedy miał pan wylew w mózgu?

Zaskoczony, odpowiedziałem, że nigdy. Na to usłyszałem, że USG wykazało ślad niedawnego wylewu. I wówczas skojarzyłem, że – być może – ten właśnie niewielki wylew

zwiększył ciśnienie krwi w oku i spowodował jego utratę. Ale tymi przypuszczeniami z nikim się nie podzieliłem.

Oko wolno, ale stopniowo zapadało się w głąb oczodołu. Trwało to – jak sobie przypominam – ze dwa lub trzy lata. Skutkiem tego było opadanie górnej powieki, co wyglądało po prostu nieestetycznie. Zacząłem nosić przyciemnione szkła, ale to utrudniało pracę dyrygencką i biurową, a przede wszystkim męczyło wzrok. Zdecydowałem się zatem na sztuczne oko. Początkowo drażniło mnie obce ciało w oczodole i męczyłem się przy codziennym wkładaniu i wyjmowaniu. Ale po pewnym czasie jakoś się przyzwyczaiłem. Oczywiście widać różnicę pomiędzy żywym a sztucznym okiem, ale nie jest rażąca i pozwala na noszenie zwykłych przezroczystych szkieł.

Wiele osób radziło mi po tej nieudanej operacji, abym wystąpił do kliniki z żądaniem odszkodowania, a w razie odmowy – oddać sprawę do sądu. Nie zdecydowałem się jednak na ten krok. Może nie miałem racji, ale wydawało mi się to niemoralne. Obie operacje robiła ta sama lekarka i fakt, że druga się nie udała, nie wynikał w moim przekonaniu z zaniedbań, braku umiejętności, lekceważenia czy obojętności. Nie był to chyba również tzw. błąd w sztuce, ponieważ przez pierwsze dni po operacji oko goiło się prawidłowo. A potem, gdy wzrosło ciśnienie krwi w oku, lekarki ratowały mnie na różne sposoby. Moim zdaniem był to po prostu nieszczęśliwy wypadek. Przez nikogo niezawiniony. Zaś późniejszy wynik USG o wylewie w mózgu umocnił mnie w tym przekonaniu.

Koszmarne miesiące

Po powrocie do Wałbrzycha podjąłem pracę z dawną intensywnością, biorąc jednak przepisane mi lekarstwa na serce. Niestety, po paru dniach pojawiły się liczne dolegliwości. Niemal codziennie po obiedzie miałem potężne dreszcze, które – bez przesady – rzucały mną po tapczanie. Trząsłem się z zimna i Małgorzata lub Wiosna przykrywały mnie wszystkimi kocami. Temperatura gwałtownie wzrastała do 40°C, aby niebawem spaść do 35°. Przyjeżdżało pogotowie, lekarz aplikował mi jakiś zastrzyk, po którym mokry od potu, wracałem do w miarę normalnego stanu. A rano, jeśli miałem dość siły, jechałem autobusem do pracy. Jeśli czułem się zbyt słaby, urzędowałem przy telefonie lub pracownice biura przyjeżdżały do mnie.

Znajomy ordynator oddziału kardiologicznego w wałbrzyskim szpitalu dowiedziawszy się o kolejnej wizycie karetki pogotowia, zażądał stanowczo, abym przyjechał na tzw. hospitalizację w celu przeprowadzenia kompleksowych badań. Kiedy był świadkiem mojego ataku, zaczął szukać przyczyn. Jego szybka i trafna diagnoza uratowała mi – jestem pewien – życie. W którymś z wrocławskich szpitali zarażono mnie posocznicą. Ordynator, którego nazwisko zawsze przechowywać będę we wdzięcznej pamięci, a który parę lat później został dyrektorem dwóch połączonych szpitali – to Roman Szełemej. Zastosował właściwe lekarstwa, zlikwidował posocznicę, a na podstawie przeprowadzonych badań uznał, że „coś mam z nerkami". Zawiózł mnie samochodem do Wrocławia, gdzie specjalista urolog po zobaczeniu epikryzy, natychmiast następnego dnia ściągnął mi z lewej nerki 400 mg ropy. Tak mi w każdym razie mówił.

Był to już zatem kolejny przypadek „wymigania się" od śmierci.

W kwietniu, w związku z fatalnym stanem serca, zrobiono mi koronografię. Wykazała ponad wszelką wątpliwość konieczność wszczepienia tzw. by-passów. Ordynator oddziału

kardiologicznego wrocławskiej Akademii Medycznej powiedział mi w zaufaniu, że osobiście wolałby, aby zabieg wykonano nie u niego, ale w Katowicach, u prof. Bochenka. Byłem pełen uznania dla jego uczciwości. Później dowiedziałem się, że operacja by-passów u człowieka starego jest zabiegiem trudnym i ryzykownym. A ja miałem już 73 lata i zniszczone serce.

Ordynator, sam zresztą już po sześćdziesiątce, napisał list do Bochenka, którego znał osobiście. Zapewne z uwagi na tę protekcję i moje nazwisko – znakomity kardiochirurg wyraził zgodę i od razu wyznaczył datę przyjazdu do Katowic: 4 czerwiec 99.

Nie wdając się w szczegóły, napiszę tylko, że I Klinika Kardiologiczna Śląskiej Akademii Medycznej była już w owym czasie na europejskim poziomie, który znałem dotąd tylko z filmów. Nie można jej było porównać z wrocławską kliniką i wałbrzyskim szpitalem. „Po znajomości" miałem osobny pokój z własną łazienką i toaletą. Opieka lekarsko – pielęgniarska bez zarzutu.

Operacja, którą przeprowadził osobiście prof. Bochenek, przebiegła bez zakłóceń i po tygodniu usłyszałem, że następnego dnia mogę wracać do domu. Kiedy powiadomiłem o tym Małgorzatę, z którą byłem w stałym kontakcie telefonicznym (aparat miałem przy łóżku; rzecz niebywała w naszych szpitalach!), myślała, że żartuję. I tu muszę zrelacjonować zabawny, choć mógłby być tragiczny, wypadek. Na pożegnanie prof. Bochenek zalecił Małgorzacie, aby jechała wolno i ostrożnie, ponieważ po tak poważnym zabiegu powinienem unikać wstrząsów. Opuściliśmy klinikę i niebawem znaleźliśmy się w Zabrzu. A tam jakiś samochód nieprawidłowo zajechał nam drogę. Nastąpiło zderzenie. Iście filmowa historyjka.

Muszę przyznać, że zaraz po uderzeniu, pomacałem się i stwierdziłem z satysfakcją, że żyję. A przecież taki potężny wstrząs mógłby spowodować pęknięcie jednego z trzech by-passów, co oznaczało natychmiastowy wylew krwi i śmierć. Następny szczęśliwy traf.

Potem wysiadłem i pocieszałem płaczącą i trzęsącą się w nerwowym ataku Małgorzatę. Zjawiła się policja. Wina tamtego kierowcy była bezsporna. Co najmniej godzinę trwały formalności na Komendzie Policji i sprowadzenie tzw. pomocy drogowej. W konsekwencji zamiast jechać spokojnie osobowym samochodem 5-6 godzin, trzęsłem się przez 10 godzin na lawecie!

Zgodnie z umową, wczesnym rankiem następnego dnia, jeszcze przed tzw. obchodem, Małgorzata zatelefonowała do Bochenka, aby zrelacjonować, jak zniosłem podróż. Kiedy opowiedziała mu o wypadku, tylko jęknął – „Jezus Maria!". Po wysłuchaniu relacji, że pomimo 10-godzinnej jazdy na trzęsącej lawecie, wykąpałem się, zjadłem kolację i przespałem noc, Bochenek powiedział – „Będzie żył dwieście lat!"

W sierpniu po raz pierwszy w życiu i – jak dotąd – ostatni, byłem przez trzy tygodnie w sanatorium. Nigdy przedtem nie miałem czasu. Po tych wszystkich przejściach ważyłem 60 kg. Ale szybko przybrałem na wadze. Co najważniejsze – serce funkcjonowało bez zarzutu. Do pracy wróciłem od razu po przyjeździe z sanatorium, a na początku października miałem już pierwszy koncert. Zaraz po nim pojechałem do Wrocławia do Kliniki Urologicznej, gdzie wycięto mi lewą nerkę. Jak wykazały liczne badania, w ogóle nie funkcjonowała. Od kiedy – nie było wiadomo. Jeden z lekarzy powiedział, że być może nawet od urodzenia.

I tak zakończył się ten trwający od lutego najbardziej koszmarny okres w moim życiu.

Co jeszcze warto zapisać „ku pamięci"? Chyba o tzw. Prezento-łapówkach w służbie zdrowia. Poza kwiatami przy opuszczaniu szpitali – nigdy nie wręczaliśmy lekarzom bardziej materialnych wyrazów wdzięczności. Małgorzata tylko raz zapytała profesora kardiologii, tego który załatwił operację u Bochenka, czy nie mogłaby się jakoś odwdzięczyć. A on

obruszył się na nią i uciął rozmowę. I jeden raz, chyba przed operacją nerki, przyszedł do mnie wieczorem anestezjolog. Najpierw mówił o swojej odpowiedzialnej pracy, potem o nędznych płacach w służbie zdrowia, a na zakończenie o absurdalnej sytuacji, w której lekarze różnych specjalności mogą dorabiać w przychodniach czy prywatnych gabinetach, ale anestezjolodzy skazani są wyłącznie na szpitalne pensje. Potakiwałem mu, domyślając się o co chodzi. Ale udałem głupca, który nie rozumie „subtelnych aluzji" i anestezjolog, acz niechętnie, wyszedł z pokoju.

Przed operacją w Katowicach dowiedzieliśmy się, że prof. Bochenek jest znawcą i kolekcjonerem dobrej porcelany. Poprosiliśmy zatem, aby znajoma kupiła mu od nas mały serwis meissenowskiej porcelany i zaniosła sama do jego domu. Bochenek taktownie nie wspomniał o tym przy pożegnaniu.

Kiedy opuszczaliśmy kolejny szpital, Małgorzata zostawiała pielęgniarkom kawę i czekoladki. Muszę lojalnie przyznać, że nigdy nie zetknąłem się z bezpośrednim żądaniem łapówki ze strony lekarzy, o czym krążą najbardziej fantastyczne opowiadania.

Zabawnym szczegółem do zrelacjonowania było tytułowanie mnie przez wszystkich lekarzy profesorem. Na początku próbowałem tłumaczyć, że nie jestem profesorem. Na próżno. Uznali widocznie, że w moim wieku i z tak znanym nazwiskiem i pozycją w kulturze – na pewno kiedyś byłem profesorem. W konsekwencji było to wygodne, ponieważ często zapewniało lepszą opiekę, szczególnie ze strony pielęgniarek. Nawiasem mówiąc, gdybym pracował w mieście, w którym działa akademia muzyczna, to na pewno byłbym w niej wykładowcą.

Muszę szczerze wyznać, że byłem trudnym pacjentem. Wprawdzie starałem się nie absorbować nadmiernie personelu medycznego, ale domagałem się przestrzegania moich praw pacjenta. Dlatego czasami wybuchały konflikty z lekarzami, a zwłaszcza z pielęgniarkami. Były to jednak raczej drobne incydenty, o których nie warto pisać.

Załatwiłem z ordynatorami, którzy byli zresztą w przeciwieństwie do mnie prawdziwymi profesorami, że będę mógł używać elektrycznej maszynki do golenia i telefonu komórkowego. Z oporami wyrażali zgodę. Zezwolili także na przyjmowanie urzędniczek, które przyjeżdżały z dokumentami do podpisu. Ponieważ nie miałem od wielu lat zastępcy do spraw administracyjnych, nikt poza mną nie miał prawa podpisu obok głównej księgowej na jakichkolwiek dokumentach finansowych. Zdarzyło się więc, choć na szczęście tylko raz, że na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej profesor zastał przy moim łóżku aż trzy urzędniczki, każda z teczką dokumentów. Pokiwał tylko z dezaprobatą głową i poprosił, aby panie zbyt mnie nie męczyły.

Przez cały okres chorób, operacji, pobytów w szpitalu ani razu nie wziąłem zwolnienia lekarskiego. Przy opuszczaniu szpitala otrzymywałem Kartę Informacyjną z opisem choroby i zabiegów oraz recepty. A siostra oddziałowa pytała, na jak długo „pan profesor" potrzebuje zwolnienie lekarskie. Odpowiadałem, że w ogóle nie potrzebuję takiego zwolnienia. Zdziwionej pielęgniarce tłumaczyłem, że od razu muszę zacząć pracować, najpierw w domu, a potem w biurze. Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

I jeszcze jedna sprawa, o której wolę nie pisać. O cewnikach, rurkach, opatrunkach, workach z moczem itd. Było to nie tylko kłopotliwe, ale także upokarzające. To właśnie wtedy podjąłem decyzję, że postaram się, aby już nigdy nie dopuścić do takiego stanu. Postanowiłem żyć w miarę normalnie tak długo jak tylko się da, tzn. dopóki starczy mi sił. A to co zamierzam zrobić później, nie należy do tematu tej książki.

Żegnając się ze mną, prof. Bochenek powiedział:

- Gwarantuję panu profesorowi piętnaście lat życia i pracy.

Odparłem:

- Dziękuję, starczy mi dziesięć.

Na razie minęło siedem.

„Sępy”

Kiedy leżałem – jak to się mówiło dawniej – „złożony niemocą na łożu boleści”, dowiedziałem się, że we wrocławskim Urzędzie Marszałkowskim pojawiło się kilka osób, zgłaszających swoje kandydatury na stanowisko dyrektora Filharmonii Sudeckiej. Przypominało to oczekiwanie sępów na rychły zgon ofiary. Ilu było kandydatów – nigdy się nie dowiedziałem, ale o czterech wiem na pewno. Trzech ze mną rozmawiało, a czwarty sam o swoich staraniach rozpowiadał. Małgorzata była oburzona i twierdziła, że to świństwo. Ja byłem bardziej tolerancyjny. Rozumiałem, że filharmonia była „łakomym kąskiem”. Choć borykała się, jak większość instytucji artystycznych, z trudnościami finansowymi, to było wiadomo, że cieszy się poparciem władz. Orkiestra była duża i miała opinię zdyscyplinowanego zespołu na stosunkowo wysokim poziomie.

Pierwszym kandydatem, który mnie odwiedził w wałbrzyskim szpitalu, kiedy leżałem pod kroplówką i walczyłem z posocznicą, był młody, dwudziestoparoletni Michał Nesterowicz. Był na pewno zdolnym dyrygentem, ale zżeranym przez ambicję i – co gorsza – zarozumiałym. Dlatego muzycy w różnych orkiestrach niezbyt lubili z nim pracować.

Kiedy usiadł przy łóżku i zgłosił chęć zostania moim następcą na „dyrektorskim stołku”, w przypadku gdybym przeszedł na emeryturę z uwagi na stan zdrowia, uznałem w tej sytuacji za swój obowiązek wprowadzić młodego człowieka w styl i zakres pracy instytucji. Opowiedziałem mu o różnych formach działalności, kładąc nacisk na najbardziej w Polsce rozbudowane koncerty edukacyjne dla szkół i przedszkoli. Kiedy skończyłem, Nesterowicz oświadczył:

- To mnie nie interesuje. Ja chciałbym dyrygować koncertami symfonicznymi przynajmniej raz w każdym miesiącu.

Byłem niemile zaskoczony tymi słowami. Wyjaśniłem młodemu człowiekowi, że mamy w miesiącu tylko dwa koncerty. Ja sam dyryguję tylko na początku sezonu i na jego zakończenie, ponieważ uważam, że zarówno orkiestra jak i słuchacze powinni poznawać różnych dyrygentów polskich i zagranicznych. Powiedziałem:

- Gdyby dyrygował pan w każdym miesiącu, to szybko „opatrzyłby się” pan i muzykom, i słuchaczom.

Nie chciałem użyć określenia „znudziłby się”. A na to Nesterowicz:

- Ale to będzie konieczne, bo muszę odcisnąć na orkiestrze swoje piętno.

Kiedy usłyszałem te słowa, straciłem chęć do dalszej rozmowy. Jeżeli dwudziestoparoletni dyrygent uważa za swoje główne zadanie jako dyrektora instytucji, odciśnięcie „piętna” na orkiestrze, to znaczy, że nie nadaje się na to stanowisko. Przypuszczam zresztą, że żaden z wielkich dyrygentów nie odciskał świadomie i celowo swojego „piętna” na żadnej z kierowanych orkiestr. Gdyby ktoś im o tym powiedział, parsknęliby zapewne śmiechem. Wybitna osobowość nie potrzebuje takich zabiegów.

Powiedziałem zatem swojemu gościowi, że czuję się już zmęczony, czym skłoniłem go do zakończenia wizyty. Jednocześnie skreśliłem go w myślach jako ewentualnego kandydata na swojego następcę.

Rozmowa z kolejnym kandydatem, a właściwie dwoma kandydatami, miała miejsce w iście filmowych okolicznościach. Było to bodajże w marcu (ciągle piszę o roku 99), między jednym a drugim pobytem w szpitalach. Jak już wspomniałem, od 1 stycznia przestało istnieć województwo wałbrzyskie i filharmonia oraz Teatr Dramatyczny przeszły pod zarząd Dolnośląskiego Sejmiku Wojewódzkiego. (Pozostałe instytucje kultury zostały przejęte przez miasto). Marszałkiem, bo takie nowe stanowisko utworzono, wybrano dawnego działacza „Solidarności", z zawodu profesora matematyki. Jak się dowiedziałem, interesował się kulturą i był melomanem. Miałem zatem podstawy do przypuszczeń, że mógł chodzić na moje koncerty we Wrocławiu. O jego stosunku do kultury świadczyło wyłączenie jej z zakresu kompetencji wicemarszałka i pozostawienie wyłącznie do swojej dyspozycji. Myślę, że był to jedyny tego rodzaju przypadek w całym kraju.

Marszałek wiedział oczywiście o moich problemach zdrowotnych i poprosił, abym go odwiedził przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Umówiliśmy się zatem, że prosto po wypisaniu ze szpitala, w drodze do domu, złożę mu wizytę. Ponieważ Urząd Marszałkowski nie miał jeszcze gotowej siedziby, mieścił się „gościnnie" na jednym piętrze Urzędu Wojewódzkiego.

W ustalonym dniu przyjechał po mnie samochód filharmonii. Byłem tak osłabiony, że przy wchodzeniu na schody musiałem korzystać z pomocy Małgorzaty i kierowcy. Ponieważ przybyliśmy przed umówioną godziną, postanowiliśmy zaczekać na fotelach w obszernym holu. Nagle zobaczyłem śpieszących na moje spotkanie dwóch panów. Znałem ich, ponieważ parę lat wcześniej wymyślili nowy festiwal, który nazwali „Porozumienie". Organizowali co roku na wiosnę różnego rodzaju imprezy zarówno we Wrocławiu jak i w innych miastach Dolnego Śląska. Moja filharmonia również brała udział w tych koncertach.

A teraz, w holu Urzędu Wojewódzkiego czekali na mnie, aby przedstawić mi swoje kandydatury na stanowisko dyrektora naczelnego i dyrektora artystycznego, które dotąd sam jeden piastowałem. Bałem się, że Małgorzata wybuchnie. Widziała, z jakim wysiłkiem przezwyciężam osłabienie i to czyhanie na moje odejście uważała za obrzydliwe.

Rozmowa z oboma panami wyglądała w ten sposób, że oni mówili, a ja słuchałem w milczeniu, kiwając potakująco głową. Na szczęście po paru minutach wyszła sekretarka i powiedziała, że marszałek może mnie już przyjąć.

Spotkanie było krótkie. Powiedziałem szczerze, że nie wiem, jak się skończą przewidywane operacje i jeśli marszałek uważa, iż byłoby lepiej dla filharmonii, gdybym natychmiast przeszedł na emeryturę – proszę, aby się nie krępował. W odpowiedzi usłyszałem jedno zdanie, którego nigdy nie zapomnę:

- Panie dyrektorze, wolę, aby to pan zarządzał filharmonią nawet z karetki reanimacyjnej, niż miałby to robić ktokolwiek inny zza biurka.

I powiedział to „solidarnościowy" marszałek do ekspartyjnego dyrektora!

Dla ilustracji tamtych pierwszych miesięcy funkcjonowania Sejmiku Dolnośląskiego przytoczę jeszcze jedno zdarzenie. Marszałek zarządził, aby radni – członkowie Komisji Kultury, spotykali się po kolei z każdym dyrektorem instytucji kultury, podległych sejmikowi. Było ich 14 czy 15: filharmonie, teatry, muzea itp. Nie pamiętam dokładnej daty, ale spotkania odbywały się chyba w kwietniu lub maju. Na jedną instytucję przeznaczono godzinę. Spotkanie ze mną ustalono między jedną a druga moją bytnością w szpitalu.

Przez 15-20 minut opowiadałem o problemach filharmonii, kładąc nacisk – jak zwykle – na działalność edukacyjną wśród dzieci. Potem były pytania, przeważnie dowodzące małej znajomości specyfiki instytucji. Ale niektóre były sensowne i trafiające w sedno zagadnień. Muszę przyznać, że atmosfera była przychylna, być może z uwagi na obecność marszałka.

Kiedy skończyły się pytania, przewodniczący Komisji Kultury, prof. Leon Kieres, ten sam który niebawem został pierwszym szefem IPN (Instytut Pamięci Narodowej), podziękował mi za działalność edukacyjną i oświadczył niespodziewanie, że otrzymam na nią o 200 000 zł więcej. Było to przyjemne zaskoczenie, za które szczerze podziękowałem. A kiedy parę tygodni później przy jakiejś okazji spotkałem marszałka, ten powiedział:

- Myślałem, że zabiję tego Kieresa. Nikomu poza panem nie dołożył, a ja miałem kłopot ze znalezieniem takiej sumy.

Obaj śmialiśmy się serdecznie, a ja teraz, po latach uważam za swój kronikarski obowiązek podać nazwisko tego marszałka: Jan Waszkiewicz. Po wyborach w roku 2001 przestał pełnić funkcję i wrócił na uczelnię. A ja zachowałem go we wdzięcznej pamięci.

Rozdział XL

NOWE STULECIE

Nigdy, jako dorosły człowiek, nie przywiązywałem wagi do tzw. okrągłych rocznic. A przeróżne obchody z nimi związane po prostu mnie śmieszyły. Ogólnoświatowe podniecenie, związane ze zbliżającym się rokiem 2000, uważałem za sztucznie rozdmuchiwane. Kryły się za tym – podejrzewałem – rozliczne interesy polityczne i finansowe. Najbardziej spektakularne były histeryczne informacje o możliwości sparaliżowania całej światowej sieci komputerowej. Oparte były na spekulacjach, że zmiana pierwszej cyfry z 1 na 2 spowoduje katastrofę, zablokuje konta we wszystkich bankach, zakłóci pracę koncernów, uniemożliwi łączność itd. Kiedy czytałem te apokaliptyczne prognozy, chciało mi się śmiać. Przypuszczałem, że informatycy i programiści celowo wyolbrzymiają potencjalne zagrożenia i przeliczają je na swoje zwiększone dochody.

Okazało się, że i tym razem miałem rację. Pierwszego stycznia 2000 nie nastąpiła żadna totalna katastrofa. Wszystkie systemy – jak potem donosiły media – działały bez zakłóceń.

Ale te przesadnie artykułowane niebezpieczeństwa do tego stopnia ogłupiły ludzi, że wiele osób, nawet na eksponowanych stanowiskach, głosiło, że pierwszego stycznia 2000 zacznie się nowe tysiąclecie i tym samym XXI wiek. Kiedy pierwszy raz przeczytałem to w jakimś czasopiśmie – nie wierzyłem własnym oczom. Tytuły ogłaszały „Koniec XX wieku", „Koniec drugiego tysiąclecia" czy „Nowe Milenium". W stolicach wielu krajów szykowano – jak czytałem – szczególnie uroczyste obchody na Sylwestra. Na szczęście w porę zorientowano się w pomyłce i uniknięto kompromitacji na skalę międzynarodową.

Rok 2000

Jak już wspomniałem, dla mnie osobiście żadne daty i związane z nimi uroczystości, nie mają znaczenia. Są całkowicie umowne. Rozumiem, że dla funkcjonowania społeczeństw periodyzacja jest niezbędna, ale nie przywiązuję do niej żadnych symbolicznych wartości. Jak wiadomo, we wszystkich kulturach istniały kalendarze. Jeszcze jeden przykład potrzeby człowieka do porządkowania otaczającej go rzeczywistości. Naturalnej czy nabytej – nie wiem. Być może człowiek ma zapisaną w genach potrzebę ładu, ale z równym powodzeniem ta potrzeba mogła pojawić się wraz z samoświadomością. Wierzę, ze kiedyś uczeni rozwikłają tę zagadkę.

Te rozważania zaprowadziłyby mnie jednak za daleko i dlatego ograniczę się jedynie do wyznania, że pomimo mojej niechęci do dat i „szufladkowania", przez długie lata w pierwszych dniach stycznia dokonywałem swoistego podsumowania minionego roku. Porównywałem plusy i minusy, sukcesy i porażki życia osobistego i zawodowego, a także to, co działo się w Polsce i na świecie. Dzięki tej metodzie mogłem określić rok 1999 jako

jeden z najgorszych w moim życiu. Różne pomyślne wydarzenia zostały przytłoczone przez choroby, operacje, pobyty w szpitalach.

A jaki był dla mnie rok następny, kończący XX wiek? Nieporównywalnie lepszy. W roku 2000 odzyskałem dawną formę i mogłem żyć i pracować jak poprzednio. Jedno oko służyło dobrze, choć niestety myliłem odległości i słabo widziałem przy kiepskim oświetleniu. Jedna nerka funkcjonowała bez zastrzeżeń, a to co najważniejsze, nie odczuwałem żadnych dolegliwości sercowych. Oczywiście zgodnie z zaleceniami lekarzy brałem trzy przepisane na serce medykamenty i jeden na prostatę, która w moim wieku była niestety powiększona. Jedynym poważnym problemem okazało się pogorszenie słuchu. Zaczęło się to już bardzo dawno w latach siedemdziesiątych, ale z upływem czasu stawało się coraz bardziej odczuwalne.

W czerwcu Wiosna skończyła liceum, uzyskując tzw. maturę z paskiem, co zostało odpowiednio przez rodziców nagrodzone. Potem pojechała na trzytygodniowy kurs przygotowawczy do Warszawy. Zdała pomyślnie egzaminy wstępne i od października rozpoczęła studia na Uniwersytecie Warszawskim, tak jak sobie zaplanowała.

Jak już pisałem, w lecie miałem trzy koncerty we Francji, połączone ze zwiedzaniem południowej części, a konkretnie departamentu Ardéche.

Podjąłem pisanie cotygodniowych felietonów, usiłując skłonić czytelników do samodzielnego myślenia. Walczyłem z mitami, stereotypami i przesądami, z obojętnością, brakiem tolerancji, uprzedzeniami, ignorancją i arogancją.

W filharmonii starałem się rozszerzać w miarę możliwości działalność edukacyjną w szkołach i przedszkolach, dbając zarazem o utrzymanie poziomu orkiestry.

Warto jeszcze napisać o rozpoczęciu stałej współpracy ze Szczawnem. Na jesieni 2000 zaproponowano mi występ orkiestry w dniu 11 listopada, ale bynajmniej nie z okazji rocznicy odzyskania niepodległości. Koncert miał być poświęcony pobytowi Zygmunta Krasińskiego w Szczawnie. Okazało się, że właśnie w tej miejscowości umówił się z Joanną Bobrową, aby zakończyć wieloletni romans. Nawiasem mówiąc, zrobił to raczej w bezwzględny sposób, o czym wiemy z historii literatury polskiej. Na koncert wybrałem utwory o charakterze romantycznym, zgodne z recytowanymi wierszami. Przygotowałem również na podstawie biografii Krasińskiego i jego listów odpowiednią prelekcję. Jedynym błędem pomysłodawców było zaproszenie dobrej skądinąd aktorki z Warszawy, aby recytowała miłosne wiersze Krasińskiego dedykowane i adresowane do Bobrowej. Moim zdaniem powinien to być jednak mężczyzna. Koncert miał nadspodziewane powodzenie i od razu po jego zakończeniu burmistrz Szczawna Tadeusz Wlaźlak, zaproponował mi następny o podobnym charakterze w dniu 3 maja 2001. Przyznaję, że pomysł bardzo mi się spodobał. Wymyśliłem zatem następującą fikcyjną „fabułę": marszałek Stanisław Małachowski wysyła do paru europejskich dworów specjalnego wysłannika, aby wysondował, jak władcy przyjmą uchwalenie nowej polskiej konstytucji. Ów wysłannik był melomanem i podróż po Europie wykorzystał przy okazji do poznania ówczesnych kompozytorów i ich dzieł. Pozwoliło to na ułożenie ciekawego i spójnego programu.

Ten koncert miał jeszcze większe powodzenie i tak rozpoczęła się stała współpraca pomiędzy filharmonią a Szczawnem. 11 listopada graliśmy utwory związane luźno z tą rocznicą (np. różnego rodzaju marsze), a 3 maja utwory o charakterze „wiosennym".

Raz zabawiłem się, wymyślając fikcyjną, rzekomo niedawno odnalezioną legendę, związaną z początkami Szczawna. Ku mojemu zdziwieniu, wielu słuchaczy uwierzyło, że legenda jest autentyczna i dopytywało się, w jakim wydawnictwie ją znalazłem i czy możliwe jest jej nabycie.

Te szczawieńskie koncerty jak i wcześniejsze – rotariańskie, o których pisałem, dowodziły, że można przy pomocy oryginalnej formuły dotrzeć do nowych słuchaczy. Potrzebne jest tylko zrozumienie ważności prawdziwie wartościowej muzyki przez dysponentów „kasy" jak np. prezydenta Klubu Rotary czy burmistrza Szczawna.

Szkoda, że spotkać ich można tak rzadko.

Mógłbym w tym miejscu rozpisać się o wydarzeniach politycznych w Polsce i świecie, które miały miejsce w ostatnich latach XX wieku, ale zrezygnowałem, gdyż były przeważnie nader przygnębiające. Potworne mordy w byłej Jugosławii i wzajemne wyżynanie się plemion Hutu i Tutsi w Afryce budziły grozę. A tzw. społeczność międzynarodowa okazała się bezsilna. Tak więc kończący się wiek XX nie nastrajał zbyt optymistycznie. Był jednym z najbardziej krwawych, choć nie podzielałem opinii, że wyróżniał się specjalnie w całej historii ludzkości. Ludzie mordowali się nawzajem w każdej epoce. Pod różnymi pretekstami. Wzniosłe religie i szlachetne idee zawsze wiązały się z przerażającymi okrucieństwami. Wystarczy przypomnieć wyprawy krzyżowe, inkwizycję, wojnę trzydziestoletnią, podboje islamu, kolonializm, hitleryzm czy stalinizm. Szczególnie bolesna była świadomość zbrodni popełnianych w imię jedynego Boga.

Zgadzałem się z uczonymi, którzy określali homo sapiens jako jedyny gatunek w świecie zwierzęcym, charakteryzujący się tak silną agresją wewnątrzgatunkową. Czyżby taka była cena za dumnie brzmiące człowieczeństwo? W którym momencie rozwoju człowieka pojawił się „gen okrucieństwa"?

A jednocześnie miałem świadomość, że cały wiek XX był okresem największego rozkwitu techniki. Takiej liczby wynalazków i odkryć naukowych nie było w żadnej innej epoce. Postęp medyczny nie miał sobie równych. To w XX wieku do powszechnego użytku weszły lodówki, pralki, telefony, radio, telewizja, samochody, samoloty. A potem komputery, obwody scalone, mikroprocesory, telefony komórkowe. Itd. itd.

Osobiście za największe osiągnięcie tego krwawego stulecia uważam jednak zmiany w prawodawstwie. Po raz pierwszy w historii zostało ustalone na poziomie globalnym, jakie działania są niezgodne z prawem. I mimo wszystko starano się tego przestrzegać. Potępiono zabijanie ludności cywilnej, czystki etniczne, tortury, wypędzenia, niewolniczą pracę dzieci. Klęska Ligi Narodów, niepowodzenia i błędy ONZ nie mogą przesłonić osiągnięć społeczności międzynarodowej w zapobieganiu konfliktom zbrojnym. A także starano się wymuszać przestrzeganie praw człowieka. Nie miejsce tutaj na rozszerzenie tego tematu. W rozmaitych wypowiedziach podkreślałem jednak, że to dopiero w XX wieku pojawiło się pojęcie ludobójstwa. I choć nadal zabijano, gwałcono, torturowano, wypędzano – w odczuciu oraz prawodawstwie społeczeństw cywilizowanych przestało to być dozwolone. Zwłaszcza w drugiej połowie wieku. Stara zasada biblijna „oko za oko, ząb za ząb" została uznana za niezgodną z prawem.

Terroryzm przez setki lat stosowany bezkarnie, zwłaszcza w formie państwowej i religijnej – stracił moralną i prawną akceptację, przynajmniej w większości państw. Niezależnie od celu, któremu służy. A tak rozpowszechniany w XXI wieku terroryzm fundamentalistów islamskich, choć groźny, wydaje się zjawiskiem marginalnym i przejściowym. Przyszłość pokaże czy mam rację.

Nadszedł wreszcie Sylwester 2000 roku i wiek XX zakończył się ostatecznie. A wraz z nim drugie tysiąclecie. Kiedy skończyłem 60 lat, data 2000 wydawał mi się tak odległa, że prawie nieosiągalna. Mogę się przyznać, że w roku 99 nie wierzyłem, iż doczekam następnego wieku. Kolejny przykład zawodności ludzkich oczekiwań.

Moje kandydowanie

Jak wiadomo z historii, w czerwcu 1989 odbyły się wybory parlamentarne, określane jako pierwsze wolne. Ginąca PZPR zaproponowała mi kandydowanie do pierwszego po wojnie senatu. Ponieważ zgodnie z ustaleniami tzw. Okrągłego Stołu, w przyszłym sejmie dla „Solidarności" przewidziano tylko 35%, prominentni działacze PZPR woleli kandydować do sejmu. Województwo wałbrzyskie miało dwa mandaty senatorskie. Razem ze mną kandydował lekarz ze Świebodzic, tak więc na liście PZPR nie mieliśmy konkurentów i mogliśmy obaj występować wspólnie. Lekarz miał samochód i jeździliśmy razem na wyborcze spotkania. Było ich mało, bodajże trzy lub cztery. Pozostawiły nienajlepsze wrażenia. Przychodziło mało osób, przeważnie w starszym wieku. Każdy z nas, kandydatów, mówił parę zdań o sobie oraz o planowanym działaniu w senacie. A potem miały być pytania. Okazało się, że ludzie, głównie członkowie PZPR, nie byli przyzwyczajeni do tego rodzaju przedwyborczych spotkań i po prostu nie umieli zadawać pytań.

Jedyne ciekawe spotkanie odbyło się w Wałbrzychu. W zamyśle organizatorów miało być dyskusją pomiędzy kandydatami na senatorów ze wszystkich partii. W konsekwencji stało się konfrontacją kandydatów PZPR z kandydatami „Solidarności" i co gorsze – z udziałem publiczności. Lekarz i ja zostaliśmy dosłownie zakrzyczani przez zwolenników „Solidarności". Nie obeszło się bez wyzwisk pod naszym adresem. Nie mieliśmy najmniejszych nawet szans na przedstawienie swoich stanowisk. Widziałem zażenowanie na twarzach solidarnościowych kandydatów. Im także przerywano agresywnymi krzykami. Nigdy dotąd, nawet za studenckich czasów nie brałem udziału w tego rodzaju spotkaniu.

Jak wiadomo z historii, wszystkie mandaty w senacie zdobyli kandydaci „Solidarności". Aby wygrać, często wystarczała fotografia z Wałęsą.

Rok później, w maju 1990 kandydowałem z listy nowo powstałej SDRP w wyborach samorządowych, również określanych jako pierwsze wolne. I pomimo że nie prowadziłem żadnej kampanii wyborczej (jeśli nie liczyć jednego spotkania z garstką byłych członków PZPR) – wygrałem. Ale o swojej działalności jako radnego już pisałem.

W roku 1993 miały się odbyć przyspieszone wybory. Tym razem SLD nie zaproponował mi kandydowania. Przypuszczałem, że moje felietony, które w owym czasie pisałem do różnych czasopism, oraz wypowiedzi w radio i telewizji nie przypadły do smaku starym, partyjnym „wyjadaczom". Choć wyraźnie podkreślałem swoje laicko – lewicowe poglądy, krytykowałem wszystkie opcje polityczne. Bynajmniej nie zmartwiłem się tym pominięciem mojej osoby, gdyż – jak już pisałem – pierwsze lata dziewięćdziesiąte były najtrudniejsze dla kultury i miałem ogromną ilość pracy jako dyrektor filharmonii. Niespodziewanie wybory wygrał SLD. Prawica poniosła klęskę. Mała, dotąd nic nieznacząca Unia Pracy, która powstała dopiero w 92 roku z połączenia dawnych reformatorów PZPR i rozczarowanych lewicowców z „Solidarności", zdobyła aż 41 mandatów.

Ponieważ SLD nie zaproponował mi także kandydowania do Rady Miasta w rok później, zrobiła to Unia Pracy i z tej listy wygrałem wybory w mojej dzielnicy. Pomimo iż nie odbyłem ani jednego spotkania z wyborcami. I zostałem jedynym radnym z tej partii w całym mieście.

Kontakty z Unią Pracy nadal trwały, o czym również już pisałem i zapewne dlatego w 97 roku zaproponowano mi, abym z jej listy kandydował do sejmu. Wahałem się, ponieważ

byłem już zmęczony i czułem się coraz gorzej. Ale z drugiej strony nęciła mnie możliwość działania na szerszym polu. Wreszcie podjąłem decyzję: zgadzam się na kandydowanie pod warunkiem, że będę na czele listy wojewódzkiej. Zaczęły się rozmowy, dyskusje, negocjacje. Okazało się, że umieszczono mnie dopiero na dalekim miejscu. Domyśliłem się, że byłem potrzebny tylko po to, aby zdobyć dla lidera głosy inteligencji. Unia Pracy nie miała bowiem w Wałbrzychu mocnej pozycji w środowisku inteligenckim, popierającym zdecydowanie Unię Demokratyczną. Kiedy oświadczyłem, że rezygnuję z kandydowania, przesunięto mnie na trzecie miejsce i tłumaczono, że to decyzja kierownictwa Unii Pracy, pierwsze miejsca zarezerwowano dla dotychczasowych posłów. Podtrzymałem zatem swoją rezygnację. Jeszcze w przeddzień zamknięcia list, przyjechał do mnie do mieszkania poseł i przez 40 minut (co sprawdziłem na zegarku) usiłował wpłynąć na zmianę mojej decyzji. Twardo odmówiłem.

Jak wiedzą ci, którzy interesują się historią Polski po 89 roku, Unia Pracy nie przekroczyła w skali kraju 5-procentowego progu i do sejmu w ogóle nie weszła.

Ostatnia próba

Minęły cztery lata i w roku 2001, przed kolejnymi wyborami zjawił się u mnie przewodniczący wałbrzyskiego zarządu Unii Pracy. I ku mojemu zdziwieniu zaproponował mi kandydowanie na senatora. Przy okazji dowiedziałem się, że kierownictwo zrozumiało, iż Unia jest zbyt słaba, aby samodzielnie wejść do parlamentu i dlatego zawiązała wyborczą koalicję z SLD. Listy i kampania miały być wspólne. Nie będę opisywał ze szczegółami treści porozumienia co do liczby i rozdziału miejsc na listach, ponieważ zajęłoby to zbyt wiele czasu.

Powiedziałem przewodniczącemu, że senat ma w społeczeństwie fatalną opinię, którą osobiście podzielam. Nie przypomina ani dawnego polskiego senatu ani współczesnych podobnych ciał we Włoszech czy Francji. Uprawnienia obecnego polskiego senatu są tak ograniczone, że właściwie jego rola staje się czystą fikcją. Ponieważ nie zależało mi nigdy ani na zaszczytach, ani na pieniądzach, podziękowałem za propozycję i odmówiłem. Stwierdziłem, że jeśli w ogóle zdecydowałbym się na kandydowanie, to tylko na posła. Przewodniczący wyraził zrozumienie dla mojego stanowiska i obiecał, że przedstawi je centralnym władzom Unii w Warszawie.

Kiedy opowiedziałem o tej rozmowie Małgorzacie, nie zastanawiając się długo, orzekła, że nie powinienem w ogóle kandydować. Jej zdaniem nie nadaję się do polityki. Na próżno tłumaczyłem, że mogę się przydać krajowi. Umiem pisać i mówić, nie boję się kamer i mikrofonów, mam doświadczenie organizacyjne. Ponadto nie dam się ani zastraszyć ani przekupić. I nie wdaję się w żadne układy personalne. Moje argumenty nie przekonały Małgorzaty.

- To nie dla ciebie – stwierdziła stanowczo – Zbyt wiele tam brudów, intryg, podłości. Szkoda twojego zdrowia.

Ale współpracownicy i znajomi byli odmiennego zdania. „Tam w sejmie brakuje ludzi uczciwych i kompetentnych" – mówili.

Po paru dniach zjawił się przewodniczący i oświadczył, że w Warszawie zaakceptowano moją propozycję. Na wspólnej poselskiej liście będzie 12 kandydatów z SLD i 2 z UP. Ja dopiero na 7 miejscu, a drugi kandydat Unii chyba na 11. Nie podobało mi się to siódme

miejsce, ale taka była decyzja krajowego komitetu wyborczego połączonych partii. Później dowiedziałem się, że był to perfidny zamysł lidera listy, mającego tzw. chody w Warszawie. Według obliczeń, nawet wysokie zwycięstwo SLD, umożliwiało zdobycie maksimum sześciu mandatów na przewidziane dla regionu wałbrzyskiego osiem. Zabezpieczono zatem pierwsze sześć miejsc na liście dla członków SLD, a zarazem ludzi z ekipy lidera. W takiej sytuacji nie miałem żadnych szans na sukces. Zebrane przeze mnie parę tysięcy głosów pracowników oświaty i kultury – zwiększyło wydatnie ogólną liczbę głosów oddanych na listę SLD – UP i umożliwiło pokonanie dwóch partii prawicowych, które otrzymały zaledwie po jednym głosie. Ale o tym wszystkim dowiedziałem się jeszcze później, choć powinienem był się wcześniej domyślić.

Spotkania przedwyborcze tak organizowano, abym w ogóle nie mógł przemawiać. Nawet w Związku Kombatantów, którego byłem członkiem! Zdarzyło się kilka razy, że w ogóle nie zawiadomiono mojego komitetu wyborczego o miejscu i terminie spotkania i jechali na nie tylko kandydaci SLD. Mógłbym jeszcze przytoczyć więcej przykładów nieuczciwego traktowania „koalicjanta". Ale takie są niestety brudne reguły walki o stołki, w tym przypadku o fotele. I nie chodziło bynajmniej o sprawy polityczne; walka szła o zdobycie wysokich diet poselskich i inne korzyści nie tylko materialne.

A potem przez cztery lata posłowie z „drużyny" lidera byli tylko marionetkami do podnoszenia ręki w czasie głosowania. Niczym się nie wykazali i nikt z nich nie został wybrany w roku 2005. A cały SLD poniósł klęskę i stracił władzę. Nic dziwnego. Przy takich posłach?

W tym miejscu pozwolę sobie na krótki przegląd historyczny. Zaledwie po trzech latach obrzydliwych „wojen na górze" padł pierwszy wolny sejm. Już nie pamiętam, ilu było premierów w tamtym okresie. Zły to był prognostyk. Rozczarowani obywatele oddali głosy na lewicę. Tę samą, którą obalili cztery lata wcześniej. Nieudolność koalicji SLD – PSL sprawiła, że wahadło sympatii i zaufania odchyliło się znowu na prawo. Tym razem w roku 1997 na AWS. Te rządy skłóconej prawicy były jeszcze gorsze. Ponownie w roku 2001 większość społeczeństwa zawierzyła SLD i znowu srodze się zawiodła. Arogancja zgubiła lewicę. W roku 2005 władzę przejęły skrajne prawicowo – populistyczne partie. Czy znowu na cztery lata?

Te zmiany dowodzą niedojrzałości naszego społeczeństwa i braku demokratycznej tradycji. Polska szlachecka już w XVIII wieku była anachronizmem. Nie przyjęliśmy ani tzw. absolutyzmu oświeconego ani tym bardziej masy szlacheckie nie chciały przyswoić sobie zdobyczy Oświecenia. Potem straciliśmy niepodległość i naród walczył o przetrwanie. Kiedy zachodnia Europa krwawo uczyła się demokracji parlamentarnej, my traciliśmy kolejne pokolenia w przegranych powstaniach. Międzywojenne dwudziestolecie również nie było szkołą państwa prawa. Potem pięć lat okupacji hitlerowskiej i prawie czterdzieści ograniczonej suwerenności i fikcji demokracji parlamentarnej. Kiedy Polacy mieli nauczyć się fundamentów tzw. społeczeństwa obywatelskiego? I okazało się niestety, że członkowie elit politycznych prezentują najgorsze cechy narodu. Nie warto ich wymieniać; znamy je aż nadto dobrze.

W roku 1989 powiedziałem, że muszą minąć co najmniej dwa pokolenia, abyśmy stali się prawidłowym demokratycznym państwem prawa. A jak dotąd, minęło zaledwie 17 lat.

Kończąc te smutne rozważania, muszę stwierdzić, że nigdy więcej nie kandydowałem już do żadnego ciała. Dostałem wystarczająco gorzką nauczkę. I chcąc nie chcąc, przyznałem rację Małgorzacie. Nie powinienem był w ogóle kandydować. Okazało się ponad wszelką wątpliwość, że polityka to zajęcie nie dla mnie.

Jubileusz XXV – lecia

Organizując uroczystości jubileuszowe w roku 2003, miałem pełną świadomość, że będzie to ostatni jubileusz na stanowisku dyrektora. (A może i w ogóle ostatni w życiu). Zaplanowałem bowiem, że na wiosnę 2006 roku, kończąc osiemdziesiąt lat – odejdę definitywnie na emeryturę. Nie tyle z powodów wiekowo – zdrowotnych, ile ze zmęczenia odpowiedzialnością. Pracując miałem pełną świadomość, że odpowiadam za warunki bytowe 100 pracowników i ich rodzin, a także za upowszechnianie muzyki w całym regionie. A to obejmowało starania o pieniądze, poziom orkiestry, dobór atrakcyjnych wykonawców, sensowny repertuar itd. Stanowczo miałem już dość tej uporczywej walki z władzami, marazmem w społeczeństwie wałbrzyskim i rozgoryczeniem (skądinąd uzasadnionym kiepskimi warunkami materialnymi) znacznej części muzyków. Podobne zdanie miała Małgorzata. Ciągle powtarzała:

- Jak długo jeszcze zamierzasz poświęcać się dla innych? Masz moralne prawo do wypoczynku.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami, mogłem jako kombatant przejść na emeryturę mając 60 lat, tzn. w roku 1986. A zatem już przed 17 laty!

Tak więc postanowiłem jubileusz XXV-lecia filharmonii uczcić możliwie jak najuroczyściej. Zwróciłem się do prezydenta RP z prośbą o objęcie patronatem jubileuszu najmłodszej polskiej filharmonii. Wiele osób odradzało mi ten krok, gdyż podobno Kwaśniewski przyjął zasadę, że zostaje patronem imprez o charakterze ogólnym, a nie jednostkowym. Okazało się jednak, że wyraził zgodę, co nadało odpowiednią rangę całej uroczystości. W skład Komitetu Honorowego weszli m.in. minister, wojewoda, marszałek. Na koncert jubileuszowy zaprosiłem prezydenta RP, ministra kultury, choć wiedziałem, że nie przyjadą. Ale słusznie przewidywałem, że napiszą listy, pełne słów uznania dla działalności filharmonii i mojej także. Ponadto zaprosiłem rozmaitych „notabli" z Warszawy, Wrocławia i przede wszystkim Wałbrzycha. Przybyli prawie wszyscy z marszałkiem dolnośląskim włącznie.

Program ułożyłem sprytnie. W tzw. części oficjalnej po hymnie narodowym były przemówienia, czyli „hymny" pochwalne. Warto utrwalić jedno: Dzieduszyckiego. Miał już 91 lat i poruszał się z trudem. Dlatego wygłosił je z fotela, na którym siedział. Wspomniał koncert inauguracyjny sprzed 25 lat. Był to miły akcent. A na zakończenie części oficjalnej wykonaliśmy mojego „Oberka". Część koncertowa składała się z II koncertu na orkiestrę Konowalskiego i suity „Spartakus" Chaczaturiana. Utwór Konowalskiego powstał na moje zamówienie. Prosiłem kompozytora o uwzględnienie dwóch warunków: czas trwania – ok. 10 minut i za darmo! I tak się też stało; Konowalski zgodził się napisać utwór bez honorarium, za co mu byłem wdzięczny, jak również za piękną dedykację w partyturze. A suitę „Spartakus" ułożyłem z paru najlepszych – moim zdaniem – fragmentów baletu.

Po koncercie odbyła się stosunkowo krótka kolacja dla dygnitarzy i warszawsko – wrocławskich gości. A w sobotę „normalny" koncert, na którym uczciłem najstarszych melomanów. Potem kolacja dla wszystkich pracowników i ich rodzin. Małgorzata i ja wyszliśmy wcześniej, ale podobno zabawa z tańcami trwała do późnej nocy.

Wydana została 60-stronicowa monografia, po raz pierwszy z kolorowymi zdjęciami. I również po raz pierwszy ja napisałem okolicznościowy tekst. Doradziły mi to pracownice biura twierdząc, że nikt inny nie zna tak zakulisowych działań przed powołaniem filharmonii ani zasad i celów całej późniejszej działalności. Tekst zajął ponad dwadzieścia stron druku i mam nadzieję, że rzetelnie przedstawił sukcesy i niepowodzenia dwudziestopięciolecia.

Jedynym – w moim odczuciu – niemiłym zgrzytem był brak państwowych odznaczeń. Wystąpiłem odpowiednio wcześniej o różne medale, ale ospałość pracowników Urzędu Wojewódzkiego i Ministra Kultury sprawiły, że wnioski nie dotarły na czas do kancelarii prezydenta. Było mi przykro ze względu na zasłużonych pracowników, ale oni sami pocieszali mnie mówiąc, że przecież medale nie mają żadnego znaczenia. Istotnie, nastąpiła niemal całkowita deprecjacja wszelkich państwowych (nie wspomnę o lokalnych czy resortowych) odznaczeń. Kiedyś dzięki medalom można było otrzymać wcześniej awans czy nawet przydział mieszkania. Ponadto istniała realna, materialnie wymierna korzyść. Po krzyżach zasługi można było doczekać Orderu Odrodzenia Polski, nazywanego potocznie „Restitutą". A ta gwarantowała dodatek (nie pamiętam 10- czy 20-procentowy) do emerytury. Ale ten przywilej został zniesiony po transformacji. Nowa, prawicowa władza nieufnie odnosiła się do odznaczonych tzw. postkomunistów.

W poprzednim ustroju robotnicy, a szczególnie górnicy, otrzymywali masowo medale. W obecnym te zaszczyty spływają na tzw. opozycjonistów. Przy każdej nadarzającej się okazji różne osoby, które były - jak to się mówi – represjonowane, otrzymują wysokie odznaczenia państwowe. Jest to absurd, ponieważ działalność antyrządowa nie jest sama w sobie zasługą.

Skoro już o tym piszę, to również zdewaluowały się tytuły: „Zasłużony obywatel" czy „Honorowy obywatel". Rekord absurdu osiągnęły miasta i miasteczka, przyznając te tytuły papieżowi Janowi Pawłowi II.

Odejście

Zbliżał się nieuchronny koniec mojej pracy na etacie dyrektora. Powoli przygotowywałem do swojego odejścia przede wszystkim urzędniczki w biurze filharmonii, z którymi pracowałem codziennie przez długie lata. Bały się nowego dyrektora i ewentualnych zmian w stylu pracy. Uspokajałem je, że nie odejdę z dnia na dzień i że postaram się o dobrego następcę. Podobnie tłumaczyłem muzykom, że będę szukał na stanowisko dyrektora nie tylko dobrego dyrygenta, lecz także przyzwoitego człowieka. Jakże się myliłem!

Zaraz po jubileuszu uzgodniłem w ustnej rozmowie z ówczesnym marszałkiem, Henrykiem Gołębiewskim, że odejdę na emeryturę wiosną 2006 roku, kiedy skończę 80 lat. Ewentualnego następcę Urząd Marszałkowski zatrudni już od 1 stycznia, abym mógł go „wprowadzić" i stopniowo przekazywać władzę. Marszałek rozumiał, że każdy nowy człowiek będzie miał trudności przy wprowadzaniu jakichkolwiek zmian po moich dwudziestosiedmioletnich rządach. Po tej rozmowie wysłałem pismo, w którym potwierdziłem swoją decyzję odejścia i podałem cztery nazwiska dyrygentów, jako kandydatów na moje miejsce. Gołębiewski powiedział przy innej okazji, że podziela moją troskę o jak „najłagodniejsze" przekazanie władzy. I dodał, że jako twórca filharmonii mam prawo do uczestniczenia w wyborze nowego dyrektora.

W roku 2004 Gołębiewski na skutek intrygi w sejmiku wojewódzkim został odwołany ze stanowiska marszałka. Jego następca, członek PiS, dobrał sobie do Zarządu innych prawicowców i zaczął robić tzw. czystkę kadrową. Zaczął od Urzędu Marszałkowskiego, a potem zabrał się za instytucje wrocławskie. Przez ten czas ani on, ani nikt z zarządu nie interesował się filharmonią. Wysyłaliśmy plany, sprawozdania oraz wszelkie inne dokumenty, ale nie zaproszono mnie ani razu na jakiekolwiek zebranie, ani tym bardziej

nikt nie odwiedził Wałbrzycha. Byłem zdziwiony, ponieważ przez czterdzieści lat mojej dyrektorskiej pracy nie spotkałem się z takim brakiem zainteresowania. W każdym roku parę razy kolejni marszałkowie spotykali się z dyrektorami podległych instytucji, odwiedzali je, przyjeżdżali na koncerty i spektakle. Tym razem działaliśmy w całkowitej izolacji. Niektórzy ludzie doradzali mi, abym sam poprosił o rozmowę marszałka, jego zastępcę lub chociaż dyrektora wydziału kultury. Odpowiadałem zawsze, że jest taki zwyczaj w cywilizowanych krajach, że to nowy zwierzchnik jako pierwszy zaprasza do siebie dawnych pracowników albo sam ich odwiedza.

Wreszcie wczesną wiosną 2005 roku dyrektor wydziału kultury niespodziewanie zatelefonował do mnie i uzgodniliśmy termin rozmowy we Wrocławiu. Uważałem to za objaw złego wychowania. Jako stosunkowo młody człowiek, powinien był – moim zdaniem – przyjechać do Wałbrzycha i przedstawić się bądź co bądź staremu i zasłużonemu twórcy filharmonii. Oczywiście pojechałem do Wrocławia i okazało się, że jedynym tematem tej pierwszej rozmowy jest termin mojego przejścia na emeryturę. Nic innego nie interesowało dyrektora wydziału kultury. Nie zapytał o największe trudności filharmonii ani o nasze zamierzenia. Było to wręcz zaskakujące zachowanie.

Powiedziałem o swoim piśmie do marszałka Gołębiewskiego i o uzgodnionym terminie odejścia z filharmonii.

Potem odbyliśmy jeszcze parę rozmów telefonicznych, a kiedy po raz drugi pojechałem do Wrocławia, czekał na mnie pisemny tekst porozumienia, dotyczący przejścia na emeryturę. Nie wdając się w szczegóły, które były dla mnie upokarzające, z tekstu wynikało, że Urząd Marszałkowski zorganizuje mi uroczysty koncert w maju 2006 z okazji 80 urodzin, ale na emeryturę mam przejść od razu, w maju 2005. Przed odejściem do moich obowiązków będzie należało przygotowanie dla nowego dyrektora całego sezonu 2005/2006. A następnie przez cały ten sezon mam być albo doradcą, albo specjalistą do spraw artystycznych. I w takim to charakterze w zamyśle Urzędu Marszałkowskiego będę się „kręcił" po instytucji, którą założyłem.

Było coś obrzydliwego w tej propozycji. Nie spodziewałem się po tylu latach pracy takiego potraktowania. Po parodniowym zastanowieniu oraz odbyciu rozmów z Małgorzatą i różnymi osobami – stanowczo odmówiłem. I pomimo ponawianych nalegań dyrektora wydziału, decyzji nie zmieniłem. Było widoczne, że nowe władze marszałkowskie chcą się mnie pozbyć jak najprędzej. I to w brutalny sposób, nie przebierając w środkach. Czy dlatego, że byłem lewicowcem? A może mieli jakieś perspektywiczne plany likwidacji filharmonii? A może po prostu byłem dla nich niewygodny jako człowiek?

Otrzymałem odwołanie ze stanowiska z dniem 31 maja, pomimo że zgodnie z przepisami miałem pracować jeszcze trzy miesiące, przygotowując przyszły sezon. Kolejny nonsens potwierdzający, że z jakichś nieznanych mi przyczyn władze nie chciały mnie dłużej widzieć na stanowisku dyrektora. Nie zachowując nawet pozorów przyzwoitości.

Orkiestra zażądała spotkania z resortowym wicemarszałkiem. Przyjechał razem z dyrektorem wydziału kultury. Muszę przyznać, że muzycy walczyli o to, abym został przynajmniej jeszcze jeden sezon i odszedł dopiero za rok, a w międzyczasie przygotował następcę. Żadne argumenty nie wpłynęły na zmianę decyzji obu przedstawicieli Urzędu Marszałkowskiego.

27 maja zadyrygowałem koncertem, zamykającym sezon 2004/2005. Potem zabrałem się za przygotowywanie następnego sezonu. Ponieważ nie wiedziałem czy przyszły dyrektor będzie dyrygentem czy tylko menagerem, nie przewidziałem dla niego żadnego

koncertu. Dla siebie zarezerwowałem jak zwykle tylko dwa koncerty: na początku i końcu sezonu. Oraz jeden dodatkowy, od dawna zaplanowane „Requiem" Mozarta, od paru lat niewykonywane w Wałbrzychu.

Okazało się, że mam jeszcze niewykorzystane urlopy za trzy lata. Tak więc miałem jeszcze otrzymać dodatkowo trzy pensje. A ponieważ w październiku musiałem poddać się operacji wycięcia żylaków z lewej nogi (z prawej wycięto mi w roku 1980), wziąłem tym razem zwolnienie lekarskie. Na skutek tego zakończyłem stosunek pracy dopiero 30 listopada 2005, ale do filharmonii przestałem przychodzić od razu po koncercie inauguracyjnym 9 września. Na prośbę nowego dyrektora na koncercie 4 listopada zmieniłem „Requiem" Mozarta na „Mesjasza" Haendla, ponieważ uznał, że dzieła Mozarta należy zostawić na następny, rocznicowy rok.

Nie doszedł do skutku najważniejszy „pożegnalny" koncert, przewidziany na maj 2006. Zaplanowałem, że wykonam moją najbardziej ukochaną symfonię – I Brahmsa. Kiedy się jednak dowiedziałem, że na skutek działań nowego dyrektora orkiestra uległa znacznemu zmniejszeniu (np. z 8 wiolonczel, które miałem jeszcze w 2005 roku, zostało zaledwie 5) – zrezygnowałem w ogóle z dyrygowania. Tak więc pożegnalny koncert nie odbył się i wielu muzyków oraz melomanów było zawiedzionych, jak się potem dowiedziałem.

Przez cały ten okres Urząd Marszałkowski zachowywał się wręcz skandalicznie. Nie otrzymałem nawet listu, dziękującego za wieloletnią pracę. Również na osiemdziesiąte urodziny nie otrzymałem gratulacji ani od marszałka ani od ministra. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Dotychczas ministrowie z różnych opcji politycznych pamiętali o tzw. okrągłych rocznicach. Cóż, widocznie nastały inne obyczaje. Według mnie – chamskie.

Natomiast władze lokalne zachowały się przyzwoicie. Na jesieni 2005 na uroczystej sesji Rady Powiatu otrzymałem tytuł „Zasłużony dla powiatu wałbrzyskiego". Zaś na wiosnę 2006 także tytuł „Zasłużony dla Wałbrzycha" na równie uroczystej sesji Rady Miejskiej. Byłem przekonany, że wiadomości o tych wyróżnieniach dotarły do marszałka. Ale nie spowodowało to żadnych działań z jego strony. A przecież gdyby był człowiekiem kulturalnym, powinien załatwić jeszcze jeden medal i urządzić uroczyste pożegnanie. Okazało się jednak, zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz, że obecni dygnitarze z PiS nie respektują tego, co nazywa się protokołem dyplomatycznym, czy zwykłą przyzwoitością. Jak mawiał Zagłoba: „cham chamem".

Tak więc paru ludzi potrafiło zepsuć moje pożegnanie z własną instytucją i co więcej – zakończenie 60-letniej pracy zawodowej. Wyobrażałem sobie piękną uroczystość na ostatnim koncercie i moje wystąpienie, podsumowujące 28 lat działalności jako dyrektora filharmonii. Wszystko to zostało bezpowrotnie przekreślone. Piszę „bezpowrotnie", ponieważ tego co się stało, nie da się już naprawić. Jeszcze jeden przyczynek do starego powiedzenia, że w Polsce większość władz nie potrafi rozstawać się kulturanie.

ZAKOŃCZENIE

No, dobiłem wreszcie do zakończenia, które razem z wstępem zepnie moje wspomnienia w całość. Mam nadzieje, że dotrzymałem zobowiązania, pisząc tylko o tym, czego byłem uczestnikiem lub świadkiem. Tam, gdzie musiałem zdać się na relację osób trzecich, uczciwie używałem zwrotów w rodzaju „jak słyszałem", „jak mi opowiadano", „podobno" itd.

We wstępie próbowałem wyjaśnić, dlaczego w ogóle zdecydowałem się na spisanie wspomnień; teraz – jak sądzę – powinienem dokonać czegoś w rodzaju podsumowania. Ba, ale czy ma to jakikolwiek sens? Przecież moje życie trwa nadal. Czy ukończenie 80 lat cokolwiek zamyka? W rzeczywistości ważniejsze było przejście na emeryturę, przestałem bowiem otrzymywać pensję i chodzić codziennie do etatowej pracy. Ale data 15 maja 2006, poza symbolicznym znaczeniem „kalendarzowym", niczego nie zmieniła. W cztery miesiące później, we wrześniu uczestniczyłem w otwarciu w wałbrzyskim muzeum wystawy poświęconej mojej osobie. A w parę tygodni później nastąpiło prawykonanie skomponowanej przeze mnie pierwszej w życiu pieśni religijnej. A potem do końca roku 2006 dyrygowałem trzema koncertami symfonicznymi w trzech różnych miastach. I jak mam w takiej sytuacji dokonać podsumowania swojego życia?

Zdecydowałem się ostatecznie na napisanie tego zakończenia, traktując je jako próbę „autopsychoanalizy". Z zastrzeżeniem, że nie jestem bynajmniej przekonany o możliwości pomyślnej realizacji takiej próby. Co innego bowiem opisać swoje życie, a co innego zanalizować samego siebie jako człowieka. Z drugiej jednak strony ewentualny przyszły czytelnik ma prawo oczekiwać, że poza relacjonowaniem faktów, zdobędę się na odwagę krytycznego spojrzenia na własną osobę. Bez tego – jak myślę – autobiografia byłaby niepełna. A ponadto nie chciałbym wyjść na tchórza, który boi się powiedzenia prawdy o sobie. Nawet najbardziej przykrej.

Stojąc – jak to się mówi – nad grobem, mam odwagę powiedzieć, że daleko mi do ideału. Pomimo że właśnie w ostatnich miesiącach roku 2006 nasłuchałem się takich określeń, jak: żywa legenda, symbol naszego miasta, ikona, obdarzony charyzmą, wzór itp. Tak o mnie mówiono w radiu i telewizji w Wałbrzychu i Szczecinie. Przyznaję, że choć słuchałem z przyjemnością, miałem i nadal mam wątpliwości czy te określenia są zgodne z prawdą.

Podobno lord Kelvin powiedział na tzw. łożu śmierci: „Tyle było do zrobienia, a tak mało zrobiłem". Jeśli tak uważał ten wielki uczony, to co mam mówić ja? Zdaję sobie sprawę, że nie wykorzystałem swoich zdolności i że to, czego dokonałem, w żadnej mierze nie odpowiada temu, co mogłem i powinienem był zrobić. Zmarnowałem mnóstwo czasu na błahostki, zbyteczne zajęcia, jałowe spory i puste gesty. Jestem głęboko przekonany, że pracując intensywniej, mógłbym osiągnąć nieporównywalnie więcej. Mógłbym zostać lepszym dyrygentem, kompozytorem, pisarzem, organizatorem. Gorzkie to stwierdzenia. Zdarzyło mi się niestety krzywdzić ludzi. Przyczyną było lekceważenie ich potrzeb czy ambicji. I nie jest żadną pociechą, że z upływem lat zdałem sobie sprawę z niewłaściwości swojego postępowania. Wyrządzonych krzywd nie dało się naprawić. Również w życiu osobistym popełniłem wiele błędów, poważnych i drobnych. To, że ich żałuję, nie stanowi niestety żadnego usprawiedliwienia.

O ile pamiętam, w sakramencie pokuty były takie elementy jak „rachunek sumienia" i „mocne postanowienie poprawy". Swoistym rachunkiem sumienia jest właśnie zakończenie tej autobiografii. Ale na poprawę nie mam już ani czasu, ani możliwości. Świadomość, że przeszłości nie da się wymazać, jest przygnębiająca. Tego, co zrobiłem lub powiedziałem, nic i nikt już nie cofnie. Ale jeszcze bardziej przygnębiająca jest świadomość, że z własnej winy tak wielu rzeczy nie zrobiłem i nie powiedziałem w odpowiednim momencie.

Jeśli wiele moich młodzieńczych marzeń, pragnień, zamiarów nie spełniło się z winy tzw. czynników obiektywnych – myśl o tym jest niewątpliwie przykra. Ale jeżeli stało się to z mojej winy – odczuwam ból. Mogę tylko uczciwie napisać, że nigdy nie próbowałem sam się usprawiedliwiać za zmarnowanie tych marzeń, pragnień, zamiarów.

To zakończenie nie jest żadnym testamentem. Nie zamierzam przy jego pomocy czegokolwiek przekazywać, szczególnie życiowych doświadczeń. Już od dawna przekonałem się ze smutkiem, że nie istnieją możliwości przekazania, nawet najbliższej osobie, własnych doświadczeń. Przekazać można wiedzę, nie wspominając oczywiście o dobrach materialnych. Ale to co nazywamy życiowym doświadczeniem – nie jest niestety możliwe do przekazania. Doświadczenie musi zdobywać każdy człowiek samodzielnie. To także smutna konstatacja.

Nie będę pisał o różnych cechach mojego charakteru. Jak sądzę, byłoby to raczej nudne. Wspomnę tylko, że za zaletę uważam brak uczucia zawiści czy zazdrości. A do wad – mściwość. Nie potrafię darować ludziom, którzy świadomie i celowo wyrządzili mi krzywdę, działali na moją szkodę, niszczyli mnie. Jeśli jednak ktoś mi pomagał, staram się w miarę możliwości odwdzięczyć.

I jeszcze jedna cecha: umiem cieszyć się – ujmując ogólnie – życiem. Rozwinięcie tego tematu wymagałoby zbyt wiele miejsca. Wystarczy chyba, jeśli napiszę o radości patrzenia na niezgrabne kroki małego dziecka, kotka czy pisklęcia. Na piękny kwiat lub morskie fale. Cieszę się jedząc dobrą czekoladę. Dzieła sztuki nieodmiennie wprawiają mnie w zachwyt i na zawsze pozostają w pamięci.

Do pieniędzy mam ambiwalentny stosunek. Jestem oszczędny, czasem nawet przesadnie. To zapewne rezultat biedy, którą znam aż nadto dobrze z dzieciństwa i młodości. Potrafię jednak wydać spore sumy na zwiedzanie obcych krajów lub na zakup jakiegoś luksusowego, ale pięknego przedmiotu. No i na książki. Nie lubię natomiast zwykłego marnotrawstwa.

Nigdy nie zależało mi na zaszczytach: stanowiskach, tytułach, odznaczeniach, nagrodach. Ale doceniam ich społeczne znaczenie i wiem, że pomagają w życiu. Podobnie jak pieniądze.

Kiedyś dwoje dziennikarzy, przeprowadzających ze mną wywiad z okazji osiemdziesiątych urodzin, zapytało:

- Czy uważa się pan za spełnionego człowieka?

Przyznaję, że nie zrozumiałem pytania. Nawiasem mówiąc, do dzisiaj uważam, że użycie słowa „spełniony" było nieprawidłowe. Dziennikarze wyjaśnili, że chcieliby się dowiedzieć czy swoje życie mógłbym określić jako spełnione, dobrze wykorzystane, społecznie pożyteczne. Nie wdając się w językowe rozważania, próbowałem wytłumaczyć, że trudno na tak postawione pytanie dać jednoznaczną odpowiedź. A potem zrobiłem tzw. unik. Powiedziałem, że pod pewnymi względami można je uznać za spełnione, ale pod innymi niestety nie. Ale sam problem owego „spełnienia" pozostał otwarty. Czy medale i tytuły, hasła w encyklopediach, głośno wyrażany szacunek – zapewniają poczucie, że nie zmarnowałem swojego życia? Mam co do tego zasadnicze wątpliwości.

Nie wiedziałem również, jak odpowiadać na pytania czy uważam się za człowieka szczęśliwego. Zamiast określić swój osobisty stosunek do szczęścia, cytowałem opinie różnych myślicieli. I teraz tutaj, na tych kartach również nie zdecydowałbym się na jednoznaczną odpowiedź. Szczęście – to wielkie słowo i nie należy go nadużywać. Miałem w życiu naprawdę dużo momentów, w których czułem się szczęśliwy, np. przy owacjach na stojąco w Paryżu albo słuchając gaworzenia Wiosny. Ale czy te momenty, niezależnie ile ich było, upoważniają, aby nazwać siebie człowiekiem szczęśliwym? A fakt, że moje nazwisko znajduje się na licznych stronach internetowych wystarczy, aby swoje życie nazwać „spełnionym".

Zostawiam te rozważania, ponieważ naprawdę nie znam odpowiedzi na tak postawione pytania.

Jak zatem zakończyć to „Zakończenie" autobiografii? Jakimś wzniosłym cytatem? Albo wymyślonym przeze mnie patetycznym frazesem? Nie wypada również wymigać się dowcipem w rodzaju „dwie dziurki w nosie i skończyło się" lub wzorem Gombrowicza: „Koniec i bomba, kto czytał ten trąba". Myślę jednak, że zaczekam z tym do momentu ewentualnej publikacji, o ile w ogóle nastąpi. A jeżeli nie zdążę napisać prawdziwego zakończenia, moja autobiografia stanie się „niekończącą się opowieścią". Czy to przypadkiem nie zanadto wygórowana ambicja?

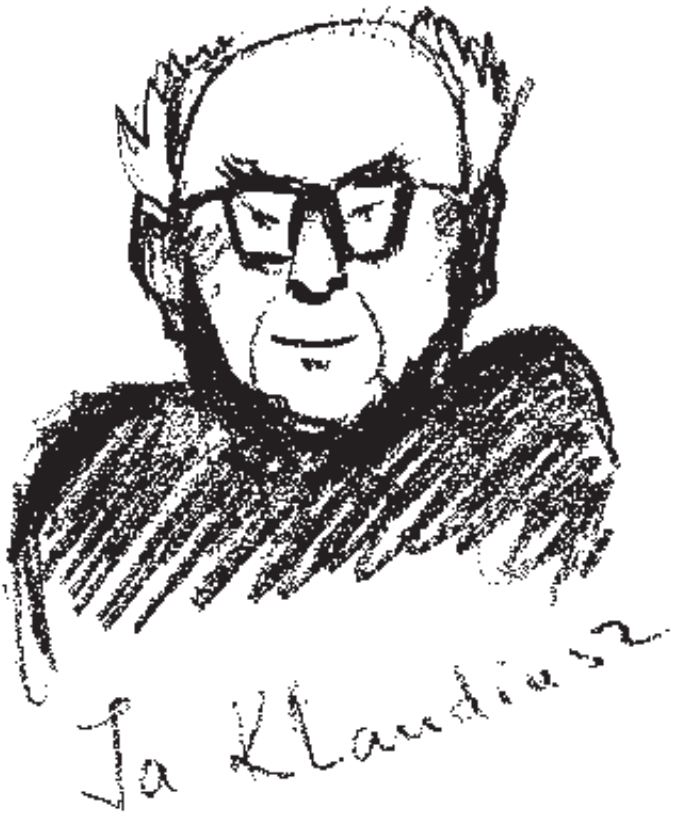

i inne moje karykatury

Sylwetki krakowskie

w karykaturze J. Żebrowskiego

WOJKOWIŃSKI

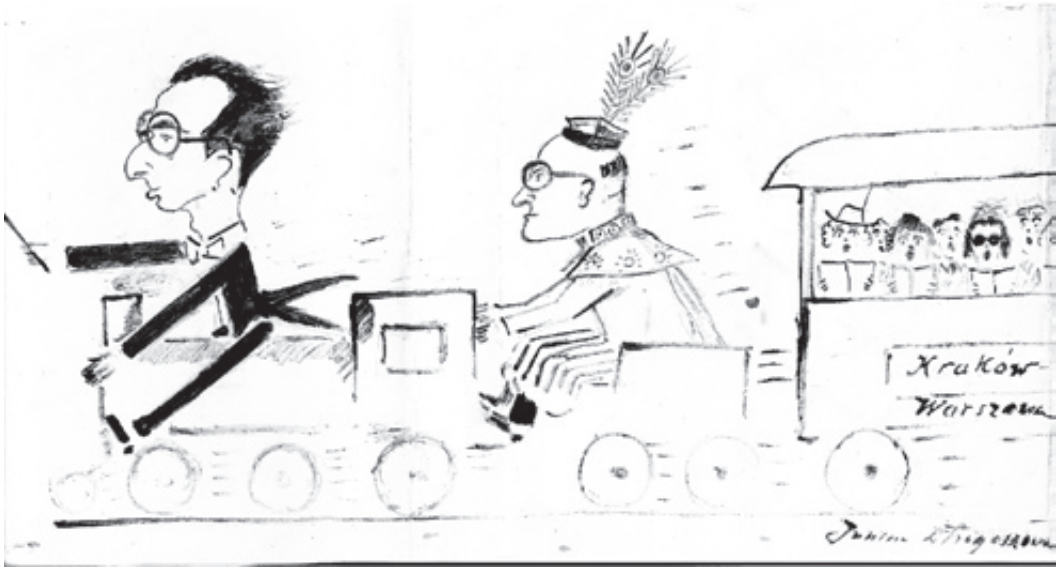
Kraków
Warszawa

Józef Wiłkomirski
rys. E. Głowacki

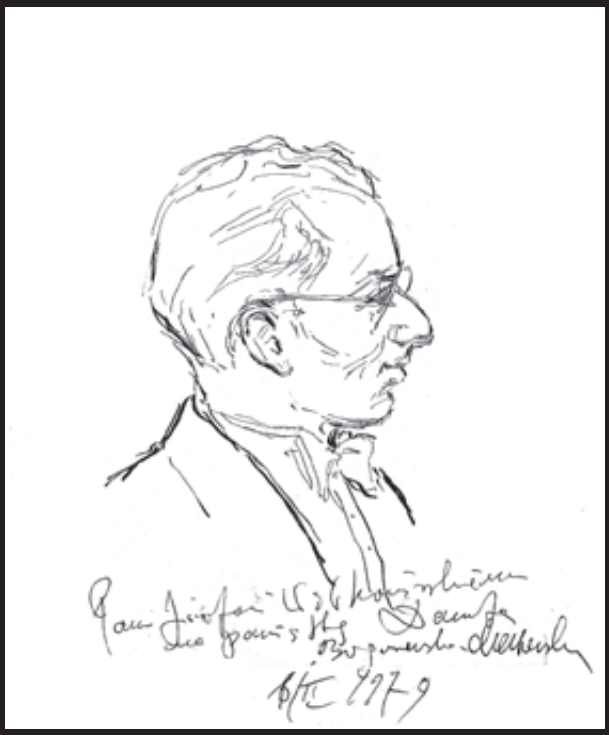

DODATEK

Rozdział XLI

WIELCY TWÓRCY

Moja biografia byłaby niepełna, gdybym nie określił swojego stosunku do największych twórców sztuki. Stosunku jak najbardziej osobistego, by nie rzec nawet – intymnego. To waśnie twórcom sztuki zawdzięczam najgłębsze przeżycia. Płakałem na koncertach, przedstawieniach teatralnych i filmach. Miałem łzy w oczach w muzeach, katedrach, zamkach. Arcydzieła dostarczały mi nie tylko niezapomnianych wzruszeń lecz także ukształtowały moją wrażliwość, a może nawet więcej – zawdzięczam im widzenie i rozumienie świata i ludzi.

Mówimy skrótowo: muzyka czy literatura, ale za abstrakcyjnymi pojęciami kryją się konkretne dzieła. A dzieła zostały stworzone przez konkretnych ludzi – Szekspira, Mozarta, Michała Anioła, Balzaka. Oraz innych, wcześniejszych, często bezimiennych twórców. Nidy nie zapomnę olśnienia na widok malowideł sprzed tysięcy lat w grotach Altamiry i Lascaux. Byłem tak wzruszony ich pięknem, że z trudem powstrzymywałem łzy. Nie mogłem ich natomiast pohamować na Akropolu. I nie wiem, co mnie bardziej wzruszało: ucieleśnione marzenie z lat dziecinnych czy nieśmiertelne piękno zaklęte w tych kamieniach. Zapomniałem, gdzie jestem, nie słyszałem hałaśliwych turystów, nie widziałem niczego poza kolumnami Partenonu. Pamiętam, że nie mogłem powstrzymać się, aby ich nie dotknąć, pogłaskać. Nieraz powtarzałem w wywiadach i na spotkaniach, że nie zbierałem w życiu ani pieniędzy, ani zaszczytów, a jedynie przeżycia. Ponieważ są najwyższą wartością i nic, i nikt nie zdoła mi ich odebrać.

Literatura

Pierwszą moją miłością była nie muzyka lecz literatura. Pisałem już o tym. Czas teraz na wymienienie pisarzy, których uważam za „swoich". Nie odważyłbym się układać tzw. rankingu twórców. Zostawiam to ekspertom. „Ustawianie" geniuszy przy pomocy przymiotników „wielki", „większy", „największy" lub co gorsza liczebników (pierwszy, drugi, trzeci, itd.) uważam za zwykłą bezczelność, by nie użyć mocniejszego określenia. Ja po prostu mam swoich ulubionych pisarzy i spróbuję teraz ten wybór uzasadnić.

Moje preferencje czytelnicze, co jest naturalne i zrozumiałe, zmieniały się w czasie dorastania. Po fascynacji Sienkiewiczem nastąpił paroletni okres miłości do Żeromskiego, a zwłaszcza jego języka. Ale po trzydziestce zacząłem inaczej patrzeć na literaturę. Już nie opisy przyrody, dialogi, akcja były dla mnie najważniejsze, ale warstwa psychologiczno - filozoficzna. Doceniałem nadal talent Sienkiewicza w opisywaniu bitew czy rozmów bohaterów, podobnie jak podziwiałem bogactwo języka Żeromskiego. Ale ich widzenie

świata przestało już być moim. Od literatury zaczynałem wymagać czegoś więcej. Mówiłem wówczas, że wielki pisarz musi być także myślicielem, a nie tylko mistrzem w operowaniu słowem. Przypuszczam dzisiaj, że ta zmiana dokonała się pod wpływam najpierw Balzaka, potem Dostojewskiego, a wreszcie Prousta. I tak mając około czterdziestu lat, ułożyłem listę ulubionych pisarzy. Podaję ich nazwiska w chronologicznej kolejności, ponieważ są dla mnie jednakowo wielcy i bliscy.

Balzak, gdyż nikt tak jak on nie potrafił – moim zdaniem – przedstawić relacji pomiędzy jednostką a społeczeństwem.

Dostojewski sięgnął najgłębiej – jak sądzę – do tzw. duszy i ujawnił nam czające się w niej potworności.

Proust w odkrywczy sposób przedstawił zależność człowieka od czasu.

Kafka zatarł granicę pomiędzy rzeczywistością a senną marą i ujawnił, że w naszym życiu nieświadomość może pokonać świadomość.

Faulkner wykazał, że człowiek jest wytworem historii i środowiska.

Powyższe charakterystyki są wręcz nieprzyzwoicie skrótowe i nie obejmują charakteru twórczości wymienionych pisarzy. Ale wszyscy byli – moim zdaniem – geniuszami. Jak twierdził Geza Reves – różnica między talentem a geniuszem polega na tym, talent to po prostu spotęgowana zdolność, geniusz natomiast to ktoś, kto potrafi stworzyć całkowicie nowy, własny świat. Myślę, że mógłbym to wyjaśnić w osobnej rozprawie, gdybym dysponował czasem i odpowiednim warsztatem naukowym.

Oczywiście mam jeszcze paru innych ulubionych pisarzy (np. Schulz czy Camus), ale ich wymienianie zajęłoby zbyt dużo miejsca. A do tego doszłyby jeszcze pojedyncze książki pisarzy, nazwijmy ich, mniejszego kalibru.

Nie wspomniałem jeszcze o poetach, Od dzieciństwa czytałem wiersze, ulegając czarowi tego co obecnie nazywam melodią słów. Pierwszym poetą, którego kochałem, był Słowacki. Po nim nastąpił Wyspiański. Do dzisiaj moimi ulubionymi wierszami są: „Hymn" czy „Testament" oraz liczne fragmenty „Wesela". Z obcych poetów najbardziej lubię Rilkego, choć nie potrafiłbym wyjaśnić, dlaczego.

W roku 1955, pracując jako II dyrygent w Filharmonii Poznańskiej, wszedłem do antykwariatu. Zupełnie przypadkiem natrafiłem na tomik wierszy Leśmiana. Tomik nosił tytuł „Łąka". Otworzyłem i zacząłem czytać tytułowy poemat. I nie ruszyłem się z miejsca, dopóki nie skończyłem. Zapomniałem – jak to się mówi – o całym świecie. Wytarłem załzawione oczy i kupiłem tomik bez wahania. Od tego czasu Leśmian jest moim najbardziej ulubionym poetą i kiedy mam kiepski nastrój, sięgam na półkę, na której teraz stają wszystkie wydane po wojnie zbiory jego wierszy. I czytam po raz kolejny „Łąkę", „Dwoje ludzieńków", „Odjazd", „W malinowym chruśniaku".

Kończąc relację o moich ulubionych twórcach literatury, celowo nie wymieniłem dwóch dramaturgów – Szekspira i Moliera. Ci dwaj geniusze, zajmują w moim sercu oddzielne miejsce. Zawdzięczam im niezapomniane przeżycia, Ale, choć przeczytałem wszystkie wydane dzieła, muszę stwierdzić, że ich genialność zyskuje pełny wymiar dopiero na scenie. Na tym między innymi polega wielkość tych twórców. Pisali z myślą o scenie, a nie lekturze. Ich słowa wymagają magii teatru. Jest to tajemnica, której nie potrafię do końca rozwikłać.

Muzyka

Zupełnie inaczej wyglądał mój stosunek do muzyki, o czym także już pisałem. Nie pamiętam z dzieciństwa żadnego muzycznego wzruszenia, jeśli nie liczyć mglistego wspomnienia śpiewanej przez matkę kołysanki, w której „… dziad wyciąga rękę, wiatr poszarpał mu sukienkę…" Słuchając tych słów chciało mi się zawsze płakać, a nie zasypiać. Przypuszczam, że zapewne w czasie rodzinnych spotkań, Kazio i Marysia grali na prośbę ojca jakieś utwory, ale w mojej pamięci nie pozostał żaden ślad. Wiem z opowiadań, że grałem na różnych szkolnych popisach. Tego również nie pamiętam, nawet występu na Ogólnopolskim Konkursie Talentów, na którym dostałem wyróżnienie dla najmłodszego uczestnika. Miałem wówczas 8 lat.

Pierwsze wspomnienie muzyczne to „Requiem" Mozarta. Śpiewałem wówczas razem z Wandzią partię sopranową w chórze konserwatorium. Melodia „Lacrimosa" pozostała na zawsze w mojej pamięci obok „Quam olim Abrahe". A miałem wtedy nie więcej niż 11-12 lat.

Dopiero w Warszawie w czasie okupacji „zakochałem się" w muzyce. Najpierw w Bachu i Beethovenie, potem w Griegu, Chopinie, Czajkowskim i Rachmaninowie. Grając w zespołach kawiarnianych przeróżne utwory rozrywkowe, pamiętam, że „uznawałem" zaledwie paru kompozytorów: Straussa, Suppe'go (ale nie „Lekką kawalerię"!), Stolza, Dostala. Niektórych wprost nie znosiłem. Dobrze pamiętam, że niemal codzienne wykonywanie utworów Fucika, Zellera, Lincke'go, a nawet Lehara, sprawiało mi zawsze fizyczną przykrość. A przecież byli jeszcze gorsi kompozytorzy, których nazwiska wyleciały mi całkowicie z pamięci.

Już jako zawodowy dyrygent próbowałem utworzyć listę ulubionych kompozytorów, podobną do tej w dziedzinie literatury. Okazało się to niemożliwe z paru względów. Po pierwsze byłaby zbyt długa, poza tym każdy z geniuszy pozostawił utwory słabe, nieudane, niegodne jego nazwiska. Wystarczy przytoczyć najbardziej rażący przykład: Beethovena „Zwycięstwo Wellingtona czyli Bitwa pod Vittorią". Po drugie, jako dyrygent, miałem swoje preferencje wykonawcze, które nie zawsze pokrywały się z ustalonymi opiniami ekspertów.

Dla porządku jednak wymienię nazwiska kompozytorów, których dzieła (nie wszystkie! – co podkreślam) osobiście najbardziej kocham. Na początku oczywiście Mozart, geniusz unikatowy, geniusz nad geniuszami, choć wiele jego utworów trudno uznać za arcydzieła. Potem Brahms, którego symfonie i koncerty uważam za szczytowe osiągnięcia muzyki instrumentalnej. A obok nich Beethoven. Jak go nazwać? Różni biografowie pisali: „przybłęda boży", „tytan", „rewolucjonista", „pierwszy romantyk". Czy to w jakikolwiek sposób przybliża jego muzykę? Całe życie starałem się unikać pozamuzycznych określeń. Kiedy mówimy o arcydziele muzycznym, wszelkie słowa stają się nieadekwatne. Był to przez całe życie mój dylemat – w jaki sposób w prelekcji przybliżyć słuchaczom utwór, który będzie wykonany? Cokolwiek bym mówił – nie odda to istoty muzyki. Do dzisiaj nie zdołałem rozwiązać tego dylematu.

Wracając do listy kompozytorów, muszę wymienić przede wszystkim Czajkowskiego, o którym Adorno napisał, że „był to geniusz, który nawet z banału potrafił stworzyć arcydzieło". I Schumana, którego symfonii po prostu nie lubię i uważam wręcz za nieudane, ale którego pieśni są genialne. A jak nie wspomnieć Rachmaninowa, jedynego w historii muzyki epigona, tworzącego arcydzieła?

Do tej listy musiałbym dopisać Vivaldiego, Haendla, Debussy'ego, Ravela, Prokofiewa, Szostakowicza, Karłowicza, Szymanowskiego. Nie wolno także zapomnieć o Haydnie czy Rimskim-Korsakowie. Osobną pozycją jest Musorgski, którego „Borysa Godunowa" uważam od lat za najpiękniejsze dzieło operowe wszech czasów. W każdym razie na mnie wywarło najbardziej wstrząsające wrażenie. Nie, nie potrafię ułożyć listy ulubionych kompozytorów! Łatwiej mógłbym spisać ulubione utwory, ale byłoby ich zbyt wiele. Dodatkową trudność stanowiłby fakt, że w takim hipotetycznym spisie musiałbym umieścić utwory skomponowane przez kompozytorów nieuważanych przez ekspertów za geniuszy. Z prawdziwą radością bowiem dyrygowałem np. II symfonię Chaczaturiana, ponieważ odpowiadała mi jej strona emocjonalna i mistrzowska orkiestracja. Ale mój brat Kazimierz określił ją jako „bombastyczną" i dziwił się, że nauczyłem się jej na pamięć. Z przyjemnością dyrygowałem również „Błękitną Rapsodię" Gershwina.

Zbyt to wszystko skomplikowane, aby można było omówić w kilkudziesięciu zdaniach. Kończę zatem ten podrozdział lapidarnym stwierdzeniem: miałem i mam nadal do muzyki całkowicie osobisty stosunek, niezależny od ocen jakichkolwiek autorytetów. Dodam jeszcze z pewną dozą złośliwości, że moje „nieortodoksyjne" poglądy szokowały wielu ludzi ze środowiska muzycznego.

Sztuki plastyczne

Zupełnie inaczej przebiegało moje wejście – jeśli można użyć takiego słowa – w świat sztuk plastycznych. Zapewne miałem we wczesnym dzieciństwie jakieś książki z ilustracjami, ale nie pozostawiły żadnego śladu w mojej pamięci. Pierwsze doznanie plastyczne zawdzięczam „Quo Vadis". Matka pożyczyła od kogoś powieść w wydaniu in quarto z ilustracjami Stachiewicza. Pamiętam dobrze, że lektura wywarła na mnie, chłopcu 10-, 11-letnim, duże wrażenie. Ale ilustracje były po prostu wstrząsem. Do dzisiaj, po upływie 70 lat, mógłbym niektóre z nich opisać dokładnie – wystarczyłoby zamknąć oczy. Niestety jej cena przekraczała możliwości finansowe moich rodziców. Wynosiła (czego nigdy nie zapomnę) 9 zł, co na tamte czasy było znaczną sumą. Wystarczy przypomnieć, że w popularnym wydawnictwie „Rój", książka kosztowała 95 gr.

Na szczęście mieszkająca w Warszawie ciotka (u której mieszkałem później w czasie okupacji) kupiła mi wymarzoną książkę na święta Bożego Narodzenia w roku 37 lub 38. Nie muszę dodawać, że był to najpiękniejszy prezent mojego dzieciństwa.

Reprodukcje arcydzieł malarstwa, rzeźby i architektury poznawałem w następnych latach z książek historycznych i przypadkowych albumów. Było to jednak zbyt mało, aby rozbudzić głębsze zainteresowanie. Nawet roczny pobyt w Krakowie, gdzie pracowałem jako II dyrygent w latach 50-51, nie dokonał przełomu. Dopiero w Poznaniu (54-57) znajomość ze Zdzisławem Kępińskim rozbudziła moją miłość do sztuk plastycznych. Kępiński był ode mnie starszy o kilkanaście lat i w tamtym okresie pełnił najpierw funkcję kustosza, a następnie dyrektora Muzeum Narodowego w Poznaniu. Jako prawdziwy meloman posiadał abonament do filharmonii i stąd nasza znajomość. Lubił otaczać się młodszymi mężczyznami, z którymi w częstych, wielogodzinnych spotkaniach dzielił się swoją rozległą wiedzą i entuzjazmem. To jemu zawdzięczam zamiłowanie do sztuk plastycznych.

Kiedy, jak już pisałem, w maju 56 roku po raz pierwszy mogłem otrzymać paszport i wyjechałem na konkurs do Rzymu, doznałem olśnienia. Zabytki Wiecznego Miasta od

pierwszego dnia dosłownie mnie zahipnotyzowały. Chodziłem po ulicach jak błędny. Zamiast uczyć się partytur przed konkursowym przesłuchaniem, zwiedzałem muzea i kościoły. Odpadłem oczywiście po pierwszym etapie, ale – co dokładnie pamiętam – nie miało to dla mnie żadnego znaczenia.

Muzeum Watykańskie, Kaplica Sykstyńska, bazylika św. Piotra i plac przed nią, kościół św. Pawła za Murami, posąg Mojżesza – to były przeżycia, których nie zapomnę. A potem wyjazd do Florencji. Muzeum Uffizich, posąg Dawida, gmach Signorii, katedra i drzwi Ghibertiego. Wszystko to mam dzisiaj, po upływie 50 lat, przed oczyma. Niestety oglądana w Mediolanie „Ostatnia wieczerza" była wtedy w tak złym stanie, że nie wywarła na mnie spodziewanego wrażenia. Za to Wenecja była kolejnym olśnieniem. Cudowna bazylika św. Marka i pałac dożów pozostaną na zawsze w mojej pamięci.

Ta podróż, w której zobaczyłem dziesiątki arcydzieł, rozbudziła moją miłość do malarstwa, rzeźby i architektury. A w cztery miesiące później pojechałem do Paryża. Muzeum w Luwrze było kolejnym wstrząsem. Tam mogłem zobaczyć inne arcydzieła starożytności. Miałem „mokre oczy" przy Nike Samotrackiej. Nazwałem ją najpiękniejszą kobietą świata, pomimo braku głowy i rąk. Ale w samej sylwetce było tyle piękna, że „widziałem" to, czego nie było. I ponownie jak w przypadku muzyki, nie sposób opisać słowami istoty tej rzeźby. A może w ogóle nie da się tego dokonać?

Kiedy oglądałem w książkach reprodukcję „Mony Lizy", zastanawiałem się, dlaczego wzbudza aż tak powszechny zachwyt. Dopiero kiedy zobaczyłem oryginał – mogłem to zrozumieć. Półuśmiech Giocondy był czymś, czego również nie da się opisać. A seledyn tła sprawił, że dosłownie nie mogłem oderwać oczu. I długo stałem jak zaczarowany.

Podobnie było z Wenus z Milo. Na fotografiach wydawała mi się, przepraszam za określenie, po prostu zbyt pulchna. Ale kiedy stanąłem przed posągiem, dosłownie straciłem oddech. Zdawało mi się, że marmur „oddycha", że jest miękki, że jest żywym ciałem. Z trudem powstrzymywałem się, aby nie dotknąć posągu i nie sprawdzić czy mój palec nie poczuje ciepła. Niewiarygodne uczucie.

Po tych przeżyciach wykorzystywałem każdą podróż, aby zwiedzać muzea, zamki, pałace, świątynie. Anglia (m.in. British Museum), Hiszpania (m.in. „Prado"), Moskwa (m.in. z galerią Tretiakowską i Soborami), Francja (z zamkami nad Loarą i pięcioma najsłynniejszymi katedrami gotyckimi), Niemcy (z Bode-Museum i katedrą w Kolonii, Holandia (z obrazami Rembrandta), Belgia (z obrazami Van Gogha), Izrael (z Jerozolimą i Nazaretem), Liban (z Tyrem, Sydonem i Balbeckiem). Mógłbym ciągnąć tę listę jeszcze długo. Przypuszczam, że starczyłoby mi wspomnień na całą książkę pod tytułem „Moje podróże po arcydziełach malarskich, rzeźbiarskich i architektonicznych". Mógłbym zapisać listę moich ukochanych malarzy z Michałem Aniołem, Rembrandtem, Halsem, Boschem, Breughlem, Monetem na czele. Byłaby jednak zbyt długa. A rzeźbiarze tacy jak Fidiasz, Praksyteles, Miron, Michał Anioł, Verrocchio, Cellini, Rodin, Moore? A cudowni bezimienni i genialni twórcy greckich, rzymskich, romańskich czy gotyckich budowli? Lub tacy architekci XX wieku jak Corbusier, Gropius, Aalto, Saarinen, Wright?

Nie zdążyłem niestety zobaczyć wielu innych cudów, takich jak Angor, Tadż Mahal. Nie byłem w Egipcie i na Jukatanie, w Chinach i Meksyku. Nigdy nie przestanę tego żałować.

Udało mi się „za to" przypadkiem w czasie drugiego pobytu w Paryżu w roku 1961 zobaczyć fascynującą wystawę, zatytułowaną „5 000 lat kultury perskiej". Tak chyba brzmiała pełna nazwa. Wystawiono tam obok licznych posągów, fragmentów kolumn, płaskorzeźb itd., złotą płytę, na której widniała słynna inskrypcja, zaczynająca się od

słów: „Dariusz, wielki król, król królów, król krajów, syn Histapesa…" Dzięki temu, że została napisana w trzech językach, o ile dobrze pamiętam – staroperskim, akkadyjskim i nowoelamickim, udało się odczytać pismo klinowe. Od wczesnej młodości marzyłem, aby ją zobaczyć, podobnie jak kamień z Rosetty i bazaltową stelę Hammurabiego. I nareszcie to marzenie zostało – dzięki przypadkowi – zrealizowane. Płyty strzegło aż dwóch policjantów, stojących po obu stronach bezcennego zabytku. Ponieważ jestem krótkowidzem, a znaki były niezbyt wyraźne, przechyliłem się przez sznur rozciągnięty w pewnej odległości od płyty. Policjanci zauważyli to i zaczęli mi się bacznie przyglądać. Kiedy po obejrzeniu całej wystawy, chciałem jeszcze raz zobaczyć płytę (podobnie zresztą „na pożegnanie" wróciłem w Zwingerze do obrazów Breughla, a w Luwrze do posągu Nike Samotrackiej), policjanci okazali zaniepokojenie i przesunęli kabury z pistoletami bardziej na środek. Nie wytrzymałem i uśmiechnąłem się do nich. A potem spokojnie opuściłem salę.

Podczas tego samego pobytu miałem okazję zobaczenia corocznego Salonu Jesiennego. Wystawa podzielona została na dwie części: nowoczesną i tradycyjną. W tej pierwszej mogłem poznać najnowsze trendy malarskie, nieznane jeszcze wtedy w Polsce. Były interesujące, ale nie zachwyciły mnie. Natomiast w części tradycyjnej prezentowano tzw. malarstwo figuratywne. Okazało się, że dotychczasowe osiągnięcia abstrakcjonistów zostały przejęte przez tradycjonalistów. Zarówno pejzaże jak i portrety nie miały już nic wspólnego z malarstwem sprzed impresjonizmu. Sposób widzenia obiektów i sama technika malarska były całkowicie nowoczesne. Dotyczyło to perspektywy, kolorystyki, światłocieni, wszelkiego rodzaju skrótów. Bardzo mnie to rozbawiło, że tak potępiane, odrzucane i wyśmiewane szkoły jak kubizm, fowizm, abstrakcjonizm – zwyciężyły. Wytyczyły nowe kierunki w malarstwie i zmieniły sposób widzenia świata przez twórców.

Osobno powinienem opisać pobyt w Libanie w roku 2003. Na skutek braku dogodnych połączeń lotniczych, musiałem przez sześć dni po koncercie pozostać w Bejrucie. Mieszkałem w ambasadzie w gościnnym pokoju, a dzięki uprzejmości pani, która była attaché kulturalnym i pomocy libańskiej Polonii, mogłem każdego dnia zwiedzać coś nowego. Nigdy dotąd nie poznałem w tak krótkim czasie tylu miast, zabytków, dzieł sztuki. Odwiedziłem wszystkie historyczne miasta dawnej Fenicji: Tyr, Sydon, Baalbek, Byblos, Sajdę, Beiteddinę oraz klasztor św. Antoniego w Kozhaja, groty w Jejta, dolinę Kadisha. Podziwiałem tam cudowne zabytki architektury, niektóre sprzed paru tysięcy lat. W muzeach zachwyciły mnie zarówno posągi najdawniejszych władców jak i przedmioty codziennego użytku. Ruiny pałaców i świątyń z różnych epok przypominały o tak często lekceważonej ciągłości kultury. A chodząc po libańskiej ziemi czułem tę ciągłość. To było niezwykłe uczucie. Na to, co stworzyli poprzednicy Fenicjan i oni sami, nałożyły się zabytki greckie, hellenistyczne, rzymskie, bizantyjskie, arabskie, tureckie. Wyjątkowy kraj.

Poza zwiedzaniem zabytków, chodziłem po wąskich uliczkach arabskich dzielnic, zaglądałem do małych, typowo orientalnych sklepików, starych kościołów. Raz nawet odważyłem się zajrzeć do wnętrza tureckiej łaźni. Były to zupełnie nowe doznania i znacznie poszerzyły moją wiedzę, zwłaszcza o architekturze. I o historii Bliskiego Wschodu. Nie wspominając już o rozkoszowaniu się nieznanymi dotąd potrawami.

Uczeni

Moje kontakty z nauką czy może raczej z jej luminarzami przebiegały zupełnie inaczej. Zaczęło się od mitologii greckiej. Pierwszym oczarowaniem była lektura „Herojów" Kingsley'a. Przypuszczam, że nie miałem wtedy więcej niż 8-9 lat. Greccy herosi na długie lata stali się dla mnie kimś nie tylko bliskim, lecz także rzeczywistym. Stali się ludźmi z krwi i kości. I to oni – jeśli można użyć takiego określenia – wprowadzili mnie do starożytnego świata. Potem było „Quo Vadis", o którym szeroko pisałem na tych stronicach. Następnym krokiem w zainteresowaniu historią stała się „Trylogia". Tak więc to przede wszystkim literatura piękna rozbudziła moją historyczną pasję. Bohaterowie zmieniali się wraz z przeczytaniem coraz to nowych książek lub – rzadziej – z oglądanymi filmami. Ryszard Lwie Serce, Karol XII, cesarz Oktawian. Musiało minąć kilkadziesiąt lat zanim z monografii dowiedziałem się, że ci bohaterowie mojego dzieciństwa byli raczej kiepskimi władcami i – co gorsza – mało szlachetnymi ludźmi.

Tym niemniej dzięki nim zacząłem interesować się historią. Pamiętam podręcznik historii starożytnej w I klasie gimnazjum. Autor nazywał się chyba Nanke. Od razu we wrześniu znalazłem czas, aby przeczytać cały podręcznik. Nic zatem dziwnego, że z historii miałem same piątki.

Okres okupacji, w którym pomimo zaiste niesprzyjających warunków intelektualnie rozwijałem się najszybciej, rozszerzył moje zainteresowania. Zacząłem czytać naukowe biografie wielkich twórców, w tym uczonych. Po raz pierwszy zetknąłem się z dziejami życia Galileusza, Bruna, Darwina, Mendla. Pamiętam moje zaskoczenie, kiedy zrozumiałem, że nauka to nie tylko suche fakty, wzory, równania, wynalazki czy odkrycia, ale pasjonująca kronika triumfów i klęsk wielkich ludzi.

Zaraz po powrocie z obozu do Polski przy każdej okazji rodzina, znając moje zamiłowanie do czytania, dawała mi w prezencie książki wydane przed wojną. Można je było wtedy kupować za grosze na każdym targowisku. A potem, najpierw małe, prywatne wydawnictwa, zaś po ich likwidacji państwowe „molochy" zaczęły wznawiać przedwojenne książki. Do dzisiaj stoją w moim pokoju na półkach dzieła Taylora, Bragga, Jeansa, Vibray'a, Schure'go, Parandowskiego, Witwickiego.

Od lat sześćdziesiątych ruch wydawniczy wręcz rozkwitał. A książki były ciągle tanie. Dzięki temu mogłem zgromadzić liczącą ponad sześć tysięcy woluminów bibliotekę. Wydano w tamtych trzech dziesięcioleciach większość wartościowych dzieł z przeszłości i współczesności. Taka jest prawda, której nie wolno negować. Wydano np. wszystkie dialogi Platona, pomimo iż nie były „zgodne" z materializmem dialektycznym. A także całą „Historię filozofii" Tatarkiewicza, daleką od marksistowskiej interpretacji. Długie serie wydawnicze takie jak: „Biblioteka klasyków filozofii", „Biblioteka myśli współczesnej", „Biblioteka problemów", „Delfin", „Omega" pozwoliły na poznanie nie tylko dzieł Arystotelesa czy Bacona, lecz również Junga, Skinnera, Fromma, Ditfurtha, Morina, Latila, Weizsäckera, Habermasa, Jaspersa, Jacoba, Spenglera, Hoyle'a, Heisenberga, Plancka itd. Jeśli światopogląd i przekonania polityczne autora mogłyby spowodować zastrzeżenia cenzury, książkę opatrywano przedmową lub posłowiem. Tłumacz lub zaproszony ekspert o uznanym autorytecie naukowym wyjaśniał, że choć wydawnictwo nie zgadza się z poglądami autora, z uwagi na jego pozycję w świecie zdecydowało się na przedstawienie ich polskim czytelnikom. Poczem następowała krótka polemika na ogół czysto formalna.

Kiedy przeczytałem pod koniec lat sześćdziesiątych „Wprowadzenie do psychologii" Hilgarda, zacząłem skupować książki poświęcone tej gałęzi wiedzy. Jak już pisałem, zaowocowało to rozpoczęciem pracy doktorskiej. W latach osiemdziesiątych z pasją czytałem książki o astronomii czy może raczej kosmologii. W następnym dziesięcioleciu zainteresowałem się fizyką subatomową, zaś w kolejnym – genetyką.

Przez całe moje dorosłe życie odczuwałem niedosyt wiedzy. Miałem świadomość własnej ignorancji w tak ważnych dziedzinach wiedzy jak matematyka czy fizyka, bez których nie sposób pojąć współczesnego świata. I tak jak uwielbiałem geniuszy sztuki, tak samo odczuwałem pełną uwielbienia pokorę wobec największych uczonych XX wieku: Einsteina, Penrose'a, Feynmana, Neumana, Hawkinga, Dawkinsa, Schrödingera, Plancka, Heisenberga, Bohra, Goulda, Cricka, Watsona, rodziny Leakeyów i Curie, Levi-Straussa, Lorenza i wielu, wielu innych. Ich dzieła burzyły mój światopogląd wyniesiony z lat młodości i co chyba jeszcze ważniejsze – rozszerzały moje horyzonty myślowe. Mam nadzieję, że dopóki żyję, proces ten będzie trwał.

I jeszcze jedna końcowa uwaga. Zgadzam się z poglądem, że nie istnieje rozwój w sztuce. Dostojewski nie jest (przepraszam za słowo) lepszy od Homera, Brahms od Bacha, Chagall od Rembrandta, Rodin od Praksytelesa, Corbusier od bezimiennych budowniczych katedr, Jonescu od Szekspira. Zestaw nazwisk jest najzupełniej przypadkowy i można byłoby go zastąpić innym.

Podobnie z filozofią. Tacy genialni filozofowie jak Kant czy Nietzsche nie stanowią „wyższego szczebla" myśli ludzkiej, nie są „więksi" od Arystotelesa czy Pitagorasa.

Natomiast rozwój nauki osiągnął w XX wieku wręcz niebywałe przyspieszenie. Zaczęło się – jak sądzę – od końca XVIII wieku i nabrało rozpędu w następnym stuleciu. Zaś w ostatnich latach krwawego wieku XX dokonano niespotykanych dotąd w dziejach ludzkości osiągnięć we wszystkich naukach ścisłych. I dzięki tym zdobyczom możliwe były zapierające dech w piersiach wynalazki techniczne. Wystarczy wymienić samolot odrzutowy, lodówkę, pralkę, napęd rakietowy, radio, telewizję, komputer, telefon komórkowy, internet. Do tego należy dodać penicylinę i antybiotyki, a ostatnio klonowanie. I powtarzam, że wszystkie te wynalazki zawdzięczamy właśnie naukowcom - teoretykom.

Cieszę się, że byłem świadkiem wspaniałego rozwoju nauki i techniki w XX wieku, choć żałuję, że nie zobaczę dalszego ciągu.

Rozdział XLII

ARTYŚCI

Wyznaję od razu na wstępie, że do napisania tego rozdziału przystępuję z dużymi oporami. I w dodatku po paru tygodniach wahań. Moje wątpliwości mają źródło w fakcie, że opisując swoje kontakty z wybitnymi wykonawcami, z konieczności będę musiał analizować czy oceniać nie tylko ich sztukę, ale także postępowanie i wypowiedzi, a przecież nie mam do tego żadnego prawa. Nawet jeśli ograniczę się tylko do suchego przytaczania słów lub postępków, muszę przecież zrelacjonować swoje na nie reakcje. A to już będzie jakaś forma osądu, której chciałbym za wszelką cenę uniknąć.

Oto pierwsze z brzegu przykłady czekających mnie trudności. Pan X był prawdziwie znakomitym dyrygentem, ale traktował muzyków orkiestrowych w ordynarny sposób i – jak mi mówiono – lubił „zaglądać do kieliszka". Co mam o nim napisać w tym rozdziale? Czy mam prawo o tym wspominać? Nie byłem świadkiem ordynarnego zachowania na próbach dyrygenta X, ani nie widziałem go pijącego. Tym bardziej nie mam dowodów, że pianistka Y „spała" z dygnitarzami.

Podałem dwa najbardziej jaskrawe przykłady trudności, ale jest ich znacznie więcej. Na przykład dyrygent A porywająco interpretował Czajkowskiego, a wręcz kiepsko Mozarta. Zaś pani B, która zachwycała mnie swoim głosem w latach pięćdziesiątych, dwadzieścia lat później śpiewała już fatalnie. A co mam pisać o skądinąd świetnych wykonawcach, o których wiedziałem, że są zawistnymi intrygantami czy karierowiczami. Że potrafią swoim kolegom robić tzw. świństwa? I nie były to plotki, ponieważ widziałem na własne oczy pisane donosy. Niektórzy zresztą sami się do tego przyznawali w bezpośrednich rozmowach, podając wykrętne usprawiedliwienia. A przecież niektóre z tych osób nie tylko występowały ze mną na wielu koncertach w kraju i za granicą, ale także w ten czy inny sposób mi pomagały. Współpraca z nimi dostarczała mi głębokich przeżyć i sprzyjała, zwłaszcza na początku, mojemu zawodowemu rozwojowi. Czy byłoby moralne pisać teraz o wadach ich charakterów?

Zdecydowałem się pomimo wszelkich zastrzeżeń na relację o moich kontaktach z wybitnymi artystami, których nazwiska można znaleźć w encyklopediach, aby nie zubożyć czy wręcz okaleczyć tej autobiografii. Ci artyści odegrali mniej lub więcej znaczącą rolę w moim życiu i pominięcie ich byłoby swego rodzaju fałszerstwem. Czasem przemilczenie bywa zwyczajnym kłamstwem. A tego starałem się unikać w swojej książce. Postanowiłem zatem napisać ten rozdział, rezygnując całkowicie z przytaczania czegokolwiek, czego nie byłem naocznym i „nausznym" świadkiem.

Dyrygenci

Według słowników określenie „artysta" oznacza „autora lub odtwórcę dzieła sztuki". Osobiście nie zgadzam się z taką definicją, ponieważ jest zbyt ogólnikowa i brakuje w niej elementu wartościującego. Nie każdy bowiem autor czy wykonawca jest artystą. Zresztą w tych samych słownikach takie określenia jak artyzm czy artystyczny, zawierają ocenę jakościową. Za artystyczny uważa się przedmiot o wybitnych walorach estetycznych. Artyzm to „mistrzowskie, perfekcyjne wykonanie dzieła sztuki". Zarówno w sensie autorskim jak i odtwórczym. Tak więc nie każdy absolwent wyższej uczelni artystycznej jest artystą. Dyplom nie daje patentu na artyzm. Podobnie – powtarzam – nie każdy występujący na scenie czy estradzie muzyk, aktor lub tancerz jest artystą. Dla mnie – i jest to moje prywatne przekonanie – artystą jest autor lub odtwórca wyrastający ponad przeciętność. Kiepska powieść nie jest według mnie dziełem sztuki, a jej autora nazywam grafomanem, a nie artystą. Identycznie jest z wykonawcami. Nie mogę nazwać np. kiepskiego aktora, który sepleni, połyka sylaby, nie wie co robić z rękami – artystą. Zresztą nawet w potocznym języku rozróżniamy artystę od rzemieślnika. Jeśli mówimy o jakimś szewcu, krawcu czy kucharzu, że to „prawdziwy artysta" – wyraźnie podkreślamy różnicę. Dlatego nie każdego wykonawcę mogę nazwać artystą.

Natomiast dyrygenci, o których będę pisał w tym podrozdziale, byli rzeczywiście artystami.

Walerian Bierdiajew

Żadnemu z dyrygentów nie zawdzięczam tyle ile jemu. Był barwną postacią i wyraźną osobowością. O tajnikach zawodu dyrygenta wiedział naprawdę dużo i lekcje z nim były wręcz bezcenne.

Opiszę teraz moje kontakty z Bierdiajewem, a były ich dziesiątki.

Zaczęło się od roku 1948. Podjąłem wówczas pracę jako wiolonczelista w Filharmonii Łódzkiej i siedziałem przy I pulpicie. Bierdiajew był jednym z pierwszych dyrygentów, pod którymi grałem. Kiedy stanął na podium, rozejrzał się po orkiestrze, popatrzył na mnie, władczym ruchem wyciągnął wskazujący palec i powiedział:

- A ty jesteś Józja.

Dosłownie zbaraniałem. A Bierdiajew mówił dalej swoim donośnym, tubalnym głosem.

- Ja ciebie pamiętam. Ty siedział w wózku i diriżerował, jak my grali w Ciechocinku.

Niestety zapis nie oddaje sposobu mówienia Bierdiajewa. Pomimo iż mieszkał w Polsce kilkadziesiąt lat, nigdy nie nauczył się polskiego języka. Mieszał słowa rosyjskie z polskimi, dodawał dziwaczne końcówki, tworzył neologizmy. I ponadto niemożliwe do naśladowania, typowe dla Rosjan zmiękczanie niektórych głosek.

Nigdy nie dowiedziałem się, w jaki sposób Bierdiajew mnie poznał. Może ktoś go poinformował przed próbą? Przytaczam ten drobny epizod, ponieważ był charakterystyczny dla Bierdiajewa. Myślę, że taką cechę posiadają prawdziwi przywódcy. A Bierdiajew był w pracy rzeczywistym przywódcą. Potrafił zmusić muzyków do bezwzględnego wykonywania jego poleceń. Nie mogłem poznać orkiestry. Po paru próbach grali zupełnie

inaczej: z przejęciem, pasją, zaangażowaniem. Potrafili osiągnąć prawdziwe pianissimo i prawdziwe fortissimo.

A ja po piątkowym koncercie miałem tak zmęczoną prawą rękę, że musiałem moczyć ją w miednicy z gorącą słoną wodą. Podobno taki zabieg pomagał. Ale „pod Bierdiajewem" nie mogłem grać obojętnie.

Następne spotkanie miało miejsce w lutym 53 roku. Niespodziewanie otrzymałem zaproszenie do zadyrygowania w Warszawie uroczystym koncertem z okazji 75 urodzin Józefa Jarzębskiego. Nie wiem, dlaczego mnie akurat wybrano, a nie innych, bardziej znanych i doświadczonych dyrygentów. Przypuszczam, że zaproponowała mnie Umińska, z którą parę miesięcy wcześniej wystąpiłem w Krakowie z i koncertem Szymanowskiego. To właśnie dzieło miała wykonać na cześć jubilata, jako najbardziej sławna z jego uczniów.

Koncert jubileuszowy był naprawdę piękną uroczystością, w czasie której aż 40 skrzypków z całej Polski, prawdopodobnie byłych uczniów Jarzębskiego, wykonało arię Bacha. Powinienem raczej napisać „byłby", gdyż drugi obok Umińskiej solista, syn jubilata, przyszedł niestety pijany. Jak grał – lepiej nie wspominać.

Po koncercie moja rodzina i znajomi przyszli mi gratulować. Nagle do pokoju wkroczył Bierdiajew, uściskał mnie, a potem oświadczył na cały głos:

- Józja, jeżeli ty myślał, że jesteś już diriżor – to ty durak!

Obecni zdrętwieli. A Bierdiajew kontynuował:

- Diriżorem to ty będziesz za 10 lat.

Poczem raz jeszcze z uśmiechem mocno mnie uścisnął i wyszedł. Zapamiętałem te słowa i po latach przekonałem się, że Bierdiajew miał rację. Zawód dyrygenta poza wszystkimi innymi zdolnościami, dyspozycjami, umiejętnościami wymaga dodatkowo długiego doświadczenia.

Takie były początki moich, jakże bliskich, stosunków z jednym z najznakomitszych polskich dyrygentów. Ilekroć przyjeżdżałem do Poznania, musiałem telefonicznie „meldować się" u Bierdiajewa. Zapraszał mnie za każdym razem na obiad (zajmował ogromne 5-pokojowe mieszkanie przy ul. Zeylanda). Wtedy poznałem jego żonę, do której zwracał się per Luleńka, a ona nazywała go Walja. Po obiedzie Bierdiajew udawał się do drugiego pokoju na drzemkę, a następnie przeglądał partyturę opery, którą wieczorem miał prowadzić. Jeden raz, jako młody i niedoświadczony dyrygent wyraziłem zdziwienie, po co to robi, skoro od dziesiątków lat dyrygował tymi dziełami i zna je doskonale. Wtedy Bierdiajew spojrzał na mnie surowo i powiedział krótko a dobitnie:

- Muszę przypomnieć sobie koncepcju.

Od tego dnia przez całe moje długie, dyrygenckie życie przeglądałem partytury przed każdym koncertem. I przekonałem się, że Bierdiajew znowu miał rację. Przekazuję tę informację młodym dyrygentom.

Kiedy Bierdiajew odpoczywał i „odświeżał koncepcję", rozmawiałem z jego żoną, Luleńką. Mówiła wyłącznie o nim. Widać było, że żyła tylko jego życiem. Było to naprawdę wzruszające. Nie mieli dzieci i Walja był całym jej światem. Pewnego dnia powiedziała:

- Ja wiem, że Walja spał ze wszystkimi baletnicami i śpiewaczkami. Co mi tam. Ale gdyby z którą przeczytał książkę – to bym mu głowę urwała.

Bierdiajew w roku 1954 objął stanowisko dyrektora Opery Warszawskiej. Otrzymał przydział na 4-pokojowe mieszkanie przy Al. Jerozolimskich. Oczywiście zostałem zaproszony i pozwoliłem sobie wówczas zapytać, dlaczego opuścił Poznań, gdzie – jak to ująłem – był „bogiem". A na to Bierdiajew:

- Nu, Józja, to mój obowiązek. Muszę jeszcze przed śmiercią zrobić porządek w warszawskiej operze.

Pamiętam, że ośmieliłem się zaprzeczyć. Powiedziałem:

- To niemożliwe.

Niestety miałem rację. Jesienią 56 roku Bierdiajew na próbie do premiery „Jolanty" Czajkowskiego dostał ataku serca i niebawem zmarł.

Byłem na pogrzebie. Przyszły tłumy ludzi oraz oczywiście przedstawiciele władz, instytucji, miast, organizacji itd. Szedłem – pamiętam – zupełnie z tyłu z Jankiem Krenzem i śpiewaczką Krystyną Kostal. Wspominaliśmy Bierdiajewa, szczególnie liczne anegdoty, które krążyły o jego dosadnych powiedzonkach. Kiedy czoło konduktu dotarło do miejsca pochówku, usłyszeliśmy krzyk żony Bierdiajewa. Do naszych uszu docierały poszczególne słowa:

- Mordercy! Zabili cię, Walja, zabili!

Było to dla mnie przejmujące przeżycie, które pozostawię bez komentarza. Parę tygodni później złożyłem wizytę pani Bierdiajewowej. Tego również nie zapomnę. Samotna, stara kobieta, dla której po śmierci męża wszystko straciło sens. Wyglądała pozornie na opanowaną, ale wyczuwałem całkowitą wewnętrzną pustkę. Na zakończenie tej krótkiej wizyty, pani Bierdiajewowa powiedziała:

- Panie Józia, niech pan napisze książkę o Walii.

Obiecałem i wstyd mi, że tej obietnicy nie spełniłem. Nie z mojej zresztą winy. Żadne wydawnictwo nie było zainteresowane. Może teraz te parę wspomnień w mojej biografii w jakimś małym stopniu naprawi moje zaniedbanie.

Jak słyszałem, pani Bierdiajewowa umarła niebawem po mojej wizycie.

I na zakończenie jeszcze jedno wspomnienie o Bierdiajewie. W roku 54 wprowadzono na wzór radziecki naukową aspiranturę. Czy na wszystkich wyższych uczelniach, czy tylko niektórych, np. artystycznych – tego nie pamiętam. Również nie potrafię przypomnieć sobie, kto typował kandydatów. Ministerstwo czy uczelnia. W każdym razie na dyrygencką aspiranturę, którą w warszawskiej PWSM prowadził Bierdiajew, przyjęto Zbyszka Chwedczuka i mnie. On pracował wówczas bodajże w Filharmonii Pomorskiej, a ja właśnie rozpocząłem pracę w Filharmonii Poznańskiej. Zajęcia odbywały się raz w miesiącu. Aspirantura miała trwać 3 lata, a po jej ukończeniu należało zadyrygować koncert i napisać coś w rodzaju pracy naukowej. Wówczas – tak jak w Związku Radzieckim – otrzymywało się stopień kandydata nauk, równający się tytułowi doktora. Aspirant otrzymywał miesięczne stypendium – co dobrze pamiętam – w wysokości 900 zł i raz do roku dodatkowo taką samą sumę na zakup pomocy naukowych. W moim przypadku partytur i książek. Ponieważ pensja II dyrygenta, którą miałem w Poznaniu, była bardzo niska, stypendium stanowiło cenną pomoc.

Ale nieporównanie ważniejsza stała się dla mnie możliwość nauki u Bierdiajewa. Był pedagogiem starej daty, tzn. twardym, wymagającym, bezkompromisowym. Żądał absolutnego podporządkowania się jego decyzjom. Jeśli moje ruchy nie odpowiadały mu, musiałem poprawiać je tak długo, aż uznał, że są zgodne z jego wymaganiami. To wielokrotne powtarzanie parotaktowych odcinków było męczące dla akompaniatorek grających na fortepianie na cztery ręce, a mnie doprowadzało czasami do furii.

Pamiętam dokładnie, jak kiedyś pierwsze dziesięć taktów pierwszej części II symfonii Beethovena powtarzałem około godziny. Wreszcie nie wytrzymałem i wybuchnąłem:

- Pan jest stary, a ja młody, pan jest gruby, a ja chudy. Nie mogę dyrygować tak jak pan!

Bierdiajew spojrzał na mnie znad okularów (miał je w czasie lekcji zawsze na czubku nosa) i powiedział spokojnie:

- Nu, Józja, dopóki jesteś na lekcji, będziesz diriżerował tak, jak ja ci każu. A potem będziesz mógł diriżerować po swojemu.

Przerwał na chwilę i dodał swoje zwyczajowe:

- Nu, jeszczo raz.

Była to znakomita szkoła dyscypliny, a jednocześnie technika manualna, której uczył Bierdiajew, była skuteczna w pracy z orkiestrami. W następnych latach wielokrotnie się o tym przekonałem. Niestety w roku 56 – jak już pisałem – Bierdiajew niespodziewanie umarł. Nie skończyłem zatem aspirantury i nie zostałem kandydatem nauk. Ale najbardziej żałuję, że nie mogłem dalej korzystać z cennych rad starego mistrza.

O Bierdiajewie mógłbym pisać jeszcze długo. O jego bezceremonialnym sposobie mówienia, o zabawnych powiedzonkach, ostrych (choć czasem sprawiedliwych) ocenach kompozytorów, wykonawców i… dygnitarzy. Byłby to materiał na sporą książeczkę. Może kiedyś zdążę ją napisać. W tej jednak biografii musiałem z większości wspomnień niestety zrezygnować, ograniczając się do najbardziej znaczących. Zrelacjonowanie wszystkich zajęłoby zbyt dużo miejsca.

Zdzisław Górzyński

Moje kontakty z Górzyńskim miały zupełnie inny charakter niż te z Bierdiajewem. Pozbawione były prywatnego, by nie powiedzieć – rodzinnego, zabarwienia. Bierdiajew traktował mnie prawie jak syna czy może raczej wnuka, był bowiem ode mnie starszy aż o 41 lat. I nie miał własnych dzieci. Być może dlatego cechował go tak bardzo opiekuńczy stosunek do studentów i młodych wykonawców, których – jak słyszałem – często zapraszał do domu. Górzyński nigdy tego nie robił, zachowując stały dystans. Tylko raz, pamiętam, w czasie uroczystości sześćdziesiątej rocznicy urodzin, kiedy składałem mu życzenia na scenie Opery Poznańskiej, objął mnie i oznajmił publiczności:

- To mój dawny uczeń !

Górzyński w latach 46-50 był jako dyrygent moim wzorem. Zaraz po powrocie z obozu, rodzina zabrała mnie na koncert do Filharmonii Łódzkiej. Dyrygował Górzyński. Nigdy nie zapomnę mojego zachwytu. To właśnie wtedy podjąłem ostateczną decyzję zostania dyrygentem. W następnych latach dosłownie „podpatrywałem" sposób dyrygowania Górzyńskiego. Miał wyjątkowy talent manualny. Niewielu widziałem dyrygentów, którzy tak minimalnymi ruchami potrafili osiągnąć takie efekty brzmieniowe i taką precyzję rytmiczną. Najdrobniejszy nawet gest, czasami ledwo drgnięcie dłoni było jasne, czytelne i zrozumiałe dla orkiestry. Mogłem to ocenić, rozpoczynając już od jesieni 46 roku pracę w Filharmonii Łódzkiej.

W roku akademickim 47-48, po wyjeździe mojego brata Kazimierza do Wrocławia, Górzyński objął klasę dyrygentury w łódzkiej PWSM. Jak sam mówił, bez specjalnej ochoty. Od razu zrezygnował z pianistek, które na lekcjach grały na cztery ręce na fortepianie utwory orkiestrowe. Górzyński stwierdził, że grają źle i niszczą muzykę. Dlatego wolał płyty. Ale dla studentów dyrygowanie „do płyt" nie ma właściwie sensu. Tłumaczenie tego zajęłoby zbyt dużo miejsca i proszę, aby przyszły czytelnik uwierzył mi na słowo.

W klasie była trójka studentów: Hanka, która – jak mi później mówiono – prowadziła w Krakowie dziecięce chóry; Olek, o którym potem nigdy nic nie słyszałem i ja, najmłodszy z całej grupy. Lekcje wyglądały następująco: Górzyński siedział skulony w fotelu i patrzył

krytycznie na wysiłki studentów, próbujących „dopasować się" do płyty. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek zwrócił studentowi uwagę na jakieś pomyłki czy niewłaściwe ruchy. Nie omawiał utworu, nie wskazywał istotnych z punktu widzenia dyrygenckiego fragmentów, nie analizował instrumentacji ani nawet formy. Po prostu kiedy płyta zatrzymywała się, mówił „dziękuję" albo – o wiele rzadziej – „proszę powtórzyć całą część".

Kiedyś nie wytrzymałem i powiedziałem z pretensją:

- Ale ja nie wiem, jak to miejsce (wymieniłem które) dyrygować.

A na to Górzyński:

- Przecież grasz w orkiestrze. Popatrz na próbach, co ja robię w podobnych miejscach.

Innym razem Hanka zapytała:

- Jak mam „zdjąć" tę fermatę?

Górzyński odpowiedział:

- Można tak albo tak. I tak.

Potem wykonał parę różnych ruchów „zdjęcia" fermat. Nie chciało mu się nawet wytłumaczyć biednej studentce, że „zdejmowanie" fermaty zależy od dynamiki, wielkości orkiestry lub rodzaju instrumentów. Są to elementarne sprawy, które każdy dyrygent powinien poznać w czasie studiów właśnie od pedagoga.

Ja osobiście zawdzięczam Górzyńskiemu dbałość o precyzję, oszczędność, celowość i zrozumiałość ruchów, czyli tego, co nazywa się techniką manualną. Ale nie nauczyłem się jej na lekcjach, lecz próbach i koncertach, „podglądając" Górzyńskiego. Po prostu wzorowałem się na nim, starałem się go naśladować. Nic dziwnego, że przez pierwsze lata pracy wiele osób nazywało mnie „kopią Górzyńskiego".

Witold Rowicki

Bodajże w roku 47 przyjechał do Filharmonii Łódzkiej trzydziestoparoletni dyrygent, Witold Kałka. Dopiero potem dodał drugie nazwisko – Rowicki, a jeszcze później zrezygnował całkiem z pierwszego. Podobał się muzykom i publiczności. Prowadził próby i koncerty – jak to się mówiło – z nerwem. Miał duży temperament, klarowną i sugestywną technikę manualną i przekonującą interpretację. Nie pamiętam czy już wówczas nawiązaliśmy znajomość, czy może nieco później przy jakiejś innej okazji. W styczniu 54 roku miałem gościnny występ w Katowicach. Był to mój debiut w Filharmonii Śląskiej. Solistką była Dubiska, której w pierwszej części koncertu Beethovena pękła struna. Wykazała niezwykłe opanowanie. Zamieniła się natychmiast skrzypcami z koncertmistrzem i po parunastu zaledwie sekundach podjęła swoją przerwaną partię. Koncertmistrz oddał skrzypce Dubiskiej sąsiadowi, biorąc w zamian jego. Ten zaś wymknął się z estrady, aby wymienić pękniętą strunę na nową. Zdążył wrócić po paru minutach, aby Dubiska kadencję i pozostałe części mogła wykonać na własnym instrumencie. Ten wypadek tak mnie wytrącił z równowagi, że z trudem dyrygowałem potem symfonię.

Po koncercie przyszedł do mnie z gratulacjami Rowicki, który w tym samym tygodniu miał jakieś nagrania w WOSPR i zaprosił na następny dzień na obiad w hotelowej restauracji. W trakcie rozmowy przy jedzeniu zwierzyłem się, że podziwiałem opanowanie Dubiskiej, mnie bowiem ten wypadek z pęknięciem utrudnił dyrygowanie nawet w drugiej części koncertu. A na to Rowicki powiedział bez ogródek:

- To niech pan zmieni zawód. Jeżeli taki drobny incydent wytrąca pana z równowagi, to znaczy, że brakuje panu odporności niezbędnej do wykonywania zawodu artysty.

Pamiętam ten wywód dokładnie, ponieważ był dla mnie szokiem. Rowicki mówił dalej:

- Jeżeli w czasie koncertu pomyli się solista albo muzyk orkiestrowy, to ja wtedy mówię sobie: „Muszę teraz tak dobrze dyrygować, żeby zatrzeć tamto wrażenie. Żeby te skurwysyny na sali zobaczyły, co potrafię."

Przyznałem mu rację i wyciągnąłem wnioski dla siebie. Nigdy już potem, przez dziesiątki lat pracy dyrygenckiej, nie pozwoliłem, aby jakakolwiek przeciwność na tyle mnie zdenerwowała, żebym stracił panowanie nad sobą. Przeciwnie, zgodnie ze wskazówką Rowickiego, mobilizowałem się do jeszcze lepszego dyrygowania.

Na jesień 60 roku zadebiutowałem w Filharmonii Narodowej. Domyślałem się, że było to zastępstwo za jakiegoś znanego dyrygenta, ponieważ jako solista miał wystąpić sam Emil Gilels. Normalnie bowiem nie łączy się solisty światowej klasy z debiutującym dyrygentem.

Koncert z uwagi na pozycję Gilelsa był na żywo transmitowany w ogólnopolskim programie radiowym. Określenie, że „umierałem ze strachu" nie byłoby przesadzone dla oddania mojej tremy. Pomimo tego, jak sądzę, musiałem dyrygować na tyle przyzwoicie, że miałem powodzenie, a potem otrzymałem jedne z najlepszych recenzji mojego życia. Po koncercie do pokoju dyrygenta, gdzie otaczała mnie rodzina i znajomi, przyszedł także Rowicki z gratulacjami. Ale potem wziął mnie na bok i bez ogródek wypalił:

- Depczesz po grobach!

Uznałem tę uwagę za niegrzeczną, tym bardziej, że nie byliśmy „na ty" i ze złością odparowałem:

- Nie rozumiem. Jakie to groby depczę?

Rowicki odpowiedział:

- Bierdiajewa, Bierdiajewa!

Nie wytrzymałem i akcentując każde słowo, zadeklarowałem:

- A ja tak czuję tę muzykę. (Była to VI symfonia Czajkowskiego.)

Rowicki popatrzył na mnie uważnie, uśmiechnął się i dołączył do obecnych w pokoju.

W następnym sezonie wystąpiłem ponownie w Warszawie i tak zaczęła się trwająca szereg lat współpraca z Filharmonią Narodową. Jak już pisałem, po zobaczeniu na festiwalu w Lucernie Karajana, dyrygującego bez batuty, postanowiłem pójść w jego ślady. Niebawem miałem koncert w Filharmonii Narodowej i oczywiście prowadziłem go bez batuty. Po zakończeniu koncertu Rowicki wpadł do pokoju artystycznego i zaatakował mnie wprost:

- Zwariowałeś? (Byliśmy już „na ty".) Co ci strzeliło do głowy, żeby dyrygować bez batuty? Orkiestra nie będzie grała równo!

Odpowiedziałem spokojnie, gdyż był to najbardziej skuteczny sposób reagowania na wybuchy Witolda:

- A nie grali dzisiaj równo?

- Ale to była muzyka romantyczna! A jak sobie dasz radę z klasyczną?

Ponieważ miałem już uzgodnioną datę następnego koncertu w Warszawie, zaproponowałem, aby jednym z utworów była klasyczna symfonia. Rowicki propozycję zaakceptował. Kiedy po koncercie przyszedł do mnie, z niewinną miną spytałem:

- No i co, grali równo?

Zamiast odpowiedzieć, machnął tylko ręką i więcej do sprawy dyrygowania bez batuty nie wróciliśmy.

Kończąc wspomnienia o Rowickim mogę stwierdzić, że jego interpretacje utworów romantycznych i XX-wiecznych, były porywające. Wiele się nauczyłem, słuchając i patrząc. I co nie mniej ważne – zawdzięczam mu wiele głębokich wzruszeń.

Karajan i inni

O wpływie Karajana na moje dyrygowanie pisałem szczegółowo w rozdziale XXV. Tutaj chciałbym przedstawić dwie bardziej ogólne refleksje. Pierwsza dotyczy roli mistrzów w rozwoju młodych adeptów. Czytając życiorysy wielkich artystów i uczonych, można zauważyć, jak w młodości wędrowali od miasta do miasta, od kraju do kraju. Większość z nich nie ograniczała się do jednej, najbardziej nawet renomowanej uczelni i jednego tylko, choćby znakomitego pedagoga. Taki kontakt z wieloma ośrodkami i różnymi wybitnymi postaciami był niezbędny dla rozwoju wiedzy, umiejętności i osobowości młodego artysty czy uczonego. Mnie niestety ówczesny system polityczny pozbawił takich możliwości.

Druga refleksja związana jest z tak modnymi obecnie kursami z dodatkiem „mistrzowski". Kursy te trwają dwa lub trzy tygodnie i w wielu przypadkach mącą w głowach młodym ludziom. Uczestniczenie w kursach, prowadzonych przez sławnych wykonawców, zastąpić ma w przekonaniu wielu młodych ludzi regularne studia. Jest to – moim zdaniem – poważny błąd w myśleniu. Kilkutygodniowe obcowanie z wybitną indywidualnością artystyczną i opracowanie kilku dzieł to nie to samo co systematyczne lekcje na przestrzeni czterech lub więcej lat. Ta druga refleksja pozornie przeczy pierwszej. Ale tylko pozornie. Jestem bowiem pewien, że gdybym nie miał skończonych studiów dyrygenckich i kilku dziesiątków wykonanych koncertów – zobaczenie i usłyszenie Karajana nie byłoby w stanie dokonać takiego przełomu.

Z tych rozważań można wyciągnąć wniosek, że do prawidłowego rozwoju potrzeba wielu i to rozmaitych elementów. Brak któregokolwiek spowoduje niestety trudne do odrobienia straty.

Pisałem już o przyznaniu mi zagranicznego stypendium zaraz po uzyskaniu dyplomu i odmowie wydania paszportu przez złowrogie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Jestem całkowicie pewien, że byłbym zupełnie innym dyrygentem, gdybym w wieku 24 lat miał możność kontynuowania studiów w takich miastach jak np. Paryż czy Londyn u wielkich artystów. Na szczęście mogłem sobie to nieco powetować w późniejszych latach, wykorzystując każdy pobyt za granicą, aby uczęszczać na koncerty lub próby prowadzone przez wybitnych dyrygentów.

Udało mi się być w Pradze na próbie Rafaela Kublika z orkiestrą Czeskiej Filharmonii, a w Wenecji na próbie Johna Barbirolli'ego z orkiestrą opery San Carlo. Do dzisiaj pamiętam moje wrażenia, ale opisywanie ich rozsadziłoby ramy tej książki. Niezapomnianym przeżyciem było wykonanie IX symfonii Beethovena w Bukareszcie pod batutą Georga Georgescu. Myślę, że był to pierwszy wielki dyrygent starszego pokolenia, z jakim się zetknąłem. Olśnił mnie interpretacją tego monumentalnego arcydzieła. To od niego nauczyłem się umiejętności budowania wielkich form. I nigdy tej nauki nie zapomniałem.

Byłem na koncertach Nikołaja Anosowa, Karela Ancerla, Pierre'a Monteux, Rusłana Rajcewa, Konstantina Iwanowa, George'a Szella, Ferenca Friscay'a, ale żaden nie zdołał mnie porwać. Dokonali tego Charles Münch, Leonard Bernstein i Vaclav Neumann. Każdy z nich był zupełnie odmienną osobowością artystyczną, ale łączyło ich jedno – umiejętność

tworzenia muzyki. Byli jakby „współkompozytorami" wykonywanych dzieł. Jestem pewien, że o każdym z tych dyrygentów napisano monografie, obszernie analizujące ich sztukę. Ograniczony tematyką tej książki, z żalem muszę zrezygnować z relacjonowania przeżyć, które im zawdzięczam. I wspaniałych lekcji, jakich mi udzielili na swoich koncertach. Byli naprawdę wielkimi artystami.

Innych sławnych dyrygentów poznawałem niestety tylko za pośrednictwem radia, telewizji i przede wszystkim płyt. I to również było cennym doświadczeniem. Ale muszę wyznać, że parę razy doznałem rozczarowania. Tak było niestety z Claudio Abbado, Karlem Böhmem, czy Danielem Barenboimem. Wiadomo, że byli wspaniałymi muzykami (ten ostatni przede wszystkim światowej sławy pianistą), ale jako dyrygenci nie potrafili mnie zachwycić. Mógłbym szczegółowo wyjaśnić dlaczego, ale pomny tego co napisałem na początku tego rozdziału, rezygnuję. Natomiast prawdą jest, że nawet płyty wystarczyły czasem, abym mógł zachwycić się interpretacjami Arturo Toscaniniego, Wilhelma Furtwänglera, Bruno Waltera, Carlosa Krausa czy Bernarda Haitinka. Nigdy jednak nie odżałuję, że nie mogłem oglądać tych mistrzów „na żywo".

Kończąc moje nader skrótowe wspomnienia o sławnych dyrygentach, chciałbym raz jeszcze podkreślić jak wiele im zawdzięczam. Przygotowując się np. do wykonania IX symfonii Beethovena w Paryżu, przesłuchałem „po razie" nagrania Toscaniniego, Bernsteina, Furtwanglera, Konwitschnego. Okazało się, ze różnice w interpretacjach tych mistrzów były uderzające. Najbardziej zaskoczyła mnie różnica w czasie, która dochodziła do 10 minut! Ośmielony tymi różnicami, mogłem budować własną koncepcję, pamiętając aby nie wzorować się „na ślepo" na żadnym z mistrzów. I znowu dotknąłem tematu, który wymagałby rozwinięcia. Niestety, po raz kolejny muszę z tego zrezygnować.

W czasie długiego życia i wielu lat pracy zebrałem sporo doświadczeń. Zapewne jak każdy stary człowiek, odczuwam pokusę podzielenia się nimi z młodymi. Wiem jednak, że doświadczeń nie da się przekazać komukolwiek, nawet własnym dzieciom. I tym smutnym stwierdzeniem kończę rozważania o dyrygentach.

Soliści

Wspominanie solistów nastręcza zupełnie innych trudności niż w przypadku dyrygentów. W ciągu mojego życia słyszałem zapewne ponad tysiąc najrozmaitszych solistów. Byli wśród nich wielcy i mali, znakomici i wręcz kiepscy. Miałem szczęście, że „na żywo" mogłem słyszeć paru geniuszy. Ale byli i tacy, którzy nie powinni w ogóle występować.

Miałem wspólne koncerty z przynajmniej kilkoma setkami solistów, z których co najmniej kilkudziesięciu można określić mianem wybitnych. Gdybym chciał wymienić tylko ich imiona i nazwiska, zajęłoby to wiele stronic. I nie jestem pewien czy miałoby to w ogóle jakiś sens. A gdybym spróbował wypisać choćby najkrótsze charakterystyki ich gry czy śpiewu, powstałaby spora książeczka. I w dodatku moim zdaniem zupełnie niepotrzebna. Bo kogo interesowałaby moja opinia np. o wielkim, światowej sławy skrzypku albo tym bardziej o jakiejś miernocie, której nazwisko zostało już zupełnie zapomniane.

Postanowiłem zatem ograniczyć się do wybrania kilkunastu solistów, o których moje wspomnienia uważam za interesujące.

Najwięcej koncertów miałem z moją siostrą Wandą. Jej sposób gry wyjątkowo mi odpowiadał i nie przypominam sobie żadnych właściwie rozbieżności w odczuwaniu

i realizowaniu utworu. Jej interpretacje zawsze były zgodne z moimi odczuciami. I tutaj pozwolę sobie na małą dygresję.

Ponieważ od dzieciństwa uprawiałem muzykę kameralną, w zespole potrafiłem – pomimo mojego wybujałego indywidualizmu, do którego mogę się już w tym wieku przyznać – dostosowywać się do partnerów. Jako akompaniator przyjmowałem zasadę (przejętą od Kazia i Górzyńskiego), że najważniejszy jest solista. Moim zadaniem było (i tak zresztą pozostało do dzisiaj) realizowanie jego koncepcji. Jeśli miałem wątpliwość co do pewnych szczegółów, pytałem solistę wprost czy takie właśnie było jego zamierzenie. Jeśli potwierdził, uważałem za swój obowiązek podporządkować się. Nawet wbrew swojemu przekonaniu. I wtedy występował wewnętrzny konflikt. Musiałem dyrygować wbrew samemu sobie, zmuszając się do robienia czegoś, z czym się nie zgadzałem. Ale taka niestety jest rola akompaniatora.

Takie sytuacje zdarzały się nawet z wybitnymi artystami. Podobnie było z kiepskimi solistami. Ci na ogół nie mieli żadnej koncepcji i po prostu zmagali się z trudnościami technicznymi. Po takich koncertach miałem niesmak, którego nie potrafiłem zapomnieć.

Z Wandzią natomiast szybko porozumiewaliśmy się co do szczegółów wykonania i dlatego z góry cieszyłem się na każde z nią spotkanie na estradzie.

O ile pamiętam, drugą w kolejności solistką pod względem liczby wspólnych koncertów była Halina Czerny-Stefańska. Lubiłem z nią występować, chociaż zdarzało się jej na koncertach „połykać" nuty, przyspieszać, a nawet zapominać. Ale najważniejsze, że grała pięknym dźwiękiem, a jej interpretacja była przekonywująca w swojej prostocie. Myślę, że miała ogromną intuicję wykonawczą, jeśli wolno użyć takiego określenia. O Halinie krążyło mnóstwo anegdot, częściowo opartych na prawdziwych wydarzeniach. Nie będę ich tu przytaczał, ponieważ nie dotyczyły tego co najważniejsze – jej gry. Parafrazując Ewangelie, można by napisać: wiele jej będzie wybaczone, bo wielu ludziom dała chwile wzruszeń.

Miałem możność wspólnych występów z tak wielkimi artystami jak Leonid Kogan, Gidon Kremer, Gina Bachauer czy Emil Gilels. Wydaje mi się, że byli zadowoleni z mojego akompaniowania. W każdym razie próby przebiegały bez jakichkolwiek zakłóceń. A ja do dzisiaj mam piękne wspomnienia ze współpracy z tak wybitnymi osobowościami.

Muszę przyznać, że kontakty z tymi największymi solistami, a także z wieloma innymi dostarczały mi wzruszeń na koncertach, satysfakcji z możliwości wspólnego muzykowania, a także były cennymi doświadczeniami. Nauczyłem się dużo o wykonywanych utworach, jak i w ogóle o muzyce.

Mogę sobie zapisać w życiorysie występowanie właściwie ze wszystkimi czołowymi polskimi pianistami, z wyjątkiem Krystiana Zimmermana. Podobnie było ze skrzypkami, wiolonczelistami czy śpiewakami. W tym miejscu nie mogę jednak powstrzymać się od pewnej gorzkiej refleksji. W chyba ostatniej jednotomowej Encyklopedii Muzyki (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa, 1995) znajduje się na str. 703-710 hasło „Polska muzyka", opracowane przez Ludwika Erhardta. Można tam znaleźć nazwiska kompozytorów, muzykologów, wydawców, a nawet budowniczych instrumentów. Brakuje natomiast w ogóle wykonawców, nawet tych, którzy zdobyli światową sławę jak np. Józef Hofman, Paweł Kochański czy Jan Reszke! Wyjątek zrobiono wyłącznie dla wirtuozów, którzy byli jednocześnie kompozytorami. Czyżby wykonawcy nie tworzyli muzyki polskiej? Pozostawiam to pytanie bez odpowiedzi i wracam do „moich" solistów.

Pisałem dotąd o tych, z którymi współpracowało mi się dobrze. Byli jednak i tacy –

powtarzam – czasem nawet bardzo znani, których interpretacja nie odpowiadała mi do tego stopnia, że pomimo wysiłków, nie potrafiłem akompaniować im z całym przekonaniem. I dlatego raz jeszcze wracam do tych smutnych wspomnień. Na szczęście takich solistów było niewielu i nie zamierzam wymieniać ich nazwisk.

A teraz jeszcze wspomnę o tych wielkich artystach (słyszanych „na żywo"), z którymi nie miałem wspólnych koncertów, ale których sztuka wykonawcza była dla mnie inspirująca i pouczająca. Byli to: Artur Rubinstein, Jascha Heifetz, Yehudi Menuhin, Elizabeth Schwarzkopf, Maria Menghini Callas, Natan Milstein. Każde z nich nauczyło mnie czegoś innego, co starałem się potem wykorzystać w swojej pracy. Ale wszyscy objawili mi rzecz najważniejszą: potęgę swoich osobowości, dzięki której mogli stwarzać wielkie, niepowtarzalne kreacje. Udowodnili mi, że w sztuce najważniejsze jest posiadanie własnej wizji wykonywanego dzieła i umiejętność jej realizacji. A poza tym zawdzięczam im jako słuchacz najgłębsze przeżycia.

Do wyżej wymienionych artystów, których mogłem słyszeć bezpośrednio na koncertach, dołączyć powinienem jeszcze Vladimira Horowitza. Pamiętam audycję w radio sprzed kilkudziesięciu lat, w której emitowano nową płytę z nagraniem koncertu fortepianowego B-dur Brahmsa. Grał Horowitz i orkiestra NBC pod dyrekcją Toscaniego. Przyznaję, że miałem łzy w oczach, słuchając tego nagrania. Idealna zgodność koncepcji, której została podporządkowana barwa poszczególnych instrumentów. Nie wiem, jak to osiągnęli ci dwaj genialni artyści, ale fortepian brzmiał jak cała orkiestra, a brzmienie orkiestry stapiało się wręcz z dźwiękiem fortepianu.

Użyłem w poprzednim zdaniu określenia „genialni". Staram się jak najrzadziej stosować ten superlatyw, niestety obecnie nader często nadużywany. Geza Reves w swojej książce „Talent i geniusz" przedstawił następującą klasyfikację: zdolność – talent – geniusz. W tej klasyfikacji talent to wybitna zdolność lub zdolności (co lepiej brzmi w języku polskim) oraz dar nadawania dziełu własnego, osobistego piętna. A geniusz to moc tworzenia nowego świata słów, dźwięków, barw. Podział Revesa dotyczy twórców, ale sądzę, że można go zastosować także w odniesieniu do wykonawców. Zdolny dyrygent, instrumentalista, śpiewak potrafi przekazać nam utwór zgodny z jego zapisem nutowym. Utalentowany dodaje osobistą interpretację, czyli własne odczytanie tekstu muzycznego. Lub inaczej – nasycenie go własną osobowością. A wykonawca genialny? Tutaj następuje – według mnie – odwróceniu ról. To genialny wykonawca tworzy na podstawie zapisanych przez kompozytora nut „swoją" muzykę. Jedyną i niepowtarzalną. Dlatego zdarza się czasami, że z trzeciorzędnego nawet utworu genialny wykonawca potrafi stworzyć wielkie dzieło.

Kończąc te wspomnienia o solistach mojego życia, chciałbym dodać, że również w tzw. muzyce popularnej byli wielcy wykonawcy. Wystarczy wymienić jedno nazwisko, które starczy za wszystkie inne – Edith Piaf. Znam jej sztukę tylko z płyt. Wywarła na mnie ogromne wrażenie i nauczyła jednej, jakże ważnej, rzeczy: że nie istnieją w ogóle żadne rodzaje muzyki. To klasyfikacja sztuczna, choć zapewne konieczna dla teoretyków. Dla mnie osobiście istnieją dwa rodzaje: muzyka dobra i muzyka zła. I tutaj jeszcze jedno zastrzeżenie. Dzieło literackie, którego nikt nie czytał – nie istnieje. Obraz namalowany, ale odwrócony do ściany – również. Kompozycja, nawet najgenialniejsza, zaczyna istnieć dopiero, kiedy ktoś ją wykona.

Dlatego muzyka to coś więcej niż tylko kompozycja. To także wykonawstwo, które ją ożywia. I żadne muzykologiczne dywagacje tego nie zmienią. Wykonawca jest współtwórcą (niestety czasem destruktorem) dzieła. Szkoda, że często się o tym zapomina.

Rozdział XLIII

ANEGDOTY I POWIEDZONKA

O sławnych historycznych postaciach krążą dziesiątki anegdot. Podejrzewam, że tylko część z nich jest autentyczna, a większość została wymyślona przez innych ludzi, za życia lub – co bardziej prawdopodobne – po śmierci bohaterów. Stanowią one część ich legendy. Również o znanych artystach opowiada się anegdoty i przypisuje im wiele powiedzonek, mających świadczyć o ich inteligencji i wyjątkowym poczuciu humoru. Przypadkiem jednak mogłem sprawdzić, że niektóre z dowcipnych powiedzonek wymyślili… sami artyści. W rozmowach chwalili się, jak to inteligentnie w trudnych sytuacjach potrafili ripostować. A potem z niezależnych relacji różnych naocznych świadków danego wydarzenia dowiadywałem się, że rzeczywistość przedstawiała się zupełnie inaczej.

Dlatego też w tym rozdziale przytoczę tylko te anegdoty i powiedzonka, których byłem świadkiem oraz te, które zostały potwierdzone przez parę wiarygodnych osób. Jeśli zaś słyszałem je bezpośrednio od autorów, poddawałem je potem w miarę możliwości weryfikacji.

Najwięcej anegdot krążyło o Bierdiajewie. On sam z lubością je opowiadał. Muszę przyznać, że w jego ustach brzmiały przekonująco, ponieważ ja sam parokrotnie byłem świadkiem podobnych zdarzeń. Bierdiajewa cechował bezceremonialny sposób mówienia oraz nieprzebierania w słowach. Nader często używał wyrazów, które określało się w tamtych czasach jako niecenzuralne. Najpierw opowiem o zdarzeniach, których byłem naocznym i „nausznym" świadkiem. Jak już pisałem, ilekroć przyjeżdżałem do Poznania na koncert, musiałem powiadamiać o tym Bierdiajewa telefonicznie. Zapraszał mnie na obiad do domu, a potem na przedstawienie do opery. Próbowałem się wykręcić z tego drugiego obowiązku, mówiąc, że nie lubię opery. Na to Bierdiajew odpowiadał:

- Kiedy ja diriżeruję, to ty będziesz lubił operę.

Bierdiajew miał zarezerwowane na stałe dwa fotele w samym środku pierwszego rzędu. Siedząc, mogłem obserwować ruchy dyrygenta. Ponieważ była ze mną żona Bierdiajewa, w przerwach szliśmy zawsze za kulisy, aby – jak mówiła – nie czuł się samotny. Pewnego wieczoru, po zakończeniu I aktu „Aidy", Bierdiajew leżąc w fotelu, powiedział:

- Pamiętaj, Józja, że jeśli muzyk się pomyli, to nie patrz na niego srogo. On wie, że się pomylił. On nie będzie potem spał w nocy ze zmartwienia. Ty uśmiechnij się do niego, pamiętaj.

Odpowiedziałem potulnie:

- Będę pamiętał.

II akt „Aidy" rozpoczyna się sceną triumfalną, w której instrumenty dęte mają najbardziej eksponowaną partię. Tak się zdarzyło, że waltornie i trąbki zaczęły „kiksować" i to wyjątkowo rażąco. I nagle zobaczyłem, jak Bierdiajew, nie przestając dyrygować prawą ręką, zaczyna wygrażać muzykom lewą, tupać nogami i krzyczeć (na przedstawieniu, przy pełnej sali!).

- Durnie, osły (z akcentem na „y")! Co grajecie?

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie spojrzeć na panią Bierdiajewową. Ona odwzajemniła spojrzenie, również zaskoczona.

Po zakończeniu II aktu, poszliśmy jak zwykle za kulisy i powiedziałem do Bierdiajewa z wyrzutem:

- Panie dyrektorze, dopiero co uczył mnie pan, że na muzyka, który się pomylił, nie wolno nawet spojrzeć surowo. A sam pan wrzeszczał publicznie.

Bierdiajew pomyślał chwilę, a potem bynajmniej nieskonfundowany, odpowiedział:

- Nu, Józja, jak będziesz taki stary jak ja, to też będziesz mógł wrzeszczeć.

Była to tak wykrętna odpowiedź, że uniemożliwiała jakąkolwiek dyskusję. A w dodatku Bierdiajew uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, mrugając znacząco okiem.

Innym razem opowiedział mi, że kiedy zaraz po wojnie objął stanowisko dyrektora Filharmonii Krakowskiej, przez jeden rok II dyrygentem był Panufnik. Pewnego dnia poinformowano Bierdiajewa, że Panufnik „poszedł na wódkę" z paroma muzykami. Wezwał go zatem następnego dnia i odradził mu tego rodzaju postępowanie. Panufnik, broniąc się, powiedział:

- Przecież pan też czasami pije z muzykami.

A Bierdiajew na to:

- Widzisz, Andrzej, to nie to samo. Jeśli Bierdiajew z nimi pije, to znaczy, że jemu z nimi dobrze. A jeśli Panufnik – to znaczy, że się ich boi.

Nie wiem czy Bierdiajew naprawdę tak powiedział Panufnikowi, czy tylko zmyślił całą rozmowę. Ale samo spostrzeżenie było jak najbardziej słuszne. Potwierdziło stare polskie przysłowie „Co wolno wojewodzie…"

Równie trafne było powiedzenie Bierdiajewa, które usłyszałem w czasie, kiedy uczyłem się u niego jako aspirant. Przed jedną z pierwszych lekcji zapytał, co ostatnio „diriżerowałem". Odpowiedziałem, że „Szeherezadę". Zadał wtedy następne pytanie:

- I kak było?

Odparłem szczerze, że źle. A Bierdiajew:

- Nie mogło być dobrze. „Szeherezada" jest tak trudna, że można ją diriżerować dopiero pietnastie lat po dyplomie. Pamiętaj.

Zapamiętałem i zaczekałem aż minęła piętnasta rocznica dyplomu. Wstawiłem „Szeherezadę" do programu i od nowa zacząłem się uczyć partytury. I przekonałem się wówczas, że Bierdiajew miał rację. Doświadczenie kilkunastu lat pracy dyrygenckiej i prowadzenie kilkuset koncertów pozwoliło na zmierzenie się z wieloma zróżnicowanymi problemami „Szeherezady".

A oto kolejna anegdota o Bierdiajewie. Opowiedziała ją pani Zofia Komorowska, o której już pisałem i którą mogę uważać za osobę w pełni wiarygodną.

Kiedy Bierdiajew kończył pracę w Filharmonii Krakowskiej, przenosząc się do Opery Poznańskiej, zorganizowano koncert, po którym odbyła się pożegnalna uroczystość. Poza kwiatami, honorowymi dyplomami, listami gratulacyjnymi, wiceprezydent Krakowa wręczył Bierdiajewowi ogromny, zabytkowy album. Dlaczego wiceprezydent, a nie prezydent, który był obecny? Pani Komorowska wyjaśniła, że Bierdiajew wprost nie znosił prezydenta. Z jakiego powodu – nie wiedziała. Po uroczystości wszyscy poszli na kolację i w czasie jedzenia Bierdiajew swoim tubalnym głosem powiedział (cytuję za panią Komorowską):

- Zosieńka, to była taka piękna uroczystość… Ja, stary, tak się wzruszył… i jak to było dobrze, że ten album dostał ja od wiceprezydenta, a nie od tej dupy, prezydenta!

Jak mi relacjonowała pani Komorowska, po tych słowach, a zwłaszcza po tym jednym słowie, przy stole zapadła cisza. Na szczęście pani Komorowska była osobą niezwykle kulturalną, taktowną i obytą towarzysko. Nie zareagowała w ogóle na wypowiedź Bierdiajewa. Błyskawicznie zmieniła temat rozmowy i zapobiegła skandalowi.

Ze słowem „dupa" wiąże się kolejna anegdota. Bierdiajew był profesorem dyrygentury w krakowskiej PWSM i przenosząc się do Poznania, przekazał swoich studentów innej osobie. Zatrzymał jedynie studenta na roku dyplomowym. Student ten, którego nazwiska nie wymienię, przez cały rok akademicki dojeżdżał raz w miesiącu na lekcje do Poznania. Na wiosnę ustalono program i termin koncertu dyplomowego. Bierdiajew przyjechał na generalną próbę. Na sali poza nim siedziało paru członków senatu uczelni. Biedny student, pozbawiony niestety zdolności dyrygenckich, nie dawał sobie rady z „Eroiką". Kiedy wreszcie skończył, rozległ się głos Bierdiajewa:

- Wot dwie dupy na sali. Jedna ta co diriżerowała i druga stara na sali, że na to przyjechała z Poznania.

Zapanowała konsternacja, a Bierdiajew wdrapał się na estradę, odsunął na bok nieszczęsnego studenta i zwrócił się do orkiestry:

- Wy grali ze mną „Eroikę"?

Rozległ się zgodny chór.

- Parę razy!

Wtedy Bierdiajew powiedział do koncertmistrza, którym był Zdzisław Roesner:

- Nu, Zdzisia, ja na koncercie usiądę w pierwszym rzędzie, tak żeby ty mnie widział. I będę diriżerował. A ty skrzypcami będziesz pokazywał orkiestrze. Dobrze?

Muzycy odpowiedzieli śmiechem i oklaskami. Bierdiajew popatrzył na studenta i dodał:

- Oni zagrają. A ty się ich pilnuj.

Stało się tak, jak zarządził Bierdiajew. Koncertmistrz kątem oka patrzył na siedzącego w pierwszym rzędzie Bierdiajewa, który dyrygował minimalnymi ruchami ręki. A potem koncertmistrz główką skrzypiec, a czasem i smyczkiem, przekazywał całej orkiestrze zarówno tempo czy „wejścia". Niezwykły eksperyment. I o dziwo – udany. Był to podobno jeden z najlepszych koncertów dyplomowych. Inna sprawa, że ten student po uzyskaniu dyplomu i tak nie został dyrygentem.

Tę historię opowiedzieli mi najpierw muzycy, potem pani Komorowska, a potwierdził ją Bierdiajew w czasie którejś z moich wizyt. Zapytałem wówczas, dlaczego niezdolny student nie został usunięty z uczelni po pierwszym roku, pomijając oczywisty dla mnie fakt, że nie powinien być w ogóle przyjęty. Bierdiajew długo się zastanawiał zanim odpowiedział.

- Nu, Józja, on był taki pracowity i pilny. Żal człowieka skrzywdzić.

W Poznaniu Bierdiajew opiekował się m.in. swoim studentem, Czyżem oraz śpiewakiem Adamczewskim. Obaj byli nie tylko utalentowani, ale także inteligentni i Bierdiajew – jak mi mówiono – lubił przebywać w ich towarzystwie. Zdarzyło się, że Adamczewski sprzeciwił się Bierdiajewowi, a ten, mając despotyczne usposobienie – zwolnił go z opery. Nie będę relacjonował szczegółów całej sprawy, gdyż zajęłoby to zbyt dużo miejsca. Nieco później dowiedziałem się, że Bierdiajew zerwał również stosunki z Czyżem. Przy pierwszej okazji zapytałem dlaczego. A oto relacja Bierdiajewa:

- Nu, Józja, mówię ja do Henia, żeby przestał spotykać się z Adamczewskim. A on na to, że tego nie zrobi, bo jemu Adamczewski odpowiada intelektualnie. Wyobraź sobie, Józja, kak taka swołocz może odpowiadać mu intelektualnie?

Pamiętam, że nie mogłem się powstrzymać i parsknąłem śmiechem. Logika Bierdiajewa była wręcz porażająca. Na szczęście mój śmiech przyjął za dobrą monetę i nie wygonił z mieszkania.

I jeszcze jedna anegdota z wielu, które znam i które wszystkie właściwie warte byłyby utrwalenia. Już nie pamiętam, z jakiej okazji i w którym roku zwołano ogólnopolską naradę poświęconą muzyce. Byłem na niej obecny. W prezydium zasiedli czołowi muzycy oraz minister kultury i sztuki. W kolejnych wystąpieniach mówcy przedstawiali zły stan instytucji muzycznych. Po jakimś czasie zabrał głos Bierdiajew, siedzący oczywiście w prezydium. We właściwy sobie bezceremonialny sposób zaatakował ministerstwo, wytykając ignorancję i arogancję urzędników. Przytaczał przykłady rażącej biurokracji i braku zainteresowania trudną sytuacją muzyków. A że jak zwykle raz po raz robił złośliwe, dowcipne aluzje, sala reagowała wybuchami śmiechu i oklaskami. Również osoby siedzące w prezydium, łącznie z ministrem. Zauważył to Bierdiajew, popatrzył na niego i huknął:

- Toż ja to mówię przeciw panu, panie ministr, a pan się śmieje i klaszcze. Paczemu?

Nigdy nie zapomnę ryku śmiechu i burzy oklasków, z jakimi przyjęto te słowa. Minister poczerwieniał na twarzy i do końca narady nie zabrał w ogóle głosu.

* * *

Górzyński był również dowcipny i złośliwy. Pamiętam dwie o nim anegdoty. Pierwsza miała miejsca na próbie w Filharmonii Łódzkiej. Ćwiczyliśmy „Rapsodię rumuńską" Enescu. Gdzieś w środku było niewielkie solo kotłów. Pomimo wielokrotnego powtarzania, kotlista nie mógł się „wyliczyć" i nie potrafił zagrać właściwie. Kiedy na generalnej próbie znowu się pomylił, Górzyński przerwał, poprawił charakterystycznym ruchem okulary w grubej, czarnej oprawie i z poważną miną powiedział sztucznie łagodnym głosem:

- Mam dla pana propozycję.

Wszyscy czekaliśmy na dalszy ciąg, przeczuwając jakiś dowcip.

- W zeszłym miesiącu miałem koncert w Gdańsku – ciągnął dalej Górzyński – i tam kotlista też nie mógł trafić we właściwym miejscu. Proponuję, abyście panowie zjechali się w połowie drogi, to znaczy w Bydgoszczy i zrobili sobie wspólne zdjęcie.

Dowcip wywołał wybuch śmiechu. A wieczorem, ku naszemu przyjemnemu zaskoczeniu, kotlista zagrał swoje solo bezbłędnie.

Druga anegdota dotyczyła Hanki, studentki w klasie dyrygentury. Jak już pisałem, Górzyński nie był zamiłowanym pedagogiem i wręcz niechętnie udzielał wskazówek czy rad. Na pewnej lekcji Hanka zapytała o jakąś ściśle techniczną kwestię. Górzyński jak zwykle zbagatelizował pytanie, mówiąc, że nie ma w takiej kwestii żadnych zasad. Hanka niepotrzebnie się zaperzyła i powiedziała:

- A Scherchen w swoim podręczniku pisze, że są pewne żelazne zasady.

Obawiałem się, że wybuchnie awantura, ale Górzyński poprawił okulary, sięgnął do kieszeni, wyciągnął kalendarzyk i powiedział spokojnie:

- Mam tutaj adres Scherchena. Proszę pojechać do niego i wziąć parę lekcji.

Pamiętam, że nawet wtedy miałem odmienne zdanie. Górzyński wykpił się dowcipem, ale racja była po stronie Hanki.

* * *

O Latoszewskim, skądinąd zasłużonym organizatorze życia muzycznego, dzięki któremu zbudowano w Łodzi teatr operowy, krążył następujący dowcip: Czy słyszeliście, że Toscanini zwariował? Dostał manii wielkości, chodzi po pokoju i mówi – „Jestem Latoszewski, jestem Latoszewski!".

* * *

Mój brat, Kazimierz słynął ze złośliwości. Nieraz i ja ich doświadczyłem. Kiedy usłyszał w radio mój pierwszy utwór na orkiestrę, oświadczył:

- Nie mogę nic powiedzieć o twoim utworze, ponieważ nie wiem, które trzaski, piski, gwizdy i szmery były twojego autorstwa, a które pochodziły z aparatu radiowego.

Była to najkrótsza recenzja nowoczesnej muzyki!

* * *

Kiedyś w czasie wspólnego wywiadu zapytał mnie:

- Czy wolisz kompozycje własne, czy Mozarta?

Oczywiście odpowiedziałem, że Mozarta. A Kazio na to:

- Wiedziałem, że masz dobry gust.

* * *

Niestety Kazio – jak to się mówi – był gotów wiele poświęcić dla dowcipu. Opowiadali mi muzycy z pewnej orkiestry, nie kryjąc rozżalenia, że Kazio po zakończeniu generalnej próby, powiedział:

- Kiedy jechałem do państwa, mówiono mi, że gracie źle. To nieprawda.

Tutaj zawiesił głos, a potem dodał:

- To nieprawda, że państwo gracie źle. Wy gracie okropnie.

Nawet jeśli takie stwierdzenie było prawdziwe, nie powinien był tego powiedzieć. W konsekwencji muzycy na koncercie grali wręcz fatalnie i więcej Kazia do tej orkiestry nie zaproszono.

* * *

Najstarsza anegdota o Kaziu sięga roku akademickiego 1946/47. Kazio był rektorem i prowadził studencką orkiestrę, w której piastowałem stanowisko koncertmistrza grupy wiolonczel. Na jednej z prób Kazio zdenerwował się, że pomimo parokrotnego powtarzania, jakieś „trudne miejsce" nie wychodziło. Przerwał i krzyknął:

- To nie jest granie, ale pieprzenie!

Zapanowała konsternacja, która szybko ustąpiła miejsca rozbawieniu. Studenci znali swojego rektora jako człowieka kulturalnego, opanowanego i nieużywającego tzw. wulgaryzmów. Kazio zauważył zapewne półuśmiechy na twarzach młodzieży i wymieniane ukradkiem porozumiewawcze spojrzenia.

Po próbie, kiedy we dwóch wracaliśmy do domu (mieszkaliśmy niedaleko od siebie), Kazio nagle zapytał:

- Dlaczego mieliście takie dziwne miny, kiedy powiedziałem, że pieprzycie?

Co było robić, musiałem powiedzieć prawdę.

- Ponieważ słowo „pieprzyć" jest bardzo nieprzyzwoite.

Kazio był szczerze zdziwiony.

- Dlaczego? Oznacza, że coś się robi źle.

Wyprowadziłem go z błędu.

- „Pieprzyć" to ordynarne określenie stosunku płciowego.

Kazio był rzeczywiście przerażony. W kółko powtarzał „to niemożliwe", „myślałem co innego", „pomyliłem się", „naprawdę?", „co mam teraz zrobić?". Uspokoiłem go, że studenci już jutro zapomną o tym zdarzeniu, ponieważ sami między sobą używają jeszcze bardziej wulgarnych słów.

* * *

Zupełnie odmienną grupą są anegdoty sytuacyjne. Sam byłem świadkiem paru, głównie w teatrze i operze. W „Krakowiakach i góralach" jest taka scena, kiedy wiejski jąkała nie może ze strachu przekazać informacji, że nadciąga banda górali. Zacina się na pierwszym słowie. Wówczas jeden z krakowiaków uderza go w tyłek i jąkała odzyskuje głos. Ten komiczny efekt zawsze wywoływał śmiech u mniej wybrednej części publiczności. W miarę upływu czasu, na kolejnych przedstawieniach, uderzenia stawały się coraz mocniejsze i wreszcie aktor grający jąkałę (nazywał się chyba Ordon) postanowił dać nauczkę bijącemu. Pod płócienne portki włożył patelnię. Stojąc w kanale orkiestrowym nie zauważyłem tego, podobnie jak bijący. Kiedy uderzył z całej siły, nie mógł powstrzymać okrzyku bólu. A patelnia zadźwięczała jak dzwon. Publiczność jak zwykle zareagowała śmiechem. Ale na następnych przedstawieniach, uderzenia były tylko markowane, tak jak powinno to być w teatrze.

Inny niezamierzony dowcip wydarzył się na przedstawieniu „Barona cygańskiego", którym dyrygowałem w Operze Wrocławskiej w sezonie 1976/77. Tenor śpiewający jedną z głównych ról, przyszedł na przedstawienie pijany. Było to dla mnie przerażające przeżycie. Pijak psuł całe przedstawienie, śpiewając fałszywie, nierówno, w niewłaściwych miejscach, myląc kwestie w tzw. prozie. W przerwach lano mu wodę na głowę, pojono kawą, ale niewiele to pomagało. Widziałem, że wszyscy byli wściekli, choć często przy pomyłkach pijanego tenora nie mogli powstrzymać śmiechu. Wreszcie przedstawienie dobiegło końca i jak zawsze „na oklaskach" wszyscy śpiewający wychodzili po parę razy na przód sceny, aby się kłaniać. A pijany tenor mylił kierunki, szedł w głąb sceny i kłaniał się dekoracji, wypinając tyłek w stronę publiczności. A ta myślała, że to zamierzony, komiczny efekt i ze śmiechem biła brawo.

Do moich obowiązków należało po skończonym przedstawieniu napisać raport. Stwierdziłem w nim, że zachowanie tenora było skandaliczne. Zgodnie z regulaminem pracy następnego dnia został zwolniony dyscyplinarnie. Cóż z tego? Po tygodniu został przyjęty z powrotem. „Deficyt" tenorów wymusił takie rozwiązanie. I to był kolejny dowcip, równie kiepski.

* * *

W sezonie 1949/50 pracowałem jako wiolonczelista w orkiestrze Opery Warszawskiej. Repertuar był ograniczony i składał się bodajże z trzech zaledwie dzieł: „Strasznego Dworu", „Goplany" i „Eugeniusza Oniegina". I to właśnie w tej ostatniej operze wydarzyły się komiczne sytuacje, które warto upamiętnić.

Druga odsłona II aktu to słynna scena pojedynku. W warszawskiej inscenizacji na tle powolnego wstępu orkiestrowego, zaczynał padać śnieg. Zgodnie z ówczesną techniką, aby osiągnąć ten efekt, z przodu sceny do czarnych nitek przywiązywano kawałki waty. Za kulisami stał pracownik techniczny, który kręcił korbką i nitki wolno opadały na dół, co tworzyło wrażenie padającego śniegu. Kiedy nitki dotykały podłogi, pracownik przestawał kręcić korbką, a drgające na skutek różnicy temperatur między widownią a sceną kawałki waty podtrzymywały złudzenie padającego śniegu.

Na kilkunastu kolejnych przedstawieniach wszystko działało bez zakłóceń, ale pewnego wieczoru maszyna się zacięła. Śnieg zaczął padać, ale nagle, mniej więcej metr-półtora od podłogi, przestał. Coś zablokowało korbkę. Ludzie na widowni zaczęli chichotać. Zajęty graniem, nie patrzyłem na scenę. Zaintrygowany coraz głośniejszym śmiechem, podniosłem głowę i również zacząłem się śmiać. Był to komiczny efekt: padający śnieg, który zatrzymuje się równiutko w pewnej odległości od ziemi. I oto nagle na moich i całej publiczności oczach śnieg zaczął „odlatywać" do nieba. Jak się potem dowiedziałem, zrozpaczony technik postanowił kręcić korbką w przeciwną stronę, licząc, że ją w ten sposób odblokuje. Ten „odlot" śniegu wywołał na widowni huragan śmiechu i burzliwe oklaski. Inspicjent nakazał opuszczenie kurtyny i zapalenie świateł na widowni. Muzycy przestali grać, śmiejąc się do rozpuku.

Po paru minutach naprawiono uszkodzenie. Zgaszono na widowni światła, orkiestra zaczęła grać, kurtyna się rozsunęła i śnieg zaczął padać. I w tym momencie publiczność parsknęła śmiechem. Normalna reakcja: ludzie przypomnieli sobie śnieg, który spadał do pewnej wysokości. Co było robić? Znowu zapalono światła na widowni i opuszczono kurtynę. A potem rozpoczęto akt, ale już bez śniegu.

* * *

„Eugeniusz Oniegin" był – jak to się mówi – pechowy. Parę tygodni później w tej samej scenie wydarzył się inny, nie mniej komiczny wypadek. W pojedynku Oniegin zabija Leńskiego. Orkiestra gra fortissimo, a kotły robią najwięcej hałasu. Na scenie rewolwer wypala, a proch i pakuły powodują huk i błysk. Jest to sygnał dla śpiewaka grającego rolę Leńskiego, że „został zabity". Pada zatem na ziemię i musi leżeć bez ruchu przez parę minut do końca sceny. I tak samo jak ze „śniegiem", po kilkudziesięciu przedstawieniach, w których wszystko odbywało się planowo, na jednym proch nie wypalił. Ale nikt tego nie usłyszał w fortissimo orkiestry. Leński upadł, a Oniegin zgodnie z librettem opuścił rewolwer, podszedł do ciała zabitego i powiedział – „Nie żyje". I w tym momencie proch odpalił. Rozległ się huk niemal nad głową leżącego śpiewaka. Ten, nie wiedząc co się dzieje, zerwał się na nogi. Reszty można się domyślić.

* * *

I jeszcze jedna zabawna historia związana z tą samą sceną. Tym razem rewolwer odpalił, ale nie wiadomo dlaczego po strzale pakuły wyleciały przez lufę prosto na Leńskiego. Ten, zamiast „poczuć się zabitym" i upaść – zasłonił się rękami. Był to naturalny odruch. Wywołał jednak salwy śmiechu na widowni.

* * *

Przypuszczam, że niektórzy ludzie, niezależnie od inteligencji, wiedzy czy stanowiska, posiadają specjalną zdolność od formułowania ostrych, dowcipnych powiedzonek. Często nie oszczędzają nawet samych siebie. Francuzi nazywają to „esprit", a Niemcy – „schlagfertig". Na takie zręczne i cięte powiedzenie mówimy także „bon mot". Szkoda, że te określenia wychodzą z użycia.

Ja osobiście nie mam zdolności do takich „bonmotów". Dowcipne powiedzonka, które udało mi się utrwalić w pamięci, na ogół przygotowywałem wcześniej. I tak na przykład na jakimś spotkaniu w Komitecie Wojewódzkim PZPR zacytowałem następujące zdanie: „To, co przypadkowe – może być zarazem konieczne, a to co konieczne – także przypadkowe". Ktoś z obecnych partyjnych dygnitarzy powiedział:

- Ależ to bzdura! Nikt rozsądny nie mógłby napisać czegoś równie głupiego!

A ja na to z całkowitym spokojem:

- Ależ towarzyszu, to był cytat z „Dialektyki przyrody" Engelsa.

Innym razem, w czasie rozmowy o społecznej ważności sportu, oświadczyłem:

- Burżuazja wymyśliła sport wyczynowy, aby ogłupiać klasę robotniczą.

Obecni zaprotestowali, twierdząc, że to nieprawda. Wtedy wyjaśniłem, że cytowałem samego Marksa. Ze złośliwą, choć ukrytą radością obserwowałem konsternację moich rozmówców. Trudno się zatem dziwić, że nie cieszyłem się sympatią różnych prominentów.

* * *

O ile dobrze pamiętam, w ponurym roku 68, kiedy – o czym pisałem w rozdziale XXVI – pod pozorem tzw. internacjonalistycznej solidarności z Arabami ujawnił się stary polski antysemityzm – zacząłem akurat zapuszczać brodę. Robiłem to na życzenie dziewczyny, która mi się wtedy podobała. Zaraz po zakończeniu sezonu, w drugiej połowie czerwca, wziąłem urlop i wyjechałem do gajówki, gdzie w ogóle nie goliłem się przez dwa tygodnie. Potem przez lipiec i sierpień pracowałem w Świnoujściu, a we wrześniu miałem już widoczną, równo przystrzyżoną brodę. Kiedy po raz pierwszy poszedłem do KW na jakieś zebranie, wszyscy zwrócili na nią uwagę. Ktoś zapytał dlaczego to zrobiłem. A ja z poważną miną odpowiedziałem:

- Zostałem wybrany na zjazd rabinów w Warszawie.

Moje słowa wywarły to, co nazywa się piorunującym wrażeniem. Istotnie mój semicki nos w połączeniu z brodą mógł potwierdzić prawdziwość moich słów. Zwłaszcza dla mało rozgarniętych, szeregowych pracowników aparatu partyjnego. Ale w 68 roku takie słowa, nawet w formie dowcipu, brzmiały prowokująco. Pamiętam dokładnie, że nikt z obecnych nie odważył się na najlżejszy nawet uśmiech.

Uważałem za zabawne, a jednocześnie świadczące o hipokryzji, że w PZPR problem żydowski był swoistym tabu. A nawet samo określenie „Żyd". Należało mówić „syjonista". Wiedząc o tym, w pewnej nieoficjalnej dyskusji z rozmysłem używałem słowa „Żyd". Dyskutowaliśmy o światopoglądach. Kiedy wygłosiłem jakąś opinię, niezgodną ani z religią chrześcijańską, ani z filozofią marksistowską, jeden z dyskutantów zaatakował mnie:

- Bo wy, towarzyszu dyrektorze, w nic nie wierzycie!

Zaprzeczyłem:

- Ależ oczywiście, że wierzę, ale mam własne zasady.

I dodałem z uśmiechem:

- Dlaczego to, co wymyślił jeden Żyd przed dwoma tysiącami lat, a drugi Żyd przed stoma laty ma być ważniejsze od tego, co ja sobie wymyśliłem na własny użytek?

Nie muszę chyba dodawać, że wśród obecnych zapanowała konsternacja i – o ile pamiętam – dalszej dyskusji nie było.

* * *

Nie wszystkie przygotowane przeze mnie dowcipy przynosiły zamierzony skutek. Czasem były porażkami. Na początku lat sześćdziesiątych, wymyśliłem w Szczecinie nową formę, którą nazwałem „Koncerty kameralne przy kawie i świecach". W małym pomieszczeniu publiczność siedziała przy stolikach, na których paliły się świece. Oczywiście podawano kawę, która była wliczona w cenę biletu. Zrezygnowałem z wygłaszanej na stojąco prelekcji na rzecz swobodnej gawędy, prowadzonej na siedząco, „od stolika". Wykonawcy również siedzieli przy stoliku, między publicznością. Kiedy przychodziła ich kolej, wstawali, podchodzili do pianina, które także stało między stolikami z publicznością i zaczynali grać. Te słowno-muzyczne imprezy były nowością, ale szybko zostały zaakceptowane przez publiczność.

Pamiętam, że na początku pierwszego koncertu, nawiązałem do tradycji sprzed kilkuset lat, kiedy to organizowano tego rodzaju imprezy w domach możnowładców. Zachęciłem słuchaczy, aby poczuli się książętami i hrabiami. Brzmiało to zabawnie w kraju rządzonym przez sojusz robotniczo-chłopski.

Aby zaintrygować mieszkańców Szczecina nową formą, zatytułowałem kolejny koncert „Listy heter grackich". Aktorka recytowała apokryficzne listy pisarza z II wieku naszej ery, Alkifrona. Jest to zabawna książeczka, pełna aluzji erotycznych i… politycznych z okresu, kiedy Atenami rządził Alkibiades. Oprócz aktorki występowali soliści - instrumentaliści, dla których wybrałem miniatury różnych kompozytorów, zgodne z charakterem listów.

Koncert – o ile dobrze pamiętam – odbył się w Klubie MPiK (Międzynarodowej Prasy i Książki) i zgromadził liczną publiczność, złożoną ze stałych bywalców imprez klubowych, czyli przedstawicieli szczecińskiej inteligencji. Zarówno dowcipy w mojej gawędzie jak i w listach przyjmowane były wybuchami śmiechu i oklaskami. Powodzenie było na tyle duże, że uległem namowom obecnych na koncercie paru profesorów wyższych uczelni i zgodziłem się powtórzyć go dla studentów w ich klubie.

Ku mojemu przykremu zaskoczeniu, koncert był tzw. niewypałem. Choć studenci przyszli tłumnie, słabo bądź wcale nie reagowali na znajdujące się w mojej gawędzie i w tekście dowcipne sformułowania. O ile w Klubie MPiK, dla przedstawicieli średniego i starszego pokolenia, czasy Alcybiadesa były czymś znanym, a subtelne aluzje w lot chwytano, o tyle dla studentów okazały się abstrakcją. Był to – moim zdaniem – rezultat lekceważenia przez

władze oświatowe tego, co można by nazwać wykształceniem klasycznym. Z programów zniknęła łacina, a historię starożytną traktowano „po macoszemu".

Jeszcze gorzej przyjęto „Listy heter greckich" w jednym z miasteczek województwa szczecińskiego. Salka w tamtejszym MpiK-u była pełna, a przy stolikach na froncie zasiedli przedstawiciele władz powiatowych. Ani jeden dowcip z mojej gawędy z tekstu Alkifrona nie został skwitowany najsłabszym choćby chichotem. Panowała cisza, a twarze „dostojników" nie wyrażały żadnego zainteresowania. Po skończonym koncercie rozległy się grzecznościowe oklaski. Ponieważ byłem ciekaw, jaka była przyczyna tak powściągliwej reakcji, przysiadłem się do stolika powiatowych „notabli" i zapytałem wprost, jak się koncert podobał. Popatrzyli jeden na drugiego i wreszcie I sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR z ociąganiem powiedział (cytuję z pamięci po ponad czterdziestu latach):

- Wiecie, towarzyszu dyrektorze, to nie był najlepszy pomysł, aby poświęcać koncert tym starożytnym kurwom.

A potem wywiązała się jałowa dyskusja. Ja usiłowałem wytłumaczyć, że tekst Alkifrona jest inteligentną próbą przybliżenia czytelnikom obyczajów tzw. złotego okresu ateńskiej kultury, a w mojej gawędzie chciałem przedstawić na przykładzie starożytności wstydliwie u nas przemilczany problem prostytucji. Przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych przekonywali mnie, że są ciekawsze, ważniejsze i bardziej aktualne tematy. Tym bardziej, że w Polsce Ludowej prostytucji nie ma.

* * *

Również w tamtych latach sześćdziesiątych pojechałem z orkiestrą do powiatowego miasteczka pod Szczecinem, aby wziąć udział w jakiejś akademii. Po części oficjalnej zaczął się koncert, czyli tzw. część artystyczna. Na program składały się, jak zawsze, krótkie, popularne utwory. Jednym był „Cesarski Walc". Zapowiadając go chciałem być dowcipny i oświadczyłem:

- Strauss postanowił swojego walca nazwać cesarskim nie tyle na cześć władcy monarchii austro-węgierskiej, ile dla podkreślenia, że uważa ten utwór za najlepszy, najwspanialszy, najbardziej godny podziwu. Szkoda, że w naszych czasach kolejnego walca nie napisał żaden polski kompozytor. Nazwałby go na pewno „Walcem Sekretarskim".

Oczekiwałem wybuchu śmiechu i burzy oklasków. Niestety, małomiasteczkowa publiczność albo nie zrozumiała żartu albo obawiała się wyrazić swoje odczucia w obecności powiatowych władz, siedzących w pierwszym rzędzie. Jedynie muzycy w orkiestrze skwitowali moje słowa uśmiechami. A po minach „prominentów" mogłem poznać, że jakiekolwiek żarty z władzy uważają za całkowicie niestosowne.

* * *

Ostatni dowcip, który chciałbym utrwalić, wyraziłem w urzędowym piśmie. A było to tak:

W tych samych latach sześćdziesiątych, będąc młodym dyrektorem Filharmonii Szczecińskiej, otrzymałem pismo z Ministerstwa Kultury i Sztuki z nadrukiem: „Wg rozdzielnika". A treść dotyczyła składania zamówień na obrabiarki. Po przeczytaniu nie mogłem pohamować śmiechu. Domyślałem się, że jakiś urzędnik wysłał jednobrzmiące pisma do wszystkich instytucji i przedsiębiorstw podległych resortowi kultury. A były wśród nich m. in. fabryki pianin i akordeonów, wytwórnia płyt czy duże teatry operowe. Zapewne

takie jednostki mogłyby być zainteresowane zakupem różnych maszyn, np. obrabiarek, ale wysyłanie takiego pisma do filharmonii czy szkół muzycznych było dowodem bezmyślności.

Dzisiaj, być może, skwitowałbym całą sprawę wzruszeniem ramion, ale wtedy miałem zaledwie trzydzieści kilka lat i nie mogłem się powstrzymać od zrobienia dowcipu. Wysłałem do ministerstwa krótkie pismo, którego każde słowo pamiętam do dzisiaj. Brzmiało ono tak:

„W odpowiedzi na pismo z dnia …, l. dz. … uprzejmie informuję, że jesteśmy gotowi zamówić obrabiarkę, jeśli Ministerstwo Kultury i Sztuki wskaże nam kogo i w jakim celu mamy obrabiać".

Kiedy parę tygodni później pojechałem do ministerstwa, dowiedziałem się od znajomej urzędniczki, że moje pismo wędrowało od wydziału do wydziału, od pokoju do pokoju, wywołując rozbawienie. Przypuszczam jednak, że nie u wszystkich.

Wszystkie te anegdoty i powiedzonka wiele tracą w formie pisanej. Brakuje im charakterystycznej dykcji, mimiki, gestykulacji, wzbogacających słowo. Nawet najlepsze dowcipy w formie książkowej nie są tym samym co dowcipy opowiadane. A szczególnie takie, które są związane z określonym postaciami. Rusycyzmy Bierdiajewa były komiczne same w sobie, podobnie jak wysoki timbre głosu mojego brata Kazimierza. Szkoda, że za ich życia nie istniała jeszcze technika nagrywania wideokaset.

Rozdział XLIV

DYGNITARZE

Zastanawiałem się czy tytułu tego rozdziału nie opatrzyć cudzysłowem. Bo wielu ministrów, wojewodów czy sekretarzy nie zasługiwało na poważne określenie dygnitarz z powodu niskich lub nawet żadnych kwalifikacji lub cech charakteru. Ale z drugiej strony zajmowali wysokie stanowiska, co uprawniało do użycia w odniesieniu do ich właśnie takiego określenia.

Podstawową trudnością w pisaniu o dygnitarzach jest fakt, że spotykałem się z nimi sporadycznie i wyłącznie na gruncie oficjalnym. Nie załatwiałem z nimi żadnych moich spraw osobistych. Nawet spotkania w cztery oczy dotyczyły wyłącznie problemów ogólnych i nie mógłbym nazwać ich rozmowami prywatnymi. Tak więc teraz moje spostrzeżenia, uwagi czy refleksje będą z konieczności nader ograniczone i w żadnej mierze nie mogą pretendować do jakiejkolwiek obiektywnej oceny.

Ministrowie

Kiedy wróciłem do Polski w połowie grudnia 1945 roku, ministrem kultury był Władysław Kowalski. Tutaj uwaga na marginesie: nie pamiętam kiedy wprowadzono nazwę: Ministerstwo Kultury i Sztuki. Osobiście uważałem ją za logicznie błędną. W roku 1982 – jeśli mnie pamięć nie zawodzi – na naradzie w KC poświęconej problemom kultury, zabrałem głos. Powiedziałem wówczas, że trzeba wreszcie zmienić tę nielogiczną nazwę. Jako przykład podałem porównanie: ministerstwo rolnictwa i zasiewów. Część obecnych zareagowała śmiechem. Powiedziałem, że wystarczyłoby słowo kultura, jak to jest stosowane w wielu krajach. Prowadzący naradę sekretarz KC, prof. Hieronim Kubiak, w podsumowaniu przyznał mi rację, ale oświadczył, że taka zmiana nazwy resortu wymagałaby zgody licznych instytucji i znacznych nakładów finansowych. Dopiero po transformacji ustrojowej, a i to nie od razu, udało się tego dokonać. Ale – co zabawne – na nazwę jeszcze bardziej nielogiczną. Obecnie resort nazywa się Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Co jest całkowicie pozbawione sensu. Równie dobrze każde ministerstwo, od Rolnictwa przez Edukację po Obronę Narodową może sobie dopisać „i Dziedzictwa Narodowego". Zgodnie bowiem ze słownikiem języka polskiego, dziedzictwem nazywamy cały materialny i duchowy dorobek poprzednich pokoleń. A więc i zasiane lasy i zbudowane drogi czy domy. Oraz tradycje i obyczaje, jak np. picie wódki przy każdej okazji. Nikt jakoś ani w rządzie, ani parlamencie nie zwrócił na to uwagi. Ale cóż, bezwład biurokracji jest równy ograniczonej inteligencji decydentów.

Po Kowalskim nastąpił Stefan Dybowski, również działacz Stronnictwa Ludowego. Jak mi opowiadał Kazio, przed wojną był nauczycielem geografii. Oto przykład zastosowania

tzw. klucza partyjnego. Dybowski utrzymał się na stanowisku aż do roku 1952. Ale – jak słyszałem – ministerstwem de facto rządził Włodzimierz Sokorski, obsadzony przez PPR w randze podsekretarza stanu. O nim pisałem już wcześniej. Wprowadził do Polski niesławnej pamięci socrealizm. Stanowisko ministra zajmował od roku 52 do 56.

Po XX zjeździe KPZR i wydarzeniach październikowych, musiał odejść. Zajmował potem różne wysokie stanowiska. Wiem, że zaczął pisać książki. Jedną przejrzałem; na czytanie szkoda mi było czasu. Spotykałem się z nim kilkakrotnie przy różnych okazjach. Jak już pisałem, to on podobno zażyczył sobie, abym został kierownikiem muzycznym „Mazowsza". Jeśli ta informacja była prawdziwa, to mogę stwierdzić, że Sokorski bezpośrednio wpłynął na moje życie.

Ze wszystkich znanych mi ministrów najbardziej ceniłem Lucjana Motykę. Spotykałem się z nim przy różnych okazjach, raz nawet na korytarzu wagonu sypialnego. Część nocy przegadaliśmy. Słyszałem, że był przedtem I sekretarzem KW PZPR w Krakowie. Ludzie kultury, a szczególnie malarze wspominali go wyjątkowo ciepło. Uważali, że był prawdziwym mecenasem sztuki, dla którego w kontaktach z artystami sprawy polityczne schodziły na dalszy plan. O tym, jak chciał mi pomóc po moim odejściu z Filharmonii Szczecińskiej – już pisałem.

Zupełnie inną postacią był Galiński (imienia nie pamiętam, może Tadeusz?). Mówiono mi, że jako naczelny redaktor katowickiej „Trybuny Robotniczej" zyskał uznanie środowiska dziennikarskiego. Podobno kierowana przez niego gazeta konkurowała pod względem poziomu nawet z „Trybuną Ludu". Pewnego dnia mianowano go ministrem kultury i sztuki. Ku zdziwieniu mojemu i wielu innych ludzi. Jako minister całkowicie się nie sprawdził. Pamiętam pewną konferencję w ministerstwie. Galiński przemawiając, zarzucił dyrektorom instytucji muzycznych, że wolą zapraszać sławnych solistów, zamiast młodych i nieznanych. Uznałem to za zarzut dowodzący całkowitej nieznajomości zasad prowadzenia instytucji takich jak filharmonia. Zabrałem głos i dla efektu zapytałem:

- Panie ministrze, proszę mi powiedzieć, w jakim żyjemy ustroju: socjalistycznym czy kapitalistycznym?

Wywołało to wesołość na sali. A ja kontynuowałem:

- Bo jeżeli w socjalistycznym, to pan minister ma rację. Powinniśmy udostępnić estrady koncertowe młodym, zdolnym, a nieznanym solistom. Ale obowiązują nas kapitalistyczne zasady efektywności ekonomicznej. W obowiązującej tabeli honorariów różnica pomiędzy najwyższym i najniższym wynosi zaledwie 100 zł. Ale na sławnego solistę będzie pełna sala, a co za tym idzie – większe wpływy z biletów. Na nieznanego solistę sprzedam mało biletów i instytucja poniesie stratę.

Ten wywód, z czego już wtedy zdawałem sobie sprawę, był prowokacyjny. Nic zatem dziwnego, że kiedy wróciłem na miejsce, siedzący obok dyrektor departamentu ekonomicznego ministerstwa szepnął:

- Ale mu się pan naraził.

Po mnie zabierali głos inni dyrektorzy, a po pewnym czasie minister coś szepnął prowadzącemu obrady i wyszedł z sali. Prowadzący wyjaśnił zebranym, że minister musiał wyjść na inne spotkanie. W co oczywiście nie uwierzyłem i byłem przekonany, że w ten sposób po prostu uchylił się od udzielenia mi odpowiedzi.

O ministrze Kuryluku już pisałem. Z kolejnymi szefami resortu kultury nie miałem bezpośrednich kontaktów. O rozmowie z Józefem Tejchmą, niewątpliwie charakterystycznej dla tamtych czasów, pisałem szczegółowo. Dalszych losów tego dygnitarza nie śledziłem.

A potem był stan wojenny, po którym pojawił się Kazimierz Żygulski. Podejrzewałem, że powołano go na stanowisko ministra kultury sztuki, aby zdyscyplinował całe środowisko artystyczne. Nigdy nie spotkałem się z nim bezpośrednio, ale jego częste wystąpienia w telewizji potwierdzały te podejrzenia. Sposób mówienia bardziej przypominał kaprala niż profesora. Był na ekranie wręcz odpychający. A i to, co mówił, było często obraźliwe dla artystów. Traktował ich jak rozkapryszone dzieci, nie bardzo wiedzące czego chcą i przede wszystkim pozbawione poczucia odpowiedzialności. W każdym razie ja odniosłem takie wrażenie.

Po nim w roku 1986 ministrem został Aleksander Krawczuk, znawca historii starożytnej i świetny popularyzator. Był miły, grzeczny, „ciepły". Przypuszczam, że jego zadaniem było poprawienie atmosfery w całym środowisku artystycznym. Niestety, było już na to zbyt późno. Pojednawcze kroki władzy, zwłaszcza w sytuacji katastrofy gospodarczej, skazane były z góry na niepowodzenie. W dodatku Krawczuk zupełnie nie orientował się w problematyce funkcjonowania kultury. Byłem tego świadkiem na spotkaniu w Książu. Przyjechał do Wałbrzycha i wygłosił sympatyczne przemówienie do tzw. aktywu kulturalnego. Potem zaprosił obecnych do przedstawienia codziennych problemów, trudności, przeciwności. Głos zabrałem i ja, mówiąc o brakach finansowych, które przeszkadzają w działalności edukacyjnej filharmonii. Z jego reakcji wynikało, że w ogóle pierwszy raz dowiedział się o tzw. audycjach umuzykalniających dla szkół. Byłem zaskoczony tego rodzaju nieznajomością podstawowych form edukacji muzycznej, prowadzonej w większym czy mniejszym zakresie przez wszystkie polskie filharmonie od kilkudziesięciu lat.

A potem nastąpiła transformacja ustrojowa i kolejni ministrowie okazali się jeszcze gorsi niż ich „komunistyczni" (używając dzisiejszego języka) poprzednicy. Pierwszym bodajże była Izabella Cywińska. Słyszałem o niej jako o dobrym reżyserze i sprawnym dyrektorze Teatru Nowego w Poznaniu. Podobno w końcu lat osiemdziesiątych w holu teatru wystawiła trumnę z napisem „Kultura Polska". Niestety, jako minister (ministerka?) całkowicie zawiodła. Byłem przekonany, że opierając się na znajomości mechanizmów funkcjonowania instytucji artystycznej, zdoła przeprowadzić niezbędne zmiany w przepisach. Okazało się jednak po raz kolejny, że czym innym jest zarządzanie jedną instytucją, a czym innym całą kulturą. W tragicznej sytuacji ekonomicznej pierwszych lat dziewięćdziesiątych nie zdołała zdobyć niezbędnych środków finansowych dla ratowania kultury. Nie znam szczegółów, ale informacje, które do mnie dotarły, były raczej posępne.

Nie znałem osobiście kolejnych ministrów o nazwiskach Góral i Rostworowski. Słyszałem jedynie ich wystąpienia w telewizji, z których – jak pamiętam – wynikało, że kultura powinna się sama utrzymać. Zdziwiło mnie to zwłaszcza w ustach drugiego z nich, który podobno był przedtem dyrektorem Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

Zupełnym błędem było mianowanie ministrem kultury działacza PSL z Lublina, Zdzisława Podkańskiego. Pomimo zmiany ustroju znowu „zadziałał" klucz partyjny. Na spotkaniu w Wałbrzychu z dyrektorami instytucji kultury i dziennikarzami, wygłosił przemówienie dowodzące, że dla niego kultura to zespoły pieśni i tańca oraz orkiestry strażackie. Było to wręcz żenujące. W pewnym momencie powiedział, że za katastrofę uważa likwidację we wsiach paru tysięcy ognisk. Dosłownie zbaraniałem. Tzw. ogniska to rodzaj społecznych, odpłatnych szkół muzycznych, w których kształci się wyłącznie amatorów. Przypuszczałem, że ich liczba na terenie kraju nie przekracza setki. Skąd zatem liczba paru tysięcy? Z dalszych wywodów pana – pożal się Boże! – ministra wynikało, że myślał o wiejskich świetlicach. Pomylił ogniska ze świetlicami!

W dyskusji zabrałem głos i nie omieszkałem powiedzieć, że z braku pieniędzy muszę ograniczać, a może niebawem w ogóle zlikwidować audycje umuzykalniające dla dzieci wiejskich. Na to minister odparł, że da mi specjalną dotację na te audycje. I dodał, że może dzięki nim znajdę jakiegoś Janka Muzykanta. Ucieszony obietnicą nie wyprowadziłem pana ministra z błędu, że audycje filharmonii nie są od „znajdowania Janków Muzykantów".

Minęło parę tygodni, a z ministerstwa nie otrzymałem żadnej wiadomości ani tym bardziej pieniędzy. Poinformowałem o tym posła PSL, który był obecny na spotkaniu. Obiecał interwencję. I znowu nic. Wpadłem w złość i powiedziałem posłowi, że pan minister nie tylko kompromituje siebie i swój resort, ale także całą partię, której jest członkiem i z której rekomendacji otrzymał stanowisko. Dodałem, że nie cofnę się przed nagłośnieniem sprawy przez media. Poseł przyznał mi rację i obiecał, że sprawę załatwi. Istotnie, w ciągu niewielu dni otrzymałem sporą dotację. Nie wiem, co poskutkowało: moje argumenty czy groźba nagłośnienia przez media.

Podobnie jak na Cywińskiej, zawiodłem się na Kazimierzu Dejmku. Okazał się nieudolnym ministrem, a jego decyzje kadrowe w instytucjach podległych ministerstwu okazały się błędne. A szkoda, gdyż mając wysoką pozycję jako reżyser, mógł – jak sądzę – wiele wywalczyć dla kultury.

Być może jestem w tych ocenach niesprawiedliwy. Nie znam przecież zakulisowych układów, stosunków, powiązań. A przede wszystkim nie wiem, jakie były granice możliwości działania poszczególnych ministrów. Osądzam ich jedynie na podstawie rezultatów, nie mając pełnego rozeznania ich działań. A może walczyli o pieniądze i zmianę niekorzystnych przepisów? I ponosili porażki, ponieważ większość ministrów z premierami na czele nie interesowała się kulturą? Albo uważała, że są ważniejsze zadania?

Z drugiej jednak strony pamiętam, że ja jako dyrektor małej filharmonii w biednym po likwidacji kopalń mieście, potrafiłem czasami „wyrwać" z budżetu państwa czy województwa dodatkowe pieniądze. Tak było – o czym wspominałem – z Podkańskim. Udało mi się nawet zdobyć specjalną dotację od nowo powstałego sejmiku wojewódzkiego. I to od razu na pierwszym spotkaniu z komisją kultury. Marszałek Jan Waszkiewicz i przewodniczący tej komisji, Leon Kieres, dołożyli mi 200 000 zł na działalność edukacyjną w szkołach i przedszkolach.

A kiedy dowiedziałem się, że nowo powołany minister finansów Grzegorz Kołodko bywa w operze i filharmonii, natychmiast napisałem do niego list, prosząc o dodatkową dotację na audycje umuzykalniające. Po paru tygodniach zatelefonowała jedna z jego asystentek. Wyjaśniła, że minister finansów nie ma możliwości bezpośredniego dotowania jakiejkolwiek instytucji, ale obiecał, że spróbuje znaleźć jakieś rozwiązanie. I rzeczywiście. Asystentka Kołodki była córką pisarza Józefa Hena, który w ZAIKS-ie pełnił funkcję szefa Funduszu Popierania Twórczości. Od tego funduszu otrzymałem dotację na działalność edukacyjną, pod warunkiem, że w każdym roku szkolnym jedna audycja poświęcona będzie muzyce polskiej, ze szczególnym uwzględnieniem współczesnych kompozytorów. Dziś już nie pamiętam przez ile lat otrzymywałem to wsparcie.

Po tych dygresjach wracam do wspomnień o ministrach kultury. Ostatnim, z którym miałem, jednorazowy zresztą, kontakt był Waldemar Dąbrowski. Choć podobno miał tylko wykształcenie politechniczne, po kilkuletnim kierowaniu Teatrem Wielkim w Warszawie orientował się w problemach kultury. Dowiódł tego na spotkaniu z dyrektorami instytucji kulturalnych Dolnego Śląska. Jego wystąpienie było utrzymane w pesymistycznym nastroju. A kiedy zabrałem głos na temat braku pieniędzy na tak ważną działalność, jaką jest edukacja muzyczna dzieci i młodzieży, odpowiedział:

- Podziwiam pana, panie dyrektorze, za to co pan robi, ale nie mam możliwości zwiększenia dotacji, ponieważ pieniądze idą bezpośrednio z budżetu państwa do samorządu wojewódzkiego.

Mówiąc kolokwialnie „załatwił mnie odmownie", pomimo kurtuazyjnego komplementu.

Jednym z najgorszych ministrów był i jest niestety nadal Kazimierz Ujazdowski. W czasie pierwszej kadencji przygotował projekt reorganizacji całej kultury polskiej. Śmiały zamysł. Otrzymałem z ministerstwa kilkudziesięciostronicowy materiał z prośbą o nadesłanie uwag. Wysłałem pismo, w którym wypunktowałem najbardziej ewidentne błędy projektu. Potem dowiedziałem się, że Ujazdowski zwołał naradę z udziałem czołowych przedstawicieli warszawskiego środowiska kultury. Podobno wszyscy zgodnie „zjechali" projekt, a szczególnie ówczesny dyrektor Teatru Telewizji, Weksler. Jak słyszałem, zgłosił około stu zastrzeżeń. Ponieważ z tzw. terenu również napłynęły krytyczne opinie, projekt Ujazdowskiego został po cichu wycofany i całkowicie zapomniany.

I tutaj pozwolę sobie na pewną ogólną refleksję. Nie jest dobrze, jeśli ministrem kultury zostaje polityk, który „mierzy wyżej". Było wiadome z mediów, że Ujazdowski chciał zostać ministrem spraw zagranicznych. Nie udało się i musiał zadowolić się resortem kultury. Wolno przypuszczać, że uznał to za porażkę. Czy w takiej sytuacji będzie dbał o kulturę? Czy będzie walczyć o zwiększenie nakładów na instytucje artystyczne, narażał się premierowi i innym ministrom? Pamiętam, że kiedy w rozmaitych gronach powtarzałem, że najważniejsza w życiu społecznym powinna być kultura, przysparzałem sobie wielu wrogów. Jest rzeczą jasną, że ktoś kto chce robić karierę polityczną, nie będzie tak postępował.

Na zakończenie wspomnień o ministrach, chciałbym jeszcze wymienić nazwiska kilku wiceministrów, z którymi miałem kontakty. Niestety zapomniałem ich imiona.

Pierwszym był wiceminister Wilczek. Był ode mnie o całe pokolenie starszy. Jako zupełnie młody dyrygent spotkałem się z nim parokrotnie. Nie wiem, dlaczego mnie wyróżniał i zamiast przebywać z innymi osobami, wolał na boku dyskutować o literaturze i malarstwie. Miał sporą wiedzę i pamiętam, że dużo z tych dyskusji skorzystałem.

Zupełnie inny charakter miał kontakt z panią wiceminister Marszałek-Młyńczak. Było to w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, kiedy strajki paraliżowały życie kraju i pogłębiały kryzys gospodarczy, a co za tym idzie – finansowy. Z powodu braku pieniędzy w filharmonii, a także i w resorcie oświaty, zaczęła drastycznie spadać liczba audycji umuzykalniających w szkołach. Ponieważ wojewoda nie mógł mi dać dodatkowej dotacji, pojechałem z dyrektorem wydziału kultury do ministerstwa. Tam przyjęła mnie pani wiceminister i po wysłuchaniu mojego „płomiennego" przemówienia o ważności edukacji muzycznej, obiecała pomoc. Ku mojemu przyjemnemu zaskoczeniu, w ciągu paru zaledwie dni otrzymałem wiadomość, że przyznano filharmonii sporą kwotę z przeznaczeniem na audycje umuzykalniające. I przypominam, że było to w okresie ogólnego kryzysu. Dlatego zachowałem panią Marszałek-Młyńczak we wdzięcznej pamięci.

Z wiceministrem Zinnem spotkałem się przypadkowo w roku 76 lub 77. Opracowywał wówczas scenografię do – bodajże – „Strasznego Dworu" w Operze Wrocławskiej. Zresztą według mnie niezbyt udaną. Zinna znałem ze znakomitych niedzielnych programów telewizyjnych, w czasie których zachwycał mnie umiejętnością rysowania. Przypuszczałem, że stanowisko wiceministra otrzymał właśnie dzięki ogromnej popularności tych programów. Niestety, pomimo moich oczekiwań, niczym się nie zasłużył. A w tamtych czasach były jeszcze po temu możliwości.

I ostatni wiceminister, o kontaktach z którym chciałbym wspomnieć. Był nim Michał Jagiełło. Słyszałem o nim zarówno pochlebne jak i negatywne opinie oraz sporo plotek. Został wiceministrem w pierwszych latach po transformacji ustrojowej i od razu zaczął jeździć po Polsce, lansując ulubioną przez tzw. neoliberałów tezę o konieczności likwidowania instytucji artystycznych. M.in. pojawił się we Wrocławiu, gdzie stwierdził, że „będzie trzeba zrezygnować z Filharmonii Wałbrzyskiej". Wrocławskie środowisko muzyczne, które – jak już pisałem – było od początku niechętne powstaniu filharmonii w Wałbrzychu, a potem starało się deprecjonować jej sukcesy – podchwyciło słowa wiceministra i nagłośniło przez media. Dosłownie wpadłem we wściekłość i zakomunikowałem przez telefon dyrektorowi wydziału kultury, swojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi, że natychmiast wyślę list do Jagiełły. Zaś w tym liście napiszę, że jako wiceminister kultury powinien wiedzieć, że od paru lat nie istnieje już Filharmonia Wałbrzyska a Filharmonia Sudecka. A poza tym nie powinien także wypowiadać się o instytucji, w której nigdy nie był.

Dyrektor wydziału kultury usiłował mnie odwieść od napisania listu. Argumentował, że nie należy przywiązywać wagi do takiej wypowiedzi i że nie warto robić sobie wroga z wiceministra. A kiedy upierałem się przy swojej decyzji, powiedział nagle:

- Słyszałem, że potrzebuje pan pilnie pieniędzy na zakup samochodu na audycje szkolne.

Potwierdziłem, dziwiąc się tej niespodziewanej zmianie tematu. Wtedy zapytał:

- A jaka to suma?

Nigdy nie zapomnę tej kwoty.

- 109 000 zł. (Było to jeszcze przed zmianą waluty.)

Dyrektor odparł:

- Umówmy się. Pan zrezygnuje z napisania listu do Jagiełły, a ja dam panu te pieniądze.

Cóż było zrobić? Po raz pierwszy w życiu (i zapewne ostatni) dałem się przekupić. Listu nie napisałem, a samochód przez 10 lat woził ekipy solistów audycji umuzykalniających po miasteczkach i wsiach Dolnego Śląska.

Z Jagiełłą spotkałem się osobiście na Powązkach w czasie pogrzebu Kazia. Podszedł do mnie, złożył kondolencje i oświadczył niespodziewanie, że bardzo chciałby wybrać się do Wałbrzycha i zapoznać się z działalnością mojej filharmonii. Odpowiedziałem, że z przyjemnością będę go gościł. Oczywiście pan wiceminister nigdy do Wałbrzycha nie przyjechał.

Sekretarze, wojewodowie i inni

O moich kontaktach z różnymi prominentami często pisałem w tych wspomnieniach. Byli to czasami ludzie bardzo oddani kulturze. I tak np. przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej (nie przywrócono wówczas jeszcze nazwy wojewody) w Szczecinie, który oddał mi dużą willę na lokale zastępcze dla nowo zaangażowanych muzyków. Zdarzało się dość często, że nagle telefonował i pytał się czy mam czas. Jeśli odpowiedziałem twierdząco, wysyłał po mnie samochód, a potem przez godzinę rozmawialiśmy swobodnie w jego gabinecie. Tłumaczył mi, że jest to dla niego jedyna możliwość odprężenia. Po skończonej rozmowie, samochód odwoził mnie z powrotem do biura.

Najlepsze stosunki miałem oczywiście z tymi przedstawicielami władz Wałbrzycha, z inicjatywy których powstała filharmonia. I później, dopóki byli na stanowiskach, zawsze mogłem liczyć na ich pomoc. Ale nawet po ich odejściu z powodu transformacji

ustrojowej, nowe władze również odnosiły się życzliwie do filharmonii. Nie mogłem również narzekać na ich stosunek do mojej osoby, pomimo dzielącego nas „rodowodu politycznego". Wojewodowie, marszałkowie, prezydenci z nadania „Solidarności", Komitetu Obywatelskiego, Unii Wolności, AWS-u nigdy nie okazywali mi niechęci, przeciwnie – okazywali mi zawsze szacunek i uznanie. A co najważniejsze – pomagali mi w przezwyciężaniu przeróżnych trudności w kierowaniu instytucją.

Dopiero, co symptomatyczne, nowe władze marszałkowskie wywodzące się z PiS-u, w sposób wręcz chamski wysłały mnie na emeryturę. Podkreślam ten fakt jako jaskrawy przykład tego, co ta partia nazywa „odnową moralną Polski".

Wracając do wspomnień o dygnitarzach, chciałbym opisać moje kontakty z pewnym sekretarzem CRZZ, a zarazem posłem. Poznałem go w czasie pracy w zespole „Skolimów". Był ode mnie starszy przynajmniej o jedno pokolenie. Nie wiem, dlaczego zaproponował mi przejście „na ty". Bardzo często odwiedzał mnie i moją ówczesną rodzinę w naszym mieszkaniu przy ulicy Piwnej. Z rozmów dowiedziałem się, że miał zaledwie podstawowe wykształcenie zawodowe, był tokarzem i członkiem KPP. Aresztowany, do wojny był więziony w Berezie Kartuskiej. Opowiadał dość ponure szczegóły o życiu w tym tzw. miejscu odosobnienia. W czasie wojny walczył jako partyzant w oddziałach Armii Ludowej, a potem służył jako ochrona Bolesława Bieruta. I tak zaczęła się jego kariera polityczna. Był jednym z nielicznych spotkanych przez całe moje życie ideowych komunistów. Ciągle powtarzał, że socjalizm to jedynie wstęp do najlepszego z możliwych ustrojów – komunizmu. W miarę jak pogłębiała się nasza znajomość, zaczęły mnie coraz bardziej złościć jego ograniczone poglądy. Nie potrafił spojrzeć obiektywnie na słabości politycznego systemu zwanego ludową demokracją. Wreszcie (było to pod koniec roku 53 albo na początku następnego) pewnego dnia, kiedy bronił nieudolnych przywódców PZPR i rządu, zadałem prowokacyjne pytanie:

- Jakie masz kwalifikacje, by rządzić Polską?

Spojrzał na mnie wyraźnie oburzony:

- Byłem bity w Berezie Kartuskiej i walczyłem w partyzantce.

Wybuchnąłem „teatralnie" szyderczym śmiechem:

- Byłoby o wiele korzystniej dla Polski, gdybyście ty i tobie podobni dostali dożywotnio wysokie pensje, wille i samochody i przestali wreszcie rządzić.

Obraził się i na parę tygodni przestał mnie odwiedzać. Ta całkowicie autentyczna rozmowa, którą niemal dosłownie przywołałem w pamięci, jest przyczynkiem do historii naszego kraju. Jakże odmiennym od tego co głoszą przeróżni zaślepieni politycy. Ponieważ nieprawdą jest, że cały naród był tak sterroryzowany, iż niemożliwe było mówienie prawdy przedstawicielom władz. Z zastrzeżeniem, że jedynie w pewnych warunkach.

Kiedy zacząłem pracować w Poznaniu, kontakty z moim znajomym znacznie się rozluźniły. Ale w lecie 56 spotkałem się z nim przypadkiem w Warszawie i wówczas opowiedział o tzw. wydarzeniach poznańskich. Na początku czerwca mój znajomy, który – jak pisałem – był posłem i sekretarzem CRZZ do spraw przemysłu, dowiedział się o niepokojach wśród poznańskich robotników. Pojechał więc do Poznania i – jak mi w rozmowie relacjonował – próbował łagodzić nastroje. A kiedy robotnicy wyszli na ulicę, jako ideowy komunista, pomaszerował z nimi. Według mnie, była to logiczna konsekwencja jego przekonań. Ale tutaj gorzka uwaga: ilu partyjnych dygnitarzy postąpiłoby podobnie?

„Mój" ideowiec – jak opowiadał – próbował odwieść robotników od aktów przemocy, ale bezskutecznie. A potem przy pomocy poselskiej legitymacji usiłował zapobiec brutalnej interwencji oddziałów milicji. Również bezskutecznie. W ciągu następnych dni wchodził w skład partyjno-rządowej ekipy prowadzącej rozmowy z przedstawicielami robotników.

Potem już nigdy go nie spotkałem, ale słyszałem, że władze nie darowały mu jego zachowania w czasie poznańskich wydarzeń i stracił swoje wysokie stanowisko. Jakie były jego dalsze losy – nie wiem.

Spotykałem się z wieloma posłami, senatorami, przewodniczącymi partii, ale były to jedynie krótkie, okazjonalne uściski dłoni i ewentualnie zdawkowa wymiana zdań. Nie miały te spotkania żadnego wpływu na moje życie i – przyznaję – nie przywiązywałem do nich znaczenia. Tak samo traktowałem uczestnictwo w tzw. komitecie honorowym reelekcji prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Ani spotkanie z nim, uścisk dłoni i pamiątkowa książka z własnoręcznym podpisem nie wywarły na mnie żadnego wrażenia.

Rozdział XLV

RECENZENCI…

W moich wspomnieniach o ludziach, którzy w większym lub mniejszym stopniu mieli związek z moim życiem, nie mogę pominąć recenzentów, zwanych inaczej krytykami. Nie będę się tutaj wdawał w semantyczne rozważania na temat różnicy znaczeniowej tych dwóch określeń. W potocznym języku używa się ich – słusznie czy nie – zamiennie.

O krytykach mógłbym napisać cały esej, ponieważ jest to rozległy temat, sięgający starożytności. Już wówczas niejeden filozof pisał rozprawy krytyczne o innych filozofach. Wystarczy sięgnąć do dialogów Platona. Najstarsze krytyki muzyczne znalazłem u Diderota i Rousseau. Dotyczyły zarówno kompozytorów jak i wykonawców. Kiedy w XIX wieku prasa stała się potęgą, krytyczne artykuły zaczęły ukazywać się regularnie. O ile opinie o wykonawcach, muzykach i aktorach, były na ogół trafne, o tyle oceny twórców w znacznej części okazały się błędne.

Antagonizm pomiędzy artystami a krytykami można uznać za naturalny, ale jego analiza zajęłaby zbyt dużo miejsca. Krytycy potrafili „odsądzać od czci i wiary" artystów, a ci odpłacali im „pięknym za nadobne". Zostawiam jednak te rozważania, aby zająć się recenzjami dotyczącymi mnie osobiście, a przede wszystkim ich autorami.

Parę razy zdarzyło się, że z takich czy innych powodów „wcieliłem się w skórę" krytyka. Raz zrecenzowałem na piśmie premierę jakiejś operetki i raz recitalu. Parokrotnie proszono mnie o napisanie krytycznych uwag do różnych projektów. No i zdarzyło się, że przysłano mi nowy podręcznik historii muzyki dla szkół podstawowych, niestety już opublikowany. Użyłem słowa „niestety", ponieważ był to słaby podręcznik w sensie metodologicznym, a w dodatku roiło się w nim od błędów historycznych. Napisałem obszerną i miażdżącą krytykę. W jej wyniku kuratorium odmówiło zatwierdzenia podręcznika do użytku w szkołach województwa wałbrzyskiego.

Teraz, przy końcu mojego życia, mogę wyznać, że bolały mnie negatywne recenzje z moich koncertów. Nigdy nie uważałem się za wybitnego dyrygenta, ale wiedziałem, że nie byłem aż tak kiepski jak pisali niektórzy nieżyczliwi mi polscy recenzenci. Na szczęście nieliczni. Ponieważ nie interesowałem się tym, co o mnie mówiono, czy pisano, rzadko trafiały mi do rąk recenzje. Ale te, które otrzymywałem, dzieliły się na dwie grupy: zagraniczne, przeważnie pochlebne, a czasami wręcz entuzjastyczne i polskie, często tendencyjnie złośliwe. Chociaż muszę przyznać, że i w Polsce otrzymywałem znakomite recenzje. Niektóre przechowuję z satysfakcją. Niestety nie raz zauważyłem, że osobiste sympatie, zależności, powiązania decydowały o tonie, w jakim były pisane recenzje. Ale oczywiście nie można takich prywatnych podtekstów udowodnić. Recenzent zawsze mógł się zasłaniać subiektywnym odczuciem.

Inną słabością polskiej krytyki muzycznej był fakt, że wielu nieudanych solistów, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca na estradach, zaczynało pisać recenzje. Wytworzyła się anormalna sytuacja: kiepski pianista oceniał jako recenzent dobrego pianistę. Krytykując, „leczył" swoją frustrację! Przez delikatność nie wymienię nazwisk tych recenzentów.

W moim życiu najbardziej krytykowali mnie trzej ludzie i o nich będę teraz pisał. Pierwszym był Stefan Kisielewski. Poznałem go jako początkujący dyrygent w Krakowie w roku 1950. Znałem jego felietony i recenzje oraz nieudaną – według mnie – powieść „Sprzysiężenie". Bardzo często drażniły mnie dziwaczne poglądy i gusta Kisielewskiego. Pamiętam takie sformułowania jak: „banalna melodyjka Mozarta" o Trio w „Eine kleine Nachtmusik", albo „muzyka Brahmsa jest ciężka jak głowa po nadmiernej ilości piwa". Przypuszczałem, że Kisielewski prowokował czytelników, ale w jakim celu – nie wiedziałem. Wielokrotnie przysłuchiwałem się dyskusjom, w których brał udział i podziwiałem jego błyskotliwą inteligencję. Ale liczne z jego wypowiedzi wzbudzały mój sprzeciw. A w owym czasie w Krakowie dyskutowali z Kisielewskim czołowi polscy muzycy: Alicja Simon, Bronisław Rutkowski, Artur Malawski, Piotr Perkowski, Henryk Sztompka, Zbigniew Drzewiecki czy Eugenia Umińska.

Pamiętam dwie recenzje Kisielewskiego z moich krakowskich koncertów. W pierwszej potraktował mnie lekceważąco, wytykając brak doświadczenia. „Wybaczyłbym" mu ten protekcjonalny ton, gdyby nie to, że w tej samej recenzji wychwalał bardzo słabą solistkę. Ale potem dowiedziałem się, że była jego koleżanką. To poderwało w moich oczach jego wiarygodność. Druga recenzja dotyczyła wykonania I koncertu skrzypcowego Szymanowskiego. Ucząc się partytury, znalazłem parę błędów w druku. W czasie prób „wyłowiłem" kilka następnych. Zyskałem tym głośno wyrażane uznanie muzyków, ponieważ grali ten koncert z innymi dyrygentami i żaden nie zauważył błędów. Tak więc „oczyściłem" dzieło z niezamierzonych przez kompozytora dysonansów, czy raczej fałszów.

Potem ukazała się recenzja, w której Kisielewski zarzucił mi, że muzyka była zbyt przejrzysta i zabrakło w niej „właściwej Szymanowskiemu mgiełki". Nigdy nie zapomnę tych niezbyt konkretnych sformułowań. Dlatego zrezygnowałem raz na zawsze z czytania recenzji Kisielewskiego z moich koncertów.

Drugim publicystą muzycznym, który mnie drażnił, był Jerzy Waldorff. Poświęcę mu w tych wspomnieniach więcej miejsca, ponieważ nasze, różnego rodzaju kontakty, trwały wiele lat.

Waldorff był nieprzeciętną osobowością. Co do tego nikt nie ma chyba wątpliwości. Miał talent pisarski i krasomówczy. Ale jego pretensjonalny styl i manieryczny sposób mówienia, powodowały, że na ogół nie czytałem jego felietonów i nie słuchałem audycji radiowych. Po prostu mnie drażniły. Nie sposób jednak pominąć jego zasługi dla polskiego życia muzycznego. Wystarczy wymienić dwie z jego licznych inicjatyw: zbieranie pieniędzy w Dzień Zaduszny na Powązkach na renowacje nagrobków zasłużonych muzyków i zorganizowanie w „Atmie" muzeum Szymanowskiego.

Ale obok tych niewątpliwych zasług, wyrządził także sporo szkód. Jego pochwały i nagany były często niesprawiedliwe i krzywdzące. Skrzywdził wielu ludzi. I byłem tego bezpośrednim świadkiem. Tadeusz Ochlewski nazwał go w jakimś artykule „największym szkodnikiem w polskiej muzyce". Waldorff przezornie nie próbował się bronić przed tym oskarżeniem, zdając sobie zapewne sprawę z niekwestionowanego autorytetu Ochlewskiego. Ludwik Erhardt opublikował w „Ruchu Muzycznym" felieton „Wujo łże!" (Wujem nazywali Waldorffa młodzi publicyści muzyczni). Erhardt wytknął Waldorffowi liczne przeinaczenia faktów i tendencyjne oceny. I na ten atak Waldorff również nie opowiedział. Był zbyt inteligentny, aby nie zdawać sobie sprawy z prawdziwości zarzutów.

Moje pierwsze kontakty z Waldorffem były naprawdę sympatyczne. Pamiętam dobrze, że w recenzjach bardzo mnie chwalił. Napisał również artykuł o mnie jako rzutkim, pełnym

pomysłów dyrektorze. Niestety przy kolejnych przeprowadzkach wszystkie te wycinki zaginęły i zapomniałem nawet, z jakich pochodziły czasopism.

Wydaje mi się, że być może największą wadą Waldorffa było uleganie sympatiom i antypatiom. Jeśli kogoś lubił – wychwalał go ponad miarę. Jeśli przeciwnie, nie znosił – tępił bez litości. Pamiętam dokładnie początek pewnej recenzji: „Cóż się stało, że orkiestra Filharmonii Narodowej grała tak dobrze na ostatnich dwóch koncertach? A to dlatego, że dyrygowali kolejno Andrzej Markowski i Józef Wiłkomirski!" Kiedy przysłano mi tę gazetę, nie odczułem żadnej satysfakcji. Wiedziałem bowiem, że zorientowany czytelnik mógł sobie dopowiedzieć następne zdanie: „Ponieważ nie dyrygował Witold Rowicki". Waldorff popierał bowiem Wodiczkę, a niszczył Rowickiego, wówczas szefa orkiestry Filharmonii Narodowej. I takich „kwiatków" w publicystyce Waldorffa było więcej.

Kiedyś rzucił hasło, aby na koncertach łączyć muzykę symfoniczną z rozrywkową. Władze przyklasnęły temu pomysłowi. Postanowiłem „dla zabawy" spróbować. Zorganizowałem w Szczecinie koncert, na afiszu którego znalazły się trzy nazwiska w następującej kolejności: Józef Wiłkomirski – dyrygent, Violetta Villas – piosenkarka, Jerzy Waldorff – konferansjer. Koncert został dwukrotnie powtórzony przy tzw. nadkompletach. Był to jedyny przypadek w moim dyrektorskim życiu, że na ulicy przed salą tzw. koniki sprzedawały bilety po zawyżonych cenach. Jak na atrakcyjny film lub mecz! Potem miałem jeszcze z Waldorffem tzw. panelowe publiczne dyskusje. Chwalił mnie za te działania w mowie i piśmie.

Nasze stosunki zepsuły się, kiedy w „Ruchu Muzycznym" opublikowałem artykuł wymierzony przeciwko recenzentom. Wymyśliłem złośliwy podział na różne typy: recenzent-malkontent, recenzent-cmokier, recenzent-pedagog itd. Czytelnicy bawili się, ale recenzenci nigdy mi tego ośmieszenia nie zapomnieli. Zaatakowałem również tych z nich, którzy potrafili pisać recenzje z koncertów, na których nie byli. Nazwałem to zwykłą nieuczciwością.

Nie pamiętam już przy jakiej okazji spotkałem w Warszawie Waldorffa. Na mój widok krzyknął swoim tubalnym głosem:

- Jak pan mógł tak oskarżyć recenzentów?

(Wyjaśniam, że w tamtym czasie Waldorff był przewodniczącym Sekcji Publicystów w SPAM) Odparowałem natychmiast pytaniem:

- A może nie napisałem prawdy?

- Myśmy to już załatwili w ramach sekcji. Otrzymali upomnienia.

Zacząłem się śmiać.

- I dalej piszą.

Na to nic nie powiedział. Ale od tamtego momentu przestał mnie chwalić w swoich recenzjach i felietonach. Minęło mnóstwo lat, w czasie których nastąpiła zmiana ustroju. Pewnego dnia przyniesiono mi „Politykę", w której Waldorff napisał, że należy zlikwidować w Polsce wszystkie orkiestry symfoniczne z wyjątkiem dwóch: WOSPR-u i Filharmonii Narodowej. Dodał, że te orkiestry mogłyby odwiedzać gościnnie duże miasta, a w innych sprzedawano by płyty. Pomysł był i głupi i szkodliwy. Napisałem zatem do redakcji „Polityki" list, krytykując propozycję Waldorffa i kładąc nacisk na wieloraką działalność terenowych filharmonii. W najbliższym felietonie Waldorff zamiast ze mną dyskutować, napisał, że jestem „słabym dyrygentem". Zapominając, że przez lata wyrażał odmienną opinię. Zrezygnowałem z dalszej polemiki; byłoby to poniżej mojej godności. A idiotyczny pomysł Waldorffa został całkowicie zapomniany.

Nazwiska trzeciego recenzenta, który „zalazł mi za skórę" przez litość nie podam. Jak mi mówiono, w młodości chciał zostać pianistą, a kiedy nic z tego nie wyszło, przerzucił się na teorię muzyki. Ale i na tej drodze nie osiągnął niczego, wobec czego został prelegentem i recenzentem. Audycje umuzykalniające prowadził tak nudno, że szkoły nie chciały podpisywać umów na następny rok. Musiałem zrezygnować z jego usług. I wtedy zaczął mnie tępić w każdej kolejnej recenzji. I robił to bodajże przez dwa czy trzy lata, dopóki nie zmienił miejsca zamieszkania.

Warto jeszcze wspomnieć o wywiadach, czasem bardziej denerwujących niż recenzje. Jakże często takie wywiady przeprowadzali dziennikarze niemający nic wspólnego z muzyką. Pisali wtedy zupełne bzdury, wkładając w moje usta słowa, których nie mówiłem. Mógłbym cytować te brednie przez wiele stron.

Najzabawniejszą był „jubileuszowy" artykuł – wywiad z okazji którejś mojej tzw. „okrągłej rocznicy". Przyjechał wówczas z Wrocławia dziennikarz z fotoreporterem. Rozmowa trwała co najmniej 2-3 godziny. Powstał z tego sporych rozmiarów materiał. Po kilku tygodniach otrzymałem egzemplarz czasopisma (nazwy nie pamiętam) i z przerażeniem przeczytałem pierwsze zdanie. Brzmiało: „Całe życie służyłem Pani Muzyce". Nigdy w życiu, nawet w prelekcjach dla zupełnie małych dzieci nie użyłem określenia „Pani Muzyka". Jestem zdecydowanym przeciwnikiem takiego „personalizowania". Przecież określenie „Pani Muzyka" nie ma żadnego sensu i bynajmniej nie pomoże dzieciom w słuchaniu utworów. Zaś włożenie tego pretensjonalnego zwrotu w moje usta w czasopiśmie dla dorosłych mogło mnie tylko ośmieszyć.

Po tym wydarzeniu zdecydowałem się prosić dziennikarzy o przesyłanie mi tekstów do autoryzacji. Jedni chętnie zaakceptowali moją prośbę, ale inni z wyraźną niechęcią. Od tego jednak czasu mogłem brać odpowiedzialność za to co zostało wydrukowane.

... i muzykolodzy

Chciałbym teraz wspomnieć o swoich nielicznych znajomych muzykologach. Jeszcze jako student PWSM w Łodzi, brałem udział w pewnej dyskusji o muzyce. Jedną z obecnych była Alicja Simon, wówczas kierowniczka katedry muzykologii na Uniwersytecie Łódzkim. Chcąc być dowcipnym, powiedziałem:

- A cóż wspólnego z muzyką mają muzykolodzy?

Ledwo skończyłem mówić, zdałem sobie sprawę z nietaktu. Alicja Simon była nestorką polskiej muzykologii o znaczącym dorobku naukowym, a ja nikim. Moje słowa, nawet traktowane jako żart, były zupełnie nie na miejscu. Na szczęście obecni udali, że niczego nie słyszeli. Ale ja do dzisiaj, po upływie sześćdziesięciu lat, wstydzę się tamtego wybryku.

Na początku pięćdziesiątych lat poznałem Zofię Lissę. Była wtedy profesorką Uniwersytetu Warszawskiego i – jak słyszałem – konsultantką KC PZPR do spraw muzyki. Była chyba jedyną w tamtych czasach osobą, która próbowała w badaniach muzykologicznych stosować marksistowskie metody analityczne, jeżeli wolno użyć takiego określenia. Podobno – co może być złośliwą plotką – dwa kontrastujące tematy allegro sonatowego traktowała jako walkę klas. Natomiast sam czytałem jej broszurkę, której tytuł brzmiał: „Niektóre zagadnienia estetyki muzycznej w świetle artykułów J. Stalina o marksizmie w językoznawstwie". Daję słowo! Niezorientowanym czytelnikom wyjaśniam, że w roku 1950 Stalin opublikował esej „W sprawie marksizmu w językoznawstwie". Pamiętam aż

nadto dobrze, jak zaśmiewałem się przy niektórych sformułowaniach. W całości esej był stekiem bzdur. Ale radzieccy językoznawcy chóralnie chwalili i określali jako cenny wkład w światową naukę o języku. Takie to były czasy.

Jeszcze bardziej bełkotliwa była wyżej wspomniana broszurka Zofii Lissy i pamiętam, że moi znajomi muzykolodzy ocenili ją bardzo negatywnie. Uznano, że była dowodem zupełnie niepotrzebnej służalczości. I że bądź co bądź prawdziwy naukowiec nie powinien aż tak przypochlebiać się władzy. Byłoby jednak jaskrawą niesprawiedliwością z mojej strony, gdybym nie wspomniał o ogromnym dorobku muzykologicznym Zofii Lissy oraz o jej zasługach dla życia muzycznego w Polsce. Wystarczy sięgnąć do encyklopedii, aby zobaczyć, ile ważnych przedsięwzięć zainicjowała i jak wiele ważnych funkcji pełniła. Jestem przekonany, że przy jej osiągnięciach bledną polityczne kompromisy.

Ostatnim poznanym muzykologiem była Maria Manturzewska, moja opiekunka na studium doktoranckim i niedoszła promotorka mojej nienapisanej niestety doktorskiej dysertacji.

... oraz prelegenci

Od razu na wstępie zaznaczam, że powszechnie używane znaczenie słowa „prelegent" w odniesieniu do osób prowadzących najrozmaitsze koncerty edukacyjne jest błędem językowym. Według słowników prelekcja jest rodzajem wykładu lub odczytu. A parę zdań o kompozytorze poprzedzających wykonanie utworu trudno zaliczyć do jakiejkolwiek formy wykładu czy odczytu. Nawiasem mówiąc nie zauważam znaczeniowej różnicy między wykładem a odczytem. Kiedyś zamiast wyrazu prelegent, oznaczającego osobę wygłaszającą prelekcję, wprowadzono określenie „słowo wiążące". Było to jeszcze mniej poprawne. Tak więc z konieczności będę nadal posługiwał się terminami: prelekcja i prelegent(-ka).

Sam wygłosiłem – jak przypuszczam – kilkaset prelekcji o różnym charakterze i dla zróżnicowanych słuchaczy. Pisałem już o tym. Mówiłem i do profesorów wyższych uczelni, powiatowych sekretarzy PZPR, robotników stoczniowych i dzieci przedszkolnych. Lubię to zajęcie, ponieważ uważam za naprawdę ważne słowne wprowadzenie słuchaczy w tzw. świat muzyki, choć może brzmi to nieco patetycznie. Kiedyś przed wielu laty Lutosławski powiedział, że dobra muzyka nie potrzebuje objaśnień. Nie zgodziłem się wówczas z nim. A w parę lat później sam sobie zaprzeczył, pisząc objaśnienie do swojej II symfonii. Muszę niestety zrezygnować z rozwinięcia tego tematu, gdyż rozsadziłoby to ramy tej książki.

Znałem wielu znakomitych prelegentów szkolnych audycji umuzykalniających. Niezależnie od pory roku jeździli z ekipami solistów po miasteczkach i wsiach, występując często w niedogrzanych salach wobec uczniów siedzących na podłodze w płaszczach. Ale to dzięki tym prelegentom wiejskie dzieci poznawały nowe instrumenty, historię muzyki, podstawowe elementu formotwórcze, a przede wszystkim utwory wielkich kompozytorów.

Ale znałem również fatalnych prelegentów, którzy zanudzali słuchaczy i – bez przesady – odstręczali od muzyki. Byłem świadkiem, jak dorosła publiczność na festiwalowych koncertach po kilkunastu minutach prelekcji zaczynała niecierpliwie szurać krzesłami i nogami, a nawet rozmawiać. Miało to miejsce wówczas, kiedy prelegent chciał popisać się swoją wiedzą i zasypywał słuchaczy informacjami encyklopedycznymi. Byłem kiedyś na festiwalowym koncercie, przed którym prelegent pojawił się na estradzie ze stosem książek i przez kilkanaście minut „podpierał" swoją prelekcję czytanymi cytatami. Osobiście uważam

takie metody za zniechęcające do słuchania muzyki. Jest to zaprzeczeniem elementarnych zasad popularyzatorskich.

Najlepszym prelegentem, którego słyszałem, choć tylko w telewizji, był Leonard Bernstein. Z pewnym zastrzeżeniem: to, co robił, nie było jedynie prelekcją, lecz raczej rodzajem spektaklu. Czy – jak mówią Amerykanie – show. Ale na to mógł sobie pozwolić tylko ktoś taki jak Bernstein. Był przecież nie tylko znakomitym dyrygentem, lecz także świetnym i wszechstronnym kompozytorem, koncertującym pianistą, a także śpiewakiem-amatorem. To, w połączeniu z talentem krasomówczym i swobodą estradową stwarzało niepowtarzalną całość. Niektórzy z dyrygentów usiłowali go naśladować. Z opłakanym skutkiem.

Przed wielu laty poniedziałkowe spektakle Teatru Telewizji poprzedzane były prelekcjami Stefana Treugutta. Słuchałem ich z zaciekawieniem. Pod względem językowym i merytorycznym były bez zarzutu, ale chyba jeszcze ważniejszy był sposób mówienia. Treugutt mówił bezpośrednio do słuchacza. Nie „pouczał", ale dzielił się swoim podziwem dla dzieła. Nigdy już potem nie słyszałem tak dobrych prelekcji teatralnych.

Rozdział XLVI

SILVA RERUM

Tytuł tego rozdziału zaczerpnąłem ze starożytnej łaciny. Oznacza w dosłownym tłumaczeniu „las rzeczy". Używano go do określania zbiorów utworów różnych autorów bądź do zbiorów utworów o różnej tematyce. Używając potocznego języka, można by powiedzieć „Groch z kapustą". Chciałbym w tym rozdziale umieścić wspomnienia, które uważam za warte zapamiętania, a które nie znalazły się w poprzednich. I tak np. wydaje mi się, że powinienem określić swój stosunek do systemów autorytarnych, które w decydujący sposób wpłynęły na taki, a nie inny przebieg mojego życia.

Na początek pozwolę sobie przytoczyć słynne powiedzenie Churchilla: „Demokracja jest najgorszym ustrojem. Ale inne są jeszcze gorsze". Ten typowo angielski paradoks zawiera ziarno prawdy. Ustrój demokratyczny obarczony jest tak licznymi słabościami, że nawet nie warto ich wymieniać. Natykamy się zresztą na nie w codziennym życiu. Ba, ale wszystkie inne ustroje mają tych słabości znacznie więcej. Uczeni w setkach opasłych dzieł przeanalizowali je dokładnie.

Moim zdaniem najgorszy jest ustrój oparty na systemie autorytarnym. Zwłaszcza w wydaniu XX-wiecznym. Prawdą jest, że w systemie autorytarnym możliwe są imponujące osiągnięcia np. w budownictwie, w najszerszym tego słowa zakresie. Wystarczy przypomnieć takie starożytne państwa jak Sumer, Babilon, Egipt, Chiny, Meksyk, Peru. Ale zachwycając się piramidami, nie potrafię zapomnieć o ludzkich kosztach tych dzieł. A i w następnych epokach nie brakowało autorytaryzmu. Przykładami mogą być państwa europejskie jak Niemcy Fryderyka II Wielkiego, Rosja Iwana IV Groźnego (i nie tylko), Mongolia Czyngis-Chana. W tym miejscu muszę zaznaczyć, że władcy autorytarni byli wybitnymi strategami, administratorami, organizatorami, dowódcami. A może taka jest smutna konieczność? Może to tylko ponadprzeciętna osobowość może podporządkować sobie całe państwo i zapewnić całkowite posłuszeństwo?

W tym miejscu chciałbym wyjaśnić, dlaczego używam słowa autorytaryzm zamiast totalitaryzm lub dyktatura. W moim bowiem przekonaniu termin autorytaryzm ma szerszy zakres i mieszczą się w nim wszystkie systemy absolutystyczne.

Niewątpliwie „systemowym" osiągnięciem autorytaryzmu był, jak dotąd, wiek XX. Faszyzm, hitleryzm, stalinizm i wszystkie inne formy dyktatur sprawiły, że tak wspaniałe w sensie naukowym i techniczny stulecie przeszło do historii także jako najbardziej krwawe.

A mój stosunek do autorytaryzmu wynika z przyjętego i wyznawanego systemu wartości. Według mnie żadna idea nie uprawnia do dławienia ludzkiej wolności. Żadne, najbardziej nawet szczytne cele nie usprawiedliwiają zabijania, torturowania, zamykania ludzi do więzień i obozów. Żadna ideologia czy religia nie posiada monopolu na Prawdę i nie wolno narzucać jej ludziom. Rzekomo dla ich dobra doczesnego lub wiecznego zbawienia. Już jako młody człowiek szokowałem rodzinę i znajomych twierdząc, że najwięcej nieszczęść w historii spowodowali przeróżni zbawcy, prorocy, reformatorzy, „naprawiacze", „uszczęśliwiacze".

Z tą moją wrogością do wszelkich form autorytaryzmu wiąże się ściśle stosunek do Kościoła katolickiego. Uważam, że wszystkie religie monoteistyczne stanowią „klasyczny" wzór autorytaryzmu: judaizm oparty na przymierzu pomiędzy jedynym Bogiem a narodem wybranym; chrześcijaństwo posiadające wyłączność na zbawienie; islam ze swoim wyznaniem wiary „jeden jest Allah i jego prorok Mahomet". Ale nawet w judaizmie, islamie i różnych odłamach chrześcijaństwa nie ma tak zcentralizowanej i absolutnej władzy jak papieska. I nie ma tak „antywolnościowego" prawa jak dogmat o nieomylności papieża.

Opierając się na powyższych twierdzeniach, winien jestem czytelnikowi wyjaśnienie. Od ponad pół wieku jestem zdeklarowanym materialistą czy - jak kto woli – ateistą. Podobno Napoleon odwiedził kiedyś najsławniejszego francuskiego astronoma Pierre'a Laplace'a i powiedział do niego:

- Mistrzu, przeczytałem pańskie dzieła i nie znalazłem tam w ogóle słowa „Bóg".

A Laplace miał odpowiedzieć:

- Sire, ta hipoteza nie była mi potrzebna.

Niezależnie czy ta anegdota jest autentyczna czy nie, zgadzam się z takim sformułowaniem. Jeśli komuś potrzebna jest wiara w Boga (takiego czy innego), nie należy go od niej odwodzić. A jeśli ktoś potrafi żyć bez tej wiary – należy mu na to pozwolić. W moim rozumieniu nie ma miejsca w realnym świecie na jakiekolwiek byty niematerialne np. bogów, demony, duchy, niebo czy piekło. Ani na pozamaterialne zjawiska: czary, zaklęcia, cuda, magie. Mnie wystarczy energia i jej szczególna postać jaką jest materia.

* * *

A teraz mniej „fundamentalne" sprawy. Tzw. zimy stulecia. Przeżyłem ich wiele i to w bezpośredni sposób. Te w latach wojny odczułem szczególnie dotkliwie. W niedogrzanych mieszkaniach, stale niedożywiony i źle ubrany. Ciężka zima z lat pięćdziesiątych (nie pamiętam dokładnie daty) „dopadła" mnie w pociągu Bydgoszcz-Warszawa. Dojechaliśmy jakoś do Kutna i tam okazało się, że – jak mówili kolejarze – zamarzły koła i hamulce. Trzeba było rozpalać ogniska pod wagonami, aby lód stajał. Do Warszawy dotarliśmy z wielogodzinnym opóźnieniem. Pamiętam jeszcze jedną zimę z tak obfitymi opadami śniegu, że w Warszawie (a zapewne i w innych miastach) trzeba było w odgarniętych pryzmach śniegu wyrąbywać korytarze, aby ludzie mogli w ogóle chodzić.

Najgorsza chyba była dla mnie zima 78/79. Fala mrozu uderzyła w Sylwestra i szybko dotarła z północnej Polski na Dolny Śląsk. Stanęły pociągi i komunikacja miejska. Przestały działać elektrownie. Byłem wtedy na tzw. wczasach w małej miejscowości. Mróz i śnieg odcięły nas od świata i pozbawiły prądu i wody. Po licznych staraniach i pomocy wielu osób, udało mi się dotrzeć do domu, w którym nie było wody i ogrzewania. Następne dni wspominam jako koszmar. Brakowało nawet chleba, ponieważ piekarnie przestały działać. Ujawniły się wszystkie słabości systemu opartego na centralnym zarządzaniu. Kto wie czy nie przyspieszyło to społecznego buntu w roku 80?

* * *

W czasie pobytu w obozie piłem w ogromnych ilościach tzw. Neskę, czyli kawę rozpuszczalną z paczek Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. I tak w pewnym sensie stałem się nałogowcem. Kiedy wracałem do Polski, w przeciwieństwie do innych ludzi,

przywiozłem tylko kilkadziesiąt puszek kawy „Neska". Wypijałem wówczas sześć szklanek dziennie. Bez tego nie mogłem normalnie pracować. Nic zatem dziwnego, że zapasy kawy topniały. Po paru tygodniach matka zapytała:

- A co zrobisz, jak zużyjesz cały zapas?

I dodała:

- Przecież wiesz, że nie będzie nas stać, aby kupować „Neskę" na czarnym rynku.

Pamiętam dokładnie te słowa i moją reakcję. Powiedziałem matce, aby ostatnie puszki schowała dla gości (był to wtedy cenny przysmak) i z dnia na dzień przestałem pić kawę. Przez prawie tydzień snułem się jak „nieprzytomny" i – co zabawne – choć czułem się senny – nie mogłem spać. Ale młody organizm jakoś się dostosował i już ponad 60 lat obywam się bez kawy.

Mniej więcej dziesięć lat później przestałem pić alkohol; decyzję również podjąłem od razu. A po paru latach zrezygnowałem również z herbaty. Przeczytałem w jakimś czasopiśmie artykuł, że teina jest bardziej szkodliwa niż kofeina. To wystarczyło. A ponieważ nigdy nie paliłem papierosów, tzw. używki nie zdołały nade mną zapanować. No, może z wyjątkiem słodyczy.

* * *

Kiedy już skończyłem część biograficzną swoich wspomnień, w miarę pisania dodatkowych rozdziałów z tzw. mroków niepamięci wyłaniały się coraz to nowe obrazy. I – jak sądzę – warte utrwalenia. Np. te dotyczące dalszego ciągu mojego członkostwa w ZBOWiD.

W połowie lat osiemdziesiątych dowiedziałem się, że przy Zarządzie Głównym funkcjonują tzw. środowiska, obejmujące członków określonych oddziałów czy formacji. Przez ciekawość wysłałem list z podaniem mojego pseudonimu i nazwy zgrupowania. Bardzo szybko otrzymałem odpowiedź od kolegi, z którym razem walczyłem, a z którym straciłem całkowicie kontakt po wyjeździe z obozu do Hamburga. Potem przysłano mi z Warszawy potrzebne dokumenty i zostałem członkiem ZBOWiD, w którym wreszcie po 56 roku AK zyskała należne miejsce.

W kwietniu 86 roku dostałem wiadomość, że 9 maja otrzymam nowo ustanowione odznaczenie – Krzyż Powstańczy. Zawiadomiłem wałbrzyski oddział ZBOWiD, że nie będę mógł odebrać odznaczenia, ponieważ 1 maja wyjeżdżam do Włoch. Prezes oddziału poprosił, aby w moim imieniu odebrała je żona. I tak się stało. Małgorzata razem z czteroletnią Wiosną poszła na uroczyste spotkanie, ponieważ w Wałbrzychu żyło wówczas jeszcze paru byłych warszawskich powstańców. (Obecnie, poza mną, nie ma już nikogo.)

A oto relacja Małgorzaty. Wiosna była bardzo zadowolona, ponieważ każdy z obecnych dostał ciastko i herbatę. Mała zjadła swoje i zabrała ciastko matki, która ustawiła się w międzyczasie wśród wywołanych ekspowstańców. Dekoracji dokonywała pani wiceprezydent. Każdemu odznaczonemu przypinała szpilką Krzyż na wstążce, mamrocząc jakąś formułkę. Była widocznie tak zajęta pilnowaniem, aby kogoś z odznaczonych nie skaleczyć szpilką, że w ogóle nie podnosiła głowy. Potem ściskała dłoń odznaczonemu, wręczała mu legitymację i szybko przechodziła do następnej osoby. Małgorzata – jak opowiadała – była przekonana, że pani wiceprezydent zauważy, iż obok starych ludzi stoi dwudziestoparoletnia kobieta. I zamiast przypiąć jej Krzyż, po prostu go wręczy. Ale pani prezydent albo była tak stremowana, albo tak znudzona i obojętna, że przypięła Małgorzacie Krzyż do sukni. I ten akt został „uwieczniony" na fotografii! Oto przykład arogancji władzy. Ja takie zachowanie nazywam zwykłym chamstwem.

Po paru latach ZBOWiD został „przemianowany" na Związek Kombatantów. Jeszcze później prezydent, już nie PRL, ale RP przyznał wszystkim powstańcom stopień podporucznika. Tym razem nominację przyjąłem osobiście, a paru kolegów - kombatantów chciało mi sprzedać swoje stare mundury. Grzecznie odmówiłem, tłumiąc śmiech! Wyobraziłem sobie efekt, jaki wywołałbym, przychodząc do biura w mundurze!

Nieco później prawicowy premier Buzek nie chciał być „gorszy" od lewicowego prezydenta Kwaśniewskiego i przyznał powstańcom warszawskim patent weterana walk. A pod koniec lat dziewięćdziesiątych dostałem niespodziewanie awans na porucznika. Powiedziałem wówczas, że jeżeli pożyję jeszcze ileś-tam lat, to może dojdę do stopnia generała!

W związku z tym co wyżej napisałem, warto jeszcze dodać, że prawicowe władze AWS chciały pozbawić praw kombatanckich ostatnich uczestników Brygad Międzynarodowych w hiszpańskiej wojnie domowej. Było to wręcz obrzydliwe, ponieważ – jak sądzę – żyje ich obecnie w Polsce kilkunastu lub najwyżej kilkudziesięciu. I to mających 80-90 lat. No, ale na skutek protestów z zagranicy, z tego haniebnego pomysłu zrezygnowano.

Jak wiadomo, kombatantów ubywa z przyczyn naturalnych. I tak jest na całym świecie. Z wyjątkiem Polski. U nas po roku 1990 zaczęło kombatantów przybywać! Ten fenomen był skutkiem fatalnej – w moim mniemaniu – decyzji o rozszerzeniu związku kombatantów także o osoby represjonowane. Zamiast stworzyć osobny związek, połączono byłych żołnierzy z więźniami obozów niemieckich i radzieckich. O ile status kombatanta jest jasny: musi być to żołnierz, czyli członek wojskowej formacji, w dodatku walczący z bronią w ręku. Natomiast wśród więźniów obozów byli zarówno członkowie organizacji podziemnych jak i zupełnie przypadkowi ludzie z ulicznych łapanek. Ale to jeszcze nie wszystko. Do Związku Kombatantów zaczęto przyjmować także tych, którzy zostali wysiedleni z kresów wschodnich przez władze radzieckie. Wszystkich uznano za represjonowanych, co w pewnym sensie było uzasadnione. Ale na tej zasadzie powinno się uznać za represjonowanych wszystkich Polaków pod okupacją niemiecką. Bynajmniej nie żyło im się łatwiej i bezpieczniej niż wysiedlonym. A ponieważ w statucie nie było – co logiczne – żadnego ograniczenia wieku, do Związku zgłaszali się ludzie, których wysiedlono jako dzieci, również w wieku niemowlęcym. A nawet ci, którzy urodzili się już po wysiedleniu ich rodziców, w nowym miejscu zamieszkania. Był to całkowity absurd! I ten absurd trwa do dzisiaj. Dobrze chociaż, że ci nowi członkowie związku nie otrzymali stopni oficerskich!

* * *

A oto inne ciekawe wydarzenia, które sobie przypomniałem. W czasie pewnego spotkania w Warszawie Wandzia opowiadała o swojej kolejnej podróży pociągiem z Zachodnich Niemiec do Polski. Po przekroczeniu granicy NRD do przedziału wszedł celnik i zobaczył na stoliku pod oknem „kryminał", który Wandzia kupiła do czytania w podróży. Na okładce widać było jakąś roznegliżowaną blondynkę i ociekającą krwią ogromną dłoń. Celnik powiedział:

- W Niemieckiej Republice Demokratycznej takie książki są zakazane.

Ponieważ Wandzia mówiła płynnie po niemiecku odrzekła:

- Ja nie jadę do Niemieckiej Republiki Demokratycznej, ale tranzytem do Polski.

Celnik – jak relacjonowała Wandzia – wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Ale teraz jest pani na terytorium Niemieckiej Republiki Demokratycznej i zgodnie z prawem mogę pani tę książkę zabrać.

A na to Wandzia:

- Ale kiedy będę opuszczała terytorium Niemieckiej Republiki Demokratycznej, będzie pan musiał mi tę książkę oddać.

Przytaczam ten dialog dokładnie, ponieważ i mnie zarówno drażniło jak i śmieszyło to ustawiczne powtarzanie uroczystym tonem – Deutsche Demokratische Republik. Zetknąłem się z tym w kontaktach z tzw. oficjelami.

Oczywiście celnik książki nie zabrał, nie chcąc wywoływać konfliktu z obywatelką zaprzyjaźnionego socjalistycznego kraju.

Po tej historii, ilekroć jechałem pociągiem na koncert do NRD, zawsze zabierałem do czytania takie angielskie „kryminały", które miały na okładkach krew i goliznę. I rozkładałem je na stoliku. Celnicy zawsze patrzyli na nie podejrzanie, ale nigdy jakoś nie reagowali.

Pamiętam, że kiedy wracałem pociągiem po koncercie w Wilhelmshaven, po przejechaniu przez NRD, w zachodnim Berlinie wysiedli wszyscy pasażerowie. Pozostałem sam nie tylko w przedziale, ale i w całym wagonie I klasy. Na pierwszej stacji w Berlinie Wschodnim do pociągu wpadli policjanci z koszami i zaczęli wrzucać do nich wszystkie pozostawione przez pasażerów czasopisma. Do mojego przedziału zajrzał także celnik, ale na mój widok zrezygnował z zabrania czegokolwiek. To także przyczynek do różnicy pomiędzy Polską, a „bratnią" Niemiecką Republiką Demokratyczną.

* * *

Kiedyś, przed laty, zaplanowałem, że jeżeli na starość będę pisał autobiografię, osobne rozdziały poświęcę przygodom w podróżach i hotelach. Teraz jednak, w XXI wieku, wydaje mi się to zbyteczne. Filmy emitowane w telewizji pozwalają na zwiedzenie najodleglejszych nawet zakątków naszego globu. A i podróże stały się łatwiejsze. Znam lekarzy, którzy co roku wyjeżdżają na urlop do takich krajów jak Syjam czy Meksyk, nie wspominając już o Egipcie czy Tunisie. Znam nawet emerytów, którzy odmawiają sobie wszystkiego, aby za zaoszczędzone pieniądze zwiedzać Włochy, Francję, Grecję. Taka ciekawość świata w wieku emerytalnym jest czymś pięknym i godnym podziwu.

W tej sytuacji moje podróże nie byłyby po prostu na tyle ciekawe, aby je teraz szczegółowo relacjonować. Tym bardziej, że dokładnie opisałem podróż dookoła świata, która na pewno nawet obecnie nie jest łatwa do zrealizowania z różnych względów. Natomiast chciałbym utrwalić tutaj jedynie pewne niezwykłe wydarzenia, jak np. lot do Irlandii. Wysiadłem na lotnisku w Dublinie i okazało się, że nie wyładowano mojej walizki. A samolot, którym przyleciałem, odleciał już w dalszą drogę… do Nowego Jorku. Kiedy zgłosiłem sprawę u kierownika portu lotniczego, ten od razu powiedział z przekąsem, że to częsty przypadek, ponieważ personel angielskiego samolotu w ten sposób okazuje lekceważenie Irlandczykom. Następnie wyciągnął z szuflady karton, na którym były narysowane najczęściej spotykane w Europie typy walizek. Wskazałem moją (na szczęście nie miałem „nietypowej" polskiej walizki, ale „międzynarodową", kupioną w Lublianie), określiłem kolor i zostawiłem przypięty do biletu kwit bagażowy. Następnie podałem nazwę hotelu, w którym miałem zarezerwowany pokój. Kierownik uspokoił mnie, że walizkę dostarczą za parę godzin. Kiedy zrobiłem zdziwioną minę, wyjaśnił, że samolot wyląduje jeszcze w Shannon na

południowo-zachodnim krańcu Irlandii w celu zatankowania paliwa przed lotem przez Atlantyk. Kierownik spojrzał na zegarek i obiecał, że zaraz po moim wyjściu osobiście zatelefonuje do kierownika portu lotniczego w Shannon, aby z ładowni samolotu wyjęto moją walizkę i przesłano wieczornym lotem z powrotem do Dublina. Stało się tak, jak obiecał. Około północy przywieziono mi walizkę do hotelu.

Jeszcze ciekawszą przygodę przeżyłem w podróży z Drezna do Paryża z przesiadką we Frankfurcie. Do portu lotniczego w Dreźnie zawieziono mnie samochodem. Z niewiadomych przyczyn odlot odbył się z kilkudziesięciominutowym opóźnieniem. Zaniepokojony, gdzieś w połowie podróży zaczepiłem stewardessę i zapytałem czy będziemy punktualnie we Frankfurcie, ponieważ mam przesiadkę na samolot do Paryża. Okazało się, że niestety przylecimy z tak dużym opóźnieniem, że nie „złapię" połączenia. Zebrałem wówczas cały mój skromny zasób niemieckich słówek i wskazując na partyturę Requiem Mozarta, z której się uczyłem, wyjaśniłem, że muszę wieczorem być w Paryżu, ponieważ następnego dnia rano mam próbę. Stewardessa była wyraźnie zmartwiona i poszła naradzić się z kapitanem. Wróciła po pewnym czasie i powiedziała, że sprawa została załatwiona pomyślnie. Kapitan połączył się z kierownictwem portu lotniczego we Frankfurcie i poprosił o zatrzymanie samolotu do Paryża tak długo, abym zdążył się przesiąść. Aż trudno mi było w to uwierzyć.

Kiedy dolecieliśmy do Frankfurtu, stewardessa wprowadziła mnie do kabiny pilotów, abym mógł wysiąść bocznymi drzwiami. Czekała już ma mnie pracownica lotniska, która razem ze mną dosłownie przebiegła do innego, odległego wyjścia. Tam wręczono mi kartę pokładową i zawieziono do czekającego samolotu. Oczywiście kiedy zostałem wprowadzony na pokład, wszyscy pasażerowie spojrzeli na mnie, zapewne zastanawiając się kim jest starszy pan, na którego czekał cały samolot.

A w Paryżu okazało się, że – co było do przewidzenia – nie zdążono przeładować mojej walizki. W biurze „Lufthansy" dostałem malutką walizeczkę, w której były wszystkie potrzebne przedmioty, takie jak jednorazowa maszynka do golenia, grzebyk, mydło, szczoteczka i pasta do zębów itd. Następnego dnia w południe przywieziono do hotelu moją walizkę, która przyleciała porannym samolotem z Frankfurtu. Tak zakończyła się ta niezwykła przygoda. Nie muszę dodawać, że był to jedyny przypadek w moim życiu, kiedy czekał na mnie wielki międzynarodowy samolot. Ciekawe czy inne linie lotniczy postąpiłyby tak samo jak „Lufthansa".

Mało kto już dzisiaj pamięta, że przed II wojną światową polskie koleje należały do najbardziej punktualnych w całej Europie. Kolejarze uważali za punkt honoru, aby pociągi jeździły zgodnie z rozkładem jazdy. Znałem jeszcze starych „przedwojennych" kolejowych weteranów, którzy opowiadali o tym z dumą. Niestety od lat siedemdziesiątych ta tradycja z wielu przyczyn zaczęła zanikać. Pociągi spóźniały się notorycznie, wagony były brudne, a pracownicy kolei coraz wyraźniej lekceważyli pasażerów. Akurat w tamtym okresie musiałem często korzystać z usług PKP, zarówno na długich jak i krótkich trasach. Pamiętam jak pewnego razu wagon I klasy w pociągu ekspresowym Łódź - Bydgoszcz nie był w ogóle ogrzewany. Kiedy zjawił się kierownik pociągu, zapytałem, kiedy włączone zostanie ogrzewanie. Z beztroskim uśmiechem odpowiedział:

- Nie będzie ogrzewania.

Zapytałem wówczas, dlaczego włączono do składu uszkodzony wagon. Odpowiedź była zaskakująca:

- Jak panu zimno, to niech pan idzie do innego wagonu.

Poczułem wściekłość.

- Dlaczego mam iść do innego wagonu, jeżeli wykupiłem miejscówkę do tego.

Wzruszył ramionami i wtedy podniesionym głosem powiedziałem:

- Myślę, że dla PKP byłoby najlepiej, gdyby pociągi jeździły w ogóle bez pasażerów!

Spojrzał na mnie obrażony i wyszedł z przedziału, z trzaskiem zasuwając drzwi. A ja wytrzymałem w zimnym przedziale zaledwie pół godziny i – chcąc nie chcąc – przeniosłem się do drugiego wagonu.

Innym razem kiedy opóźniony o ponad dwie godziny nocny pociąg wlókł się do Szczecina, stając raz po raz pod każdym semaforem, do wagonu sypialnego przyszedł na kawę konduktor. Zapytałem go, skąd takie duże opóźnienie. Zaśmiał się i powiedział:

- Ciesz się pan, że w ogóle jedziemy.

I tym razem wpadłem w złość i huknąłem:

- Z czego się pan śmieje? Powinien się pan raczej wstydzić za swoją firmę!

Bez słowa dopił kawę i opuścił wagon.

Podobnych rozmów miałem w tamtych czasach znacznie więcej. Tylko że nic z nich konkretnie nie wynikało. Poza wątpliwą satysfakcją, że „sobie ulżyłem".

* * *

Obok rozlicznych przykrych lub komicznych sytuacji w pociągach, warto wspomnieć o przygodach w hotelach w różnych krajach. Tak się składało, że miałem sposobność mieszkać w najbardziej luksusowych (np. w sieci Hiltona) jak i zupełnie prymitywnych. Często zależało to od kontrahentów. W Polsce i innych krajach tzw. obozu socjalistycznego za hotele płaciły filharmonie lub agencje koncertowe. W Odessie mieszkałem na koszt radzieckiej agencji „Goskoncert" w hotelu, zbudowanym jeszcze przed I wojną światową. I w dodatku jako zagraniczny artysta w apartamencie… cara. Tak w każdym razie powiedział recepcjonista. Apartament składał się z przedsionka, ogromnego pokoju – salonu, na którego końcu znajdowało się podwyższenie. A na nim ogromne łóżko-łoże z baldachimem. Z tyłu były drzwi do łazienki, przypominającej rozmiarami salon.

W Budapeszcie w hotelu na wyspie Małgorzaty mieszkałem w apartamencie, w którym zamiast wanny miałem spory basen. Całe szczęście, że za takie luksusy nie ja musiałem płacić. Ale w Irlandii zgodnie z umową koszty zakwaterowania obciążały mnie. Zapraszający przez szacunek dla „maestra" zarezerwowali pokój w najdroższym hotelu Dublina. W konsekwencji zapłaciłem za niego ponad jedną trzecią honorarium! Podobnie było w Luksemburgu. Szkoda mi było cennych dewiz, ale nie wypadało przenosić się do tańszego hotelu.

A o niektórych gorszych hotelach wolę nie wspominać. I o rozmaitych niezbyt miłych „przygodach", które mnie w nich spotkały. Np. obecność karaluchów. Brr!

Podobnie było z restauracjami. Zdarzało mi się jadać w niezwykle wytwornych, zwłaszcza usytuowanych w drogich hotelach. Potrawy były wykwintne, a obsługa jak na hollywoodzkich filmach. Ślimaki, ośmiornice, ostrygi, żabie udka dostarczały mojemu podniebieniu niezapomnianych rozkoszy. Ale jadałem i w podrzędnych knajpach, przydrożnych barach i przeróżnych jadłodajniach. Przykro mi to pisać, ale najgorsze były niestety w Polsce. Gwoli sprawiedliwości muszę jednak dodać, że nawet w czasach kryzysu można było i u nas cieszyć się znakomitą kuchnią zarówno w dużych miastach jak i małych miasteczkach.

* * *

Kiedy teraz wyławiam z pamięci coraz to nowe okruchy wspomnień, nie mogę powstrzymać się od żalu, że o wiele, wiele więcej przepadło bezpowrotnie. A także, że z zapisania ogromnej ilości tych, czasem błahych, okruchów musiałem zrezygnować. Aczkolwiek słowa „błahy" wcale nie uważam za adekwatne. Takie wartościowanie jest arbitralne i to w sposób nieuprawniony. Skąd mogę wiedzieć, które z wydarzeń sprzed pół wieku będzie uważane za błahe przez czytelnika? Z takich drobnych wydarzeń wyłania się nieraz obraz minionych czasów bardziej prawdziwy niż ten preparowany przez polityków lub przedstawiany przez historyków. Nawet najbardziej wiarygodny dokument nie zawsze oddaje codzienne życie zwykłych ludzi. A przecież każda epoka to nie tylko zwycięstwa wodzów, traktaty dyplomatów, odkrycia naukowe, arcydzieła sztuki, lecz także drobne, błahe, banalne, pospolite radości i smutki tzw. szarych ludzi. Oraz ich działalność. Oni także mieli swoje przygody, przeżycia, doznania, wzruszenia. Chociaż nie przekazali ich następnym pokoleniom. Wielcy ludzie tworzą historię, ale to właśnie masy muszą się jej podporządkować.

Wiem, że to co tutaj napisałem – to truizmy. Ale warto je powtarzać, gdyż jakże często o nich zapominamy. I dlatego pozwoliłem sobie włączyć do swojej biografii ten rozdział i zawarte w nim refleksje.

Rozdział XLVII

KOBIETY W MOIM ŻYCIU

Zanim zacząłem pisać autobiografię, zastanawiałem się poważnie czy w ogóle umieścić w niej rozdział poświęcony tematowi kobiet w moim życiu. Był bowiem delikatny z uwagi na jego intymność. Dotyczył przecież najbardziej osobistych stosunków pomiędzy dwojgiem osób. Ten dylemat towarzyszył mi przez długie miesiące pisania tej książki. Odwlekałem z rozmysłem jego rozwiązanie na sam koniec. Ale wczoraj postawiłem ostatnią kropkę w rozdziale, który zawierał rozmaite rozproszone wspomnienia i nie mogłem już dłużej odwlekać decyzji. W tzw. nocnych rozważaniach po raz n-ty rozpatrywałem wszystkie „za" i „przeciw". Nie będę zanudzał czytelnika ich przytaczaniem.

Zwyciężyło przekonanie, że zbyt ważne miejsce w moim życiu zajmowały kobiety, aby wolno mi było nie poświęcić im osobnego rozdziału. Zafałszowałoby to całą autobiografię. Zrezygnowałem natomiast z pierwotnego tytułu tego rozdziału, który brzmiał „Kobiety mojego życia". Uznałem, że byłoby to deprecjonowaniem ich znaczenia. A ponadto jakie mam prawo nazywać drugiego człowieka „moim"? Byłoby to traktowanie go jako swojej własności. Tak więc zmieniłem tytuł na bardziej właściwy „Kobiety w moim życiu", co pozwoli uwypuklić ich rolę.

Na początku parę uwag ogólnych. Zostałem wychowany w duchu szacunku dla kobiet. Mój ojciec do śmierci całował wszystkie kobiety w rękę, bez względu na ich wiek. Tak więc na starość wyrażał swój szacunek dla każdej kobiety, nawet tak młodej, że mogła być jego wnuczką. Pamiętam, że w dzieciństwie śmieszyło mnie, kiedy ojciec przy powitaniu lub pożegnaniu całował w rękę wszystkie kobiety, wycierając przedtem starannie usta chusteczką. Dzisiaj wspominam to jak piękny, choć staroświecki gest. Ja przyjąłem zachodni „obyczaj" i całkowicie zrezygnowałem z całowania kobiet w rękę.

Pozostawiłem jednak wszystkie inne formy okazywania kobietom szacunku. Zawsze przepuszczam je przed sobą, a idąc, zajmuję miejsce po jej lewej stronie. Nigdy nie zdarzyło się, abym siedząc, rozmawiał ze stojącą kobietą. Co, niestety, obecnie jest nagminne. No i wreszcie tak istotny według mnie zwyczaj podawania kobietom wierzchniego okrycia. Szkoda, że obserwuję jego zanikanie.

Wydaje mi się, że tzw. równouprawnienie kobiet, o którym tyle się mówi (a o wiele mniej robi) – nie powinno w niczym uszczuplać naszego szacunku dla kobiet.

Druga uwaga dotyczy roli kobiet w historii. Należy pamiętać, że od tysięcy lat panuje na ziemi patriarchat. Podobno – jak twierdzą naukowcy – przedtem był matriarchat. Jego resztki przetrwały w nielicznych, tzw. prymitywnych, odosobnionych grupach plemiennych. Zostawiając te rozważania na boku, trzeba stwierdzić, że w czasach historycznych rządzili i nadal rządzą mężczyźni. Czy to dobrze czy źle – zdania uczonych są podzielone. Pomimo jednak tej męskiej dominacji wyrażającej się m.in. w tworzeniu mitów i pisaniu kronik, raz po raz znajdujemy w przeszłości podkreślenie roli kobiety. Nawet u wyjątkowo myzogenicznych autorów Starego Testamentu. Ale ta rola jest na ogół negatywna. Wystarczy przykład Ewy,

przez którą utraciliśmy mityczny raj. W innych kulturach było niewiele lepiej. To przez Helenę zginęła Troja, jak napisał Homer.

A w czasach historycznych te złowrogie działania kobiet również opisywali mężczyźni. Według nich spowodowały one więcej złego niż dobrego. Kleopatra, Liwia, Messalina, Poppea były nieomal demonami w ludzkiej skórze. A potem w nowszych czasach osławiona Lukrecja Borgia i nie mniej sławne panie na francuskim dworze: Pompadour, Du Barry, Maintenon. Nie lepsze były według historyków małżonki królów: Katarzyna Medycejska albo „nasza" Bona Sforza.

Przerywam te wywody mające udowodnić, że fatalna opinia o kobietach to nic innego, jak przejaw męskich kompleksów. To zemsta za to, że kobiety są od mężczyzn piękniejsze, wytrzymalsze, inteligentniejsze i – jak napisał pewien angielski biolog – stanowią wyższą formę w rozwoju ssaka zwanego homo sapiens sapiens.

Wracam teraz do tematu tego rozdziału, tzn. do kobiet, które odegrały taką czy inną rolę w moim życiu.

Żony

O pierwszej żonie, Pelagii, napisałem dużo i myślę, że narysowałem jej sylwetkę wystarczająco wyraźnie. Fakt, że nasze małżeństwo było nieudane wynikał z jednej podstawowej przyczyny: zbyt wiele nas różniło. Po prostu byliśmy całkowicie niedobrani. I dlatego nie warto roztrząsać, kto z nas dwojga ponosił większą winę.

Drugą żonę, Bożennę, również często wymieniałem w tej książce. Była osobą zrównoważoną i – aby użyć określenia Kotarbińskiego – spolegliwą. A ponadto wyrozumiałą, tolerancyjną i gotową do daleko idących kompromisów. Zawdzięczam jej kilkanaście lat spokojnego, domowego współżycia. Zostawiłem ją pomimo tych zalet z prostej przyczyny: zakochałem się w innej kobiecie. Rozwód otrzymałem bez żadnych przeszkód. Rozprawa nie trwała nawet 10 minut!

O trzeciej, obecnej żonie nie odważę się pisać, ponieważ nadal jesteśmy razem. Po prostu nie wypada. A ponadto nie czuję się uprawniony do oceniania osoby, z którą – jak to się dawniej mówiło – dzielę stół i łoże. Z uwagi na dzielącą nas znaczną różnicę wieku, gdyż aż 34 lata, wiele osób głośno, oczywiście za naszymi plecami, przepowiadało rychły rozpad takiego małżeństwa. Dochodziły do mnie głosy, że na pewno rozwiedziemy się w ciągu 2-3 lat, a teraz, kiedy piszę te słowa, małżeństwo trwa już niemal 27 lat!

Wstrzymując się od jakiejkolwiek oceny Małgorzaty, muszę jednak z całą pewnością stwierdzić, że to dzięki niej przetrwałem okres moich operacji, które nazwałem Wielkim Przełomem. Więcej – może to właśnie jej zawdzięczam, że w ogóle przeżyłem.

Te inne...

Chciałbym tutaj wyjaśnić, że pisząc o „kobietach w moim życiu", wyłączyłem oczywiście matkę, siostry oraz wszystkie te znajome panie, z którymi nie łączył mnie jakikolwiek intymny związek. Tak więc nie będę również pisał np. o pani Komorowskiej, której tak wiele zawdzięczałem na samym początku mojej pracy dyrygenckiej. Albo o pani Jadwidze Mierzejewskiej, z którą współpracowałem trzy lata w „Skolimowie", a która

w znacznej mierze poszerzyła moją wiedzę o sztuce choreograficznej, folklorze i kierowaniu zespołami artystycznymi. W rozdziale tym nie będę również pisał o licznych kobietach w orkiestrach czy biurach, z którymi nieraz ponad dwadzieścia lat spotykałem się niemal codziennie. Zajęłoby zbyt wiele miejsca samo tylko wymienianie ich imion i nazwisk. Niech mi wybaczą, że nie znajdą się w tej książce, ale zapewniam, że przechowuję je we wdzięcznej pamięci. Jeśli nawet nie wszystkie, to z pewnością większość z nich.

Jako – pochlebiam sobie – mężczyzna kulturalny (dawniej mówiło się – gentleman), nie przytoczę żadnego imienia ani nazwiska tych kobiet, którym zawdzięczam piękne wspomnienia. Nie użyję nawet inicjałów. Jest to tym ważniejsze, że zapewne część z nich już nie żyje.

W rozdziale opisującym pierwsze lata po powrocie do Polski, użyłem w stosunku do siebie potocznego określenia „kochliwy". Właściwsze byłoby słowo „pobudliwy" i to w dwojakim sensie: emocjonalnym i seksualnym. Była to cecha niekorzystna, o czym się parokrotnie przekonałem. Przyznaję dzisiaj bez skruchy, że podobała mi się większość kobiet, z którymi się spotykałem, a tym bardziej pracowałem. A określenie „podobała mi się" oznaczało, że chętnie – jak to się mówi – poszedłbym z nią do łóżka. Piszę o tym otwarcie, ponieważ nie uważam takiego stosunku do kobiet za coś niewłaściwego. Przeciwnie, przypuszczam, że wielu z nich bardzo takie pożądanie by pochlebiło. Co wcale nie świadczy o tym, że chciałyby je zaspokoić.

Pamiętam dobrze, że parę solistek wywołało u mnie takie erotyczna pobudzenie tylko dlatego, że dobrze grały lub śpiewały. A przecież niektóre z nich nie były wcale ładne. Wystarczyło muzyczne zauroczenie, które od razu przekładało się w emocjonalno - erotyczne podniecenie. Ale oczywiście nie złożyłem tym solistkom jakiejkolwiek propozycji. Byłem na to zbyt nieśmiały, zwłaszcza w młodości.

Tutaj mała dygresja. Jako zupełnie młody człowiek, czułem – co dobrze pamiętam – onieśmielenie wobec rówieśnic. Przyczyną była świadomość mojej małej atrakcyjności fizycznej. Zdawałem sobie sprawę ze swojej chudej, pozbawionej muskułów sylwetki i zbyt długiego nosa. Trudno było uznać mnie za przystojnego mężczyznę. Aby nadrobić te braki, nauczyłem się tańczyć i koleżanki lubiły ze mną „hasać" po parkiecie. Mając łatwość mówienia i dobrą pamięć, potrafiłem lepiej niż inni opowiadać dowcipy. Tak więc, pomimo wszystko byłem pożądany w towarzystwie. Niestety jednak nie udało mi się pokonać do końca nieśmiałości. A ponieważ „ciągnęło" mnie do kobiet, na rozmaitych spotkaniach, wieczorkach, „potańcówkach", ogniskach dodawałem sobie animuszu alkoholem. Tak mnie ośmielał, że raz po raz proponowałem koleżankom wypicie kolejnego „Bruderschaftu", gdyż była to okazja do pocałunku. Nie przyszłoby mi nawet do głowy, że mógłbym po prostu pocałować siedzącą obok mnie albo tańczącą ze mną dziewczynę. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, jak komiczny mogłem się wtedy wydawać.

I tak dotrwałem w „dziewictwie" do stycznia 1947 roku. Dopiero na zimowym obozie w Karpaczu starsza i zapewne doświadczona koleżanka wykazała inicjatywę i pozbawiła mnie „cnoty". I zapewne dlatego została potem moją żoną, której – pomimo wielu okazji - byłem „wierny" ponad pięć lat. Z perspektywy sześćdziesięciu lat wydaje mi się jakbym opowiadał stary, dawno oglądany film. I to pozwala na zachowanie dystansu oraz szczerości wypowiedzi.

Wielu z moich znajomych mężczyzn, w tym paru kolegów dyrygentów w tzw. męskich rozmowach opowiadało o swoich licznych kontaktach z kobietami. W biografiach sławnych artystów wymienia się ich „podboje" liczone w setkach. Przyznaję, że nie mógłbym się

w żaden sposób z nimi porównywać. Czego zresztą szczerze żałuję. A o tym, czy byłem dobrym kochankiem, nie wypada po prostu pisać.

Jestem wdzięczny kobietom, gdyż dzięki nim przeżyłem niezapomniane chwile. Natomiast nie potrafię dzisiaj powiedzieć czy czułem do nich tylko pożądanie czy może także inne jeszcze uczucie. Nie odważam się użyć słowa „miłość". To jedno z najpotężniejszych uczuć, a na pewno najpiękniejsze – od tysięcy lat inspiruje genialnych pisarzy. Zajmują się nim także filozofowie i psychologowie. Ale – jak sądzę – nadal nie znamy jego natury. Nie potrafimy z całą pewnością określić czym jest miłość i jak się przejawia. Czy to, co czujemy do drugiej osoby, jest już miłością czy jeszcze nie? Jak oddzielić lubienie od kochania? Czy miłość ma coś wspólnego z przyjaźnią, zaufaniem, potrzebą bliskości, oddaniem itd.? Przyznaję, że na te pytania nie potrafię odpowiedzieć. A może w ogóle nie warto? Miłość albo jest, albo jej nie ma. I w dodatku nie poddaje się żadnej racjonalnej analizie. Wiadomo, że drugiej osoby nie kocha się „za coś". Po prostu się kocha.

Widzę, że ten rozdział roi się od dygresji. Ale temat jest tak trudny do przedstawienia i tak skomplikowany, że nawet wbrew własnym chęciom „uciekam" od niego. Bo jak opisać pewną naprawdę urodziwą panią, nieco starszą ode mnie, która zaprosiła mnie do swego mieszkania i pomimo aluzji, a nawet drobnych prowokacji nie skłoniła mnie do podjęcia inicjatywy. „Zdesperowana" wyciągnęła z szuflady piżamę, wręczyła mi i ze słowami „przebierz się", wyszła z pokoju. A niebawem wróciła w szlafroku i tak zaczęło się to, co ludzie nazywają romansem. Kiedy podjąłem pracę w Poznaniu, przyjeżdżała do mnie na jedną noc i – co wyznaję ze wstydem – uczyła zachowania w łóżku. A miałem wtedy 23-24 lata. Już na drugim spotkaniu powiedziała z żalem:

- Zachowujesz się jak żołdak w zdobytym mieście.

Kiedyś na spotkaniu w Warszawie przyznała, że pisze o mnie wiersze. Ale nie chciała ich pokazać. Czy je opublikowała – nie wiem. Zawdzięczam jej piękne chwile i naprawdę głębokie wzruszenia. Nigdy jej nie zapomnę.

Moja młodzieńcza nieśmiałość wobec kobiet była przyczyną wielu straconych okazji. Jeżeli nie miałem wyraźnej zachęty, nie próbowałem nawet nawiązywać kontaktu, nie mówiąc już o składaniu propozycji. Z wiekiem nabrałem pewnej śmiałości, ale w nader ograniczonym zakresie. Nie robiłem dotąd takiego podsumowania, ale przypuszczam, że co najmniej połowa moich intymnych kontaktów z kobietami odbyła się z ich inicjatywy. I to całkiem niedwuznacznie okazywanej, tak jak to dopiero co opisałem.

A na marginesie chcę zaznaczyć, że w podobny sposób postępowałem w życiu zawodowym. Pamiętam, że z podróży dookoła świata wróciłem zachwycony Holandią, panującym tam porządkiem, czystością, dobrobytem i zamiłowaniem do kwiatów. Powiedziałem Wandzi, że chętnie bym tam pracował. A ona zadała proste pytanie:

- Czy Holendrzy wiedzą o tym?

Z lekka zdziwiony odpowiedziałem przecząco.

- To może byś przynajmniej napisał ofertę do jakiejś orkiestry lub agencji.

Istotnie, nigdy nie wysłałem żadnej oferty. A przecież tak postępują artyści na całym świecie. Albo sami, albo za pośrednictwem impresariów. Ale ja bałem się wysyłać jakąkolwiek propozycję, aby nie otrzymać odpowiedzi odmownej. Potwierdziłaby przecież moje wątpliwości czy jestem przyzwoitym dyrygentem. Zdaję sobie sprawę, że moja postawa byłą i głupia, i tchórzliwa, ale traktuję tę autobiografię jako pierwszą i ostatnią w życiu publiczną spowiedź.

Dokładnie tak samo postępowałem w kontaktach z kobietami. Nie składałem wyraźnych propozycji, gdyż bałem się odmowy. Potwierdziłaby przecież moją niską ocenę siebie jako mężczyzny. Głupie? Oczywiście. Ale taka była prawda.

A oto przykład zmarnowanej okazji. W łódzkiej PWSM była dziewczyna uważana za jedną z najładniejszych studentek. Miała wyjątkowe powodzenie; zawsze otaczała ją grupka mężczyzn. Mnie również podobała się, ale nie miałem odwagi konkurować z innymi kolegami. Nie próbowałem nawet zwrócić na siebie jej uwagi, nie mówiąc już o jakiejkolwiek formie tzw. uwodzenia. Pamiętam dobrze, że w ogóle nie potrafiłem flirtować. Mogłem rozmawiać na różne tematy czy opowiadać dowcipy, ale nie zdarzyło się, abym prawił komplementy, plótł jakieś androny i zachowywał się jak tokujący samiec.

Wracam do mojej naprawdę ślicznej koleżanki. Być może darzyłem ją nawet głębszym uczuciem. Czy była to miłość – trudno dzisiaj powiedzieć. Patrząc na nią uświadomiłem sobie jednak z przykrością swój brak męskiej atrakcyjności. Byłem przekonany, że nie mam żadnych szans, aby pozyskać zainteresowanie tak urodziwej i otoczonej wielbicielami dziewczyny, a tym bardziej zdobyć wzajemne uczucie. I tak to trwało przez trzy lata studiów w tej samej uczelni. Potem wyjechałem do Warszawy i przestaliśmy się w ogóle widywać. Później jeszcze dowiedziałem się, że została solistką Opery Poznańskiej. Minęło ponad dwadzieścia lat i zupełnie przypadkiem spotkaliśmy się w Świnoujściu. Odważyłem się wówczas powiedzieć jej o swoim młodzieńczym uczuciu i o braku śmiałości, aby je okazać. Uśmiechnęła się wówczas smutno i powiedziała:

- A wiesz, że podobałeś mi się bardziej niż wszyscy inni koledzy? Cieszyłam się na każde przypadkowe spotkanie w szkole. I martwiłam się, że nie zwracasz na mnie uwagi. Byłam pewna, że ci się nie podobałam.

Przyznaję, że byłem wstrząśnięty tym wyznaniem. I przeklinałem swoją głupotę i tchórzostwo. Kto wie, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym wówczas w Łodzi zdobył się na dowagę? Żal mi do dzisiaj zmarnowanego uczucia, nieporównywalnie bardziej niż wszystkich innych niewykorzystanych okazji. Niezależnie od tego jak dużo ich było.

W roku 1964 pojechałem na Kubę. Mówiono mi w ministerstwie, że byłem pierwszym dyrygentem polskim, który pojawił się w tym kraju po rewolucji. Po koncercie przyszła do mnie młodziutka, śliczna Mulatka, grająca w orkiestrze na perkusji. Znała trochę język niemiecki, gdyż przez rok była na stypendium w NRD. Pamiętam dobrze, że wpatrywała się we mnie tzw. cielęcym wzrokiem. Przy aprobacie tłumacza, który mi towarzyszył bez przerwy (może był agentem służb specjalnych?) umówiłem się z nią na następny dzień. I tak zaczęła się znajomość. Zapraszałem ją na obiady w hotelowej restauracji oraz na wycieczki samochodem, który wraz z kierowcą miałem do dyspozycji przez całe dwa tygodnie pobytu na Kubie.

Pewnego dnia, korzystając z chwilowej nieobecności tłumacza, Mulatka powiedziała swoją łamaną niemczyzną, że przyjdzie do mnie do pokoju. Kiedy wyraziłem swoje niedowierzanie, uspokoiła mnie, że wie, jak to zrobić. Tutaj istotna informacja. W socjalistycznej Kubie przestrzegano rygorystycznie socjalistycznej moralności. Do windy nie wpuszczano nikogo poza gośćmi hotelowymi, a drzwi prowadzące z holu na klatkę schodową były zawsze zamknięte. Podobnie było w ZSRR. W krajach tzw. obozu socjalistycznego zakaz przyjmowania obcych osób w pokojach hotelowych dotyczył tylko godzin nocnych.

Po obiedzie rozstałem się z Mulatką w ogromnym holu hotelowym, w którym było miejsce na wielką palmę i piękną ruchomą rzeźbę zwaną mobilem Aleksandra Caldera. Wsiadłem do windy i pojechałem – co pamiętam dokładnie – do swojego pokoju na osiemnastym

piętrze. Nie minęło 10-15 minut, kiedy zjawiła się Mulatka. Wyjaśniła, że na dwudziestym piętrze znajdują się dwa solaria, osobne dla kobiet i mężczyzn. Te solaria są dostępne dla mieszkańców Hawany. Po opłaceniu biletu wstępu, wsiadało się do specjalnej windy, która jechała tylko na dwudzieste piętro. A stamtąd dziewczyna zeszła niepostrzeżenie schodami w dół. Powrót był równie łatwy. Wystarczyło wejść schodami na dwudzieste piętro, trochę się poopalać w solarium i zjechać tą samą specjalną windą na dół do holu. Tak więc dzięki kobiecej przebiegłości, przeżyłem piękną przygodę.

Przed odejściem „moja" śliczna Mulatka zaproponowała, że następnego dnia po próbie i obiedzie możemy pójść razem do swimming-poolu, czyli hotelowego basenu, otoczonego zamykanymi małymi kabinami. Był dostępny dla mieszkańców Hawany, pod warunkiem, że dysponowali kwotą 10 pesos czyli 10 dolarów. Był to całkowicie fikcyjny kurs wprowadzony przez kubańskie władze. Ale bardzo dla nich korzystny we wszelkich zagranicznych rozliczeniach. Za 10 pesos kupowało się bilet do swimming-poolu wraz z całodziennym wynajęciem kabiny. Oczywiście przyjąłem propozycję Mulatki z ochotą i prosto z obiadu poszliśmy na basen. Kabina była malutka i składała się z quasi pokoju i wnęki z prysznicem. (Ponieważ basen napełniany był wodą morską, po kąpieli należało spłukać się pod zwykłą bieżącą wodą). Wyposażenie kabiny składało się z drewnianych leżaków, stolika, dwóch krzeseł, plus dwa świeże, duże ręczniki kąpielowe. Ale najważniejsze, że kabinę można było zamykać.

Ta kubańska przygoda miała swoje komiczne zakończenie w Polsce. Zaraz po powrocie, w „Pagarcie" czekała na mnie radiowa dziennikarka, aby nagrać długi wywiad. Opowiadałem o podróży, pracy z orkiestrą, urokach egzotycznego kraju i wspomniałem o urodzie i temperamencie kubańskich dziewcząt. Opiewanych zresztą już od XIX wieku. Parę miesięcy później byłem znowu w „Pagarcie" w związku z jakimś innym wyjazdem zagranicznym i spotkałem na korytarzu Władysława Szpilmana. Na mój widok zakrzyknął na cały głos:

- Panie Józiu, oszukał mnie pan!

Wszyscy, łącznie ze mną, spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Słyszałem, jak pan opowiadał w radiu o urodzie i temperamencie Kubanek. No i co? W ogóle się z żadną nie mogłem spotkać.

Obecni wybuchnęli śmiechem, a Szpilman wyjaśnił, że był w Hawanie na koncercie z założonym przez siebie Warszawskim Kwintetem. Zachęcony moim wywiadem próbował umówić się z jakąś Kubanką w pokoju hotelowym, co okazało się całkowicie niemożliwe do zrealizowania. Po tej relacji spojrzałem na niego z „teatralną" wyższością i opowiedziałem o dwóch skutecznych sposobach, zastosowanych przez Mulatkę. W czasie mojego opowiadania słuchacze raz po raz wybuchali śmiechem, zaś Szpilman tylko tęsknie wzdychał. Na zakończenie doradziłem mu, aby na przyszłość zasięgał mojej rady w wiadomych sprawach. A on na to:

- Skąd mogłem wiedzieć, że z pana taki ekspert?

* * *

A oto zupełnie inna przygoda. Jak już pisałem, na jesieni 57 roku zacząłem pracę w Szczecinie. Wiosną 59 roku otrzymałem wezwanie do Wydziału Finansowego (nie było wtedy jeszcze – jak mi się zdaje – Urzędu Skarbowego). Tam przyjęła mnie pani zastępczyni naczelnika, zresztą młoda i ładna. Oświadczyła surowym głosem, że przekroczyłem w roku

58 górną granicę dozwolonych zarobków i grozi mi tzw. domiar. (Było to karne, bardzo wysokie, naliczenie podatkowe, przy pomocy którego niszczono zbyt dobrze prosperujące prywatne zakłady rzemieślnicze). Jak się okazało, miałem w 58 roku dużo koncertów i zarobiłem więcej pieniędzy niż kiedykolwiek. Nie przyszło mi jednak do głowy, że mogłem przekroczyć górną granicę dochodów. Wyjaśniłem to pani wicenaczelnik i wyraziłem gotowość zapłacenia kary. Surowa urzędniczka złagodniała i wyznaczyła mi kolejne spotkanie już na następny dzień. Miałem wówczas dowiedzieć się o wysokości domiaru. Kiedy przyszedłem, pani zastępczyni z uroczym, wyraźnie uwodzicielskim uśmiechem, powiadomiła mnie, że nic nie będę musiał zapłacić, ponieważ jako artysta mam prawo do tzw. kosztów uzyskania, zmniejszających o 50% mój wymiar podatkowy. Domyśliłem się, że od początku wiedziała o tym przepisie, chciała tylko nawiązać ze mną kontakt. I udało się. Spotkaliśmy się parę razy w Szczecinie, a potem przyjeżdżała także do mnie, kiedy mieszkałem w Świnoujściu, występując z orkiestrą w sezonie letnim na tzw. koncertach promenadowych.

* * *

O wiele dłużej trwała znajomość z pewną Czeszką, grającą w Filharmonii Szczecińskiej na harfie. Lubiłem dźwięk tego instrumentu, co w połączeniu z urodą dziewczyny i jej prowokacyjnym zachowaniem doprowadziło do bliższego poznania. Kiedy zorganizowałem orkiestrę kameralną, występowała z nią jako solistka.

Z inną, tym razem polską harfistką również spotykałem się przez dłuższy czas. (Czyżby „magia" instrumentu?) To była poważniejsza sprawa. To przez tą samą znajomość rozwiodłem się z drugą żoną. Romans zakończył się gwałtownym zerwaniem. Nie będę szerzej opisywał tej przygody, ponieważ kobieta będąca jej bohaterką, żyje i pracuje nadal w Polsce.

Tak samo nie mogę ze szczegółami zrelacjonować mojej znajomości z pewną moją uczennicą. Kiedy spotkałem ją po dziesięciu latach w Świnoujściu już jako mężatkę z dzieckiem, wyznała, że „podkochiwała się" we mnie jako kilkunastolatka. Po tej rozmowie spotykaliśmy się niemal codziennie (była na urlopie, a ja pracowałem z orkiestrą). Pewnego dnia niespodziewanie oświadczyła, że mnie kocha. Przyznaję, że byłem szczerze zmartwiony. Szkoda mi było tej kobiety i uczucia, które mi ofiarowała, a którego nie mogłem odwzajemnić. Potem przez wiele lat przyjeżdżała do różnych miast, w których miałem koncerty. Czasami na parę zaledwie godzin. W literaturze takie uczucie nazywa się beznadziejną miłością. Gdybym był pisarzem, powstałaby może druga „Pani Bovary". Niestety, nie miałem talentu Flauberta. Czy taka miłość pochlebiała mojej męskiej próżności? Podobną akcję opisał Balzac w „Królu cyganerii". Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że nie imponowała mi ta bezinteresowna miłość. Przeciwnie, próbowałem ją wybić dziewczynie z głowy. Na nic się to zdało. Pomimo że nie spotykamy się od wielu lat, często telefonuje i powtarza, że jestem nadal dla niej ideałem, wzorem, niemal wyrocznią. Zaiste temat do filmowego melodramatu. Miłość bez wzajemności trwająca czterdzieści lat…

* * *

Wspomnieć jeszcze powinienem o przypadkowych, jednorazowych znajomościach. Np. po koncertowym wykonaniu „Borysa Godunowa" przyszła do pokoju artystycznego

młodziutka chórzystka i z wzrokiem pełnym zachwytu zapytała czy może mnie odprowadzić. Zgodziłem się, aby jej zrobić przyjemność. A potem już ze mną została.

Podobna sytuacja miała miejsce w innym mieście po wykonaniu „Patetycznej". „Magia" muzyki czy dyrygenta, stojącego samotnie na podium i prowadzącego władczymi ruchami orkiestrę?

A w Wilhemlshaven skrzypaczka z orkiestry przyszła na godzinę przed koncertem do hotelu bez wcześniejszego umawiania się. Cóż było robić, nie mogłem przecież kazać jej opuścić pokoju.

Te przypadkowe spotkania przeważnie nie miały dalszego ciągu. Chyba tylko raz zdarzyło się, że jedno z nich przerodziło się w dłuższą, paromiesięczną znajomość. Za obopólnym przyzwoleniem.

Myślę, że dosyć już tych wyznań. Reasumując, mogę uczciwie zapewnić czytelnika, że nigdy nie molestowałem żadnej kobiety. Nie tyle z powodów moralnych ile ambicjonalnych. Byłoby poniżej mojej godności zmuszanie kogokolwiek do uległości. To ja czułbym się upokorzony, że muszę używać przemocy w takiej czy innej formie. Powtarzam, patrząc teraz wstecz, że większość znajomości była na pewno zainicjowana przez kobiety. Co – przyznaję – sprawiało mi wielką satysfakcję.

Tak więc mogę raz jeszcze stwierdzić, że kobiety odegrały znaczącą rolę w moim życiu. Chcąc im zaimponować, zdobywałem się na większą aktywność zawodową. I starałem się jak najlepiej dyrygować. Zdarzyło się nawet parę razy, że specjalnie dla nich komponowałem utwory. A przede wszystkim dzięki kobietom moje życie było piękniejsze i bogatsze. Chcę im teraz, przy końcu życia, złożyć wyrazy wdzięczności. Niech ten ostatni rozdział mojej biografii będzie rodzajem hołdu, na jaki – mówiąc nieco żartobliwie – mogę się w moim wieku jeszcze zdobyć.

Mam również nadzieję, że moja obecna żona wybaczy mi te wspomnienia o wszystkich innych kobietach. Zwłaszcza, że jako jedyna pozostała na „placu boju".

Marzec 2007

Jubileusz Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu,
27 listopada 2003 r.

Rok 1982, Wałbrzych

Z matką, żoną i córką w Warszawie, listopad 1984 r.

Próby przed finałowym koncertem
Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego w Gorycji,
Włochy, 1991 r.

Podczas koncertów we Francji.
Z członkami Chóru Politechniki Wrocławskiej
w Normandii, wrzesień 1994 r.

Pierwszy wyjazd orkiestry symfonicznej
Filharmonii Sudeckiej na Zachód, rok 1986.
Przejazd przez Alpy z Włoch do Francji

15-lecie Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu,
26 listopada 1993 r.

Wanda Wiłkomirska w Wałbrzychu, 1999 r.

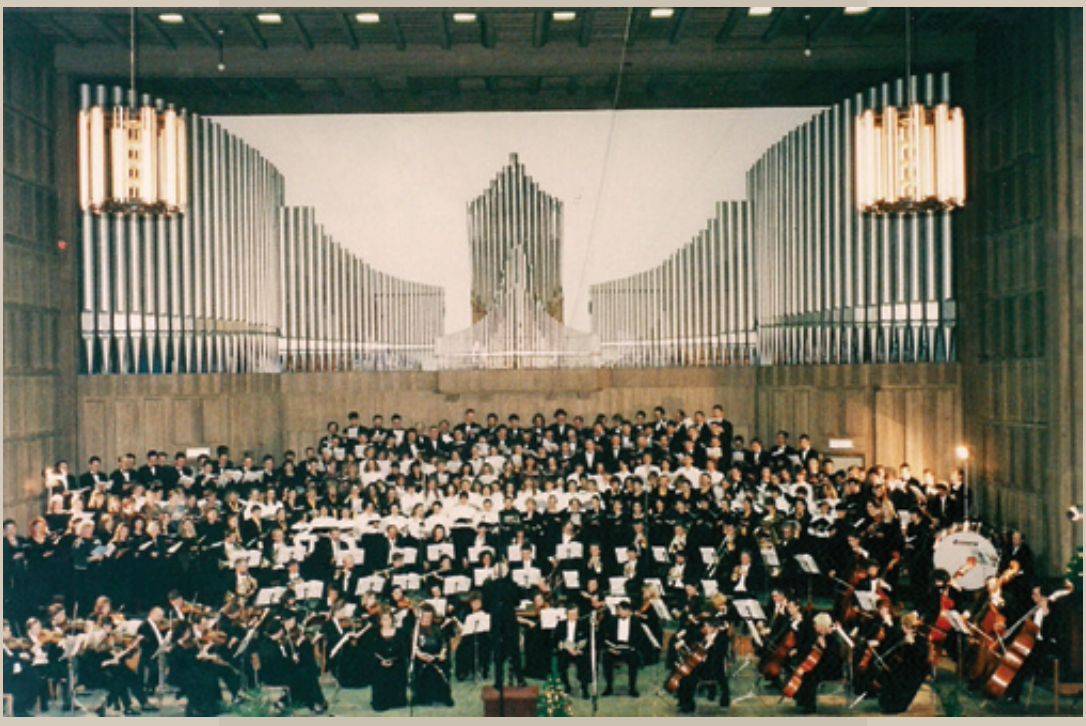

G. Verdi - Requiem,
koncert w Studio PR we Wrocławiu -
połączone chóry akademickie
i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Sudeckiej,
10 grudnia 1995 r.

Koncert Orkiestry Kameralnej Filharmonii Sudeckiej,
Lubiąż 1998 r.

Koncert Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Sudeckiej
w Montpezac, Francja, sierpień 2000 r.

Pamiętny koncert w kościele Saint-Germain des Prés,
Paryż, sierpień 2000 r.
W programie:
Bach - Koncert na dwoje skrzypiec
Beethoven - IX symfonia

Próba przed koncertem w Chomerac, Francja,
sierpień 2000 r.

Próba przed koncertem z Konstantym Andrzejem Kulką,
Żary, kwiecień 2003 r.

Prelekcja przed koncertem z okazji 750-lecia Żmigrodu,
maj 2003 r.

Próba przed koncertem IX symfonii w Kościele Pokoju
w Jaworze, maj 2004 r.

JUBILEUSZE

Z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu,
uroczysty koncert
z okazji Jej 15-lecia, 1993 r.

Koncert jubileuszowy
25-lecia Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu,
2003 r.

Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski
wręcza wojewoda wałbrzyski Bolesław Marciniszyn,
27 listopada 1998 r.

Wojewoda dolnośląski Janusz Zaleski
wręcza nagrodę w dziedzinie kultury

Kampania wyborcza do Sejmu RP, 2001 r.

Prezydenci:
Rotary Club z Niemiec i Rotary Club Świdnica-Wałbrzych,
Świdnica 2000 r.

DOLNOŚLĄSKI
KLUCZ SUKCESU
DOLNOŚLĄSKI KLUCZ SUKCESU
LAUREAT
JÓZEF WIŁKOMIRSKI
Dyrektor Naczelny i Artystyczny
Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu
wyróżnienie specjalne
za szczególne osiągnięcia w krzewieniu
kultury muzycznej
Czerwiec 2003

TRZY PANIE WIŁKOMIRSKIE

Od prawej: Małgorzata - żona, Wanda - siostra i Wiosna - córka,
8 stycznia 1999 r.

W DOMU

Z żoną i córką, 1996 r.

Z córką Wiosną i pieskiem, 2001 r.

Po koncercie w Kaliszu, 1994 r.

Wydane przy wsparciu Biura Promocji Miasta
Urzędu Miejskiego
w Wałbrzychu

Wydanie współfinansowane w ramach otwartego konkursu ofert na realizację zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki w 2009 roku na terenie miasta Wałbrzycha i dla jego mieszkańców.

WAŁBRZYCH

Powiat Wałbrzyski

Szczawno - Zdrój

ZAMEK KSIĄŻ
Przedsiębiorstwo Zamek Książ Sp. z o.o.

Jan Bosek
Henryk Gołębiewski
Aleksandra i Jerzy Ignaszakowie
Agnieszka Kołacz Kołacz - Leszczyńska
Piotr Kruczkowski
Maria i Leszek Solarkowie

Bardzo dziękujemy za pomoc

Od wydawcy

Cieszymy się, że możemy oddać w Państwa ręce książkę „Lata 1926 – 2006. Wspomnienia nie tylko muzyczne" Józefa Wiłkomirskiego, znanego człowieka kultury. Jego dokonania w tej dziedzinie - a głównie na rzecz rozwoju życia muzycznego w kraju, na Dolnym Śląsku i w Wałbrzychu – zyskały trwałe miejsce. Wspomnienia pełne są faktów, znanych nazwisk oraz istotnych wydarzeń, których Autor był uczestnikiem lub świadkiem. To bogata historia naszego kraju, regionu i miasta związana z muzyką i szerzej – z kulturą, ale także z życiem społecznym i politycznym.

Józef Wiłkomirski napisał o osiemdziesięciu latach swojego życia, tak jak je zapamiętał, o wrażeniach i odczuciach jakie pozostawiło bogactwo zdarzeń na przestrzeni tego czasu. Być może niektóre sformułowania zawarte w Jego autobiografii mogą wydawać się kontrowersyjne. Jest to jednak kwestia subiektywizmu piszącego i Jego odpowiedzialności za słowo.
Wydawca przyjął zasadę nieingerownia w treść wspomnień.

Wydanie tak obszernej pozycji było dla Stowarzyszenia Inteligencji Twórczej niemałym wyzwaniem, w dużej mierze ze względów finansowych, ale także wynikającym z konieczności dotrzymania napiętych terminów warunkujących uzyskanie wsparcia finansowego.

Dlatego jesteśmy bardzo wdzięczni wszystkim, którzy pomogli nam w realizacji tego przedsięwzięcia wydawniczego. Dziękujemy instytucjom, firmom i osobom prywatnym za pomoc finansową, za dobre rady, życzliwość i zainteresowanie. Bez ich pomocy wydanie autobiografii Józefa Wiłkomirskiego nie byłoby możliwe.

Obok wyszczególniamy tych, którzy udzielili nam wsparcia. Niech stanie się to formą naszego podziękowania oraz trwałym świadectwem ich zrozumienia i otwartości na potrzeby kultury, jej twórców oraz znaczenia promocji w tej dziedzinie.

Wydawca - Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej
prezes Elżbieta Maria Kokowska

SPIS TREŚCI

Rozdział XXIII – Szczecin (I) 5
Pierwsze kroki 6
Sprawy osobiste 8
Operetka 10
Pierwszy zatarg 12
Koncert w Schwerinie 14
Następne lata 15
Sprawy domowe 17

Rozdział XXIV – Szczecin (II) 20
Podróż do Izraela 20
Powrotna podróż 23
Koncerty w NRD 24
Pierwsze koncerty na Zachodzie 26
Filharmonia Narodowa 28
Szkolnictwo muzyczne 30
Lektury 32
Nowele 34

Rozdział XXV – Szczecin (III) 37
Artykuły 37
Kompozycje 39
Kontakty z „Bezpieką” 41
PZPR 44
Festiwal w Lucernie – Karajan 46
Festiwal w Lucernie – Rubinstein 49
Koncert w Wilhelmshaven 50

Rozdział XXVI – Szczecin (IV) 54
Kuba - dziwny kraj 54
Kuba – Hemingway 56
Rumunia – Jugosławia 59
Lata 1964 – 1968 62
Sprawa żydowska 65
Festiwal w Sztokholmie 67
Przemówienie Gomółki 69

Rozdział XXVII – Szczecin (V) 71
WUML 71
ZSRR 73
Dublin 76
Grudzień 70 78
Stela 70 81

Rozdział XXVIII – Szczecin (VI) 84
Dwa zebrania 84
Dalszy ciąg 86
Moje dzienniki 89
Przed podróżą 91

Rozdział XXIX – Podróż dookoła świata 94
Pierwsze trzy dni 94
Pierwsze porty 96
Przez dwa oceany 98
Singapur 100
Od Hong - Kongu do Kobe 103
Japonia 104
Powrót do Europy 107

Rozdział XXX – Lata 1973 – 1977 110
Wydarzenia polityczne 110
Różne zajęcia 112
Opera 113
Doktorat 116
Zaskakująca propozycja 118
Rozmowa w KW 122
Dalsze rozmowy 123

Rozdział XXXI – Wałbrzych – Szkoła Muzyczna 127
Propozycja 127
Pierwsze działania 129
Jako nauczyciel 130
Koniec pracy w Szkole Muzycznej 132
Religioznawstwo 133
Inne prace pedagogiczne 136

Rozdział XXXII – Wałbrzych 1978 – 80 139
Monografie 139
Pierwsze półrocze 78 140
Koncerty w Czechosłowacji 143
Inauguracja 145
Co dalej 148

Rozdział XXXIII – Pamiętne lata 1980/ 81 152
Powstanie „Solidarności” 152
Koncerty w Olsztynie 154
Ostatnie miesiące 80 roku 156
Pierwsze miesiące roku 1981 158
Refleksje 160
Przed stanem wojennym 162

Rozdział XXXIV – Przełom 81/ 82 166
Stan wojenny – wprowadzenie 166
Próby normalizacji 168
Historia mojej sekretarki 170
Różne spotkania 172
Urodzenie Wiosny 174
Spotkania z Mietkiem 176
Stan wojenny – zniesienie 177

Rozdział XXXV – Lata kryzysu 180
1983-1985 180
Sprawy osobiste 183
Kontakty z S.B 186
Kłopoty z cenzurą 188
Koniec „Wspomnień” 189
Ratowanie kultury 191

Rozdział XXXVI – Ostatnie lata PRR 195
Inflacja 195
Wyjazd do Włoch 197
Koncerty we Włoszech 198
Pokłosie wyjazdu 201
Sprawy rodzinno – zawodowe 203
Wydarzenia polityczne 206

Rozdział XXXVII – Pierwsze lata RP 209
Przemiany 209
Transformacja 211
Byłem radnym 213
Rok 1993 216
Koncert w Paryżu 218
Następne koncerty 220

Rozdział XXXVIII – Przed Wielką Zmianą 223

Lata 94 – 96 224
Baśnie muzyczne 226
Publicystyka 227
„Bez cenzury” 230
Różne sprawy 232

Rozdział XXXIX – Lata 98 – 99 235
Pierwsza operacja 235
„Rozróba” 237
Jubileusz XX - lecia 240
Druga operacja 241

Koszmarne miesiące 243
„Sępy” 246

Rozdział XL – Nowe stulecie 249
Rok 2000 249
Moje kandydowanie 252
Ostatnia próba 253
Jubileusz XXV - lecia 255
Odejście 256

Zakończenie 259

Karykatury 263

Dodatek
Rozdział XLI – Wielcy twórcy 271
Literatura 271
Muzyka 273
Sztuki plastyczne 274
Uczeni 277

Rozdział XLII – Artyści 279
Dyrygenci 280
Walerian Bierdiajew 280
Zdzisław Górzyński 283
Witold Rowicki 284
Karajan i inni 286
Soliści 287

Rozdział XLIII – Anegdoty i powiedzonka 290

Rozdział XLIV – Dygnitarze 301
Ministrowie 301
Sekretarze, wojewodowie i inni 306

Rozdział XLV – Recenzenci 309
... i muzykolodzy 312
... oraz prelegenci 313

Rozdział XLVI – Silva rerum 315

Rozdział XLVII – Kobiety w moim życiu 323
Żony 324
Te inne 324

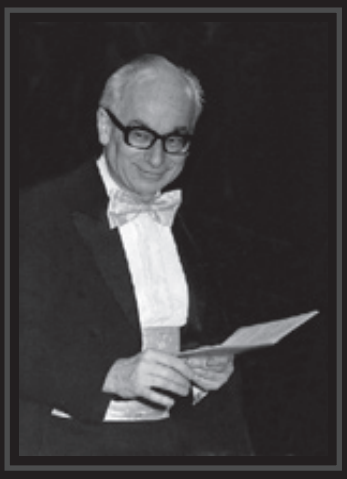

Józef Wiłkomirski - dyrygent, kompozytor, wiolonczelista, popularyzator kultury, pisarz i publicysta. Jego nazwisko znajduje się w wielu encyklopediach i wydawnictwach Who is Who na świecie.

Urodził się 15 maja 1926 r. w Kaliszu, w rodzinie z bogatymi tradycjami muzycznymi. Jego ojciec, Alfred wykładał w konserwatorium w: Warszawie, Łodzi, Lublinie. Maria i Kazimierz, przyrodnie rodzeństwo, byli znanymi muzykami i aktywnymi uczestnikami życia muzycznego w Polsce. Siostra, Wanda, jako skrzypaczka zyskała międzynarodową sławę.

Józef Wiłkomirski - żołnierz Armii Krajowej walczył w Powstaniu Warszawskim w 1944 r. W ciągu kolejnych lat powojennych pozostawał aktywnym uczestnikiem życia kulturalnego i społecznego, świadkiem i bacznym obserwatorem najważniejszych wydarzeń w powojennej Polsce. Jest m.in. współzałożycielem Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, które funkcjonuje do dziś.

Po wojnie studiował grę na wiolonczeli oraz dyrygenturę w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi, potem w Warszawie. Uczelnię warszawską ukończył w 1950 r. Od 1946 r. był wiolonczelistą w orkiestrze Państwowej Filharmonii w Łodzi i orkiestrze Opery Warszawskiej. Był dyrygentem orkiestry w Państwowej Filharmonii w Krakowie (1950-51), Państwowej Filharmonii w Poznaniu (1954-57). W latach 1957-71 zajmował stanowisko dyrektora i kierownika artystycznego Państwowej Filharmonii w Szczecinie. W 1978 r. odbył się koncert inaugurujący działalność Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu, której Józef Wiłkomirski był założycielem i pozostawał jej dyrektorem naczelnym i artystycznym do września 2005 r.

Autor wspomnień dyrygował orkiestrami na ponad tysiąc sześciuset koncertach w dwudziestu sześciu krajach Europy, Azji i Ameryki. Komponuje od 1968 r. i jego utwory wykonywane były w czternastu krajach europejskich, amerykańskich i azjatyckich. Jest mu bardzo bliska edukacja muzyczna dzieci i młodzieży. Do najmłodszego odbiorcy skierował setki kompozycji, również baśni muzycznych, które zaopatrywał także we własne teksty. Zajmował się popularyzacją muzyki w radiu i telewizji, przygotowując ok. czterysta audycji. Ma dorobek dziennikarski - ponad trzysta artykułów i felietonów na tematy nie tylko muzyczne.

Uhonorowany m.in.: Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (1998), Orderem Sztandaru Pracy I klasy (1986), Krzyżem Powstańczym (1985), Krzyżem Armii Krajowej (1995), Medalem Komisji Edukacji Narodowej (1984), Złotym Medalem „Gloria Artis" (2008), Dolnośląskim Kluczem Sukcesu (2002) oraz wieloma nagrodami, a także tytułami zasłużonego dla kilku miast i regionów. Wyróżniony za działalność na rzecz dzieci.

ISBN 978-83-930022-0-7